

PAWEŁ MATUSZEK
ONIKROMOS



ONIKROMOS

Paweł Matuszek

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2016**

Copyright © 2016 by Paweł Matuszek
Copyright © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń
Ilustracje wewnętrzne oraz na okładce: Irek Konior
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Projekt obwoluty i ilustracja na obwolutie: Dark Crayon

Warszawa 2016

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-723-4

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Thrakorne
Drobo
Vessero
Apolabium
Kvall
Menur
Un-ku
Avorro
Telkro-oqwal-zehka-lypto
Lypto
Nakmar
Yvvy
Tankuni
Manakum
Atrifa
Gers
N.Odomer
Travh-nahr
Brethus
Ures
Pohra
Kanak w Kvall
Galen
Fruchy
W... I... W...
Odivale

Khat
Rairom
Barga Drod
Sormmyrk
Rimleg
Nokra
Erkenon
Zergott
Alhazen
Sihamur
Pirga
Krek'h-pa
Cyparis
Moqudad
Lamreh
Arcybjja
Foquis
Zaraukard
Zelda
Somorkino khat

Być może życie wymaga rozszyfrowania jak kryptogram.

André Breton

Wszystkie słowa są święte, wszyscy prorocy prawdziwi, zważ tylko, iż oni niewiele rozumieją; rozwiąż pierwszą połowę równania, drugą pozostaw nienaruszoną. Masz to wszystko w jasnym świetle, a niektórzy, choć nie wszyscy, w mroku.

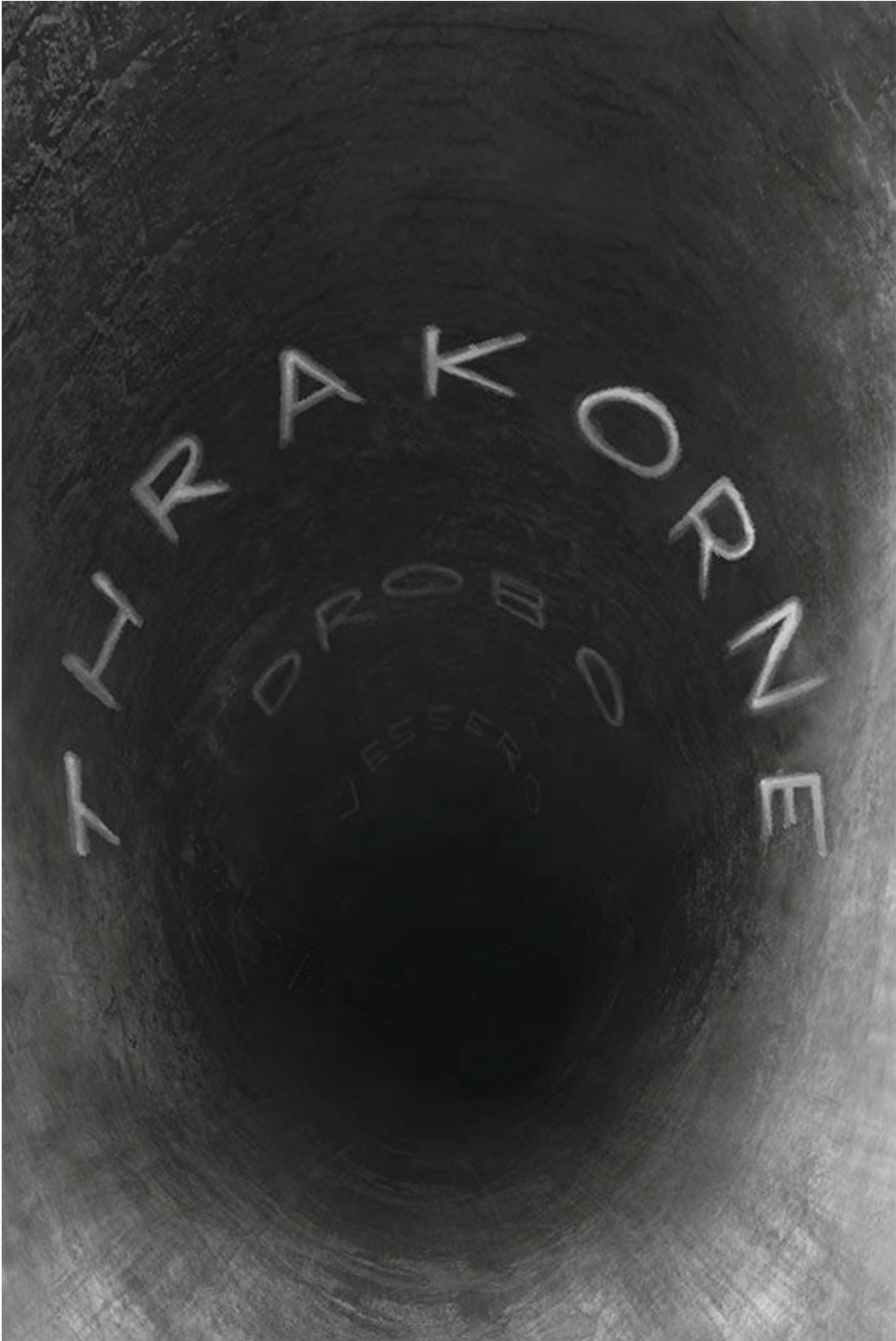
Aleister Crowley

Później, w Paryżu, już nigdy nie mówił o pewnych rzeczach i tylko niektórzy jego żołnierze wspominali gulgoty dolatujące z poszycia, świsty zatrutych, niezawodnie celnych strzał, świetliste mary nocne, ale zwłaszcza te drobne przesunięcia w świecie, kiedy na okamgnienie przeskakiwał w nierzeczywistość. Wtedy drzewa i leniwe rzeczne wiry pozornie wciąż były sobą, a jednak czuło się, że to coś nieznanego tylko je udaje.

Daniel Kehlmann

Wszechświat to nie ciasna kieszeń, a panujący w nim porządek nie jest splątany żadnym ograniczeniem u źródeł powstania, żeby w jednej części musiało się powtarzać to, co istnieje w drugiej. Nawet na tym świecie więcej rzeczy istnieje poza naszą świadomością niżli w jej obrębie, a porządek, który widzimy w dziele stworzenia, to porządek, któryśmy sami mu nadali, jak sznurek rozpięty w labiryncie, by nie zgubić drogi. Istnienie ma własny porządek, którego nie ogarnie żaden ludzki umysł, bo sam umysł to tylko jedna z wielu okoliczności.

Cormac McCarthy



Zimno gromadziło się w zakamarkach miski olejowej. Koła zębate zastukały jak przewracające się kostki domina i znieruchomiały w oczekiwaniu. Olej spływał po ośkach i z każdym skapnięciem ostrzegał:

– Jest. Tu. Jest. Tu. Jest. Tu. Jest. Tu...

Potem umilkł.

Koło zamachowe emanowało chłodem, który przepelznął po wale korbowym i wspiął się na tłoki, by kondensować się w cylindrach. Gęstniało ciśnienie mrozu. Świece zapłonowe zapominały, jak krzesze się iskry. Bielmo amnezji ogarniało ich ceramiczne powłoki. Zawory opadły z sił. Nie potrafiły już przewyciężyć oporu sprężyn. Wałek rozrządu trzymał się kurczowo paska zębatego, ale nic nie mógł zrobić. Ciszę odmierzały gęste krople skapującego oleju. Nagle rozdarł ją metaliczny charkot rozrusznika. Ucichł i spróbował ponownie. Kilka razy. Bezskutecznie. Wszystkie ruchome elementy silnika zamarły w bezruchu. Czarne zimno zagnieździło się w żeliwie.

* * *

– I co?

– Nie wiadomo.

– Jak to? Tydzień temu oddałeś go do warsztatu.

– Tak, ale facet rozłożył ręce. Powiedział, że nigdy nie widział czegoś takiego.

– Przecież naprawia samochody!

– Chodziło raczej o rodzaj usterki.

– Nie znam się na tym. Na piątek się wyrobi? Pamiętasz, że musimy jechać do rodziców?

– Nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Czy da radę.

– Ale rodzice mają rocznicę. Będzie uroczysty obiad. Planują to od roku!

– Nic nie poradzę. Ostatecznie jest jeszcze pociąg.

– Zwariowałaś?! Z czterema walizkami to byłby koszmar!

– Cztery walizki na dwa dni?

– Nie zaczynaj.

Za kuchennym oknem słońce ugrzęzło w pierzastych liściach akacji.

– Twierdzi, że to jest jak choroba, i nie ma pojęcia, jak to powstrzymać.

– O czym ty mówisz?

– Cały czas o samochodzie.

– Przejmujesz się gadaniem jakiegoś półgłówka? Naprawi i po krzyku.

– Jeśli naprawi.

– A czemu nie? Coś wymieni, coś zreperuje i będzie dobrze.

Masło kupiłeś?

– Zapomniałem.

– Mówiłam ci przecież...

– Dobrze już, dobrze. Zejdę do sklepu. Przy okazji wyrzucę śmieci.

– Kup jeszcze mleko.

– Jasne.

– I pośpiesz się. Zupa stygnie.

Ale nie wyszedł.

Stanął przed drzwiami i spojrzał na klamkę. Promieniowała

odpychającym chłodem.

* * *

Głuche podwodne dźwięki ugrzęzły w plastikowej studni pod nieruchomym meniskiem błyszczącym jak metaliczne zwierciadło. Wątle szare światło przenikało go na wskroś, ale traciło przy tym tyle energii, że nie mogło już dotrzeć do mrocznego dna, gdzie wokół spiralnej grzałki kłębiły się kruche płatki kamiennego osadu. Z wnętrza plastikowej ścianki wydobywało się nerwowe terkotanie prądu elektrycznego, który nie dochodził do grzałki. Coś w jego rytmie przechwytywało odgłosy z zewnątrz i zmieniało ich środek ciężkości. Dlatego nie mogły uciec, nawet przy uniesionej pokrywie.

Czajnik zmienił swoją funkcję i teraz, niczym soczewka, skupia w sobie rozproszone dźwięki, zbyt słabe, by mogło je wychwycić ludzkie ucho. Nadaje im sonicznego ciężaru, dzięki któremu wprawiają w drżenie szkło zamknięte w kuchennych szafkach i cichutko rozpełzają się po całym mieszkaniu.

* * *

– Mamo, to tylko stary czajnik elektryczny.

– Wiem, co słyszałam.

– Ale ty masz prawie osiemdziesiąt lat! Nie zdziwiłabym się, gdybyś słyszała trzepot anielskich skrzydeł.

– Nie pozwalaj sobie, moja droga! Słuch mam dobry, piątej klepki też mi nie brakuje!

– Przecież żartowałam... Mam go znowu zanieść do pana Zenka?

– On go nie naprawi.

– Naprawi, tylko że to stary grat, i za chwilę znowu się zepsuje. Nie lepiej kupić nowy?

- Nie naprawi, bo nie jest zepsuty.
 - Cztery razy go zanosila. Czemu pan Zenek mialby udawac, ze go naprawia?
 - Bo nie ma zbyt wielu klientow?
 - Mamo, ty wszedzie wietrzysz podstepy!
 - To nie jest teoria, tylko fakt.
 - Ale skad, po prostu rupiec chce isc na emeryture.
 - Nieprawda, on tylko nie chce gotowac wody.
 - Znaczy, nie dziala.
 - Znaczy, robi cos innego.
 - Co innego moze robic czajnik?
 - Nie mam pojecia, ale slychac to w nocy, kiedy jest bardzo cicho.
- Wedrujace dzwieki, od ktorych drza szklanki i ruszaja sie lampy.
- Jakie znowu dzwieki, mamo?
 - Czuć je w kościach.
 - To pewnie odgłosy imprez, które dochodzą z niższych pięter.
 - Gdy czajnik jest w naprawie, to nic nie słyszeć.
 - Mamo, mam tego dość, zabieram go i jutro przywiozę ci nowy!
 - Ani się waż! Przywieź nowy, ale ten mi zostaw.
 - Dlaczego?
 - Odkąd to słyszę, dobrze śpię. Jak nigdy wcześniej. I lubię to powtarzające się słowo.
 - Słowo? Zlituj się mamo, zaczynam się martwić.
 - Coś jakby Thrakorne...

* * *

Nie woda.

Nie wilgoć.

Lecz zimne tchnienie z głębi ziemi, bez trudu przenikające przez skały, żwir i gliniaste warstwy gleby. Płynny chłód, który wężowym

ruchem cieknie pod prąd grawitacji. Wspina się między żelbetowymi płytami, po ciasno zamurowanych ceglach, wzdłuż rur i przewodów, tuż pod tynkiem i cienką warstwą farby. Zmierza w stronę mrowiącej się elektryczności wypełniającej cienki metal. Dociera do niej, zatrzymuje się i cierpliwie nawarstwia swoją obecność. Czeka, aż wyłoni się czarna iskra. Potem rusza dalej.

Za każdym razem, gdy przeskakuje oleisty błysk, lampa nad umywalką mruga i gaśnie.

* * *

– Co jest z tą lampą?!

– Kochanie? Co się stało?

– Chodź, zobacz. W łazience znowu przepaliła się żarówka. Nie mogę się umalować.

– Cholera, rzeczywiście.

– Cholera tego nie naprawi.

– A cholerny elektryk?

– Miesiąc temu wymienił stare kable i oprawki. Mówił, że teraz powinno być dobrze. Co za partacz!

– Może problem nie tkwił w kablach?

– Kochanie, jesteś geniuszem! Przesuń się, idę się umalować przy oknie. A ty wkręć nową żarówkę.

– Nie wiem, czy mamy...

– To sprawdź! Śpisz jeszcze?

– Jezu, co cię ugryzło?!

– Brak światła. Śpieszę się, zejdź mi z drogi!

– Wydamy majątek na te żarówki.

– Też mi nowość.

Ostrożnie chwycił przepaloną żarówkę. Była zaskakująco zimna. Jej chłód wniknął w opuszki palców i wydobył wspomnienia, do

których nie lubił wracać. Gdy miał dziesięć lat, jego rodzice uznali, że jest już na tyle dojrzały, że powinien się wreszcie nauczyć przewycięzać swoje lęki. Czyli od tej pory musi schodzić do piwnicy sam. Nie chciał o tym słyszeć. Protestował, próbował wzbudzić w nich litość, płakał, krzyczał, histeryzował, ale byli nieustępliwi. Twierdzili, że każdy kiedyś musi się zmierzyć ze swoim strachem i nie da się tego uniknąć, więc im szybciej się to zrobi, tym lepiej. Dlatego, mimo że zdawali sobie sprawę, że nie ma dla niego bardziej przerażającego miejsca niż piwnica, z pełną premedytacją posyłali go do niej co najmniej raz w tygodniu. Nie miał wyboru. Na miękkich nogach schodził po stromych schodach. Prowadziły do długiego korytarza, którego koniec ginął w ciemności. Z jakiegoś powodu żółtawe światło nielicznych lamp nie potrafiło jej rozświetlić. Kiedy stawał naprzeciwko niej, natychmiast mroziło go paralizujące wrażenie, że gdy przestanie na nią patrzeć, gdy tylko się odwróci, coś z niej wyjdzie. Trząśił się ze strachu, ale przecież musiał się odwrócić, żeby otworzyć kłódkę zamykającą drzwi do ich części piwnicy i znaleźć w niej to, o co prosili rodzice. Przez chwilę zmagał się ze sobą, kurczył się pod wiotkim parasolem rozsądnych myśli, a potem, gdy udawało mu się wywalczyć odrobinę przestrzeni wolnej od strachu, robił to, co musiał, i szybko wracał na górę. Przez jakiś czas miał spokój. Aż znowu musiał zejść i wszystko zaczynało się od nowa.

Mimo że teraz już się nie boi schodzić do piwnicy, czuje, jak ogarnia go fala irracjonalnego przerażenia. Wzbiera w nim pewność, że wcale mu się nie wydawało, że za każdym razem, gdy odwracał głowę, z ciemnego końca korytarza naprawdę coś wychodziło.

Za każdym razem.

Puścił żarówkę, w której roiła się lodowata ciemność, usiadł na krawędzi wanny i schował twarz w dłoniach. Pod powiekami

przemykały mu obrazy. Stary samochód spowity zimną ciszą podziemnego garażu, brudne okno zamazujące widok, plastikowy czajnik elektryczny, wokół którego okruszki chleba układają się w koncentryczne kręgi, gołe końcówki kabli elektrycznych, poczerniałe od tego, co czasem nimi wędruje. Zobaczył też puste pomieszczenia, hale, magazyny i ich wilgotne, betonowe posadzki. Usłyszał, jak płoży się po nich cichy, wijący się dźwięk. Odkrył, że go zna, że może go powtórzyć.

– Thrakorne – wyszeptał, otwierając oczy.

Stała w drzwiach. Była blada.

– Co?!

– Nic. O co ci chodzi?

– Wystraszyłeś mnie, wołałam, ale nie odpowiadałeś. Źle się czujesz? Zasłabłeś?

– Nie. Chyba. Sam nie wiem.

– Powiedziałeś coś, jakieś dziwne słowo...

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Nie pamiętam...

DROED

VESSERO

COLASTIUM

Nie było charakterystycznego łaskotania za oczami i nad Linvenogre nie wypiętrzyła się nawet jedna dziwna chmura. Nie było żadnych wyczuwalnych ruchów żywego chłodu podnoszącego się z głębi ziemi, chociaż właśnie to poprzedza większość manifestacji xulo. Nie było wędrujących słupów mgły i wielkich kanciastych cieni, które czasem kładą się na całych dzielnicach, mimo że niebo jest zupełnie czyste. Nie było dudniącego hałasu przetaczającego się przez miasto. Nie było żadnego ostrzeżenia. Był zmierzch. Zachodzące słońce płonęło oślepiającą czerwienią. Jego blask wlewał się przez szerokie okno gabinetu i wydawało się, że spowalnia opadające drobiny kurzu. Jakby zagęszczał powietrze. Druss siedział za swoim potężnym biurkiem rozparty w wygodnym fotelu. Był zmęczony. Patrzył na kubek, w którym parzyły się liście alamy. Ten orzeźwiający wywar miał go postawić na nogi po całym dniu pracy w terenie. Delikatna wstążka pary falowała nad kubkiem. Nagle, na moment, zastygła w bezruchu, mignęła i znowu zaczęła falować, ale w trochę innej pozycji, jakby w drobnym interwale czasu przestała istnieć.

Wtedy to poczuł.

Błysk i wyładowanie przeskakujące z kamienia na kamień. Szczelinami w bruku. Po żelaznych kratkach kutych w ostre kwiaty. Fasadami przysadzistych kamienic. Pod cienką warstwą farby między zgrubieniami szorstkiego tynku. Wiotkimi korzeniami roślin, które zarastają rynny, i wzdłuż krawędzi ceramicznych dachówek. Przez obrosnięte grubym mchem kominodomy perusów i ich wilgotne ogrody. Między sztywnymi włoskami porastającymi grzybniowe komory mieszkalne i niżej, kanałami wodnymi, zygzakując po menisku napięcia powierzchniowego i przeskakując

na kijanki zaminów – jak rozpalona iskra skacząca między rdzeniem kręgowym, nerką, płucem, po skórze do stopy i z powrotem, przez kości, do czaszki, w której na moment, tuż przed zgaśnięciem, przybiera ulotny, filigranowy kształt, po czym znika.

Druss pierwszy raz w życiu odebrał tak potężny impuls. Zazwyczaj są dużo słabsze i związane z jedną emanacją manifestującą się w konkretnym punkcie miasta, ale ten przeniknął przez całą metropolię. Przez całe Linvenogre. I zachłannie dotykał wszystkiego na swojej drodze, jakby czegoś szukał, dążył do jakiegoś celu.

Głowiąc się nad znaczeniem impulsu, Druss utrzymywał w pamięci kształt, jaki błysk przyjął tuż przed wygaśnięciem. Musiał go utrwalić. Otworzył tablotesor – mentalne akcesorium, dzięki któremu mógł kontrolować zasoby pamięci, funkcje swojego umysłu i ciała, a także tworzyć psychoinstrumenty. Tuż przed nim zmaterializowała się prostokątna, półprzezroczysta tablica kontrolna wypełniona wskaźnikami, pokrętłami, suwakami i przełącznikami otwierającymi przegródki i zakładki odsyłające do głębszych poziomów tablicy. Druss nigdy nie był mistrzem w posługiwaniu się tablotesorem, ale udało mu się wbudować w to akcesorium kilka unikatowych funkcji zgodnych z jego talentem do wyczuwania i analizowania manifestacji xulo. Dzięki temu wzmocnił swoje umiejętności, zwiększył ich skuteczność, i już jako nastolatek udowodnił, że jest najlepszym tropicielem xulo w Linvenogre, który zdolnościami i wrażliwością przewyższa swojego słynnego ojca. Nawet perusi, istni wirtuozi tablotesorów, nie mogli się z nim równać. Jego talent budził wśród nich nieco wymuszony szacunek, który jednak bardzo ułatwiał mu życie – zwłaszcza że był on tylko jednym z dwóch ludzi mieszkających w metropolii zaminów i perusów.

Druss pogmerał przy tabloesorze, otworzył przejście i zszedł do krypty. Nie pociągały go duchowe poszukiwania, więc w tej przegródce urządził coś w rodzaju archiwum. Przechowywał tu utrwalone w pamięci przebłyski xulo. Wnętrze przypominało mroczną, labiryntową bibliotekę, w której półki ugięły się nie od książek, lecz od setek filigranowych, świetlistych rzeźb. W tym miejscu niepodzielnie rządził archiwista Lestych. Wyglądał jak mały, dystyngowany staruszek, lecz jego ruchy i sposób mówienia niepokojąco kojarzyły się Drussowi ze zmarłym ojcem.

– Kolejny eksponat? – zapytał Lestych.

Druss przywołał kształt błysku, który w tej samej chwili zmaterializował się rękach archiwisty. Był duży i spleciony z kilkunastu rdzeni wirującej energii.

– Mamy coś podobnego?

– Nie. Pierwszy raz widzę aż tak rozbudowany. To na pewno xulo?

– Nie wiem. Zbadaj to. Porównaj z innymi. Może na coś wpadniesz.

Druss opuścił archiwum i zamknął tabloesor. Trapiło go nieokreślone, trudne do uchwycenia przeczucie. Otępiające zmęczenie ulotniło się bez śladu. Nagle usłyszał głośny trzask zamykanych drzwi. Wyszedł z gabinetu. Szerokim korytarzem dotarł do największego pokoju w mieszkaniu. Tu przyjmował gości, bo tylko to pomieszczenie nie było przystosowane do jego rozmiarów.

Na środku stał jedynie duży, okrągły stół, a obok niego trzy szerokie i twarde leżanki. Nad jedną z nich pochylali się pomocnicy Drussa – Hemel i Tenan. Pierwszy był zaminem – goryłowatym olbrzymem, który miał gładką czarno-żółtą salamandrową skórę i stożkowatą żabią głowę, a drugi perusem – włochatą kulą wspartą na trzech długich patykowatych nogach. Z górnej części kulistego

tułowia każdego perusa wyrasta coś w rodzaju ektoplazmatycznej narośli, która może zmieniać kształt i jest ich głównym sensorium. To właśnie ona odwróciła się w stronę Drussa, gdy stał na progu pokoju i zaniepokojony widokiem swoich pomocników nie mógł się zmusić, żeby do nich podejść.

– Co się stało? – zapytał niepewnie.

– Nie wiemy – odparł Tenan, wydłużając narośl i nadając jej kształt zwiniętej tuby. – Segregowaliśmy znaleziska z ogrodu mistrza Akama i nagle Basal upadł. Natychmiast przynieśliśmy go na górę, ale chyba nic się nie da zrobić. Nie oddycha.

Człowiek na sztywnych nogach podszedł do leżanki, na której spoczywał jego młodszy brat. Był skurczony, zgięty w pół, wyglądał, jakby poraził go piorun. Druss dotknął jego czoła i sprawdził puls. Nie było wątpliwości. Słońce już zaszło i ciało Basala zaczynało obrastać ciemniejszą szarością. Druss czuł w sobie zimny spokój. Śmierć brata jeszcze nie znalazła do niego dostępu i jego umysł wciąż pracował z niezmaconą precyzją.

– Gdy to się stało, dotykał któregoś artefaktu?

– Tak. Potem go upuścił. Słyszałem, jak toczy się po podłodze – odparł Tenan.

– Co to było?

– Nie zwróciłem uwagi, wszystko stało się tak szybko...

Druss spojrzał pytająco na Hemela.

– Ja też nie – mruknął zamin przepraszająco.

– Ale niczego nie ruszaliście? Niczego poza ciałem?

– Nie było na to czasu... – potwierdził Tenan.

– Dobrze. Chodź, Tenan, znajdziemy to. A ty, Hemel, zostań, proszę. Na chwilę. Zaraz wrócimy.

– Oczywiście, poczekam tu... z nim.

Druss i Tenan w pośpiechu opuścili mieszkanie, weszli do windy i zjechali siedemdziesiąt pięter w dół. Przeszli przez ogromny

łukowo sklepiony hall i minęli posterunek zaminów przy głównym wejściu.

– Wszystko w porządku, panie Druss? Co się stało panu Basalowi? – zapytał jeden ze strażników.

Druss i Tenan minęli ich bez słowa. Wyszli na pasaż rozmigotany podświetlonymi witrynami sklepów. Dzień i noc panował tu nieustanny ruch. Blask, który wylewał się zza grubych tafli falowanego luvialnego szkła igrał między przechodniami, prześlizgiwał się po ich ciałach. Zawieszane nad pasażem żarolaternie dopiero zaczynały dymić mętym światłem. Druss sprawnie wyminął kilku perusów i zaminów, zanurkował pod przelatującym nisko tulpa i znalazł się przed drzwiami swojego biura. Kiedy Tenan stanął za jego plecami, Druss westchnął ciężko i wszedł do środka.

Przekreślił włącznik i żarniki opromieniły wnętrze wątłym blaskiem, z wolna przybierającym na sile. Przedmioty wykopane w ogrodzie mistrza Akama wciąż leżały na długim stole. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało, ale Druss nie pamiętał dokładnie ile ich było, więc mógł się mylić. Nie, na pewno się mylił.

– Gdzie stał? – zapytał Druss.

– Po drugiej stronie, przy pierwszej półce – odparł Tenan.

Druss przyklęknął i spojrzał wzdłuż podłogi, między półkami, na których piętrzyły się zagadkowe przedmioty. Wszystkie zmaterializowały się wraz z impulsami xulo. Były tam prostokątne metalowe tablice zapisane dziwnymi znakami, takimi jak WM 43079 lub SL 72103, przezroczyste sześciany, wewnątrz których migotały obłoczki plazmy, i kule zawierające miniaturowe budowle otoczone wirującymi płatkami przypominającymi śnieg, a także wyschnięte truchła wielosegmentowych stworzeń wyglądających jak owady ze zbyt dużą liczbą odnóży, metaliczne grudy parujące nikłym światłem i wygięte pod niemożliwymi kątami figurki oraz

wiele, wiele innych.

Jednakże przedmiot, który interesował Drussa, nie leżał na półce, lecz na podłodze. Chował się za stołową nogą. Pękaty, zwinięty w sobie kształt. Druss patrzył na niego z niedowierzaniem. To był tylko zwykły drobo – przez niektórych tropicieli xulo nazywany również krzemiennym płodem – jeden z najczęściej pojawiających się artefaktów. Nie mógł być groźny. Rozbrojony drobo nie zawiera żywego chłodu, więc nie może już przewodzić impulsów xulo i samodzielnie również nie potrafiłby wygenerować ładunku, który mógłby kogoś zabić. Druss podniósł go z podłogi i ścisnął w dłoni.

– To nie może być to – powiedział cicho.

– Nic innego tu nie ma – mruknął Tenan. Jego narośl wydłużyła się i zanurkowała pod stołem. – Może gdzieś dalej...

Nagle drzwi z hukiem rozpadły się na kawałki i do środka weszło trzech potężnych zaminów. Druss rozpoznał największego z nich – Rakama – olbrzyma nawet wśród swoich pobratymców i przywódcę miejskiej gwardii. Patrzył na niego bez strachu, owinięty bezpiecznym kokonem emocjonalnego chłodu, jakby od śmierci Basała przestał brać czynny udział w swoim własnym życiu.

– Idziesz z nami, Druss – warknął Rakam.

– Po co? – zapytał Druss, nie spuszczać wzroku z nieprzeniknionych czarnych oczu zamina.

– Nie wiesz?! Ty?! Kvall zaatakowało Linvenogre. Nie wiemy jeszcze, ilu mieszkańców zginęło. Panika idzie przez miasto jak pożar. Przenosimy ocalałych tropicieli do kopuły. Rada już się zbiera. Szybko, nie ma czasu do stracenia.

Nie zrobiło to na Drussie wrażenia.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział twardo. – Zostawcie mnie w spokoju.

Rakam błyskawicznie doskoczył do Drussa i ryknął mu w twarz,

zdmuchując jego zdystansowane poczucie bezpieczeństwa jak zwykłą świeczkę. Przerażony człowiek szarpnął się w tył, zahaczył o stół i runął na plecy, pociągając za sobą artefakty wykopane w ogrodzie mistrza Akama. Zamin stanął nad nim jak drapieżnik przymierzający się do zadania ostatecznego ciosu.

– Idziesz czy mam ci odgryźć łeb? – mruknął cicho.

– Zabij mnie, zabij – jęknął płaczliwie Druss. Pozbawiony iluzorycznego kokonu, który oddzielał go od emocji, wił się smagany rozżarzoną bólem bezsilności, poczucia straty i osamotnienia. Jego cierpienie emanowało z ciała martwego brata.

– Rozumiem – stwierdził chłodno Rakam i skinął na swoją obstawę. – Zabrać go do Apolabium. Perus zostaje.

LESSEFERO
APOLABBIUM
WALL

- To on? Wielki Vessero?
- Jego ciało.
- Znaczy, on.
- Raczej to, co z niego zostało.
- Masz wrażenie, że czegoś mu brakuje?
- Coś w tym stylu.
- To prawda, że strzelił sobie w łeb, zanim dopadliście go w piwnicy pod garderobą?
- Nie.
- To który go dorwał?
- Żaden. To plotka. Kiedy zeszliśmy na dół, leżał zamknięty w hermetycznym sarkofagu. Koroner twierdzi, że nie żyje od wielu miesięcy.
- Co ty mówisz?! Niemożliwe! Wielki Vessero to jeden z najsłynniejszych iluzjonistów w mieście. Jego piątkowe pokazy od lat ściągają tłumy widzów. Gdyby nagle przestał występować, napisałyby o tym wszystkie gazety!
- Tak, ale nie przestał.
- Nie rozumiem...
- Ja też nie, ale wiem, że czterech ludzi zginęło, gdy wyciągali go z tego sarkofagu. Wrzeszczeli, jakby ktoś palił ich żywym ogniem. Piąty przeżył, ale trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek dojdzie do siebie. Dlatego pod żadnym pozorem nie dotykaj jego ciała! Rozumiesz? Pod żadnym pozorem! Teraz przebierzesz się w cywilne ciuchy, dostaniesz dokumenty i z błogosławieństwem komisarza Berga wywieziesz Vessero z miasta. Za chwilę nasi chłopcy zapakują ciało do ołowianej trumny i załadują do samochodu.

– Ale dlaczego ja? To chyba zbyt odpowiedzialne zadanie. Nie wiem, czy podołam. Nie jestem dobrym kierowcą i mogą być kłopoty, jeśli ktoś się zorientuje, że wiozę tego kanibala.

– Spokojnie. Zrobimy to dyskretnie. Nie będzie żadnego konwoju i nikt nie zwróci uwagi na cywilny samochód prowadzony przez zwykłego obywatela. Poza tym będziesz pod stałą obserwacją. Gdyby coś się działo, natychmiast wkroczymy. Wszystko jasne?

– Raczej tak. No to dokąd mam go zawieźć?

* * *

– Pojechał?

– Tak.

– Dobrze. Odwołaj ludzi i powiedz, żeby zaczęli zbierać kłamoty. Ten teatrzyk mnie denerwuje. Nawet po śmierci Vessero zmusza nas do grania we własnym przedstawieniu.

– Nie za wcześnie?

– Myślisz, że może wrócić?

– Chyba nie, ale musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

– W takim razie niech wszyscy zostaną na stanowiskach. Mam nadzieję, że dyrekcja szpitala nie będzie robić kłopotów. Policyjne dekoracje mogą się jeszcze przydać.

– Poproszę o dwie godziny. Powinno wystarczyć.

– Niech tylko dotrze na poligon. Zwiniemy interes, kiedy będziemy pewni, że jest po sprawie.

– Tak jest, panie komisarzu, choć wciąż mam wątpliwości.

– Przecież to twój pomysł.

– No właśnie. Mogę się mylić.

– Trudno. Niezwykłe sytuacje wymagają niezwykłych rozwiązań. Mamy łączność z poligonem?

- I z ludźmi, którzy śledzą naszego człowieka.
- Świetnie. Gdzie on teraz jest?

* * *

Zdezelowana furgonetka gładko sunie po mokrym asfalcie. Zapadła ciemność i siąpi drobny, natarczywy deszcz. Kierowca uśmiecha się pod nosem. Nie przeszkadza mu już świdrujący ból głowy, który męczył go od tak dawna, że nie może sobie przypomnieć, jak to jest, gdy go nie ma. Ma też wrażenie, że zaraz coś się wydarzy. Nie wie co. Bo co może się wydarzyć, gdy żyje się u boku tak nudnej żony? Ale przecież nie jest żonaty. A może jest? To takie samo uczucie, jakby mieszkał z matką. Żona mu matkuje? Nie, na pewno nigdy nie miał żony. Rodzice? Nie pamięta ich. Jacyś na pewno byli. Kiedyś. Wiwatujące tłumy? Mijają go światła, które jeszcze niedawno były oślepiające, ale teraz może na nie patrzeć bez mrużenia oczu. Czarna plama oczu. Ani zarysu znajomej twarzy. Żaden problem. Coś się zbliża. Krok za krokiem, krok za krokiem. Nie. To wycieraczki wymazują mokry rytm na szybie samochodu. Chciałby uciec, zaszyć się w ciemnym kącie i jednocześnie wyjść, zaatakować, zaspokoić głód. Tak mocno ścisną kierownicę, że bieleją mu kłykcie i drżą barki. Wreszcie widzi na poboczu drogowskaz, zwalnia i skręca w polną drogę. Dojeżdża do strzeżonej bramy. Uzbrojeni żołnierze sprawdzają dokumenty i puszczają go dalej. Wjeżdża w las. Samochód brodzi w błotnistych koleinach. W oddali dostrzega blask mocnych halogenowych reflektorów. Podjeżdża do nich i zatrzymuje furgonetkę. Proszą, żeby wysiadł. Nie opiera się. Wykonuje polecenia, ale w ich głosach wyczuwa napięcie. Otaczają go ze wszystkich stron. Popychają stalowymi prętami. Ich dotyk pali nawet przez ubranie. Nagle wpada do głębokiego błotnistej dołu. Unosi głowę, by zobaczyć,

jak otwiera się gardziel miotacza ognia. Syczy para wodna i coś, co wije się w dole galaretowatymi splotami.

* * *

– Jak się domyśliłeś?

– Tylko on przeżył spotkanie z Vessero i przez cały czas widział jego ciało, mimo że tuż po otwarciu sarkofagu rozplynęło się w powietrzu.

A R O L A B I U M
K V A L L I C U M
M E N U R

Człowiek, który od dziecka wychowywał się w Linvenogre, ma wiele dziwnych, niezrozumiałych i często przerażających wspomnień. Pamięta wstrząsający widok mglistej istoty, którą perusi uwalniają podczas Festiwalu Wzrostu, by śledzić jej przemarsz ulicami miasta i obserwować, jak wilgotnym tchnieniem obdarza życiem martwe przedmioty, a temu, co żywe, nadaje zupełnie nowe cechy. Z lękiem i fascynacją wspomina szaleństwa zaminów, którzy w trakcie Karnawału Tabotta zapraszają do swych ciał istoty z innych płaszczyzn rzeczywistości, i przez kilkanaście dni te bełkoczące byty w pośpiechu modyfikują Linvenogre rękami gorylowatych olbrzymów – wznoszą tajemnicze konstrukcje i burzą domy, jakby chciały dopasować miasto do trybów mechaniki obcego świata. Ale tylko niektóre z tych wspomnień mogą się równać z widokiem budującego się Apolabium.

Kiedy Druss miał osiem lat, jego ojciec zasnął na trzy dni. Nikt nie potrafił go obudzić. Basal i Druss czuwali przy jego łóżku. Przytuleni do matki, lękliwie wsłuchani w powolny oddech ojca, przygotowani na to, że każdy może być tym ostatnim. Płakali, żegnając się z tym wysokim, siwowłosym człowiekiem, który nigdy nie miał dla nich czasu, a mimo to zawsze potrafił znaleźć sposób, by przekazać im swoją miłość – za pośrednictwem drobnych gestów, dziwnych prezentów lub cudownego, szelmowskiego uśmiechu, którym obdarzał ich, gdy wyruszał tropić artefakty xulo.

Gdy godzili się z losem i przygotowywali na najgorsze, ojciec nagle otworzył oczy, znowu się do nich uśmiechnął, a potem zerwał się z łóżka i w nocnej koszuli pobiegł do mistrza Dekara, by przedstawić mu propozycję Inabulusa Knalba. Mistrz od razu zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady. Tylko ojciec Drussa słyszał

głos Knalba, więc pośredniczył w rozmowach z Radą i było trochę tak, jakby to on sam składał im propozycję. Perusom, a zwłaszcza zaminom, w ogóle to nie przeszkadzało, bo ingerencje obcych bytów są częścią życia w Linvenogre. Rada pragnęła tylko wiedzieć, co to będzie i czego Inabulus chce w zamian. Ale on niczego nie chciał. Obiecał tylko, że zbuduje w tym mieście coś, co sprawi, że Linvenogre stanie się sławne, i zrobi to, bo nigdzie nie ma lepszego miejsca, żeby to zbudować. Po długiej debacie przystano na jego propozycję i Rada wyraziła zgodę na powstanie czegoś, co miało się nazywać Apolabium.

Kilka dni później cieniutki promień złotego światła wyłonił się z bezchmurnego nieba i wskazał miejsce, w którym stanie budowla. Wtedy był tam niewielki park, który wyrósł na ruinach kominodomu zniszczonego podczas jednego z Karnawałów Tabotta. Rada kazała ogrodzić teren, długo jednak nic się nie działo. Dopiero po kilkudziesięciu dniach, w środku nocy, z głębi ziemi trysnęło coś, co wyglądało jak płynne kamienne światło i od razu zaczęło rosnać. Ze stałą prędkością, ale niezbyt szybko, niczym biały воск pęczniejący w ogromną kroplę, która nabiera ciężaru, by w końcu oderwać się od ziemi i spaść w niebo. Z dnia na dzień wokół formującego się obiektu zaczęły się gromadzić tysiące gapiów. Wszyscy chcieli to zobaczyć. Druss i Basal również tam chodzili. Zabierał ich ojciec. Matka była temu przeciwna. Bała się, że może im się coś stać, ale ojciec zawsze zbywał jej lęki śmiechem.

– Nic nie rozumiesz, kochanie – mówił. – Ja wiem, co to będzie. Wiem. Nikomu nic się nie stanie.

Dookoła ogrodzonego placu budowy błyskawicznie wyrosło miasteczko straganów, w których sprzedawano gorące przekąski, wróżby, mieszanki ziołowe, talizmany, zabawki i słodczyce. Druss najbardziej lubił słodkie grzyby kamret zapieczone w gęstym, aromatycznym sosie lev, a Basal przepadał za kwaśnymi odwołkami

patoro. Minęło tyle lat, a on wciąż pamięta te smaki. Wciąż pamięta, jak przeżuwał swojego kamreta i patrzył na falującą białą materię, która pączkuje w górę, wyciąga się jak pękaty strąk na długiej łądydze, coraz wyżej i wyżej, aż nagle odrywa się od łądygi i sama się unosi w powietrzu. Ucichły rozmowy. Wszyscy patrzyli w skupieniu. Jakby nie chcieli przeoczyć momentu, w którym strąk białej materii spadnie na ziemię. Ale nic takiego się nie stało. Zaczął krążyć w powietrzu. Powoli się zmieniał. Spłaszczył się, a potem znowu wybrzuszył, by ostatecznie przybrać kształt idealnej półkuli, która nabierała coraz mocniejszego złotego połysku. W tym samym czasie biała łądyga, od której oderwał się strąk, poszerzała się u podstawy. Robiła to tak długo, aż stała się ogromnym, stożkowatym monolitem. Powierzchnia budowli falowała, ale w końcu zastygła w nieregularne bruzdy. Niedługo potem pojawiły się okna, wejścia i nad ostrym czubkiem stożka błysnął jasny płomień. Jego blask przegłędał się w złotej krzywiznie lewitującej kopuły.

Kilka dni później ojciec Drussa stwierdził, że Knalb zakończył budowę i trzeba obejrzeć jego dzieło. Złapał synów za ręce i zaprowadził ich do Apolabium. Druss bał się, że nie wpuszczą ich gwardziści zaminów, którzy pilnowali, żeby nikt nie wchodził na teren budowy. Pamięta swój strach. I ulgę, gdy bez problemu weszli do środka. Długo wspinali się po niekończących się schodach, bo wtedy nie było jeszcze wind. Zagłędali do niezliczonych pomieszczeń, korytarzy. Wiatr świstał i zawodził – grał na budynku jak na ogromnym instrumencie, wykorzystując brak drzwi i puste otwory okienne. Ojciec wsłuchiwał się w zawodzenie przeciągów, kiwał głową, a czasem odpowiadał, jakby to był głos, który coś do niego mówi. W końcu dotarli na samą górę i idąc szerokim przejściem, zorientowali się, że nie są już w budynku. Miętko, roślinnie wygięte ściany przybrały złoty odcień. Za owalnymi

okienkami widać było przesuwające się w dole Linvenogre. Budynek i złota kopuła stanowiły jedność, chociaż nie były ze sobą połączone. Nie w widzialny sposób. Rada zachwyciła się podarunkiem Inabulusa Knalba i w ramach podziękowania za wkład w powstanie tego niezwykłego obiektu pozwoliła rodzinie Drussa zamieszkać w Apolabium. Ojciec wybrał apartament na jednym z najwyższych pięter. Mama nie była zachwycona, ale Druss i Basal od razu polubili to mieszkanie.

Prawie pięćdziesiąt lat później Druss został brutalnie wepchnięty do małego owalnego pokoju. Ledwo utrzymał się na nogach. Usłyszał suche szczęknięcie zamykanego rygla, ale na razie nie zamierzał protestować przeciwko takiemu traktowaniu, bo czuł, że Rakam nie kłamał. Dowodziło tego agresywne zachowanie zaminów podszyte autentycznym strachem. Coś zaatakowało Linvenogre, a Basal był tylko jedną z wielu ofiar tego ataku. Kochany Basal. Druss otarł łzy i wyjrzał przez małe ośmiokątne okienko. W dole zobaczył ogromny stożkowaty budynek, biały jak kość i zwieńczony płomieniem. Przez chwilę szukał okien rodzinnego mieszkania – nie chciał teraz myśleć, że to jest już jego mieszkanie, tylko jego – a potem spojrzął na wolno płynące Linvenogre rozjarzone nocną luminescencją. Przez ściany pokoju przebijały przytłumione krzyki obradującej Rady. Już szukają winnych. Z całą pewnością są przekonani, że to dzieło Kvall. Czyż nie tak powiedział Rakam? Ale podobieństwo tamtego impulsu do typowych manifestacji xulo wcale nie musi oznaczać, że pochodzą z tego samego źródła. Nie poprzedzały go przecież żadne wyczuwalne ruchy żywego chłodu. Myśli Drussa zgromadziły się wokół niejasnego przeczucia, czegoś, co było tylko ledwie rozpoznawalnym śladem pozostawionym przez odległe i zwietrzałe wspomnienie. Co to było? Powinien się naradzić z Lestychem. I to zanim zostanie wezwany przed oblicze Rady. Będzie musiał użyć

wszystkich swoich umiejętności, całego doświadczenia i szacunku, jaki zdobył sobie w tym mieście, żeby podkopać ich pewność i zasiać wątpliwości. Bo tylko wtedy pozwolą mu zbadać to zjawisko. W tej sytuacji trzeba położyć na szali wszystko. Wszystko. Musi to zrobić dla swojego brata, chociaż wie, że już nic, nawet to, nie przywróci mu życia.

Rada oskarży go o zaniedbanie. Powie, że zataił ważne informacje i przez niego zginęło wielu mieszkańców. O tak. Zawsze tak robią. To ich metoda dochodzenia do prawdy. Trzeba się przygotować. Druss przeczesał palcami rude, mocno przerzedzone włosy. Pogładził siwą brodę. Skupił się i otworzył tablotesor. Uśmiechnął się. Tuż przed wejściem do krypty zrozumiał, że na początku powinien im przypomnieć, że to właśnie on sześć lat temu wytropił nieuchwytnego pożeracza, który pochłonął wielu zaminów i perusów, a jak się potem okazało, ukrywał się w ciele iluzjonisty Vessero, choć żywiciel niemal do końca był nieświadomy jego obecności. Co prawda nie udało się wykonać ciężącego na nim wyroku śmierci, bo w jakiś sposób zdołał uciec z hermetycznej celi uszczelnionej mentalnymi blokadami zaminów, ale od tamtej pory nie grasuje już w Linvenogre.

Właśnie tak! Od tego zaczniesz!



- Przecież mówię, że wszedł do środka.
- Co ty gadasz?! Do lustra?! Jeśli maczałeś w tym palce, to od razu się przyznaj, bo nie potrafisz kłamać. Mów, jak było!
- Nic nie zrobiłem. Powiedziałem już.
- I powiesz jeszcze raz.
- Tak, panie Grossman.
- To na co czekasz?!
- Spokojnie, panie Grossman. To nic nie da. Ten człowiek jest bardzo zdenerwowany. Dajcie mu papierosa albo co tam chce...
- Nie palę, proszę pana.
- Nikt cię nie pytał...
- Panie Grossman! Jeszcze moment i każę pana wyprowadzić.
- Niedoczekanie! On musi być przesłuchiwany w mojej obecności!
- A chce się pan założyć? Czy w ten sposób zamierza pan współpracować z policją? Chce mi pan grozić?
- Ja...
- Chwileczkę, coś panu wyjaśnię. Wczoraj na pańskim placu budowy w biały dzień zniknął człowiek. Co prawda ma pan pozwolenie na te roboty i wygląda na to, że wszystko przebiega tu zgodnie z prawem, ale już kilkakrotnie był pan karany za drobne wykroczenia związane z naruszaniem przepisów budowlanych. Być może tamten człowiek dowiedział się czegoś o pańskich machinacjach i musiał go pan uciszyć. Skąd mam wiedzieć, że tak nie było? Pańskie zachowanie tylko utwierdza mnie w tym przypuszczeniu. Dlatego proszę się zamknąć i pozwolić mi pracować albo od razu przymknę pana na czterdzieści osiem.
- Zrozumiałem, panie inspektorze.

– Nie ma pan szczęścia, panie Grossman. Zazwyczaj sprawy zaginięć długo czekają na swoją kolej. Ale tu chodzi o syna policjanta, który dwa lata temu zginął na służbie, więc jeśli w jakikolwiek sposób będzie pan utrudniał moje śledztwo, albo będę miał wrażenie, że pan to robi, to natychmiast pana udupię. Czy wyrażam się jasno?

– Oczywiście. Zaraz zrobię panu kawy...

– Nie. Zrobi pan dwie. Drugą dla świadka. A teraz proszę wyjść.

– Naturalnie.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Jak się pan nazywa?

– Albert Stetno, panie inspektorze.

– Panie Albercie, wystarczy powiedzieć: proszę pana.

– Dobrze, proszę pana.

– Proszę mi powiedzieć, co tu właściwie robicie?

– Niwelujemy, proszę pana.

– To znaczy?

– Nie wszystkie kamienice, które kupuje pan Grossman, nadają się do remontu. Cześć z nich to zwykle ruiny i trzeba je wyburzyć. Tym się zajmujemy. Na początku wkracza ciężki sprzęt, a potem my. Ręcznie usuwamy gruz. To znaczy nie ręcznie, tylko kilofami i łopatami...

– Dobrze pan znał Stefana Rosko?

– Raczej nie, panie inspektorze, znaczy: proszę pana. Pracował w mojej ekipie od kilku miesięcy, ale nie trzymaliśmy się razem. On kumplował się z Kurtem Walicem i jego bandą. A ja jestem w grupie starego Mateusza.

– Tego weterana?

– Zgadza się.

– I co? Zalażł wam za skórę, więc go wykończyliście?

– Proszę tak nie mówić. To prawda, że trochę rywalizujemy, ale to ciężka praca, czasem dość niebezpieczna, i musimy się wspierać.

Nikt tu na nikogo nie czyha za rogiem.

– A ludzie i tak znikają. Jak to możliwe, panie Albercie?

– Mówiłem już, że...

– Wszedł do lustra. Tak. Słyszałem. To lustro faktycznie jest trochę dziwne, ale nie da się do niego wejść. Sprawdziłem. Dlaczego Grossman nie kazał wam go sprzedać albo zniszczyć? Pewnie tylko przeszkadza.

– Pan Grossman nic nie mówił?

– O czym?

– Kiedy buldożery odsłoniły wejście do zamurowanej piwnicy, pan Grossman bardzo się ucieszył. Często się zdarza, że w takich miejscach znajdujemy różne starocie, na których można zarobić. Ale w środku było tylko to lustro. Pan Grossman kazał je wynieść, lecz nic z tego nie wyszło. Ono jakby wyrasta z kamienia i wydaje się, że nie ma grubości. Jest cieńsze od kartki papieru. Pan Grossman obejrzał lustro dokładnie i zdecydował, że musimy je rozbić. Okazało się jednak, że to niemożliwe. Użyliśmy kilofów i młota pneumatycznego, ale nie mogliśmy go nawet zarysować. Wtedy powiedział Stefanowi, że ma je zamurować. Chłopak rozrobił zaprawę, przyniósł trochę cegieł, a potem...

– Dlaczego pan Grossman kazał mu to zrobić? Przecież piwnica i tak zostanie zalana betonem.

– Ma pan rację. To trochę bez sensu.

– Nie, jeśli ktoś chce mieć święty spokój.

– Nie rozumiem.

– Pan Grossman szybko zrozumiał, że ma tu coś, co może zainteresować wielu ludzi, i nie chciał do tego dopuścić. Zależało mu na tym, żeby jego inwestycja zaczęła się zwracać. A jeśli instytucje rządowe uznałyby to znalezisko za interesujące, to musiałby się pożegnać z parcelą na wiele lat. I tak się zapewne stanie. Proszę mi powiedzieć, kiedy widział pan Stefana ostatni

raz?

– Jak klęczał przed niskim murkiem z cegieł i powoli go rozbudowywał. Ja poszerzałem otwór w ścianie, przez który miał być wlewany beton. Stałem bokiem do niego. Coś sprawiło, że się odwróciłem. Wie pan, kiedy człowiek muruje, cały czas wykonuje te same ruchy. A on nagle zrobił coś innego. Musiałem się odwrócić. Wtedy zobaczyłem, jak przekracza murek i wchodzi do lustra. Nie bałem się, byłem zdezorientowany, jakby to był sen. Zrobiłem kilka kroków w stronę lustra i zatrzymałem się. Nie odbijało otoczenia jak wcześniej. Widziałem w środku piękne ażurowe schody, które prowadziły w dół. Potem obraz się zamglił, pokrył srebrem i zobaczyłem się w lustrze.

– Wcześniej nie wspominał pan o schodach...

– Bo bałem się pana Grossamna. Teraz mogę spokojnie opowiedzieć, jak było. Bez krzyków. Chociaż wiem, jak to brzmi.

– No dobrze. Na dzisiaj chyba wystarczy. Muszę jeszcze zadzwonić i porozmawiać z Grossmanem.

– Znaczy, mogę już iść?

– Tak.

* * *

– Sam pan widzi, panie inspektorze.

– Faktycznie, nie ma nawet śladu. Dobrze, że nie zdążyłem zadzwonić.

– A miał pan taki zamiar?

– Owszem, ale nie miałem racji. Jednak ma pan szczęście. Teraz piłka jest po pańskiej stronie, a mnie nikt nie uwierzy.

– Jedyne Stetno widział, co się stało z Albertem. Reszta tylko plotkuje. Nic nie wiedzą.

– A lustro?

– Powiedziałem im, że sprowadziłem specjalistów, którzy wycięli je palnikiem.

– Nikt w to nie uwierzy. Przecież widzieli je wszyscy ludzie z pańskiej ekipy, a teraz nic tu nie ma, najmniejszej pozostałości, jakby zapadło się pod ziemię.

– Bez obaw. Widać tylko to, w co łatwiej uwierzyć.

– Co pan ma na myśli?

– Nie będzie kłopotów.

– Co by pan zrobił na moim miejscu?

– Dalej szukałbym Stefana Rosko.

– Chyba tak zrobię. Jutro przesłucham resztę pańskich ludzi.

– Będę na pana czekał. Może to jednak ich robota?

– Miejmy nadzieję.

* * *

Kręte ażurowe schody prowadziły w dół, między zestalone bloki mlecznego światła.

Stefan czuł, że musi podążać za drżącym elektromagnetycznym pomrukiem, który podnosił mu włosy na głowie i rękach.

Każdy krok odrealniał ciało.

Mijał pochylnie, długie galerie przerzucone nad strumieniami fosforyzujących oparów, obszerne hale skąpane w ciepłym świetle migotliwych symboli utkanych z jarzących się nici pleśniowego włókna, bezokie posągi z masywnej czerni i koślawe przestrzenie nasycone przenikliwą wibracją zużłowych maszyn. Po pewnym czasie odkrył, że idzie płynnym ruchem mnóstwa wielosegmentowych odnóży. Skądś wiedział, że czeka go jeszcze długa droga w dół, ale mimo to był szczęśliwy.

Nareszcie wracał do Kvall.

MENUR

UN-KU

WORD

Menur mieszkał sam. Nie mógł i nie chciał żyć razem z innymi perusami. Nawet w rodzinnym kominodome, gdzie pod warstwą miękkiej ziemi i pajęczynową otuliną dojrzewają kolejne pokolenia żółtych jaj zapłodnionych tym samym nasieniem, które powołało do życia Menura, nie było już dla niego miejsca. To jedna z wielu ofiar, jakie musiał ponieść, by uwolnić umysł od społecznego zasupłania i całkowicie poświęcić się swoim badaniom.

Od wczesnego dzieciństwa, czyli od chwili, gdy współplemieńcy odkryli, że posiada niezwykle talent do posługiwania się tablotesorem i penetrowania głębokich pokładów świadomości, wiązano z nim wielkie nadzieje. On jednak nigdy nie interesował się rodzinnymi przepychankami, ani tym bardziej cechową karierą, i na własne życzenie został wypchnięty na margines życia kominodomu. Bardzo szybko stał się autorytetem w dziedzinie tablotesorów i znanym badaczem Konstruktu, ale i tak nie pozwolono mu stanąć przed Sądem Dwunastu, który decyduje o przyjęciu do grona Mistrzów tworzących elitę społeczeństwa perusów. Menur nie czuł się urażony, bo nie zabiegał o to. Niektórzy Mistrzowie tak bardzo cenili sobie jego umiejętności, że mimo upartej i niezrozumiałej odrębności Menura, a także wbrew cechowym zasadom, prosili go, żeby został ich pomocnikiem, któremu – kuszono go tą obietnicą – będą przysługiwać wszelkie przywileje Mistrza. Bez rezultatu.

Menura interesowało tylko jedno. Chciał stworzyć własne obserwatorium Konstruktu i całkowicie poświęcić się praktyce kontemplacji głębokich struktur. Oczywiście bez wsparcia rodzimego kominodomu był zdany tylko na siebie. Na szczęście pomysłów mu nie brakowało. Porozmawiał z Toropem, ówczesnym

dowódcą gwardii zaminów, i zaproponował, że będzie szkolił rekrutów w posługiwaniu się tabloresorami. W zamian chciał, żeby gwardia udostępniła mu jeden z nieużywanych magazynów leżących na samym brzegu jeziora Leko w dzielnicy salos. Szybko się dogadali. Obaj mieli w tym interes. Menur mógł wreszcie zacząć budowę swojego obserwatorium, a Torop cieszył się na myśl, że robi na złość zadufanym w sobie Mistrzom. Perusi byli tak pewni swojej pozycji w Linvenogre, że nigdy nie pomyśleli, żeby oficjalnie zabronić nauczania tym, którzy nie mają tytułu Mistrza. Tym samym Menur mógł działać zgodnie z prawem, choć dzięki temu liczba jego wrogów rosła w zatrważającym tempie. Nie pomagało mu również to, że okazał się znakomitym nauczycielem, często o wiele lepszym niż niejeden Mistrz uznany przez Sąd Dwunastu. Gdyby nie to, że Menura chroniła gwardia, prawdopodobnie perusi próbowaliby w jakiś sposób uciszyć swojego krnąbrnego pobratymca, lecz w tej sytuacji nie mogli nic zrobić, nie narażając się przy tym na zdecydowaną reakcję zaminów. Czy im się to podobało, czy nie, Menur realizował swój plan.

Rozgościł się w trzy poziomym magazynie – ciężkim, niezgrabnym, o grubych ścianach i małych oknach. Budynek był szary, nijaki i nie wyróżniał się w jednolitej, ciasnej i symetrycznie rozplanowanej zabudowie salos, typowej dla dzielnic zdominowanych przez zaminów. Ale za sprawą Menura szybko zaczął się zmieniać. Na jego polecenie usunięto dach i całe trzecie piętro zostało otwarte na niebo. Potem przywieziono tam kilka ciężarówek ziemi, by Menur mógł założyć swój ogród, w którym miał zamiar hodować dynamoporosty i krzewy pratos, rodzące oleiste owoce tonn – podstawowe paliwo do generatorów biotryki.

Środkowe piętro stało się pajęczynowym labiryntem, wypełnionym pomocami naukowymi wspomagającymi ćwiczenia w posługiwaniu się tabloresorem. To miejsce znali wszyscy

uczniowie ekscentrycznego perusa. Naturalnie na najniższy poziom wstęp mieli tylko najbardziej zaufani znajomi Menura. Tu znajdowało się jego obserwatorium, czyli duże soczewkowane wgłębienie wykute w betonowej podłodze, otoczone dwoma kręgami miedzianego drutu zawieszono na drewnianych stojakach i podłączonego do trzech generatorów biotryki. Pod nagimi ścianami leżało mnóstwo przeróżnych artefaktów xulo. Cześć z nich emitowała własne migotliwe światło, jak świece ofiarne wydobyte z innych przestrzeni rzeczywistości. Druss uwielbiał ten widok i był wdzięczny Menurowi za to, że pozwala mu go oglądać.

Gdy Druss miał sześć lat, ojciec przyprowadził go do pracowni Menura na pierwszą lekcję używania tabloresora. Wtedy perus był już znany w całym mieście. Nie było łatwo się do niego dostać. Chętni latami czekali w kolejce, ale ojciec Drussa potrafił być naprawdę przekonujący. Albo też Menur nie zdoła się oprzeć pokusie uczenia człowieka. Bez względu na to, z jakich powodów Menur przyjął Drussa na ucznia, tuż przed zakończeniem dziesięcioletniego okresu nauki stał się dla niego niemal drugim ojcem, bo ten pierwszy zniknął bez śladu na sześć dni przed czternastymi urodzinami chłopca. To zdruzgotało matkę. Zamknęła się w sobie, siedziała bez ruchu i godzinami wpatrywała się w chmury wędrujące po niebie, a Druss i Basal musieli błyskawicznie wydorosnąć. Menur im pomógł. Zwłaszcza Drussowi, który ufał mu całkowicie i uważał go za swojego mistrza. Basal, młodszy i bardziej sceptyczny, podejrzliwie patrzył na perusa i agresywnie odrzucał jego próby nawiązania kontaktu emocjonalnego. Było tak do czasu, gdy ich pogrążona w smutku matka podcięła sobie żyły i jedyną namiastką rodziny, jaka im została, stał się Menur.

Nie zawiódł ich. Dzięki niemu nie odebrano im mieszkania

w Apolabium. Z jego pomocą mogli też z powodzeniem kontynuować dzieło zaginionego ojca i rozwijać swoje talenty. Menur nie szczędził czasu i wysiłków, by ich wspierać. Dzielił się z nimi wynikami swoich badań i pomagał namierzać trudne do zlokalizowania manifestacje Kvall. Druss doceniał jego pasję, zaraźliwy entuzjazm, zaangażowanie, szczerą troskę i bezwarunkowe oddanie. Tak. Doceniał. Do wczoraj.

* * *

Kiedy po czterech dniach Rada pozwoliła mu opuścić złotą kopułę, Druss zszedł po schodach dziesięć pięter w dół i wrócił do swojego mieszkania. Wziął długą gorącą kąpiel, przebrał się w świeże ubranie, i znużony usiadł w gabinecie. Była głęboka noc albo bardzo wczesny poranek. Westchnął i schował twarz w dłoniach. Z zamyślenia wyrwało go ciche pukanie. Podniósł głowę. W progu gabinetu stał Tenan. Jego ektoplazmatyczna wypustka odsunęła się od otwartych drzwi i rozszerzyła na końcu, przybierając kształt krótkiej trąbki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Przepraszam, nie zauważyłem, że jesteście.

– Tylko ja. Hemel był wczoraj. Czekaliśmy na zmianę. Nie wiedzieliśmy, kiedy cię wypuszczą. Czego od nas chcą?

– Tego samego co zawsze. Tylko więcej.

Tenan zakołysał się z niepokojem.

– Nie rozumiem. Próbują zrzucić na nas winę?

– Coś w tym rodzaju. Powołali trzy niezależne grupy tropicieli, które mają zbadać naturę nietypowego Impulsu, ale jak zwykle chodzi tu przede wszystkim o polityczne rozgrywki. Pierwsza grupa składa się z samych zaminów, druga z perusów, a trzecia jest mieszana, żeby zachować pozory obiektywności całego

przedsięwzięcia. Choć od początku wiadomo, jak to będzie wyglądać.

– Skupię się na utrudnianiu pracy konkurencji i podkradaniu informacji – dopowiedział Tenan.

– Zgadza się – mruknął ponuro Druss i dodał: – Obie strony wykorzystają sytuację, żeby przetasować stanowiska w Radzie i nawet jeśli coś odkryją, zachowają to dla siebie. Albo, co gorsza, jedna z nich ujawni jakieś ocenzone informacje, żeby przypisać sobie wyjaśnienie sprawy, a potem zmonopolizować rynek tropicieli xulo.

– To możliwe?

– Niestety. A do tego bardzo prawdopodobne.

– Co zamierzasz?

– Zbadam sprawę na własną rękę. Moimi metodami.

– Pozwolili ci? Tak po prostu?

– Niezupełnie. Mam na to dziesięć dni. Jeśli w tym czasie nie przedstawię Radzie satysfakcjonującego wyjaśnienia, będę musiał opuścić miasto.

Tenan przysiadł z wrażenia. Jego wypustka skurczyła się o połowę.

– Na Tabotta, nie mają prawa! – jęknął.

Druss był spokojny. Uśmiechnął się do Tenana.

– Jakże to ma znacznie, skoro i tak nie można z nimi wygrać? Poza tym to była moja propozycja.

– Twoja?! Dlaczego to zrobiłeś? Od lat czekali na taką okazję, a teraz na pewno z niej skorzystają. Rada wygna cię z Linvenogre bez względu na to, co uda ci się odkryć.

– Wiem, ale dzięki temu mam pełną swobodę i mogę działać. Mógłbym spokojnie przeczekać całe to zamieszanie, pokornie wykonując polecenia Rady, ale nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami. Pomożesz mi?

- Jak zawsze.
- Nie musisz. Naprawdę.
- Nawet tak nie żartuj.
- A Hemel?
- Przecież go znasz. Zawsze był lojalny, poza tym lubi wyzwania.
- To dobrze. Będziecie mi potrzebni. Jeszcze przez jakiś czas. A potem... Potem każdy pójdzie w swoją stronę.
- Od czego zaczniemy? Masz jakiś trop?
- Być może. Postaraj się jak najszybciej ściągnąć tu Hemela. Albo nie, szkoda czasu. Przekaż mu, żeby czekał na placu Bebera. Tam się spotkamy.
- Plac Bebera? To w salos, prawda?
- Zgadza się.
- Czyli idziemy do...
- ...Menura. Tak. Chcę coś sprawdzić. Aha, i powiedz Hemelowi, żeby uruchomił wielokołowca. Przyda nam się szybki transport.
- To może lepiej, żeby po nas przyjechał?
- Nie. Potrzebuję spaceru. Muszę przewietrzyć głowę.
- A jeśli aresztują go gwardziści?
- Nie aresztują, jeśli im powie, że jest ode mnie. Mamy prawo poruszać się po mieście nawet w czasie stanu wyjątkowego.
- Rozumiem – stwierdził rzeczowo Tenan, otworzył swój tabloesor i wywołał Hemela w okienku komunikacyjnym.

* * *

Hemel czekał tam, gdzie się umówili. Siedział w otwartym sześciokołowym pojeździe, otoczony przez czteroosobowy patrol zaminów. Kiedy Druss i Tenan zbliżyli się do nich, jeden z gwardzistów odwrócił się, wyszczerzył szeroką paszczę pełną małych, trójkątnych zębów i powiedział:

– Pan Druss, prawda? Ten kłamliwy zamin twierdzi, że na pana czeka. Czy zdaje pan sobie sprawę, że teraz po zmroku nie wolno prowadzić żadnych działań?

Druss nie miałby szans w starciu z zaminem, nawet gdyby to był wyjątkowo mały i chuderlawy osobnik, ale teraz edykt Rady dawał mu ogromną i satysfakcjonującą przewagę. Wręcz trudną do przecenienia.

– Jak się nazywacie, gwardzisto? – zapytał Druss.

– Hezz.

– Czy jesteście dowódcą tego patrolu?

– Zgadza się – odparł z dumą zamin. – Ale chyba się pan zapomina. To ja tu jestem od zadawania pytań.

– Nie, panie Hezz – uciął twardo Druss. – Ja i moi pomocnicy, czyli ten perus Tenan i tamten zamin Hemel, wykonujemy ważną misję na polecenie Rady. Wiedziałyby pan o tym, gdyby częściej aktualizował pan listę poleceń, które dostaje pan z centrali. Najwyraźniej jednak ostatnio zaniedbał pan nieco swoje obowiązki i nie dość, że włączy się pan po ulicach, nie znając najnowszych rozkazów, to jeszcze przeszkadza nam pan w pracy. Zdaje pan sobie sprawę, jak to będzie wyglądało w raporcie, który przedstawię Radzie?

Zamin osłupiał i nie wiedział, co powiedzieć.

– Ja... – zaczął, ale dokończenie myśli było ponad jego siły.

Druss postanowił go dobić.

– Na początek radzę otworzyć tabloesor i przejrzeć polecenia, a potem proponuję, żeby pański patrol jak najszybciej zszedł nam z drogi.

– Dobrze, przepraszam.

Hezz warknął na swoich gwardzistów, którzy odstąpili od wielokołowca i zbili się w ciasną grupę. W powietrzu zamigotały tabloesory. Chwilę później Hezz spojrział na Drussa i powiedział:

– To tylko dziesięć dni. Potem cię znajdę.

– Być może, panie Hezz – odparł Druss, który zdążył się usadowić w wielokołowcu obok Tenana. – Ale przez ten czas wiele się może wydarzyć. Ruszaj, Hemel.

Hemel otworzył swój tabloesor, połączył go z mechaniką pojazdu, sięgnął mentalnie w głąb silnika i uruchomił proces spalania. Urządzenie zaskoczyło, weszło na obroty i wielokołowiec z warkotem ruszył do przodu, odprowadzany gniewnymi spojrzeniami gwardzistów.

– Dokąd? – zapytał Hemel.

– Przez kanał i do domu Menura.

– A te dziesięć dni?

Druss wzruszył ramionami.

– Tenan ci później wyjaśni.

– Skoro tak mówisz...

– Czy Basal... – Druss przełknął ślinę. – No wiecie. Nie miałem odwagi zajrzeć do pokoju.

– Spokojnie. Wszystko załatwione. Zawieźliśmy go do Kompostowni.

Druss poczuł ulgę, która wydała mu się nieprzyzwoita. Jakby gdzieś tam w głębi siebie cieszył się ze śmierci brata. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że to tylko wzburzone emocje meandrują po obrzeżach świadomości i blokują się w drobnych wirach obsesji. Oczyszczył umysł. Wielokołowiec mknął pustymi ulicami Linvenogre, nad którymi budził się szary świt.

* * *

Tenan i Hemel zostali w wielokołowcu. Druss skorzystał z mentalnego klucza, który miał zapisany w tabloesorze, i otworzył psychomechaniczny zamek zainstalowany w drzwiach pracowni

Menura. Bez wahania przeszedł przez pajęczynowy labirynt – jego rozkład na trwałe wrył mu się w pamięć – i zszedł po pochylni do obserwatorium perusa. Menur jak zwykle krzątał się przy swoich generatorach biotryki, skąpany w migotliwym świetle artefaktów xulo.

Jego ektoplazmatyczna narośl wyciągnęła się górę i obróciła w stronę Drussa.

– Przepraszam – powiedział Menur.

– Za co?

Druss usiadł na pochylni. Chciał zachować dystans. Zapowiadała się trudna rozmowa.

– Zawiodłem cię. Powinienem coś zrobić. Wymyślić jakiś sposób na zablokowanie tego nienormalnego układu, który zawarłeś z Radą.

– Nie zdołałbyś. Chciałem tego. Potrzebuję pełnej swobody. Za wszelką cenę.

– A co zrobisz potem?

– Jeszcze nie wiem. Nie to się teraz liczy.

– Nie rozumiem cię.

– Ani ja ciebie.

– Co masz na myśli?

– Tylko ty mogłeś rzucić trochę światła na to, czym był Impuls, ale nie zrobiłeś tego. W ogóle się nie odezwałeś.

– Nie mam prawa głosu na zebraniach Rady.

– Ale w wyjątkowych okolicznościach możesz zgłosić prowadzącemu, że chcesz wystąpić. W obecnej sytuacji raczej by ci nie odmówili.

– Dlaczego sugerujesz, że miałbym coś do powiedzenia? Skąd ta myśl?

– A ty dlaczego mnie okłamujesz?

– Nie mam przed tobą tajemnic.

– Masz. I to niejedną. Widzisz, jak się teraz nad tym zastanowić, to pewne sprawy wydają się oczywiste. Jak to się stało, że pewien wyjątkowo ekscentryczny perus zaopiekował się dwójką młodych chłopców? Zawsze stroniłeś od rodzinnych zależności. Przez całe życie unikałeś ich jak ognia, więc dlaczego, Menurze? Dlaczego?

– Ranisz mnie tymi słowami. Wiem, że jesteś rozżalony po utracie brata, ale...

– Nie zmieniaj tematu. Pamiętasz, że w czasie gdy tworzyłem własne archiwum przeżyć xulo, hojnie obdarzyłeś mnie wieloma swoimi zdobyczami?

– Oczywiście. To też mi wypomnisz?

– Ależ nie, bo to dzięki temu odkryłem wzorzec, który strukturą bardzo przypomina Impuls.

– Jak to? Aha...

Perus umilkł, a jego wypustka skurczyła się w sobie. To było jak przyznanie się do winy. Druss westchnął.

– Tak myślałem. Kiedy Lestych się do niego dokopał, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Coś bardzo podobnego zdarzyło się wiele lat temu i ty o tym wiesz. O co tu chodzi? Oni też wiedzą, co jest grane, ale muszą odgrywać te swoje polityczne gierki, czy tylko ty?

– Tylko ja.

– Jak to możliwe? Ten Impuls zabił kilkuset mieszkańców Linvenogre. Takich rzeczy nie da się nie zauważyć.

– No właśnie. Wtedy nikt nie zginął.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tylko częściowo rozumiem ten proces.

– Co wywołuje Impuls?

– Powstaje, gdy człowiek przekracza granicę Kvall.

Zapadła cisza. Druss bał się zadać następne pytanie. Bał się poznać prawdę, bo wiedział już, czemu Menur się nimi

zaopiekował.

– Miałeś poczucie winy.

– To też – odpowiedział cicho Menur. – Ale przede wszystkim obiecałem to twojemu ojcu.

– Jak mogliście? To złamało nam życie. Zabiło matkę. A teraz, jak na ironię, zginął również Basal.

– Wasz ojciec przekonał mnie, że są ważniejsze sprawy.

– Zanim mnie oświecisz i dowiem się, co było takie ważne, chciałbym, żebyś szczerze odpowiedział na jedno proste pytanie.

– Postaram się.

– Czy to możliwe, że mój ojciec wrócił do Linvenogre?

– Nie wiem. Być może. Jest taka szansa.

UN-KU

AVORRO

THE
1960
JANUARY

- Naprawdę chce pan wiedzieć? Po co to panu?
- Przecież po to tu jestem.
- Ale to bez sensu.
- Dlaczego? Pańskie życie było fascynujące. To materiał na kilka książek.
- Dziennikarska gadka. Jakby książki miały coś wspólnego z życiem.
- Zabawne, że mówi to pan w swojej bibliotece.
- To tylko dekoracja. Nie ma żadnego znaczenia.
- Czy sugeruje pan również, że bogaci rodzice i studia na prestiżowej uczelni też panu nie pomogły?
- Bynajmniej.
- W takim razie na czym polega sekret?
- Nie mam pojęcia. Może to kwestia szczęścia. Albo przekleństwa. Czasem trudno je odróżnić.
- Jak to się stało, że zamiast robić karierę salonowego bawidamka, wyjechał pan do Afryki?
- Trochę przez karciane długie, ale bardziej był to głód przygody. Jestem pewien, że ojciec raz dwa rozwiązałby moje finansowe problemy, lecz chciałem czegoś innego. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wynajęte zbiry zaczęły mi deptać po piętach, dostałem propozycję od przyjaciela.
- Od von Brauna?
- Naturalnie. Gnojek miał niewielki kapitał i skrawek własnej ziemi w środkowej Afryce, na którym znajdowała się kopalnia diamentów. Problem polegał jednak na tym, że podobno stała beczynnie od czasu, gdy ktoś wymordował wszystkich kopaczy. Tak na marginesie, kryje się za tym dość zabawna historyjka. Ojciec

von Brauna miał ciekawe poczucie humoru. Przepisał na syna ziemię w Afryce, ale postawił przy tym jeden warunek – nowy właściciel musi w ciągu roku uruchomić kopalnię. Jeśli mu się nie uda, to prawo własności wróci do starego. Cóż, równie dobrze mógł podpisać na syna wyrok śmierci. Dobrze wiedział, co tam się dzieje.

– I co zrobił młody von Braun?

– Jakby pan nie wiedział! Znalazł sobie towarzysza, który był na tyle głupi, żeby pojechać z nim do Afryki.

– Ale nie musiał pana jakoś szczególnie namawiać?

– Idiotyczne decyzje to jeden z przywilejów młodości.

– Co się wydarzyło, gdy znaleźliście się w Afryce?

– Wpadliśmy w kocioł z gównem. Niemiłosierny upał, wszechobecny brud, agresywne insekty i niemal równie dokuczliwe plemiona uzbrojone w strzelby i karabiny, wszystko to było nie do zniesienia. Zawsze przeklinałem ojca, bo od wczesnego dzieciństwa zmuszał mnie do udziału w polowaniach. Nienawidziłem go za to, ale dzięki temu nauczyłem się całkiem nieźle strzelać. Proszę mi wierzyć, w Afryce nie było nic przyjemniejszego. Tylko to pozwoliło mi przetrwać koszmar, jakim był pobyt na tym diabelskim kontynencie. Durne smoluchy czały się w krzakach i myślały, że nikt nie widzi ich wyszczerzonych ryjów. A tu niespodzianka. Trach! Jedna zębátka mniej. Trach! Kolejna gryzie ziemię. Nic tak nie poprawiało nastroju.

– Rozumiem, że...

– Wiem, co pan teraz powie. Słyszałem to wiele razy. Co ciekawe, najczęściej z ust ludzi, którzy nigdy w Afryce nie byli. Pan był?

– Niestety nie.

– No właśnie! Tam, u siebie, czarnuchy to takie same drapieżniki jak lwy, tygrysy czy krokodyle. Tylko znacznie groźniejsze, bo znajdują się na broni palnej i głód, który popycha je do przemocy, nie ma nic wspólnego z brakiem jedzenia.

– Czy możemy kontynuować?

– A na czym skończyłem?

– Ile czasu zajęło wam...?

– Już wiem! Kopalnia leżała w głębi łądu, więc zaopatrzyliśmy się w prowiant i narzędzia, wynajęliśmy przewodnika i paru wykwalifikowanych kopaczy, a potem ruszyliśmy w drogę. Brnęliśmy w głąb interioru przez kilkanaście tygodni, ale część drogi przepłynęliśmy w górę Konga, co trochę przyspieszyło naszą wyprawę. Na miejscu okazało się, że mamy dużo szczęścia, bo nikt nie zniszczył ciężkiego sprzętu. Dzięki temu mogliśmy liczyć na to, że szybko wznowimy wydobywanie. To była dobra wiadomość. A zła była taka, że nie znaleźliśmy ani jednego trupa.

– To chyba dobrze?

– Proszę mi oszczędzić swojej ignorancji. Szczerze mówiąc, wcześniej rozważaliśmy dwie najbardziej prawdopodobne możliwości – albo ktoś przejął kopalnię i nie będzie chciał jej oddać, albo jej pracownicy padli ofiarą plemiennych podjazdów. W drugim przypadku należało się spodziewać, że na miejscu znajdziemy zmasakrowane zwłoki kopaczy zostawione na postrach. Ale było inaczej. Sprzęt nietknięty, wokół żywego ducha, żadnych śladów walki, a do tego jeszcze skrzynie z urobkiem wypełnione po brzegi. W życiu nie widziałem tylu diamentów! W większości były kiepskiej jakości, lecz nadrabiały ilością. Dlaczego nikt ich nie zabrał? Pamiętam dobrze to uczucie. Chłód w rozjarzonym blasku równikowego słońca. Jednakże przewodnik zapewniał nas, że nie ma powodów do obaw, bo najpewniej czarni wyrobownicy zbuntowali się przeciwko białym zarządcóm i sami porzucili swoje stanowiska. A ci drudzy wymyślili jakąś bajeczkę o napadzie na kopalnię, podebrali trochę diamentów i rozeszli się po świecie. Reszty urobku nikt nie ukradł, bo to prawdziwe pustkowie i niewielu ludzi wie o istnieniu tej kopalni. Jego słowa nas uspokoili. Wieczorem tego

samego dnia piliśmy rum i śmialiśmy się z własnej naiwności. Smoluch okazał się mniej przesądny od nas. Tak, to bez wątpienia było zabawne.

– Więc zostaliście?

– Oczywiście. Przecież wlekliśmy ze sobą kilkunastu doświadczonych pracowników, których zwerbowaaliśmy na kontynencie, by, rzecz jasna, uruchomić tę cholerną kopalnię, ale było ich zdecydowanie za mało. Naradziliśmy się z przewodnikiem, a on zasugerował, że mógłby sprowadzić dodatkowych ludzi z jakiejś wioski, jednak najbliższa znajdowała się niecałe dwa tygodnie marszu do kopalni i trochę by to trwało. Wie pan, ja to właściwie byłem za natychmiastowym powrotem do Europy. Z tą ilością diamentów, które już mieliśmy, ustawilibyśmy się do końca życia. Jednak von Braun był innego zdania, a skoro jego słowa miały decydujące znaczenie, to nie było żadnej dyskusji. Przewodnik – nie potrafię sobie przypomnieć jego imienia – dostał do pomocy czterech uzbrojonych ludzi i następnego dnia wyruszył na południe. A my zakrzętnęliśmy się przy sprzęcie, rozpakowaliśmy juki, wystawiliśmy strażę i czekaliśmy na jego powrót.

– Długo to trwało?

– Około dwudziestu nudnych dni.

– Ilu ludzi przyprowadził przewodnik?

– Żadnego.

– Jak to?

– Wrócił sam, w potarganym ubraniu, bez broni i z bielmem na oczach.

– Co się stało?

– Nie powiedział. Był bardzo odwodniony. Ledwo stał na nogach. Dostał wodę, ale niewiele to pomogło. Zachowywał się jak katatonik. Położyliśmy go w jednym z baraków i tkwił tam nieruchomo pod moskitierą niczym maszyna z rozkręconą

sprężyną. Następnego dnia okazało się, że zniknęła większość kopaczy. Przesłuchałem tych, którzy zostali, i jeden z nich powiedział, że tamci uciekli, bo usłyszeli, że przewodnik mówi coś przez sen, a właściwie w kółko powtarza jedno słowo.

– Jakie?

– Bał się powtórzyć, ale w końcu go zmusiłem. Nie wiem, czy potrafię to wymówić. Dwa chrapliwe dźwięki razem, coś jakby Un-ku.

– Un-ku?

– Jakoś tak. Nikt nie chciał nam powiedzieć, co to znaczy. Część mówiła, że nie wie, a inni odwracali głowy i w milczeniu znosili kopniaki. Miałem ochotę kogoś zabić i pewnie bym to zrobił, ale potrzebowaliśmy ludzi do pracy. W końcu von Braun kazał osiodłać konie i stwierdził, że sami pojedziemy po tych kopaczy. Uznałem, że to głupi pomysł, a on przyznał mi rację, ale uważał, że musimy zaryzykować, bo to nasza jedyna szansa na uruchomienie kopalni. Wtedy zaproponowałem, że zostanę i przypilnuję diamentów. Von Braun mnie wyśmiał. Domyśliłem się, co chciał powiedzieć, i powstrzymałem się od komentarza. Zrozumiałem, że musimy jechać razem. Przed samym wyjazdem, wczesnym rankiem następnego dnia, przyniósł mi dodatkowe juki i powiedział, że na wszelki wypadek zabierzemy je ze sobą. Były wypełnione diamentami.

– Tylko pan je wiózł?

– Nie, on też.

– Pojechaliście sami?

– Tak. Von Braun stwierdził, że nikomu nie można ufać, bo to na pewno nasi ludzie wymknęli się którejs nocy i załatwili przewodnika razem z jego eskortą. Dlatego część z nich uciekła, gdy przewodnik jakimś cudem wrócił do kopalni.

– Co pan o tym myślał?

– Nie wiedziałem, czy bać się jego przenikliwości, czy postępującego szaleństwa.

– Rozumiem...

– Nic pan nie rozumie! To był mój przyjaciel, znałem go od wielu lat, ale tam, wtedy, czułem, że staje się kimś, kogo w ogóle nie znam. Gorzej. Jakby zawsze taki był, a ja wcześniej poznałem zaledwie wierzchnią warstwę, naskórek jego osobowości, który złuszczył się i odpadł w bezlitosnym, afrykańskim słońcu.

– To musiało być trudne.

– Niespecjalnie. Nie w sytuacji, kiedy wszystkie myśli skupiają się na wyciągnięciu własnego tyłka z tarapatów. Refleksja rodzi się z poczucia bezpieczeństwa.

– Ale w końcu szczęście wam dopisało, prawda?

– Nie bardzo.

– Czytałem o tym. Uruchomiliście kopalnię, do Europy wróciliście jako milionerzy, a potem wyruszyliście do Australii, gdzie w centrum kontynentu...

– Wierzy pan we wszystko, co pan czyta?

– To nie są jakieś tam wakacyjne sensacje. Przecież piszą o tym w podręcznikach.

– Nie widzę różnicy.

– A ja widzę.

– Wiem, co mówię.

– Dobrze już, proszę powiedzieć, ile czasu zajęło wam sprowadzenie kopaczy i uruchomienie kopalni.

– Nigdy do tego nie doszło.

– Dlaczego pan mi to robi?

– Chce pan usłyszeć prawdę czy woli pan zajrzeć do podręcznika?

– To taka gra, prawda? Albo wyjdę, albo wytrzymam i wysłucham do końca.

– Nic z tych rzeczy.

– A więc dobrze. Co tam się stało?

– Przez tydzień podążaliśmy na południe, aż dotarliśmy na suchy, kamienisty płaskowyż. Na horyzoncie zobaczyliśmy skupisko ciemnych obiektów. Przez lornetkę wyglądały jak prymitywne chaty. Skierowaliśmy się w ich stronę. Okazało się, że to stojący w grupach ludzie. Niektórzy leżeli zwrócenii twarzą do pustego nieba, inni stali przyciśnięci jeden do drugiego. W sumie było tam kilkaset osób. Wszyscy mieli nieobecne, katatoniczne spojrzenie i szerokim, nieregularnym kręgiem otaczali kamień.

– Kamień?

– Tak, ogromny biały głaz. Wydawało się, że lewituje kilkanaście centymetrów nad powierzchnią gruntu, ale kiedy zsiadłem z konia, przekonałem się, że stał na dużo mniejszym kamieniu, który krył się w cieniu większego, i dlatego wyglądało to tak, jakby się unosił w powietrzu. Był idealnie wyważony. Von Braun również zszedł z konia i razem oglądaliśmy biały głaz, kiedy nagle wyszedł zza niego niski, barczysty mężczyzna pokryty białymi tatuażami. Wystraszyłem się i uniosłem broń, ale von Braun był szybszy. Jego rewolwer huknął i zapadła straszna cisza. Mężczyzna dostał w pierś, upadł na kolana, spojrzał na nas ze zdziwieniem, a potem jego twarz zmieniła się w przerażającą maskę. Wskazał palcem na von Brauna i zacharczał. Myślałem, że dławi się krwią, ale nie. To było jakieś słowo. Powtórzył je znowu i przewrócił się na plecy. Von Braun zamarł wpatrzony w pustkę, bielmo zasnuło mu oczy. Chciałem uciec, lecz padł na mnie cień. Uniosłem głowę i zobaczyłem coś na niebie, jakby pojedynczą chmurę, ale to w niczym nie przypominało chmury. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nie mogłem się ruszyć, cień ogarnął moje myśli. Czuję, że zasypiam. Obudziłem się tutaj, w posiadłości mojego ojca. Prawie pięćdziesiąt lat później. O swoich podróżach

dowiedziałem się z gazet i książek. Australia, Grenlandia, Antarktyda – nigdy tam nie byłem. Albo w ogóle tego nie pamiętam.

– Przecież nie mogę tego napisać.

– Nie pan pierwszy.

– O czym pan mówi?

– Nie tylko pan prosił mnie o wywiad. One nigdy się nie ukazują. Nie mogą, bo wciąż tam stoję. Przed białym kamieniem. W cieniu Un-Ku.

ALORRO

TELKRO-OQWAL
ZEHKA-LYBTOL

Wielokołowiec kołysał się na mętnych wodach Kanału Głównego przycumowany do kamiennego brzegu. Jak większość pojazdów zbudowanych przez zaminów, był typowym wodno-ładowym amfibiusem. Druss i Hemel siedzieli rozparci na jego twardych fotelach i obgryzali szaszłyki z tebara, które kupili w jednej z wielu smażalni stojących na brzegu kanału, a Tenan przyglądał im się z brzegu. Jego wypustka skurczyła się i zwinęła jak wystraszona gąsienica patora. Druss otarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się do Tenana.

– Jeszcze się nie przyzwyczyłeś? – zapytał.

Ektoplazmatyczna wypustka zadrżała.

– Żartujesz, prawda? Przecież to obrzydliwe.

– Ale wygodniejsze niż siadanie na jedzeniu – stwierdził Hemel.

– Robicie to specjalnie! – zdenerwował się Tenan. – Wiecie, że nie mogę na to patrzeć!

– Przesadzasz – odparł Druss. – Po prostu jesteśmy głodni. Mówiłem ci, żebyś poszedł się przejść.

– Nie mogę cię teraz zostawić... Czy w ogóle mamy na to czas?

– Na jedzenie zawsze jest czas.

– Prawda. Jest – zgodził się Hemel.

Druss często się zastanawiał, w jaki sposób dwóm tak odmiennym rasom udało się stworzyć w Linvenogre spójną społeczność. Pozornie wydawało się to wręcz niemożliwe, ale musiały mieć ze sobą coś wspólnego, coś, co sprawiało, że zamiast walczyć, żyły zgodnie obok siebie i współpracowały; coś, co w podobny sposób kształtowało ich stosunek do świata i do siebie nawzajem. Druss mieszkał tu już tak długo, że z łatwością wyczuwał to, co kryło się pod sprawną infrastrukturą miasta,

politycznymi spiskami i żelaznymi rządami wszechwładnej Rady. Ale już dawno stracił nadzieję, że kiedykolwiek zrozumie prawdziwą naturę tej nieustannej obecności, którą odbierał jako nerwowe pulsowanie skomplikowanej sieci paranoicznych zależności, podsycanych obsesyjną rywalizacją i głęboko wpisanych w strukturę Linvenogre.

Tym ona była dla niego.

A czym była dla nich?

Zamini to potężne ziemnowodne stwory o dość agresywnej naturze i silnie rozwiniętym instynkcie stadnym, a do tego świetni z nich wojownicy i sprawni konstruktorzy. W przestrzeni społecznej kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowe grupy samców skupiają się wokół jednej samicy i tworzą harem zaspokajający wszystkie jej potrzeby. Samice zaminów to coś, czego nie widuje się zbyt często na ulicach miasta. Gdy Druss i Basal byli małymi dziećmi i zdarzyło się, że coś nabroili, matka często straszyla ich zaminową olbrzymką albo wodną maciorą. Mówiła, że przyjdzie i porwie ich do swojej jamy, a potem pożre jednego po drugim. Groźba, jak to często bywa w przypadku dzieci, była skuteczna tylko przez chwilę, ale gdy Druss miał dwanaście lat i pierwszy raz zobaczył samicę zamina na własne oczy, niemal przypłacił to życiem.

Przeżuwając ostatni kęs, Druss zdał sobie sprawę, że wydarzyło się to niedaleko miejsca, w którym teraz jedli szaszłyki. Wstał, wyrzucił patyczek do wody i spojrzał w stronę portu – tam gdzie Kanał Główny łączył się z jeziorem Leko.

– Co jest? – zapytał Hemel, który swoim patyczkiem powoli i metodycznie wydłubywał spomiędzy zębów resztki mięsa, jakby chciał jeszcze bardziej rozdrażnić Tenana.

– Widzisz tamtą uliczkę? Tę małą. Równoległą do Alei Predetusa.

– Co z nią?

– Przed laty, gdy byłem jeszcze dzieckiem, widziałem tam wodną maciorę.

Hemel spojrzał na niego poważnie.

– Nie mogę o tym rozmawiać.

– Wcale nie musisz. Pytałeś, to odpowiedziałem.

– Tak, wiem, przepraszam. Dla nas to dość trudne. One są, są takie...

– Duże? – zasugerował Tenan, który odzyskał pewność siebie, gdy człowiek i zamin skończyli jeść.

Hemel warknął basowo i patrząc twardo na perusa, dokończył zdanie:

– ...piękne.

Druss przyglądał im się zafascynowany. W takich momentach utwierdzał się w przekonaniu, że uczucie obcości, które wnikało mu pod skórę, gdy przebywał w ich towarzystwie, nigdy nie zniknie, bo tak naprawdę nie zdoła poznać żadnego z nich, choćby mieszkał w Linvenogre tysiąc lat.

Usiadł i wrócił myślą do dnia, gdy jako dwunastolatek wracał z pracowni Menura. Nagle zatrzęsa się brukowana uliczka. Huknęło, po czym ściana jednego z domów eksplodowała cegłami i chmurą pyłu. Podmuch przewrócił Drussa na bruk. Był oszołomiony i zdezorientowany. Nie wiedział, co się dzieje, i chciało mu się płakać. Stał na drżących nogach, wtedy zobaczył, że coś ogromnego wychodzi z chmury pyłu.

Ten obraz na trwałe wrył mu się w pamięć.

To przypominało zamina, ale było wielkie jak budynek, potworne, ociekające wodą. Góra mięśni pokryta pofałdowaną, obwisłą skórą i zwieńczona stożkowatą głową, która wyrastała z tułowia bez pośrednictwa szyi. Wyprostowało się, spojrzało ponad dachami domów oczami wielkimi jak żaroreflektory ciężarowych wielokołowców, otworzyło przepastną paszczę i ryknęło. Druss

stracił słuch. Słyszał tylko cichutki pisk. Nic więcej.

W tej piskliwej ciszy poczuł gorący mocz spływający mu po nogach i zobaczył, jak ze zrujnowanego budynku dosłownie wylewa się skłębiona fala zwykłych zaminów, którzy błyskawicznie otoczyli olbrzymia i zarzucili na niego liny. Kolos bronił się zajadle, rozrzucał ich na boki, ciskał nimi jak zabawkami, ale małych było tak dużo, że w końcu im uległ i został wciągnięty w głąb zniszczonego budynku. Druss stał jak skamieniały. Nawet przestał drzeć. Nie pamięta, jak wrócił do domu. Dopiero po dwóch dniach odzyskał słuch i znalazł w sobie słowa, którymi mógł opowiedzieć wystraszonym rodzicom, co go spotkało. Starał się nie sięgać do tego wspomnienia zbyt często, by nie przypominało mu, co kryje się w głębokich jamach, nad którymi wznoszą się prawie wszystkie domy zaminów.

– Co się stało? O czym myślisz? – zapytał Tenan.

– O tym, jakie mam szczęście, że mogę z wami pracować – powiedział Druss.

Ektoplazmatyczna wypustka zaczęła się kołysać jak trawa na wietrze.

– Wiem, że to żart, ale go nie rozumiem.

Ja też, stwierdził w myślach Druss, lecz zachował to dla siebie.

Perusi są jeszcze dziwniejsi niż zamini. Pająkowaci, ciekawscy, skupieni w rojach i niezwykle zrytualizowani. Żyją w tych swoich kominodomach, które rzeczywiście przypominają szerokie kominy porośnięte od wewnątrz wielkimi grzybniovymi naroślami, i to właśnie w ich miąższu drążą komory mieszkalne. Kominodomy nie mają dachów i są otwarte na niebo, bo na dnie każdego z nich jest ogród. Tam hodują swoje biotryczne pnącza i zakopują jaja, z których rodzą się kolejne pokolenia perusów. Są dociekliwymi badaczami i potrafią wchodzić w symbiotyczne związki z roślinami. Obsesyjnie systematyzują świat, więc nie brakuje wśród nich dogmatycznych zwolenników różnych teorii objaśniających

działanie rzeczywistości, często zupełnie rozbieżnych. Nie to jednak sprawia, że ich egzystencja jest tak nieprzenikniona. Bariera, której nie da się pokonać, jest odmienna budowa ich organizmów i, co za tym idzie, nieco inny sposób obcowania ze światem.

Oni nie odżywiają się tak jak ludzie czy zamini. Perusi wchłaniają pokarm przez skórę. Dosłownie siadają na jedzeniu, które musi mieć postać płynnej zawiesiny lub rzadkiej papki. Oczywiście towarzyszy temu skomplikowany rytuał, którego nikt poza nimi nie rozumie. Jeszcze bardziej enigmatyczny jest ceremoniał wydalania ekskrementów, które opuszczają ich organizmy za pośrednictwem ektoplazmatycznej wypustki. Proces ten otaczają potężne zakazy i nakazy, ale – jak twierdzi Menur – jest to bezwzględnie najważniejsza praktyka religijna w życiu każdego perusa. Nie chciał jednak zdradzić nic więcej. Choć być może ma to jakiś związek z ich gruczołami przednymi, produkującymi silne włókna łądząco podobne do pajęczych nici, ale mogące pełnić funkcje dodatkowych narządów zmysłów i zewnętrznych rezerwuarów pamięci.

Wydawałoby się, że organicznie znacznie bliżej jest Drussowi do zaminów, lecz była to pozorna bliskość. Zwodnicza. Był, jest i zawsze będzie tu kimś zupełnie obcym. Westchnął. Spojrzał w niebo, na którym słońce powoli zaczęło opadać w stronę popołudnia, i powiedział:

– Mój ojciec przebył długą drogę, żeby dotrzeć do Linvenogre, choć nie wiedział nawet, że takie miasto istnieje. Mówiłem wam o tym?

– Nie – powiedział Tenan, a Hemel potwierdził kiwnięciem głowy.

– Wraz z naszą przyszłą matką, moją i Basalą, opuścił Enklawę Tumso, w której mieszkała kilkudziesięcioosobowa grupa wolnych

ludzi. Nie chciał tam zostać. Widział więcej niż inni. Wyczuwał podziemne ruchy żywego chłodu i śnił o Przestrzeni Konstruktu, mimo że nie miał pojęcia, że jest coś takiego i można to obserwować za pomocą tablotesora. Ojciec czuł dziwne impulsy, wiązki energii nieznanego pochodzenia, które zawsze zmierzały w tę samą stronę. Chciał się dowiedzieć, dlaczego to czuje, czym są te impulsy i dokąd zmierzają.

Wiedział jednak, że sami sobie nie poradzą, i poczekał, aż do Enklawy zbliży się jedna z tych ogromnych karawan handlowych zaminów, które wędrują po całej Usimie. A kiedy tak się stało, uśmiechnęło się do niego szczęście. Gdy karawana zatrzymała się obok Enklawy, nagle jeden z wozów zaczął migotać zamknięty w bąblu twardego powietrza.

– Pętla perypatetyczna – mruknął Hemel.

– Zgadza się, ale mój ojciec nie wiedział, co to jest i jak się nazywa, bo nie znał jeszcze żargonu tropicieli xulo. Nie wiedział też, że tacy tropiciele w ogóle istnieją. Ale wyczuwał, że pod ziemią znajdują się jakieś nieduże przedmioty tworzące krąg, wewnątrz którego jest zamknięty wóz. Traf chciał, że tropiciel, który podróżował z karawaną, zginął niedawno rozszarpany przez gawusa i tylko mój przyszły ojciec potrafił odkryć ich obecność. Nie miał pojęcia, co robić, ale chciał działać. Poprosił o łopatę, ostrożnie wykopał jeden z przedmiotów, a to przerwało pętlę i wóz przestał skakać w czasie.

– Pewnie Drobo – stwierdził Tenan.

– Prawdopodobnie, ale nie powiedział, co to było. Ważne, że dzięki temu, co zrobił, uznano, że jego talent może być przydatny, i pozwolono mu dołączyć do karawany. Wraz z moją matką podróżował przez wiele lat. Przemierzył pół Usimy. Znalazł perusów, którzy nauczyli go fachu tropiciela xulo i wprowadzili w tajniki tej pracy. Podobno był w Ak-Bie, gdzie musiał uciekać

przed gomolami, które próbowały siłą zwerbować go w szeregi Kolektywu Raziri. Podobno widział też Pahlakrave, miasto vhrali, uformowane z przekształconego łańcucha górskiego. Nie wiem. Może i tak było. Jedno jest pewne. W którymś momencie dowiedział się, że jest takie miejsce, jedyne na całej Usimie, w którym przebłyski z Kvall nie są czymś sporadycznym i materializują się niemal codziennie. Tym miejscem jest Linvenogre – miasto zbudowane na brzegu jeziora Leko. Mój ojciec uznał, że tylko tam może poznać odpowiedzi na dręczące go pytania. Problem polega jednak na tym, że ich nie poznał. Mieszkał tu przez wiele lat, był dobrym tropicielem, czasami wręcz błyskotliwym, i zapracował na uznanie Rady, ale przez ten czas ani trochę nie zbliżył się do zrozumienia prawdziwej natury przebłysków i artefaktów. A później było jeszcze gorzej.

– Zniknął – powiedział Tenan.

– Na końcu. Tak. Ale wcześniej, po tym, jak Inabulus Knalb po części za jego pośrednictwem zbudował Apolabium, ten budynek stał się jego obsesją. Zaczął wierzyć, że to on jest kluczem do tajemnicy Kvall oraz xulo, przebłysków i ich niezwyklej częstotliwości.

– Pewnie pomógł mu fakt, że widać go w Przestrzeni Konstruktu – uznał Hemel. – W tamtych czasach wielu badaczy twierdziło, że dzięki temu zrozumiemy wreszcie korelacje między naszą płaszczyzną rzeczywistości a Przestrzenią Konstruktu i nastąpi przełom w badaniach.

– Nic takiego się jednak nie stało – dodał Tenan.

– Masz rację – potwierdził Druss. – Ale mój ojciec był tak zdesperowany, że bez względu na wszystko postanowił zrobić coś radykalnego, coś, co miało odsłonić przed wszystkimi rzeczywisty sens istnienia Apolabium i otworzyć stabilne przejście do Kvall.

– W jakim sensie? – zapytał Hemel.

– Dosłownym – odparł Druss.

– Niby jak chciał to zrobić? – zainteresował się Tenan.

– Tego właśnie nie wiem – stwierdził cicho Druss.

– A Menur? Co on ci powiedział? – drażył Tenan.

– Wiedział, że ojciec planuje zejście do Kvall. Wie również, kiedy to się stało. W pewnym sensie mu pomógł, bo użyczył swojego obserwatorium, lecz nie ma pojęcia, jakiej techniki użył mój ojciec. Twierdzi, że jego przejście pozostawiło unikatowy energetyczny ślad. Naprawdę jedyny w swoim rodzaju.

– No dobrze – mruknął Hemel. – Potrafię zrozumieć, że pragniesz wyjaśnić tajemnicę zniknięcia swojego ojca, ale to nie ma związku z naszym dochodzeniem. Szukamy przecież tropu w zupełnie innej sprawie. Czas ucieka. Musimy się skupić na...

– Czeka! – wtrącił się Tenan. – Nie rozumiesz?! – Jego wypustka naprężyła się i wycelowała w zamina jak półprzezroczysta lufa strzelby. – On nam to właśnie wyjaśnia!

– Co? – spytał zdezorientowany Hemel.

– Wszystko, co wie. Po kolei. Jego ojciec, zejście do Kvall i ten unikatowy ślad. Jestem pewien, że wzorcem przypomina zabójczy Impuls.

Druss uśmiechnął się do Tenana i stwierdził:

– Zawsze byłeś zaskakująco bystry.

– Poczekajcie, bo nie nadążam – warknął Hemel. – Ponad trzydzieści lat temu ojciec Drussa użył jakiejś nieznanej techniki, by zejść do Kvall, i zostawił za sobą energetyczny kilwater, który jest łudząco podobny do Impulsu. Tak?

– Zgadza się – potwierdził Druss.

– Skąd masz wzorzec tamtego zejścia?

– Od Menura.

– Czy również wywołało zabójczy impuls?

– Nie.

- Dlaczego?
- Nie wiem.
- A Menur wie?
- Też nie.

Hemel podrapał się po stożkowej głowie.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że to ślepy zaułek. Potrzebujemy czegoś więcej.

– Zgadzam się – przyznał Tenan.

Druss przełknął ślinę i powiedział cicho:

– Jest coś takiego...

Hemel spojrzał na niego twardo, a Tenan zamarł w bezruchu.

– ...Menur twierdzi, że mój ojciec musiał się przecież od kogoś nauczyć tej techniki zejścia i nie mógłby tego zrobić w kilka dni. Mogło mu to zająć nawet rok.

– Mało pomocne. To było tak dawno – jęknął Tenan. – Jak my go teraz znajdziemy? Zakładając, że w ogóle żyje.

– To powinno być łatwiejsze, niż się wydaje.

– Jak to? – zdziwił się Hemel.

– Pamiętam, że na długo przed zniknięciem ojca matka nagle zaczęła się z nim kłócić. Krzyczała i płakała. Bała się o niego. Chciała, żeby przestał gdzieś chodzić. Długo nie potrafiłem tego zrozumieć. Mówiła o jakimś deszczu albo mżawce i było to tym dziwniejsze, że wrzeszczała na niego również w słoneczne dni. Dopiero potem, gdy podrosłem, pojąłem w końcu, dokąd chodził mój ojciec. Tyle że wtedy już go tu nie było i nie było też nikogo, kto mógłby mi wyjaśnić, dlaczego to robił. Teraz odpowiedź nasuwa się sama.

– Na abisali – sapnął Hemel. – Pole Mżawki! Chodził na Pole Mżawki!

Ektoplazmatyczna wypustka błyskawicznie schowała się w kulistym korpusie perusa, wydając przy tym przeciągły, żalospny

gwizd, co było wyraźnym znakiem, że Tenan jest przerażony.

– Wiem, o czym myślisz, ale nie możesz tego zrobić – powiedział Hemel.

– Wręcz przeciwnie.

– To czyste szaleństwo! Możesz zginąć.

– Zawsze chciałem go zobaczyć, ale brakowało mi odwagi. A teraz po prostu muszę. To wiele upraszcza. Podwieziesz mnie?

– Chyba nie mam wyboru, co? Ale tylko do Cysterny. Za nic w świecie nie wejdę na Pole Mżawki. Tenan, jedziesz?

Perus bez słowa wszedł do wielokołowca i zwinął się na tylnym fotelu.

* * *

Kanał Główny kończył się dużym kolistym basenem otoczonym gęstym lasem kominodomów, między którymi przeciskały się wąskie uliczki. Tak wyglądało centrum dzielnicy prakto, którą niepodzielnie rządzą perusi. Wszędzie było ich pełno. Roili się nawet na pionowych ścianach swoich kominodomów. Hemel wyjechał z wody i powoli manewrował wielokołowcem w tłumie ocierających się o siebie perusów. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość, bo niechętnie schodzili z drogi, a do tego wszyscy wyciągali w ich stronę ektoplazmatyczne wypustki, jakby chcieli się dobrze przyjrzeć tym, którzy zakłócają im spokój.

Druss spojrział na tylny fotel, na którym kulił się Tenan.

– Przywitaj się z kolegami – powiedział. – Może będą szybciej schodzić nam z drogi.

Tenan zsunął się z fotela na podłogę.

– Myślisz, że mnie zauważyli? – pisnął.

Druss z niedowierzaniem pokręcił głową i zerknął na Hemela.

– Nie zwracaj uwagi – mruknął zamin, nie spuszczać wzroku

z zatłoczonej uliczki.

Niedługo później przerzedziło się i mogli przyśpieszyć. Kominodomów też było mniej. Rosły między nimi drzewa i kolczaste krzaki prakto. To od nich dzielnica wzięła swoją nazwę. W końcu dotarli do Cysterny – głównej stacji wodociągowej Linvenogre – kanciastego budynku wzniesionego z mocnej, czerwonej cegły i najeżonego ogromnymi wieżami ciśnień. Hemel okrążył Cysterne i zahamował. Tuż za nią rozpościerała się otwarta przestrzeń, szeroka trawiasta równina, całkowicie wolna od budynków i sięgająca aż do odległych lesistych wzgórz. Trawa lśniła w blasku słońca, jakby była mokra – jakby przed chwilą padał tu deszcz. Ale na Polu Mżawki zawsze tak było. Bez względu na to, czy nad Linvenogre przetaczały się deszczowe chmury, czy też otwierało się czyste, błękitne niebo, powietrze nieustannie wypełniała drobniutka połyskliwa mżawka – dar albo przekleństwo tego, który tu mieszkał.

Druss wysiadł z wielokołowca.

– Zaczekamy – powiedział Hemel.

– Lepiej nie. Nie wiadomo, co się stanie. Jeśli przeżyję, to wrócę do mieszkania w Apolabium i tam się spotkamy. A jeśli nie, to możecie się podzielić moją dokumentacją i kolekcją xulo. Na pewno wam się przydadzą, gdy zaczniecie samodzielnie tropić. Zmykajcie już.

– Jak chcesz – skwitował Hemel, a potem zawrócił wielokołowca i odjechał.

Zrobiło się cicho. Drobne, postrzępione chmury nieśpiesznie sunęły po niebie. Druss ruszył przed siebie. Kierował się w stronę wzgórz. Nagle poczuł na twarzy wilgotny dotyk mżawki, który niósł ze sobą dziwny zapach przywodzący na myśl coś chłodnego, obcego, nieprzystającego do tej trawy i nieba.

Rada przed nikim się nie tłumaczy, ale i tak wiadomo, że to ona

go tu sprowadziła. Poniekąd. Podobnie jak latających ośmiornicowatych tulpa, którzy w dzielnicy enez, nad zapadniętymi dachami opuszczonych domów, tkają lewitujące myślostruktury. Wiele lat temu Rada wymyśliła, że będzie wysyłać swoich obserwatorów w różne rejony Usimy, by śledzili ruchy najniebezpieczniejszych i najbardziej nieprzewidywalnych istot żyjących na tej planecie. Tak na wszelki wypadek. Paradoksalnie, mimo że obserwatorzy działali bardzo dyskretnie, sama ich obecność wystarczyła, żeby ściągnąć na siebie uwagę tych, których Rada bała się najbardziej. Nagle nieproszeni goście pojawili się w Linvenogre i już tu zostali.

Druss nie mógł tego pamiętać. Wszystko wydarzyło się przecież na długo przed przybyciem jego ojca do Linvenogre, ale podobno przez miasto przetoczyła się wtedy fala zamieszek, w których trakcie najbardziej ucierpiała dzielnica enez, zrujnowana i wypalona przez wojowniczych zaminów i wspierających ich perusów, którzy postanowili wyrzucić obcych z miasta. Zginęło wtedy wielu mieszkańców Linvenogre, lecz ani jeden przybysz, co szybko ostudziło emocje protestujących i doprowadziło do tego, że Rada zezwoliła na pobyt nieproszonych gości w Linvenogre. Zrobiła to głównie po to, by zażegnać niepokoje wśród mieszkańców, bo przybysze nie potrzebowali żadnego pozwolenia. Odtąd tulpa swobodnie latali nad miastem, zajęci swymi niepojętymi sprawami, i stopniowo wszyscy mieszkańcy Linvenogre zaakceptowali ich nieustanną obecność oraz to, że w ogóle nie angażują się w życie miasta. Musieli też zaakceptować fakt, że trawiasta równina na peryferiach miasta pozostanie już terytorium należącym do vhrali. A właściwie vhrala. Bo od początku był tylko jeden.

Nazwali go Avorro, co w języku perusów oznacza biały, i opowiadali o nim rzeczy, w które trudno uwierzyć.

Kiedys Hemel powtórzył Drussowi zdumiewającą historię.

Usłyszał ją od członka swojej rodziny – zamina, który przeżył atak na gniazdo vhrala. Zamini wytoczyli przeciwko niemu kilkanaście bojowych wielokołowców i wraz z kilkusetosobową armią ochotników ruszyli na trawiastą równinę, która dopiero później została nazwana Polem Mżawki. Kiedy dotarli na miejsce, z gniazda wyłonił się vhral i nagle świat obrócił się do góry nogami. Ziemia porośnięta trawą stała się zielonym sufitem zawieszonym nad bezdenną otchłanią nieba. Zamini spadli z wrzaskiem i zniknęli w błękicie. Przeżyło tylko kilku, którzy zdążyli się wczepić pazurami w darń i utrzymali się do chwili, gdy wszystko wróciło do normy. Ten, który opowiadał to Hemelowi, twierdził, że najgorsze było to, że nikt nie chciał uwierzyć w słowa ocalonych, bo nigdzie indziej nie pojawił się ten efekt odwrócenia. Tylko tu. Na Polu Mżawki, gdzie Druss podążył na spotkanie z istotą, od której wszyscy trzymają się z daleka, bo podobnie jak tamci zamini wielu ciekawskich zniknęło tu bez śladu.

Nagle zawahał się. Staął. Jeszcze kilka kroków i wpadłby do szerokiej kamiennej studni. To tu. Przełknął ślinę. Dotychczas nie zastanawiał się, co zrobi, gdy dotrze na miejsce. Może powinien krzyknąć? Zawołać go? Zebrał się w sobie, ale zamiast krzyku wydobyło mu się z gardła zdumione sapnięcie. Bo on już tu jest. Wychodzi.

Ogromny cylindryczny kształt, segmentowany, fosforyzujący mętną bielą i poruszający się na setkach długich odnóży, cieniutkich i zwiewnych jak pajęczne nici. Druss poczuł się przy nim malutki i zachwiał się oszołomiony jego wstrząsającą obcością.

Vhral uniósł jedno ze swoich cienkich odnóży i przebił nim Drussa na wylot. Nie. Stało się coś innego. Nie bolało. Świat rozbił się na osobne elementy, które były literami dziwnego alfabetu. Druss usłyszał cichy szept i obejrzał się za siebie. Głos trawy odsuwał się do miasta, nad którym coś unosiło się w powietrzu i nie

można było na tym skupić wzroku. Włosy zjeżyły mu się na karku.

W fakturze nieba, w kształcie odległych kominodomów, w regularnym deseniu cegieł tworzących bryłę Cysterny kryły się słowa, które wyglądały tak, jakby zawsze tam były. Druss odczytał je bez trudu.

*kto potrafi patrzeć
widzi Un-Ku
wiszące nad miastem
przeglądające się w każdym z osobna
co chcesz
dostaniesz
nim wszystko się zmieni
by mogło być takie samo
jak zawsze*

Wtem wszystko się skończyło. Słowa zniknęły. Druss został sam. Nic nie rozumiał i chciało mu się śmiać z własnej naiwności. Czy naprawdę myślał, że przyjdzie tu, tak po prostu, i porozmawia z vhralem? Naprawdę myślał, że może mu zadać jakieś pytanie?

Druss pokręcił głową. Czuł się dziwnie lekki. Ruszył w stronę Cysterny. Szedł zamyślony. Zastanawiał się, jak wróci do swojego mieszkania. Gdy znalazł się w monumentalnym cieniu stacji wodociągowej, poczuł, że nie jest sam, ale nie zdążył się rozejrzeć. Coś powaliło go na ziemię i zepchnęło w ciemność.

TELEKRO-OPTO
NEHKRO-OPTO
AL

- Gdzie jest sprzątaczką? Miała nam pomagać.
- Przestała przychodzić do pracy.
- W sumie trudno się dziwić. Ale przydałaby się dodatkowa para rąk. Nigdzie nie mogę znaleźć ostatniej skrzyni profesora Jakura. Takiej z dużym czerwonym symbolem...
- W kształcie spirali?
- Tak. Widziałeś ją?
- Jak ją przywieźli, ze dwa miesiące temu.
- A teraz?
- Sprawdzaleś w magazynie?
- Dwa razy.
- A w laboratorium?
- Też.
- To nie wiem.
- Może sprzątaczką coś wie? Zna tu każdy kąt. Zobaczę, czy w kartotekach mają jej telefon.
- Przestań już z tą sprzątaczką. Sekretariat dawno przenieśli do nowego budynku. Niczego nie znajdziesz. Na twoim miejscu przeszukałbym kazamaty.
- Skąd by się wzięła w piwnicy?
- Masz rację, pewnie ją zabrali.
- Niekoniecznie, nasze zabawki wciąż czekają na swoją kolej.
- No to chyba musisz tam zejść.
- Sam nie idę.
- Wciąż się boisz?
- Mów co chcesz. Idziemy?
- No dobra. I tak prawie tu skończyłem.

– A tam?

– Pusto.

– Cholera, gdzie ona może być? Tylko jej nie odhaczyłem na liście.

– Może sprawdzimy to ciasne pomieszczenie obok kotłowni?

– Nikt nie trzyma eksponatów w wilgoci. To byłaby głupota.

– Chyba że ktoś o tym nie wie.

– Co masz na myśli?

– Gdzie dokładnie znalazłeś ciało Jaszki?

– Na końcu korytarza, obok wejścia do... kotłowni.

– Właśnie. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. Chodź!

W tym miejscu?

– Tak.

– A drzwi do kotłowni były otwarte czy zamknięte?

– Chyba zamknięte.

– Na pewno?

– Myślę, że tak.

– A do magazynku?

– Też. Nie pamiętam, żeby coś zasłaniało widok, a korytarz jest dość wąski.

– Ciało leżało na brzuchu i głową w tamtą stronę?

– No tak. Podszedłem od strony głowy i musiałem go odwrócić, żeby zobaczyć, kto to jest.

– Zatem nie mógł się przewrócić po wyjściu z kotłowni, bo wtedy te stalowe drzwi pozostałyby otwarte. Jaszka zablokowałaby je własnym ciałem.

– Przechodził tym korytarzem kilka razy dziennie. Przynosił i odnosił próbki do chłodni. Nie miał powodu, żeby wchodzić do...

– To prawda, ale nie wierzę w przypadki. Zajrzyjmy do tego

magazynku.

– Proszę bardzo. Same kartonowe pudła.

– Rozgarnij je trochę.

– Dlaczego? Przecież już na pierwszy rzut oka widać, że...
o cholera!

– Masz swoją skrzynię.

– Co ona tu robi?

– Dobre pytanie.

– Ktoś ją ukrył?

– Możliwe, ale chyba nie w tym rzecz.

– To znaczy?

– Czekał, daj pomyśleć... Wiesz, co jest w tej skrzyni?

– Nie mam pojęcia. Odkąd przyjechała, nie było czasu do niej zajrzeć. Zawsze były inne priorytety, a potem jeszcze ten remont.

– Pewnie wtedy ją tu przenieśli. Tuż przed albo zaraz po remoncie. Zobacz, na wszystkich kartonach są ślady tynku i farby. Myślisz, że robotnicy pytali kogoś o zgodę?

– Nie sędzę.

– Właśnie... Sami jej stąd nie wyniesiemy, ale zawsze możemy rzucić okiem.

– No nie wiem. Pewnie jest zaplombowana. Chyba nie powinniśmy...

– Powiemy, że uszkodzili ją w transporcie. Podaj latarkę.

– No i co?

– Ktoś nas uprzedził. Wieko jest wyłamane. Sam zobacz.

– Jest w niej coś oprócz trocin?

– Sprawdzę tutaj, a ty pogrzeb z drugiej strony.

– U mnie nic.

– A ja mam glinianą figurkę i kartkę papieru, na której ktoś zapisał cztery połączone słowa: *Telkro-oqwal-zehka-lypto*.

– Dziwaczne. Co to za język?

- Nie mam pojęcia. Chyba jakiś bełkot.
- A ta figurka? Pokaż. Cóż to jest?
- Maszyna? Symbol? A może nieforemne pięcionogie zwierzę?
- Żarty żartami, ale taka duża skrzynia na jedną małą figurkę i zabazgraną kartkę? To nie jest zabawne.
- Zgadzam się. Czegóż brakuje.
- Trzeba sprawdzić, czy Jakur dołączył do niej list.
- Wątpię. Wcześniej ten wariat przysłał nam z Mongolii osiem takich skrzyń i w żadnej nie było listu. Zawierały tylko nieopisane próbki geologiczne i liche skamieliny – w sumie bezużyteczne. Ta skrzynia była ostatnia i wszystkim się wydawało, że w środku jest to samo co w poprzednich. Dlatego nikt się nie śpieszył, żeby to sprawdzić.
- Myślisz, że Jaszka zajrzał?
- Mogło tak być, ale to raczej nie ma związku z jego śmiercią. Przecież umarł na zawał serca.
- Tak mówią.
- Oj, przestań... Wiem, że lubisz spiskowe teorie, ale po pierwsze: nie mamy powodów, by podejrzewać, że ktoś zabił Jaskę, a po drugie: jeśli coś rzeczywiście było w tej skrzyni, to musiało być dość duże. Jedna osoba po kryjomu by tego nie wyniosła. No to jak? Zmowa? I tylko my nic nie wiemy? A może ja coś wiem i nie chcę ci powiedzieć? Ej, paranoik z ciebie.
- Ale zgadzasz się ze mną, że coś tu jest nie tak?
- Zdecydowanie! Prawie dwa miesiące temu do Instytutu przyjechała ostatnia skrzynia Jakura. Niedługo potem zaczął się remont. Tydzień po tym, jak robotnicy wyszli z budynku, znalazłeś ciało Jaszki, i to przed drzwiami magazynku, do którego wyniesiono skrzynię. Podobno sekcja zwłok jednoznacznie dowiodła, że wykończył go zawał, ale kilka dni później wszyscy zaczęliśmy chorować na coś, co przypominało zjadliwą grypę, po

czym budynek został objęty kwarantanną. Jednakże badania nie wykazały nic konkretnego, żadnych znanych czynników chorobotwórczych. Chcąc nie chcąc, musieliśmy wrócić do pracy i chociaż nikt już nie zapadał na zdrowiu, dyrekcja uległa naszym namowom i postanowiła, że Instytut zostanie przeniesiony do nowego lokum. Tak. To frustrujące! Czarno na białym widać, że coś nam umyka. Coś kluczowego. Jak myślisz, co?

– Nie wiem, drogi Sherlocku.

– Doświadczamy skutków, brakuje przyczyny, drogi Watsonie.

– Puste miejsce w skrzyni?

– Cokolwiek tam było.

– Jasne... Dość tych głupot. Trochę nas poniosło, nie uważasz? Nabraliśmy się na żart Jakura i tyle. Reszta to szereg dziwacznych, ale prawdopodobnych zbiegów okoliczności.

– No tak, pewnie masz rację, ale tego dowiemy się, gdy Jakur wróci z tych swoich mongolskich wojaży. Choć właściwie to już bez znaczenia. Jak widzisz, teraz nie ma tu nawet karaluchów i żadne słowa tego nie zmienią. Chodźmy stąd. Robota czeka.

– Dobry pomysł. To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

– Trzeba powiedzieć tym z transportu, żeby ją jutro zabrali.

– Nie lepiej zostawić?

– Cykor.

– Ja? A kto odłożył na miejsce kartkę i glinianą figurkę?

* * *

Gustav Jakur czuł, że nie powinno go tu być. Odwrócił się i spojrzał na starożytną zaporę, która przesłaniała niemal połowę horyzontu. Jej obecność była jak natarczywe spojrzenie – nieustannie łaskoczące kark, ciężące między łopatkami. Ledwie słońce zaczęło się wspinać po bezchmurnym niebie, a Gustav już musiał się

śpieszyć. W przeciwnym razie nie zdążyłby wrócić do obozowiska przed zmrokiem, a miał przed sobą długą drogę, prowadzącą przez labirynt skalnych szczelin, głębokich kanionów i żwirowych osypisk, wśród których trudno o cień. Zabrał ze sobą tylko kilka rzeczy, żeby nic nie opóźniało marszu i wspinaczki. Z wysiłkiem oderwał wzrok od zapory i ruszył w dół kamienistą ścieżką.

Co go tu przywiodło? Czego szukał?

Jak przez mgłę pamiętał, że kiedyś prowadził inne życie. Badał skały, pisał prace naukowe, szukał minerałów i tropił rudy metali na zlecenie instytutów naukowych i prywatnych przedsiębiorców. Trwało to do czasu, gdy wyjechał do Mongolii i na podmiejskim targowisku spotkał starca w masce wykonanej z dziwnego kamienia.

Starzec był zaskakująco wylewny. Mówił płynnie po rosyjsku, więc nie było problemów z komunikacją, a do tego chętnie odpowiadał na pytania. Wyjaśnił Gustavowi, że należy do wymierającego plemienia lyptosów, samozwańczych strażników doliny Amra, która z jednej strony jest otoczona przez łańcuch niskich, ale stromych gór, a z drugiej zamyka ją gigantyczna zapora zbudowana wiele tysięcy lat temu przez dawnych przodków jego ludu. Wzniesiono ją w czasach, gdy było tam jeszcze mnóstwo wody, jednak budowniczym wcale nie chodziło o to, by zatrzymać ją w dolinie. Przeciwnie. Chcieli osuszyć to miejsce, bo woda mogłaby zniszczyć świętość, która się tam ukrywa.

Starzec nie chciał wyjaśnić Gustavowi, czym jest owa świętość, ale zachęcał go, żeby razem z nim udał się do doliny i doświadczył jej błogosławieństwa. On jednak nie potrzebował zachęty. Wyruszyli. Zapyłone drogi zmieniły się w kamieniste bezdroża, a te przeszły w surowe pustkowia zamieszkane przez wiatr. Wędrowali od wioski do wioski i od zajazdu do zajazdu, a miejsca, które odwiedzali, były coraz bardziej prymitywne, coraz bardziej

oddalone od cywilizacji i Gustav miał wrażenie, że wędrując, cofa się w czasie. Wreszcie na horyzoncie wyrósł charakterystyczny zębaty masyw zapory i o zmroku weszli do wyludnionej osady lyptosów.

Jej mieszkańcy mijali się w milczeniu, zamknięci w sobie, i wyglądali jak pogrążeni w transie. Starzec, który nigdy nie wyjawiał, jak się nazywa, przeszedł przez całą osadę i z nikim się nie przywitał. Wszystko wydawało się pokryte cienką warstwą szarego pyłu. Spędzili tam tylko jedną noc i nazajutrz udali się w dalszą drogę. Kilka godzin później znaleźli się w obozowisku leżącym u stóp kolosalnej zapory – jednym z kilku, z których lyptosi wyruszali w głąb doliny Amra. Z bliska jej przytłaczający ogrom sprawiał, że Gustav cały czas mimowolnie garbił plecy, instynktownie chował głowę między ramionami, a w nocy spał płytkim, niespokojnym snem.

Do doliny można się było dostać jedynie przez szczeliny w popękanej zaporze. Przeciskanie się okopconymi tunelami, które wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły się zawalić, nie było zbyt przyjemne. Ale to nic w porównaniu z uczuciem, jakie ogarnęło Gustava po drugiej stronie. Ogromna zaporę i rozległy widok na labirynt skalistych kanionów, zwirowych pagórków i diun szarego pyłu obudziły coś u podstawy czaszki. Niepokojąco znajome uczucie, które swędzi i drąży mózg jak zimna igła, by po dotarciu do bardziej oswojonych rejonów świadomości wypłynąć na powierzchnię czytelnych emocji i przybrać kształt irracjonalnego poczucia zagrożenia. To było jak sygnał ostrzegawczy lub organiczny alarm, który włączył się, ponieważ Gustav znalazł się w miejscu, w którym nigdy nie powinien się znaleźć.

Starzec powiedział mu, że na terenie doliny można się poruszać tylko po wyznaczonych ścieżkach i w żadnym wypadku nie wolno z nich zbaczać, lecz nie wyjaśnił, dlaczego obowiązują tu takie

reguły. Gustav zawahał się. Nie był już taki pewny, że chce poznać świętość ukrywającą się w dolinie, lecz mimo wątpliwości cały czas podążał za starcem. Droga była trudna. Musieli się przeciskać przez wąskie przejścia, wspinać po rumowiskach i brodzić w gęstym pyłu. W końcu po kilku wyczerpujących godzinach dotarli do celu. Starzec wprowadził go do wnętrza ogromnej jaskini. Jej pochyłe ściany poruszały się w migotliwym świetle pochodni. Kiedy Gustav zorientował się, że to nie ogień sprawia, że się poruszają, było już za późno. Twarda ciemność wyłoniła się jak skomplikowany hieroglif.

Odzyskał przytomność w obozowisku u stóp zapory. Był słaby, powłóczył nogami i nigdzie nie mógł znaleźć starca. Inni lyptosi, z którymi chciał porozmawiać, mówili niezrozumiałym, szczekliwym językiem, i żaden nie nosił kamiennej maski. Po kilku dniach Gustav odzyskał siły i postanowił uciec, ale okazało się, że to niemożliwe. Mimo to nie poddawał się i uparcie ponawiał próby, lecz efekt za każdym razem był taki sam – nieważne jak daleko udało mu się odejść, gdy tylko zasnął, jego ciało lunatycznie wracało do doliny.

Pewnego dnia, gdy kolejny raz udał się do wioski lyptosów, by szukać starca w kamiennej masce, zauważył ciemne pasmo gęstego dymu unoszącego się nad horyzontem. Dzięki temu odkrył obóz badaczy z Państwowego Uniwersytetu Mongolskiego w Ułan Bator. Byli tam biolodzy, geodeci, inżynierowie i geologowie. Gustav opowiedział im, co mu się przydarzyło, ale został wyśmiany. Nikt nie miał zamiaru sprawdzać, czy w jego słowach kryje się choćby odrobina prawdy. Twierdzili, że opowieść o przeklętej dolinie to jedna z najstarszych i najbardziej popularnych mongolskich legend, więc powinien się bardziej postarać. Gustav nie miał żadnego dowodu na potwierdzenie swoich słów, więc postanowił go zdobyć.

Przynosił z doliny kamienie i skamieliny, które jego zdaniem pasowały do siebie jak części maszyn, lecz okazało się, że tylko on

dostrzega w nich coś niezwykłego. Po pewnym czasie uzbierało się tego tak dużo, że kierownik mongolskiej wyprawy zaproponował z litości, że pomoże przetransportować te znaleziska do rodzimego Instytutu Gustava. Niektórzy próbowali zablokować ten pomysł. Sugerowali, że nie należy utwierdzać wariata w jego iluzjach, ale robili to bez przekonania, bo tak naprawdę nikt nie martwił się dodatkowymi kosztami – wyprawa mongolskich badaczy dysponowała niemal nieograniczonym budżetem, gdyż na zlecenie wojska zajmowała się głównie poszukiwaniem złóż uranu. Gustav osobiście wypełnił osiem skrzyń, zaadresował je i oznaczył czerwoną spiralą. Nie opisywał zawartości, bo bez względu na wszystko wciąż wydawało mu się, że jej wartość jest oczywista i skrzynie wzbudzą sensację zaraz po otwarciu. Mimo to postanowił zdobyć jeszcze jeden okaz – coś, co rozwieje wszelkie wątpliwości. Nie miał już nic do stracenia. Wyruszył na poszukiwanie jaskini, do której zaprowadził go starzec w kamiennej masce. Metodycznie przeszukiwał dolinę i po kilkunastu dniach odnalazł to miejsce.

Gustav wiedział, że została mu tylko doba, bo później grupa mongolskich naukowców przeniesie się dalej na wschód i będzie już poza jego zasięgiem. Tak długiej trasy nie udałoby mu się przebyć bez snu, więc musiał wejść do jaskini teraz. Musiał to zdobyć, umieścić w dziewiątej skrzyni i dokładnie opisać – przede wszystkim powinien wyjaśnić, dlaczego trzeba to trzymać z dala od wilgoci.

Gustav Jakur przeciskał się między głazami leżącymi na dnie głębokiego kanionu i w skupieniu stawiał każdy krok. To zajmowało uwagę, oszukiwało strach. W połowie drogi do jaskini zaczął myśleć, że jego plan może się udać, ale to już nie była jego myśl.

LYDIA
NAKMAE

Przenikliwy, wilgotny chłód przywrócił mu świadomość. Druss spróbował się poruszyć, ale lewa strona jego ciała była całkowicie unieruchomiona. Otworzył oczy i zorientował się, że leży na boku i częściowo zapadł się w grząskiej, błotnistej glebie. Podparł się wolną ręką, z młaśnięciem oderwał tułów od błota i usiadł. Był przemoczony i drżał z zimna. Tuż nad jego głową wielkie liście abado tworzyły jednolity baldachim, pod którym gromadziły się półmrok i intensywny zapach stęchlizny.

Druss był słaby, bolała go głowa i miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Wiedział jednak, że musi zmobilizować siły, bo powinien wstać, zacząć się ruszać i jak najszybciej zdjąć mokre ubranie. Jęknął i podniósł się, rozsuwając na boki liście abado. Oślepił go blask popołudniowego słońca, który wpadał przez szeroki otwór w górze i spływał po mechatych bąblach grzybniowych narośli porastających pionowe ściany czegoś, co wyglądało jak wnętrze ogromnej studni, na dnie której rósł zaniedbany ogród. Trudno pomylić ten widok z innymi. Druss zatoczył się, ale zdołał ustać na nogach. Ostrożnie podszedł do ściany. Nie łudził się, że uda mu się wspiąć po grzybni. Nawet nie zamierzał próbować. Chciał tylko znaleźć skrawek suchego podłoża, na którym mógłby się rozebrać, wysuszyć ubranie i ogrzać w blasku słońca, zanim schowa się za krawędzią tego opuszczonego kominodemu.

Na szczęście kilka kroków dalej, pod samą ścianą, leżał powalony pień karłowatego ekmara. Druss z trudem zdjął bluzę i spodnie, wykręcił je i przewiesił przez pień. Zzuł też buty i postawił na szorstkiej korze ekmara. Nagi przysiadł obok nich, jak ptak na gałęzi, i wystawił plecy do słońca. Dreszcze powoli ustępowały, ale

im dłużej Druss patrzył na swoje ubłocone ubranie, tym większa ogarniała go złość. Właściwie powinien być wściekły, bo został uprowadzony, odizolowany i okradziony z czasu, którego nie miał zbyt dużo, lecz ku własnemu zdziwieniu najbardziej w tym wszystkim denerwowało go to, że zniszczyli mu odzienie. To było silniejsze od niego, choć jednocześnie wiedział, że to głupota, bo żyjąc w mieście zdominowanym przez istoty, które nie noszą ubrań, nie można liczyć na zrozumienie. Od dziecka musiał przecież znosić zaczepki i niewybredne żarty młodych zaminów i perusów. Dobrze, że miał brata. Dzięki niemu zdołał to jakoś przetrwać i dożyć do czasów, gdy był już na tyle dojrzały i odporny, że wyzwiska przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Biedny Basal... Druss skulił się na pniu i poczuł się samotny jak nigdy dotąd. Przywołał obraz brata, matki i ojca, a potem zaczął sobie wyobrażać, jak by to było, gdyby mieszkali wśród ludzi, wśród ubranych istot. Jak potoczyłoby się ich życie? Czy byliby szczęśliwsi? Czy wciąż byliby razem?

Przypomniały mu się dziwne opowieści o Małych Ludziach Króla Orfy, którzy podobno bardzo przypominają ludzi i też chodzą w ubraniach. Są tylko znacznie mniejsi. Druss zaczął się zastanawiać, czy nie jest czasem tak, że ludzie wymyślili Małych Ludzi, by nie czuć się jedyną rasą na Usimie, która z niezrozumiałych powodów nosi ubrania. Zamyślony spojrzął w bok i zauważył, że jego spodnie zsunęły się nieco z pnia karłowatego ekmara. Wyciągnął rękę, żeby je poprawić, i nagle kątem oka zauważył jakiś ruch. Błyskawicznie odwrócił głowę i pod przeciwległą ścianą kominodomu zobaczył nagiego, przykucniętego człowieka. Druss wstał. Tamten również się podniósł. Druss pomachał do niego. Tamten powtórzył jego gest i Druss zrozumiał, że patrzy na swoje odbicie, które powstało na lustrzanej powierzchni okrągłych liści widmowego pnąca,

wijącego się po murze jak smużka szarej mgły. Właśnie w coś takiego przepoczwarzają się rośliny, gdy dotknie ich wilgotne tchnienie istoty, którą perusi uwalniają podczas Festiwalu Wzrostu.

Druss przyjrzał się sobie. Miał krótkie patykowate nogi, wąskie ramiona, chude ręce i wydęty, sterczący brzuch, pod którym krył się mały, skurczony członek. Szczupłą twarz pokrywał siwy zarost – wąsy i broda, które tylko od czasu do czasu przycinał nożycami. Przez rzadkie rude włosy prześwitywała piegowata łysina. Jego brat był do niego bardzo podobny, choć troszkę wyższy. Ale teraz, gdy zabrakło Basala, Druss stał się ludzką osobliwością, jedynym przedstawicielem swojego gatunku w tym mieście. W oderwaniu od innych ludzi nie jest ani brzydki, ani ładny, ani wysoki, ani niski, ani mądry, ani głupi – jest niewygodnym dziwadłem, czymś, co musi zostać wydalone z Linvenogre lub porzucone w takim miejscu jak to, gdzie w samotności umrze z głodu.

Ogarnęła go deprymująca pewność, że nigdy nie pozna tajemnicy Impulsu i nie dowie się, co tak naprawdę chciał osiągnąć jego ojciec i dlaczego musiał zejść do Kvall. Miał wrażenie, że wypełnia go pusta, nieruchoma przestrzeń skupiona wokół silnego przeczucia, że jego życie skończy się właśnie tutaj, że zniknie z Linvenogre tak samo, jak kiedyś zniknął jego ojciec, i że właściwie to już się stało.

Usiadł zrezygnowany i schował twarz w dłoniach. Pomyślał, że za pomocą tablotesora mógłby wezwać Tenana i Hemela, ale w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że niewiele mu to pomoże, bo nie wie, gdzie się znajduje. Miasto jest duże i nawet gdyby od razu zaczęli go szukać, nawet gdyby mieli dużo szczęścia, to bez konkretnych wskazówek zajmie im to kilka dni – o kilka za dużo. A czas ucieka. To chyba ten moment, w którym należy sobie powiedzieć: dość, wystarczy, dalej nie idę! I ta myśl przyniosła mu spokój. Uniósł głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na swoje odbicie,

i zamarł. Jego lustrzany bliźniak nie siedział tak jak on, lecz stał, uśmiechał się i wskazywał palcem w górę.

– Co jest? – spontanicznie wyrwało się Drussowi, który widział już w swoim życiu wiele lustrzanych pnączy, ale na żadnym z nich nie pojawiała się odbicie obdarzone własną wolą.

W odpowiedzi sobowtór Drussa rozłożył ręce i jeszcze raz z uśmiechem skierował palec do góry. Druss odruchowo uniósł wzrok, lecz nie zauważył niczego, co można by uznać za interesujące bądź przydatne. W błękitnym kręgu bezchmurnego nieba słońce przylgnęło już do krawędzi kominodому.

– To jakieś szaleństwo – mruknął Druss.

Sobowtór wzruszył ramionami, nie przestając się uśmiechać, i było w tym coś rozbrajającego, coś, co w zaskakujący sposób napełniało żywą energią i pobudzało do działania.

Druss przezwyciężył wewnętrzny opór, zebrał się w sobie i otworzył tabloesor, ale z jakiegoś powodu nie mógł się na nim skupić i postrzegał go jako migoczący, rozmazany kształt pokryty białymi mrówkami, które biegały po nim w zawrotnym tempie. To było dziwne, ale dawało do myślenia. Druss zamknął tabloesor i zerknął na swojego lustrzanego sobowtóra, który teraz ulegle powtarzał jego ruchy. Zdezorientowany zastanawiał się, co to wszystko znaczy, i jednocześnie czuł, że coś się wynurza z głębi wspomnień. Obserwował to z uwagą. Cierpliwie czekał, aż nabierze gęstości, wyostrzy się i napęcznieje widmową materią pamięci.

Doczekał się.

Przypomniał sobie, że kilka lat temu Menur z ożywieniem opowiadał mu o eksperymentach perusów, którzy opracowali skuteczną, lecz wyjątkowo mało efektywną technikę zakłócania tabloesorów – działała wyłącznie na krótkim dystansie i jeden perus mógł wpłynąć na funkcjonowanie tylko jednego cudzego tabloesora. Podobno mimo wielu prób nie udało się zwiększyć

skuteczności tej metody i dalsze prace zostały wstrzymane. Tak, to musiało być to, bo Menur twierdził, że silny impuls zakłócający może na krótko wyłączyć osobowościowe funkcje świadomości. Co oznacza, że perusi wciąż potajemnie udoskonalają metody zewnętrznego ingerowania w mechanikę tabloesorów i z jakiegoś powodu bardzo im zależy, żeby ostatni człowiek w Linvenogre zniknął bez śladu.

Niedoczekanie!

Druss stanął na pniu karłowatego ekmara i zawołał:

– Hej ty, pająkowaty, pokaż się! Wiem, że tam jesteś!

Nie trzeba było długo czekać. Po chwili zza krawędzi kominodomu ostrożnie wychyliła się ektoplazmatyczna wypustka.

– Tak, do ciebie mówię! Powiedz swojemu Mistrzowi, że się pomylił! Rozumiesz?!

Wypustka skurczyła się, a potem wyprężyła nerwowo, jakby perus nie mógł się zdecydować, co zrobić, i nagle bez ostrzeżenia zniknęła z pola widzenia. Druss uśmiechnął się z satysfakcją – silne poczucie hierarchicznej lojalności to ich najsłabszy punkt. Bez względu na wcześniejsze rozkazy perus, który go zakłócał, będzie się teraz musiał skonsultować z Mistrzem, któremu podlega. A Druss może to wykorzystać.

Szybko otworzył tabloesor – zgodnie z przewidywaniami nie miał żadnego problemu z jego obsługą – i wywołał Tenana. Na tablicy rozjarzyło się szare okienko, w którym zmateriałizował się długi lancetowaty liść.

Tabloesorowy system komunikacji był kapryśny i pełen niespodzianek. Z jakiegoś powodu nikt nie wyglądał w nim tak samo jak w rzeczywistości. Informacje przechodzące przez głębokie struktury umysłu, w których zakorzeniony jest każdy tabloesor, ulegały przetworzeniu według niezrozumiałych, choć powtarzalnych wzorców. Dzięki temu Tenan zawsze wyglądał jak

lancetowaty liść, Hemel jak zabawkowy wielokołowiec wystrugany z drewna, a Druss pojawiał się jako książka, która na okładce zamiast tytułu miała uproszczony rysunek Drobo. Pozornie kryła się w tym bezpośrednia zależność. W końcu jednym z ulubionych zajęć Tenana było hodowanie praksli, biotrycznych krzewów porośniętych długimi lancetowatymi liśćmi. Znane było również przywiązanie Hemela do wielokołowców i jego biegłość w posługiwaniu się ich mechaniką. A życie Drussa kręciło się wokół tropienia impulsów z Kvall i artefaktów xulo. Jednakże w tej prostocie kryła się pułapka. Bo przecież bez większego trudu dałoby się znaleźć inne elementy ich egzystencji równie ważne jak tamte, a może nawet ważniejsze, tylko znacznie bardziej ukryte, więc dlaczego to właśnie te przełożyły się na ich tabloesorowe wizerunki? Co o tym zadecydowało? Czy kluczowe jest to, co się za nimi kryje i czego nie sposób dostrzec z poziomu, na którym umysł zazwyczaj doświadcza samego siebie? Mądrzejsi od Drussa strawili życie na poszukiwaniu odpowiedzi na takie pytania.

Lancetowaty liść wygiął się komicznie i zaczął radośnie podskakiwać.

– To Druss! To Druss! On żyje! – popiskiwał. – Co się stało? Gdzie jesteś?

– Słuchaj uważnie, bo mamy tylko chwilę! – powiedział Druss. – Zostałem porwany przez perusów i uwięziony w opuszczonym kominodomie, ale nie wiem, w której części miasta. Mam też rozregulowany tabloesor i straciłem poczucie czasu. Jak długo...

– Półtora dnia...

– Dzięki Tabbotowi! Jeszcze nie wszystko stracone. Musicie mnie znaleźć! Podejrzewam, że przetrzymują mnie na obrzeżach dzielnicy untus. Nie mam pewności, ale to byłoby dogodne miejsce. Daleko od centrum, dużo porzuconych kominodomów i blisko do Kompostowni.

Liść zawirował.

– Natychmiast ruszamy! To niesłychane! Dlaczego ktoś miałby cię porwać? Nie wierzę, że to...

Lancetowaty liść zniknął z okienka i tablica znowu pokryła się białymi mrówkami. Druss zamknął tablotesor i spojrzał w górę. Na grzybniowych naroślach stały dwa perusy. Mniejszy i większy. Ten pierwszy blisko krawędzi, a drugi w połowie wysokości kominodому. Druss był niemal pewny, że tych dwóch widzi pierwszy raz w życiu.

– Rozczarował mnie pan – huknął basowo większy perus. Jego wypustka miała kształt wypiętrzonej chmury zapowiadającej rychły deszcz, i na tle bezchmurnego nieba łudzaco przypominała prawdziwą chmurę. Z całą pewnością był to jeden z Mistrzów.

– Pan mnie też – odparował Druss.

– Niby czym? – zdziwił się szczerze perus.

– Zniszczyliście mi ubranie. Wie pan, jak trudno jest znaleźć w tym mieście kogoś, kto potrafi uszyć spodnie, bluzę, albo płaszcz?

Perus milczał skonsternowany. Jego ektoplazmatyczna wypustka na przemian wydłużała się i skracala.

– Nie ma pan pojęcia, prawda? – kontynuował Druss. – Ale zapewniam pana, że to trudne. Bardzo trudne. Mam wrażenie, że w innych sprawach też kiepsko się pan orientuje. Chyba umknęło pańskiej uwagi, że jestem wolnym mieszkańcem Linvenogre, który działa z polecenia Rady, i porywając mnie, naraża się pan na poważne kłopoty. Możliwe jednak, że to, co się stało, jest wynikiem strasznej pomyłki i tak na prawdę chodziło panu o kogoś innego...

– Dobrze wiem, kim pan jest, panie Druss – przerwał mu perus. – Chyba nigdy nie zrozumiem, na czym polega pański problem z tymi płóciennymi pokrowcami, którymi okrywa pan ciało. Proszę na siebie spojrzeć, przecież bez nich wygląda pan normalniej. Nie oznacza to jednak, że jestem na tyle ograniczony umysłowo, by

przez przypadek uwięzić ostatniego człowieka w Linvenogre. Niech mnie pan nie obraża.

– W takim razie doprawdy nie rozumiem...

– Dość tych gier! Z kim się pan kontaktował? Co im pan powiedział? Zdaje pan sobie sprawę, że bezmyślnie naraża życie innych? Jeśli będzie trzeba, zabijemy nie tylko pana, ale również tych, z którymi podzielił się pan swoją wiedzą. Musimy się chronić!

Druss poczuł zimno spływające w dół kręgosłupa.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Naprawdę.

– Proszę nie zaprzeczać. To żałosne. Obserwuję pana od dawna. Dotychczas nie był pan dla nas zagrożeniem, lecz teraz wszystko się zmieniło. Jest pan dobrym tropicielem xulo, dociekliwym, użytecznym dla miasta i powinien się pan tego trzymać. Powinien pan siedzieć w tej swojej przytulnej klatce w Apolabium i pilnować swoich spraw, a nie zajmować się rzeczami, które pana przerastają. Śmierć pańskiego brata sprawiła chyba, że zapomniał pan o podstawowych regułach. Zapomniał pan, czyje jest to miasto i czyje są tajemnice tego miasta. Niepotrzebnie zajął się pan przypadkiem Impulsu i niepotrzebnie poszedł pan do Avorro. Skoro wrócił pan od niego cały i zdrowy, to mam powody przypuszczać, że wie pan już wszystko. A ja nie mogę pozwolić, żeby pańska wiedza wydostała się poza mury tego kominodому. Z kim pan rozmawiał?

Druss westchnął ciężko. Nie zamierzał wydać Tenana, choć miał świadomość, że prędzej czy później ten bezwzględny perus dotrze do jego pomocników. Gorączkowo zastanawiał się, co zrobić, żeby to opóźnić. Mógłby mu opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło, gdy spotkał się z Avorro, ale obawiał się, że to go w ogóle nie interesuje. On po prostu likwiduje wszystkich, którzy mogliby zagrozić jego planom, a to, czy rzeczywiście coś wiedzą, czy nie, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Druss rozumiał zimną kalkulację

takiego rozumowania, mimo że nie miał pojęcia, co perus stara się chronić. W obliczu jego paranoicznej zapobiegliwości mógł jednak tylko milczeć. Powoli opuścił wzrok i rozmasował kark, który rozboleł go od nieustannego patrzenia w górę.

– Jak chcesz, człowieczku – stwierdził perus. – Wydrenuję to z ciebie siłą...

Huknął strzał. Druss skulił się przestraszony, spadł z pnia karłowatego ekmara i runął na błotnistą glebę, rozgniatając liście abado. Coś ciężkiego wbiło się z wilgotnym mlaśnięciem w ziemię niedaleko przerażonego Drussa, który próbował wstać, ale stopy ślizgały mu się we wszystkie strony. Bez żalu zrezygnował z wyprostowanej pozycji i na czworakach szybko podpełzł do ekmara, a potem wcisnął się pod pień. Nie było drugiego strzału, a odgłosy szamotaniny ucichły równie nagle, jak się pojawiły. Ciekawość była jednak silniejsza od strachu i po chwili Druss wysunął głowę, żeby się rozejrzeć. Tuż przed nim stali trzej zamini. W długich bojowych rękawicach, najeżonych pancernymi zgrubieniami i wyposażonych w czterolufowe rusznice, pochyłali się nad zmiażdżonymi ciałami dwóch perusów. Największy z nich obrócił się w stronę Drussa. To był Rakam, dowódca miejskiej gwardii.

– Ubierz się – powiedział. – Musimy zniknąć, zanim reszta zorientuje się, że coś się dzieje.

Druss wcisnął się w wilgotne spodnie i wzdrygnął się, wkładając wciąż mokrą bluzę. Gdy wiązał buty, jeden z zaminów błyskawicznie wspiął się po ścianie kominodomu, stanął na górze, rozejrzał się i pomachał.

– Gotowy? – zapytał Rakam.

– Tak – odparł Druss, choć nie bardzo wiedział, do czego miałby się przygotować.

Potężny zamin nie tracił czasu na wyjaśnienia. Złapał go wpół

i rzucił pionowo do góry. Druss pomknął w stronę nieba. Wyleciał z kominodomu, na moment zatrzymał się powietrzu i w chwili, gdy zaczął spadać, drugi zamin przechwycił go w locie i posadził na szerokiej krawędzi kominodomu. Druss zbladł ze strachu i miał trudności z oddychaniem, ale był wystarczająco świadomy, by z satysfakcją stwierdzić, że miał rację. Jego podejrzenia były słuszne. To była dzielnica untus – za lasem opuszczonych i zrujnowanych kominodomów wyrastała piramida Kompostowni oraz kanciaste budowle kompleksów fabrycznych i ażurowe monolity agregatów biotryki.

Tylko tyle zdążył zobaczyć, zanim Rakam bez uprzedzenia zrzucił go w dół, wprost w ramiona zamina stojącego na dachu pancernego wielokołowca. Starał się być odważny. Nie krzyczał.

* * *

Druss siedział ściśnięty między dwoma zaminami i milczał. Nikt nic nie mówił, a on nie miał odwagi zapytać. Rakam przysiadł na końcu kabiny, otworzył swój tabloesor i podłączył się do zewnętrznych sensorów pojazdu. Całkowicie skupił się na migających obrazkach. Wielokołowiec kluczył, podskakiwał na wybojach, a potem gładko zsunął się do wody. Przechylając głowę pod niewygodnym kątem, można było dostrzec przemyskające za wąskimi okienkami niewyraźne zarysy budynków, ale to było za mało, żeby się zorientować, dokąd jedzie wielokołowiec. W końcu pociemniało i pojazd stanął w miejscu. Dwaj zamini bez słowa wyszli z kabiny. W środku zostali tylko Druss i Rakam, który spokojnie majstrował w swoim tabloesorze. Druss nie zamierzał mu przeszkadzać. Po dłuższej chwili Rakam nieśpiesznie zamknął tablicę i spojrzał na człowieka. Druss uznał, że to dobry moment, żeby coś powiedzieć.

– Dziękuję. Gdyby nie...

Zamin prychnął pogardliwie.

– Daruj sobie. Wyjaśnij mi lepiej, jakim cudem przeżyłeś w tym mieście tyle lat?

– Chyba jestem dobry w tym, co robię, i podejrzewam, że...

– Nie! Mam ci przyłożyć, żebyś zaczął szybciej kojarzyć fakty?!

Druss spojrział na jego łapska i poczuł bolesną suchość w gardle.

– Ja... zawsze robiłem swoje, wypełniałem polecenia Rady...

– Czyli?!

– Nie wiem, o co ci chodzi. Naprawdę...

– Jesteś idiotą, tak?

– Jeśli tak sądzisz...

Rakam westchnął potężnie, owiewając Drussa bagnistym oddechem.

– Ech, wy, ludzie, same z wami kłopoty. Twój ojciec był taki sam. Długo nic, żadnej samodzielnej inicjatywy, a potem nagle wszędzie go pełno i połowa miasta chce go dopaść.

– Nic nie rozumiem. Możesz mówić jaśniej? – poprosił Druss.

– Bo widzisz, Druss, chodzi o to, że wszyscy myśleli, że jesteś mądrzejszy. Rada była przekonana, że twoja propozycja zbadania Impulsu jest inteligentnym sposobem na honorowe opuszczenia Linvenogre. Nikt nie sądził, że będziesz aż tak nierozsądny i naprawdę zaczniesz w tym grzebać.

– A co według nich miałem zrobić?

– Zaszyć się w Apolabium i czekać, aż zapadnie decyzja o banicji.

– O nie! Tak łatwo nie odpuszczę! Impuls zabił mojego brata! Ale nie tylko. Zginęło przecież wielu mieszkańców Linvenogre i chyba wszystkim zależy na tym, żeby wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Rada powołała trzy niezależne grupy badawcze.

– A wiesz, kto wszedł w skład tamtych grup?

– Nie. Wypuścili mnie, zanim podjęto ostateczne decyzje.

– Standardowa procedura. Nie ma żadnych badaczy i każdy w tym mieście rozumie, że tak jest. Tylko nie ty.

– Jak to? Nie szukają przyczyny? Dlaczego?

– Są i tacy, co szukają. Po kryjomu i chroniąc własne tajemnice. Linvenogre funkcjonuje w ten sposób od zarania. A my, gwardziści, jesteśmy od tego, żeby pilnować tej dynamicznej wojennej równowagi.

– Zawsze wyczuwałem waszą paranoiczną rywalizację, ale...

– ...chyba nigdy nie zrozumiałeś, czym ona naprawdę jest. To nasze miasto, napędzane naszą walką, i nie ma tu miejsca dla takich jak ty. Musisz odejść.

– Podobnie mówił tamten perus, który mnie złapał.

– To był Mistrz Sene, członek sekty Lypto, wiesz, tych hodowalców.

– Przecież ta sekta nie istnieje! Zniszczono ją na długo przed moimi narodzinami.

– Nic nie wiesz o Linvenogre, bo żyłeś tu tak, żeby nic nie wiedzieć. Patrzyłeś na nas swoimi oczami i wydawało ci się, że coś rozumiesz, ale dopiero teraz zaczynasz dotykać prawdy, której nigdy nie zdołasz sobie przetłumaczyć na swój ludzki sposób widzenia świata.

– Może i tak, ale od dawna prześladuje mnie myśl, że jestem tu tylko gościem, i w żaden sposób nie zdołam się dopasować.

– To dobrze. Chociaż tyle.

– Czego on chciał? Ten Mistrz Sene?

– Zamierzał cię uciszyć, i to samo będą chcieli zrobić wszyscy, którzy dowiedzieli się lub dowiedzą, że pracujesz nad rozwikłaniem tajemnicy Impulsu i poszedłeś odwiedzić Avorro.

– Przecież to nie ma związku...

– Ależ ma. Tylko go nie dostrzegasz. Lyptosi latami przechodowują swoje ciała, by zmienić je w biotryczne agregaty,

które uwolnią energię materii tworzącej ich organizmy. W ten sposób przekształcają się w amorficzne energokształty, które mogą swobodnie wkraczać w Przestrzeń Konstruktu. Mogą też schodzić w dół do Kvall. Choć trudno powiedzieć, czy udaje im się przejść na drugą stronę. Część znika bez śladu, a reszta odbija się od fosforyzującej równiny Konstruktu i wraca do Linvenogre. Najczęściej pod postacią artefaktów xulo. Wiesz, tych, które wyglądają jak kamienne mechanizmy. A czasem jako węzokształtne wyładowania, które skrzą się w głębinach jeziora i przez kilka dni tańczą, wirują, migoczą, aż wypalą się do cna i znikną.

– Nie miałem pojęcia, że niektóre xulo to przekształceni Lypto.

– Masz większe zamartwienie. Zarówno Lypto, jak i wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób eksplorują Przestrzeń Konstruktu, mają prawo podejrzewać, że to właśnie ich sposób ingerowania w Przestrzeń wywołał morderczy Impuls. Brak im jednak pewności, więc są ostrożni, przyglądają się sobie nawzajem i nikt się nie wychyla. Aż tu nagle okazuje się, że ktoś śmiało podjął oficjalne śledztwo w tej sprawie, a do tego udał się do samego Avorro i wrócił. Jak myślisz, co się stanie z tym kimś?

– Zostanie zlikwidowany albo będzie dożywotnio przetrzymywany w jakimś odosobnionym miejscu. Tak czy inaczej, zniknie.

– Lepiej bym tego nie ujął.

– W takim razie dlaczego mnie uratowałeś? Chyba nie po to, żeby teraz...

– Gdyby to ode mnie zależało, to zostawiłbym cię w tamtym kominodomie, ale ja jestem tylko narzędziem Rady, więc wszystko, co robię, jest wyrazem jej woli.

– To ona kazała mnie uratować? – zapytał Druss z niedowierzaniem.

– Uznała, że w obecnej sytuacji możesz być przydatny.

– Zaczynam żałować, że nie zostawiłeś mnie z Mistrzem Sene.

– Nikogo nie interesuje twoje zdanie. Nie masz tu już żadnych praw. Albo wykonujesz polecenia, albo wypuszczam cię na ulicę i tym razem nikt nie wyciągnie cię z opresji. Jeśli uda ci się zadowolić Radę, to może będziesz mógł bezpiecznie opuścić miasto, a jeśli nie, to...

– ...zabijesz mnie jak Mistrza Sene?

– Jego czas w Linvenogre i tak już się skończył. Od kilkunastu dni ciążył na nim wyrok Rady. Porywając cię, tylko dopełnił swój los.

– A ty załatwiłeś dwie sprawy za jednym razem.

– Teraz już wiesz, dlaczego jestem najlepszy w swoim fachu.

Zrezygnowany Druss wzruszył ramionami. Był zmęczony i miał ochotę położyć się spać.

– Czego Rada ode mnie chce?

– Słyszałeś o Niezmiennikach, żywych artefaktach xulo?

– Każdy tropiciel słyszał. To bzdura. Wieloletnie doświadczenie w tym zawodzie mówi mi, że nic takiego nie istnieje.

– To zabawne, bo moje doświadczenie mówi mi coś zupełnie innego.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak. I to niejedyn. Ale najpotężniejszy ukrywa się gdzieś w dzielnicy enez. Wytropisz go i znajdziesz sposób, żeby się go pozbyć.

Druss był wstrząśnięty. Świadomy xulo – to nie mieściło mu się w głowie.

– W enez? – zapytał. – Wśród tych zrujnowanych i podtopionych budynków?

– Tak. Właśnie tam. I żeby nie było wątpliwości. To nie tulpa przegoniły nas z tej dzielnicy i nie one zrujnowały cały teren. Każdy zamin o tym wie, ale Hemel zapewne nigdy o tym nie wspominał, prawda? Jak myślisz, dlaczego? Bo nie wolno mu o tym mówić.

Nikommu nie wolno. Tak postanowiła Rada. Niestety, nasze milczenie nie rozwiązuje problemu i on wciąż tam jest. Wiem, bo od czasu do czasu wysyłam uzbrojone patrole w głąb dzielnicy i zgadnij, co się dzieje? Nie uwierzysz. Żaden nie wraca.

MAKMAAR
YULLY
TANKUNI

Wbrew pozorom pomocnik głównego księgowego w indyjskiej faktorii Batisty Anabandiego nie mógł liczyć na to, że ktoś zapłaci za niego okup – zbyt łatwo można go było zastąpić, a jego skąpa rodzina, która dorabiała się majątku przez wiele pokoleń, nigdy nie lubiła rozstawać się z pieniędzmi. Dlatego z chwilą kiedy piraci wkroczyli na pokład *Harpji*, Severus zrozumiał, że jego los jest przesądzony i złote pierścienie, wytworne szaty oraz sakwa wypchana skórami młodych krokodyli odwleką jedynie to, co nieuniknione.

Przepadł ładunek przypraw, herbaty i surowego jedwabiu, załoga została bezlitośnie wyrżnięta, a pasażerowie podzieleni na dwie grupy. Tych, którzy w najbliższej przyszłości zostaną wymienieni na złoto, oraz biedaków mogących, co najwyżej, dostarczyć piratom rozrywki. Wrzaski bitych i gwałconych mieszały się z ochryplymi krzykami piratów i towarzyszyły zakładnikom przez dwie niezwykle długie doby, po których piracki bryg zawinął do małego portu na bezimiennej wyspie. Stała tam ogromna, zrujnowana forteca.

Rozdzielono zakładników. Każdy z nich trafił do oddzielnego pomieszczenia. W celi Severusa jedynym źródłem światła było niewielkie, wysoko umieszczone okno, które przypominało wąską szczelinę. Próbował do niego doskoczyć, ale nie zdołał, więc zaczął krążyć i szukać miejsca, z którego mógłby zobaczyć choćby małeńki skrawek nieba. Bezskutecznie. Wciąż widział tylko bladą poświatę dnia.

Posiłek i dzban z wodą przynoszono raz dziennie, więc Severus szybko nauczył się, że nie powinien zjadać wszystkiego od razu, bo wieczorem dopadnie go palący głód, który nie pozwoli mu zasnąć,

a jeśli w rozsądny sposób rozłoży porcję na cały dzień, to może go trochę oszukać. Severus zawsze był dobry w takich kalkulacjach; w takich małych zwycięstwach.

W nocy celę wypełniała absolutna ciemność. Severus nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Była tak namacalna, że zaczął wątpić w realność własnego ciała. Jego organizm i nieustanny dryf myśli wydawały się tylko płynnym naskórkiem osobliwego wybrzuszenia materii, na którym w jakiś sposób utrzymuje się obraz Severusa i wszystko to, co sprawia, że jest tym, kim jest. W ciemnościach przesuwiał palcami po kamiennych ścianach i szorstkich deskach pryczy, ale one także sprawiały wrażenie miękkich, niestałych manifestacji czegoś innego – napięcia powierzchniowego rzeczy, które zostały wyśnione przez śniących ten świat. Severus zapomniał o księgach rachunkowych, inwentaryzacjach i listach towarów. Wszystko, czym żył do tej pory, rozpuściło się w ciemności i zaczęło przypominać drżący miraż, który widział kiedyś na pustyni – wciąż pamięta to falujące w upale miasto, którego w rzeczywistości wcale nie było. Tak musiało wyglądać jego życie – w powietrzu wisiał rozmazany kształt, być może utrzymywany siłą woli, ale tak naprawdę nigdy go tam nie było.

Severus stracił poczucie czasu i z dnia na dzień ogarniała go coraz większa apatia. Pogodził się z myślą, że umrze, gdy tylko piraci zorientują się, że nikt za niego nie zapłaci. Był na to przygotowany. Pożegnał się ze światem i nudnym, minionym życiem, lecz na powierzchni świadomości wciąż utrzymywały go wspomnienia chwil spędzonych z córką. Ostatni raz widział Laureę, gdy miała osiem lat. Rysowała na tarasie. Podszedł do niej na palcach. To była ich ulubiona zabawa w „kto kogo wystraszy”. Tym razem przegrał.

– Wiem, że to ty, tato.

- Jak to? Stąpałem jak myszka!
- Chyba jak kulawy słoń!
- Co rysujesz?
- Potwora.
- Pokaż. To wąż morski, prawda?
- Nie. Smok.
- Morski smok? Nigdy o takim nie słyszałem. Chyba nie może ziać ogniem, co?
- Nie musi, wodne smoki żyją w bezdennych głębinach. Wciągają tam swoje ofiary. Nikt tego nie przeżyje.
- Kochanie, dlaczego mówisz takie straszne rzeczy? Narysuj coś ładnego, konika, domek albo mamę, i przestań już z tymi potworami.
- Ale tato, one naprawdę istnieją. Widziałam jednego.
- Kiedy?
- Parę dni temu wstałam w nocy, wysiusiałam się do nocnika i wyjrzałam przez okno. Świecił piękny księżyc, tatusiu. W zatoce było jasno jak w dzień. Widziałam cały port i zacumowane statki. A dalej, bliżej redy, coś skrzyło się w blasku księżyca, tańczyło tuż pod powierzchnią wody. Wiło się jak wąż, szybkie jak płomień świecy migoczący na wietrze i większe od każdego statku w porcie.
- Musiało ci się przyśnić, kochanie. Nic takiego nie istnieje.
- Nie wierzysz mi, tatusiu?
- Ależ wierzę, kochanie! Z całą pewnością coś widziałaś, ale zawsze można to jakoś wytłumaczyć. Może to tylko fale albo zbłąkana ławica ryb. Dlaczego od razu potwór?
- Czułam, że on wie.
- Co?
- Że na niego patrzę.
- Nie gniewaj się, ale myślę, że to naprawdę mógł być tylko zły sen. Nie ma potworów.

– Ależ są, wypływają z bezdennych głębin.

– Kochanie, popatrz na mnie i posłuchaj. W morzach żyją różne dziwne stworzenia i z całą pewnością wielu z nich jeszcze nie znamy. Może niektóre przypominają potwory, są brzydkie, wielkie, mają zębiska i pazury, ale to tylko zwierzęta, które nie są tak bystre jak ludzie. Boisz się myszy?

– Tak.

– Zły przykład. A psów? Nie wszystkie są sympatyczne. Niektóre są duże i straszne.

– Trochę, ale jak się uważa, to nic się nie stanie.

– No właśnie! A boisz się, że jakiś pies wejdzie do naszego domu, gdy drzwi są zamknięte na klucz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo psy są głupie. Same nie potrafią otworzyć.

– Zgadza się. Wszystkie zwierzęta są takie. Nie potrafią myśleć jak ludzie. Te w morzu też. Nie ma się czego bać. Wystarczy trochę uważać. Zawsze można je przechytrzyć, bo żadne z nich nie wie, o czym myślisz. Nawet te, które wyglądają jak potwory. Pamiętaj. Są tylko zwierzęta i złudzenia – omamy wzrokowe, kiedy wydaje nam się, że coś widzimy, a tego tam nie ma. A już na pewno nie ma bezdennych głębin. Morze bywa głębokie, ale tam na dole zawsze jest jakieś dno.

– Skąd wiesz, tatusiu? Widziałeś?

– Nie, ale to przecież oczywiste. Zobacz, tu blisko brzegu wszędzie jest dno, które potem opada coraz głębiej, ale cały czas tam jest. Gdyby go nie było, całe morze spłynęłoby gdzieś w dół, jak woda z balii.

– To tylko słowa, tatusiu. Nic nie widziałeś.

– Uwierz mi, jestem starszy od ciebie i wiem o sprawach, o których ty jeszcze nie masz pojęcia.

– Co z tego? Kolejne słowa, które ktoś ci powiedział.

– To wcale nie znaczy, że nie są to mądre słowa i nie dają nam prawdziwej wiedzy o świecie.

– Słowa to słowa, tatusiu.

Severus nie potrafił jej przekonać. W uporze Laury widział załączki trudnego charakteru jej zaborczej i antypatycznej matki, która po piętnastu latach małżeństwa potrafiła mu uprzykrzyć życie bardziej niż despotyczny Batista Anabandi. Dlatego większość dnia wolał spędzać w pracy, a w domu przesiadywał głównie z córką.

Sądząc po długości wąsów i brody, piraci wywlekli go z celi dwa, a może nawet trzy miesiące po uwięzieniu. Jednak wcale nie mieli zamiaru go zabić. W każdym razie nie od razu. Otumaniony ciemnością i odosobnieniem nie rozumiał, co do niego mówią. Pociągnęli go w dół krętymi schodami i wąskimi korytarzami, a potem otworzyli kratę w podłodze i wrzucili do częściowo zatopionego pomieszczenia. Trzasnęła zasuw, umilkły śmiechy. Severus wynurzył się z wody. Sięgała mu do piersi. Kilka metrów wyżej jaśniał zakratowany otwór. Dochodziło stamtąd blade, rozproszone światło, które wypełniało niedużą grotę. Jej ściany porastały glony i pąkle. Co to za miejsce? Po kilkunastu godzinach Severus poznał odpowiedź.

Początkowo wody było coraz mniej – w pewnym momencie zostały tylko kałuże, w których roiło się od małży i krabów. Ale później zaczęło jej przybywać. Sięgnęła mu do pasa i wyżej, a potem zaczęła go unosić w stronę sufitu. W najwyższym punkcie mógł niemal dosięgnąć masywnej kraty, lecz ani razu nie zdołał tego zrobić. Wreszcie woda znowu zaczęła opadać i zrozumiał, że zamknęli go w celi, którą zalewa przyływ, i że to miejsce go zabije.

Odplywy pozwalały mu trochę odpocząć, ale mimo to czuł, że cały czas opada z sił. Codziennie w drewnianym wiadrze spuszczano mu z góry czerstwy chleb i słodką wodę. Severus słyszał

ich ciche śmiechy i był pewien, że zakładają się między sobą, jak długo pociągnie. Mógłby uszczęśliwić jednego z nich. Mógłby zanurkować podczas przyływu, chwycić się jakiejś szczeliny, wytrzymać kilka minut i nabrać wody w płuca. To dałoby się zrobić. I wszystko by się skończyło. Wreszcie. Ale nie potrafił. To nie była jego droga. Nauczył się unosić bez ruchu na powierzchni wody i godzinami wsłuchiwał się w odległy pomruk fal uderzających o brzeg wyspy. Tracił poczucie ciała i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w szmaragdowe głębiny. Mijał ławice dorszy. Podążał za pielgrzymującymi tuńczykami. Uczestniczył w misteriach krabów. Wraz z nieruchomym kaszalotem kontemplował granicę, której nie przekracza światło słoneczne, patrzył w kłębiącą się niżej ciemność. Towarzyszył orkom, gdy wędrowały na północ, by odczytać swoją przyszłość z kształtu tej jednej jedynej góry lodowej, która krąży po oceanach, ale się nie roztopia, bo w jej wnętrzu śpi starożytny embrion owinięty warstwami żywego mrozu.

Podwodne wędrówki odarły Severusa ze strachu, który do tej pory przysłał mu ścieżkę, i pewnego dnia wreszcie trafił na jej ślad.

Cały czas tam była.

Czekała na niego.

Nie wahał się.

Podążał wzdłuż zapomnianych prądów morskich, które wolno meandrowały przy dnie, po czym dotarł do kolosalnej rozpadliny.

Wiedział, że to tu.

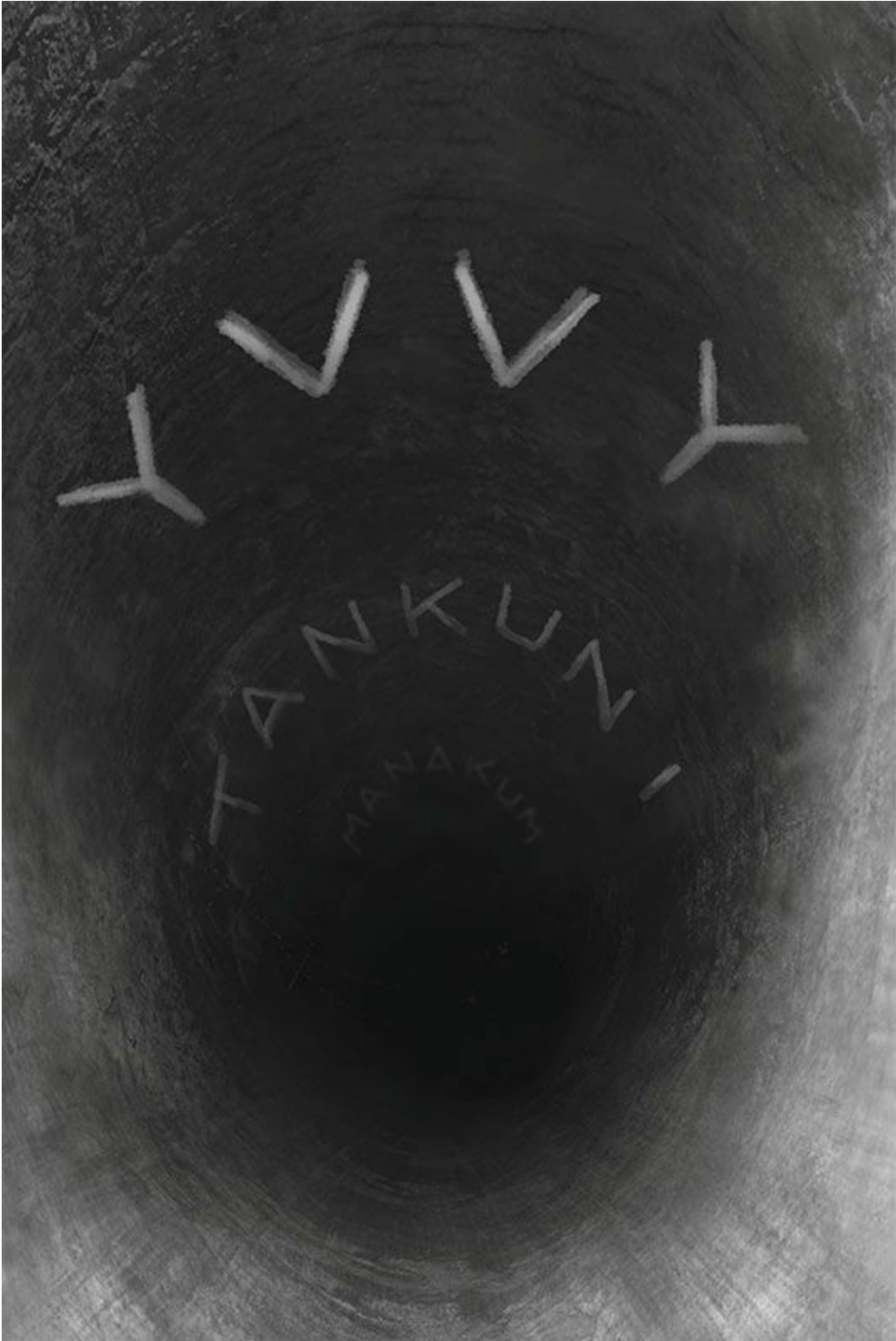
Zatrzymał się nad zatrważającą bezdenną głębią i poczuł na sobie wzrok Nakmaru.

W tym dniu rozszalał się potężny sztorm. Ogromne fale niemal zmyły fortecę do morza, ale nad ranem wszystko się uspokoiło. Potem przyszedł odpływ i zabrał wodę z celi Severusa.

Była pusta.

* * *

- Wiesz, mamó, lubię patrzeć na morze.
- Ja też. To mnie uspokaja. A ty dlaczego?
- Coś mi przypomina.
- Co?
- Nie wiem. Coś przyjemnego.



Dzielnicę enez otaczał mur, który był stary już wówczas, gdy ojciec Drussa przybył do Linvenogre. Za murem krył się dość duży teren, który przylegał do portu, więc jego strata musiała być uciążliwa dla miasta, ale nikt nie podważał decyzji Rady, nawet gdy wydawały się pozbawione sensu. Choć ostatnie wydarzenia sprawiły, że Druss niechętnie zaczął rozważać możliwość, że tylko on nie dostrzega sensów, które dla zaminów i perusów są tak oczywiste, że nie wymagają dodatkowych wyjaśnień.

Do dzielnicy można się było dostać przez jedną z trzech bram, których dzień i noc pilnowali gwardziści. Druss od dziecka żywił przekonanie, że uzbrojeni zamini stoją tam po to, żeby nikt nie wszedł do środka, i dopiero teraz zrozumiał, że jest odwrotnie – chodziło raczej o to, by nic nie wydostało się na zewnątrz. Od czasu do czasu ktoś jednak przekraczał granicę zamurowanej dzielnicy. Czasem byli to odważni perusi, którzy wspierani błogosławieństwem Rady od wielu lat bezskutecznie próbują nawiązać dialog z tulpa. Innym razem technicy zajmujący się konserwacją transformatorów, bo dzielnicę przecinała jedna z głównych linii biotrycznych dostarczających energię do portu. Sporadycznie gościły tu również patrole gwardzistów, o czym wspominał Rakam. A teraz, prawdopodobnie pierwszy raz w historii Linvenogre, do zamkniętej dzielnicy enez wszedł człowiek.

Rakam zatrzymał się w bramie i wręczył Drussowi pakiet sucharów zawiniętych w liść abado.

– Wody tu nie brakuje – powiedział. – Ale możesz mieć problemy ze znalezieniem jedzenia. Suchary pomogą ci przeżyć. Będę się z tobą kontaktował za pomocą tablotesora. Raz dziennie,

o zmierzchu.

Druss popatrzył na niego z powątpiewaniem. Takie rozmowy wymagały wcześniejszej synchronizacji komunikatorów, co w praktyce polegało na tym, że należało otworzyć swój tabloesor i dotknąć nim tablotesora osoby, z którą chciało się utrzymywać kontakt na odległość. Dzięki temu nawiązywało się trwałe połączenie i obie strony poznawały swoje tabloesorowe wizerunki. Bez tego łączność była wręcz niemożliwa.

– Nigdy się w ten sposób nie komunikowaliśmy, może powinniśmy...

– Nie trzeba, panie Książka o Drobo, poradzę sobie.

Druss zorientował się, że Rakam chce teraz wykorzystać każdą okazję, żeby uzmysłwić mu, jak niewiele wie o prawdziwych możliwościach mieszkańców tego miasta, zasiać w nim strach i niepewność, by odebrały mu resztki odwagi. To była niewątpliwie skuteczna metoda osłabiania woli, która miała go zmienić w zaszczute i posłuszne narzędzie Rady, ale Druss zaczynał rozumieć jej mechanizm i mimo wszystko czuł, że może mu się oprzeć.

– Masz dla mnie jakieś rady albo wskazówki? – zapytał Rakama. – Gdzie najlepiej zacząć poszukiwania?

– Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym ciebie. Do roboty. Aha, jeszcze jedno, nie daj się zabić. W każdym razie nie od razu.

Rakam zarechotał basowo ubawiony własnym dowcipem. Strażnicy śmiali się razem z nim, gdy zamykali bramę. Stalowe wrota zatrzasnęły się z hukiem i ciężki rygiel wsunął się z metalicznym szczękiem na swoje miejsce.

Druss przyłożył ucho do bramy i usłyszał, jak Rakam pyta strażników:

– Ile?

– Piętnaście, że nie dożyje zmierzchu – odparł jeden z nich.

– Dorzucam dziesięć – dodał drugi.

Odskoczył do tyłu jak oparzony. Nie to chciał usłyszeć. Strach zmieszał się z bezsilną złością. Chcą się zabawić jego kosztem, a on w żaden sposób nie może im w tym przeszkodzić. Druss zacisnął zęby, odwrócił się i bezradnie popatrzył na zrujnowaną dzielnicę. Na zapadnięte domy porośnięte mchem i trawą, tonące powoli w mętnej wodzie, która wystąpiła z brzegów zamulonych kanałów. I na niedaleki park bagienny z podtopionymi drzewami, gąszczem pływających pnączy i rozrośniętymi krzakami prakto, wystającymi ponad wodę dzięki wysokim, napowietrznym korzeniom. A potem przeniósł wzrok na unoszącą się nad tym wszystkim półprzezroczystą płaszczyznę złożoną z wielu nachodzących na siebie myśłokształtów stworzonych przez tulpa, którzy lewitowali wśród nich, owijali się wstęgami myśłomaterii, nieustannie przebudowywali jej strukturę i razem z nią lśnili teraz w blasku popołudniowego słońca. Wydawało się, że oblewa ich płynne, nieważkie złoto.

Druss sporadycznie widywał ich w innych częściach miasta, ale wiedział, że najczęściej przebywają właśnie tu i że nikt nie ma pojęcia, co właściwie robią. Podobno znają języki, którymi mówi się w Linvenogre, i potrafią się nimi posługiwać, lecz robią to bardzo rzadko i ci, którzy ich słyszeli, twierdzą, że w wypowiedziach tulpa nie ma żadnego sensu. Krążą plotki, że czasami podlatują do przypadkowych przechodniów i proszą o coś absurdalnego – kolorowy kamień, kawałek ułamanej dachówki, okorowaną gałąź lub ząb – a gdy ktoś próbuje im to dać, tulpa niczego nie chcą. Jakby słowa miały dla nich odmienne znaczenie i tak naprawdę chodziło im o coś zupełnie innego. Druss znał tulpa od dzieciństwa, ale nigdy nie zdołał się przyzwyczaić do ich obecności i wyglądu. Niewielkim pocieszeniem była myśl, że zamini i perusi najpewniej dzielają jego uczucia. Tulpa żyli w tym mieście, ale tak, jakby

nikogo innego w nim nie było. Na nic nie zwracali uwagi. Poza tym Druss nigdy nie słyszał, żeby w Linvenogre znaleziono martwego tulpa. Latali, snuli te swoje myślokształty – tak przemądrzali Mistrzowie nazwali ich zwiewne twory – i krzętały się wokół własnych, niepojętych spraw. Przypominali wielkie kościane dzwony, które na górze były najeżone długimi kolcami porośniętymi konstelacją koralowych zgrubień, a z ich dolnej części wyrastało dwanaście przegubowych, opancerzonych macek. Często zdarzało się, że wzbijały się w niebo, otaczały swoje ciała kulą szklistej energii, błyskawicznie nabierały ogromnej prędkości i znikwały w oddali. Albo nagle pojawiały się w zasięgu wzroku, w mgnieniu oka wytracały prędkość i, rozpraszając szklistą osłonę, opadały na miasto. Dokąd zmierzały? Skąd wracały? Czy latały do swojej legendarnej wiszącej twierdzy Unakro?

Druss drżał ze strachu. Patrzył na tulpa tańczące ze swoimi myślokształtami i nie mógł się ruszyć. Wypełniał go chaotyczny wir pytań.

Co teraz? Co powinien zrobić? Dlaczego Rakam powiedział mu, że jest taki sam jak jego ojciec? Czy Niezmiennik istnieje naprawdę? Jeśli tak, to jak go odnaleźć? I jak przeżyć?

Nie wierzył jednak, że odpowiedź na którekolwiek z nich mogłaby mu w czymś pomóc. Nadzieja, którą rozbudzili gwardziści, gdy uwolnili go z niewoli, zniknęła bez śladu. Został po niej gorzki posmak lęku i pomieszania. Na pewno dałoby się je opanować, ale Druss nie miał powodów, żeby to robić, bo martwi nie realizują już żadnych celów. Nagle w samym środku zamętu pojawiło się coś nieruchomego, wzbudzającego zaufanie, będącego niczym twarda igielka szronu, od której zaczyna zamarzać wzburzony staw. Było to coś znajomego i jednocześnie dziwnego, niecodziennego, promieniującego nieznaną mocą. Ktoś obcy wywoływał go za pomocą komunikatora i Druss nie mógł się oprzeć

uspokajającej sile tego wezwania.

Otworzył tabloesor. W okienku komunikatora zobaczył dużą kroplę wody. Cudownie okrągłą. Porażającą swą doskonałością. Spadała i jednocześnie nieruchomo wisiała w powietrzu. Druss zaczął nieruchomo spadać razem z nią. Zakreśliło mu się w głowie.

– Kim jesteś? – zapytał zdumiony.

Kropla zmarszczyła się, jakby Druss dmuchnął na jej gładką powierzchnię, i drobne fale ułożyły się w słowa:

KIM JESTEŚ?

–Ja? – odruchowo zapytał Druss i kropla zniknęła, zostawiając go z tym pytaniem.

Zamknął tabloesor i w tej samej chwili wewnętrzny zamęt stracił cały impet. Zmysł tropiciela xulo, dotychczas przytępiony strachem i pomieszaniem, poraził Drussa jak błyskawica.

Przejrzał.

Bez żalu zostawił za sobą mieszkanie w Apolabium, martwego brata, nieustępliwy cień ojca, Menura, Tenana i Hemela, których uważał za przyjaciół, choć zapewne nigdy nimi nie byli, spiski i knowania Rady, Rakma z jego zakładami i w ogóle całe to życie w Linvenogre, mieście, którego nie pojmował, bo zawsze trzymał się tylko wydeptanych ścieżek. Może i był to jedyny sposób, żeby człowiek mógł tu przeżyć, ale najwyższy czas zejść z bezpiecznych dróg.

Ruszył przed siebie, patrząc na dzielnicę enez wyostrzonym zmysłem tropiciela, i napawał się pięknem tego, co widział. Artefakty xulo materializowały się w tej części miasta równie często jak w innych dzielnicach, lecz od lat nikt ich nie usuwał, bo nikomu tu nie zagrażały, a poza tym byłoby to zbyt niebezpieczne. Druss postrzegał je jako niezliczone skupiska świetlistych obiektów albo

pojedyncze kształty mieniające się różnymi kolorami – konstelacje rozjarzonych drobin migoczących płytko pod ziemią, w ścianach budynków lub tworzących zawiłe wzory w mule na dnie kanałów. Druss skręcił w lewo, szerokim łukiem ominął park bagienny, który częściowo zaanektowały dwie napierające na siebie strefy czasowe wygenerowane przez spiralnie zwiniętą grupę xulo, i wszedł w zalaną alejkę. Badał otaczający go teren i brodząc w wodzie sięgającej do kolan, powoli szedł przed siebie. Chciał znaleźć punkt obserwacyjny. Najlepiej, żeby to był wysoki i w miarę solidny budynek, który nie zawali mu się na głowę, kiedy tam wejdzie.

Wiele razy musiał się cofać, kluczyć i przeciskać wąskimi przejściami lub przepływać przez zatopione pomieszczenia, bo na przeszkodzie stawały mu falujące bariery utwardzonego powietrza, które były ostre jak zęby osenaki i bez trudu mogły go pociąć na kawałki przy najlżejszym podmuchu wiatru. Ale krok po kroku – rozchlapując ciepłą, szmaragdową wodę, kwitnącą glonami i zielonkawymi meduzami ekma – zbliżał się do czegoś, co wydawało się obiecujące. Do kanciastej budowli wyrastającej ponad ruinami. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to stara, przysadzista wieża o kwadratowym przekroju, zbudowana z dużych precyzyjnie dopasowanych kamieni. Wzbudzała zaufanie, choć była pusta w środku i tylko po jej ścianach spiralnie pięły się w górę omszałe schody. Druss wszedł po nich ostrożnie. Dochodziły do otworu w suficie, który prowadził na płaski dach porośnięty wysoką trawą. Druss podszedł do krawędzi i oparł się o zwietrzałe, kruszące się blanki.

Wieża nie była szczególnie wysoka, miała najwyżej cztery piętra, ale w tej krainie ruin przypominała pień obumarłego drzewa, butwiejącego wśród podmokłych traw. Stała nad szerokim rozlewiskiem, które kiedyś musiało być skrzyżowaniem dwóch kanałów. Przed sobą, za kilkoma zalanymi przecznicami, Druss

widział mur otaczający dzielnicę, a za nim wysokie portowe dźwigi, szerokie dachy magazynów oraz maszty i kominy największych statków. Odwrócił się, by prześledzić drogę, którą musiał pokonać, żeby dostać się do wieży. Była krótsza, niż mu się wydawało. Wypatrzył też park bagienny przylegający do muru enez, za którym wyrastał las kominodomów dzielnicy prakto, częściowo przesłonięty przez imponujący masyw Apolabium. Okna mieszkania Drussa wychodziły na salos, więc nigdy nie miał okazji oglądać enez z góry, a szkoda, bo byłby to dobry punkt obserwacyjny i dzięki temu układ dzielnicy na trwałe wryłby mu się w pamięć, co teraz bardzo by się mu przydało. Spojrzał jeszcze w kierunku salos i kryjącej się za nią untas, której obecność zdradzała tylko ciemna piramida Kompostowni, przewyższająca wszystkie budynki w tamtych dzielnicach, i poszukał wzrokiem złotej kopuły Apolabium szybującej po niebie. Była daleko, nad polami uprawnymi tomor, dzięki czemu uczucie, że jest obserwowany, było trochę mniej intensywne niż zwykle.

Forsowna przeprawa przez ruiny bardzo go rozgrzała i na moment Druss zapomniał o mokrym ubraniu. Na szczęście zdążyło już trochę przeschnąć, ale mimo to wiedział, że czeka go zimna noc. Wyjął suchary, które dostał od Rakama. Trzymał je pod bluzą, na brzuchu, żeby nie zajmowały rąk. Wyłuskał jeden i zaczął chrupać. Były smaczne, pożywne i tak sprytnie wypieczone, że bardzo powoli nasiąkały wodą, więc nie trzeba się było martwić, że zamokną. Były też niezwykle twarde, dlatego musiał uważać na zęby i bez pośpiechu rozdrabniać suchary w ustach. Chrapiąc, Druss stał w blasku zachodzącego słońca, wystawiał się na mocne podmuchy ciepłego wiatru wiejącego znad jeziora i z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się tulpa.

Do tej pory wydawało mu się, że falująca warstwa myśłokształtów unosi się nad całym enez. Dopiero teraz zauważył,

że jest inaczej. W powietrzu lewitowały cztery duże skupiska tulpa i myślomaterii oraz kilkanaście mniejszych, rozrzuconych nad dzielnicą. Nie przemieszczały się, stale zajmowały te same pozycje. Druss nie miał powodów, żeby doszukiwać się sensu w działaniach istot, których egzystencja wymyka się wszelkim próbom zrozumienia, lecz instynkt i doświadczenie podpowiadały mu, że coś się w tym kryje. Zamknął oczy, wykonał prosty rytuał, by oczyścić umysł, maksymalnie rozszerzył działanie zmysłu tropiciela xulo, po czym omiółł enez promieniem wyostrzonej percepcji.

Ciarki przeszły mu po plecach – tulpa i płaszczyzny myślomaterii precyzyjnie nałożyły się na migotanie konstelacji xulo. Z jakiegoś powodu tulpa tkwały swoje myślokształty bezpośrednio nad zmaterializowanymi przeblaskami z Kvall, lecz jeszcze dziwniejsze było to, że był jeden wyjątek od tej reguły. Największa i najbardziej zwarta grupa tulpa unosiła się nad miejscem, w którym Druss nie widział żadnego xulo. Zaintrygowany szybko zawęził promień percepcji i skupił go na tej nieobecności. Bezdennej, oszałamiającej nieobecności...

Coś tam było. Coś, czego Druss nie potrafił dostrzec.

Wygasił zmysł tropiciela i skonsternowany podrapał się w głowę. Jeśli to właśnie jest Niezmiennik, to zbyt łatwo go znaleźć. Świadomy artefakt xulo, który wygnał zaminów z enez i do dzisiaj budzi w nich taki strach, że boją się tu wrócić, powinien być chyba lepiej ukryty. Wtedy do niego dotarło. Zrozumiał sens topornego żartu Rakama. Zamin wiedział, że Druss bez problemu odnajdzie tego xulo, bo on wcale się nie ukrywa. Nie musi. W końcu to jego się boją, zapewne mając ku temu powody. To oczywiste, że zarówno perusi, jak i zamini dobrze znają położenie Niezmiennika, ale w niczym im to nie pomaga, bo z pewnością nic nie mogą mu zrobić. Jest równie nietykalny jak Avorro. Wpuszczenie Drussa do enez to jednak świetny sposób na to, żeby pozbyć się ostatniego

człowieka w mieście i przy okazji sprawdzić, jak xulo zareaguje na jego obecność. Rada dobrze to zaplanowała, a Druss posłusznie grał w jej grę, gdyż nie pozostawiono mu wyboru. Nie miał o to żalu, bo teraz, gdy pojawił się cień szansy, że Niezmiennik rzeczywiście istnieje, Druss poczuł, że musi do niego dotrzeć, zobaczyć, jak wygląda, i przekonać się, czym tak naprawdę jest. Dał się porwać straceńczej ciekawości, której nie mąciło nawet przypuszczenie, że może to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w swoim życiu. Nie zważając na to, że za chwilę zapadnie zmierzch, wsunął suchary pod bluzę i zszedł po omszałych stopniach wieży. Znowu znalazł się na zalanych alejkach. Okrążył wieżę, przepłynął rozlewisko i ruszył w stronę portu.

Największa grupa tulpa i myślomaterii unosiła się nad kompleksem typowych budynków zaminów, ale z większości z nich zostały tylko popękane mury, wewnątrz których piętrzyły się gruzowiska porośnięte trawą. Druss ominął zygzakowaną linię podziemnych xulo, które tak chytrze zaginały przestrzeń, że nawet najmniejszy mógłby go wywrócić na drugą stronę, po czym wspiał się na najbliższe rumowisko. Bezdenna nieobecność była blisko. Wyczuwał ją, lecz nie miał pojęcia, jak się do niej zbliżyć.

Nieco wyżej ze ściany wystawał fragment urwanych schodów. Zachowało się tylko kilka stopni, ale gdyby udało mu się na nie wejść, to stamtąd mógłby dosięgnąć do otworu w ścianie, który prowadził w głąb ruin. Druss podskoczył i, wierzgając nogami, z trudem podciągnął się do góry. Nie przypuszczał, że mu się uda, ale najwyraźniej nie docenił swojej determinacji. Jęcząc i sapiąc, wspiał się na schody, a potem długo leżał na plecach. Wpatrując się w ciemniejące niebo, próbował zapanować nad świszczącym oddechem. W końcu wstał na chwiejnych nogach i zajrzał do otworu. Ku swojemu zdziwieniu zobaczył rozległe pomieszczenie z dobrze zachowaną podłogą i nienaruszonym sufitem pokrytym

grzybniowymi plamami. Niepewnie wszedł do środka. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej – Druss zdawał sobie sprawę, że bez żarolampy lub grzybolatarni nie powinien iść dalej, ale mimo to nie mógł się zatrzymać. Puls łomotał mu w uszach, gdy nerwowo szukał zejścia w dół. Nigdzie go nie widział. Szybkim krokiem przeszedł przez pomieszczenie i w gęstniejącym mroku zaczął obmacywać ściany. Nic. Nic tam nie było. Tylko szorstki mur, z którego odpadał płatami wilgotny tynk. Postanowił, że wyjdzie z pomieszczenia, okrąży budynek i spróbuje się do niego dostać z innej strony. Wydawało mu się, że to rozsądna decyzja, co poprawiło mu humor. Zadowolony z siebie odwrócił się w stronę otworu, przez który tu wszedł, ale zdążył zrobić tylko kilka kroków, bo podłoga załamała się z trzaskiem i Druss spadł w wilgotną ciemność.

Huknęło, po czym znalazł się pod wodą. Stracił orientację i przerażony nie wiedział, w którą stronę powinien się wynurzyć. Panicznie wierzgnął nogami i nagle jego głowa znalazła się nad powierzchnią wody. Kaszlał spazmatycznie, aż zaboląło go w płucach. Ciemność odpowiedziała donośnym echem. Kiedy ucichło, tuż przed Drussem podniosło się z chlupotem blade, mleczne światło. W tej samej chwili poczuł, że woda robi się coraz gęstsza, niczym syrop albo tężejąca galareta. Zdezorientowany walczył z jej rosnącym oporem, próbując się utrzymać na powierzchni. Blade światło zbliżyło się i coś zacisnęło się na Drussie. Wyszarpnęło go z błyskawicznie twardniejącej wody, a chwilę później delikatnie postawiło na całkowicie litej powierzchni. Wtedy mleczny blask przybrał na sile.

Druss jęknął i przysiadł z wrażenia na wodzie, która zamieniła się w szkło.

Niemal połowę przestronnego, łukowo sklepionego pomieszczenia zajmowała potężna zaminowa maciora,

rozświetlona od wewnątrz bladym światłem, które igrało pod skórą mlecznym migotaniem. Jej oczy przypominały jednolite białe kule, pozbawione źrenic i emanujące silną poświatą, ale źródłem zimnego blasku był duży kanciasty obiekt wyraźnie rysujący się w głębi szerokiej klatki piersiowej.

Jądro bezdennej nieobecności. Niezmiennik.

– Nareszcie – mruknęła basowo maciora. Druss poczuł, że pod wpływem jej głosu drżą mu kości. – Nie ruszaj się.

Przeszył go piekący ból, który jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Tak jest znacznie lepiej – stwierdziła, choć Druss nie miał pojęcia, co chciała przez to powiedzieć.

– Co mi zrobiłaś?

– Wypaliłem podgląd Rakama. Ta małpa myśli, że jest sprytniejsza ode mnie. Ale ty nie rozmawiaj z powłoką, którą wykorzystuję, tylko ze mną. Na takich jak ja mówią tu Niezmiennicy, bo...

– ...pojawiają się w ustalonej, niezmiennej formie, mają własną wolę, a gdy się poruszają, świat staje w miejscu, twardnieje woda i ustaje czas. Słyszałem o was, ale przez całe życie myślałem, że to tylko bajki dla dzieci.

– W takim razie jesteś równie głupi jak te wodne małpy i przerośnięte pająki.

Druss nie czuł się urażony. Prawdę mówiąc, myślał, że jest gorzej.

– Mówisz o zaminach i perusach?

– Jeśli tak każą się nazywać...

– Myślę, że przewyższają mnie pod każdym względem.

– Bzdura. Przecież jesteś człowiekiem. Nie mogą z tobą konkurować.

– Naprawdę?

– Widzę, że niewiele o sobie wiesz. To świetnie! Znakomicie!

– Nie rozumiem...

– Wszystko ci wyjaśnię. Jak cię zwa?

– Druss.

– Wita, j Druss, możesz mnie nazywać Yvvy. Zaraz, czy to ty jesteś tym znanym tropicielem xulo?

– Nie da się ukryć.

– Wiesz, że twoja działalność jest szkodliwa?

– Nie dla mieszkańców miasta.

– Którego?

Druss umilkł zszokowany.

– Linvenogre? – zapytał wreszcie cicho, jakby sam nie był już pewien, gdzie przeżył ponad pięćdziesiąt lat swojego życia.

– A co z innymi?! Ich los cię nie obchodzi?! – grzmiał Yvvy.

– To jest ich tu więcej?

– Dziesiątki, lecz wszystkie promieniują z krocącego portu Kvall, a wy wstrzymujecie jego marsz, co blokuje płaszczyzny rzeczywistości i spowalnia migrację świadomości.

– Mówisz zagadkami, myślałem...

– To lepiej przestań, bo ci to nie wychodzi. Kvall porusza się na odnóżach impulsów, które materializują się w różnych światach, kotwiczą w nich i zapewniają mu nieustanny dryf. Neutralizując xulo, likwidujecie zaczepy i spowalnicie jego ruch. Dochodzi do fatalnych sprzężeń, odbić i erupcji energii. Całkiem niedawno jedna z nich zabiła wielu mieszkańców tego miasta.

Druss oniemiał. Tego było już za wiele. Musiał się upewnić.

– Mówisz o tym potężnym Impulsie, który kilka dni temu pojawił się w Linvenogre? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdził Yvvy. – To wasza robota, twoja i twoich kolegów, którzy sumiennie usuwają zaczepy xulo.

Wstrząs odebrał Drussowi mowę. Jego życie okazało się

zawieszony w powietrzu. Nie było w nim nic prawdziwego, a kłamstwa, w które wierzył, miały zabójczą moc. Załamał się. Jak ma dalej żyć ze świadomością, że przyczynił się do śmierci własnego brata?

– Przestań! – warknął Yvvy. – Nie rozczulaj się nad sobą, bo nie ma na to czasu. Już mu nie pomożesz, ale możesz pomóc mnie i wszystkim miastom promieniującym z Kvall.

Druss z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał w białe oczy maciory.

– Ja?

– Ty, Druss, ty. Gdybyś był pajakiem albo małpą, nie pożyłbyś w enez zbyt długo. Większość z nich zabijam zaraz po przekroczeniu bramy. Mogę swobodnie manipulować xulo i powiedzmy, że potrafię kreatywnie wykorzystywać ich zabójcze właściwości. Zostawiam w spokoju tylko tych, którzy próbują rozmawiać z tulpa, bo bawią mnie ich wysiłki, a także techników zajmujących się siecią biotryczną.

– Dlaczego?

– Korzystam z niej. Podpiąłem się i mam wgląd w tabloesorowe rozmowy.

– To możliwe?

– Oczywiście. I bardzo proste. Kiedyś pokażę ci, jak to się robi, ale teraz są ważniejsze sprawy. Ucieszyłem się, gdy zobaczyłem, że wpuścili tu człowieka, bo nie wiedziałem, że w tym mieście są jeszcze jacyś ludzie. Obserwując Linvenogre z poziomu tabloesorów, trudno to stwierdzić.

– Już nie ma. Jestem ostatni.

– Ale dobrze, że w ogóle jesteś. Małpy i pająki nie dostrzegają problemu. Nie chcą zrozumieć, że sami doprowadzili do tego, że ich życie jest zagrożone. Nie potrafią zobaczyć szkód wyrządzonych w innych miastach promieniujących z portu Kvall. Choć to wcale nie przeszkadza im bawić się podczas karnawałów Tabotta. Jest

jednak coraz gorzej. Na krawędziach tej rzeczywistości gromadzą się tak potężne ładunki, że niedawny Impuls to przy nich niegroźna biotryczna iskierka, a do Linvenogre przybywa coraz więcej obserwatorów z innych emanacji Kvall.

– Nic mnie to nie obchodzi. Mogą nawet zmieść to miasto z powierzchni Usimy – mruknął Druss.

– Gdybyż to było takie proste...

– A nie jest?

– To nic nie da. Przepadło zbyt wiele zaczepów. Powinieneś to wyczuwać równie wyraźnie jak ja, bo jesteś człowiekiem i twoja świadomość egzystuje na wielu poziomach. Właśnie dlatego chciałem, żebyś do mnie dotarł, zachęcałem cię i neutralizowałem wszystkie pułapki, jakie napotykałeś w enez.

Druss parsknął zirytowany.

– Ta kropla wody w tabloesorze to byłeś ty, prawda?

– O nie! Ja działałem o wiele subtelniej. To było coś innego. Potężny przekaz, ale nie wiem, kto go wysłał.

– Nieważne. I tak nie mam pojęcia, o czym mówisz, i nie będę ci pomagał. Niech zdechnie całe Linvenogre.

Głowa maciory nachyliła się nad Drussem, jakby Yvvy chciał mu się lepiej przyjrzeć. Niezmiennik mruknął coś niezrozumiale, a potem rzekł:

– Mam wrażenie, że twoja percepcja jest mocno zakłócona i postrzegasz wszystko w niewłaściwy sposób. Stąd bierze się większość twoich problemów. Ale jest na to rada.

– Jaka? – zapytał Druss bez przekonania.

– Zostań moim uczniem.

– Po co?

– Nauczę cię patrzeć i rozumieć.

– Już to potrafię.

– Nie sądzę. Nie zauważyłeś nawet, że Rakam założył ci podgląd.

Zmienimy to, a ty w ramach ćwiczeń zrobisz coś pożytecznego.

– Mogę odmówić?

– Możesz, ale chyba nie masz wyboru.

Druss westchnął ciężko. Wiedział, że Yvvy ma rację. Jego życie całkowicie się rozpadło, więc teraz miał tylko dwa wyjścia. Mógł zostawić wszystko tak, jak jest, i pozwolić, by ktoś taki jak Rakam skrócił jego cierpienia, albo przyjąć propozycję kogoś, kto pomoże mu złożyć rozbite elementy w całość. Nową, inną całość. Nawet jeśli Yvvy kłamał, żeby wykorzystać go do własnych celów, Druss musiał spróbować tej drugiej możliwości, bo czuł, że mimo wszystko wciąż pragnie żyć.

TANKUZI

MANAKUM!

Zgubili się. Dżungla zarosła drogę. Przystanęli i dogonił ich zmierzch.

* * *

- Trzeba było pójść wzdłuż strumienia.
- Mądry się znalazł! Widziałeś te skaliste brzegi?
- Lepsze to niż ta gęstwina. Musimy zawrócić.
- Sam bym na to nie wpadł!
- Przestańcie! Rozłożymy obóz i przeczekamy do rana.
- Tutaj?
- A gdzie? Przecież nie będziemy szukać drogi po ciemku. Poza tym nigdzie nam się nie śpieszy, prawda?
- Specjalnie tak mówisz, żeby nikt się nie czepiał.
- O co ci chodzi?
- Zapomniałeś już, kto zwolnił przewodnika?
- Ten kretyn nie miał o niczym pojęcia i od początku nas oszukiwał. Mamił opowieściami o starych świątyniach ukrytych w dżungli, a później błędził i rozkładał ręce. Lepiej sobie poradzimy bez niego.
- Jasne. Właśnie widać.
- Według mapy droga powinna prowadzić na szczyt wzgórza, a potem w głąb doliny, która jest po drugiej stronie, ale jeśli dżungla zarosła ją na całej długości, to będziemy się musieli przedzierać metr po metrze. Zaczniemy wczesnym rankiem.
- To jednak trochę dziwne.
- Co masz na myśli?
- Jak to możliwe, że do tego miejsca droga jest przejezdna,

a potem nagle zarasta ją dżungla? Zobaczcie, że koleiny znikają między drzewami. Wygląda to tak, jakby cała ta zieleń wyrosła w jednej chwili.

– Niemożliwe.

– Przecież wiem. Ale jak to wyjaśnisz?

– Nawet nie będę próbował.

– Słuchajcie, zrobimy tak. Wy tu poczekacie, a ja założę czołówkę, wejdę do dżungli i sprawdzę, czy nie ma prześwitów.

– Powinniśmy rozbić obóz. Jeszcze trochę, a zastanie nas noc.

– Spokojnie. Jeśli Simon nic nie znajdzie, to zajmiemy się namiotami. Równie dobrze możemy to przecież zrobić po ciemku. Hej, Simon, czekaj! Przewiąż się liną. Tu jest pełno rozpadlin.

– Masz rację, poza tym łatwiej się cofnąć. Albo wy będziecie mogli podążyć za mną. Najlepiej wszyscy wyjmijcie czołówki.

– Po co? Przecież zaraz tu wrócisz.

– Mówił ci już ktoś, że strasznie marudzisz?

– Dobrze już. Rób, co musisz.

– Jak tam, Simon, słyszysz mnie?!

– Słyszę, nie wrzeszcz tak.

– Widzisz coś?

– Niewiele. Gęsto tu. Jak coś znajdę, to zawołam. O kurwa!

– Co jest?! Co się stało?!

– Wyciągnijmy go stamtąd!

– Spokój! Zamknąć się! Simon?! Jeśli to żart...

– Nic mi nie jest. Chodźcie tu. Musicie to zobaczyć.

– Dość tego. Wracaj. Rozbijamy obóz.

– Zapomnij. Naprawdę powinniście to zobaczyć.

– Idziemy?

– Nie. Wygłupia się. Chce, żebyśmy wyszli na idiotów.

– Mam to gdzieś. Idę.

– Zaczekaj. Nie rozdzielajmy się. Jeśli mamy iść, to tylko razem.

Trzymajmy się liny.

- Moment, zahaczyłem o coś. Już dobrze.
- Tutaj. Jeszcze kawałek i będziecie na miejscu.
- Czyli gdzie? Aha...
- Co ty sobie myślisz, Simon? Mam dość twoich głupich żartów...

A niech mnie... Co to jest?

- Schody.
- Niby tak, ale stopnie mają chyba ze trzy metry wysokości!
- Masz coś takiego na mapie?
- Coś ty! Niczego tam nie ma.
- Robi się ciekawie. Wchodzimy?
- No nie wiem. Chyba lepiej poczekać do rana.
- A ten znowu swoje. No chodźmy! Wreszcie czuję się jak odkrywca.

- Ma rację, idziemy!
- Nie podoba mi się to.
- O czym ty mówisz? Chcieliśmy przygód czy nie?
- W zasadzie tak...
- A więc wygląda na to, że wreszcie się doczekaliśmy. Chyba najlepiej będzie wchodzić dwójkami.

- Rozumiem, że ty i Simon idziecie przodem?
- Oczywiście, dziadku.
- Niech wam będzie, ale trzymajmy się razem.
- Zawsze wiedziałem, że jesteś tchórzem.
- To nie tchórzostwo tylko rozsądek.
- Akurat! Może twoja żona w to wierzy.
- Jej w to nie mieszaj!
- Za późno.
- Odpierdol się, Simon!
- Daj mu spokój i skup się.
- Na czym?

- Spowalniasz wspinaczkę.
- Toż to żadne wyzwanie. Mógłbym tu wejść z zamkniętymi oczami. To wy się wleczenie.
- Cholera, mam nadzieję, że na górze da się rozbić obóz, bo nie chciałbym tędy schodzić po ciemku.
- Chyba się zaraz przekonamy.
- A co? Dochodzimy?
- Mam takie wrażenie. Spójrzcie wyżej. Tam gdzie ciemność jest trochę jaśniejsza.
- Faktycznie. Jeszcze dwa albo trzy stopnie. Szybciej!
- Podsadzę cię.
- Nie trzeba. Sam sobie poradzę. Tylko podaj plecak.
- Trzymaj.
- Mam. Puść linę i daj rękę. No chodź.
- Co tam jest?
- Zaraz zobaczycie.
- Nie możesz powiedzieć?
- Równa kamienna powierzchnia. Nie widzę, jak daleko sięga.
- Zgaśmy czołówki.
- Zwariowałeś?!
- Nie, on ma rację. Jest pełnia.
- Dobra, gasimy.
- Teraz to dopiero ciemnica.
- Poczekaj chwilę.
- Znaczy, ile?
- Ależ ty jesteś niecierpliwy!
- Niesamowite. Czy wy też to widzicie?
- Tak.
- Możliwe, że nikt nie wie o istnieniu tego miejsca?
- Jakby ktoś równiutko odciął połowę góry.
- Słyszeliście kiedyś o czymś takim?

- Nigdy. Mam ciarki na plecach.
- Ja też, ale z innego powodu. Widzę ognisko.
- Gdzie?
- Tam, na lewo. Łatwo je przeoczyć. Musi być bardzo daleko, bo wygląda jak mały ognisty światełko.
- Rzeczywiście coś tam jest.
- Podejźmy.
- Nie ma mowy. Nie wiemy, kto to może być.
- Pewnie tubylcy. Nigdy nie spotkało nas z ich strony nic złego. Przykro mi panowie, że musicie porzucić ducha pionierskiej przygody, ale najwyższy czas zapytać o drogę.
- W sumie racja.
- Nie da się ukryć.

* * *

Przy ognisku siedział nagi starzec. Nie zdziwił go widok czterech wędrowców. Na każde pytanie odpowiadał zduszonym chichotem, a potem wstawał, podrygiwał na chudych nogach, wskazywał na księżyc i znowu nierzuchomiał przy ogniu. Mężczyźni naradzili się szeptem i zaczęli szukać miejsca na nocleg. Były jak najdalej od nagiego szaleńca. Nie odeszli daleko.

Nagle starzec podskoczył, kopnięciem rozrzucił płonące gałęzie i zaczął tańczyć. Wyginał się spazmatycznie, tupał, tarzał się w gorącym popiele i cały czas zawodził, bełkotał, warczał. W pewnym momencie rzucił się do przodu i upadł na głowę. Chrupnęło. Starzec znieruchomiał. Wokół ciała szybko utworzyła się czarna, oleista kałuża, w której przejrzał się księżyc. Mężczyźni spojrzeli na siebie wstrząśnięci, lecz nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, rozległy się głośne pacnięcia bosych stóp.

Odwrócili się.

* * *

- Mój Boże, co to jest?
- Wygląda jak małpa.
- Widziałeś kiedyś taką wielką małpę?
- Tak, w kinie.
- Zabierajmy się stąd.
- Co ona robi?
- Tańczy. Chyba.
- Uciekajmy.
- Trzyma coś w dłoni.
- Może to lampion?
- Nie. Obraca tym na wszystkie strony, a to wciąż świeci jednolitym zimnym światłem.
- Jak księżyc w pełni.
- Właśnie. Bardzo go przypomina, ma nawet podobne plamy, ale...
- Ale co?
- Zniknął! Nie ma go!
- Czego nie ma?
- Księżyc! Przecież był. A teraz są tylko gwiazdy.
- Niemożliwe.
- Co tu się dzieje?
- Kurwa, na co jeszcze czekamy?! Wiejemy!
- Cicho! Nie słyszę go.
- Kogo?
- Starca.
- Odbiło ci? Przecież jest martwy.
- On coś mówi.
- Nie chcę tego słuchać. To jakieś szaleństwo. Może dym z ogniska wywołuje halucynacje? Musimy natychmiast opuścić to

miejsce.

- A ja chcę wiedzieć, co mówi. Powiedz.
- „Tankuni, tankuni – księżyc bawi się z małpą”.
- Muszę się obudzić.
- Ja też, ale nie mogę się ruszyć.
- Ja tak samo.
- I ja.
- Czekaście, ja chyba mogę...

* * *

Simon szarpnął się i upadł. Spojrzał w górę na przytłaczający ogrom księżyca i przerażony zamknął oczy.

Skala bezszelestnie wsparła się o skałę.

MAMAKULU
ATRIFA
GRS

Chalcedonowy Okręt wcale nie był okrętem, a Druss w ogóle nie powinien się do niego zbliżyć. Yvvy miał jednak inne zdanie. Nauczył Drussa, jak wywoływać drgania w cząsteczkach wody i pobierać z nich ciepło, a gdy uznał, że w wystarczającym stopniu opanował tę niezwykle praktyczną umiejętność, od razu wysłał go do portu. Kazał mu znaleźć wejście do Chalcedonowego Okrętu.

Jakie wejście? Jakiego okrętu?

Przecież każdy mieszkaniec tego przeklętego miasta wie, że to tylko ogromny brunatny kryształ, który wyrasta z dna jeziora. Jest długi i szeroki, przypomina niedokończone moło i z powodzeniem pełni rolę portowego falochronu. A na jego płaskiej powierzchni, wystającej z wody na wysokość zamina, od niezliczonych pokoleń stoi labirynt straganów, namiotów i małych rozchybotanych domków. To Targ Rybny, bijące serce portowego handlu. Miniaturowe miasto w mieście. Miejsce, które nigdy nie zasypia i w którym aż roi się od wszelkich handlarzy, wścibskich agentów gildii kupieckich, rybaków, marynarzy szukających pracy lub zaczepki, oszustów i oczywiście gwardzistów. Zwłaszcza tych ostatnich nigdy tu nie brakuje, bo w żadnym innym miejscu w Linvenogre nie mają tylu okazji, by użyć pięści, zębów czy pazurów. Choć podobno nie tylko to ich tu przyciąga. Druss nie wiedział, ile w tym jest prawdy, ale krążyła plotka, że można tu nielegalnie kupić młode kijanki zaminów, uchodzące wśród dorosłych osobników za największy i najmroczniejszy przysmak, którym po kryjomu delektują się również członkowie Rady. Być może było to tylko oszczerstwo wymyślone przez perusów, ale wystarczyło na chwilę zanurzyć się w zgiełku, tłumie, smrodzie i chaotycznym rozedrganiu Targu Rybnego, by natychmiast w nie

uwierzyć. Wszystko, co wcześniej wydawało się głupie i nieprawdopodobne, szybko nabiera tu niepokojącego prawdopodobieństwa.

Druss zapomniał już, jak to jest. Nie. Nie zapomniał. Nie chciał pamiętać. Ostatni raz pojawił się na Targu Rybnym cztery, może pięć lat temu. Miał zneutralizować lewitującego xulo, który przemykał między straganami i ożywiał martwe ryby. Gdy mijał wystraszonych handlarzy, nawet oczyszczone z ości filety skakały w soli i rwały się do wody. Po długiej i wyczerpującej pogoni Druss unieruchomił xulo, ale nie udało mu się go złapać, bo nagle zapadł się w chalcedonowy grunt, nieprzenikniony dla zmysłu tropiciela. Co prawda, xulo zniknął i Druss już nigdy na niego nie trafił, lecz nie potrafił się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że wszystko poszło źle i cała ta akcja była jedną wielką porażką. A teraz wrócił na pokład Chalcedonowego Okrętu, by ponieść kolejną klęskę. Miał niezauważony przekraść się na koniec Targu Rybnego i znaleźć coś, czego na pewno tam nie ma – to nie miało prawa się udać.

Początkowo nie chciał tego robić, ale Yvvy potrafił być bardzo przekonujący i mimo że Druss wciąż uważał, że to czyste szaleństwo, posłusznie odszukał zatopiony burzowiec, który wskazał mu Niezmiennik, przepłynął pod murem enez i dostał się do portu. Na tyle wystarczyło mu odwagi, bo kiedy już znalazł się na Targu Rybnym, determinacja, którą wzbudził w nim Yvvy, zaczęła błyskawicznie znikać i ustępować miejsca panice. Druss jęknął mimowolnie jak ktoś, kto obudził się z głębokiego snu i odkrył, że koszmar wcale się nie skończył. Zgarbił się przerażony. Chciał zapaść się w lity chalcedon, jak xulo, którego tu kiedyś ścigał. Przebiegł obok tragarzy i wcisnął się w wąskie przejście między straganami.

Była późna noc albo bardzo wczesny ranek. O tej porze na krętych, zaśmieconych uliczkach Targu Rybnego, oświetlonych

chybotliwym blaskiem żarolatarni, niepodzielnie rządził klan dostawców pchających przed sobą dwukołowe wózki, na których przewozili beczki wypełnione rybami lub krabami, sterty hodowlanych glonów posortowanych w pęczki przewiązane kolorowymi sznurkami, słoje, za którymi ciągnęły się cierpkie zapachy kiszzonek i marynat, albo klatki z żywymi patoro lub paskudnymi atte podskakującymi na jednej muskularnej nodze. Druss widział też nieprzytomnego zamina, który leżał na boku pogrążony w narkotycznym odrętwieniu i co chwila wyrzygiwał strugi zielonego, spienionego śluzu. Tuż za nim stało dwóch innych zaminów. W ogóle nie zwracali uwagi na leżącego i zapamiętali klócili się o to, czy dostawca grzybów kamret jest sprytnym oszustem, czy leniwym głupcem, który myli się przy każdym zamówieniu. Co prawda wyglądało na to, że w tym momencie nie kręci się tu żaden gwardzista, ale Druss zdawał sobie sprawę, że szczęście może go opuścić w każdej chwili. Musiał działać. Natychmiast.

Przecisnął się wąskim przejściem na tyły straganów, gdzie piętrzyły się towary, a w słabym świetle przenośnych żarolamp ociekający wodą zamini w pośpiechu układali beczki i skrzynie. Starał się nie zwracać uwagi na zaczepne spojrzenia. Kluczył między pracującymi zaminami. Przeskakiwał nad stertami warzyw. Ślizgał się na ościach i śmierdzących wnętrznościach ryb. Szybko zmierzał na drugi koniec Targu Rybnego, czyli na dziób Chalcedonowego Okrętu, bo tak nazywano jego najbardziej wysuniętą część. Właśnie tam, przy samej krawędzi i bardzo blisko wody, z równego kryształowego gruntu wyłaniał się niski chalcedonowy obelisk, który wyglądał jak brzydki pękaty grzyb. Druss musiał do niego dotrzeć. Yvvy powiedział mu, że tam jest wejście i bez problemu powinien je znaleźć. Ale niestety nie powiedział mu, co ma zrobić, gdy na miejscu spotka Rakama. Druss

wybiegł wprost na niego i zamarł zdyszany. Zamin nie wyglądał na zaskoczonego. Siedział oparty o obelisk – nawet w tej pozycji był wyższy do Drussa – i oblizywał grube kołkowate palce, jakby właśnie skończył posiłek.

– Pan Druss – mruknął z satysfakcją wytrawnego łowcy. – Nie sądziłem, że jeszcze się spotkamy i że stanie się to tak szybko. Mimo to, gdy tylko zamknąłem cię w enez, na wszelki wypadek kazałem moim gwardzistom zacząć się przy wszystkich szczelinach, kanałach i otworach, przez które można się stamtąd wymknąć. Tak, tak, mój mały człowieczku. Jest tak, jak myślisz. Obserwuję cię, od kiedy wpłynąłeś do burzowca.

Druss milczał i gorączkowo zastanawiał się, dlaczego jeszcze żyje.

– W zasadzie powinienem ci podziękować. Dzięki tobie wygrałem sporo turali. Strażnicy byli przekonani, że szybko zginiesz, lecz ja nie miałem ich pewności. Co prawda straciłem z tobą kontakt i nie mogłem ponownie nawiązać połączenia, ale zanim zerwała się więź, udało mi się zobaczyć błysk, przenikliwą iskrę zimnego światła, i zacząłem podejrzewać, że wcale cię nie zabił. Przeciwnie. Dogadał się z tobą. To byłoby w jego stylu. Czy tak się stało?

Druss uznał, że nie ma sensu kłamać.

– Tak – przyznał.

– Nie rozumiesz, że on chce zniszczyć Linvenogre? Ten zabójczy Impuls, który zabił twojego brata, to jego dzieło. Niezmiennik jest potężną i niszczycielską istotą, która nie spocznie, dopóki nie zrówna tego miasta z ziemią. Od lat szukamy sposobu, żeby się go pozbyć, ale jest dla nas zbyt silny.

Druss spojrział na niego krzywo i zapytał:

– A po co miałby niszczyć Linvenogre?

– Zamierza przygotować to miejsce na przybycie takich jak on.

To maszyna zagłady, coś jakby jednoosobowa armia o ogromnym potencjale bojowym. Tak naprawdę xulo to jego narzędzia podboju. Przyznaj, że będąc zawodowym tropicielem, gdzieś tam w głębi siebie zawsze podejrzewałeś, że tak jest.

Druss przestał słuchać. Wiedział, do czego zmierza zamin, bo już po krótkim kontakcie z Yvvy'm zaczął pojmować sens słów, które pokazał mu Avorro. Słów wpisanych w to miasto – mówiących, że nie jest ważne, kto mówi prawdę, bo każdy podąża za własną projekcją. Druss nie do końca rozumiał, jakie są tego konsekwencje, ale nawet ta szczątkowa wiedza, którą już posiadał, skutecznie oddzielała go od obsesyjnych wizji zaminów i perusów. Rakam mówił, a on skupił zmysł tropiciela na chalcedonowym obelisku i odkrył, że na samym czubku, tuż pod powierzchnią lśni maleńkie xulo.

Rakam wstał.

– Co robisz? – warknął. – Dlaczego nie słuchasz? Niezmiennik wykorzysta cię do własnych celów, a później pozwoli, by wytropił cię Łowca Ludzi.

– Kto? – zapytał Druss, koncentrując się na obelisku.

Rakam ruszył w jego stronę. Druss odskoczył w bok.

– On nadchodzi. Widzieli go nasi obserwatorzy. Wyszedł z morza i zmierza do Linvenogre. Rada jest zaniepokojona. To z pewnością sprawka Niezmiennika, bo ten xulo nie cofnie się przed niczym. A ty, człowieczku, jesteś przynętą. Nikt i nic nie zatrzyma Łowcy, więc obawiam się, że jest tylko jeden sposób, by zniechęcić go do odwiedzenia naszego miasta. Jego wizyta musi stracić sens – mówił Rakam, nieubłaganie zbliżając się do Drussa. – Dobrze się stało, że tak szybko wpadłeś w moje ręce. Nie opieraj się. To nie będzie bolało. Powinieneś być wdzięczny, bo w ten sposób uchronię cię przed znacznie gorszym losem. Wierz mi, nie chcesz wiedzieć, co Łowca robi z takimi jak ty.

Druss rozpaczliwie doskoczył do chalcedonowego obelisku i przycisnął dłoń w miejscu, pod którym wyczuwał xulo. Nic się nie stało. Rakam wyszczerzył szeroką paszczę.

– Nie rozumiem, dlaczego tu przyszedłeś. Możesz mi to wyjaśnić? Albo nie. Daruj sobie. Szkoda czasu. Trzeba było...

Bawił się z Drussem jak drapieżnik z bezbronną ofiarą i zamierzał jeszcze coś dodać, ale nagle umilkł i zatrzymał się w pół kroku. Jego wzrok powędrował w dół. Druss spojrzął w to samo miejsce i ze zdumieniem zauważył, że z górnej części obelisku wysunęła się widmowa, ludzka ręka. Kilka razy machnęła na oślep, jakby czegoś szukała, a potem Druss zrozumiał, o co chodzi, więc podsunął jej swoją dłoń. Rakam ryknął i skoczył, ale widmowa ręka była szybsza. Błyskawicznie wciągnęła Drussa pod pokład Chalcedonowego Okrętu. Rybny Targ zawirował i zniknął.

Nagle Druss znalazł się w obszernym pomieszczeniu, z którego odchodziły liczne korytarze. W ciemnych chalcedonowych ścianach były zatopione pulsujące linie blasku, które emanowały przyjemnym rozproszonym światłem. Z jakiegoś powodu Drussowi wydawało się, że już tu kiedyś był, że rozpoznaje to miejsce i ono też w trudny do wyrażenia sposób daje mu do zrozumienia, że go poznało. Miał wrażenie, że dobrze zna rozkład korytarzy i pomieszczeń. Chciał sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest, ale wiedział, że to musi poczekać, bo przed nim stał widmowy, półprzezroczysty człowiek, który był bardziej fascynujący niż miejsce, w którym się znalazł. Ten człowiek różnił się od Drussa. Ten człowiek był piękny. Jego twarz była delikatniejsza i pozbawiona zarostu, miał długie ciemnobrązowe włosy, był szczupły, a jego ramiona, które tylko częściowo zakrywała powłóczysta szata sięgająca do bosych stóp, wydawały się wręcz filigranowe. Druss przypomniał sobie, że podobnie wyglądała jego matka, i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że ten

widmowy człowiek to kobieta. Ludzka samica. Wpatrywał się w nią zafascynowany, gdy nagle jej głos wyrwał go z zamyślenia. Mówiła coś do niego. Mówiła od dłuższej chwili.

– Co się z tobą dzieje? – pytała. Jej głos również był piękny. – Ogłuchłeś? Otwórz wreszcie ten tabloesor i zrobmy to tak jak należy.

– Ja? Co?

– Tabloesor! Otwórz! Rozumiesz?!

– A tak! Już. Oczywiście...

Zmieszany Druss szybko wykonał polecenie kobiety i z zaskoczeniem zauważył, że okienko komunikatora jest otwarte. Choć wydawało się to niemożliwe, ktoś uruchomił go bez jego wiedzy, a do tego w okienku była taka sama kobieta jak ta, która przed nim stała. Różniła się tylko tym, że jej ciało nie było półprzezroczyste, lecz sugestywnie materialne. Druss spojrzał pytająco na tę w tabloesorze.

– Dobrze – powiedziała. – A teraz skup się na mnie, na mojej obecności, i powolutku zamknij tabloesor.

– Ale... – Druss chciał zaprotestować.

– Po prostu zrób to, co mówię. Bez dyskusji – ucięła jego protesty.

Druss zagryzł wargę, skoncentrował się na kobiecie w okienku komunikatora i zaczął zamykać tabloesor.

– Nie za szybko! – ostrzegła. – Patrz na mnie! Nie trać kontaktu!

Po chwili tablica zniknęła, a przed nim stały dwie bliźniaczo podobne kobiety. Półprzezroczysta i materialna. Druss mrugnął i była już tylko jedna.

– Nareszcie – powiedziała z uśmiechem. – Tak jest o wiele lepiej.

– Kim jesteś? – zapytał Druss.

– Mów do mnie Ruma. Jestem jedną z emanacji Yvvy'ego.

– Jego wizerunkiem w komunikatorze?

– Też. Ale nie tylko i nie jedynym.

– To ma ich więcej?

– Oczywiście.

– Czyli teraz rozmawiam z nim? – dociekał zdeorientowany Druss.

– Poniekąd. Mimo że jego emanacje tworzą w sumie jedną osobowość, tak naprawdę egzystują symultanicznie, niezależnie wypełniając różne płaszczyzny rzeczywistości, dlatego przede wszystkim rozmawiasz ze mną. Z nim również, ale jakby w drugiej kolejności.

– Chyba nic z tego nie rozumiem.

– To nieistotne. Skupmy się na tym, co naprawę ważne.

– Jak ta sztuczka z przenoszeniem wizerunku z komunikatora do świata namacalnych obiektów?

– Między innymi... Przepraszam, że bez uprzedzenia użyłam twojego tabloresora, ale musiałam ci pomóc.

Druss przypomniał sobie wściekłego Rakama.

– Mogłem tam zginąć! – krzyknął.

– Niekoniecznie. Cały czas miałam cię na oku i znam wiele nieprzyjemnych forteli, dzięki którym mogłabym cię wyciągnąć z opresji, gdyby była taka potrzeba. Poza tym wiedziałeś przecież, że ryzyko jest nieuniknione. Musiałeś się tu dostać fizycznie. Musiałeś się wydostać z enez i dotrzeć do wjazdu na pokładzie Chalcedonowego Okrętu. Nie było innego sposobu.

– Tamci też mieli mnie na oku – mruknął naburmuszony Druss.

– Małpami się nie przejmuj. Mamy większe zmartwienia i coraz mniej czasu. Na szczęście już tu jesteś i możemy zacząć działać. Gotowy?

– Tak, ale chciałbym wiedzieć...

– Pytania zostaw na później. Zgodziłeś się zostać moim uczniem, więc pozwól, że na razie to ja będę decydowała, co i w jakiej

kolejności powinnam ci wyjaśnić.

– No dobrze.

– Ufasz mi? – zapytała niespodziewanie Ruma.

– Nie, tak, nie wiem... – odparł szczerze Druss.

– Świetna odpowiedź. Chodź ze mną.

Ruma chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb najbliższego korytarza, który miał okrągły przekrój i spiralnie schodził w dół. Nagle skręciła w boczną odnogę, a potem zwolniła i powoli, z uśmiechem, wprowadziła Drussa do ogromnej kwadratowej sali. Jedna z jej ścian była przezroczysta. Za nią otwierał się niesamowity widok na szarobłękitne głębiny jeziora Leko. Druss zadrżał. Znowu przeszło go wrażenie, że już tu kiedyś był i ta pusta sala z widokiem na podwodny krajobraz była dla niego najważniejsza. Ruma odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

– Budowla, w której jesteśmy, budowla, którą nazwano Chalcedonowym Okrętem, powstała bardzo dawno temu – powiedziała cicho, jakby zwierzała się z czegoś ważnego i bolesnego. – Na długo przed przybyciem wodnych małp i przerośniętych pajaków mistrz Inabulus Knalb stworzył ją razem z tym jeziorem w bardzo konkretnym celu.

– Jakim?

– Cierpliwości. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że cały ten teren, miejsce, w którym stoi Linvenogre, to przestrzeń, w której stykają się różne światy będące spiętrzonymi emanacjami portu Kvall, głównego punktu odniesienia w tej warstwie rzeczywistości.

– Ile jest tych warstw?

– Trudno powiedzieć. Setki? Tysiące? Miliony? To niezliczone łańcuchy połączonych światów koegzystujących na wielu mniej lub bardziej subtelnych poziomach. Światów, które promieniają jedne z drugich i zazębiają się jak trybiki w niesłychanie skomplikowanym mechanizmie. Rzecz jednak w tym, że tylko

wtedy działa on prawidłowo – czyli wspomaga migrację świadomości między światami, która z kolei podtrzymuje życie w łańcuchach i sprawia, że rodzą się nowe rzeczywistości – gdy wszystkie elementy funkcjonują bez zakłóceń i są w nieustannym ruchu.

– Rozumiem, że dzięki temu kroczący port Kvall cały czas rozrasta się o kolejne emanacje, tak?

– Zgadza się.

– Ale tropiciele xulo spowolnili ten proces i nie ma sposobu, żeby usunięte zaczepy zastąpić nowymi?

– Niestety...

– I kolejne, coraz potężniejsze Impulsy będą zabijać mieszkańców Linvenogre, chyba że ktoś zmusi cię, żebyś przestała je wywoływać.

Ruma uśmiechnęła się ciepło.

– Sam wiesz, jaka prawda kryje się w słowach Rakama. Już o tym mówiliśmy. Avorro ci ją pokazał. Kolektory Un-ku zamykają wszystkich w pętłach własnych iluzji, które mają siłę osobistych prawd. Dzięki nim mieszkańcy tego miasta odkrywają to, co chcą odkryć, znajdują to, co chcą znaleźć, ale przez to tylko wzmocnią swoje iluzoryczne projekcje, zakorzenia się w nich i jeszcze bardziej spowolnią przepływ świadomości przez tę rzeczywistość.

– Skąd się tu wzięły te Un-ku?

– Przybyły z Kvall.

– To absurdalne! Przecież tylko pogarszają sytuację.

Ruma posmutniała.

– Nie rozumiesz? Nikt nie zamierza ratować tego miasta i tego świata. Kolektory Un-ku mają doprowadzić do radykalnego wzrostu napięć na obrzeżach rzeczywistości, a w konsekwencji do kolapsu, który ją zniszczy i, co za tym idzie, przywróci normalny dryf portu Kvall oraz cyrkulację świadomości.

Druss pobladł.

– Nie wierzę – jęknął.

– A zauważyłeś ostatnio coś dziwnego?

– Wszystko, co mnie teraz spotyka, jest dziwne.

– Być może, ale chciałabym, żebyś odpowiedział jak przystało na zawodowego tropiciela xulo.

– Poczekaj, nie bardzo...

Nagle Druss zrozumiał, co Ruma ma na myśli, i zaczął się bać, bo wyglądało na to, że wszystko, co usłyszał, może być prawdą. Ostateczną prawdą – taką, która niszczy światy. Przełknął ślinę i powiedział:

– Od czasu Impulsu nie pojawił się w Linvenogre żaden przebłysk z Kvall.

– I już się nie pojawia. Gromadzą się na krawędziach tej rzeczywistości, by przerodzić się w kolejne niszczycielskie wyładowanie. Lecz to i tak będzie tylko zapowiedź czegoś znacznie większego...

– Na Tabotta, a obserwatorzy z innych miast przybywają tu, by śledzić przebieg kolapsu?!

– Tak, tylko po to.

– Nie wygląda to dobrze. Czy możemy coś zrobić?

– Cieszę się, że mówisz „my”, bo ja sama, mimo że egzystuję w wielu rzeczywistościach jednocześnie, mam pewne ograniczenia, które uniemożliwiają mi swobodne działanie, i skupiam się głównie na tym, żeby w tym świecie uchronić jak najwięcej aktywnych xulo, a w innych werbuję sprzymierzeńców, którzy nie chcą zniszczenia tej rzeczywistości, oraz gromadzę wszelkie legendy i opowieści mówiące o Krek'h-pa.

– A co to jest?

– Nie wiem, ale wspólnie na pewno się dowiemy.

– To dlaczego się tym interesujesz?

– Bo chyba tylko to może jeszcze ocalić rzeczywistość Linvenogre. Oczywiście pod warunkiem, że Krek'h-pa naprawdę istnieje. Pomożesz mi?

– Zawarliśmy układ i nic się nie zmieniło. Co muszę zrobić?

– Uruchomić Manakum i z jego pomocą odnaleźć Krek'h-pę.

– Mogłabyś mówić jaśniej?

Ruma zatoczyła ręką koło i powiedziała:

– Jak już wspomniałam, Chalcedonowy Okręt oraz jezioro Leko są dziełem mistrza Inabulusa Knalba. Stworzył je po to, by w miejscu zetknięcia różnych rzeczywistości zacumować utensylium, dzięki któremu można swobodnie przemieszczać się między światami. To właśnie jest Manakum. Problem polega jednak na tym, że tylko człowiek może je zobaczyć i użyć go.

– W takim razie skąd wiesz, że w ogóle tu jest?

– Dzięki Apolabium, które także zostało wybudowane przez Knalba. Obserwowałam, jak rośnie i subtelnymi witkami energii łączy się z Chalcedonowym Okrętem, a potem z czymś nieuchwytnym w głębinach jeziora; z czymś, co kołysze się na końcu niewidzialnej cumy. Ten widok zostawił w moim umyśle pajęczy powidok, którego nie rozumiałam. Przez kilka lat bezskutecznie badałam to miejsce. Analizowałam kształty węzłów energii, które wyznaczają trwałą ścieżkę na powierzchni Konstruktu, scalając Okręt i Apolabium w jeden obiekt. Zagłębiałam we wszystkie zakamarki tej budowli i testowałam zgromadzone tu xulo, bo zdaje się, że Chalcedonowy Okręt w naturalny sposób przyciąga do siebie artefakty i z łatwością integruje je ze swoją zagadkową strukturą. Niestety, nic mi to nie dało. Nie mogłam pojąć tego miejsca. Nie mogłam też dostrzec tego, co znajduje się na końcu cumy, ale czułam, że to ważne, więc porzuciłam nieskuteczne metody i zaczęłam regularnie odprawiać rytuał przywołania Mistrza Zrodzonego z Białego Kamienia. Cierpliwie

medytowałam nad obrazem mądrego światła wyłaniającego się ze skały. Nie wiem, jak długo to trwało, bo straciłam rachubę czasu, ale pewnego dnia otrzymałam dar, wizję, dzięki której odkryłam błogosławieństwo, które Inabulus Knalb ukrył w głębi jeziora. Odkryłam Manakum. Od tamtej pory widzę je bardzo wyraźnie. Natychmiast zrozumiałam, co muszę zrobić. Zaczęłam szukać człowieka, który mógłby mi pomóc, lecz okazało się to bardzo trudne. Był ktoś, kto wydawał się obiecujący. To za jego pośrednictwem Knalb zaproponował Radzie stworzenie Apolabium.

Druss patrzył na Rumę szeroko otwartymi oczami, ale emocje boleśnie ścisnęły mu gardło i nie mógł nic powiedzieć.

– Chciałam go tu sprowadzić i nawet udało mi się z nim skontaktować, lecz on nikomu nie ufał. Miał obsesję na punkcie Apolabium. Uważał, że jest to ogromne xulo, które może otworzyć trwałe przejście do Kvall, tylko trzeba odkryć sposób na jego uaktywnienie. Twierdził, że najlepiej to zrobić z samego Kvall. Próbowałam go odwieść od tego pomysłu, ale sam wiesz, jak działają kolektory Un-ku. Jego obsesja doprowadziła do tego, że zaczął regularnie odwiedzać Avorro i ten w końcu wdrukował mu jakąś osobliwą technikę zejścia, która oczywiście działa tak samo jak każda inna i nie chroni przed potężną przekształcającą implozją, która przebudowuje każdego, kto styka się z płaszczyzną Konstruktu. Dopóki działają kolektory Un-ku, nikt w tym mieście nie zrozumie, że w ten sposób nie da się przejść do innych emanacji Kvall. Ja zresztą też wpadłam w wir obsesyjnego zapętlenia. Szukając innych ludzi, podsłuchiwałam wiele tablotesorowych rozmów i wywnioskowałam z nich, że tamten człowiek był ostatni. To sprawiło, że przestałam szukać...

– To ja jestem ostatni, a tamten człowiek był moim ojcem – powiedział głucho Druss.

– Przykro mi...

– Niepotrzebnie. Przez chwilę myślałem, że wrócił do Linvenogre, bo kształt zabójczego Impulsu pokrywa się z kształtem energetycznego kilwatera, który zostawił po sobie mój ojciec, ale teraz wiem, choć to bolesna prawda, że byłem pod wpływem Un-ku i podążałem za własnymi urojeniami. Strach pomyśleć, co czekało mnie na końcu tej drogi. Czy jesteśmy trwale uodpornieni na ich działanie?

– Tak. Ty dzięki temu, że dostałeś żywy przekaz wiedzy od Avorro, który następnie otworzyłam w twoim umyśle, a ja dzięki wizji Knalba, która krzepła z czasem, by ostatecznie ustabilizować się za przyczyną twojej obecności.

Druss pierwszy raz od dnia, w którym pojawił się Impuls, poczuł, że ma jeszcze coś, co można nazwać poczuciem własnej wartości.

– Nie powiedziałaś, że skorzystasz na tym, że będziesz mnie uczyć.

– To zawsze tak działa. Po tym można poznać prawdziwą naukę.

Uśmiechnęli się do siebie. Nagle pojawiła się między nimi bliskość, która zaskoczyła Drussa i dodała mu otuchy. Ruma przytuliła go do siebie. Była ciepła, przyjemna w dotyku, pachniała czymś miękkim. Druss zamknął oczy. Z jego ramion zsunął się ogromny ciężar, który przygniatał go do ziemi, dusił, odbierał jasność widzenia. Odetchnął z ulgą i oswobodzony oddech pobudził jego myśli, które zawirowały w zwawym tańcu.

– Od kiedy się tu znalazłem, czuję, że już tu kiedyś byłem, choć to przecież niemożliwe – powiedział. – Teraz jednak rozumiem, widzę to wyraźnie, Knalb stworzył tę budowlę dla ludzi. Tu każdy człowiek będzie się czuł tak, jakby wrócił do miejsca, w którym kiedyś spędził przyjemne chwile. To ona sprawia, że ty, emanacja Yvvy’ego, wyglądasz jak człowiek. Na pokładzie Chalcedonowego Okrętu nie możesz wyglądać inaczej, albo ja mogę cię tu postrzegać tylko

w taki sposób, co w sumie na jedno wychodzi. Lecz dlaczego... – Druss delikatnie wyplątał się z ramion Ruma, podszedł do przezroczystej ściany i spojrzał w głąb jeziora – ...nie widzę Manakum?

Ruma stanęła za jego plecami.

– Pomogę ci – szepnęła. – To nie jest takie trudne. Żeby je zobaczyć, musisz zlokalizować jego położenie.

– Jak?

– Już to zrobiłeś.

– Chybabym o tym wiedział.

– Może zapytajmy kogoś, kto jest lepiej zorientowany od ciebie?

– Niby kogo?

– Twojego archiwisty.

Druss obrócił się w jej stronę.

– Co... skąd ty... jak?

Ruma uciszyła go, kładąc mu palec na wargach.

– Przypomnij sobie, w jaki sposób przeniosłeś mój wizerunek, i to samo zrób z Lestychem.

Druss odsunął ją od siebie.

– To możliwe? Przecież on jest tylko...

– Projekcją jednego z aspektów twojej osobowości, która jest świadoma i na razie zbyt autonomiczna. Co z tego, że ma osobowość i potrafi sama analizować informacje, skoro masz zbyt ograniczony dostęp do jej wniosków, nie dyskutujesz z nią i nie wymieniasz poglądów. Lestych jest częścią ciebie, lecz paradoksalnie wie więcej niż ty i nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że zna cię lepiej niż ty jego. Musicie się bliżej poznać. Bez niego nic nie zdziałasz.

Druss podrapał się w głowę.

– No dobrze – mruknął. – Spróbuję.

Otworzył tabloesor i zajrzał do krypty, którą zajmowało

archiwum Lestycha. Stał między półkami uginającymi się od zapamiętanych przebłysków z Kvall, które wyglądały jak ekscentryczna kolekcja dziwnych kwiatopodobnych wyładowań elektrycznych zamrożonych w czasie.

– Lesty! – zawołał Druss. – Możesz tu podejść?!

Tuż przed nim zmaterializował się niski staruszek z krótką siwą brodą. Zawsze był elegancko ubrany, ale jego wygląd jeszcze nigdy nie robił takiego wrażenia jak dzisiaj. Druss pamiętał, że czasami na specjalne okazje jego ojciec ubierał się w taki sam sposób. To się chyba nazywało garnitur i podobno przywiózł go ze sobą z enklawy Tumso. Ten, który miał na sobie Lesty, był czarny. Pod górną część ubioru, zapiętą na cztery guziki, włożył białą koszulę w prążki, a pod szyję zawiązał coś, co wyglądało jak podłużny, srebrzysty kawałek materiału. Włożył też lśniące brązowe buty oraz intrygujący kapelusz z niewielkim rondem i półkolistym denkiem. W drobnej dłoni trzymał drewnianą laskę zakończoną srebrną kulką. Oparł się na niej i zapytał:

– Idziemy?

Druss zaniemówił z wrażenia.

– Eeee, tak, już... – wykrztusił z trudem.

Powolutku wycofał się z archiwum i patrząc na staruszkę opierającego się na lasce, zaczął zamykać tablotesor. Z jakiegoś powodu nie potrafił jednak utrzymać koncentracji i Lesty cały czas mu się wymykał. Druss zaczął się denerwować. Archiwista spojrzął na niego zdegustowany, zrobił krok w stronę Drussa i stanął obok niego.

– No i już – skwitował.

Ruma zachichotała.

– To nie jest takie proste – powiedział Druss, bezskutecznie walcząc z idiotyczną potrzebą tłumaczenia się.

– Przeciwnie – odparł Lesty. – Za bardzo się starasz

i mimowolnie stawiasz opór. Jesteś nieudolny. Dociera do ciebie mnóstwo impulsów sensorycznych, jednak większość z nich pozostaje niezauważona.

– Co ty powiesz? – zadrwił Druss.

– Widzę, że już się polubiliście – stwierdziła Ruma.

Druss i Lestych zgromili ją wzrokiem.

– Dobra, dobra, nic nie mówiłam – dodała szybko.

Druss westchnął. Z trudem przełknął urażoną dumę i powiedział do archiwisty:

– Tak mi nie pomagasz.

– To zabawne, że potrafisz obrazić sam siebie, ale nie umiesz dostrzec Manakum, które znajduje się w zasięgu twojego wzroku.

– Pomożesz mi wreszcie czy będziesz mnie obrażał?

– Jedno i drugie.

Lestych uśmiechnął się złośliwie, odwrócił się i postukał laską w przezroczystą ścianę, za którą, w głębi jeziora, unosiła się spłaszczona metaliczna kula najeżona grubymi i tępyimi kolcami. Była spatynowana, zrudziała jak starożytne srebro i otoczona bąblem powietrza. Manakum. Bez wątpienia.

– Jak mogłem go nie zauważyć? – zapytał Druss.

– Nie patrzyłeś tam, gdzie trzeba – odparł Lestych.

– Idź – powiedziała Ruma. – Użyj go. Lestych pomoże ci znaleźć mojego rezydenta w Gers i stamtąd ruszymy dalej.

– Niby jak mam to zrobić? Nie wiem, jak je uruchomić, poza tym trzeba znaleźć sposób, żeby się do niego dostać. Wydaje się takie duże...

Ruma westchnęła.

– Duże? Nakmar albo Tankuni pokazałoby ci, że nic nie jest duże ani małe, ale nie mamy na to czasu. Panie Lestych, czy może pan zademonstrować?

– Naturalnie – odparł grzecznie archiwista.

Lestych sięgnął ręką w głąb przezroczystej ściany. Kiedy to zrobił, proporcje wszystkich kształtów, które postrzegał Druss, natychmiast uległy przekształceniu. Nagle Manakum okazało się małym kulistym obiektem, który mieści się w dłoni. Lestych ostrożnie wyjął go ze ściany i podał Drussowi. Był ciepły i bardzo ciężki. Po chwili utensylium zaczęło cicho i rozpadło się na setki drobnych metalicznych łusek, które w błyskawicznym tempie zaczęły budować wokół Drussa solidny pancerz. Pokryły mu ręce, tułów, nogi, a na końcu głowę. Zamknęły go w szczelnym i twardym sarkofagu. Druss był całkowicie unieruchomiony. Szarpnął się przerażony.

– Spokojnie – usłyszał odległy głos Lestycha. – Chodź. Wystarczy kilka kroków.

– Ale nie mogę! – warknął Druss, czując swój gorący oddech w ciasnej, zamkniętej przestrzeni.

– Nie szarp się! – skarcił go Lestych. – Podejdź samym umysłem.

– Nie wiem jak.

– Pomyśl, że jesteś w ciemnym pokoju i idziesz za moim głosem.

– Dobrze – wykrztusił Druss, który był już mokry od potu. Z trudem rozluźnił ciało i oklapł we wnętrzu pancerza.

– Możesz tu przyjść? – łagodnie zapytał Lestych.

Druss wyobraził sobie, że szuka Lestycha w jego archiwum, powoli idzie między półkami... Nagle drobne łuski, które tworzyły pancerz, rozsypały się na wszystkie strony. Druss znowu był wolny, ale wciąż znajdował się pod pokładem Chalcedonowego Okrętu.

Ruma i Lestych patrzyli na niego w milczeniu. Druss wzruszył ramionami.

– No co? Mówiłem, że nie wiem, co się z tym robi!

– Na szczęście Manakum wie, co zrobić z tobą – stwierdziła Ruma.

Jej słowa rozciągnęły się, wypełniły bladą, podwodną

luminescencją i stały się kompletnie niezrozumiałe, a Druss pojął, że widzi tylko gasnący powidok rzeczywistości, którą właśnie opuścił.

ATRIIA
ATRIIA
GERS

BOONET

Właściwie nie znam swojego ojca. Nasze stosunki zawsze były chłodne i od wielu lat nie utrzymywałem z nim kontaktów. Podobno jest znakomitym psychiatrą, który może się pochwalić wieloma znaczącymi publikacjami i bywa częstym gościem na międzynarodowych seminariach naukowych, ale ja od dzieciństwa czułem się w jego towarzystwie jak szczur laboratoryjny wpuszczony w ciasne korytarze niezwykle skomplikowanego i wymagającego labiryntu, który potocznie nazywany jest rodziną. Pod jego zimnym analitycznym spojrzeniem nieustannie marzła mi skóra.

Możliwe, że naprawdę mnie kocha, jednak nigdy nie potrafił mi tego okazać. Albo nie chciał. Nie nalegał, żebym poszedł w jego ślady, lecz kiedy dowiedział się, że nie mam zamiaru pójść na studia, nie potrafił ukryć irytacji i rozczarowania. Wiedział, że od wczesnej młodości moje życie kręci się wokół fotografii, i wydawało się, że akceptuje i wspiera moją pasję. Myślę jednak, że tak naprawdę przez długi czas łudził się, że jest to tylko niegroźne hobby, przejściowa fanaberia, z której prędzej czy później wyrosnę i w końcu zainteresuję się czymś poważniejszym, najlepiej tym samym co on. Nigdy się tego nie doczekał, a moja milcząca i wycofana matka, skupiona na pracach domowych i zdumiewająco szczęśliwa w swojej kuchni, nie stanęła po żadnej ze stron. Nie przekonywała ojca, że powinienem pójść własną drogą, i nie dyskutowała ze mną na temat studiów. Wysłuchiwała mojej deklaracji niezależności i poszła gotować. Jak zwykle ukryła się w swoim azylu, tam gdzie nie dosięgały jej żadne problemy, w tym również chorobliwa pryncypialność ojca, który nie potrafił przyrządzić nawet najprostszej potrawy.

Kiedy skończyłem osiemnaście lat, pożyczyłem trochę pieniędzy i wynająłem pracownię. Przez pewien czas było mi bardzo ciężko, nie miałem klientów i znajomości, ale nie bałem się ciężkiej pracy. Zarabiałem na życie w sklepie z materiałami fotograficznymi, w weekendy robiłem zdjęcia na ślubach, a nocami ślęczałem w ciemni nad odbitkami. Rozwinąłem się, przyciągnąłem trochę szczęścia, i w końcu zaczęły się pojawiać poważniejsze zlecenia i większe pieniądze. Miałem powody do dumy. Uwierzyłem, że mogę żyć w zgodzie z własnym talentem i nie umrę z głodu. Już wtedy bardzo rzadko zaglądałem do rodzinnego domu. Gdy raz na pół roku zmuszałem się, żeby go odwiedzić, prawie zawsze okazywało się, że ojciec jest w pracy albo w delegacji, a matka krząta się w kuchni, w kółko myje czyste naczynia i myli mnie z sąsiadką, która czasem przychodziła do niej na pogaduszki. Po takich wizytach często zastanawiałem się, dlaczego tych dwoje obcych sobie ludzi sprowadziło mnie na ten świat? Ale wiedziałem, że to jedno z tych gorzkich pytań, na które nie ma słodkich odpowiedzi.

Ostatecznym dowodem na to, że moi rodzice żyli w dwóch różnych światach, które w ogóle do siebie nie przystawały, był fakt, że ojciec nie pojawił się na pogrzebie mojej matki, choć to podobno on znalazł ją martwą w kuchni. Zamiast tego poszedł na dyżur do szpitala. Nie wierzę, że nie mógł się z kimś zamienić. Nie wierzę. Tego dnia przestałem się do niego odzywać. Chyba nie robiło mu to żadnej różnicy, bo nie próbował się ze mną skontaktować przez prawie dwadzieścia lat. Aż do wczoraj.

Kiedy odebrałem telefon, nie poznałem ojca po głosie. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, skąd znam ten pretensjonalny ton. Błagał mnie, żebym przyszedł. Tak długo szlochał w słuchawkę, aż uległem. Na swoje nieszczęście.

* * *

- Czego chcesz, tato? Nie mogliśmy tego załatwić przez telefon?
- Usiądź, proszę.
- Nie ma mowy, najpierw mi to wytłumacz.
- Usiądź, to dłuższa opowieść. Napijesz się czegoś?
- Nie zachowuj się tak, jakby wszystko było w porządku. Jezu, nie płacz! Już dobrze, siądę na chwilę. Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Kiedyś potrafiłeś nad sobą panować.
- Wszystko się zmienia. Świat się rozpada, synu.
- O czym ty mówisz, tato?
- Miałem pewność, przez całe życie miałem pewność, że robię dobrze; że rezygnuję z jednych spraw na rzecz innych. To było sensowne, porządkowało rzeczywistość. Leczyłem ludzi, badałem fizjologię układu nerwowego, jakież to było proste. Dorzeczne. Pasujące do reszty. Wierzysz, synu? Wierzysz w coś?
- No... nie wiem. Do kościoła nie chodzę, jeśli o to ci chodzi.
- Nie. Wiesz przecież, co mam na myśli. Jakiegoś Boga, Bogów, Absolut, Materię, Pustkę. Cokolwiek. Tak naprawdę. Osobiście. W środku swojego jestestwa.
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Robię zdjęcia. Po prostu. I czasem, gdy godzinami przesiaduję w ciemni, mam przyjemne wrażenie, że jestem tam, gdzie trzeba. We właściwym miejscu i czasie. Nic więcej nie potrzebuję.
- A gdyby się okazało, że to bez sensu?
- Już wiem, co jest grane. Pozwól, że...
- Nie, nie, zaczekaj. Nie o to mi chodziło. Nie chciałem powiedzieć, że to, co robisz, jest bez sensu. Chcę tylko, żebyś się zastanowił, hipotetycznie, co by było, gdybyś któregoś dnia znalazł dowód na to, że fotografowanie nie ma sensu?
- Nie wiem, co powiedzieć. Pewnie nic by mi nie zostało. Czułbym się zagubiony. Chyba nie bardzo potrafię sobie wyobrazić taką sytuację.

– Ja też bym nie mógł. Świat spaja wiara. Naprawdę! Wierzysz w jakąś wersję rzeczywistości, przyswajasz fakty, które pasują do tego modelu, odrzucasz te, które nie pasują, i żyjesz tą wiarą. Tylko że czasem zdarza się coś, co w mgnieniu oka niszczy ten wypielegnowany domek z kart. A gdy stracisz wiarę, świat staje się przerażającym miejscem, w którym dzieją się dziwne, niezrozumiałe rzeczy.

– Tato, możesz wreszcie powiedzieć, o co chodzi?

– Widziałeś ten nowy budynek Instytutu Psychiatrii?

– Tak, czasem mijam go, gdy jadę samochodem.

– Pamiętasz, kiedy go wybudowano?

– Parę lat temu.

– Dokładnie cztery. Wcześniej stał tam rozsypujący się szpital psychiatryczny, taki przysadzisty, z czerwonej cegły.

– Wiem, zabierałeś mnie do niego wiele razy. Nienawidziłem tego.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Dobre sobie. Nigdy nie liczyłeś się z moim zdaniem. Nauczyłem się posłusznie przechodzić z kąta w kąt.

– Może i masz rację, ale to stare dzieje.

– Miło wiedzieć, że tak myślisz.

– Nie będę cię przeproszał. To był świadomy wybór.

– Świadomy wybór? Tato?! Świadomy?! Co ty mówisz?! Chcesz mnie jeszcze bardziej skrzywdzić?! Jeśli tak, to jesteś na dobrej drodze!

– To nie tak. Niezręcznie wyszło. Nie potrafiłem inaczej. Nie miałem złych intencji. Chciałem dobrze.

– Nie dla mnie.

– Rozumiem twoje rozgoryczenie, ale jesteś dorosły i możesz na to wszystko spojrzeć chłodnym okiem. Bez tych emocjonalnych naleciałości...

– Pieprzę to. Niepotrzebnie przyszedłem. Mów, o co chodzi, i kończmy ten cyrk.

– Dziwię się, że nie możesz zrozumieć...

– Oj, przestań chrzanić. Nie rozumiem, bo nie jestem tobą i w głowie mi się nie mieści, że można było tak traktować własnego syna. Do rzeczy!

– Dobrze już, dobrze. Kiedy zapadała decyzja o wyburzeniu starego szpitala, byłem już dyrektorem Instytutu i brałem udział w selekcji projektów zgłoszonych do przetargu, gromadzeniu potrzebnej dokumentacji, a także organizacji przeprowadzki pacjentów do lokalu zastępczego. Po roku przygotowań ruszyliśmy pełną parą. Przenieśliśmy szpital do trzech budynków na granicy miasta i daliśmy zielone światło ekipie budowlanej, która zrównała budynek z ziemią i zaczęła usuwać gruz, ale po miesiącu wstrzymano wszystkie prace i wezwano nas na plac budowy – mnie i dwóch członków zarządu. Z trudem oderwałem się od swoich obowiązków, w końcu budownictwo nie jest moją działką, a w Instytucie wciąż było coś do zrobienia. Jednak inżynier, który kierował budową, zarzekał się, że prace wznowi dopiero po naszej wizycie. Wspomniał tylko, że musimy coś zobaczyć i podjąć decyzję. Pojechaliśmy. Na miejscu okazało się, że starego szpitala już nie ma. Cały teren został zniwelowany, oprócz narożnika budynku, który miał kształt wieży. Facet zaprowadził nas prosto do niego. Kazał nam włożyć kaski, rozdał latarki i zaczęliśmy schodzić kręconymi schodami. Nie znałem tego korytarza, bo wcześniej był zamurowany. Po kilku chwilach dotarliśmy do pustego, okrągłego pomieszczenia. Inżynier wyjaśnił, że według pomiarów ta część budynku sięga poniżej fundamentów, więc postanowili się jej przyjrzeć. Przebili się przez podłogę piwnicy i odkryli, że pod nią znajduje się jakaś duża komora, która wygląda jak stary kamienny silos i ma około dziesięciu metrów głębokości. Staliśmy na jej

pokrywie. Byłem rozdrażniony i zapytałem go, czy to zabytkowy obiekt, bo bałem się, że to znacznie opóźni, a w najgorszym przypadku może nawet uniemożliwić dalsze prace. Inżynier potwierdził, ale od razu dodał, że mamy większy problem. Patrzyłem na niego jak na idiotę. Nie miałem pojęcia, o co może chodzić. Powiedział, że sami musimy to zobaczyć, i odsunął ciężką drewnianą platformę, która zakrywała otwór wykuty w podłodze. Zajrzałem do środka i poświeciłem latarką. Komora miała cylindryczny kształt. Snop jasnego światła wyłowił z ciemności kamienne mury i niezbyt odległe dno. Wały się tam resztki rozbitych mebli, jakieś krzesła, połamana szafa. Nagle poczułem się dziwnie.

– To znaczy?

– Na pewno wiesz, jak to jest, gdy czujesz, że ktoś ci się przygląda, ale nie widzisz tej osoby.

– Zdarzyło mi się kilka razy.

– Właśnie tak się poczułem. Zacząłem wodzić światłem latarki po dnie komory. Nie wiedziałem, czego szukam. I nagle ją zobaczyłem.

– Co? Kogo?

– Kobietę. Piękną ciemnowłosą kobietę w powłóczystej sukni na ramiączkach, stała na dnie komory, zadzierała głowę i świdrowała mnie zimnym, przenikliwym wzrokiem. Świeciłem jej w twarz, a ona nawet nie mrugnęła. Nie wytrzymałem jej spojrzenia. Odsunąłem się, żeby inni też mogli to zobaczyć. Potem spojrzeli na mnie, a ja na nich. Byliśmy bliscy paniki. Takie rzeczy się nie zdarzają. Nie istnieją. Chciałem coś powiedzieć, żeby rozładować atmosferę, ale nie mogłem. Wtedy usłyszeliśmy jej głos.

– Powiedziała coś?

– Tak. Jedno słowo. I to takim charakterystycznym tonem, jakiego używa się, gdy szuka się dziecka, które narozrabiało

i schowało się przed gniewem rodziców. Mam nadzieję, że już nigdy go nie usłyszę. Powtórzyła je dwa razy. W życiu się tak nie bałam.

– Potrafisz je powtórzyć?

– Tak, choć wiele bym dał, żeby zapomnieć. Powiedziała: „Atrifa?!”, „Atrifa?!”. Uciekliśmy stamtąd w popłochu.

– Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę, tato?

– Dlaczego miałbym kłamać?

– To wszystko czemuś służy. Nie wiem, o co chodzi, ale czuję, że coś kombinujesz. W każdym razie dość tego! Oszczędź mi swoich problemów. Nie mam ochoty słuchać historii ratowania tej kobiety.

– Nikt jej nie ratował.

– Jak to?! Przecież najwyraźniej dostała się tam przez przypadek. Pewnie z ciekawości zakradła się na plac budowy, a potem zeszła po schodach do piwnicy, nie zauważyła otworu i wpadła. Chyba nie sugerujesz, że to duch?

– Nic nie rozumiesz, synu. Kiedy robotnicy wykuli otwór, ona już tam była i nie wyglądała jak duch. Tamten budynek miał ponad pół wieku i wybudowano go pod koniec lat czterdziestych na gruzach szpitala wojskowego, który powstał w osiemnastym wieku. Nie wiadomo, jak stara jest ta komora, ale można przypuszczać, że jest zamknięta co najmniej od czasu, gdy wybudowano poprzedni szpital. Rozumiesz, co mówię? Ponad pięćdziesiąt lat w zamknięciu, w ciemności, bez wody i jedzenia, a ona żyje. Na jej widok prawie zesraliśmy się ze strachu!

– Niemożliwe.

– Chciałbym mieć twoją pewność, ale wiem, co widziałem.

– Co zrobiliście?

– Robotnicy zamurowali otwór i zalali piwnicę betonem. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że ona wciąż tam jest i jeśli będzie chciała wyjść, to nic nie stanie jej na przeszkodzie.

– Może są tam jakieś podziemne korytarze? Magazyny? Źródło wody?

– Nie ma. Badano teren sonarem geologicznym. Musisz też wiedzieć, że umarli wszyscy, którzy ją widzieli. Oprócz mnie. Ale to nie potrwa długo. Czasem w nocy owiewa mnie stęchły zapach mokrych szmat. Śpię przy zapalonym świetle, lecz to nie pomaga. Przepisałem na ciebie wszystko, co mam.

– Przestań, tato! Wpadłeś w paranoję. Może powinieneś porozmawiać ze swoimi kolegami?

– To nic nie da. Wiem, co się stanie. Wiem, co mnie czeka. Przechodzę przez to samo co wszyscy, którzy tam ze mną byli. Umrę, synku, i nic tego nie zmieni. Umrę w męczarniach. Już niedługo. Niedługo. Potrzebowałem tylko, żeby ktoś mnie wysłuchał, i chciałem cię jeszcze raz zobaczyć.

– To szaleństwo, tato.

– Przeciwnie, to rozwiązanie. Od kiedy ją zobaczyłem, nie mogę żyć i pracować, wszystko wydaje się błahe, banalne, pozbawione znaczenia. Utraciłem wiarę. Nie potrafię odbudować mojego domku z kart. Idź już, synu.

– Ale...

– Idź!

* * *

Wyrzucił mnie z mieszkania. Długo błąkałem się po mieście. Nie potrafiłem się zmusić, żeby wrócić do domu, więc poszedłem do baru. Piłem piwo za piwem, ale nie mogłem się upić. Dygotałem ze strachu. Czy on naprawdę chciał się wygadać, czy zależało mu na czymś innym?

Czy któregoś dnia również poczuję stęchły zapach mokrych szmat?

GERRS

NODOMER
TRAFFORD

Tykał, klekotał, podskakiwał, wirował, przemieszczał się ruchem posuwisto-zwrotnym, huśtał się miarowo, a potem skręcał się i rozkręcał – jego świadomość była skomplikowanym zegarowym mechanizmem, który nie miał granic. Nieustanny ruch kół zębatych, popychaczy, sprężyn, wychwyków, łańcuchów i przekładni był nieustannym ruchem myśli, a umysł wypadkową wielu drobnych ruchów, wielu drobnych myśli. Był też rezonansem powstającym na styku równoległych strumieni świadomości i impulsów sensorycznych.

Wiedział, że tuż obok niego egzystuje wiele innych umysłów, i rozumiał, że w jakimś stopniu istnieje niezależnie od nich, ale także bazuje na nich, więc stanowi ich przedłużenie, nadbudowę, konsekwencję, kolejne ogniwo mechanizmu podtrzymującego cyrkulację fal świadomego istnienia. Wszędzie dookoła, zarówno w dole, jak i w górze, aż po kres możliwości postrzegania, widział ruchomą mechanikę myślenia, otaczała go i wypełniała, bo była rzeczywistością, którą dostrzegał, oraz świadomością, dzięki której jej doświadczał. Coś jednak nie pasowało do tego widoku i zakłócało płynną cyrkulację świadomości, która próbowała modyfikować działanie mechanizmów w taki sposób, by ominąć szkodliwą obecność i zanegować jej istnienie. Systemy obronne – zawory bezpieczeństwa i bezpieczniki ciśnieniowe – nie mogły sobie z nią poradzić. Nie pasowała tu, bez wątplenia była obcą emanacją, i w żaden sposób nie chciała się zazębić z otaczającą ją mechaniką myślenia, lecz nie pozwalała się również wyprzeć czy zignorować. Zamiast tego niepokojąco spowalniała działanie mechanizmów i skupiała na sobie uwagę. Miała wyraźny obrys. Jej kształt wyróżniał się czterema kończynami i okrągłą naroślą, na której

znajdował się symetryczny układ otworów i wypustek – było w nim coś uderzająco znajomego.

Mimo że bardzo się opierał, nie mógł już lekceważyć tej obecności. Czuł, jak zwalniają koła zębate i gwałtownie rośnie opór w przegubach wirujących wałów. Czuł, jak jego świadomość gęstnieje i nieuchronnie skupia się wokół dziwnej obecności. Nie chciał tego, lecz nie potrafił się przeciwstawić tej hamującej, przyciągającej sile, która przejmowała go trybik po trybiku.

– Druss – przekazała mu obecność elektryzującym tonem. – Skup się!

Słowa-impulsy wypełniły jego umysł scalającą wibracją i zmieniły konfigurację świadomości, która dzięki temu odzyskała większość właściwości umysłu Drussa i przypomniawszy sobie, kim była w innym świecie.

– Dobrze ci idzie – stwierdził Lestych, który trwale zasklepił się w swojej obecności. – Ale uważaj, nie wolno ci całkowicie zatrzymać dryfu świadomości, bo zostaniesz wypchnięty poza granice monady i będziemy mieli kłopoty.

– Co... co to za miejsce? – zapytał Druss, wysyłając w stronę Lestycha słowa, które miały kształt długich, energetycznych fal.

– Gers, miasto-monada, integralna część biomechanicznej struktury stworzonej przez croa.

– Skąd ty to wiesz?

– Nie ja wiem, tylko ty. Widzieć znaczy wiedzieć, a wiedzieć znaczy widzieć. Później się tym zajmiemy, bo musimy szybko opuścić warstwę żywoświadomych i przemieścić się niżej, między martwoświadomych. Umysły croa skupionych wokół osobliwości i nieciągłości mechanicznej myślomaterii cyrkulują o wiele wolniej niż tych tutaj, nieustannie ścigających się ze strumieniami informacji. W tamtych rejonach mechanizmy obronne są znacznie mniej restrykcyjne i właśnie tam powinniśmy znaleźć rezydenta

Yvvy'ego.

– O czym ty mówisz?

– Musisz się zsunąć w dół.

– Gdzie? – zapytał zdezorientowany Druss, gdyż obecnie nie istniało dla niego pojęcie góry czy dołu.

Mgliście pamiętał jednak, co te terminy oznaczały w Linvenogre, i próbował nałożyć tę wiedzę na rzeczywistość Gers, lecz to tylko pogłębiało jego pomieszenie.

– Nie tak! – skarcił go Lestych. – Tu jest inna góra i inny dół. Rozluźnij percepcję i daj się ukształtować jej impulsom, ale cały czas utrzymuj tę samą prędkość dryfu świadomości.

Druss chciał wykonać polecenie Lestycha, lecz w żaden sposób nie mógł tego zrobić. Gdy próbował się koncentrować, jego świadomość wyraźnie zwalniała, a gdy wczuwał się w impulsy percepcyjne, zaczynał się rozmywać w nieustannym ruchu mechaniki myślenia.

– Nie potrafię – jęknął.

– W takim razie zrobimy inaczej. Pokażę ci, w którą stronę musisz skierować świadomość, a ty sięgniesz nią tak daleko, jak tylko zdołasz. Rozumiesz?

– Tak.

Lestych, obcy kształt w mechanicznych bebechach Gers, stojący na osłonie wirującego wału, wskazał palcem między swoje stopy. Nagle Druss zrozumiał, że właśnie tam jest dół, i zaczął się zsuwać wzdłuż wsporników, po okręgach kół zębatych, szczelinami prowadnic i wszelakimi krawędziami ruchliwej maszynierii Gers. Mknął coraz szybciej, jakby spadał swobodnie przez mechaniczne chmury, które wyglądały solidnie, ale nie dawały żadnego oparcia. Nie wiedział, jak spowolnić ten pęd, ale zanim zdążył się naprawdę przestraszyć, coś odbiło go w bok i zakreśliło wokół systemu wirujących tulei. Gwałtownie wyhamował na granicy pustej,

bezdennej przestrzeni, wolnej od mechaniki myślenia.

– To musi być gdzieś tu – stwierdził Lestych, stojąc na dźwigarze i patrząc w dół na nieregularną ścianę mechanizmów znikającą w otchłani. – Tylko niżej. Pośpieszmy się. Namierzają nas.

Tuż nad nimi w terkoczące tryby wniknęło zgiełkliwe przyśpieszenie, które jakby zmierzało w ich stronę. Druss nie chciał się z nim spotkać. Ruszył w dół. Tym razem starał się świadomie wybierać drogę, lecz szybkość uniemożliwiała jakikolwiek namysł. Zrezygnował więc z prób analizowania impulsów sensorycznych i zdał się na ich bezpośrednie oddziaływanie. Wtedy poczuł, że docierają do niego sygnały, które ściągają go w konkretne miejsce. Zobaczył je wyraźnie, choć było za daleko, by mógł je dostrzec. W tej samej chwili umysł Drussa zestroił się z maszyną Gers, przyśpieszył, stał się błyskiem, biotryczną iskrą, która najkrótszą drogą przeskoczyła do miejsca, które go przyciągało – do długiej, spiralnej kratownicy wyrastającej z pionowej ściany połączonych mechanizmów i sięgającej daleko w głąb pustej przestrzeni. Rdzeniem konstrukcji był ażurowy tunel, w którym ciągnął się pojedynczy tor zbudowany z masywnych cewek ułożonych jedna za drugą. Razem wytwarzały potężne pole magnetyczne, które pochwytiło świadomość Drussa i wtłoczyło ją w cylindryczny wagonik wyglądający jak podłużny szklany walec lewitujący nad torem. W jego przezroczystym wnętrzu był zamknięty delikatny miedziany mechanizm, zatopiony w ciemnym oleistym płynie, który nieustannie krążył między wirującymi trybikami. Druss poczuł jego uspokajający, osadzający ruch. Dzięki niemu odnalazł, określił i zamknął kształt swojego ciała. Wróciło do niego wrażenie ciężaru i znajome wyczucie przestrzeni, która otworzyła się wokół niego. Rozjarzyło się ciemnożółte światło, a jego uszy wypełniły się cichym basowym buczeniem. Rozejrzał się, żeby odnaleźć jego źródło.

Siedział w dużym i miękkim fotelu, który stał w długim pomieszczeniu przypominającym wewnątrz przytulnego kufra pełnego dziwnych mebli i zagadkowych urządzeń, wokół których wiły się grube kable. Miał na sobie ciasne spodnie do kolan, szpiczaste buty i białą, obszerną koszulę z falbaniastym kołnierzem. W dłoni trzymał kielich z grubego szkła, w którym falował ciemny płyn. Powąchał go. Pachniał cierpko sfermentowanymi owocami.

– To tylko wino. Nic się nie stanie, jeśli spróbujesz.

Druss zerwał się z fotela i nerwowo rozejrzał. Niemal oblał się winem, więc ostrożnie odstawił kielich na niski stolik i powoli ruszył w głąb pomieszczenia. Mijał buczące urządzenia, przekraczał grube wiązki kabli i zaglądał w każdy kąt, ale nie widział tam nic, co mogłoby do niego przemówić.

– Jeszcze kilka kroków – odezwał się ponownie ten sam bezcielesny głos. – A potem schodami w dół.

Rzeczywiście, Druss ominął pękatą maszynę, z której wyrastały tępo zakończone cylindry świecące nikłym czerwonym światłem i zobaczył wąskie kręcone schody prowadzące na niższy poziom. Zszedł po nich i znalazł się w kolejnym, podłużnym pomieszczeniu, które było o wiele wyższe od poprzedniego, ale też znacznie bardziej zagracone maszynami. Różniło się także tym, że w jego ścianach były osadzone małe okrągłe okna. Druss powoli, bez lęku, podszedł do jednego z nich. Na zewnątrz przesuwała się gęsta siatka kratownicy, za którą rozpościerała się szara otchłań, tylko z jednej strony ograniczona ścianą ruchomej mechaniki myślenia Gers. Ale wagonik wciąż się od niej oddalał.

– Robi wrażenie, prawda? – zapytał bezcielesny głos, lecz tym razem Druss miał wrażenie, że znalazł się bliżej niego.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mechanicznym człowiekiem, stalowym szkieletem wypełnionym naga, niczym

nieosłoniętą maszyną, która terkotała na wysokich obrotach. W jego głębokich oczodołach żarzyły się ciemnożółte lampy.

– Owszem – odparł chłodno Druss. – Zastanawia mnie, dlaczego aktywność twoich emanacji nie zatrzymuje czasu.

– Im dalej od źródła, tym słabszy efekt. Wiesz, Druss, to przypomina fale rozchodzące się na wodzie.

– Jak mam cię nazywać?

– Jestem Scalz i właściwie wcale tak nie wyglądam, w żadnym razie nie przypominam człowieka, lecz chciałem, żebyś zobaczył tu coś znajomego, coś, co pomoże ci osadzić się w modelu rzeczywistości, który utrzymuję w tym wagoniku.

Druss był zdezorientowany i rozdrażniony częstymi zmianami stanu skupienia świadomości, które towarzyszyły przeprowie przez Gers, a także tym, że wciąż nie wiedział, dlaczego się tu znalazł, więc nie miał ochoty tracić czasu na kurtuazyjne rozmowy. Pragnął konkretów.

– Doceniam twoje starania, naprawdę – powiedział. – Ale przede wszystkim chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, co ja tu robię?

– No tak – stwierdził Scalz. – Przydałyby się jakieś fakty, punkty odniesienia, ale to jest akurat coś, czego nie posiadam w nadmiarze. Mam głównie teorie i przypuszczenia.

– Jak to?

– Tak naprawdę nie mogę ci wytłumaczyć, co i jak trzeba zrobić, bo sam tego nie wiem. W istocie ściągnąłem cię tu po to, żeby ci pokazać dziurę, do której musisz wskoczyć.

– Dziurę?!

– Wiesz, to tylko takie porównanie. Chodzi o to, że pozornie niemal wszystkie anomalie wyglądają jak...

– Dobrze już, rozumiem! – krzyknął poirytowany Druss. – Możesz przejść do tych swoich teorii i przypuszczeń?!

Scalz, jak przystało na maszynę, jakby w ogóle nie dostrzegając

gwałtownych emocji Drussa. Albo też starał się sprawiać takie wrażenie.

– Naturalnie – odparł niezrażony. – Zbudowałem to mobilne obserwatorium, żeby zająć się badaniem jednej z największych anomalii w Gers. Wierz mi, jest ich tu naprawdę sporo, ale ta jest najciekawsza. I wcale nie chodzi o jej rozmiary, lecz o profil i głębokość. Po pierwsze, jako jedyna przebija się przez ponad dwadzieścia trzy rzeczywistości. A po drugie, dogłębna analiza jej energetycznego profilu potwierdza, że stworzyło ją coś, co oderwało się od któregoś z najmłodszych światów. To czyni ją naprawdę wyjątkową, bo większość tutejszych anomalii powstała w wyniku oddziaływania mentalnych artefaktów, które wymknęły się spod kontroli łowców cumujących w ruchomym porcie Kvall. A pozostałe są efektami ingerencji potężnych istot, które od czasu do czasu wynurzają się z bezkresnego oceanu kamieni zwanego Torot, rozciągają swoje przekształcające czasoprzestrzeń kończyny i zostawiają trwałe blizny we wszystkich rzeczywistościach, których zdołają osiągnąć.

– Wiesz, co mogło ją stworzyć? – zapytał Druss.

– Nie mam pojęcia, ale mam pewną teorię. Ja i moje bliźniacze emanacje zbadaliśmy tor tej anomalii. Oczywiście w stopniu, w jakim było to możliwe. Nie udało nam się odkryć, w której rzeczywistości utkwilo to, co ją wywołało, bo ślad się urywa i nie da się tego stwierdzić z całą pewnością. Znaleźliśmy jednak ciekawą prawidłowość. W każdym świecie, przez który przebiło się to coś, pojawiają się opowieści o Krek'h-pa. Te historie różnią się między sobą. Mówią o ziarnie życia lub życiodajnej iskrze spadającej z nieba. Albo o boskim mechanizmie czy gwiazdnym promieniu zapewniającym nieśmiertelność. Niektóre wspominają o ogromnej kuli gęstej wody, która wynurzyła się z głębin, nie mieszała się ze zwykłą wodą, i płynąc, zostawiała za sobą zupełnie nowe,

dotychczas nieznanne organizmy, a inne opowiadają o świętych gwiazdach-znakach, które zapowiadają nadejście wcielonych bogów. Ale, bez względu na treść tych historii, w każdej z nich pojawia się dokładnie ta sama nazwa: Krek'h-pa. I w żadnym razie nie można tu mówić o przypadku. Większość emanacji Yvvy'ego uważa, że ta absolutnie niemożliwa zbieżność to dowód na to, że rzecz, która przebiła się przez te wszystkie rzeczywistości i utworzyła anomalię, wciąż jest aktywna i nieustannie podtrzymuje oraz stabilizuje jej istnienie. A przy tym każdą z tych rzeczywistości obdarza swoją energią, częstką swojego życia. To musi być coś niewyobrażalnie potężnego, coś, dzięki czemu można się przedostać do młodszych światów, albo uaktywnić nowe zaczepy xulo, pobudzić cyrkulację świadomości na Usimie i zrekonstruować jej połączenia z Kvall.

– Faktycznie same teorie i przypuszczenia – podsumował Druss.

– Tak jak mówiłem – stwierdził Scalz. – Choć naszym zdaniem istnieje prosty sposób na ich weryfikację.

– Na czym on polega? – zainteresował się Druss, ale w chwili gdy sformułował pytanie, zrozumiał, że odpowiedź może być tylko jedna.

– Trzeba się zintegrować z anomalią, opaść na jej dno i odnaleźć to, co ją stworzyło, to, co wszystkie opowieści określają mianem Krek'h-pa.

– Dlaczego do tej pory żadne z was tego nie zrobiło?

– Skok w głąb anomalii jest zbyt ryzykowny. Nie jesteśmy na tyle silni, żeby oprzeć się przekształcającym turbulencjom i zawirowaniom, a utrata choćby jednej emanacji może oznaczać dla Yvvy'ego niebezpieczną destabilizację świadomości.

Druss spojrział z powątpiewaniem.

– Skoro wy nie możecie sobie poradzić, to ja tym bardziej nie mogę tu pomóc.

– Racja, ty sam nie możesz, ale ty, Lestych i Manakum stworzycie potężne organum, które ma szansę odnaleźć Krekh’pa, rozpoznać jego naturę i może nawet użyć z pożytkiem dla Usimy.

– Lestych? Widziałeś go? Zgubiłem go po drodze...

– Ależ nie. Był tu pierwszy. Właśnie kalibruje służę.

Druss nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Pierwszy? Przecież schodziliśmy razem...

– Tak, ale on wytyczył ścieżkę dostępu, można powiedzieć, że sam był tą ścieżką, a teraz przygotowuje wejście do anomalii.

– Ej, chyba mam tu coś do powiedzenia?! – zaprotestował Druss.

– Masz, oczywiście, ale z tego, co wiem, wyraziłeś już zgodę, tam, w Linvenogre.

Druss przypomniał sobie o umowie z Yvvy’m.

– No tak – przyznał zrezygnowany. – To gdzie ten Lestych?

Scalz poprowadził Drussa wąskim przejściem kluczącym między wysokimi, buczącymi machinami i po chwili znaleźli się w komorze dziobowej wagonika. Większość miejsca zajmował tu duży okrągły otwór zamknięty kilkunastoma pancernymi płytami, które zachodziły na siebie koncentrycznie i tworzyły gwiazdzisty wzór. To musiała być służa, o której wspominał Scalz, bo krzątał się przy niej Lestych, w skupieniu manipulował cienkimi tulejami i wsłuchiwał się w dźwięk przeskakujących zapadek.

– Nie podoba mi się to – wyznał Druss.

– Czemu? – zapytał Lestych, który odwrócił się w jego stronę.

– To szaleństwo, mogę zginąć.

– W takim razie ja też powinienem się bać i chyba nie miałbym powodu, żeby cię zachęcać do skoku, prawda?

– Zgadza się – przyznał Druss.

– Ale się nie boję.

– Dlaczego?

– Dzięki Manakum nie grozi nam nic, co byłoby choć trochę

podobne do śmierci.

– Skoro jesteś taki pewny, to powiedz, co się stanie, kiedy skoczemy?

Lestych uśmiechnął się rozbrajająco.

– Niewątpliwie coś ciekawego. Jeśli Yvvy i jego emanacje mają słuszność, to zbliżymy się do odkrycia i rozpoznania Krek'h-pa, a jeśli jej nie mają, to anomalia najprawdopodobniej wyrzuci nas w jednej z przebitych rzeczywistości i będziemy musieli znaleźć jakiś sposób na to, żeby wrócić stamtąd do Gers lub Linvenogre.

– A co będzie, gdy utkniemy w jakimś obcym, niepojętym świecie? Przecież nawet tu ledwo ocaliłem swoją dawną świadomość.

– Zmienisz się, Druss. Zmienisz się, by odkryć, że tak naprawdę nie możesz się zmienić.

– Znowu zaczynasz...

– Kalibracja gotowa – przerwał mu Lestych, zwracając się do Scalza. – Kiedy znajdziemy się w odpowiedniej pozycji?

– Za moment – odparł mechaniczny człowiek, który nie był mechanicznym człowiekiem. – Właściwie już.

– Zatrzymaj i otwórz – polecił Lestych.

Druss poczuł, że wagonik zwalnia, po czym staje w miejscu. Pancerne płyty śluzy bezszelestnie rozsunęły się na boki. Dotarli do końca spiralnej kratownicy. Dziób wagonika wisiał nad szarą, przepastną pustką. Druss ostrożnie podszedł do krawędzi śluzy, stanął obok Lestycha i spojrział w dół. Coś tam było. W głębi otchłani coś wiło się hipnotycznym, podwodnym ruchem. Przypominało cieniutką wstążkę światła.

– Co to jest? – zapytał Druss.

– Rdzeń anomalii, tańcząca energia, wpadniemy prosto w jej objęcia – odparł Lestych.

– Nie uspokoileś mnie.

Druss wiedział, że nie ma już odwrotu. Świat, jego świat, jedyny, jaki do niedawna znał, bezpowrotnie wyślizgnął mu się spod nóg wraz ze wszystkim, co nadawało mu znaczenie. Bał się, ale był gotowy do skoku, bo obecnie tylko to miało dla niego sens. Nagle przypomniał sobie o Scalzie. Odwrócił się i zobaczył, że nikt za nimi nie stoi. Spojrzał pytająco na Lestycha. Archiwista wzruszył ramionami.

– Wykonał swoje zadanie i już nie musi udawać człowieka.

– Czym tak naprawdę jest ta emanacja? Wagonikiem, czymś, co wybudowało wokół siebie ten wagonik, a może biomechaniczną świadomością typową dla Gers?

– Nie wiem. Pewnie wszystkim po trosze. Skaczemy?

Druss westchnął.

– Boję się. Chciałbym mieć pewność, że ktoś mnie złapie.

– Może i tak będzie...

Druss poczuł, że nadeszła właściwa chwila. Strach ustąpił. Otworzyła się szara pustka i wstążka wijącego się światła skoczyła w jego stronę.

* * *

Tenan nie potrafił się pogodzić z faktem, że Mistrzowie jego rodu ukarali go z taką surowością, jakby to on ponosił winę za to, że ostatni człowiek w Linvenogre zniknął bez śladu. Uważał, że to niesprawiedliwe, i w żadnym razie nie poczuwał się do winy, ale mimo to starannie ukrywał narastającą frustrację i usiłował sumiennie wykonywać nudne, ogłupiające prace, bo wierzył, że kara nie będzie trwała zbyt długo i jeśli przyjmie ją z godnością, to szybko uda mu się wrócić do łask starszyny. Dzisiaj zrozumiał jednak, że tak się nie stanie, a jego upadek na dno rodowej hierarchii jest zapewne ostateczny i nieodwracalny.

Pojął to w chwili, gdy Soter, asystent Mistrza Merce, zaprowadził go do archiwum i wytłumaczył, na czym będzie polegać jego nowa praca; praca, którą zazwyczaj powierza się niedoświadczonym młodzikom wdrażającym się w życie kominodomowych społeczności. Nic, co musiał robić do tej pory, nie było ani tak poniżające, ani tak kiepsko rokujące na przyszłość, jak przewijanie pajęczych archiwów – mozolna, monotonna i męcząca praca, która nigdy nie miała końca.

Regularne rozwijanie pajęczyn i nawijanie ich na nowe wrzeciona zapewnia im dopływ świeżego powietrza, które powstrzymuje rozwój podstępnej grzybni niszczącej zwinięte nici wraz z zapisanymi na nich informacjami, i co za tym idzie, umożliwia wieloletnie przechowywanie zgromadzonej wiedzy. Rzecz jednak w tym, że trzeba to robić naprawdę często. W małych archiwach nie jest to może uciążliwy obowiązek, ale w tych naprawdę dużych codziennie należy przewinąć kilkadziesiąt albo kilkaset wrzecion. Codziennie. A podziemne archiwum rodu Tenana należało do największych w Linvenogre.

Tenan znał to miejsce, pracował tu za młodu, a później, gdy zaczął się wspinać po drabinie rodowej hierarchii, często korzystał z jego zasobów. Ale teraz wrócił do archiwum na takich samych prawach jak młodzi perusi, którzy jeszcze niczego nie dokonali i nic nie znaczą w społeczności tego kominodemu. Jeszcze niedawno wściekał się, że musi przygotowywać pulpę spożywczą dla najszacowniejszych Mistrzów albo polerować rytualne utensylia wykorzystywane podczas czemes lub wydalniczego koro. Wtedy jeszcze wydawało mu się, że starszyzna chce go tylko poniżyć, dać mu nauczkę, przypomnieć, że nie może samodzielnie podejmować decyzji. Jak bardzo się mylił... W archiwum dotarło do niego, że szpiegowanie Drussa było jego życiową szansą na zdobycie dozgonnego szacunku w rodzie, ale nie potrafił jej wykorzystać,

dlatego został spisany na straty i już do końca swojego marnego żywota będzie przewijał pajęczne sploty. W ten sposób starszyzna pokazała mu, gdzie jest jego miejsce i jak nikła jest jego przydatność dla rodu.

Stary Rine, który z nieznanых powodów nigdy nie awansował na Mistrza i od niepamiętnych czasów zawiadywał archiwami, przejął Tenana od Sotera i zaprowadził go do stelaża z wrzecionami, od których miał zacząć przewijanie. Rine dobrze wiedział, że nie musi mu tłumaczyć, jak obchodzić się z pajęczynami, więc bez słowa zostawił go z nimi sam na sam i wrócił do pilnowania młodzików.

Tenan rozciągnął ektoplazmatyczną wypustkę i rozejrzał się dookoła. Stelaż, przy którym stał, był tak długi, że gdy wreszcie upora się ze wszystkimi wrzecionami i dojdzie do jego końca, z całą pewnością będzie musiał wrócić na początek i zacząć przewijanie od nowa. Był również przymocowany do podłogi i umieszczony w ciemnym rogu pomieszczenia, więc musiał zawierać mało znaczące, drugorzędne informacje, bo z powodu lepszej cyrkulacji powietrza wszystkie cenniejsze zapisy przechowuje się zazwyczaj na stelażach przytwierdzonych do sufitu.

Tenan zapadł się w siebie, to podwójne upokorzenie odebrało mu resztki godności i woli. Przysunął do siebie mobilny kołowrót służący do przewijania pajęcznych nici, zmienił kształt wypustki i sięgnął po pierwsze wrzeciono.

Wieczorem archiwum zaczęło pustoszeć i Tenan też postanowił wrócić do swojej komory. Pożegnał się z Rine i opuścił pomieszczenie bocznym korytarzem. Wyszedł wprost do bujnego ogrodu, który porastał dno kominodomu. Było już ciemno, ale między drzewami rozciągały się fosforyzujące pnącza, emanujące miękkim, przyjemnym światłem, ułatwiającym odszukiwanie alejek. Tenan przeszedł na drugą stronę kominodomu i wskoczył na

pionową ścianę, na całej wysokości porośniętą grzybniovymi pąklami, w których perusi drążyli swoje mieszkalne komory. Jedna z nich należała do Tenana. Wspiął się do niej – nawet w całkowitych ciemnościach rozpoznałby ją po zapachu – i ostrożnie wsunął się do środka przez mały, okrągły otwór. Przytulił nogi do kulistego ciała, wciągnął ekto plazmatyczną wypustkę i usadowił się w ciasno dopasowanym wnętrzu. Dolną częścią tułowia przykleił się do wilgotnego dna komory, pokrytego papką z rozgniecionych owoców i ziół wymieszaną z kawałkami kory drzewa termok, która spowalnia proces fermentacji i nadaje papce kwaśny posmak. Gdy jego organizm zaczął wchłaniać ożywcze soki, Tenan poczuł przyjemny, sycący chłód wnikaający pod skórę oraz ledwo wyczuwalny puls wody wypełniającej grzybniove kapilary jego komory. Zrobił się senny. Miał schowaną wypustkę, więc nie widział drzew, które nocą wyglądały jak ciemnozielone lampiony rozświetlone od wewnątrz fosforyzującymi pnączami, ale ten widok trwale zapisał się w jego pamięci i nie musiał używać wypustki, żeby potwierdzić jego istnienie. Właściwie od pewnego czasu wystarczało mu już samo wspomnienie, które wydawało się bardziej prawdziwe niż to, co rzeczywiście rosło na dnie kominodomu.

Domyślał się, dlaczego tak jest – tracił więz ze swoim rodem, rodzinnym kominododem i jego starożytnymi prawami, bo przekroczył granicę i nie mógł już funkcjonować na takich samych zasadach jak inni perusi. Już sam fakt, że potrafi kwestionować decyzje starszyny, dowodził, że nie ma dla niego powrotu do dawnego życia. Kto raz zaczął samodzielnie myśleć, podejmować decyzje i szukać odpowiedzi, ten już nigdy nie przestanie tego robić. Co mu pozostaje? Tenan słyszał plotki o perusach, którzy z własnej woli opuszczają swoje rody i wybierają samotnicze życie, ale osobiście spotkał tylko jednego niezależnego perusa – Menura,

który sprytnie usadowił się w strefie niczyjej, dokładnie na styku społeczności perusów i zaminów. Tenan wątpił, by udało mu się powtórzyć jego wyczyn.

Perus balansował na granicy snu i przyglądał się przepływającym myślom. Przychodziły i odchodziły, a on ich nie zatrzymywał. Nagle usłyszał cichy, kojący szmer. To był jego ulubiony dźwięk – szelest deszczu na liściach. Tenan wysunął ektoplazmatyczną wypustkę. Spojrzał na mokre lampiony rozświetlonych drzew i poczuł ukłucia spadających kropli, w których nie było już ciepła, bo zapowiadały nadejście zimnej monsunowej pory. Zadrżał. Ale nie z zimna. Wzbierał w nim strach. Bał się, gdyż tak naprawdę wiedział, co powinien zrobić. Od dawna było to dla niego oczywiste, lecz wciąż brakowało mu odwagi, by podjąć działanie. Gdy tylko zaczynał o tym myśleć, natychmiast wmawiał sobie, że jutro podejmie decyzję, i starał się zapomnieć o sprawie, jednak dzisiaj, po całym dniu w archiwum, gotów był podjąć każde ryzyko. Niżej nie można już upaść. Wszystko miał przygotowane. Zdecydował się. Błyskawicznie otworzył tabloesor, umieścił w okienku komunikatora wspomnienie na wpół zatopionego domu w dzielnicy salos, wysłał je i zamknął tabloesor.

Powoli wypuścił powietrze. Był pewien, że zaraz po niego przyjdą, przecież nie można bezkarnie łamać zakazów starszyny. Czekał. Deszcz odmierzał czas. Czekał, lecz nic się nie działo. Zjeżona sierść przywarła do ciała. Napięcie osłabło. Czuwał przez całą noc, a rano niepewnie podreptał do archiwum. Starał się skupić na przewijaniu pajęczyn, ale nie mógł, bo za każdym razem, gdy przechodził obok niego jakiś perus, nerwowo kulił się w sobie. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Wieczorem był już trochę spokojniejszy i znowu wysłał wspomnienie na wpół zatopionego domu w dzielnicy salos. Z wolna zaczynał pojmować, że nikt po niego nie przyjdzie, bo nikt nie musi przyjść. Jego umacniająca się

niezależność nieubłaganie odrywała go od społeczności perusów i krok po kroku wykluczał się sam.

Kiedy po dwunastu dniach w jego tablotesorowym komunikatorze pojawiło się odesłane wspomnienie na wpół zatopionego domu w dzielnicy salos i przyszedł czas na realizację trudniejszej części planu, Tenan przestał się bać zadania, które go czekało. Był mądrzejszy o coś, z czego dopiero teraz zdał sobie sprawę – zachowania, które wykraczają poza normy, jakie narzuca jego społeczność, są dla większości perusów niewidzialne. Dlatego wieczorem, po pracy w archiwum, bez pozwolenia wymknął się z kominodому i ruszył w kierunku dzielnicy salos. Nie ukrywał się. Spokojnie szedł alejkami ciągnącymi się wzdłuż kanałów, zatrzymywał się na mostach i zamyślony mijał setki zaminów i perusów. Miał wrażenie, że to sen, i za nic nie chciał się z niego obudzić. Wreszcie dotarł do salos i znalazł tamten na wpół zatopiony dom, który niewiele się zmienił od czasu, kiedy Tenan widział go ostatni raz.

Perus wspiął się po pochyłej ścianie, przeszedł wzdłuż krawędzi muru i ześlizgnął się po drugiej stronie, w miejscu, gdzie krzywa ściana schodziła prosto do kanału. Odszukał nieduży prostokątny otwór, który znajdował się niemal na poziomie wody, i wcisnął się do środka. Znalazł się w długim, wąskim pokoju. Brakowało w nim sporej części podłogi, zamiast niej falowała tam ciemna tafla wody. Lubił to miejsce. Wiązały się z nim dobre wspomnienia. To tutaj zneutralizował pierwsze xulo dla Drussa. Ale nie zrobił tego sam.

Zachlupotało. Tenan wysunął ekto plazmatyczną wypustkę i skierował ją w stronę ciemnej wody, z której powoli wynurzyła się stożkowata głowa zamina.

– Czego chcesz? – zapytał Hemel.

– Gdybyś nie wiedział, nie przyszedłbyś na spotkanie.

Hemel prychnął pogardliwie.

– Daj sobie spokój. Człowiek jest już poza naszym zasięgiem i nic nie możemy zrobić.

– Ale musimy spróbować... – Tenan zawahał się. – W każdym razie ja muszę, bo nie zamierzam do końca życia przewijać pajęczych archiwów.

Hemel milczał przez chwilę. Jego oczy lśniły w mroku. W końcu powiedział:

– Mnie zesłali do Kompostowni. Mieszam szlam...

– Sam widzisz. Nie mamy już nic do stracenia. Musimy działać. Musimy go znaleźć.

– A jeśli nie żyje?

– Odszukajmy chociaż zwłoki, dowiedzmy się, kto nas przechytrzył, i załatwmy go. Tylko w ten sposób możemy jeszcze odzyskać szacunek i pozycję.

– Nie jestem pewien. Wokół człowieka dzieje się coś dziwnego. On przyciąga kłopoty, każdy chce go dopaść, a do tego jest szalony. Przecież wierzył, że Lepe, którego stworzył w dzieciństwie, naprawdę jest jego bratem.

– To się zdarza.

– Chyba u perusów, bo maciora pożarłaby każdego, kto zacząłby traktować swojego Lepe jak rodzeństwo.

– On tu był całkiem sam, jedyne w swoim rodzaju. Trudno się dziwić, że wzbudzał takie zainteresowanie i musiał sobie stworzyć coś w rodzaju mentalnego oparcia.

– Skoro tak mówisz... – odparł spolegliwie Hemel. Nie był przekonany. Westchnął ciężko. – No dobrze, przypuśćmy, że to zrobimy, przypuśćmy, że zaczniemy go szukać. Zdajesz sobie sprawę, że tym samym wydamy na siebie wyrok?

– Niekoniecznie.

– Mów dalej...

– Musimy zdobyć sojusznika, kogoś, kto nam pomoże i zapewni

wsparcie dające ochronę i swobodę działania.

– Nie ma szans. Z naszą przeszłością jesteśmy skończeni w tym mieście. Nie przyjmie nas żadna sekta, a gwardziści i inne organy Rady tylko czekają na okazję, żeby się nas pozbyć.

– To prawda, ale jest jeden perus, który działa niezależnie od sekt i układów Rady, a poza tym wciąż ma wobec Drussa dług. Wystarczy, że mu o tym przypomnimy.

Hemel spojrzał na niego zdumiony i wyszeptał:

– Menur... tak, to się może udać...

W. O. D. O. M. E. R.

TRAVEL-NALP

Najgorsze były dni, w których szkoła kończyła się tak późno, że Magda wracała do domu po zmroku. Wraz z matką mieszkała w starym parterowym budynku stojącym na skraju miasteczka, tuż za niewielkim parkiem, przez który musiała przechodzić przynajmniej dwa razy dziennie. Zawsze się tego bała, ale najbardziej, gdy było ciemno.

Czasem matka pozwalała jej nocować u przyjaciółki na osiedlu i wtedy od rana wszystko sprawiało jej przyjemność. Nawet lekcje wychowania fizycznego stawały się znośne, choć nienawidziła przebierać się przy koleżankach, bo wstydziła się swoich chudych nóg i płaskich, piegowatych piersi. Świadomość, że nie będzie musiała wracać przez ciemny park, pomagała jej znaleźć w sobie siłę, dzięki której łatwiej pokonywała wstyd. Zaciskała zęby i rozbierała się wpatrzona w ścianę, głucha na złośliwe uwagi. Niestety, takie dni zdarzały się bardzo rzadko, bo Magda miała tylko jedną przyjaciółkę, Edytę, która na dodatek często chorowała. Bywało, że nie widywała jej przez tydzień albo dwa. Tak jak teraz.

Zimą zmrok zapada dość szybko, lecz Magda starała się o tym nie myśleć. Skupiała się na słowach nauczycieli i wypełnianiu zeszytów drobnym, równym pismem. Strach potrafi jednak przyspieszyć bieg czasu. Nagle dotarło do niej, że minęła ostatnia lekcja i wszyscy zaczęli się szykować do wyjścia. Natychmiast poderwała się z miejsca i pozbierała swoje rzeczy. Nie ociągała się. Wiedziała, że to nic nie da i im dłużej będzie zwlekać, tym większy dopadnie ją lęk. Przebrała się w szatni i wyszła ze szkoły.

Przechodząc przez osiedle, na chwilę przystanęła pod blokiem Edyty, zawahała się, ale poszła dalej. Nie, dzisiaj jej nie odwiedzi. Szybkim krokiem przecięła niewielki rynek, minęła ratusz i stojące

w szeregu kamienice, a potem skręciła między domki jednorodzinne, wzdłuż których ciągnęła się długa droga oświetlona wysokimi lampami. Na jej końcu, za szerokim placem pętli autobusowej, czaiła się ciemność. A dalej park. Magda nie zwalniała kroku, żeby nie stracić resztek odwagi. Zostawiła za sobą pętlę i weszła na ścieżkę wijącą się między drzewami. Docierał tu słaby poblask ulicznych lamp, dzięki któremu mogła omijać zamarznięte kałuże. Nieco dalej ścieżka przecinała zaniedbaną alejkę pokrytą lśniącą warstwą popękanego asfaltu. Magda starała się jak najszybciej przejść ten odcinek, bo zawsze miała tu wrażenie, że jest obserwowana, ale tym razem jej buciki zgrzytnęły na szorstkim asfalcie i zatrzymała się na środku alei. Zimna iskra przeskoczyła jej wzdłuż kręgosłupa. Było inaczej niż zwykle. Rozejrzała się. Księżyc wyglądał z za szybko płynących chmur. Jego blade i mętne światło wyławiało z ciemności bezlistne drzewa. Z oddali dobiegał charkot autobusowego diesla. Magda chciała pójść dalej, ale nie mogła. Nagle gdzieś wyżej trzasnęły gałęzie. Dziewczyna spojrzała w górę i zobaczyła kolosa. Drzewa sięgały mu do pasa. W jego kanciastej głowie żarzyły się hipnotyczne oczy. Poczowała mdłości i świat zawirował, lecz nie upadła. Ciało jej nie słuchało. Buty przywarły do asfaltu jak przyklejone. Olbrzym przytrzymał ją wzrokiem, a potem uniósł głowę i przez dłuższą chwilę – w której trakcie z ogłuszającym świstem wydychał gęste kłęby mgły – wpatrywał się w zachmurzone niebo. Potem drgnął i już go nie było. Zakotłowały się drzewa. Magda opadła na kolana. Odzyskała władzę nad swoim ciałem i przerażona pobiegła do domu.

Kusiło ją, żeby opowiedzieć matce o tym, co widziała, ale była przekonana, że nie powinna tego robić, bo może mieć kłopoty. Nie chciała, żeby ktokolwiek zmuszał ją do wizyty u psychologa. Nikt normalny by tego nie chciał, a Magda czuła się normalna. Co prawda, jej ciało zaczęło się zmieniać, włosy wyrastały w dziwnych

miejscach, nie mogła ze sobą wytrzymać, wszystko ją irytowało i jednocześnie zawstydzalo, ale nie miała wrazenia, że dzieje się z nią coś nienormalnego, i przerażała ją myśl, że wszechwładni dorośli mogą uznać, że jest inaczej.

Zjadła kolację i położyła się spać. Wtulona w poduszkę bezgłośnie poruszała ustami, modląc się do N.Odomera. Od czasu, gdy odkryła, że wielki krucyfiks, który stoi w kościele, ma z tyłu małą mosiężną tabliczkę z wytartym napisem N.Odomer, Magda wierzy, że właśnie tak brzmi imię prawdziwego Boga. To on stworzył świat, ludzi i te rzeczy, które pomagają się modlić, ale sam woli pozostawać w ukryciu. Zostawił jednak wskazówki, dzięki którym dociekliwi mogą odkryć jego tożsamość. Na razie Magdzie udało się poznać tylko imię stwórcy, ale i tak jest z siebie dumna i przy każdej okazji cichutko, żarliwie prosi go o wsparcie i ochronę.

* * *

Następnego dnia zjadła z matką śniadanie i rażno przeszła przez park. Dopiero w szkole zorientowała się, że jej strach osłabł i nie ma już nad nią takiej władzy jak kiedyś. Mimo to nie mogła się skupić na lekcjach. Głosy nauczycieli brzęczały jak natarczywe, irytujące owady, których nie można odpędzić, choć próbują odwrócić uwagę od tego, co naprawdę ważne. Zamiast notować, Magda bazgrała na marginesach i po długim namyśle doszła do wniosku, że spotkała olbrzyma między szesnastą a szesnastą trzydzieści, i jeśli chce go jeszcze raz zobaczyć, to musi się znaleźć w parku o tej samej godzinie. Problem polegał jednak na tym, że w tym dniu miała o jedną lekcję więcej. Co robić?

Ostatnia była matematyka z wychowawczynią klasy, panią Grebus. Magda zebrała się na odwagę, poszła do niej i skłamała, że boli ją brzuch. Poszło łatwiej, niż myślała. Nie miała żadnych

wyrzutów sumienia, chociaż nigdy wcześniej nie robiła czegoś podobnego. Kiedy wybiegała ze szkoły, policzki piekły ją z podniecenia. Stała na asfaltowej alejce tuż przed szesnastą. Ciemny park tonął w ciszy. Rozglądała się, przestępowała z nogi na nogę i modliła się do N.Odomera, żeby znów do niej przyszedł. Ale gdy minęło piętnaście minut i wciąż nic się nie działo, pojawiły się wątpliwości. Z każdą chwilą traciła entuzjazm. Po kolejnych dziesięciu minutach na spękany asfalt zaczęły kapać gorzkie łzy rozczarowania. W końcu zrezygnowana ruszyła w stronę domu. Zdążyła zrobić najwyżej cztery kroki, kiedy coś zatrzymało ją w miejscu. Rozejrzała się z niedowierzaniem i znowu go zobaczyła. Nie patrzył na nią, lecz wpatrywał się w niebo, jakby na coś czekał. Kilka sekund później zamigotał i zniknął. Niewidzialny uchwyt zelżał i dziewczyna, szczęśliwa, wróciła do domu.

Matka patrzyła na nią podejrzliwie.

– Coś taka zadowolona?

– Nie lubisz, jak się uśmiecham, mammo?

– Lubię, ale chyba się odzwyczaiłam.

– Nie mów.

– Patrzcie, jak się odszczekuje. Jak było w szkole? Głodna jesteś?

– Tak, mammo.

– Nie słuchasz czy jak?

– Przecież mówię, że tak, dobrze było w szkole, i tak, jestem głodna.

– Czego oni was tam uczą? Nie potrafisz odpowiadać normalnie, pełnymi zdaniem?

– Potrafię.

– Właśnie widzę.

– Chyba słyszę.

– Co?

– Czemu tak się mówi?

– Jak? Nie wiem, o co ci chodzi.

– „Właśnie widzę”. Przecież to głupie. Nie widać wypowiedzianych słów. Powinno się chyba mówić: właśnie słyszę. Prawda?

– Jak nie przestaniesz się wymądrzać, to pójdziesz spać bez kolacji.

– Ej, mamo, przecież ja się wygłupiam.

– Myślisz, że ja nie?

Magda objęła matkę z miłością, a ona pocałowała ją w czoło. Tak. N.Odomer jest jedynym prawdziwym Bogiem i potrafi działać cuda.

* * *

Nazajutrz nie poszła do szkoły, bo była sobota. Matka wybrała się do miasta na zakupy i zostawiła ją samą. Magda zmyła naczynia, a potem oglądała seriale. Nic z nich nie pamiętała, bo przez cały czas myślała o tym, że dzisiaj o szesnastej znowu pójdzie do parku. Wyłączyła telewizor i przeszła do swojego pokoju. Wyjęła zeszyty i zaczęła odrabiać lekcje, lecz jej wzrok cały czas uciekał w stronę dolnej szuflady biurka. W końcu nie wytrzymała, zagryzła wargi, sięgnęła do niej i wyjęła fotografię swojego ojca, którego nie miała okazji poznać, bo zginął w wypadku samochodowym przed jej narodzinami. Położyła ją na podręczniku do języka polskiego i od czasu do czasu rzucała na nią okiem. Kiedyś matka dała jej tę fotografię, żeby wiedziała, jak wyglądał mężczyzna, który bardzo ją kochał, choć nigdy jej nie widział. Ciepły szloch wypełnił gardło dziewczyny. Trzymała zdjęcie ojca w szufladzie, bo nie budziło w niej żadnych emocji. Było jak portret obcego człowieka.

Do dzisiaj.

Otarła twarz i zamknęła zeszyty. Zaparzyła herbatę, patrzyła na zegarek i spokojnie czekała, aż wskazówki dotrą do szesnastej. Matka wciąż nie wracała, ale często wychodziła na cały dzień.

Lubiła odwiedzać swoje koleżanki. Z niektórymi grywała nawet w karty. Kiedy nadszedł właściwy czas, Magda ubrała się i poszła do parku. Wypełniała ją niewzruszona pewność. Przystanęła na alejce i modliła się do N.Odomera. Pojawił się jak na zawołanie. Znowu poczuła niewidzialny uchwyt, który unieruchomił jej nogi. Spojrzała na olbrzyma, a ten zrobił coś nieoczekiwanego. Przekroczył ją i stanął okrakiem nad alejką. Magda dopiero teraz dostrzegła, że jego skóra jest pokryta pięknymi kolorowymi łuskami. Ześlizgiwał się po nich blask księżyca. Kolos popatrzył na nią, a potem uniósł głowę. Coś błysnęło w górze jak bursztynowa iskra. Spadająca gwiazda? W tej samej chwili Magda zrozumiała, że cokolwiek to jest, leci prosto na nią. Przebiegł ją zimny dreszcz, ale nie zdążyła się przestraszyć, bo olbrzym wyciągnął potężną czteropalczystą dłoń, złapał płonącą iskrę, zamknął ją w garści i zniknął.

N.Odomer ją ocalił.

Magda wróciła do domu lekka jak piórko. Spojrzała na siebie w lustrze. Dlaczego tak rzadko rozpuszcza włosy? Ściągnęła gumkę z warkocza, rozplotła go i potrząsnęła głową. Od razu lepiej. Jutro pójdzie z matką na grób ojca. Zawsze tego unikała, ale teraz czuje, że naprawdę chce. I powie tej cholernej Zośce, żeby przestała się czepiać, bo naskarzy wychowawczyni, że na dużej przerwie pali papierosy w ubikacji. Może nawet odważy się wreszcie pokazać polonistce swoje wiersze? Co się może nie udać? Przecież chroni ją N.Odomer.

TRALH-ZAHR
BRETHUS
JRES

Enzabar niczym nie przypomina Travh-nahru. Enzabar to poziome miasto, które rośnie w górę i płynnie zmienia kształty, a Travh-nahr to pionowe miasto, które bardzo powoli rozrasta się na boki, ale jego kształt wciąż pozostaje taki sam.

Enzabar to ogromna wyspa wyrastająca z Oceanu Mglistych Drzew. Jest gęsto zabudowana mechanicznymi minaretami i obrotowymi placami, po których przetaczają się kuliste odivale porośnięte miękką korą i mchem, dzięki czemu ich ruch jest niemal bezszelestny. W górze wznoszą się teleskopowe przypory podtrzymujące szeleszczące wieżobalony uformowane z cynowej folii, a także meduzowate platformy obserwacyjne najeżone szypułkami żywego blasku. Większość z nich cumuje wzdłuż krętych alei, długich schodów, wąskich uliczek i żebrowanych ramp, po których nieustannie przemieszczają się najdziwniejsze istoty – kryształowe rzeźby, maszyny, chitynowe cienie, kule sferycznego światła poruszające się na mosiężnych odnóżach, wysokie dwunogie patyczaki zakute w połyskujące pancerze, a nawet półprzezroczyste skorupiaki zrodzone z pofałdowanej, energetycznej membrany. Jedni są wielcy, inni maleńcy, ale razem tworzą zwarty tłum, który nieustannie mrowi się, toczy, pełźnie, leci, sunie i drepce w każdym możliwym kierunku. Nie sposób ich wszystkich dojrzeć czy zliczyć, lecz bez względu na to, czym są i w jakim celu przybyli do Enzabaru, najczęściej w pierwszej kolejności kierują się w stronę heksagonalnych placów znajdujących się na obrzeżach miasta, na samym brzegu Oceanu Mglistych Drzew. Place są wybrukowane żywymi mozaikami, na których bez przerwy, w powolnym hipnotycznym tańcu, wirują abstrakcyjne kształty, których nikt nie potrafi odczytać. Nie to

jednak jest największą atrakcją tego miejsca. Coś innego przyciąga ciekawskich. Coś, co na wszystkich robi takie samo wrażenie.

Kiedy docierają do heksagonalnych placów, niewielu z nich zwraca uwagę na żywe mozaiki, ruchome tawerny czy nawet warsztaty i antykwariaty wbudowane w jaskrawe skorupy ogromnych ślimaków, które kluczą wśród przechodniów. Nie, to widzą później. W chwili gdy wychodzą z zakrętów lub z tuneli i dostrzegają otwartą przestrzeń, są już ślepi na wszystko inne. Przechodzą przez plac i zatrzymują się dopiero przy ażurowej balustradzie, gdy już tylko ona oddziela ich od powolnych fal gęstej szmaragdowej mgły. Potem tylko patrzą i długo nie mogą się nasycić widokiem Oceanu Mglistych Drzew – rozfalowanej płaszczyzny mgieł, z której aż po horyzont wypiętrza się las mglistych, niebosiężnych pni zwieńczonych opalizującymi sferami, wewnątrz których, strzepiąc się nieustannie, płoną zimne magnetyczne zorze.

A jeśli mają szczęście, zobaczą coś jeszcze.

Od czasu do czasu komuś udaje się uruchomić jeden ze starożytnych pojazdów, które od niepamiętnych czasów lewitują przycumowane do koralowych tarasów. Unoszą się tuż obok siebie, burta w burtę, ale nie ma tam dwóch takich samych. Jedne przypominają kamienice oplecione gąszczami przewodów doprowadzających nieznanego rodzaju energii. Inne wyglądają jak monstrualne skamieniałe ryby lub kruche odlewy ze szkła, wewnątrz których przelewa się rozjarzona ciecz. Każdy działa na innej zasadzie. Mimo to niektórym śmiałkom udaje się znaleźć takie, których mechanikę można pojąć w stopniu wystarczającym do poderwania pojazdu z miejsca i skierowania go w stronę Oceanu Mglistych Drzew.

To rzadki i niezwykły widok. Ale jeszcze rzadszy jest widok pojazdu wracającego do Enzabaru, gdy powoli wynurza się

z oceanu mgły, majestatycznie przelatuje nad heksagonalnym placem, precyzyjnie wsuwa się w przepust między minaretami, a potem nieśpiesznie płynie obok pylonów podpierających niezliczone mosty, nad dachami i stromiznami schodów, pod łukowato sklepieniami bramami, by w końcu dotrzeć do koralowych tarasów, gdzie cumuje i zamiera w bezruchu.

Najczęściej nikt z nich nie wychodzi. Najczęściej wracają puste. Tylko czasami coś tam jest, coś siedzi w środku. Nie pokazuje się. Słychać różne odgłosy – głośnie trzaski i regularne basowe zgrzyty. Pojazd się trzęsie. Nagle pokrywa go siatka elektrycznych wyładowań lub kapią z niego krople światła. Nie wiadomo, co się dzieje, ale nikt nie próbuje wejść do środka i sprawdzić.

Teju pamięta powrót pojazdu, który wyglądał jak pękaty sześcian pokryty lśniącymi kolorowymi łuskami. Na jego powierzchni nie było żadnego otworu. Gdy przycumował do tarasów, wydał z siebie ogłuszający jęk, rozdzierający skowyt rozpacz, paraliżujący na krótką chwilę wszystkich, którzy przebywali w Enzabarze. Teju zawsze lubił to wspomnienie, ale teraz, gdy powoli zaczynał się godzić z faktem, że na stałe utknął w Travh-nahrze i już nigdy nie doświadczy czegoś podobnego, stało się dla niego szczególnie cenne. Zdawało się, że skupia w sobie całe utracone bogactwo Enzabaru.

To nie było normalne, nikt nie słyszał o podobnym przypadku, ale taka wyjątkowość nie dodawała Teju otuchy. Każdy qamron, jakiego znał, i wszyscy, o których można przeczytać w ciągomyślach spisanych feromonami na ścianach głównych tuneli, dzielą swój życiocykl na czas spędzony w korytarzach Travh-nahru oraz czas, gdy nieprzytomni i zwinięci w swoich gniazdach stają się częścią fascynującego Enzabaru. To było oczywiste i naturalne. Nie trzeba się było tego uczyć. Qamroni rodzili się z darem podwójnego życia. Jednakże Teju go stracił.

To się stało nagle. Nic nie zapowiadało, że coś takiego może się wydarzyć. Któregoś razu, moszcząc gniazdo, Teju odkrył, że nie może sobie znaleźć wygodnej pozycji. Mimo że w swojej jamie miał mnóstwo miękkich porostów i gruby pokrowiec upleciony z mechanych liści seneo, wszystko wydawało mu się szorstkie, twarde i irytujące. W końcu jednak zdołał przybrać znośną pozycję i zmarł w bezruchu. Nic się nie działo. Długo wpatrywał się w ścianę swojego gniazda, połyskującą w ciemności delikatnymi iskierkami feromonowego pisma. Czekał, aż pojawi się otepiająca ciemność, która zbierze go do Enzabaru. Nie doczekał się.

Początkowo wmawiał sobie, że od czasu do czasu każdemu qamronowi zdarza się coś takiego, tylko nikt się do tego nie przyznaje. Gdy jednak okazało się, że po kilku kolejnych życiocyklach wciąż nie może się przenieść do Enzabaru, musiał wreszcie przyjąć do wiadomości, że dzieje się coś dziwnego. Zrozumiał, że potrzebuje pomocy, jednak nie dość, że żaden qamron nie wiedział, jak rozwiązać jego problem, to jeszcze wieść o jego przypadłości szybko się rozeszła i pobratymcy zaczęli go unikać. Teju dostał nawet oficjalny zakaz uczestniczenia w audiencjach u Królowej, jakby cierpiał na jakąś zaraźliwą chorobę. Co prawda, wciąż pozwalano mu pracować, ale odsunięto go od grzybowych upraw. Mógł jedynie wykonywać brudne, samotnicze prace, takie jak czyszczenie kanałów wentylacyjnych czy wyrzucanie urobku w pustkę. Nie miał jednak nic przeciwko temu, ktoś przecież musiał to robić, ale im więcej czasu mijało od ostatniej wizyty w Enzabarze, tym bardziej doskwierała mu nudna, monotonna niezmiennosc kolczastego Travh-nahru.

Bo Travh-nahr to gęsty las zrogowaciałych kolców, które poziomo wyrastają ze skóry ogromnego, niepojętego stworzenia. Qamroni od niezliczonych pokoleń drążyli w nich skomplikowane sieci komór i korytarzy, w których żyli swoim podwójnym życiem.

Teju był częścią tego życia, ale teraz, gdy przemyka porowatą ścieżką, zatrzymuje się na krawędzi kolca i patrzy w dół na niekończący się las kolosalnych cierni wycelowanych w oszałamiającą, jednolicie rozgwieżdżoną pustkę rozciągającą się ponad czarnymi, opalizującymi chmurami, kłębiącymi się daleko w dole, czuje, że nic go nie łączy z tym obcym, nieprzyjaznym miejscem. I choć to absurdalne, jest przekonany, że nie powinno go tu być.

Spojrzał więc w górę. Zimne mrowienie przebiegło mu pod skorupą. Podobno gdzieś tam, wysoko pod gwiazdami, kończy się Travh-nahr. Podobno.

Nagle owionął go podmuch feromonowej mowy.

– Co robisz, robotniku?

Teju odwrócił się. Tuż za nim przystanęli dwaj qamroni. Mieli podłużne segmentowane ciała pokryte srebrzystym pancerzem. Poruszali się na dziesiątkach krótkich czarnych odnóży, a z przodu, pod gładką owalną głową, upstrzoną guzłkowatymi szczelinami receptorów i tulejkami rozpylaczy feromonów, wyrastało im przegubowe ramię wyposażone w miotacz kwasu, co oznaczało, że są strażnikami. Teju wyglądał niemal dokładnie tak samo jak oni, z tą tylko różnicą, że jego ramię, podobnie jak w przypadku każdego innego robotnika, miało na końcu chwytną czteropalczystą dłoń.

– Idę do szczytowego odpowietrznika – odparł Teju.

Feromony gniewnie zawirowały wokół strażników.

– Stoisz, robotniku, stoisz. Marnujesz swój życiocykl, a do tego narażasz się na niebezpieczeństwo. Nie słyszałeś ostrzeżeń?! Nie wiesz, że widziano cień dwunoga?! Wracaj do korytarzy, zanim strąci cię w pustkę!

Teju skurczył się w sobie. Spowił go zapach strachu i pokory.

– Tak jest, zapomniałem, przepraszam – rozpylił. – Już się

chowam.

Odwrócił się i pomknął w stronę wylotu kanału, który czernił się niemal na czubku kolca, ale nie wszedł do środka, tylko schował się w wąskiej szczelinie tuż obok niego. Ostatnimi czasy często ukrywał się w jej miękkim, zbutwiałym wnętrzu. Strażnicy tu nie zagłądali, a qamroni, z którymi pracował, chyba nawet nie wiedzieli o jej istnieniu. Nie mógł się jawnie przeciwstawić strażnikom, bo byłoby to równoznaczne z podważeniem woli Królowej i zapewne skończyłoby się tym, że zrzucano by go w pustkę. Ale w samotności, sam na sam ze swoimi myślami, odważnie kwestionował ich rozkazy. Nie wierzył w ani jedno ich słowo. Na pewno nie było żadnych dwunogów, zębatach asajów czy latających wieloramion. Uważał, że to kłamstwa, którymi próbują zastraszyć qamronów, by przez cały czas ukrywali się w korytarzach. Jednak większości z nich w ogóle to nie przeszkadzało, bo przecież w każdym życiocyklu mogli się wymknąć do niezwykłego Enzabaru i zaznać jego swobody, ale Teju utracił tę możliwość, dlatego zaczął dostrzegać to, czego nie chcieli widzieć inni, i zaczynał się dusić w Travh-nahrze. Wiedział, że nie może tu zostać.

Kilka życiocykli temu odkrył stary nieużywany korytarz, który prowadził w górę miasta, omijając przy tym najliczniej zamieszkane kolce. Zarastały go suche porosty. Na szczęście nie były aż tak gęste, żeby Teju nie zdołał się między nimi przecisnąć. Już trzykrotnie próbował dotrzeć na koniec tunelu, lecz za każdym razem strach zmuszał go do powrotu. Teju dobrze znał opowieści o szalonych niebezpiecznych odszczepieńcach, którzy wyrzekli się Królowej, ukrywają się w opuszczonych tunelach i napadają na lojalnych qamronów. To mogły być kolejne kłamstwa strażników, ale dziwne odgłosy, które rozbrzmiewały w korytarzu, tak mocno działały na jego wyobraźnię, że nie potrafił przezwyciężyć lęku. Mimo to miał świadomość, że musi to zrobić. Choćby teraz.

Wyrzał ze szczeliny. Nigdzie nie było widać strażników. Szybko podreptał w stronę dolnej części kolca, przeszedł na drugi cierń i odszukał charakterystyczną kępę porostów, która częściowo zakrywała jeden z wąskich kanałów odpowietrzających. Wcisnął się do niego i po chwili znalazł się w opuszczonym korytarzu. To było łatwe. Teraz czekało go trudniejsze zadanie. Tunel gwałtownie skręcał, a potem prowadził pionowo w górę. Teju wspinał się powoli, odgarniając ramieniem suche porosty. Już tędy szedł, więc były mocno przerzedzone. Niepokoiły go nagie ściany, na których nie migotały nawet pozostałości po feromonowych ciągomysłach, ale starał się o tym nie myśleć. Uparcie parł w górę, aż dotarł do miejsca, w którym zawrócił ostatnim razem. Minął je i poszedł dalej, przepychając się przez znacznie gęstsze porosty. Otoczyły go dziwne, natarczywe odgłosy, przypominające dźwięki, jakie mogłyby wydawać wielkie pazury drapiące o ściany korytarza. Już wcześniej mu towarzyszyły, ale im bardziej zagłębiał się w tunelu, tym były głośniejsze. Nieubłaganie przybierały na sile, jakby zbliżał się do leża jakiegoś ogromnego drapieżnika. Bał się. Zdawało się, że strach zagęszcza powietrze i Teju musi się z trudem przebijać przez jego tężejącą materię, lecz to go nie zatrzymało.

Nagle wyczuł przed sobą dużą, otwartą przestrzeń. Ostrożnie rozchylił porosty i wyrwał z korytarza. Nad nim otwierała się ogromna kulista komora. Jej ściany były porośnięte zdziczałymi grzybami szacznika o pierzastych, postrzępionych kapeluszach. Ich gąszcz przecinały jednak szerokie ścieżki pokryte krętymi liniami ciągomysli. Teju nieśmiało wszedł do komory. Jego pazurki zazgrzytały na krawędzi otworu. Głośne echo zwielokrotniło ten dźwięk, na chwilę wypełniając nim całą komorę. Teju zrozumiał, co było źródłem dziwnych odgłosów, i to dodało mu odwagi. Ruszył przed siebie, ale niemal w tej samej chwili skonsternowany zatrzymał się. Ścieżka, na której stał, rozwidlała się na trzy odnogi

prowadzące do trzech różnych korytarzy. Teju nie wiedział, którą wybrać. Pod jego nogami migotały zawile ciągomysli, lecz było w nich coś obcego, niezrozumiałego, coś, co sprawiało, że nie potrafił ich odczytać. Rozejrzał się bezradnie i nagle zobaczył, że ze środkowego korytarza, dokładnie naprzeciwko niego, wyłaniają się długonogie, pająkowate parari, jedno za drugim, kołysząc ślepymi głowami na długich szyjach. Było ich kilkanaście, weszły między grzyby szacznika i spokojnie zaczęły się paść. Tuż po nich z korytarza wyszedł qamron. Na jego skorupie mieniły się dziwne feromonowe symbole, które wyglądały jak litery nieznanego alfabetu. Ramię tego qamrona zakończone było dłonią. Obcy stał na ścieżce, i pilnował, żeby stado parari nie uciekło z powrotem do korytarza i nie rozbiegało się po komorze.

Teju podszedł do niego, emanując poczuciem zagubienia.

– Wystarczy się odwrócić i wejść do najbliższego korytarza – rozpylił obcy, nie patrząc w jego stronę. – Bez trudu odnajdziesz drogę powrotną. Żadnych zakrętów, cały czas prosto w dół.

– Wiem, ale ja idę w górę – odparł Teju.

To zwróciło uwagę obcego.

– Porzucasz Królową?

– Nie mam wyboru.

– Dlaczego?

Z jakiegoś powodu Teju czuł, że może być całkiem szczery.

– Utraciłem Enzabar – wyznał.

– Dla wielu to błogosławieństwo.

– Nie rozumiem.

– Strażnicy i fanatyczni wyznawcy Królowej nie pozwalają o tym mówić, ukrywają prawdę, ale to zdarza się dość często. Zawsze się zdarzało.

– Myślałem, że jestem jedyny...

– Ależ nie, są nas setki.

– Nas?

– Tak, ja również utraciłem Enzabar. I jest mi z tym bardzo dobrze. Dzięki temu całkowicie zwróciłem się ku temu światu i odkryłem, że życie pod rządami Królowej opiera się na kłamstwach. Wbrew temu, co mówią nam strażnicy, możemy w każdej chwili zmienić sposób, w jaki żyjemy. Tacy jak my gromadzą się w niezliczonych wspólnotach, które egzystują tuż obok terenów Królowej, dosłownie kolec w kolec.

– Pozwala na to?

– Niewiele może zrobić, bo to odwieczny, naturalny proces. Właśnie tak rozprzestrzeniają się qamroni. Odrywają się od głównej, dominującej społeczności, po czym zakładają własne, rządzące się innymi prawami, a gdy te urosną w siłę i obrosną skostniałą strukturą, to z nich również zaczną się odrywać zbuntowane jednostki. Strażnicy mogą tylko pilnować, żeby jak najmniej qamronów się o tym dowiedziało, dlatego straszą, kłamią i manipulują informacjami. Jednak wystarczy tylko opuścić kolce rządzone przez Królową, żeby przekonać się, jak naprawdę wygląda Travh-nahr. Ale ten krok masz już za sobą. Teraz musisz się zastanowić, jak chcesz żyć. To pomoże ci odnaleźć wspólnotę, która będzie odpowiadać twoim potrzebom.

– No cóż...

– Wiem, że to trudna decyzja, ale możesz spróbować różnych możliwości. Nigdzie nie musisz osiadać na stałe. Widzisz, ja nieustannie wędruję ze swoimi parari od pastwiska do pastwiska, od wspólnot Amver do jam pustelników żyjących na krawędzi płyt.

Świat obrócił się w umyśle Teju. Wcześniejsze domysły i przypuszczenia niespodziewanie znalazły uzasadnienie i stały się pewnikami spychającymi na bok prawdy, które dotychczas wydawały się niepodważalne. Chociaż otaczająca go rzeczywistość w ogóle się nie zmieniła, kształty rzeczy i kształt jego własnego

życia zyskały dodatkową głębię, dodatkowy wymiar, wymiar niezgłębionych możliwości.

– To wszystko prawda? – zapytał oszołomiony.

– Wkrótce sam się przekonasz. Najbliżej leży wspólnota Evnoa, wszystkim się dzielą, żyją w jednej dużej komorze i hodują larwy...

– A są wśród nich tacy, którzy próbują odzyskać Enzabar?

Obcy roztoczył zapach zdziwienia i niepewności.

– Nie. Tam ich nie ma.

– A gdzie są? – nalegał Teju.

– Odchodzą. Pielgrzymują w górę. Do starożytnego wgłębienia, które powstało w miejscu, gdzie odbiło się spadające Krek'h-pa. Podobno tylko tam można odzyskać utraconą więź, ale nie wiem, czy to prawda. Nigdy nie widziałem tego miejsca. Tylko o nim słyszałem. Mówią, że to bardzo daleko, tuż pod głową istoty, na której żyjemy, prowadzi tam długa, niebezpieczna droga. Nikt z niej nie wraca...

Teju zadrżał. Niewiele zrozumiał z tego, co powiedział nieznajomy, ale czuł, że bez względu na wszystko musi iść w górę, bo nie chce tu zostać, nie chce zostać w Travh-nahrze. Nie miał zamiaru szukać przytulnego gniazda w jednej z wielu odszczepieńczych wspólnot, bo nic by mu to nie dało. Gdziekolwiek by trafił i cokolwiek by tam znalazł, wciąż byłby uwięziony w kolczastym, niezmiennym Travh-nahrze, a on przede wszystkim pragnął wrócić na ruchome uliczki Enzabaru i ponownie zobaczyć Ocean Mglistych Drzew.

– Jak się nazywasz? – zapytał obcego qamrona.

– Jestem Nyklumb.

– A ja Teju. Powiedz mi, Nyklumbie, któredy podążają pielgrzymi?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– To dla mnie jedyna droga.

– Skoro tak... Sam nie mogę ci pomóc. Powtarzam tylko stare legendy. Mogę cię jednak poznać z kimś, kto mi je opowiedział i dobrze wiedział, o czym mówi. Dam ci trop, który cię do niego zaprowadzi. Będziesz musiał trochę nadrobić drogi, bo pójdziesz moimi śladami, przez pastwiska i kolczaste wyłomy, ale bez problemu powinieneś do niego trafić. Nazywa się Ures. On wie. On pokaże ci drogę.

Nyklumb obrócił głowę i strzyknął skondensowaną mieszanką feromonów. Teju wchłonął ją i przyswoił. Po chwili zaczął dostrzegać zielone fosforyzujące ciągomyśli pozostawione przez Nyklumba.

– Kieruj się nimi. Zaczną się plątać dopiero, gdy dotrzesz do krawędzi Travh-nahru. Ale wtedy powinieneś już widzieć swój cel.

– Jak on wygląda?

– Nie da się go pomylić z niczym innym.

Teju zrozumiał, że Nyklumb nic więcej nie powie.

– Dziękuję – rozpylił. – Może kiedyś zdołam ci się odwdzińczyć.

Pożegnał się i ruszył w stronę środkowego korytarza, bo tam prowadziły go zielone linie ciągomyśli.

Kiedy Teju zniknął z pola widzenia, Nyklumb stracił kolory, wchłonął i rozpuścił w sobie wszystkie zapachy, a potem jego ciało zaczęło się robić przezroczyste. Po chwili było już tylko dużą kroplą wody. Parari również zamieniły się wodę. Krople przyciągnęły się jak rtęć, połączyły i wsiąkły w ścieżkę.

* * *

Krzywy kanał kończył się starą, zmurszałą zaporą, która łuszczyła się wilgotnymi płatami mchu. Stojącą wodę pokrywała tu gruba warstwa szarej piany, pływających śmieci i cuchnących odpadków, lecz Hemel nie przejmował się tym, co było widać, bardziej

martwiło go to, co mogło się kryć tuż pod powierzchnią. W takich miejscach często zrzucano gruz albo topiono złom, więc Hemel bał się, że jego wielokołowiec może na nich uszkodzić podwozie, koła lub burty, ale nie miał wyboru, musiał zaryzykować. Obrócił pojazd tyłem do zapory, wpłynął w pianę i zgasił silnik. Spojrzał na skulonego Tenana. Żaden się nie odezwał. Po chwili usłyszeli warkot nadjeżdżającego wielokołowca. Przemknął niedaleko miejsca, w którym się ukryli, i pognął dalej. Zapadła cisza.

– Chyba nas nie widzieli – mruknął Hemel.

Nasłuchiwali w napięciu.

– Myślisz, że był tylko jeden? – zapytał cicho Tenan.

– Nie wiem, ile patroli tu krąży. Musimy być ostrożni.

– Przecież chroni nas układ z Menurem.

– Nie wtedy, gdy nikt nie patrzy. Do roboty! Znajdźmy go, zanim gwardziści znajdą nas.

Wspięli się na zaporę, a potem na szczyt najbliższego kominodomu. Znajdowali się niemal w samym centrum dzielnicy untus, pełnej opuszczonych i zrujnowanych kominodomów. W oddali majaczyły kanciaste budowle kompleksów fabrycznych, ażurowe monolity agregatów biotryki i ciemna piramida kompostowni. Tenan otworzył tablotesor i porównał widok z obrazem, który przekazał mu Menur.

– To niedaleko – powiedział i uniósł wypustkę. – Punkt wzmożonej aktywności powinien się znajdować dwadzieścia, dwadzieścia pięć kominodomów w stronę Cysterny, ale to wcale nie musi być on. Równie dobrze jakaś sekta może tam trzymać potężne xulo zapieczętowane mentalną klamrą.

– Przynajmniej będziemy wiedzieć, czy szukać dalej. Proponuję zejść z tej strony i skorzystać ze ścieżki, która skręca w stronę prakto. Nie pójdziemy po linii prostej i czeka nas nieco dłuższa droga, ale widzę tam gęste krzaki i ruiny zwałonego kominodomu,

w których można się schować.

– Zgadzam się – przyznał Tenan. – Na razie wystarczy, że sprawdzimy, co tam jest. Najlepiej tak, żeby nikt nas nie zauważył. Chodźmy.

Ześlizgnęli się w dół, a potem ruszyli krętą ścieżką wijącą się między pionowymi ścianami kominodomów, bujnymi krzakami prakto i grudami zmurszałego gruzu porośniętego kolczastymi pnączami. Tenan regularnie zaglądał do tablotesora i sprawdzał, czy idą we właściwym kierunku. Okolica wydawała się całkowicie opuszczona. Tylko wiatr cicho zawodził na krawędziach kominodomów. Mimo to cały czas zachowywali ostrożność. W końcu dotarli do miejsca, w którym ścieżka przecinała wąską brukowaną uliczkę. Hemel wychylił się, żeby się rozejrzeć, i zobaczył, że kilkadziesiąt kroków dalej stoi pancerny wielokołowiec gwardzistów, lecz ich samych nigdzie nie było widać. Wycofał się, by naradzić się z Tenanem. Nagle usłyszał donośny wybuch śmiechu i zbliżające się głosy. Szybko wyjrzał jeszcze raz i dostrzegł trzech zaminów, którzy schodzili z kominodomu prosto na dach wielokołowca. Otworzyli wjazd i wgramolili się do środka. Mówili coś, ale byli za daleko, żeby Hemel mógł ich zrozumieć. Silnik zaskoczył i pojazd odjechał. Hemel odwrócił się do Tenana.

– Nie podoba mi się to – powiedział. – Widziałem trzech gwardzistów odjeżdżających patrołowcem, co może oznaczać dwie rzeczy. Albo właśnie zmienili się strażnicy i, cokolwiek jest w tamtym kominodome, pilnuje tego kilku zaminów, albo zwyczajnie marnujemy czas, bo jest to tak mało ważne, że zaglądają tu tylko od czasu do czasu.

– Jak zerkniemy, to się dowiemy.

– Jeśli nas zobaczą, zrobi się gorąco.

– Wiem, ale nie mamy wyjścia.

– Jasne, dlatego ty pójdziesz pierwszy – mruknął Hemel.

Wypustka Tenana skurczyła się o połowę.

– Dlaczego? – jęknął.

– Wspinasz się lepiej ode mnie. Podejdiesz cichutko do samej krawędzi i zajrzesz do środka.

– Nie jestem pewien...

– Czego?! – syknął Hemel. – Sam mnie do tego namówiłeś, więc nie kombinuj! Musisz tam wejść, bo nie ma szans, żebym to zrobił tak cicho jak ty. Do roboty!

Tenan zawahał się, ale po chwili wyszedł na uliczkę.

– Który to? – zapytał niepewnie.

– Nie ten najbliższy, tylko następny, ten z wyszczerbionym obrzeżem – odparł Hemel. – Jeśli zobaczysz strażników, natychmiast się wycofaj.

– A jeśli nie?

– Pomachaj wypustką i zostań na górze. Dołączę do ciebie.

Tenan pobiegł uliczką, wskoczył na ścianę kominodому i sprawnie wspiął się do góry. Zatrzymał się tuż pod krawędzią, rozciągnął wypustkę na całą długość i ostrożnie przesuwając ją po murze, zajrzał na drugą stronę. Przez chwilę trwał w bezruchu. Cofnął się. Znowu zajrzał. Hemel obserwował go zdumiony. Nie rozumiał, co się dzieje. Wreszcie nie wytrzymał i mimo że Tenan nie dał mu żadnego sygnału, wszedł na górę i zawisł obok perusa.

– Co ty wyprawiasz?! – szepnął. – Ilu ich jest?

Tenan cofnął wypustkę i skierował ją na Hemela.

– Ani jednego – odparł beznamiętnie. Wydawał się nieobecny i oszołomiony.

– A Druss?

– Chyba nie...

– To co tam jest?

– Nie wiem. Pierwszy raz widzę coś takiego.

– Myślisz, że też mogę zajrzeć?

– Możliwe. Strażników tam nie ma.

Hemel zdawał sobie sprawę, że to ryzykowne, ale pokusa była zbyt duża. Musiał wiedzieć. Podciągnął się do krawędzi i spojrzął w dół. Coś leżało na dnie kominodому. Było ogromne i pokryte czarnymi połyskującymi łuskami, które falowały miarowo. Oddychało. Dopiero po dłuższej chwili, gdy minął pierwszy wstrząs, Hemel zauważył, że przypomina to krótkiego, grubego węża zwiniętego w ciasną spiralę.

– Na Tabotta... – wykrztusił zdumiony. – Co to jest?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytał ironicznie Tenan. – Bo ja nie. Zostawmy to. Lepiej skupmy się na naszym zadaniu. Pamiętasz? Musimy odnaleźć Drussa.

To nie będzie łatwe.

– Przecież wiem, to był nasz główny trop.

– Co? – zdziwił się Hemel. – Nic nie mówiłem.

– Jak to nie, o czym ty...

Wtedy obaj to usłyszeli. Cichy, lecz wyraźny głos. Słowa jak delikatne podmuchy wiatru.

Mogę wam pomóc.

– Kto mówi?! – zapytał nerwowo Hemel.

Ja.

Zobaczyli ruch na dnie kominodому. Tępa głowa ogromnej wężowej istoty uniosła się. Była gładka, pozbawiona jakichkolwiek otworów czy wypustek, ale Tenan i Hemel czuli, że na nich patrzy.

Nie bójcie się.

Nie znam was, ale wiem, czego szukacie.

Trwale odcisnęła się na was

Bliskość człowieka.

I wyraźnie brakuje wam jego obecności.

Hemel walczył ze sobą. Chciał jednocześnie uciec i zostać, ale nie potrafił podjąć decyzji. Wbrew sobie wciągnął ciało na wąską krawędź kominodomu i usiadł. Tenan stanął obok niego. Kiwał się na boki i przestępował z nogi na nogę.

– Uciekajmy – powiedział przerażony.

Hemel spojrzał na niego twardo.

– A jeśli to coś wie, jak go znaleźć?

– Nie mamy pojęcia, czym to jest. Nie możemy ryzykować...

– Mylisz się, Tenan, ryzyko to jedyne, co nam zostało. Jesteśmy na nie skazani. Jeśli się boisz, zaczekaj na mnie w wielokołowcu, bo ja zamierzam porozmawiać z tym czymś, czy ci się to podoba, czy nie.

Tenan przysiadł na zgiętych nogach.

– Nigdzie się nie wybieram – burknął obrażony.

– Jak chcesz – odparł Hemel i spojrzał w dół.

– Kim jesteś? – zapytał.

Jestem Panaplinan,

Ale to, co widzicie,

To nie ja, lecz mój skafander.

Bez niego nie przeżyłbym tutaj ani chwili.

Wasza rzeczywistość jest dla mnie zbyt gęsta.

Ale dzięki niemu mogę swobodnie nurkować

W niższych światach.

– Co tu robisz? Dlaczego przybyłeś do Linvenogre?

Szukam czegoś.

Tak jak wy.

Próbowałem sam to znaleźć,

Lecz jestem za słabo zakorzeniony w tym świecie.

Długo badałem to miasto,

Obserwowałem istoty, które tu żyją,

I zastanawiałem się,

Jak rozwiązać ten problem.

W końcu zorientowałem się,

Że potrzebuję pomocy,

Czy może raczej współdziatu kogoś,

Kto integruje w sobie rzeczywistość na wielu poziomach.

Najlepiej człowieka.

Od dawna wyczuwałem jego obecność.

Wiedziałem, że w całym mieście jest tylko jeden.

Ale gdy zdecydowałem się ruszyć jego śladem

I nawiązać z nim kontakt,

Nagle okazało się, że nigdzie nie mogę go znaleźć.

Krażyłem w ścianach tej waszej wysokiej wieży,

Szperałem w kanałach

I nic.

Wreszcie tu,

W tym miejscu,

Odkryłem słaby trop, który się urywa.

– Był tu? – zapytał Hemel.

Niewątpliwie.

– To gdzie jest teraz?

Nie wiem.

Czuję jednak, że nie opuścił miasta.

– Będziesz go szukał?

Sądzą, że

Mógłbym to zrobić.

Leżę tu od wielu dni

I rozważam różne możliwości,

Lecz was się nie spodziewałem.

Jesteście czynnikami, którego nie brałem pod uwagę,

Choć wydaje się, że jego obecność

Powinna być oczywista.

– Nie rozumiem, o czym mówisz... – stwierdził Hemel.

Wszyscy, którzy spędzili dużo czasu

W towarzystwie człowieka,

Musieli w naturalny sposób

Przejąć niewielką część jego

Integracyjnej obecności.

Nawet jeśli sami nie zdają sobie z tego sprawy.

A wy macie ją w sobie.

Nie tak silną jak u niego,

Ale wystarczająco mocną, żeby mi pomóc.

– Wiem już, do czego zmierzasz – stwierdził Hemel. – Znajdziesz go, jeśli ci pomożemy.

Tak.

Nic się przede mną nie ukryje.

Prędzej czy później na pewno go wytropię,

Ale to wymaga czasu,

Którego mam coraz mniej.

Mój skafander potrzebuje

Ogromnych ilości energii,

Żeby nieustannie

Synchronizować się z tą rzeczywistością.

Jeśli wyczerpie swoje zasoby,

Przestaną was rozumieć,

Przestaną rozpoznawać kształty waszego świata

I zostaną wypchnięty do góry.

Wynurzę się w jednym z wyższych światów.

Może nawet w moim.

I nie wiem, kiedy znowu uda mi się tu wrócić.

Skafander twierdzi, że to się może wydarzyć

Za dwadzieścia, może dwadzieścia trzy dni.

To za mało czasu, żeby znaleźć

I wydobyć to, czego szukam,

A do tego wytropić człowieka.

Jeśli jednak będziemy działać razem,

Powinniśmy się z tym uporać w kilka dni.

Hemel spojrzał na Tenana.

– Zostawmy go tu. To może być pułapka albo jakaś podstępna sztuczka Rady... – stwierdził perus.

– Tak, rzeczywiście, to może być cokolwiek – spokojnie przyznał Hemel. – Ale to niczego nie zmienia, prawda?

– Prawda – przyznał Tenan.

Obaj już dawno zapomnieli o strachu.

– Panapljan, czego ty właściwie szukasz w Linvenogre? – zapytał Tenan.

Trudno to wyjaśnić.

– Spróbuj – poprosił Hemel.

Dawno temu

Coś tu spadło.

To coś jest

Inne niż wszystko.

BRETHLUS
JRES
LORR

Nazywał się Brethus i wszyscy się go bali, więc Max nie miał wyboru – musiał się nim zająć. To nie wydawało się trudne. Mężczyzna był stary i nie miał obu nóg, ale z jakiegoś powodu każdy, kto mieszkał lub pracował w Domu Weterana, trzymał się od niego z daleka. Max nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, i nie dbał o to. Niepokoił się tylko, że kumple zaczną coś podejrzewać, więc musiał znaleźć sposób, żeby zrobić na nich wrażenie i odwrócić ich uwagę.

Nikt się nie garnął do opieki nad panem Brethusem, więc codziennie rano doktor Sperc wyznaczał nieszczęśnika, który do końca zmiany będzie mu towarzyszył. Za każdym razem pielęgniarze stawali przed doktorem jak przed plutonem egzekucyjnym, chociaż to ich było wielu, a on tylko jeden. Ale tym razem było inaczej. Max zgłosił się na ochotnika i wszyscy spojrzeli na niego jak na idiotę.

Doktor Sperc również.

* * *

- Czego?!
- Dzień dobry, panie Brethus.
- Nowy skazaniec od Sperca?
- Nie, proszę pana. Sam się zgłosiłem.
- Twardziel, co? Za co siedzisz?
- Lepiej pomogę panu...
- Spierdalaj z łapami.
- Jak?! Jak pan to zrobił?! Przed sekundą był pan w łóżku!
- A teraz jestem w wózku. Jedziemy. Po drodze wyjaśnisz mi, co przeskrobałeś.

– Nie może pan jechać w piżamie.
– Jakiej piżamie?
– O kurwa... przepraszam, wiem, że nie powinienem kłąć...
– Zapomnijmy o tym. Rzeczywiście jesteś twardy. W tym momencie większość twoich kolegów robi sobie przerwę na zmianę gaci. No, no, zapowiada się ciekawy dzień.

* * *

– Gdzie pana zawieźć? Pod fontannę?
– Przecież wiesz.
– Oczywiście, ja tylko...
– Na co czekamy?
– Już jedziemy, panie Brethus.
– Wystarczy samo Brethus. Podobasz mi się.
– Może być tu? Czy lepiej będzie w cieniu?
– Tak jest dobrze.
– Chcesz trochę soku albo herbatę?
– Później. Teraz usiądź i powiedz mi wreszcie, za co trafiłeś do więzienia?
– Chętnie, ale muszę wracać do pracy.
– Tak łatwo się nie wywiniesz, kolego. Zapomniałeś, że jesteś ze mną? Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Mów!
– Sam chciałeś.
– Nie strasz, synku, nie strasz.
– No dobrze. Sześć lat za paserstwo, współudział w napadzie oraz pobicie.
– Ile przesiedziałeś?
– Na razie trzy, ale byłem grzeczny i dostałem szansę na skrócenie wyroku.
– Twoi kumple też?

– Skąd wiesz?!

– Przecież zgłosiłeś się na ochotnika. Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje. Co chcecie zrobić?

– Nic, ja tylko...

– Nie kłam, gówniarzu, bo pożałujesz!

– A skocz mi na chuja, dziadu...

Max spadał.

Wrzeszczał i z ogromną prędkością zbliżał się do ziemi. Wieżowce i ulice pełne maleńkich samochodów rosły w oczach. Kiedy z ogłuszającym furkotem minął dachy najwyższych budynków, w mgnieniu oka wrócił do Brethusa.

– Jezu, co to było?

– Upadłeś, synku.

– Idę stąd, kurwa.

– Nic z tego, chłopcze. Nie ma takiego miejsca na świecie, w którym mógłbyś się przede mną ukryć. Zostajesz. Nie patrz tak na mnie. Widziałem to spojrzenie więcej razy, niż możesz sobie wyobrazić, i już dawno przestało robić na mnie wrażenie. Jaki macie plan?

– Proszę pana...

– Brethus.

– Ja nie, to znaczy my nie, no nic, bo... jak ci to powiedzieć?

– Normalnie. Słowami.

– Kiedy byłem w więzieniu, rodzice odwrócili się ode mnie. Ojciec, dobry człowiek, skurwiel jebany, powiedział mi przez telefon, że nie chcą mnie znać. I pies ich jebał. Ale na koniec krzyknął jeszcze, że zawiodłem też swojego syna. Zamurowało mnie. Nie miałem pojęcia, że mam syna. Jednak staruszek nie kłamał. Chłopczyk ma niecałe cztery lata i bardzo mnie potrzebuje. Strasznie chcę go zobaczyć. Nie kocham jego matki, ale muszę mu jakoś pomóc. Może uda mi się ochronić go przed jej znajomymi

i całym tym głównym. Tyle że nie mogę tego zrobić z więzienia.

– Dlatego zgłosiłeś się do programu resocjalizacyjnego w Domu Weterana. A co na to twoi koledzy?

– To debile. Powiedziałem im, że łatwiej stąd uciec, i też się zgłosili. Teraz czekają na okazję.

– Czekacie.

– Nie. Czekają. Nigdzie się nie wybieram. Ci kretyni myślą, że jestem mózgiem operacji, i nawet nie podejrzewają, że ja wcale nie chcę wracać do więzienia i starego życia. Już nie.

– Przyszedłeś do mnie na ochotnika, co może być dowodem twojej głupoty albo determinacji. Mimo wszystko stawiam na to drugie. Żyję już trochę na tym świecie i rzadko myślę się w ocenie ludzi. Niewątpliwie budzisz zaufanie. Nie dziwię się, że kumple cię słuchają. Masz w sobie coś. Wyczuwam pod twoimi słowami błysk twardej, niewzruszonej pewności. Mógłbym cię wy badać swoimi metodami, ale to by ci się nie spodobało. Zrobmy inaczej. Już wiem, że powiedziałeś prawdę, więc teraz sprawdźmy twoje intencje. Nie hałasuj. Nie powinna się obudzić, ale staraj się być dyskretny.

– Nie rozum...

W pół słowa Max pojawił się w małym i zagraconym mieszkaniu Elizy. Prawie nic się nie zmieniło od jego ostatniej wizyty. Nawet ona spała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy od niej wychodził – na rozkładanej kanapie, zwinięta pod kocem. Chociaż nie, jeden szczegół był inny. Tuż obok niej w dziecięcym łóżeczku spał jasnowłosy chłopczyk. Max pochylił się nad nim, ale nie mógł mu się przyjrzeć, bo wszystko pływało mu przed oczami. Otarł łzy wierzchem dłoni i nagle znowu stał przed Brethusem. Miał zaciśnięte gardło, nie potrafił wykrztusić ani słowa.

– Teraz ci wierzę, chłopcze.

– Kim... kim pan jest?

– Jestem Brethus. Zapomniałeś?

– Jak to możliwe, że potrafisz robić takie rzeczy?

– Nie jesteś zadowolony?

– Przeciwnie, to coś niesamowitego. Przecież to był on, mój synek. Dziękuję, że pozwoliłeś mi go zobaczyć, ale te przeskoki... Dlaczego nie piszą o tobie w gazetach?

– Nie pomyliłem się co do ciebie. Boisz się, ale nie uciekasz, szczając po nogach. Mało jest takich ludzi. Ale takich jak ja jest jeszcze mniej. Nie sądź po pozorach. Co prawda nie mam nóg, ale mogę zniknąć w każdej chwili. Jestem tu, bo chcę. Dowiadują się o moim istnieniu tylko ci, którym na to pozwolę.

– A pacjenci, lekarze i reszta personelu? Przecież oni się ciebie boją. To dziwne, że wojskowi tolerują cię w takim miejscu.

– Nie mają wyboru. Żaden z nich nie może mi zaszkodzić. Poza tym mają u mnie dług.

– Kto?

– Wielu ludzi.

– Próbujesz zrobić na mnie wrażenie?

– Nie muszę.

– To prawda. Mogę o coś zapytać?

– Nie obiecuję, że odpowiem.

– Mimo to spróbuję. Urodziłeś się z tymi, hm, zdolnościami?

– Nie, przez sporą część życia byłem zwykłym człowiekiem. Odmieniło mnie coś, co przeżyłem w czasie drugiej wojny światowej.

– Opowiesz mi o tym?

– Po tylu latach nawet mnie trudno uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło. A jednak jestem teraz taki, jaki jestem. Nie sposób temu zaprzeczyć. Nie lubię sięgać do tego wspomnienia, lecz może powinieneś wysłuchać mojej historii. Tak, to może być ciekawe. Cieszę się, że poprosiłeś. Sam bym ci tego nie zaproponował. Nie znoszę starych dziadków, którzy zanudzają innych opowieściami.

Zanim zacznę, przynieś mi, proszę, coś do picia.

– A nie mógłbyś przeskoczyć?

– Mógłbym, ale lubię się czasem poczuć jak zwykły człowiek.

* * *

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku nie byłem już młodzieniaszkiem. Miałem czterdzieści dwa lata i świetną kondycję, ale poza dobrym zdrowiem niczym szczególnym się nie wyróżniałem. Prowadziłem proste i nudne życie. Mój problem polegał na tym, że urodziłem się wyzuty z jakichkolwiek ambicji, nic mnie nie interesowało i niczego nie potrafiłem osiągnąć. Z trudem skończyłem szkołę zawodową, od dwóch dekad pracowałem w sklepie z artykułami żelaznymi, wciąż mieszkalem z rodzicami i nie potrafiłem poderwać żadnej fajnej dziewczyny. Wszystkie trzymały mnie na dystans, jakby instynktownie wyczuwały, że mają do czynienia z nieudacznikiem, przy którym planowanie przyszłości nie ma najmniejszego sensu. Mimo to wiedziałem, że powinienem zmienić coś w swoim życiu, ale nie miałem pomysłu, co to ma być i jak to zrobić. Parę razy przemknęło mi przez głowę, żeby się zaciągnąć, jednak idea obywatelskiego obowiązku nigdy do mnie nie przemawiała. Nie zamierzałem ginąć za kogokolwiek. Musiałem jednak zaryzykować, bo nie widziałem innej możliwości. Pocieszałem się, że wojna weszła już w decydującą fazę i w Europie na pewno jest bezpieczniej niż rok temu. Ależ byłem naiwnym idiotą. W bazach przerzutowych napatrzyłem się na stosy trumien i pękające w szwach lazarety śmierdzące ropą i krwią, więc kiedy w końcu trafiłem do alianckiego obozu zaopatrzeniowego w głębi Francji, byłem błądy ze strachu. Po przybyciu na miejsce okazało się jednak, że muszę poczekać na samolot, który zabierze mnie na front. Trwało to kilka

tygodni. Odetchnąłem, uspokoiłem się, pomagałem w kuchni i cały czas trzymałem przy uchu małe przenośne radio. Rozumiesz?

– Nie bardzo...

– Ech, ci młodzi. Chodziłeś ty w ogóle do szkoły?

– Jasne. I miałem wysoką średnią.

– Mimo to nic nie przychodzi ci do głowy? Nieważne. Rzecz w tym, że z każdym dniem front przesunął się na wschód i przy dobrym wietrze w ogóle nie musiałbym walczyć. Niestety, mój samolot przyleciał, zanim skończyła się wojna. Zabrał rekrutów i ładunek medykamentów. Nie pamiętam dokładnie, ilu nas tam było, chyba ze czterdziestu. Większość chłopaków nie miała nawet dwudziestu pięciu lat i dziwnie na mnie patrzyli. Byłem przecież znacznie starszy od nich. Wystartowaliśmy o zmierzchu, ale niewiele nam to pomogło. W nocy zestrzelili nas nad Alpami.

– Zalewasz. Niby jak udało ci się to przeżyć?

– Samolot nie eksplodował w kuli ognia. Trafili nas w ogon i lewy silnik, pożar szybko się rozprzestrzenił, ale wszyscy zdążyli się ewakuować. Wyskoczyliśmy na spadochronach.

– Jakie to uczucie?

– Straszne. Było ciemno i nie widziałem, gdzie spadam. Zimny wiatr tarł mną we wszystkie strony. W końcu wpadłem na drzewo i zsunąłem się po gałęziach prosto do kamienistego strumienia. Lodowata woda wdarła się pod ubranie. Poderwałem się zaplątany w linki spadochronu, ale upadłem, bo chyba skręciłem kostkę i nie mogłem ustać na prawej nodze. Rozpaczliwie walczyłem z silnym prądem. Na szczęście nie było głęboko, więc, czołgając się po ostrych kamieniach, dotarłem do brzegu. Wycieńczony przyłgnałem twarzą do wilgotnego mchu i nie miałem siły, żeby się ruszyć. Po pewnym czasie jednak zebrałem się w sobie, zacisnąłem zęby i spróbowałem wstać. Mignęły mi przed oczami rozbiegane światła i straciłem przytomność.

– Z bólu?

– Raczej od ciosu w głowę.

– Jak to?

– Te rozbiegane światła to były latarki Niemców.

– Wyłapali wszystkich?

– Nie wiem. Od tego momentu niewiele rzeczy jestem pewien. Ocknąłem się w małej celi pozbawionej okien. Pod nagą żarówką stały dwa wiadra, jedno było puste, a drugie pełne czystej wody. Poza tym gołe ściany. Z zewnątrz dochodziły ciche echa odległych nawoływań. Byłem przerażony. Wyłem i płakałem jak dziecko. Gryzłem się po rękach z bezsilności. W końcu przestałem i skoro nikt po mnie nie przychodził, zacząłem kombinować. Okazało się, że nie przeszukali mnie zbyt dokładnie, bo zostawili scyzoryk, który miałem przypięty do paska. Z jego pomocą dobrałem się do zawiasów.

– Nie do zamka?

– Nie dałbym rady, ale śruby przy zawiasach były odsłonięte i bez problemu mogłem przy nich majstrować. Natychmiast zabrałem się do pracy. Cały czas nasłuchiwałem i gdy tylko miałem wrażenie, że ktoś przechodzi za drzwiami, wycofywałem się w głąb celi. Wreszcie udało mi się wyjść. Za drzwiami był długi półkolisty korytarz. Wyglądał jak sztolnia. Zdałem sobie sprawę, że jestem pod ziemią. Nagle usłyszałem dziwny dźwięk. Nie zważając na ból w kostce, szybko schowałem się do otworu wentylacyjnego. Chwilę później zobaczyłem coś niesamowitego. Czterech niemieckich żołnierzy toczyło wielką złotą kulę. W miejscu gdzie dotykała kamiennego podłoża, tworzył się nieduży lej – wklęsłość, która prostowała się po przejściu kuli. Wyglądało to tak, jakby Niemcy toczyli ją w lejowatym zagłębieniu, które przesuwało się razem z nimi.

– Niemożliwe!

– Nie ma takiego słowa. Nigdy nie było. Zrozumiałem to tamtego dnia. Byłem tak wstrząśnięty tym, co zobaczyłem, że na chwilę zapomniałem o strachu i pokuśtykałem za nimi. Korytarzem dotarłem do hali produkcyjnej, w której montowano V2. Wszędzie wałały się części do tych rakiet, ale nikt nie pracował. Pod suwnicą stał tłum ludzi. Niemcy w mundurach, robotnicy w brudnych kombinezonach i kilku naszych. Wszyscy razem, jak zahipnotyzowani, wpatrywali się w złotą kopułę, która wypiętrzała się na środku hali. Na moich oczach czterech żołnierzy dotoczyło do niej dziwną kulę i obie połączyły się ze sobą jak krople złotej rtęci. W jednej sekundzie kopuła stała się czubkiem ogromnej kuli, która zapadła się w betonowej podłodze i nadała jej kształt stromego leja. Nachylenie nie zrobiło na zgromadzonych żadnego wrażenia. Wciąż stali nieruchomo, wyprostowani, żaden się nie przewrócił. Usłyszałem głośny szum i wszyscy odwrócili się w moją stronę. W tej samej chwili zrozumiałem, że nie patrzą na mnie. Chciałem spojrzeć za siebie, lecz upadłem i poczułem, że ciężki chłód przepływa przez moje nogi. Jakby coś po mnie przeszło. Nie czułem bólu, dziwiłem się tylko, że nie mogę wstać. Przekręciłem się na bok i zobaczyłem to. Było wielkie. Fosforyzujący cylindryczny kształt unosił się wysoko w górze na niezliczonych, zwiewnych, cieniutkich odnóżach. Zbliżył się do kuli miękkim ruchem podwodnej rośliny i wniknął do środka. Przez chwilę nic się nie działo, a potem kula zaczęła się zmieniać. Rozciągnęła się, zmniejszyła objętość, zawirowała i przekształciła w coś, co wyglądało jak gruby miedziany przewód, który błyskawicznie przeskoczył po wspornikach i wymknął się przez małe okienko pod sufitem. Podłoga w hali natychmiast wróciła do poprzedniego kształtu, ale żołnierze, robotnicy i jeńcy stali w bezruchu, jakby kula wciąż tam była. Ogarnęła mnie panika. Chciałem uciec, lecz nie mogłem, bo nie miałem nóg. Patrzyłem na dwa gładkie, pięknie zabliznione

kikuty, wylaniające się ze strzępów spodni, i miałem pustkę w głowie. Nie tylko to się zmieniło. Czułem się bardzo dziwnie. Szarpnąłem się do przodu i nagle znalazłem się w lesie. Byłem całkowicie zdezorientowany. Zakręciło mi się w głowie, zapachniało czystą pościelą. Oślepiło mnie jasne światło. Kiedy do niego przywykłem, okazało się, że w jakiś sposób przeniosłem się do rodzinnego domu. Matka powiedziała mi, że kilka tygodni temu usłyszeli huk dochodzący z mojego pokoju i znaleźli mnie nieprzytomnego, zwiniętego na podłodze. U nich odzyskałem siły.

– Nikt cię nie szukał?

– Armia uznała, że nie żyję. Po dwóch miesiącach moi rodzice otrzymali oficjalny list z kondolencjami. Matka mi go pokazała. Nigdy nie zapomnę jej miny, lecz w jakimś sensie ten list mówił prawdę. Nie byłem już tym samym człowiekiem. Tamta istota odebrała mi nogi, ale wcale mi ich nie brakowało. Zostałem przekształcony. Moje kikuty nie są pozostałościami nóg. To naturalne uzupełnienie nowych umiejętności postrzegania i kontrolowania rzeczywistości, które szybko zacząłem odkrywać i wykorzystywać. Ale to już zupełnie inna historia. No i? Co ty na to?

– Nie wiem...

– To dobrze. Właściwie cieszę się, że mogłem to komuś opowiedzieć. Jestem tu jeszcze, w tym świecie, bo czekam, aż odejdzie ktoś, z kim czuję się związany. Ale to nie potrwa długo.

– Chodzi o tę rudą staruszkę?

– Zauważyłeś...

– Czemu z nią nie porozmawiasz?

– Jest dla mnie za młoda. Poza tym nie powinienem jej niepokoić. Zwłaszcza teraz, kiedy zostało jej tak mało czasu.

– Co to znaczy?

– Jakbyś nie wiedział.

– Nie możesz nic zrobić?

- Niestety.
- Może spotkacie się po drugiej stronie.
- Nie da rady. Religie się mylą. Wszystko, co przechodzi z jednej strony na drugą, ulega całkowitej przemianie. Nie dokończysz tam czegoś, co zacząłeś tutaj.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem. Jutro albo pojutrze będziemy musieli się pożegnać.
- Przykro mi.
- Niepotrzebnie, ja nie umieram, tylko wyruszam w dalszą drogę. Gdybyś mógł zobaczyć świat moimi oczami, to zrozumiałbyś, że ścieżka, którą podążam, wymaga ode mnie porzucenia obecnego kształtu i rozpuszczenia energii tego ciała.
- Dokąd się wybierasz?
- Nie wiem, szlak prowadzi przez wiele światów. Czemu tak patrzysz? Myślisz, że zwariowałem?
- Po tym, co mi pokazałeś? Nie, to ja jakoś inaczej się czuję...
- Właśnie dlatego wszyscy instynktownie trzymają się ode mnie z daleka. Przebywanie w moim towarzystwie wpływa na percepcję. Zmienia. Nie bardzo, ale wystarczająco, żeby zrobić z ciebie innego człowieka. Nie bój się tej zmiany, tak jak nie bałeś się mnie. Zostawię ci coś, co ci pomoże.
- Nie powinienem przyjmować żadnych prezentów.
- Tego nikt przy tobie nie znajdzie.

* * *

Trzy dni później, dzień po śmierci Racheli, wszyscy wylegli na trawnik przed Domem Weterana. Było wczesne popołudnie, a mimo to przez błękit bezchmurnego nieba prześwitywały gwiazdy. To był niesamowity widok. Ale tylko Max wiedział, co on

oznacza, bo jedną z nich miał przy sobie. Ilekroć zamykał oczy, widział ją w całej okazałości. Nie wiedział, jak ma mu pomóc, lecz nie dbał o to, bo była piękna.

Nigdy w życiu nie widział czegoś piękniejszego.

URES

POHRA

KANAKHVA

Fosforyzujący szlak zielonych ciągomyśli Nyklumba prowadził przez grzybowe pastwiska, puste korytarze, wąskie przejścia wijące się między grubymi płytami chitynowych narośli, martwe wyłomy najeżone ostrymi drzazgami i niezliczone komory zamieszkałe przez odszczepieńcze wspólnoty. Pierwsza, jaką poznał Teju, składała się z kilkudziesięciu qamronów, którzy żyli zanurzeni w inteligentnej feromonowej cieczy. Dzięki niej ich osobowości łączyły się w jeden umysł, przekonany, że jest dwunogą i dwuręką istotą; czymś, co jak sami twierdzili, uważa się za starą kobietę, która pielgrzymuje na górę Kailaś. Teju nie miał pojęcia, co to może znaczyć, i chyba nie chciał wiedzieć. W pośpiechu opuścił tę dziwną wspólnotę i ruszył dalej. Nie spodziewał się, że kolejni qamroni, których spotka na swojej drodze, będą jeszcze dziwniejsi.

Po kilku życiocyklach jego uwagę przyciągnęła toporna konstrukcja wzniesiona na końcu szczególnie długiego kolca. Okazało się, że zamieszkują go wyznawcy Poziomego Łądu, którzy uważają, że qamroni już dawno powinni opuścić ciało kolosalnej istoty, na której żyją od niepamiętnych czasów. Aby to zrobić, muszą po prostu zejść na sam dół, tam gdzie według nich nogi istoty niewątpliwie dotykają poziomego gruntu. Dzięki kilku wyprawom odkryli jednak, że to niewykonalne, bo poniżej trawnahrowych kolców skóra istoty jest tak gładka i przewieszona, że uniemożliwia dalsze schodzenie w dół. Po wielu naradach wyznawcy Poziomego Łądu wreszcie znaleźli rozwiązanie. Postanowili, że uplotą z porostów długą linę i z jej pomocą bezpiecznie dotrą do Poziomu. Potrzebują jej jednak tak dużo, że zaplanowali tę pracę na wiele pokoleń.

Teju stał na pomoście służącym do testowania nowych

fragmentów liny i ze zdumieniem obserwował qamaronów huśtających się na końcach solidnych plecionek. Byli daleko od niego, w dole, ale nawet z tej odległości wyczuwał, że promieniują szczęściem i celowością, których nie potrafił zrozumieć. Nikt go jednak nie przekonywał, że musi dołączyć do wyznawców Poziomego Łądu. Oni mieli swoje życie, a on swoje. Pozwolili mu popatrzeć, nakarmili go, odpowiedzieli na jego pytania, a potem wrócili do swoich zajęć, więc Teju też musiał wrócić na szlak. Każde spotkanie z odszczepieńczymi qamronami utwierdzało go w przekonaniu, że jego miejsce jest gdzie indziej.

Pewnego razu ocknął się z płytkiego letargu, który był tylko pustą i pozbawioną życia dziurą po Enzabarze, chwilową utratą świadomości zmęczonego organizmu, i zorientował się, że stracił poczucie czasu. Nie potrafi już powiedzieć, od ilu życiocykli wędruje w górę. Mimo to szedł dalej. Odwiedził różne wspólnoty. Jedne tropiły języki nieznanych zapachów, inne hodowały jadowite larwy gobtto, próbowały budować latające maszyny lub uciekały w świat halucynacyjnych wizji. Gdy poznał ich tak dużo, że zaczęły mu się mylić, nagle dotarł do granicy Travh-nahru, do miejsca, gdzie kończył się las kolców, które ustępowały pod naporem grubych spękanych płyt chitynowego pancerza, warstwowo wypiętrzonego ponad kolcami. Pancerna powierzchnia była bardzo gładka i Teju wątpił, czy zdoła się na niej utrzymać, lecz fosforyzujący szlak zielonych ciągomysli nadal prowadził w górę. Gdyby nie on, Teju chyba nigdy nie znalazłby wąskiego i ledwo widocznego pasma szorstkiego gruntu, wijącego się po pancerzu i znikającego w szczelinie między dwiema płytami. Qamron ostrożnie wszedł na niepewną ścieżkę i przez sześć kolejnych życiocykli błądził w labiryncie szczelin. Szlak ciągomysli plątał się, zawracał i gubił. Teju jadł dzikie grzyby hemmo i wchłaniał smoliste tomo, które często wypełniało pęknięcia w pancernych płytach,

więc nie bał się głodu, lecz na samą myśl o tym, że przez resztę życia będzie się błąkał w tych jałowych szczelinach, jego skorupę przeszywała lodowata igła przerażenia. Od czasu do czasu spotykał pustelników i próbował pytać ich o drogę, ale w ogóle nie reagowali na jego obecność. Spoczywali w bezruchu zaklinowani w płytkich jamach, a ich ciała wibrowały głęboką medytacją. Teju musiał sobie radzić sam i nadal błędził, kluczył, wracał po swoich śladach.

Trwało to do momentu, gdy zauważył lunę białego światła. Wydawało się, że jego źródło znajduje się gdzieś wyżej, na pancerzu. Teju postanowił to sprawdzić. Porzucił szlak ciągomyśli Nyklumba i ruszył w stronę blasku. Nie było to łatwe. Wciąż musiał skręcać, lawirować i wycofywać się ze ślepych uliczek, ale mimo to czuł, że przestał błędzić i w końcu zaczął się posuwać do przodu, choć gdzieś tam, głęboko pod skorupą, czaiła się nieprzyjemna myśl, że wcale nie musi tak być i możliwe, że sam się oszukuje. W pewnej chwili luna zniknęła z zasięgu jego wzroku, a Teju zatrzymał się na końcu głębokiej szczeliny, która przechodziła w ciasny tunel. Zajrzał do niego. Był dość długi, ale prosty i można było zobaczyć jego wylot. Biło stamtąd białe światło. Qamron wsunął się do środka i powoli, miarowymi ruchami, przepchnął się na drugą stronę. Wyszedł i zamarł.

Stał na krawędzi kolosalnego kanionu, nieprawdopodobnego zagłębienia, które zarówno z jednej, jak i z drugiej strony ciągnęło się aż po odległy, pionowy horyzont. Wypełniały go dziwne kształty, kanciaste i zaokrąglone, przywodzące na myśl kolce, które były formowane za pomocą kwasu przez niezliczone cykle wielu qamronów. Teju widział już coś takiego. W Enzabarze. Domy i maszyny splecione w nierozzerwalną całość. To musiało być opuszczone starożytne miasto. A nad nim unosiło się źródło białego światła. Ogromny cylindryczny kształt, znacznie większy od travh-nahrowych kolców, rozświetlony od wewnątrz matowym blaskiem

i wspierający się na setkach długich, cieniutkich, niemal zwiewnych odnóży. Teju przypomniawszy sobie, co powiedział Nyklumb, i musiał się z nim zgodzić. Tego rzeczywiście nie da się pomylić z niczym innym. Cokolwiek to było, nie ruszało się. Teju przez dłuższy czas obserwował zagadkowe zjawisko, aż wreszcie zebrał się na odwagę i niepewnie wszedł między kościste szkielety budynków i maszyn.

Szybko przemknął po najbardziej poziomej części kanionu, na której czuł się nieswojo, odsłonięty i wystawiony na atak, a potem, gdy dotarł już do szerokich pionowych uliczek pokrytych drobnymi karbami zapewniającymi znakomitą przyczepność, ruszył w stronę cylindrycznego kształtu, a właściwie jego odnóży. Był pewny, że właśnie tam znajdzie Uresa. Drogę wskazywały mu oczyszczone szkielety budynków i poukładane części rozebranych maszyn, leżące obok siebie na sterczących poziomo skorupach zabudowań. Wydawało się, że ktoś z premedytacją starał się je ułożyć w taki sposób, żeby tworzyły zawile wzory, wizualne zagadki czekające na rozwiązanie. Teju domyślał się czyja to robota.

Powoli zbliżał się do jednego z wielu odnóży, na których wspierał się cylindryczny kolos oświetlający zrujnowane miasto, i zafascynowany wpatrywał się w jego falującą, energetyczną strukturę. Nie mógł oderwać do niego wzroku. A kiedy mu się udało, zorientował się, że niepostrzeżenie wyszedł na otwartą przestrzeń, stoi na pionowym karbowanym placu i nie jest sam. Tuż przed nim ktoś grzebał w mechanicznych trzewiach pojazdu, który przypominał żywą istotę – był podłużny, opływowy, szarobiały jak skamieniała kość, miał sześć długich nóg, ale tylne były nieproporcjonalnie długie i zgięte pod ostrym kątem. Miał również sporą klinowatą głowę, czarne fasetowane oczy i cienkie segmentowane czułki. Wzdłuż smukłego ciała ciągnęły się ażurowe skrzydła. Pod jednym z nich, częściowo odchylonym na bok, z otwartego luku wychylał się stary qamron. Dopasowywał do siebie

kryształowe elementy, które wydawały z siebie głośne trzaski i niskie, basowe buczenie. Całkowicie skoncentrował się na swojej pracy. Choć Teju widział go pierwszy raz w życiu, był przekonany, że to musi być on. Chciał się jednak upewnić, więc podszedł bliżej i nieśmiało rozpylił:

– Ty jesteś Ures?

Nieznajomy był deprymująco nieprzenikniony. Nie emanował żadnymi emocjami. Jego czteropalczasta dłoń zawisła nieruchomo nad kryształowymi mechanizmami.

– Kto pyta?

– Jestem Teju.

– Czego tu szukasz?

– Utraciłem Enzabar i pielgrzymuję w górę, żeby go odzyskać.

– Doprawdy?

Z każdą chwilą Teju tracił pewność siebie.

– Qamron, który nazywa się Nyklumb, zostawił szlak ciągomyśli, dzięki któremu tu trafiłem. Powiedział mi, że na jego końcu znajdę kogoś, kto wie, co powinienem zrobić, wie, jak mi pomóc. Jeśli to nie ty, może mógłbyś...

– Nie znam! Idź sobie! Tracisz czas. Enzabar nie istnieje.

Nieznajomy ponownie skupił się na kryształach i przestał odpowiadać na pytania. Najwyraźniej stracił zainteresowanie dalszą rozmową. Teju stał jak sparaliżowany, potem wolno opuścił plac i zaczął bezmyślnie błędzić pustymi uliczkami. Czuł się kompletnie zagubiony, lekki i nieobecny, jakby jego ciało pod skorupą zmieniło się w gazowy pęcherz. Co powinien zrobić? Dokąd pójść? Przecież nie wróci do Travh-nahru i nie ukorzy się przed Królową. Cóż za absurdalna myśl! Równie dobrze mógłby sam skoczyć w pustkę. Rezultat będzie identyczny.

Przez kilka życiocykli włóczył się między zrujnowanymi budynkami. Przyglądał się wydrążonym skorupom ścian, dziwnym

przekładniom, kościanym łańcuchom i zapadniętym zbiornikom. Dzięki nim powoli odzyskiwał wewnętrzny ciężar, bo to, co widział, umacniało go w przekonaniu, że nikogo innego tu nie ma. W końcu zbliżył się do odnóza wiszącego nad miastem świecącego kolosa. Mógłby go dotknąć, ale nie miał odwagi. Wpatrywał się tylko w falujące zawirowania energii, z których najwyraźniej było zbudowane. Stał przy nim tak długo, aż poczuł się znużony. Wcisnął się do najbliższej szczeliny i zapadł w letarg. Kiedy się ocknął, był już pewny, że stary qamron kłamał. Teju postanowił wrócić na plac.

Wspiął się na poszarpany szkielet jednego z budynków i zaczął obserwować działania nieznajomego. W myślach mówił na niego Ures i im dłużej mu się przypatrywał, tym bardziej wierzył, że to naprawdę on.

Stary qamron nieustannie pracował przy swoim pojeździe, a Teju uważnie śledził każdy jego ruch. Widział, jak rozplątuje kable, rozkręca i skręca turbiny, włącza światła, które migoczą i gasną, manipuluje przy czułkach, otwiera klapy pod skrzydłami czy reguluje nachylenie chwytnych pazurów na końcach nóg. Po siedmiu zyciocyklach doszedł do wniosku, że praca starca powoli dobiega końca. Qamron, na którego mówił Ures, ograniczył swoją krzątaninę do głowy pojazdu i cały czas w niej przesiadywał. Teju patrzył na to z rosnącym niepokojem. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli tamten zdoła uruchomić tę dziwną maszynę, to z całą pewnością natychmiast wyniesie się z tego miejsca i dokądkolwiek się uda, warto by było zabrać się razem z nim. To, co powiedział nieznajomy, zachwiało jego wiarą w możliwość odzyskania Enzabaru, ale tylko na chwilę. Teraz, kiedy był już pewien, że kłamliwy starzec to Ures, który z jakiegoś powodu nie chce go widzieć na pokładzie swojego pojazdu, podjęcie właściwego działania nie stanowiło żadnego problemu. Nad niczym nie musiał

się już zastanawiać. Zszedł na uliczkę, odłamał kawałek masywnego lewara i ruszył w stronę maszyny Uresa.

Zbliżył się do niej od tyłu, wskoczył na chropowaty korpus i z zaskoczeniem odkrył, że jeden z luków jest otwarty. Pułapka czy nieostrożność? Teju powolutku wszedł do środka i znalazł się w ciasnym korytarzu. Nic się nie stało. Rozkoszna fala ciepłego zadowolenia przeniknęła go na wskroś. Był skupiony i zdeterminowany. Wiedział, że bez wahania wykorzysta lekkomyślność starca. Uniósł ułomek lewara i zaczął się skradać w kierunku głowy pojazdu. Mijał rury, instalacje migających światełek i potężne siłowniki, ale nie zwracał na nie uwagi. Koncentrował się na włazie, który widział na końcu korytarza. Co zrobi, jeśli okaże się zamknięty? Albo, jeszcze gorzej, co zrobi, gdy Ures wyłoni się z niego, zanim zdoła podejść na tyle blisko, żeby zadać cios? Gęstniało przerażające napięcie. Wyostrzona percepcja Teju potęgowała każdy dźwięk. Ciche szelesty, piski i stukoty otaczającej go maszynierii brzmiały jak bełkotliwe słowa akustycznego języka. Teju nie potrafił ich zrozumieć, ale intencje, które się za nimi kryły, odczytywał bez najmniejszego trudu. Pojazd zachęcał go, poganiał, wspierał i przekonywał, że też chce się pozbyć Uresa.

Teju zbliżył się do włazu. Był uchylony. Jakżeby inaczej. Przecież w tym miejscu pomaga mu każda śrubka, zworka czy zawias. Ostrożnie, nie robiąc hałasu, zaczął się wsuwać do głowy pojazdu. Z uniesionym kawałkiem lewara szukał Uresa wzrokiem. Wtem owionął go podmuch feromonowej mowy.

– Nareszcie! Już myślałem, że nie przyjdiesz.

Teju bezwiednie opuścił ramię. Ułomek stuknął o kościste poszycie głowy i nagle wszystkie dźwięki przestały brzmieć jak słowa, przestały cokolwiek znaczyć.

– Co? – zapytał oszołomiony.

– Nie „co”, tylko chodź tu szybko i zaklinuj się na stanowisku, zanim Avorro zacznie ładować turbiny.

Teju wszedł do środka i zobaczył, że Ures wcisnął się w ciasną ażurową tuleję, która wyrastała z wklęsłego dna segmentowanego okna. Po drugiej stronie głowy było jeszcze jedno okno, z taką samą tuleją, ale pustą.

– Pośpiesz się – rozpylił nagląco starzec.

Zdumiony Teju odłożył bezużyteczny ułomek lewara, podszedł do tulei, podskoczył i wsunął się do wnętrza. Nie mógł się ruszać, przez chwilę miał wrażenie, że zaraz go zgniecie, ale to szybko minęło. Nagle poczuł się większy, skrzydlaty, w brzuchu wibrowały mu turbiny pracujące na wolnych obrotach. Poruszył głową i czułkami. Rozejrzał się. Kątem fasetowanego oka zauważył zwielokrotniony ruch. Spojrzał w tamtą stronę. Jedno z falujących odnóży świecącego kolosa uniosło się ponad ruinami miasta i zaczęło błyskawicznie opadać. Prosto na nich.

– Zaczyna się – stwierdził Ures.

– Ale co? – zapytał Teju, emanując panicznym strachem.

– Avorro naładuje turbiny i będziemy mogli się stąd wyrwać. Trzeba tylko dobrze wymierzyć pierwszy skok. On będzie najtrudniejszy, ale musi się udać. W przeciwnym razie możemy mieć problem.

Odnóże nieubłaganie zbliżało się w ich stronę.

– O czym ty mówisz? Przecież ja w ogóle nie wiem, co mam robić, i nie mam pojęcia, jak się steruje tym pojazdem.

– To nie pojazd, tylko Pasikonik. A one skaczą. Po prostu. Musimy mu pozwolić skoczyć, rozumiesz?

Odnóże wbiło się w korpus Pasikonika. Teju poczuł, że turbiny gwałtownie nabierają obrotów. Narastający wizg przeszedł w ogłuszający ryk i pojazd zaczął dygotać.

– Co teraz?

– Poczekaj, aż skończy.

Chwilę później odnóże cofnęło się i odsunęło na bok.

– Spójrz tam – rozpylił starzec. – Widzisz krawędź górnej ściany kanionu?

Trudno byłoby jej nie zauważyć. Gigantyczna przewieszona płaszczyzna wypełniała większą część pola widzenia. Patrząc na nią, Teju zrozumiał, jaki skok ma na myśli Ures.

– Nie dam rady.

– Doprawdy? – zadrwił stary qamron, ale tym razem zabrzmiało to tak, jakby Teju przekomarzał się sam ze sobą albo był wytworem umysłu Pasikonika i mimowolnym świadkiem jego mentalnych debat i rozważań.

Feromonowe słowa wirowały wokół niego jak myśli. Trudno je było od siebie odróżnić. Teju zaczął ignorować te, które emanowały z qamronów, i skupił się na bezpośrednich podszeptach skrzydeł, czulek, turbin i potężnych nóg Pasikonika. Stał się Pasikonikiem. Przestał rozumieć słowa, które rozpylał starzec. Dygotał zgromadzoną mocą i całym sobą pragnął tylko jednego – dotrzeć tam, gdzie czeka na niego to upragnione miejsce, ta cudowna, wgłębiona przestrzeń, ten magnetyczny odcisk Krek'h-pa. Przyłgął do gruntu i skoczył.

Przeleciał pod kolosalnym Avorro, zatrzepotał skrzydłami i bez trudu wylądował na krawędzi kanionu. Poprawił ułożenie nóg i znowu skoczył. Pomknął nad pobrużdżoną, guzełkową powierzchnią, częściowo pokrytą gładkimi metalicznymi łuskami. Balansując ciałem, osiadł poniżej jednej z nich, ale źle ocenił odległość i znalazł się za blisko. Ostra krawędź łuski odcięła mu lewy czulek. Pasikonik ryknął, stracił równowagę i zaczął się ześlizgiwać w dół. Wierzgnął, wystawił pazury i z gwałtownym szarpnięciem zatrzymał się w miejscu. Ostrożnie zmienił pozycję. Znowu ustawił się głową do góry. Jedna z przednich nóg była

złamana. Odciął w niej zasilanie, wygasił czucie i nie bez żalu odgryzł ją przy samym korpusie. Uszkodzona noga mogłaby destabilizować jego lot i Pasikonik nie chciał, żeby przeszkodziła mu w dotarciu do cudownego wgłębienia. Zwłaszcza że był już blisko. Bardzo blisko. Zwiększył obroty w turbinach, zmusił je do ostatniego wysiłku i skoczył trzeci raz.

Zafurkotały skrzydła. Przemknął ponad ostrymi łuskami wyrastającymi z pobrużdżonej powierzchni i zaczął opadać w stronę białej płaszczyzny. Był na niej tylko jeden ciemny punkt. Pasikonik skorygował kierunek lotu i pomknął w jego stronę. Turbiny zaczęły zwalniać. Rozkręciły się. Zużyły cały zapas energii i stanęły. Skrzydła zamarły w bezruchu. Pasikonik spadał. Leciał już tylko siłą rozpędu. Mknął wycelowany w ciemny punkt, który się zbliżał w błyskawicznym tempie. Przez chwilę, zanim zaczął wirować i wszystko się rozmasało, można było dostrzec krąg niskich czarnych obelisków, które otaczały ogromne półkoliste wgłębienie, ciemne i głębokie. Pasikonik runął do niego z impetem i roztrzaskał się na kawałki.

Gdy Teju odzyskał świadomość, wciąż tkwił w ciasnym wnętrzu ażurowej tulei, która leżała wśród połamanych odłamków, obok zmiażdżonej głowy Pasikonika. Był poobijany, obolały, ale wyglądało na to, że nic poważnego mu się nie stało, i mógł o własnych siłach wysunąć się z tulei. Niedaleko, za powyginanymi resztkami zniszczonego skrzydła, leżał Ures. Teju podszedł do niego. Starzec żył, ale był nieprzytomny. Musiał wypaść ze swojej tulei. Qamron rozejrzał się bezradnie. Znajdowali się na dnie dużego półkolistego wgłębienia. Jego powierzchnia była czarna, lśniąca i zapewne bardzo twarda, bo spadający Pasikonik w żaden sposób nie zdołał jej uszkodzić. A wyżej, wzdłuż wyraźnej krawędzi obrzeża, stał szpaler niskich stożkowatych obelisków. Z daleka wydawało się, że one również są z czarnej i lśniącej materii.

Nagle Teju zdał sobie sprawę, że wgłębienie jest położone niemal poziomo. Czyżby dotarli aż tak wysoko? Uniósł wzrok i zafascynowany wpatrzył się w gigantyczny kanciasty kształt, który znajdował się wysoko ponad nim; kształt przysłaniający połowę jednolicie rozgwieżdżonej pustki, a i tak będący zaledwie fragmentem czegoś jeszcze większego, rozmywającego się w oddali.

– Głowa... – mimowolnie rozpylił Teju, jakby musiał wypowiedzieć właściwe słowo, żeby zrozumieć to, co widzi.

Wtem skorupa Uresa zadrżała i Teju poczuł, że jego świadomość wraca. Cierpliwie czekał, aż stary qamron odzyska władzę nad ciałem i zmysłami. W końcu udało mu się stanąć na nogi. Emanował dezorientacją i zagubieniem.

– Udało się?

– Chyba tak, ale nie wiem, w jaki sposób zdołaliśmy to przeżyć.

– Akurat w tym nie ma nic dziwnego.

Teju spojrzał na niego gniewnie.

– Nie podoba mi się twój ton, Ures, i chciałbym, żebyś wyjaśnił mi, dlaczego...

– Ures? Nie jestem żaden Ures.

– Znowu zaczynasz?

– Nie ja zaczynam, tylko ty. Nie poznajesz mnie? Nie pamiętasz, jak się nazywam?

Teju zamarł.

– O czym ty mówisz? Nigdy wcześniej cię nie widziałem.

– Na pewno, panie Druss?

Dziwnie znajome słowo błysnęło odległą iskrą rozpoznania. Teju poczuł ją w sobie, ale nie miał pojęcia, skąd się wzięła. Ten stary qamron musiał być szalony i wciągał go na orbitę swojego szaleństwa. Należało z tym skończyć, i to jak najszybciej.

– Przestań, mam już tego dość! Chcę się tylko dowiedzieć, co

mam zrobić, żeby odzyskać Enzabar. Powiedz mi, proszę, a obiecuję, że więcej mnie nie zobaczysz i będziesz mógł dalej żyć we własnym świecie.

Ures owinął się zapachem rozbawienia.

– Żebyż to było takie proste.

– Ależ jest...

– No dobrze. Właściwie nie przeszkadza mi, że mówisz do mnie Ures. Moje poprzednie imię też zostało wymyślone przez ciebie, więc masz prawo je zmienić.

Teju starał się cierpliwie słuchać tego bełkotu.

– Świetnie, ale czy dzięki temu zechcesz mi wreszcie pomóc?

– To nie zależy ode mnie – stwierdził poważnie Ures.

Teju podejrzewał kolejną sztuczkę.

– A od kogo?

– Od strażnika. Tu, w tym starożytnym miejscu kultu, tu, gdzie odbiło się spadające Krek'h-pa, żyją potężne istoty, strażnicy przejść między światami. Nigdy nie wiadomo, co robią. Może wygaszą twoje istnienie, może pokażą ci coś, co całkowicie odmieni twój kontakt z rzeczywistością, a może po prostu pozwolą ci odzyskać Enzabar.

– Muszą to zrobić! W tym celu tu przybyłem!

– One postrzegają twoje cele ze swojej perspektywy. Widzą cię zupełnie inaczej. Wiedzą, dokąd powinieneś się udać i co powinieneś zrobić, nawet wtedy, gdy ty sam tego nie wiesz.

Teju nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję z szaleńcem.

– Gdzie są te istoty? Nigdzie ich nie widzę.

– Same cię znajdują. Chodź, podejźmy do krawędzi wgłębienia. Ciekaw jestem, jaki widok się stamtąd rozciąga.

– Wolałbym sam.

– Przecież i tak za niedługo nasze drogi się rozejdą. Nie odmawiaj staremu qamronowi. Jeszcze nigdy nie widziałem

strażnika.

Teju niechętnie zgodził się na jego propozycję i ruszyli w stronę krawędzi. Wspięli się po pochyłej ścianie wgłębienia i weszli między czarne stożkowate obeliski. Za nimi, we wszystkie strony rozciągała się bezkresna koścista równina, biała i pusta.

– Co teraz? – zapytał Teju.

Gdy rozpytał te słowa, nakrył go bezszelestny cień. Spojrzał w górę i zobaczył, że na najbliższym obelisku ląduje ogromna skrzydlata istota porośnięta puszystymi piórami. Usiadła. Złożyła skrzydła i skierowała na niego wielkie oczy, w których przelewał się srebrny blask. Światło wniknęło w Teju i nie było już nic innego. Tylko puste wgłębienie na pustej, bezkresnej równinie.

* * *

Menur rozglądał się nerwowo.

– Nie wierzę, że dałem się na to namówić – szepnął i umilkł pod ciężarem surowego spojrzenia Hemela.

Tenan starał się ignorować ich zachowanie. Tak go irytowali, że nawet nie chciał patrzeć w ich stronę. Od momentu, gdy opuścili pracownię Menura, ci dwaj bez przerwy sobie dokuczali. Na szczęście Tenan był najmniejszy z nich i dzięki temu mógł z łatwością ukryć się w trawie, więc wszyscy byli zgodni, że to on powinien sprawdzić, czy Panaplian jest już na miejscu. Perus z ulgą oddalił się od Menura i Hemela. Wyszedł z gęstych krzaków kersu, w których się przyczaili, i zaczął się powoli przedzierać przez wysoką suchą trawę. Zmierzał w stronę dużego głazu, kamiennego ostańca w kształcie pochyłego zęba zamina. Kiedy do niego dotarł, przylgnął do zimnej i wilgotnej powierzchni, przez chwilę zbierał się na odwagę, a potem rozciągnął wypustkę i spojrzał ponad głazem na niskie skaliste pagórki wypiętrzające się z trawiastej

równiny. U podnóża jednego z nich była duża czarna plama, owalne wejście do jaskini zaczopowanej ciemnością. Powinny go pilnować ikri albo gomole, ale w zasięgu wzroku nie było żadnego strażnika. Panaplina też nigdzie nie było widać.

Perus skrócił wypustkę i schował się za głazem. Popatrzył w drugą stronę, na odległe Linvenogre, mgliście majaczące za polami uprawnymi tomor i połyskujące w nielicznych promieniach słońca, które zdołały przebić się przez grubą warstwę niskich chmur niechybnie zapowiadających rychły deszcz. Odszukał wzrokiem lewitującą kopułę Apolabium. Była daleko stąd. Unosiła się wzdłuż brzegu jeziora. Tenan czuł jednak, że coś jest nie tak. Dziwne, niepokojące przeczucie trawiło jego kości, mięśnie, wypustkę i każdy zjeżony włos. Dlaczego Panaplina chciał, żeby Menur przyjechał tu razem z nimi? Stary perus rzeczywiście spędził w towarzystwie Drussa znacznie więcej czasu niż on czy Hemel, ale to nie musiał być jedyny powód. Nagle Tenan zorientował się, że nawet przy założeniu, że Panaplina mówił prawdę i kolektyw raziri faktycznie opuścił to gniazdo wiele lat temu, wciąż może im grozić wiele innych niebezpieczeństw, a gwardziści czekający na nich w jaskini, albo coś jeszcze gorszego, jakaś wymyślna pułapka zmontowana z zabójczych xulo, nie są tylko hipotetycznymi możliwościami, lecz czymś bardzo, ale to bardzo prawdopodobnym. Zadrzał. Jakim cudem wplątał się w to wszystko? Czy przewijanie pajęczych archiwów naprawdę było takie złe? Chyba nie jest jeszcze za późno, żeby do tego wrócić...

Zawołaj pozostałych.

Czemu się rozdzieliście?

Zwiewny głos Panaplina wdarł się w gorączkowe myśli perusa.
– Chcieliśmy zachować ostrożność...

***Mówiłem przecież,
Że od dawna nikogo tu nie ma.
Przestań się chować za tym głazem.
To głupie.***

Tenan przemógł lęk i powoli wyprostował nogi. Tuż za kamiennym ostańcem wynurzył się z ziemi duży, tępo zakończony stożek. Panaplian. Lśnił gładką, łuskowatą czernią i swobodnie przenikał przez falujące źdźbła traw, w żaden sposób nie naruszając ich struktury.

***Czekam na was
Przy wejściu do gniazda.***

Stożek zachybotał się miękko, jak spławik na wodzie, a potem nachylił się i pomknął w stronę skalistych pagórków. Tenan z fascynacją przyglądał się, jak Panaplian płynie w gęstej materii. Czuł to samo porażające zdumienie, które ogarnęło go, gdy zobaczył to pierwszy raz. Odprowadził wzrokiem czarny stożek, a potem zawołał Hemela i Menura. Niechętnie opuścili kryjówkę i wraz z Tenanem dołączyli do Panapliana. Żeby wejść do jaskini, musieli się przedrzeć przez wysokie krzaki prakto.

– Wygląda na to, że rzeczywiście nikogo tu nie ma – stwierdził Hemel.

***Mazma zaczęła opuszczać to miejsce
Dziewięć lat temu.
Po incydencie z latającą kopułą.***

– Jakim incydencie? – zainteresował się Tenan.

– Oficjalnie Rada nigdy nie potwierdziła, że to się naprawdę

wydarzyło – powiedział Menur, zerkając nieufnie na Panaplina. – Ale na pewno słyszałeś plotki o tym, że kopuła zaczyna tracić zdolność latania i od czasu do czasu widać, jak nagle obniża lot lub kołysze się na boki. Wszystkie te pogłoski i opowieści rzekomych świadków mają źródło w incydencie, który wydarzył się dziewięć lat temu.

– Co się wtedy stało? – zapytał Hemel.

– Kopułę Apolabium wypełnił dziwny dźwięk, niska, przejmująca wibracja, i w tym samym momencie cała konstrukcja opadła nieco w dół. Po chwili wróciła na swój stały pułap, ale dźwięk utrzymywał się jeszcze przez wiele dni. Rada, jak to ma w swoim zwyczaju, kazała utworzyć zespół badawczy, który miał odkryć przyczynę tego niepokojącego zjawiska, ale nie sądzę, żeby Mistrzowie do czegoś doszli...

Też tak myślę.

To coś wykraczało poza

Płaszczyzny pojmowania

Perusów i zaminów.

Można nawet zaryzykować stwierdzenie,

Że było to coś ludzkiego.

– Zgadzam się – potwierdził Menur.

To jednak tylko spekulacje.

Fakty są takie,

Że tuż po tym incydencie

Poziom mazzmy w jądrze gniazda

Zaczął gwałtownie opadać.

I wystarczyło pięćdziesiąt dni,

Żeby spadł do zera.

– Co się stało z resztą kolektywu? Przecież musiały tu być setki ikri i gomoli.

Nie wiem.

Zniknęli.

Zginęli.

Może odeszli razem z mazzmą.

Tak czy inaczej,

Już ich tu nie ma.

Możemy bezpiecznie

Wejść do gniazda.

Chodźcie.

Panaplian płynnie ruszył w głąb jaskini. Skały nie spowalniały jego ruchów. Menur, Hemel i Tenan spojrzeli na siebie i poszli za nim. Początkowo dziwili się, że Panaplian nie kazał im zabrać żarolamp albo innych przenośnych źródeł światła, lecz szybko okazało się, że nie są konieczne, bo ściany korytarzy były porośnięte fosforyzującymi grzybami, które emanowały mocnym żółtawym blaskiem. W powietrzu unosił się nieprzyjemny chemiczny zapach, który drażnił Hemela.

– Czujecie to? – zapytał. – Co to za smród?

Woń mazzmy.

– Jest coraz mocniejsza.

Bo idziemy do głównego silosu,

Tam, gdzie kiedyś było jądro

Tego kolektywu raziri.

– Czy tam jest Druss?

Nie sędzę, żeby to był on.

– To po co nas tu sprowadziłeś? – wtrącił Menur.

*To, co tam jest,
Przesiąkło jego obecnością
I najprawdopodobniej
Pomoże nam odnaleźć samego Drussa.
Leży jednak na dnie głębokiego silosu
I nie mogę tego ani zobaczyć,
Ani dosięgnąć.*

– Jak to? – zdziwił się Tenan. – Przecież bez trudu przenikasz przez każdą materię.

*Struktura ścian
Została zmodyfikowana przez mazzmę
I jest tak gęsta,
Że mój skafander musiałby zużyć
Bardzo dużo energii,
Żeby przez nią przeniknąć.
W obecnej sytuacji
Nie mogę sobie na to pozwolić.*

– Ale jesteś pewien, że coś takiego tam jest?

Tak, wyczuwam to.

– Daleko jeszcze?

***Dwa zakręty,
Długa prosta
I już.
Za chwilę będziemy na miejscu.***

– Czy to prawda, że mazzma jest inteligentnym pasożytem, który bez trudu przejmuje władzę nad innymi istotami i zmienia je w zewnętrzne narządy, kończyny i zmysły?

***Prawda.
Wchłania i adaptuje na swoje potrzeby
Wszystko, co się da.***

– Ludzi też? Słyszałem, że ich chroni.

***Tylko po to,
Żeby przekształcić ich
W gomole.***

– Na jedno wychodzi – stwierdził Hemel. – To też ludzie, lecz silniejsi, odporniejsi na choroby, długowieczni...

***I pozbawieni
Indywidualnej świadomości.***

– Dlaczego?

***Nie rozumiecie?
Mazzma nie opiekuje się ludźmi.***

***Ona ich hoduje,
Bo w ich ciałach czuje się najlepiej.***

Hemel poczuł muśnięcie niepokoju. Nie podobały mu się wnioski płynące z tego, co powiedział Panaplian.

– Co sugerujesz? – zapytał niepewnie. – Mów jaśniej. Co właściwie robi ten czarny śluz?

***Zagnieżdża się w nich.
Na state.
A ich osobowości zostają pożarte
I rozpuszczone,
Znikają bez śladu,
Gina.***

– A wspomnienia?

***Współtworzą kolektyw raziri,
Jak wszystko, co wchłania mazzma.
Bez wyjątku.***

Zapadła wymowna cisza. Nikt nie miał ochoty skomentować tego, co powiedział Panaplian.

***To tu.
Dotarliśmy do
Głównego silosu.***

Stanęli na progu obszernej jaskini, która tonęła w ciemnościach. Żółtawe światło bijące z korytarza ciągnęło się szeroką smugą po gładkim podłożu wypolerowanym do czarnego połysku.

Idźcie.

Jest niedaleko.

Na dnie czegoś, co przypomina

Głęboką studnię.

– A ty? – zapytał Hemel.

Muszę tu zostać.

Dalej jest zbyt gęsto.

– Tylko mnie się wydaje, że to podejrzane? – mruknął ponuro Hemel.

– Ja z nim zostanę – powiedział Menur.

– Tobie też nie ufam.

– Daj spokój, sam tego nie wyciągnę – jęknął Tenan. – I to jeszcze po ciemku.

– Nie martw się – uspokoił go Hemel. – Zerwiemy trochę grzybów ze ścian korytarza. Są lepkie, powinny się trzymać skóry.

– Dobry pomysł. Znaczy, idziesz ze mną, tak?

Hemel spojrzał na Panaplina i Menura. Tak długo mierzył ich wzrokiem, aż nabrał pewności, że jest gotowy zejść na dno silosu bez względu na to, czy czeka tam na niego pułapka, czy nie.

– Chodźmy – powiedział do Tenana.

Okleili się świecącymi grzybami i zniknęli w ciemnościach jaskini. Menur i Panaplian zostali sami. Czekali.

Chciałbyś mi coś powiedzieć?

Niespodziewane pytanie wyrwało Menura z zamyślenia.

– Nie... Dlaczego? Nie rozumiem, o co chodzi...

Jak chcesz.

Panaplian umilkł. Kołysał się zanurzony w skałach. Czas powoli wsiąkał w ciemność. Wreszcie w zasięgu wzroku pojawił się Hemel, a zaraz po nim Tenan, dwie sylwetki otoczone żółtawą poświatą świecących grzybów. Zamin coś niósł. Podłużny kształt przewieszony przez ramię. Zbliżył się i bez słowa położył to przed Manurem i Panaplianem. Wyglądało jak Basal, martwy brat Drussa, martwe Lepe Drussa.

– Panaplian, możesz nam to wyjaśnić? – warknął Hemel.

Zapadła głęboka cisza.

– Panaplian?

To nie jest ciało ani Lepe.

To coś innego.

Nigdy czegoś takiego

Nie widziałem.

Menur sapnął i przysiadł. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Wypustka starego perusa niemal całkowicie schowała się wewnątrz ciała.

– Chyba powinniście o czymś wiedzieć... – wyznał.

POHRA

KANAK W KVARA
GALEN

Edmund Kratz marzył o tej podróży od wielu lat, dopóki jednak żyła jego bogata żona, ten emerytowany bankier musiał przesiadywać w modnych restauracjach, odwiedzać pola golfowe, organizować wspólne wypady do egzotycznych krajów albo na narty do Szwajcarii, co zajmowało mu tyle czasu, że nie mógł się w pełni poświęcić swojej prawdziwej pasji – ornitologii.

Najbardziej fascynowały go sowy. Miał obsesję na ich punkcie. Zgromadził imponującą bibliotekę, zawierającą mnóstwo książek na ten temat. Uczestniczył w wielu sympozjach ornitologicznych. Pokrywał również koszty utrzymania klatek z sowami w jednym z największych zoo w kraju, chociaż przed wypisaniem każdego czeku musiał stoczyć bój z żoną, która nie pochwałała jego plebejskich zainteresowań i sposobów, w jakie wydawał ich wspólne pieniądze. Kiedy więc zawał serca pozbawił życia panią Kratz i Edmund, nie bez ukłucia żalu, pożegnał się z nią na pięknym cmentarzu położonym na rozległych wzgórzach w jej rodzinnej miejscowości, nagle jego życie stało się prostsze. Nie musiał już udawać. Zerwał kontakty towarzyskie, utrzymywane jedynie ze względu na środowiskową kurtuazję, a majątek podzielił między dwójkę dorosłych dzieci, zoo i kilka ośrodków naukowych badających ptaki. Sobie zostawił tylko tyle, by nie martwić się o finanse, gdy wreszcie cały swój czas poświęci na to, co kocha najbardziej. Edmund zaczął regularnie wyjeżdżać w plener i zajął się prowadzeniem szczegółowych zapisków z przebiegu każdej obserwacji. Zdrowie mu dopisywało, więc nieustannie był w rozjazdach. To był najszcześniejszy okres w jego życiu, choć mąciła go jedna uporczywa myśl, którą nerwowo spychał w kąt umysłu, ilekroć pojawiła się w zasięgu jego mentalnego oka.

Kilka dekad wcześniej, w czasach, kiedy Edmund dopiero zaczynał gorączkowo gromadzić książki na temat sów, wpadła mu w ręce niezwykła publikacja. Była to trudna do zdobycia praca autorstwa profesora Benedykta Durskiego. Nosiła ona tytuł „Pohra – osobny gatunek”. Durski przedstawił w niej dowody na istnienie gigantycznej sowy. Jej ciało miało rzekomo liczyć około dwóch metrów długości, a rozpiętość skrzydeł przeszło dziesięć metrów. Profesor utrzymywał, że ten ogromny ptak prowadzi osiadły tryb życia i jest endemitem, czyli można go spotkać tylko w jednym miejscu na świecie – na Ingrze, dużej wyspie na Dunaju, znajdującej się mniej więcej w połowie tego odcinka rzeki, który wyznacza granicę między Serbią a Rumunią. Durski ostrzegał również, że to bardzo niebezpieczny drapieżnik, że nie boi się ludzi i że dla wielu badaczy spotkanie z Pohrą skończyło się tragicznie. Na końcu umieścił wzmiankę, która w zasadzie zakończyła jego karierę naukową. Oświadczył, że nigdy nie znalazł dowodów na to, że istnieje więcej niż jeden osobnik, i skłania się ku teorii, że to być może wcale nie jest sowa, tylko jakiś osobny gatunek, pojedyncza i mimetyczna forma istnienia, która tylko przypomina ptaka. Akademyści wyśmiali profesora, oskarżyli o demencję i wykluczyli ze swojego grona. W rozpaczliwej próbie ratowania resztek zniszczonej reputacji Durski spalił prawie cały nakład swojego dzieła. A nieliczne egzemplarze, które ocalały z pogromu, zaczęły krążyć wśród kolekcjonerów. Edmund był jednym z nich i choć uważał, że nie jest to publikacja, którą należy traktować poważnie, już po pierwszej lekturze zaczął marzyć o podróży na wyspę Ingra. Jednak tak bardzo przyzwyczał się do spychania tego marzenia w tył głowy, że musiało minąć pół roku od śmierci żony, by wreszcie nabrał odwagi i uwierzył, że to się naprawdę stanie – naprawdę tam pojedzie.

Kiedy oswoił z tą myślą, natychmiast przestała go niepokoić.

Podeksycytowany zaczął otwarcie planować podróż i szybko zorientował się, że jeśli chce wyruszyć jeszcze w tym roku, to zostało mu bardzo mało czasu. Pohrę według profesora Durskiego najlepiej obserwuje się w okresie wiosennej równonocy, bo ponoć wtedy jest najbardziej aktywna. A kalendarz nieubłaganie wskazywał, że jest już dziesiąty marca. Edmund nie zamierzał czekać. Nie był młodzieniaszkiem, czuł na karku ciężar przeżytych lat i wiedział, że taka okazja może się więcej nie powtórzyć. Nie wierzył w istnienie Pohry, ale tęsknił za wymarzoną przygodą, której nigdy nie posmakował, i liczył na to, że spędzi na wyspie kilka przyjemnych tygodni. Będzie spacerował po lesie, obserwował ptaki i wypoczywał w miejscu, w którym nikt go nie zna i nikt nie znajdzie.

Zabrał ze sobą tylko kilka niezbędnych rzeczy, które zmieściły się w niewielkiej walizce, po czym, nie zwlekając, wyruszył w podróż. Droga na wyspę okazała się bardziej skomplikowana, niż sobie wyobrażał, ciągnęła się w nieskończoność. Samolot, pociąg, autobus, statek – miał wrażenie, że wciąż się przesiada, jakby zmierzał do niesłychanie odległego miejsca leżącego gdzieś na krańcu świata. W końcu jednak po pięciu dniach dotarł do wąskiej kamiennej przystani wcinającej się w stromy brzeg wielkiej wyspy porośniętej gęstym lasem. Ze wszystkich stron otaczały ją szeroko rozlane mętne wody Dunaju.

W pobliskim miasteczku Edmund dowiedział się, że kilkanaście lat temu rząd Serbii nadał wyspie Ingra miano parku narodowego. Tym samym została ona zamknięta dla turystów, a jej mieszkańców wysiedlono, lecz wielu z nich wciąż dba o swoje domy, by po kryjomu wynajmować je przyjezdnym. A chętnych nie brakuje, bo przez cały rok przyjeżdżają tu ludzie ze wszystkich stron świata, żeby badać dziwne ruiny, częściowo zatopione w czarnym stawie znajdującym się w centrum wyspy. Edmund nigdy o nich nie

słyszał. Ale przy okazji dowiedział się również, że na wyspie przebywa teraz tylko jeden człowiek – jakiś brodaty Anglik.

Z kluczem do wynajętego domu (sprytnie przyczepionym do małej zalaminowanej fotografii ukazującej parterową chatę pokrytą gontem) Edmund wspiał się po kamiennych schodach na szczyt stromego brzegu i podążył szeroką alejką prowadzącą przez mroczny las, w którym ogromne dęby, buki i olchy zapadały się w grubych mchach i gęstych dywanach rozłożystych paproci. Poczul się nieswojo. Jakby wkroczył do innego świata. Takie miejsca działają na wyobraźnię. Łatwo uwierzyć, że może tu żyć taka istota jak Pohra. Przyspieszył kroku i nagle ucieszył się, że nie będzie tu całkiem sam.

Dzięki zdjęciu bez trudu rozpoznał swój domek. Rozpakował walizkę, zagrzał wodę na kuchence gazowej i umył się w misce. Chciał jeszcze tego samego dnia zwiedzić Ingrę, ale nadchodził zmierzch i oczy same mu się zamykały. Wzruszył ramionami, zażył swoje lekarstwa i zasnął w chwili, gdy przyłożył głowę do poduszki.

W nocy coś go obudziło. Przerażony wymacał w ciemnościach latarkę i dopiero po chwili przypomniał sobie, co to za miejsce i skąd się tu wziął. Napił się wody i zaczął się wsłuchiwać w jęki i zgrzyty starego domu, zmieszane z głośnym szumem liści szarpanych zimnym nocnym wiatrem. Do rana nie zmrużył oka.

Gdy poranek okrzepł i zaczął się zmieniać w dzień, Edmund wstał, zjadł śniadanie i ruszył na wycieczkę. Było słonecznie i bezchmurnie. Rześkie powietrze wypełniało płuca wilgotnym chłodem, który dodawał energii. Znalazł dróżkę prowadzącą w głąb wyspy i po kilkunastu minutach zobaczył mały piętrowy domek, przed którym brodaty i rozebrany do pasa mężczyzna mył się pod wylotem ręcznej pompy. Na widok Edmunda uśmiechnął się szeroko.

– Mówi pan po angielsku?

– Tak. Nazywam się Edmund Kratz.

– Abraham Foss. Miło mi. Idzie pan nad staw?

– Nie wiem, niedawno przyjechałem, dopiero się rozglądam...

– Rozumiem. To pana pierwszy raz. Jeśli zaczeka pan chwilę, to chętnie pana oprowadzę. Chyba że woli pan sam. Nie obrażę się.

– Zaczekam.

– Świetnie. Jestem tu już półtora tygodnia i szlag mnie trafia, bo wie pan, ja lubię sobie pogadać, a tu nie ma do kogo gęby otworzyć. Cóż z tego, że co parę dni tutejsi przyplływają z prowiantem, skoro w ogóle nie chcą z nami rozmawiać. Tylko: tak, tak. Albo: nie, nie. Ciężko z nich wycisnąć choć jedno proste zdanie.

– Nie zauważyłem.

– Za krótko pan tu jest. A może nie zwrócił pan uwagi. Momencik. Skoczę tylko po sweter i możemy iść.

Abraham był słowny. Edmund nie musiał długo czekać. Chwilę później razem weszli między imponujące drzewa spowite aromatycznym tchnieniem wiosny. Brodacz nie przestawał mówić.

– Panie Edmundzie, proszę zwrócić uwagę na tę dróżkę. Widzi pan? Jest wyłożona ciemnymi kamieniami. Takich ścieżek jest osiem i układem przypominają szprychy wielkiego koła, którego piastą jest czarny staw, a felgą kolista alejka okrążająca wyspę wzdłuż brzegu – to właśnie nią przyszedł pan z przystani. Wszystkie szprychy są zorientowane według stron świata, więc jeśli nie jest pan na bakier z kompasem, to bez trudu odnajdzie pan swoje lokum. Nasze domy stoją przy zachodniej. Jest tu jeszcze pięć budynków – dwa przy południowo-zachodniej, dwa przy północno-zachodniej i jeden przy południowej. Wszystkie puste.

– Skąd pan wie, że też mieszkam przy zachodniej?

– Zgadłem. Założyłem, że nikt nie wstaje wcześniej ode mnie. Miałem rację, prawda?

– Przez półtora tygodnia zdążył pan dobrze poznać to miejsce.

– Wyciąga pan złe wnioski. To mój czwarty pobyt.

– Naprawdę? Co pana tu przyciąga?

– Zaraz pan zobaczy.

– Nie można jaśniej?

– Cóż, prawdę mówiąc, zawsze spotykałem tu ludzi, którzy, podobnie jak ja, regularnie wracają na wyspę, i jeszcze nigdy nie trafiłem na kogoś, kto jest tu pierwszy raz. Nie chciałem się narzucać, ale miałem nadzieję, że zobaczę pana minę.

– Nie podoba mi się sposób...

Edmund oniemiał. W środku lasu był czarny staw, w którym nie przeglądał się błękit bezchmurnego nieba. Wydawało się, że jego gładka tafla pochłania światło. Jednocześnie, blisko brzegu, tam gdzie było płytko, widać było, że woda jest krystalicznie czysta. Ale dno było niewidoczne, jakby otwierała się tam bezdenna otchłań. Staw był okrągły i miał około siedemdziesięciu metrów średnicy. Dróżka, którą przyszli, łagodnie schodziła pod wodę. Podobnie jak siedem innych, które w regularnych odstępach dochodziły do brzegu stawu. Po prawej stronie, przy wylocie południowo-wschodniej dróżki stał mocno pochylony obelisk lub wieża. W pierwszej chwili Edmund nie wiedział, na co patrzy. Obiekt wyglądał jak stożkowaty ośmiometrowy pocisk wykuty w ogromnym kawałku czarnego obsydianu. Lśnił wypolerowaną gładzią. W dwóch trzecich wysokości otaczał go równy szereg okrągłych okienek. Poza tym nie miał żadnej skazy, żadnej rysy. Między paprociami mieniły się meandry czarnego kwarcu, które odchodziły od podstawy obiektu i znikaly pod wodą.

Abraham głupkowato szczerzył się do Edmunda.

– Robi wrażenie, co?

– Co... co to jest?

– Nie mam pojęcia. Nikt nie wie. Rozmawiałem na temat tego miejsca z mądrzejszymi ode mnie i żaden nie powiedział nic

sensownego. Wiele lat życia poświęciłem archeologii i zawsze byłem gorliwym ateistą oddanym nauce i sile faktów, ale kiedy ujrzałem ten obiekt na własne oczy, pierwszy raz w życiu zrozumiałem, co czują wierni w obliczu tajemnicy wiary. Tutaj znalazłem swoją religię. Proszę za mną, wejdziemy do środka.

– Można do tego wejść?

– Tak, szczelina jest z drugiej strony, stąd jej nie widać. Proszę się nie bać. Nic nam nie grozi, ale rozumiem pański niepokój. Pamiętam swoje pierwsze wrażenie. Prawdę mówiąc, udało mi się trochę oswoić nieustanną obecność lęku, ale on nigdy nie znika. Trzeba przywyknąć. Tędy dojdziemy. Jeszcze kawałek. Już widać wejście.

– Mówi pan o tym wąskim otworze? Przecież nikt się przez niego nie przecisnie.

– Faktycznie, jest dość wąski, ale mylą pana proporcje. Można się precyzyjnie przeliczyć. Zaraz się pan przekona. Mam nadzieję, że nie ma pan klaustrofobii, bo w środku jest dość ciasno.

– Co tam jest?

– Niewiele. Wąski spiralny korytarz, który pnie się w górę i dochodzi do pustej komory. Ale warto wejść, proszę mi wierzyć na słowo. Musi się pan ustawić twarzą do wieży, oprzeć rękami o wewnętrzną ścianę korytarza i wsunąć do środka. Właśnie tak. Pójdę przodem. Tak będzie najlepiej. I jak?

– Jest ciepła.

– To jedna z anomalii. Obiektywny pomiar pokazuje, że obiekt ma taką samą temperaturę jak wierzchnia warstwa leśnej ściółki i leżące wokół kamienie, ale każdemu wydaje się ciepły w dotyku. Jesteśmy na miejscu. Proszę uważać na głowę. Nie było tak źle, prawda?

Znaleźli się w pomieszczeniu, które wyglądało jak wnętrze gładkiej półkuli wydrążonej we wnętrzu czarnego kryształu.

Światło, wpadające przez małe okrągłe okienka umieszczone na wysokości półtora metra, igrało na drobno pofalowanym podłożu.

Edmund zauważył, że Abraham patrzy na niego podejrzliwie.

– O co chodzi?

– Nic pana nie dziwi?

– Wszystko jest dziwne.

– No tak, ale konkretnie. Proszę wyjrzeć przez okienko.

– Mój Boże, las jest... nachylony. I staw również. Jak to możliwe?

Nagle Edmund zrozumiał.

– To nie las. To wieża.

– Zgadza się, a my razem z nią.

– Niesamowite, jakby miała własną grawitację. Co to za miejsce?

– Mam nadzieję, że kiedyś się dowiem. Pomoże mi pan przy pomiarach?

– Oczywiście.

Wyszli na zewnątrz i Abraham wyciągnął taśmę mierniczą. Edmund spojrział z powątpiewaniem.

– Nie wmówi mi pan, że do tej pory jej pan nie zmierzył.

– Zmierzyłem. Codziennie mierzę. Tylko że za każdym razem mam inny wynik.

– Naprawdę? Powinni tu pielgrzymować naukowcy z całego świata.

– Ależ pielgrzymują. Jesteśmy tego najlepszym dowodem. Problem polega jednak na tym, że niewiele z tego wynika. Ta budowla, jeśli to w ogóle jest budowla, wymyka się naszej ocenie. Ludzkiej ocenie. Wydaje się odpryskiem innego świata zakotwiczonym w tej rzeczywistości. Większość badaczy woli o niej zapomnieć. Gdyby zaczęli poważnie roztrząsać jej istnienie, musieliby porzucić dotychczasowy zestaw intelektualnych narzędzi i wykształcić nowe, dostosowane do tego wyzwania. Coś takiego nie może się udać, a do tego naraża na szwank karierę akademicką.

- Spotkałem się z tym.
- Współczuję i podziwiam, ja nigdy nie miałem odwagi, żeby...
- Źle mnie pan zrozumiał. Nie jestem naukowcem.
- A kim, jeśli można wiedzieć?
- Ornitologiem amatorem.
- Przepraszam, chyba się wygłupiłem. Założyłem, że jesteśmy tu w tym samym celu, a tymczasem zanudziłem pana na śmierć.
- Spokojnie, nie zrobił pan nic złego. Cieszę się, że znalazłem tak elokwentnego przewodnika. Nigdy wcześniej nie słyszałem o tej budowli. Kiedy wynajmowałem dom, powiedziano mi o jakichś ruinach, ale nie przypuszczałem, że to może być coś takiego. To nie przypomina ruin.
- Nie bardzo. Proszę przytrzymać taśmę. O tak. Niech pan wytrzyma chwilkę. Dobrze.
- Abraham zapisał wynik w notesie.
- W takim razie, co pana tu sprowadza?
- Edmund opowiedział mu o gigantycznej sowie.
- Nie widziałem tu czegoś takiego.
- Domyślam się. Nie bardzo wierzę w jej istnienie, ale zafascynowało mnie dzieło Durskiego i czułem, że muszę tu przyjechać.
- Świetnie pana rozumiem. Lubi pan whisky?
- Bardzo.
- Spędzimy miły wieczór.

* * *

W przyjemnym ciepłe wiosennych dni Edmund szwendał się po wyspie, bez przekonania szukał śladów bytności ogromnego skrzydlatego drapieżnika, pomagał Abrahamowi przy bardziej skomplikowanych pomiarach i czuł się tak dobrze, że cały czas

zastanawiał się, dlaczego tak długo zwlekał z przyjazdem. Przecież mógł coś wymyślić, w jakiś sposób przechytryć żonę. Nie potrafił zrozumieć swojej uległości, słabości charakteru.

Dziewiętnastego marca Abraham przyszedł się pożegnać.

– Wracam do Londynu. Też powinienes wyjechać.

– Mam ochotę zostać jeszcze tydzień albo dwa.

– Wiem, ale jutro będzie równonoc.

– Może wreszcie wypatrzę swoją Pohrę.

– Chyba nie rozumiesz.

– Czego?

– Nawet ludzie, którzy tu kiedyś mieszkali na stałe, wynosili się z wyspy na czas wiosennej i jesiennej równonocy.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie pomyślałem. Cały czas wydaje mi się, że wiesz o tym miejscu tyle samo co ja.

– Coś mi grozi?

– Nie wiem. Nie znam nikogo, kto odważyłby się zostać.

– To chyba będę pierwszy.

– Dobrze się zastanów.

– Czego tu się bać? Nie ma dowodów, że to miejsce jest niebezpieczne w czasie równonocy, a poza tym jestem pełnoletni.

– No dobrze, siłą cię przecież nie wywiozę. Masz tu moją wizytówkę i zadzwoń, proszę, jak już opuścisz Ingrę.

– Tak zrobię. Do zobaczenia, przyjacielu.

* * *

Edmund nie czuł strachu. Spacerował wśród milczących drzew, słuchał wiatru, obserwował drozdy i zimorodki, wpatrywał się w stalowoszare wody Dunaju i przesiadywał nad czarnym stawem. Niebo zachmurzyło się, a potem wiatr rozpędził chmury. Zapadł

zmierzch, ale Edmund nie zamierzał wracać do domu. Chciał spędzić noc we wnętrzu obsydianowej wieży. I to właśnie tę noc. Jeśli coś ma się stać, to niech się wreszcie stanie.

Nad drzewami wzniósł się wielki żółtawy księżyc. W jego świetle białąły odległe szczyty Karpat, widoczne tylko ze wschodnich okienek wieży. Ich zębaty szpaler był pochylony w prawo, razem z drzewami i stawem. Ale w miarę jak zapadała coraz głębsza noc, ponad nimi zaczęły się wyłaniać znacznie większe góry, które nie były pochylone względem wieży i wznosiły się prosto w górę. Gigantyczne pionowe ściany, strzeliste baszty, wielokilometrowej szerokości tarasy otoczone skomplikowaną siecią mozaikowych wzorów, które mieniły się w świetle księżyca, unoszące się coraz wyżej jak balon wypełniony zimnym spienionym mlekiem. Edmund dostrzegał coraz więcej szczegółów. Ażurowe baszty rozświetlone od wewnątrz płynnymi, nieznany kolorami, które raniły mu oczy. Strzeliste pinakle wędrujące wzdłuż falujących jak rozgrzany wosk kominów. Błado migoczące linie luminescencyjnego blasku łączące kopuły z matowego kryształu. Nie miał pojęcia, co to może być. Chwilę bawił się myślą, że patrzy na coś w rodzaju miasta stworzonego i zamieszkanego przez istoty, które w niczym nie przypominają ludzi, ale ten pomysł wydawał mu się zbyt karłowaty wobec tego, co widział. Od razu go porzucił. Nagle zdał sobie sprawę, że las ucichł. Umilkł wiatr szperający wśród liści, wygasło cykanie owadów. Zafalowała woda w czarnym stawie i z głębin wynurzyło się kilkanaście pękatych wielokątnych kształtów. Księżyc lśnił na abstrakcyjnych meandrach oślizgłych płaskorzeźb, które pokrywały każdą fasetę pływających obiektów. Wirując, kierowały się do brzegu. Zatrzymały się z charakterystycznym dźwiękiem ocierających się kamieni i las ożył. Podniosły się świergoty i rwane szelesty, wysokie piski i nawoływania, jakich Edmund nigdy nie słyszał. Po gładkiej tafli stawu węzowym ruchem przebiegł wielki

owad poruszający się na ośmiu długich nogach. Był półprzezroczysty i zostawiał za sobą wolno rozwiewającą się smugę żółtawego blasku. Z ciemności między drzewami wypływały dziwne jazgotliwe dźwięki. Szczątkowy rytm sugerował, że może to być coś w rodzaju muzyki.

Edmund był przerażony. Zdrętwiały mu ręce i z trudem oddychał przez ściśnięte gardło. Wzdłuż kręgosłupa spływały mu strużki zimnego potu. W kółko powtarzał sobie, że to tylko sen. Zwinął się w kłębek i nakrył śpiworem, ale w obsydianowej wieży zrobiło się tak gorąco, że musiał z niej uciec. Pobiegł i zgubił się w lesie. Wokół chrzęściły przemykające cienie. Przedarł się przez krzaki i dotarł do krawędzi wyspy. Na odległym brzegu Dunaju żarzyły się nikłe światła miasteczek spowitych księżycową poświatą. Nagle ogromne skrzydła bezszelestnie przesłoniły nocne niebo. Pohra wylądowała na omszałym kamieniu. Była o wiele wyższa od niego. Wejrzała w Edmunda wielkimi oczami z płynnego, fosforyzującego srebra i wygładziła membranę rzeczywistości, która go tworzyła. Od tej chwili Edmund Kratz nigdy nie urodził się na tym świecie, nigdy nie istniał.

Spełniło się jego marzenie.

Pod opalizującą kopułą onyksowego nieba czołga się gigantyczny kolczasty lemur w masce zrobionej z wydrążonej głowy przepelzacza. W szerokiej paszczy, najeżonej ostrymi drzazgami połamanych zębów, widać wytrzeszczone oczy lemura. Są ogromne, ale połyskują bladym, przygaszonym srebrem, jak gasnące latarnie starych opuszczonych statków, które mimo pancernych burt powoli przegrywają walkę z miazdzącymi falami oceanu kamieni – prastarego i bezkresnego Torot.

Lemur powoli pełźnie po szerokim jezorze skryształizowanego bazoralu, który wije się między spiętrzonymi po obu stronach widmowymi kopułami i narośniętymi jedne na drugich masywnymi szypułami płynnego metalu falującego w podmuchach mętnego światła.

Folt zatrzymuje się i patrzy.

Wie, co to jest. Już to widział. Wiele razy. Ale zastanawia się, dlaczego dowiaduje się dopiero teraz, przypadkiem. Jak to możliwe, skoro w porcie funkcjonują trzy autonomiczne sensoria? Któreś z nich musiało coś zauważyć – nowy statek zawijający do portu albo kurczenie się membran ładowni wypuszczającej kolejną ofiarę, lecz on o niczym nie wie. Dlaczego? Folt niespokojnie drepce w miejscu – teraz wygląda jak twardy podłużny cień przebierający mrowiem wielosegmentowych odnóży, ażurowo splecionych z włókien zmineralizowanej energii, ale gdy spadnie aktywność onyksowego nieba i zwiększy się ciśnienie, natychmiast zmieni się w kulę skurczonej gęstliny otoczonej elektryczną aureolą. Tak samo jak wszystkie Folty, które tu żyją, gdy przyjmie tę formę, będzie musiał wysunąć długą giętką mackę i wczepić się w sieć luminescencyjnych torów pokrywających całe Kvall. Dzięki temu

ciśnienie nie wypchnie go w stronę oceanu i nie wtłoczy między kamienne fale. Świejące tory zblakną i przestaną być potrzebne z chwilą, gdy onyksowe niebo ponownie się ożywi i ciśnienie spadnie. Wtedy też Folt wróci do swojego poprzedniego kształtu. Znowu stanie się taki jak teraz. Na razie jednak nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie aktywność nieba miała się zmniejszyć. Nie pojawiły się żadne symptomy, które mogłyby zwiastować nadchodzące zmiany. To dobrze. Folt nie potrzebuje dodatkowych komplikacji. Nie teraz, gdy musi mieć pełną swobodę działania.

Folt zmierza do szwalni obrazów, ale cel jego wędrówki, jakże kuszący przed chwilą, szybko traci ostrość i znika. Spogląda w jedną stronę, tam gdzie jezor bazoralu rozszerza się, przecina port i wpada do Torot. Przez chwilę kontempluje jazgotliwie falujący ocean, a potem spogląda w drugą stronę, w kierunku, w którym powoli zmierza gigantyczny kolczasty lemur. W kierunku centrum Kvall. Zagiętego, odkształconego, przeniechanego wirem Czarne Słońca, które od dawna pożera to miasto.

Lemur to kolejna ofiara dla tego nienasyconego żywiołu, wirującej pustki, ekstatycznego płaszcza rozwibrowanych energii, owiniętych wokół czegoś, co spoczywa w samym środku zjawiska. Czegoś, co wykluło się z anomalii wyłowionej z Torot i zawłaszczyło dla siebie sporą część miasta. Nikt nie wie, co to jest. Nikt tego nie widział i nie da się do tego zbliżyć. Łowcy, którzy przemierzają Torot pancernymi statkami, próbują przebłagać, zniwelować, nakarmić lub zniszczyć Czarne Słońce za pomocą ofiar z innych anomalii lub osobliwych trofeów przywiezionych z dalekich rejsów, ale jak dotąd żadna z nich nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Połyka je, rozrywa na strzępy, pochłania, spala, rozpuszcza, rozciąga, przekształca w niemożliwe kształty, które zapadają się pod własnym ciężarem i nic po nich nie zostaje. Folt widywał już większe ofiary od tego lemura, a także bardziej

pomysłowe, i wydaje mu się, że nie ma w nim nic niezwykłego, ale fakt, że jego sensoria nie poinformowały go o tym, że wyruszył z portu, daje mu do myślenia. Bo to wcale nie musi być przeoczenie. Jest jeszcze jedna możliwość.

Sensoria milczą, gdyż zaczęły się łączyć. Stałoby się tak, gdyby ofiara odpowiadała wyznaczonym parametrom i pasowała do kanaku Folta. Bo on ma kanak. Pracuje nad nim od dawna. Pieczołowicie udoskonala szczegóły, hoduje współpracowników zajmujących się różnymi aspektami zagadnienia i nadzoruje sensoryczne czujki, które w przypadku pojawienia się właściwego obiektu mają uruchomić sekwencję zdarzeń. To mało prawdopodobne, ale możliwe. Zanim lemur dotrze do centrum Kvall, minie jeszcze dużo czasu, ale Folt wie, że musi działać. Chce zacząć od sprawdzenia sensorów w porcie, bo nawet jeśli się połączyły, powinien się o tym dowiedzieć za pośrednictwem Sabry, która... Nagle sobie przypomina. Niedawno ją wyłączył, żeby przebudować kilka elementów i zwiększyć efektywność jej działania. Czy uruchomił ją ponownie? Folt sięga po Sabrę. Z jego boku wysuwa się metaliczna piramidka. Jest zamknięta i wygaszona. Z wrażenia na moment zwalniają jego procesy myślowe. Czuje się boleśnie porażony skalą własnego niedbalstwa. Uaktywnia piramidkę, która wypełnia się ciemnożółtym światłem, a potem rozkłada się i przyjmuje kształt cienkiego skrzydła będącego ostrą, kanciastą błoną ciemnożółtego blasku rozpiętą na filigranowym stelażu czarnych żyłek. Sabra wysuwa jedną elastyczną nogę i wbija ją w cieniste ciało Folta. W jego przestrzeni wewnętrznej otwierają się kolejne piętra percepcji i pojawia się głos. Znajomy i wściekły.

„Ja... Ależ... Co ty wyprawiasz?! Dlaczego trzymasz mnie wygaszoną?! Wiesz w ogóle, co się dzieje?!”

Sabra widzi go na wskroś, więc nie musi jej odpowiadać.

Wystarczy, że targają nim wyrzuty sumienia i złość na samego siebie.

„Oszczędź sobie. Trzeba natychmiast podjąć działania, a nie bawić się tanecznymi popisami emocji”.

„Masz rację, przepraszam, nie wiem, jak to się stało, powinienem...”.

„...Zrobić coś, na co wciąż nie masz odwagi!”.

„Tylko w ostateczności, gdy nie będzie innego wyjścia i wszystkie parametry będą jak najbardziej zbliżone do ideału”.

„Twoja ostateczność wygląda jak kolczasty lemur w masce i pełźnie do centrum Kvall. Zaraz się o tym przekonasz”.

Sabra milknie, a Folt czuje słabe szarpnięcie, od którego staje się mądrzejszy. Wróciły do niego połączone sensoria z portu. Nie mogły się z nim skontaktować bez pośrednictwa Sabry, ale teraz rozpuszczają się w jego ciele i błyskawicznie przelewają w niego swą wiedzę. Folt już wie. Natychmiast rusza w stronę centrum. Podąża jednak inną drogą niż ofiara, bo musi skompletować swój zespół. Bez niego nie zdoła zrealizować kanaku. Przebiera nogami, przyśpiesza.

„Za wolno! Nie trać czasu!”, karci go Sabra.

Rozumie, co musi zrobić. Rozciąga i utwardza skrzydło. Modyfikuje energetyczny balans swojego ciała, odbija się i frunie. Rzadko się tak porusza, bo to kosztuje go wiele wysiłku i w niebezpiecznym tempie zużywa zapasy mocy. Teraz nie ma wyboru, szybkość jest najważniejsza.

Odbija w bok, nabiera wysokości, przelatuje nad lemurem, lawiruje między szypułami, a potem kieruje się w stronę kanciastych monolitów poprzecinanych wąskimi szczelinami. W jednej z nich zakotwiczony jest ObO.

Znajduje go bez trudu. Tkwi między panelami analityczno-obszernymi i kłębkami dyfuzjów spektrometrycznych. Już

zaczął się demontować. Jego obły kształt migocze zgromadzonymi obrazami. Folt ląduje tuż przed nim i czeka, aż skończy zredukować powierzchnię. Czuje, że potrwa to jeszcze kilka chwil, więc ulega pokusie i spogląda tam, gdzie był wymierzony ObO, choć doskonale zdaje sobie sprawę, że na razie jest to pozbawione sensu, bo tylko długotrwałe dostrajanie parametrów sensorycznych pozwala dojrzeć Czarne Słońce.

Jest tak, jak podejrzewa. Centrum Kvall to puste niewidzenie, brak wzroku w środku pola widzenia, otchłań, nieobecność, ale paradoksalnie w jakiś sposób jest ono bardziej namacalne niż dostrzegalna część Kvall.

ObO kończy redukcję, skurczony odczepia się od gładkiej powierzchni szczeliny, by niczym cieniutki aluminiowy płatek śniegu opaść na cieniste ciało Folta i rozpuścić się w jego ciepłej czerni. ObO znika. I wtedy centrum Kvall eksploduje wirującym blaskiem. Folt wreszcie widzi Czarne Słońce – oszałamiającą, rozwibrowaną protuberancję, wewnątrz której przecinają się niezliczone płaszczyzny pędzącej energii – jest zachwycony i nie przeszkadza mu, że to, co ogląda, nie jest wynikiem bezpośredniej obserwacji, ale efektem długotrwałej pracy ObO, sumą jego analiz.

Folt odbija się od krawędzi szczeliny i leci dalej. Znowu przelatuje nad jęzorem skryzalizowanego bazoralu, zerka na pełznącego lemura, obniża lot. Inne Foltów rozbiegają się na boki, ustępują mu miejsca, z szacunkiem i ciekawością przyglądają się jego działaniom. Dobrze wiedzą, co robi. Dobrze wiedzą, co chce osiągnąć. Wielu Foltów zmierza już do centrum, żeby zobaczyć, czego uda mu się dokonać. Żaden z nich nie pomoże Foltowi i żaden mu nie przeszkodzi.

Wlatuje między dronowe pąkle, lewitujące jaja płynnego, przelewającego się metalu, pochwyconego w potężną świadomość żywego pola magnetycznego. Wszystkie łączą się ze splekanym

grafitowym gruntem za pomocą kryształowych cum. Wszystkie są osobowościowymi generatorami energii elektrycznej. Ale jeden z nich – ten, który nazywa się Konomon – jest czymś więcej. Pozornie niczym się od innych nie różni, ale dla Folta jest jak okno świecący w gąszczu wygasłych bilme. Widzi go z daleka. Dolatuje i przysiada na szczycie kulistej powierzchni Konomona, w specjalnym leżu uformowanym z samego pola magnetycznego. Generator buczy, trzeszczy, syczy elektrycznym śpiewem radości. Jego cuma pęka. Kryształowe drzazgi rozsypują się na wszystkie strony i odsłaniają to, co było w niej ukryte – cienkie, trójkątne emitery plazmy, które rozbłyskują matową bielą, i Konomon rusza z miejsca. Najpierw powoli, bo musi się przepchnąć między innymi dronowymi pąklami, ale po chwili nabiera wysokości i może już przyspieszyć. Folt nie musi nim kierować. Teraz Konomon to też on. Razem zmierzają w stronę centrum Kvall, gdzie na granicy zasięgu Czarnego Słońca czeka na nich Ker.

Emitery trzeszcza i pluje plazmą. Folt/Konomon zostawia za sobą piękny, mieniący się kilwater twardego promieniowania. Wielu Foltów przystaje w miejscu i podziwia go z zachwytem.

„To dobry moment. Nie powinieneś dłużej zwlekać”, radzi mu Sabra.

Folt/Konomon milczy, przeskakuje nad pasmem grafitowych radiatorów i wpada w szeroki cynowy kanion. Nabiera prędkości. Leci prosto na huczącą, rozszalałą protuberancję Czarnego Słońca, która już teraz zasłania ponad połowę onyksowego nieba. Folt/Konomon tak długo pędzi przed siebie, aż anomalia zawisa nad nim jak nowe niebo utkane z niegasnących eksplozji. W przestrzeni można już wyczuć obecność odkształcających macek Czarnego Słońca, kłusujących ustabilizowane struktury organizmu. To gdzieś tu. Folt/Konomon zwalnia, ostro skręca w najbliższą odnogę i dociera do jezora skryzalizowanego bazoralu. Jego brzegi

porastają tu wielokątne filary, porowate i spękane. Czarne Słońce już dawno temu wchłonęło energię krążącą w ich akceleratorowych organellach oraz wszystkie Folt, które tu kiedyś żyły. Ale właśnie w tym miejscu, na szczycie jednego z filarów znajduje się platforma, na której egzystuje Ker. Tylko coś tak osobliwego, skrzywionego, nieprzewidywalnego i szalonego jak on mogłoby tu przetrwać. Jego stworzenie było najtrudniejszym, najniebezpieczniejszym i najbardziej niezwykłym zadaniem, jakiego Folt się kiedykolwiek podjął. Bywa dumny z tego, że mu się udało, ale tylko wtedy, gdy zdoła przekonać samego siebie, że to, co jest efektem końcowym jego starań, rzeczywiście można nazwać sukcesem. Z perspektywy świadomości Folta nie da się tego ocenić. Brakuje punktów odniesienia. Ale taki był cel, Ker musi być całkowicie odmienny, bo dzięki temu kanak Folta może się udać.

Folt/Konomon zatrzymuje się tuż przy krawędzi platformy. Czeka. Pomarańczowy błysk zbliża się do niego w podskokach. To Ker – nieduża, pomarańczowa kula nakrapiana czarnymi nieregularnymi plamami, które pływają po jej powierzchni, łączą się, rozdzielają, pozostają w nieustannym ruchu. Z jej boków wyrastają dwa odnóża, ale Ker nie używa ich do chodzenia. Każde z nich jest zakończone chwytными wyrostkami składającymi się z pięciu krótkich odnóży. Kompletny absurd. Ker zaprzęga je do różnych zagadkowych czynności, na przykład chwyta nimi przedmioty. Na samą myśl o takiej formie kontaktu z materią Folt/Konomon czuje odrazę. Ker podskakuje w miejscu. Jest półprzezroczysty i pusty w środku. W chwytnych odnóżach trzyma długi, ostro zakończony pręt. Mierzy nim w jęzor skryzalizowanego bazoralu i odczytuje spektrum wibracji nadchodzącej ofiary. Nie przestaje podskakiwać. Śpiewa.

„Rzuć tylko okiem na to, co się zbliża. Pełźnie gorliwie jak pielgrzym, pożądający natychmiastowego zbawienia. Dobrze, że

jest głupi, ślepy miłością ofiary i nie wie, jakie wyzwanie go czeka, jaki kanak go czeka w tym nieszczęsnym Kvall”.

Folt/Konomon niewiele rozumie z tego, co mówi Ker. Słowa, które wypowiada pomarańczowa kula, są dla niego jasne, ale ona używa ich tak, jakby miały zupełnie inne znaczenie. Takie, którego nie sposób się domyślić. Na szczęście na podstawowym poziomie można się z nią porozumieć. Chyba.

„Jesteś pewny, że się nadaje?”.

„Ja? Ja niczego nie jestem pewny. Jestem tylko ciekaw, co się stanie, kiedy go dosiędziemy. Nie mogę się doczekać”.

Typowa odpowiedź. Ker przeskakuje na Folta/Konomona i sadowi się w zagłębieniu pola magnetycznego.

„Na cóż czekamy? No już, w drogę, czuję, że bestia słabnie!”.

Folt/Konomon zawraca i rusza wzdłuż jęzora bazoralu, prosto na spotkanie z kolczastym lemurem. Mimo że szybko nabiera prędkości, nie może nie zauważyć, że na brzegach jęzora skryształizowanego bazoralu gromadzi się coraz więcej Foltów. Wypada z za zakrętu i niemal zderza się z ofiarą. W ostatniej chwili odbija w górę, skręca pod dużym kątem i zrównuje z głową pełznącego olbrzyma. Folt/Konomon mógłby się bez trudu zmieścić w jego spiczastym uchu. Ker kiwa się na boki, wymachuje swoim prętem i wrzeszczy rozradowany.

„Tak, tak, wierzgaj, koziołku, wierzgaj, ale przed kielnią nie uciekniesz!”.

Folt/Konomon zwalnia, opada w dół i osiada na łuskowatym czubku maski zrobionej z wydrążonej głowy przepelzacza. Świszczący huragan oddechu lemura dobitnie świadczy o tym, że istota faktycznie opada z sił. Jeśli jej procesy życiowe ustaną, zanim zespół rozpocznie procedurę, będą musieli zrezygnować. Folt/Konomon nie zamierza do tego dopuścić. Wciąż przeszkadzają mu drobne turbulencje zawahań i niepewności, ale stara się ich nie

dostrzegać, pompuje energię w procesy myślowe i znacząco je przyspiesza. Efekty widać natychmiast. Folt/Konomon emituje płaszczyznę wysokonapięciowego biopola, a potem zaczyna je zaginać i modelować w taki sposób, by okleiło całego lemura. Gdy wreszcie udaje mu się je domknąć wokół wszystkich kolców, pazurów i włosków, sięga w głąb siebie, całkowicie otwiera świadomość osobowościowego generatora i wycofuje się. Znowu jest tylko Foltem. Pod sobą czuje narastające buczenie płynnego metalu, który nieubłaganie przyspiesza. Każdy generator ma wbudowane ograniczenia, które nigdy nie pozwalają mu się w pełni obudzić. To niezbędne, gdyż pełna świadomość oznacza w ich przypadku niepowstrzymane dążenie do przekroczenia granicy wytrzymałości, czyli rozpędzenia wirującego metalu do dewastującej prędkości, która niszczy generator w widowiskowej eksplozji, ale także uwalnia świadome pole magnetyczne i wystrzeliwuje je na osobną orbitę egzystencji. Folt już na wczesnym etapie hodowli usunął z Konomona większość zabezpieczeń. Zostawił tylko kilka, które systematycznie osłabiał, w miarę jak generator rósł. Dzięki temu Konomon cały czas balansował na krawędzi pełnego przebudzenia i już dawno temu zrozumiał, że chwila, w której zrealizują kanak Folta, będzie również chwilą, w której uzyska wolność.

„Nie czekaj do ostatniej chwili. Chcesz wszystko zepsuć?“, denerwuje się Sabra.

Kolczasty lemur ryczy rozdzierająco. Przez jego ciało przebiega dreszcz. Musi już czuć mrowienie energii, którą nasąca się wysokonapięciowe biopole. Folt wie, że lemur się boi, ale ma nadzieję, że na razie jest zbyt słaby, żeby ich z siebie zrzucić. Podekscytowany Ker kilkakrotnie dźga prętem pustą przestrzeń.

„Mów sobie co chcesz, myśl sobie co chcesz, jesteś tylko bohaterskim narzędziem, czy ci się to podoba, czy nie!

Zrozumiałaś, durna bestio?! Zrozumiałaś?! Nie zamurujesz tego wejścia!”.

Nagle biopole oklejające kolczastego lemura zaczyna świecić jak połyskliwy pancerz utkany z błękitnych elektrycznych nici. Śpiew wirującego metalu zmienia ton. Jego wizg staje się wyższy i bardziej przenikliwy. Konomon przekracza granicę. Już nie zwolni. Nie ma odwrotu. Biopole buzuje energią. Lemur potrząsa łbem i próbuje się podnieść. Zorientował się, że może to zrobić. Odkrył, że stał się silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. To decydująca chwila. Folt wrzeszczy.

„Keeeeeeeeeeeeer!”.

Ale pomarańczowa kula nie potrzebuje zachęty. Już leci w dół. Miętko ląduje na łuskach maski i z rozmachem wbija w nie swój pręt. Potężny ładunek elektryczny z ogłuszającym hukiem przeskakuje między płaszczyzną biopola a prętem i tworzy niegasnący pomost ryczącej energii. Łuk elektryczny przecina rzeczywistość na pół, wszystko iskrzy i tętni pulsującą mocą. Ker stoi niewzruszony. Śmieje się. Jego chwytne odnóże wciąż jest zaciśnięte na pręcie.

„Wstań! Już czas. Nic tu po nas”.

Kolczasty lemur podnosi się i staje na czterech łapach.

„Musimy ruszyć w odpowiednim momencie”.

Ker nie reaguje na słowa Folta.

„Za górami, za lasami, właśnie tam. Widzisz? Już! W tej chwili. Bierz go!”.

Lemur rzuca się do przodu, biegnie, pędzi coraz szybciej. Konomon daje z siebie wszystko i zmierzając do radosnej autodestrukcji, wtlacza w ofiarę kolosalne ilości energii.

Folt nie wie, czy wszystko idzie zgodnie z kanakiem, czy Ker prowadzi ich ku zatraceniu.

Czarne Słońce zbliża się nieubłaganie.

„Nie zapomniałeś o czymś? Przecież to część twojego kanaku”, spokojnie zagaduje Sabra.

„Jeszcze nie”.

„Nie chcesz, żeby plan się powiódł?”.

„Chcę! Zamknij się! Zrobimy to po mojemu!”.

To oczywiste kłamstwo, pod którym Folt próbuje ukryć swój strach, ale z chwilą, gdy wypowiada te słowa odkrywa, że to jednak prawda. Sabra też to widzi. Chichocze.

„Pięknie, cudownie...”.

Ker krzyczy.

„Dawno cię nie było, cieszę się, że znowu cię widzę!”.

Lemur odbija się od jęzora skryształizowanego bazoralu i skacze w sam środek eksplodującej protuberancji Czarnego Słońca. Skorupa biopola trzeszczy i wibruje. Jeszcze trzyma, ale to nie potrwa długo. Folt z żalem i niespodziewaną ulgą połyka ciemnożółtą esencję Sabry wraz z jej więdnącym skrzydłem. Chowa odnóża, utwardza powierzchnię swojego ciała. Długie przygotowania nie idą na marne. Wszystko samoistnie zgrywa się w czasie, bez najmniejszego udziału świadomych procesów myślowych. Prądy i zawirowania Czarnego Słońca gwałtownie zaciskają się na biopolu. Folt jest gotowy. Konomon również. Potężna eksplozja rozrywa na strzępy generator, spala lemura, sublimuje pogrążonego w ekstazie Kera, a Folta wystrzeliwuje daleko w głąb anomalii. Siła rozpędu jest tak duża, że osobliwe energie zaginają się i ustępują, przepuszczając go dalej. Ker wystarczająco dociążył go szczęściem. Ale lot trwa krótko. Po chwili Folt zwalnia i zatrzymuje się. Wisi w ciemności. Nie czuje swojego ciężaru. Nic nie widzi. Wysuwa mentalne odnóże i na oślep zaczyna badać przestrzeń wokół siebie. Natrafia na coś. Ostrożnie dotyka znaleziska. Wydaje mu się, że ma kształt jaja. Nagle w ciemności pojawia się rysa, podłużna kreska białego światła. Wygląda jak

pęknięcie. Folt waha się, lecz tylko przez moment. Szybko podejmuje decyzję. Napiera mentalnym odnóżem i powiększa rysę. Nie jest to trudne. Jajo jest kruche i delikatne. Jego powierzchnia łamie się, zapada, wsiąka w biel. Aż pozostaje tylko coś, co wygląda jak zwinięty w kłębek świetlisty klejnot, który właśnie zaczyna się rozwijać, budzić, mienić, zmieniać kształty, pulsować i rosnać.

Folt kurczy się w sobie. Powinien rozłożyć magnetyczną klatkę, w której miał zamiar uwięzić to, co znajdzie w centrum Czarnego Słońca, ale nie może się ruszyć. Smaga go ekstatyczny zachwyty i jednocześnie miazdzy bolesne przerażenie. Czuje się tak znikomy i bezsilny wobec porażającej potęgi tego niezrozumiałego, lecz pięknego i w jakiś intymny sposób przedwiecznego zjawiska, że od razu godzi się z przegraną. Jaki kanak można przeciwstawić czemuś takiemu? Patrzy. Nie może przestać. To jedyne, co mu zostało. Konstelacja płynnych kształtów wciąż się rozwija, powoli narasta skrzącymi się igielkami nieznanymi energii. Wydaje się spleciona ze sprzeczności i niemożliwości. Jednocześnie duża i mała. Jasna, ale pochłaniająca światło. Ruchliwa, lecz pozostająca w bezruchu. Piękna, a zarazem obca rzeczywistości Folta i przynależnym jej rzeczom, o których mógłby powiedzieć, że są piękne.

Folt czuje, że to zjawisko wygasza jego procesy myślowe. Przyjmuje to ze spokojem. Nie walczy. Gaśnie. Ciemna świetlistość opływa go dookoła, zagęszcza się i zaczyna oddalać. Folt nie rozumie jak to możliwe, że jego świadomość wciąż funkcjonuje i może to obserwować. Ciemna świetlistość zmniejsza się i w końcu staje się jasnym punktem – srebrną gwiazdką na ścianie. Wyciąga dłoń i dotyka jej palcami. Jest gładka i lekko wypukła. Obok niej są inne. Cała ściana jest nimi pokryta. Przewraca się na plecy. W fosforyzującym półmroku dostrzega majaczące zarysy przestronnego pokoju. Nie rozpoznaje tego miejsca. Nie pamięta,

jak się tu znalazł. Siada na łóżku, chowa twarz w dłoniach i usiłuje sobie przypomnieć. Cokolwiek. Lecz czuje pustkę w głowie. Wydaje mu się, że jeszcze przed chwilą śnił dziwny, emocjonujący sen, ale jego treści też nie potrafi sobie przypomnieć. Co ciekawe, nie czuje się z tym źle.

A powinien?

Kładzie się. Pościel jest miękka i przyjemna w dotyku. Jego ciało wypełnia płynący spokój, który ponownie znosi go w stronę snu. Przymyka oczy. Odpływa i natychmiast wraca. Natrafił na coś. Dziwne słowo – Druss. Co to znaczy? Jakaś nazwa, może imię? Brzmi znajomo. Podoba mu się. Mógłby się tak nazywać. Ta myśl sprawia, że zasypia z uśmiechem.

* * *

Żarolampa syczała cicho i rzucała chybotliwe zadymione światło na omszałe ściany podziemnego tunelu. Hemel i Tenan brnęli w tłustym śmierdzącym szlamie, który zapadał się pod nogami. Powoli parli do przodu, brodząc w ohydnie mlaskającej brei. Milczeli. Po pewnym czasie dotarli do rozwidlenia.

Hemel uniósł żarolampę i oświetlił najpierw lewą odnogę, a potem prawą.

– Którędy? – zapytał.

Jego głos wydawał się nienaturalnie donośny.

– Przecież wiesz – odparł poirytowany Tenan.

Włosy na jego nogach i kulistym tułowiui były sklezione zaciekami jasnobrązowego szlamu, który, wysychając, drażnił mu skórę. Marzył o tym, żeby to z siebie zmyć, i próbował się pogodzić z faktem, że w najbliższym czasie nie będzie to możliwe. Nie to jednak było jego największym zmartwieniem.

– Wierzysz im?

Hemel odwrócił się i spojrział na Tenana. Przyjrzał się jego skurczonej z obrzydzenia wypustce.

– Manurowi i Panaplianowi?

– A komu? Nie żartuj!

– Myślisz, że ktoś, kto nikomu nie ufa, wie, jak to się robi?

– Hemel, przestań!

– Tak jest, mój drogi Tenanie, natychmiast.

– Dalej nie idę! Kłamią i manipulują nami, jakbyśmy byli ich Lepe. Nie zgadzam się na to! Powinniśmy samodzielnie odszukać Drussa, bez tych wszystkich dziwactw, które mają tylko odwrócić naszą uwagę. Każą nam błądzić pod ziemią i szukać jakiejś Komory, żeby oni mogli spokojnie zajmować się tym, co naprawdę ważne. Chyba nie sądzą, że uwierzymy w ich idiotyczne opowieści? To niemożliwe, żeby Basal był czymś, co wylęgło się z xulo. Wyczulibyśmy to. Wszyscy by wyczuli. A agenci Rady pierwsi. Wciąż uważam, że mamy tu do czynienia z wyjątkowo rzadką formą Lepe. Najwyraźniej te, które tworzą ludzie, są po prostu trwalsze i inaczej się zachowują. Wiem, że trudno to udowodnić, bo chyba nikt tego jeszcze nie badał, ale jest to znacznie bardziej prawdopodobne niż wymysły tych dwóch. A do tego ta Ebrena... Powiedz mi, Hemel, jak można wpaść na tak szalony pomysł?

Zamin westchnął.

– Ebrena istnieje – stwierdził głucho, jakby do wewnątrz siebie.

Zapadła cisza, która miała posmak strachu. Tenan rozciągnął swoją wypustkę i przybliżył ją do Hemela.

– Jak zdołali cię przekonać do czegoś tak... – Nie potrafił znaleźć właściwego słowa i umilkł.

– Wbrew pozorom, wy, perusi, nie różnicie się od nas tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Większość naszych nie chce o tym wiedzieć. Wśród waszych jest tak samo. Nawet jeśli wiedzą, nawet jeśli mają pewność, wolą udawać, że tego nie ma. Nie istnieje.

– Czekaaj, czekaaj, chcesz powiedzieć, że gdzieś tam, głęboko pod ziemią, zamini za zgodą Rady naprawdę trzymają w niewoli coś nie z tego świata, coś, co żywi się wami i xulo, a do tego potrafi otwierać przejścia do innych światów?

– Nie zrozumiałeś, to ona jest bramą i jeśli chcesz przejść do innego świata, to musisz dać się pożreć.

– Słyszysz, jak to brzmi? To niedorzeczne!

– Być może, ale zanim trafiłem do Drussa, pracowałem w jednostce, która po cichu przechwytywała wszystkie znalezione xulo. Dostarczaliśmy je do stojącego w porcie magazynu, który z zewnątrz niczym szczególnym się nie wyróżnia, ale do nabrzeża, przy którym stoi, nigdy nie podpływają statki i nie przeładowuje się tam żadnych towarów. Za to w środku jest szeroka pochylnia stromo opadająca w dół. Pracują przy niej zamini, którzy często się zmieniają. Ilekroć tam przyjeżdżaliśmy, widziałem innych tragarzy. Któregoś razu pomagaliśmy umieścić na pochylni skrzynię z dużym i ciężkim xulo w kształcie długiego przezroczystego cylindra, wypełnionego ruchomymi obrazami rogatych czworonożnych stworzeń biegających po rozległej trawiastej równinie. Pierwszy raz musiałem zejść poniżej poziomu podłogi. Wszyscy chwycili za skrzynię. Była bardzo ciężka, więc zaparliśmy się i nagle, w ciszy, która zapadła, usłyszałem odległy ryk dochodzący z głębi ziemi. Nikt nie zareagował. Wtedy zrozumiałem, dlaczego zwozimy tam xulo. Dotarło do mnie, że ona naprawdę istnieje, ale niewielu ma odwagę zaakceptować ten fakt.

– Skąd możesz wiedzieć, że to...

– Długo jeszcze zamierzasz się w to bawić?! – warknął gniewnie Hemel. – Bierzesz udział w Festiwalu Wzrostu, przyglądasz się, jak zamini odrywają się od rzeczywistości podczas Karnawału Tabotta, i nadal nic nie pojmujesz? A może jesteś jednym z tych, którym brakuje odwagi?

– Dlaczego wspominasz o Festiwalu? Nie masz pojęcia, o czym mówisz...

– Dość tego, Tenan, wystarczy, przestań udawać. Chyba że naprawdę nie wiesz, czemu tak rzadko ją wypuszczają, dlaczego wychodzi tylko raz w roku?

Tenan skurczył się w sobie. Drżał.

– Bo wtedy przypada święto? – zapytał, nieśmiało skracając wypustkę.

Hemel ryknął i uderzył pięścią w ścianę tunelu. Wzbiła się chmura pyłu i posypał się gruz. Przerażony perus schował wypustkę i zwinął się w kulę. Zamin rzucił żarolampą i zaczął wymachiwać potężnymi ramionami. Charczał i wściekle walił pięściami w śmierzdzący szlam. Jasnobrązowa breja rozchlapывwała się na wszystkie strony. Kiedy Hemel się uspokoił, był w niej zagrzebany do połowy. Dyszał. Powoli wygramolił się ze szlamu, poszedł po żarolampę, która na szczęście się nie rozbiła, i wrócił do zwiniętego w kulę Tenana.

– Ty głupcze – wysapał. – O niczym nie masz pojęcia. Chcesz odkrywać tajemnice Linvenogre, ale w swej naiwności wierzysz, że kiedyś będziesz mógł wrócić do dawnego życia, a twój rodzinny kominodom chętnie przyjmie cię z powrotem i przywróci dawne miejsce w hierarchii.

Tenan ostrożnie rozprostował nogi, wstał i wysunął ektoplazmatyczną wypustkę.

– Miałem taką nadzieję. Drussa, albo same informacje o jego losie, można przehandlować za różne przywileje.

Hemel prychnął.

– Zaraziłeś się od niego indywidualnością i nawet nie zauważyłeś, że chorobliwa ambicja zaczęła ci przesłaniać rzeczywistość. Tu już nie ma dla nas miejsca. Panaplian ma rację. Za długo przebywaliśmy w jego towarzystwie i staliśmy się zbyt

niezależni.

Tenan czuł, że każde słowo, które wypowiada zamin, jest podszyte bolesną prawdą. Nie chciał, żeby tak było, ale nie miał wyboru, musiał się z tym pogodzić.

– Naprawdę uważasz, że nie ma dla nas powrotu? – zapytał.

– Można przeżyć w Linvenogre długie, spokojne i przyjemne życie, ale tylko wtedy, gdy ślepo przestrzega się zasad narzucanych przez Radę i wierzy się w jej ostateczny autorytet, bo to skutecznie porządkuje przestrzeń bytu w tym mieście. Jeśli jednak zaczniesz wątpić i zaglądać pod powierzchnię zdarzeń, to szybko odkryjesz, że nic nie jest tu takie, jakie się początkowo wydaje. Iluzja zaczyna falować i okazuje się bardzo niestabilna. Dla wielu to czytelny sygnał, by natychmiast przestać szukać i wrócić do dawnych, bezpiecznych rytuałów życia. Ale my go przegapiliśmy, bo zaraziliśmy się od Drussa i w którymś momencie zaczęliśmy lgnąć do niejasności, pytań, wątpliwości. Nie, nie ma już powrotu...

– Co zatem zrobimy?

Hemel spojrzał na Tenana i wzruszył ramionami.

– A jaki mamy wybór? Zbadamy sprawę, zajrzemy pod powierzchnię, odkryjemy, co się stało z Drussem, i dowiemy się, czym jest Basal, albo będziemy tylko próbowali to zrobić i niczego nie osiągniemy. Tak czy inaczej, po wszystkim, jeśli uda nam się to przeżyć, zastanowimy się, co dalej. Teraz powinniśmy się trzymać razem, skupić na działaniu i mieć nadzieję, że ci dwaj nie chcą nas wykończyć.

– Nie poznaję cię.

– Tak naprawdę nigdy mnie nie znałeś. Zresztą ja ciebie również. Twoja naiwność jest rozbijająca. Dotychczas byłem pewien, że udajesz. Przecież to, że oni nami manipulują i wykorzystują nas do własnych celów, było oczywiste od początku. Wydawało mi się, że również dla ciebie.

– Ależ jest! – zdenerwował się Tenan. – Mówiłem, że mam tego dość! Dość kłamstw!

Hemel pokręcił głową.

– Wciąż nic nie rozumiesz...

– To mi wytłumacz!

– Wszystko, co mówią, jest prawdą, ale pokawałkowaną, niekompletną. Nie odsłaniają przed nami całej swojej wiedzy, lecz tylko tyle, ile trzeba, żebyśmy mogli działać. I nie sądzę, by kiedykolwiek wytłumaczyli nam, o co w tym wszystkim chodzi, bo nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy dla nich idealnymi narzędziami. Po pierwsze, nie mamy wyjścia i musimy z nimi współpracować, po drugie, wpływ Drussa sprawił, że jesteśmy o wiele bardziej niezależni i elastyczni niż nasi pobratymcy, a po trzecie, podejrzewam, że i tak nie zdołalibyśmy zrozumieć, dlaczego Menur ukrył Basala w opuszczonym gnieździe mazzmy, czego tak naprawdę szuka tu Panaplian i jaką dokładnie rolę odgrywamy w ich planach.

– Częściowa prawda to też rodzaj kłamstwa – oburzył się Tenan.

– Jeśli się upierasz...

Tenan poczuł, że robi mu się zimno. Sens wypowiedzi Hemela wnikał w niego jak trucizna.

– Nie brzmi to dobrze... Ja... My...

– Żeglowałeś kiedyś? – zapytał niespodziewanie Hemel.

– Nie, nigdy, wiele razy widziałem łódki pływające po jeziorze, ale tylko z daleka. Sam nie miałem odwagi, żeby... Dlaczego pytasz? Jaki to ma związek?

– Powinieneś kiedyś spróbować, zwłaszcza przy silnym wietrze. To bardzo pouczające doświadczenie, bo wiatru nie da się zrozumieć, nie sposób przewidzieć jego sztuczek ani nie można się z nim dogadać. Jesteś zdany na jego kapryśną potęgę i wiesz, że w żaden sposób go nie pokonasz, ale jeśli wykorzystasz cały swój

spryt, nie dasz się zastraszyć, utrzymasz wyteżoną uwagę i twoje reakcje będą natychmiastowe, to jest spora szansa, że mimo wszystko uda ci się przetrwać każdą burzę...

– Teraz rozumiem.

– Mam nadzieję, bo musimy już iść. Trzeba znaleźć tę Komorę. Otwórz mapę, którą dostaliśmy od Menura, i przeprowadź nas przez labirynt. Ja pójdę przodem, oświetlę drogę i będę uważał na wiatr.

GALEEN

ERUCHY

- Nie!
- Dlaczego? Przecież od jego śmierci minęło już szesnaście lat!
- Za mało.
- Mamo, proszę.
- Nie potrafię. Przykro mi, kochanie.
- Jak chcesz. Wypływam pod koniec tygodnia.
- Że też musiałeś wybrać ten sam zawód.
- Długo będziemy to wałkować?!
- Nie rozumiesz? Właśnie to zabiło twojego ojca!
- A ty nie chcesz mi powiedzieć, jak do tego doszło. Mam dość. Idę. Muszę jeszcze załatwić kilka spraw.
- Zaczekaj, synku. Usiądź. Powiem prawdę. Ja... nie pamiętam.
- I dlatego przez tyle lat wodziłaś mnie za nos? Nie wierzę. Unik za unikiem. Oj, mamo, nie wiesz, kiedy przestać.
- Pozwól mi wyjaśnić. Twój ojciec opowiedział o tym tylko raz, zaraz po zejściu na ląd. Był wstrząśnięty, płakał, palił papierosa za papierosem, pił wódkę prosto z butelki i nerwowo przechadzał się po kuchni. Pamiętam jego wygląd. Pochyloną, złamaną sylwetkę. Oczy zbitego psa. Widzę go tak wyraźnie, jakby to wszystko było wczoraj. Ale sama opowieść przeciekła, wyparowała. Zostały tylko fragmenty. Nie potrafię ich połączyć.
- Mogłaś mi to powiedzieć wcześniej. Dałbym ci spokój.
- I zacząłbyś szukać gdzie indziej.
- Czekał, ty tak specjalnie? Jaki jest sens...? O cholera...
- Widzisz? Do głowy ci nie przyszło, żeby popytać znajomych w porcie. A mógłbyś dotrzeć do właściwej osoby bez mojej pomocy.
- Kto to jest?! Mów! Chyba nie chcesz dalej tego ciągnąć?!
- Nazywa się Klaus Bresell. Przyjaźnił się z twoim ojcem. Razem

popłynęli w tamten feralny rejs. Mieszka teraz na barce w nieużywany doku. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co tam się stało, to musisz porozmawiać z kimś, kto tam był. I pozdrów go ode mnie.

* * *

Barka była zacumowana na środku głębokiego doku. Z brzegiem łączyły ją tylko grube liny. Nigdzie nie było widać trapu ani pomostu.

– Halo! Panie Bresell!

Z luku wychylił się łysy mężczyzna z gęstą zmierzwioną brodą.

– Co jest, kurwa?! Przecież zapłaciłem za ten miesiąc! Odpierdol się, człowieku!

– Przepraszam, chciałem tylko...

– O w mordę! Jesteś synem Galena, prawda?

– Skąd pan wie?

– Bardzo go przypominasz. Czeka, wysunę trap. No już, chodź no tu. Niech ci się przyjrzę. Wykapany ojciec. Jak masz na imię? Nikodem?

– Nikolaj.

– No tak. Ojciec ciągle o tobie mówił, ale to było wieki temu. Zejdźmy na dół. Czego się napijesz?

– Dziękuję, panie Bresell, ale...

– Nie panuj mi tak. Dla ciebie jestem Klaus. I nie będziesz u mnie siedział o suchym pysku. Domyślam się, po co przyszedłeś. Trochę nam to zajmie. Może być piwo?

– Tak. Oczywiście. Ma pan... Masz tu strasznie dużo książek.

– Trudno uwierzyć, ale odkryłem je dopiero wtedy, gdy przestałem wypływać w morze. Teraz nie mogę bez nich żyć. Kupuję w zaprzyjaźnionym antykwariacie na kilogramy i czytam

wszystko jak leci. Czasem trafi się coś wykurwistego. Do takich lubię wracać. Na przykład to. Nie ma okładki i nie wiem, jaki ma tytuł, ale to opowieść o ostatnim dniu z życia brytyjskiego konsula Geoffreya Firmina, który cały czas chla na potęgę. Zaznaczyłem genialny fragment. Bardzo zabawny. Zobacz sobie, a ja skoczę po piwo.

Nikolaj podniósł zniszczoną książkę i zaczął czytać podkreślony tekst.

Hugh obserwował *Edypa* na nowym stoisku, ale kołyszącego się znów w krnąbrnej bliskości, jak gdyby na uwięzi jego myśli; stary parowiec pokazywał się to z tej strony, to z tamtej, w jednej chwili podpływał blisko łamaczy fal, w drugiej uciekał na morze. W przeciwieństwie do *Filokteta Edyp* był w oczach Hugh wszystkim tym, czym być powinien statek. Po pierwsze, rozmieszczeniem osprzętu nie przypominał boiska futbolowego, z mnóstwem słupków bramkowych i ekwipunku. Jego maszty i dźwigi były z tych wysokich, co przypominają dzbanki do kawy. Jego komin też był wysoki i bardzo odrapany. Cały statek był brudny i pokryty rdzą, wzdłuż burty biegły zacieki minii. Był wyraźnie łatany na lewej burcie; kto wie, może również na prawej. Mostek wyglądał tak, jak gdyby – czy to możliwe? – zetknął się niedawno z tajfunem. Jeżeli nie, *Edyp* sprawiał wrażenie statku, który wkrótce przyciągnie do siebie tajfuny. Był pogruchotany, stary i – radosna myśl – może nawet bliski zatonięcia. A jednak było w nim coś młodzieńczego i pięknego, jak złudzenie, które nigdy nie pryśnie, które będzie się zawsze utrzymywało gdzieś daleko na horyzoncie. Podobno rozwijał szybkość siedmiu węzłów. I miał popłynąć

do Nowego Jorku! Ale z drugiej strony... jeżeli Hugh zaciągnie się na *Edypa*, co z Anglią? Nie był tak absurdalnie optymistyczny w odniesieniu do swoich piosenek, żeby sobie wyobrażać, że jego sława będzie błyszczała jeszcze po dwóch latach... A poza tym jakże trudny będzie powrót do dawnego życia, rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Niemniej na pokładzie *Edypa* nie będzie miał już na sobie dawnego piętna. Mało prawdopodobne, żeby jego nazwisko dotarło do Colón. Ach, jego brat Geoff znał te morza, te pastwiska ludzkich doświadczeń – co on by zrobił w jego sytuacji?

– 182 –

Wrócił Klaus. Podał Nikolajowi butelkę zimnego piwa.

– I co?

– No nie wiem...

– Nie jest śmieszny?

– Chyba nie.

– Cholera, tego się obawiałem. Bawi tylko mnie. Zdziwaczałem do reszty.

– Może to ja nie mam poczucia humoru?

– Kiepska wolta mój chłopcze. W ten sposób nikomu nie poprawisz nastroju.

– Przepraszam...

– Dobrze już, zapomnijmy o tym. Podobno zaciągnąłeś się na statek. Co to za jednostka?

– *Wilk*.

– Słusznie. Będziesz pływał pod Olafem. To dobry kapitan. Mądry i zaradny. Dokąd płyniecie?

– Do Indii.

– Ach, jak ja ci zazdroszczę! Wciąż pamiętam to uczucie, które pojawia się na dzień przed wyjściem z portu i rośnie w płucach, gdy statek podnosi kotwicę, a holowniki wypychają go w morze, wprost w objęcia słonej bryzy. Coś wspaniałego!

– Przecież nadal możesz pływać.

– Ależ pływam, mój chłopcze, pływam. Na holowniku. Blisko brzegu.

– Dlaczego nie zaciągniesz się na rejs dalekomorski?

– Boję się głębokiej wody. Co wiesz o śmierci swojego ojca?

– Mama powiedziała mi tylko, jak zginął.

– Byłem przy tym. Chodziliśmy od knajpy do knajpy, zalewaliśmy pałę i szukaliśmy zaczepki. Napierdalaliśmy każdego, kto się napatoczył i był na tyle głupi, że dał się sprowokować. W końcu trafiliśmy na grupę gówniarzy, którzy zeszli z francuskiego niszczyciela. Błysnął nóż. Banalna, głupia śmierć. Ale tak naprawdę cały czas jej szukaliśmy. Nie chciało nam się żyć. Nie po tym, co przeżyliśmy. Choć ja miałem trochę więcej szczęścia. Po zabójstwie Galena aresztowano wszystkich, którzy brali udział w bójce. Mnie również. W więzieniu nie mogłem pić i nie mogłem się zabić. Żebyś wiedział, Nikołaj, zabrali mi nawet pierdolone sznurówki! Czy tego chciałem, czy nie, musiałem się zmierzyć z prawdą. Ze strachem, który mnie wypalał. Przez kilka miesięcy sędzia odraczał rozprawę, bo nie mogłem funkcjonować bez środków uspokajających i bałem się wyjść z więziennej izolatki. W końcu jednak wziąłem się w garść. Temu chujkowi z nożem dali dwadzieścia lat. A ja wyszedłem na wolność i zacząłem się rozglądać za pracą. No i okazało się, że mam problem. Wiedziałem, że już nigdy nie wypłynę w daleki rejs. Oczywiście w porcie zawsze jest jakaś robota, a jak się jeszcze ma doświadczenie i dobrą opinię, to już w ogóle nie ma problemu, lecz strach pozostał. Cały czas mi towarzyszy. W rzeczywistości twój ojciec nie zginął od noża. Zabiło go to, co nas

spotkało. Reszta to skurwiała formalność. No dobra, wiem, przynudzam.

– Wcale nie. Dobrze usłyszeć relację z pierwszej ręki.

– Pierdzielisz! Chcesz poznać właściwą historię, a ja to, kurwa, odwlekam!

– Pewnie, że chcę, ale czekałem na to tak długo, że kilka dodatkowych minut mnie nie zbawi.

– Przepraszam. Poniosło mnie. Nie powinienem był krzyczeć. Trochę się denerwuję.

– W porządku. Mamy czas.

– To miała być okazja. Krótki i łatwy rejs za duże pieniądze. Kontrakt załatwił nam znajomy kapitan. Powiedział, że ktoś szuka doświadczonych ludzi, na których można polegać i którzy nie będą zadawali pytań. Poszliśmy na spotkanie. Zależało im na czasie, a nam na pieniądzach, więc szybko ustaliliśmy wstępne warunki umowy. Tydzień później do portu zawinął *Meteor* – duży, pełnomorski trawler – i weszliśmy na pokład. Dopiero wtedy jego kapitan, niejaki Edward Norrington, nie wdając się w szczegóły, wyjaśnił nam ogólny cel rejsu. Dowiedzieliśmy się, że *Meteor* kieruje się w stronę wybrzeży Islandi, gdzie będzie na niego czekał statek, na którym znajduje się coś, co trzeba przeładować na *Meteora* i dostarczyć do rosyjskiego portu za kołem polarnym. Kapitan dodał jeszcze, że podpisanie kontraktu zobowiązuje nas do zachowania tajemnicy. Oficjalnie *Meteor* jest statkiem rybackim i tak ma pozostać. Żadnych pytań. Żadnego szpiegowania. Wszystko, co zobaczymy, mamy zachować dla siebie. Wciąż mieliśmy wybór. Jeśli nie odpowiadały nam warunki umowy, mogliśmy nie podpisywać dokumentów. Wrócilibyśmy na brzeg bez żadnych konsekwencji. Oczywiście zostaliśmy. Wiesz, Nikołaj, przygoda! Jebana przygoda! Oj, pewnie dlatego bawią mnie takie fragmenty jak ten, który ci pokazałem. Bawią do łez.

– Wy płynęliście od razu?

– Tak. Natychmiast. Mieli już skompletowaną załogę. Swoją drogą była to niezła zbieranina. Marynarze z różnych portów Europy. Początkowo rejs był bardzo przyjemny. Każdy pilnował swojego nosa i koncentrował się na wyznaczonych obowiązkach. Cisza, spokój i żadnych tarć, bo nikt nie szukał kłopotów. Ale wśród ludzi krążyły różne plotki. Głównie na temat statku. To była dziwna jednostka. Z zewnątrz wyglądała jak normalny pełnomorski trawler z wyciągiem na rufie, lecz w środku nie przypominała żadnego znanego nam okrętu. Pod pokładem rozciągał się istny labirynt pustych laboratoriów, hermetycznych ładowni obitych grubymi płytami błyszczącej stali, przeszklonych komór wypełnionych wodą, aluminiowych stołów z doczepionymi manipulatorami, skomplikowanych maszyn szemrzących na jałowym biegu i dźwiękoszczelnych cel. Całe to wyposażenie tonęło w zimnym świetle bezcieniowych lamp i spokojnie czekało, aż stanie się potrzebne. Wcale nie musiałeś być paranoikiem. W takim otoczeniu spiskowe teorie rodziły się same. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że po wykonaniu zadania marynarze zostaną zlikwidowani, i zrobiło się nerwowo. Kapitan zareagował błyskawicznie. Zwołał zebranie, na którym zapewnił całą załogę, że nikomu nic nie grozi, a sam rejs jest legalny i w żaden sposób nie łamie prawa międzynarodowego. Poza tym każdy może się swobodnie poruszać na okręcie, o ile nie koliduje to z jego obowiązkami. Przemowa Norringtona uspokoiła nastroje, choć tak naprawdę nikt nie miał powodów, żeby mu wierzyć. Mimo to udało nam się dopłynąć do Islandii bez większych problemów. *Meteor* zakotwiczył w dużej pustej zatoce. Stał przez dwa dni, a potem w zasięgu wzroku pojawiła się nieoznakowana łódź podwodna i ruszyliśmy za nią. Morze było spokojne. Po kilku godzinach dotarliśmy do mniejszej zatoki i statek odwrócił się rufą do brzegu.

Kapitan ogłosił alarm i przez głośniki nakazał wszystkim najemnym marynarzom, by udali się do mesy na górnym pokładzie i pozostali tam do odwołania alarmu. No cóż, Nikolaju, nie wszyscy posłuchali.

– Niech zgadnę...

– Tak. Właśnie to miałem na myśli. Jęknął wyciąg rufowy i pobieглиśmy zobaczyć, co tam się dzieje. W morzu roiło się od pletwonurków. Pływali wokół grubych stalowych lin, które znikwały pod wodą. Nagle ktoś krzyknął i wyciąg z wyraźnym trudem zaczął coś podnosić. W miarę jak zwijał liny, rufa okrętu coraz bardziej zanurzała się w wodzie, jakby na ich końcu był zaczepiony jakiś niesamowity ciężar. Wreszcie po kilkunastu minutach na powierzchni błysnęły stalowe klamry zamknięte na czymś, co wyglądało jak dwu-, może dwuipółmetrowe jajo, grafitowe i pobrużdżone. Na szerokiej pochylni trawlera wydawało się malutkie i niepozorne, ale swoją masą odkształcało kadłub. Pomocnicy kapitana odczepili liny i z pomocą suwnicy przetoczyli jajo w głąb ładowni. W ten sposób przechył statku został zniwelowany i choć mieliśmy nieco większe zanurzenie, można było bezpiecznie kontynuować rejs. Alarm ucichł. Marynarze wrócili do swoich obowiązków. Niektórzy byli ciekawi i pytali, co widzieliśmy, ale kiedy opowiadaliśmy o grafitowym jajku, nie chcieli nam wierzyć. Myśleli, że ich nabieramy.

Kilka dni później dopadł nas sztorm. Rzucalo jak diabli, lecz nie było w tym nic dziwnego. Cały czas płynęliśmy na wschód. Burza trwała cztery dni, a kiedy morze się uspokoiło, *Meteor* gwałtownie zwolnił i zatrzymał się z ogłuszającym jazgotem protestującego metalu. Jakby wpadł na mieliznę. Kapitan poinformował, że okręt ugrzązł w lodzie. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni i wyjrzelismy na zewnątrz. Rzeczywiście. *Meteor* dryfował wmarznięty w ogromną połąć grubego lodu. Miała kilkaset metrów średnicy,

lecz morze było skute lodem tylko w tym miejscu. Poza nim woda po horyzont była wolna od kry. Nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku.

Po kilku godzinach nerwowego oczekiwania Norrington ogłosił, że kadłub nie jest uszkodzony i nie ma powodów do obaw, zapewnił też, że lód powinien ustąpić w ciągu kilku dni, a jeśli tak się nie stanie, to wezwie pomoc z Murmańska. Potem przyszedł do nas ze swoimi ludźmi. Po cichu. Nie chciał rozgłosu. Poprosił, żebyśmy sprawdzili, w jakim stanie jest śruba i ster. Okazało się, że na *Meteorze* tylko ja i Galen mamy odpowiednie uprawnienia. Wtedy zrozumiałem, że każdy nurek, którego widzieliśmy podczas załadunku jaja, był członkiem załogi łodzi podwodnej.

Zgodziliśmy się. W zamian za ekstra premię, ma się rozumieć.

Zrobiliśmy to w niecałą godzinę. Więcej czasu zajęło wycinanie przerębla. Śruba i ster nie były uszkodzone, ale tak bardzo skupiliśmy się na oględzinach, że nie zwracaliśmy uwagi na nic innego. Dopiero wracając do przerębla, spojrzałem w dół. Złapałem Galena za ramię i pokazałem palcem. Coś było pod statkiem. Kolosalne. Na wpół wynurzone z ciemnych głębin. Obracało się powoli. Jego powierzchnia mieniła się lśniącymi karbami układającymi się w abstrakcyjne hieroglify. Żałuję, że to zobaczyłem. Już nigdy nie pozbędę się tego widoku.

Wyszliśmy z wody i pobiegliśmy do kapitana. Byliśmy w drodze na mostek, kiedy huknęło i zatrzęsło pokładem. Chwilę później pojawił się Norrington ze swoimi ludźmi i kazał nam się zamknąć w kajutach. Jak się domyślasz, Nikołaju, w ogóle nie mieliśmy takiego zamiaru. Ruszyliśmy za nimi. Aż do miejsca, gdzie coś przebiło się na wylot przez kilka stalowych grodzi, tworząc nowy korytarz, który zaczynał się tam, gdzie w rozprutym wnętrzu pancерnej ładowni spoczywało grafitowe jajo.

Ludzie kapitana wyjęli broń i powiedzieli, że mamy spierdalać.

Wtem ktoś zaczął strzelać. Wybuchło zamieszanie. Galen odciągnął mnie w głąb korytarza i pobiegliśmy w kierunku kajut. Nagle zapadła cisza. Spojrzeliśmy za siebie. Mignął tam jakiś kształt. Jakby sam cień albo kleks płynnej sadzy. Słysząc było, jak się porusza. Takie cichutkie tyszy, tyszy; tyszy, tyszy... Jak ostrożne pacnięcia owadzych odnóży.

Wypieprzaliśmy stamtąd, ale wciąż słyszeliśmy za sobą to coś. Było coraz bliżej. Nie mieliśmy szans. Wtedy Galen krzyknął: „Przez kambuz!”. Zawsze siedziało tam kilku marynarzy. Wystarczająco wielu, żeby spowolnić pościg. Ich wrzaski milkły za naszymi plecami jeden po drugim. Ale zdobyliśmy dość czasu. Zaryglowaliśmy się w zbrojowni za kajutą kapitana. Spędziliśmy w niej ponad dobę. Leżeliśmy w ciemności i baliśmy się odezwać. W końcu jednak ciekawość przewyciężyła strach i wyjrzelśmy na zewnątrz.

Lód puścił i *Meteor* swobodnie dryfował po Morzu Norweskim. A na pokładzie tylko my dwaj. Reszta załogi zniknęła bez śladu. Żadnych trupów. Żadnej krwi. Nic. Zniknęło też grafitowe jajo. Statek był uszkodzony. Padła elektryka. Zresztą dwie osoby nie dałyby rady go uruchomić, nawet gdyby był sprawny. Nie mogliśmy wezwać pomocy, więc zgromadziliśmy w szalupie zapasy wody i jedzenia, a potem spuściliśmy ją na wodę. Ale nie odpłynęliśmy daleko. Kilka godzin później przechwycił nas rosyjski krążownik *Jenisej*.

- Jednak Norrington zdążył się skontaktować z Murmańskiem?
- Na nasze szczęście.
- Rosjanie uwierzyli w waszą opowieść?
- Nie mam pojęcia. Przesłuchali nas, spisali zeznania i kazali się pod nimi podpisać. Potem odstawili do portu, z którego wyruszyliśmy. Wspomnieli też, że wiedzą, gdzie nas znaleźć, i lepiej by było, żebyśmy o wszystkim zapomnieli. Jakby to było takie

proste. Po tygodniu obaj dostaliśmy zawiadomienie z banku, że na naszych kontach zdeponowano sporą gotówkę. Znacznie więcej, niż mieliśmy dostać za ten kurewski rejs. Nie muszę ci chyba mówić, Nikolaju, że nigdy w życiu nie byłem w banku i nie zakładałem konta. Ale było tam dość kasy, żeby zacząć pić. Resztę chyba znasz?

– Znam.

– Nie wypijeś piwa.

– Przepraszam, ale chyba nie mam ochoty. Już późno, powinienem iść.

– Co zamierzasz?

– Przecież mówiłem...

– Mimo wszystko chcesz spenetrować to pastwisko ludzkich doświadczeń na własną rękę, co?

Klaus wybuchnął śmiechem.

Nawet w dniu, w którym *Wilk* wypływał w rejs do Indii, wspomnienie jego gardłowego rechotu nie pozwalało Nikolajowi cieszyć się tą chwilą. W żaden sposób nie potrafił zrozumieć, co tak rozbawiło starego marynarza. Nie dawało mu to spokoju. Kurczowo trzymał się relingu i starał się nie myśleć o ojcu.

FRUCITY



10 - JALE
10

Po przebudzeniu Druss usiadł na łóżku i długo rozglądał się po przestronnym, wysoko sklepionym pokoju. Intensywnie wpatrywał się w nieliczne kształty wypełniające przestrzeń, jakby musiał się ich nauczyć na pamięć albo chciał sobie przypomnieć, w jaki sposób należy je widzieć, jak interpretować krzywizny, załamania, faktury twardej na powierzchniach rzeczy. Był tam długi masywny stół z ciemnego drewna. Było krzesło, tylko jedno i chyba przez to sprawiające wrażenie dziwnie osamotnionego. Było też duże okno. Ale wzrok Drussa ześlizgiwał się po nich i ciążył w dół, tam gdzie na gładkiej kamiennej podłodze leżały w nieładzie ciemnobrązowe spodnie i tego samego koloru bluza z szerokimi rękawami – pomarszczona konstelacja przecinających się fałdek, miękkich miniaturowych tarasów przyciągających światło i gromadzących cień. Trochę dalej, za nimi, stały skórzane buty. Z wyciągniętymi językami i rozsypłanymi sznurówkami wyglądały jak egzotyczne drapiezniki, które czekają w bezruchu, aż w ich zasięgu pojawi się coś, co można zaatakować.

To skojarzenie wytrąciło Drussa z kontemplacyjnej zadumy.

– Przecież to tylko buty – szepnął.

Uśmiechnął się do siebie i wstał. Był nagi. Czuł się lekki i pełen energii. Wciąż nie miał pojęcia, jak się tu znalazł i kim jest, ale nie przeszkadzało mu to. Nie był z tego powodu zaniepokojony, nie zaprzętał sobie tym głowy i nie ograniczało to jego poczucia swobody. Podniósł spodnie i bluzę, ubrał się, a potem usiadł na krześle, by włożyć buty. Uporał się ze sznurówkami i wolno podszedł do okna. Z bliska okazało się, że jest ono częścią szerokich drzwi prowadzących na półkolisty balkon otoczony wysoką balustradą. Nie było żadnej klamki, więc Druss naparł na nie

ciałem. Nie stawiały oporu. Odchyliły się wahadłowo i wypuściły go na zewnątrz.

Balkon był zawieszony nad ośmiokątnym dziedzińcem przypominającym wąską studnię, której dno zarosło wysoką trawą. Druss zacisnął palce na balustradzie splecionej z grubych metalowych prętów pokrytych drobnymi ząbkami rdzy, które kruszyły się i wbijały w skórę. Spojrzał w dół, na trawę. Wydawała się mokra, jakby przed chwilą zrosił ją deszcz. Potem przyjrzał się gładkim, jednolitym ścianom, pozbawionym jakichkolwiek okien, tarasów czy choćby małych otworów, i zadarł głowę, by w wylocie dziedzińca dojrzeć ośmiokątny wycinek nieba. Ale zamiast tego zobaczył, że nakrywa go pofałdowana metaliczna powierzchnia, wydęta i szeleszcząca na wietrze jak balon z cynowej folii. Druss patrzył na nią przez chwilę, a później wrócił do pokoju. Minął stół i krzesło. Zbliżył się do ściany pokrytej srebrnymi gwiazdkami. Nacisnął ją. Nic. Zrobił dwa kroki w lewo i znowu nacisnął. Nic. Lita, niewzruszona ściana. Westchnął. Kolejne dwa kroki i nagle ściana odchyliła się tak samo jak drzwi na balkon. Ukryte przejście prowadziło do długiego korytarza, który łagodnym łukiem opadał w dół. Druss ruszył do przodu, ale coś go tknęło. Zatrzymał się. Spojrzał przez ramię na pokój, w którym się obudził i który właśnie opuszczał. Teraz był tylko szarą bezkształtną przestrzenią, gęstym kłębem przelewającej się mgły. Cofnął się i wszystko wróciło na swoje miejsce – stół, krzesło, wysoko sklepiony sufit, łóżko ze skłębioną pościelą, kamienna podłoga i balkon – dokładnie takie same jak wcześniej: ostre, wyraźne, namacalne. Druss nie miał wrażenia, że dzieje się coś dziwnego. To było zgodne z naturą tego miejsca, która wydawała mu się zrozumiała, choć nic o niej nie wiedział. Zostawił pokój za sobą i podążył opadającym korytarzem. Mijał dziesiątki drzwi. Nie kusiło go, żeby sprawdzić, czy są otwarte. Wiedział, że są, ale wiedział też, że we wszystkich

pokojach, które się za nimi kryją, znajdzie jedynie kłęby szarej mgły, bo to nie są jego pokoje.

Korytarz dochodził do szerokiego tunelu, którego ściany były ozdobione misterną mozaiką układającą się w spiralne, abstrakcyjne wzory. Tunel był krótki i w jego wylocie było widać dziwaczne, spiętrzone w górę miasto, pełne ruchomych budowli i niezwykłych postaci, a także obiektów, które nie były ani tym, ani tym, albo też jednym i drugim. Druss nie mógł się zdecydować. Wyszedł z tunelu i zamarł.

Co to za miejsce?

Stał na poboczu szerokiej alejki wijącej się między wysokimi minaretami połączonymi ze sobą za pomocą przekładni, kół zębatych i skomplikowanych machin. Wszystkie budowle powoli przesuwwały się wzdłuż alejki, zamieniały miejscami, kręciły. Nad nimi unosiły się ogromne wieżobalony z cynowej folii, podtrzymywane przez teleskopowe przypory wyrastające z dachów minaretów. A jeszcze wyżej połyskiwały meduzokształtne platformy najeżone ruchliwymi szypułkami emitującymi przedziwne rodzaje światła. Druss zapatrzył się na jedną z nich. Jej barwa, odlegle zbliżona do koloru mokrego piasku, przypomniła mu radosne dzieciństwo spędzone na dnie metanowego oceanu, w mieście Nuqra wydrążonym w porowatej ścianie głębokiego kanionu. Na jego obrzeżach, tam gdzie kanion się rozszerzał i dochodził do kolosalnej szczeliny, która podobno sięgała aż do wnętrza planety, razem ze swoimi rówieśnikami często polował na długie zębate skrobony. Miał dużą wprawę w tropieniu radiowych zawirowań, którymi te zębacze znaczyły swoje terytoria. Wystarczyło znaleźć dwa albo trzy i zacząć się w ich pobliżu ze szklanym harpunem. Najskuteczniej kamuflował silny prąd, choć trzeba było uważać, bo najczęściej ściągał też w dół, w głąb szczeliny. Mimo to nikt się nie bał ryzyka. Jeden przywiązywał się linką do kamienia, a reszta

chwyciła go za płetwy i wszyscy razem falowali w zawirowaniach prądu, czekając na skrobona. To była świetna zabawa. Ale robiła się jeszcze lepsza, kiedy przerywało ją pojawianie się jednego z tych pancernych drapieżników grasujących wzdłuż krawędzi szczeliny. Wirująca paszcza najeżona jadowitymi zadziorami błyskawicznie rzucała się w ich stronę i musieli szybko zwijać świadomość, żeby zdążyć przetransferować ją wzdłuż linii cykloidów i upakować w troflinowym leżu, zanim rozerwie ich ciała na strzępy i zamknie drogę powrotu...

Druss potrząsnął głową. Spuścił wzrok. Nie bardzo wiedział, co się stało. Resztki wspomnień z dna metanowego oceanu zawirowały pod czaszką i rozpuściły się w mroku. Pomyślał, że chyba nie powinien patrzeć w stronę meduzokształtnych platform i ich dziwnych kolorów. Przynajmniej na razie. Na chwiejnych nogach ruszył przed siebie. Dołączył do tłumu kroczących maszyn, szklistych owadów, wijących się roślin, lewitujących agregatów żywej plazmy i dużych robaków pokrytych srebrzystym segmentowanym pancerzem, pod którym poruszały się dziesiątki krótkich czarnych odnóży. Co ciekawe, każdy robak miał okrągłą głowę pełną osobliwych wypustek, ale tylko niektóre posiadały pojedyncze ramię zakończone chwytną dłońią. Tłum parł do przodu, jakby wszystkie istoty zmierzały do jednego, konkretnego celu. Druss postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest.

Razem z innymi przeszedł pod ogromnym, wolno krocącym mostem. Następnie minął gąszcz długich i elastycznych pędów ciemnogramatowego bluszczu, który nie miał liści, ale za to cały był porośnięty drobnymi przezroczystymi przyssawkami, które czepiały się ścian minaretów, a potem, w miarę jak budynki się oddalały lub obracały, przyssawki odrywały się i kurczyły, wydając przy tym głębokie śpiewne tony, układające się w rozwlekłą smutną melodię wibrującą w kościach. Druss chciał się tam zatrzymać na

dłużej, by wsłuchać się w dźwięki, ale uległ woli tłumu i poszedł dalej.

Dotarli do rozwidlenia. Część istot skręciła w lewo, a inne ruszyły w prawo. Druss zawahał się. Stał w miejscu. Był jak kamień w rzece. Tłum opływał go z cichym szelestem. Z jednej strony widział ciężką, zwartą i nieruchomą zabudowę, ponad którą wznosiły się ogromne spiralne tarasy. Wzdłuż nich, w zwartym szeregu, jeden obok drugiego, lewitowały przeróżne kształty, zagadkowe bryły, niezwykle pojazdy, latające domy albo coś jeszcze innego. A z drugiej strony otwierał się widok na zachodzące na siebie krzywizny ażurowych kopuł zawieszonych nad dużymi powierzchniami, które się obracały. Ich ruch przyciągnął Drussa. Skręcił w prawo. Przeszedł przez krótki przeszklony korytarz i stanął pod pierwszą ażurową kopułą, na okrągłym placu obracającym się powoli jak gramofonowa płyta. Nie rozumiał, skąd mu się wzięło takie porównanie, bo nie wiedział, czym jest coś, co nosi taką nazwę. Był pewien, że nigdy czegoś takiego nie widział ani nawet nie słyszał o istnieniu takiej rzeczy. Nie wiedział też, do czego miałyby służyć, lecz z jakiegoś powodu był przekonany, że ten obrotowy plac wybrukowany drobną żeliwną kostką przypomina właśnie ją. Znacznie dziwniejsze od samego placu było jednak to, że toczyły się po nim masywne kule obrośnięte gąbczastą korą i grubym zielonym mchem. Jedne były naprawdę duże, wielkości sporego domu, a inne całkiem małe, mniejsze od Drussa, ale wszystkie doskonale zsynchronizowane z prędkością obrotową placu, dlatego odnosiło się wrażenie, że toczą się w miejscu, w ogóle nie przesuając się do przodu.

Klucząc między kulami, Druss odkrył, że obrotowe place ciągną się jeden za drugim i jest ich tu znacznie więcej, niż mu się początkowo wydawało. Po dwudziestu trzech przestał liczyć. Mimo to zamierzał dotrzeć do miejsca, w którym się kończą i przechodzą

w jakąś inną część tego zadziwiającego, niemożliwego miasta.

W końcu dostrzegł między kopułami wysoki zębaty mur. Skręcił w jego stronę. Znalazł niezbyt szeroki pomost, który dochodził do muru, a potem spiralną pochylnią opadał poniżej poziomu obrotowych placów, między wąskie labiryntowe zaułki wybudowane wokół potężnych filarów, które podpierały kręcące się place i wprawiały je w ruch. Pełno tu było dziwnych istot, ale dla odmiany nikt się nigdzie nie śpieszył. Wszyscy, którzy znajdowali się w zasięgu wzroku Drussa, stali, leżeli lub nieruchomo wisieli w powietrzu i wpatrywali się w najbliższy filar. Łatwo było zrozumieć, dlaczego tak robią. Jego połyskliwa powierzchnia mieniła się migotliwymi i hipnotycznie rozedrganymi obrazami. Było w nich coś niezwykle intrygującego, przyciągały uwagę, jakby lada moment miały wyjawić jakąś głęboką tajemnicę. Druss już chciał stamtąd odejść, gdy obrazy rzeczywiście zafalowały i przybrały konkretny, wielowymiarowy kształt, ostry i wyraźny jak materialny przedmiot, który po chwili znowu rozpadł się na migotliwe, abstrakcyjne zawirowania. Kilku obserwatorów natychmiast ruszyło z miejsca, po czym zaczęli się rozchodzić. Reszta została. Czekali na kolejne objawienie, które tym razem będzie być może przeznaczone dla nich. Druss skorzystał z okazji i podążył za szeroką, silnie opancerzoną istotą, wolno kroczącą na sześciu grubych nogach i badającą drogę przed sobą za pomocą długich czułek. Trzymał się tuż za nią. Istota nie zwracała na niego uwagi. Gdy utorowała sobie drogę między obserwatorami, od razu ją wyprzedził i szybkim krokiem doszedł do jasnego wylotu wąskiej uliczki łączącej się ze stromo opadającą alejką.

Przystanął. Znowu nie był pewien, w którą stronę powinien się udać. Wyżej, ponad jego głową, majaczyły spiralne tarasy, znacznie bliższe niż ostatnio. Mógłby tam pójść, by przyjrzeć się tym zagadkowym lewitującym kształtom, ale nie miał ochoty. Chciał

zobaczyć coś innego. Nie wiedział co, ale miał wewnętrzne przekonanie, że nie chodzi o tarasy. Spojrzał w dół i wtedy, jakby tylko czekały, aż Druss skieruje na nie swój wzrok, ruchome minarety rozsunęły się i na jedno mrugnięcie, jeden miniaturowy ułamek chwili, odsłoniły coś niesamowitego – rozfalowany ocean gęstej szmaragdowej mgły, z której wyrastały jakieś kolosalne i fascynujące kształty. Nie zdążył się im przyjrzeć. Minarety ponownie zasłoniły widok. Ale rzut oka wystarczył, żeby zrozumieć, że to jest właśnie to, co przyciąga go od momentu, gdy obudził się w pokoju, którego ściany pokrywają srebrne gwiazdki. To właśnie musi zobaczyć.

Stroma alejka opadała prosto, a później ostro skręcała w prawo i łączyła się z szeroką drogą, która przechodziła pod niskim łukiem zbudowanym z białych kamieni gładkich jak porcelana. Cóż za dziwne słowo, pomyślał Druss, brzmi jak coś do jedzenia. Ochocho przyłączył się do tłumu istot podążających drogą i razem z nimi wszedł pod biały łuk. Po drugiej stronie otwierała się szeroka przestrzeń, duży heksagonalny plac pokryty żywą mozaiką. Druss zwolnił, przyjrzał się abstrakcyjnym literom i zmiennokształtnym symbolom przelewającym się tuż pod jego butami. Nieustannie zbliżały się do granicy rozpoznania, lecz nigdy jej nie przekraczały. Gdy tylko zaczynały przypominać coś znajomego, natychmiast przekształcały się w coś zupełnie innego, coś, co znowu orbitowało w stronę rozpoznania, i tak bez końca. Drus był tym zaintrygowany, ale bez żalu zostawił to sobie na później. Przyśpieszył. Ominął dwa ogromne ślimaki. Zaczynał się niecierpliwić. Ale był już blisko. Podeszedł do ażurowej balustrady wyrzeźbionej w ciemnej porowatej materii. Zatrzymał się. To tu. Dotarł na miejsce.

Przed nim aż po horyzont rozpościerał się falujący ocean gęstej, szmaragdowej mgły, z której daleko od brzegu strzelały w górę kolosalne mgliste filary zwieńczone opalizującymi sferami,

rozświetlonymi od wewnątrz zimnym ogniem magnetycznych zórz. Druss chłonał ten widok całym sobą. Był oszołomiony i zachwycony. Oparł łokcie na balustradzie i patrzył. Obok niego przystawało wiele różnych istot, jedne na dłużej, inne tylko na chwilę, lecz Druss w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Mógłby tam zostać na zawsze. Mógłby rozpuścić świadomość w zimnym ogniu wypełniającym opalizujące sfery i stać się integralną częścią tego placu, bezcielesną kontemplacyjną świadomością, obserwacją samą w sobie. Tak, to dałoby się zrobić, był tego pewien. Miarowy ruch szmaragdowych fal powoli wprowadzał go w przyjemny, błogi trans. Zaczynał już tracić poczucie ciała i czasu, gdy nagle coś mocno szturchnęło go w bok. Momentalnie wyszedł z transu. Zatoczył się. Przyklęknął na jedno kolano, trzymając się balustrady. Mroczki latały mu przed oczami.

– Mukanam! – zaskrzeczał piskliwy głos. – Gdzie byłeś?! Co się z tobą działo?! Obiecałeś, że szybko wrócisz! Szukaliśmy cię! Już zaczynaliśmy tracić nadzieję, martwiliśmy się, że coś ci się stało... Znalazłeś Rairoma?

Druss delikatnie rozmasował oczy przez zamknięte powieki. Pomogło. Mroczki zniknęły. Rozejrzał się i zobaczył, że tuż obok niego stoi duży metaliczny sześcian na czterech teleskopowych nogach. Towarzyszył mu ciemnoszary karbowany wąż, który na obu końcach miał coś w rodzaju matowej soczewki, więc trudno było stwierdzić, gdzie jest jego początek, a gdzie koniec. Druss wstał i spojrzał na nich z góry.

– Zaraz! – Metaliczny sześcian cofnął się, nerwowo przebierając nogami. – To nie ty, nie jesteś nim, ale jesteś do niego podobny i też nie rzucasz cienia. Czuję się... zaskoczony...

– Ja także – stwierdził Druss, patrząc pod nogi i zastanawiając się, czemu wcześniej tego nie zauważył. Wąż i sześcian również nie mieli cienia. Ale nie tylko to było intrygujące. – Dlaczego cię

rozumiem?

– Rozumiesz moje słowa, ale to nie znaczy, że rozumiesz, co mówię. Tu tak jest.

– Tu, czyli gdzie?

– Trudno powiedzieć. Różnie nazywają to miejsce: Grinus, Cebres, Tyre, Enzabar... Wybierz sobie, chyba że masz własną propozycję. Nowi często je mają.

Druss nie zamierzał udawać, że jest inaczej.

– Aż tak widać?

– Nie tylko pytania cię zdradzają. Jak myślisz, Debe?

Karbowany wąż błyskawicznie prześlizgnął się w stronę Drussa. Matowa soczewka umieszczona na jednym z jego końców obejrzała go z bliska od stóp aż do głowy, a potem cofnęła się i wąż jednym płynnym ruchem schował się za metalicznym sześcianiem.

– Świeżo zdefiniowany – zabrzączał. – Jeszcze osiada.

– Co to znaczy? – zapytał niepewnie Druss.

– Że widać.

– Kim wy jesteście?

– To nieistotne, musisz podążać własną drogą. Chodź, Debe, czas na nas.

Druss zdecydowanie zastąpił im drogę.

– Ejże, czekajcie! Nie tak szybko! Przecież to wy mnie zaczepiliście! Do kogo jestem podobny? Z kim mnie pomyliliście?

– Z jednym z nas.

– Czyżby? Nie wyglądam jak mechaniczny wąż. Nie przypominam też chodzącej metalowej skrzyni.

– Mukanam nie jest do nas podobny, znacznie bardziej przypomina ciebie, ale jest naszym fruchem, a ty nie.

– Czyli?

– No, jak by ci to jaśniej... Fruchy to jakby części, które po połączeniu tworzą razem coś więcej niż sumę elementów

składowych, stają się inną, bardziej złożoną formą istnienia.

Druss zaczynał rozumieć.

– Maszyną czy żywą istotą?

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– No tak – przyznał zmieszany. – A możesz powiedzieć, czym się staniecie, gdy uda wam się połączyć?

– Tym, czym byliśmy, zanim zostaliśmy rozdzieleni.

– To znaczy?

– Chyba jednak nie powinienem o tym mówić... – zaskrzeczał cicho metalowy sześcian.

– Dlaczego?

Druss nie uzyskał odpowiedzi, ale milczenie frucha szybko naprowadziło go na właściwy trop.

– Nie wiecie, prawda? – zapytał tknięty silnym przecuciem. – Nie pamiętacie tego? Ale skoro tak, to skąd w ogóle wiecie, że jesteście fruchami?

– Odnależliśmy się. W końcu takich, którzy nie rzucają cienia, nie ma tu zbyt wielu. A potem, gdy dołączył do nas Mukanam, zaczęliśmy przeszukiwać antykwariaty i znaleźliśmy schemat konstrukcyjny czegoś, co zawiera w sobie elementy podobne do nas, fruchy takie jak my. Jest on bardzo skomplikowany i obejmuje wiele różnych fruchów. Nie sądzimy, że przedstawia właśnie to, co tworzyliśmy, gdy byliśmy jednością, ale pomaga w dalszych poszukiwaniach. Dzięki niemu wiemy, z jakimi fruchami możemy się połączyć.

– Ilu was teraz jest?

– Trzech. Debe, Mukanam i ja, Nyklumb.

Druss poczuł elektryczne ukłucie z tyłu głowy.

– Mam wrażenie, że skądś znam to imię.

– Niemożliwe – stwierdził metaliczny sześcian.

Druss nie zamierzał się z nim kłócić. Nie miało to dla niego

większego znaczenia, więc wzruszył ramionami i zmienił temat.

– Mógłbym zobaczyć ten schemat?

– Nie, Mukanam zabrał go ze sobą, żeby mieć pewność, że się nie pomyli.

– Szkoda, może pomógłby mi zrozumieć, dlaczego też nie rzucam cienia, i podsunął jakieś tropy, dzięki którym mógłbym odkryć, co ja tu właściwie robię.

– Przypominam, że to nasz schemat – zrzędlawie podkreślił Nyklumb. – Chcesz mieć własny, to idź antykwariatu i sobie poszukaj. My akurat dobrze wiemy, czemu nie rzucamy cienia, i z całą pewnością nie ma to nic wspólnego z tobą.

Był niezwykle irytujący, ale przy tym sprawiał również wrażenie naiwnego.

– Nie sądzę, żeby tak było – prychnął lekceważąco Druss. – Gdybyś mówił prawdę, już dawno znaleźlibyście sposób na połączenie wszystkich potrzebnych fruchów!

– A co ty możesz o tym wiedzieć! – krzyknął oburzony Nyklumb. – Jedno z drugim nie ma nic wspólnego! Brak cienia to tylko efekt odcięcia od zewnętrznego źródła zasilania, a nie jakaś ogólna zasada, dzięki której... Sprowokowałeś mnie, ty, ty...

Może i był trochę naiwny, jednak z całą pewnością nie był głupi.

– Tak, przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

Metalowy sześcian w milczeniu przestępował z nogi na nogę, ale nie odchodził. Druss uznał, że to dobry znak.

– Zacznijmy jeszcze raz – powiedział spokojnie. – Nie wiem, czy jest między nami jakiś związek, czy nie, ale myślę, że dobrze by było jednoznacznie rozstrzygnąć tę kwestię, bo wszyscy na tym skorzystamy. Niczego się jednak nie dowiemy, jeśli nie będziemy ze sobą szczerzy. Pozwólcie, że zrobię pierwszy krok. Powiem wszystko, co wiem. Dopiero niedawno pojawiłem się w tym mieście i nie pamiętam, kim byłem wcześniej, zanim tu trafiłem. Uważam

jednak, że to nieistotne. Kiedy się tu obudziłem, przyjąłem imię Druss...

– Druss? – zaskrzeczał Nyklumb. W jego głosie brzęczało niedowierzenie.

– No przecież mówię...

– Na schemacie też jest Druss. To jakby przestrzeń wypełniająca Mukanama.

Druss zamarł. Tego się nie spodziewał.

– Czyli jestem fruchem?

– Na to wygląda. Brak cienia byłby jednak dodatkowym potwierdzeniem.

– Jak to możliwe, skoro nie jestem mechanizmem?

– To, że tak mówisz, niczego nie przesądza. Zajmiemy się tym w drugiej kolejności. Powinieneś się do nas przyłączyć. We trzech obstawimy nie tylko heksagonalne place, ale także koralowe tarasy i zdołamy szybciej odnaleźć Mukanama. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie wrócił. To niepokojące.

– A gdzie on poszedł szukać tego... Jak się nazywa tamten fruch?

– Rairom.

– No właśnie. Mieliście jakieś przypuszczenia, w którym miejscu może się znajdować?

– Mukanam miał trop, ale uparł się, że sam go sprawdzi.

– Czemu nie trzymaliście się razem? Powinniście działać grupowo. Przecież jesteście częściami, które do siebie pasują.

– Też tak uważam, jednak Mukanam twierdził, że akurat w tym przypadku będzie mu łatwiej bez nas.

– I podejrzewam, że nie wyjaśnił, dlaczego tak sądzi?

– Nie. Odchodząc, powiedział tylko, że gdy wróci, pojawi się na jednym z heksagonalnych placów i właśnie tam mamy go wypatrywać. Do tej pory wypatrujemy. Nieustannie przechodzimy z jednego placu na drugi, ale wciąż nigdzie go nie ma. Przyłączysz

się do nas? Pomożesz nam? W końcu jesteśmy fruchami. Prędzej czy później musimy się połączyć.

– Możliwe... – mruknął zamyślony Druss. Nie podzielał przekonania Nyklumba, ale mimo to chciał pomóc fruchom, bo miał przeczucie, że w jakiś mglisty i jeszcze trudny do określenia sposób one również pomogą jemu. Wcześniej zamierzał jednak wyjaśnić kwestię, która nie dawała mu spokoju. – Kiedy pierwszy raz zaproponowałeś, żebym się do was przyłączył, powiedziałeś, że chcecie obstawić nie tylko place, ale także koralowe tarasy, tak? Dobrze usłyszałem?

– Zgadza się, cumują przy nich...

– Czekaj chwilę. – Druss bez wahania wszedł mu w słowo. – Wytłumacz mi, dlaczego chcecie to zrobić, skoro Mukanam wyraźnie zaznaczył, że pojawi się na jednym z heksagonalnych placów?

– Wbrew temu, co mówił, uważamy, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że po powrocie od razu skieruje się właśnie tam. To miejsce przyciąga fruchy i dla każdego z nas ma szczególne znaczenie. Zanim Mukanam zniknął, często się tam spotykaliśmy. Wchodziliśmy na samą górę, bo na końcu najwyższego tarasu, a właściwie na początku, obok wielu przedziwnych starożytnych pojazdów lewituje taki, który wygląda jak ogromne jajo, grafitowe i pobrużdżone. Otwiera się, kiedy się do niego zbliżamy. Jest pusty w środku, ale podejrzewamy, że może to być korpus tego, czym byliśmy, kiedy połączeni tworzyliśmy jedność.

Druss od dłuższego czasu miał nieprzyjemne wrażenie, że Nyklumb nie mówi mu całej prawdy, ale dopiero teraz zyskał pewność, że tak jest rzeczywiście.

– To dzięki niemu się odnaleźliście, tak? Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

– Nie mogłem ci ufać. Jeszcze nie wiedziałem, że też jesteś

fruchem.

– Zanim zaczniemy szukać Mukanama, chciałbym zobaczyć ten pojazd. Pokażecie mi go?

Fruchy zareagowały entuzjastycznie.

* * *

Gdyby nie mapa, którą dostali od Menura, z całą pewnością już dawno zgubiliby się w wielopoziomowym labiryncie wąskich przejść, pustych komnat, szerokich kanałów i stromych schodów prowadzących do ogromnych wyschniętych cystern wypełnionych stęchłym powietrzem, które tu, głęboko pod ziemią, nasiąkało w ciszy ciemnością. Hemel i Tenan przeszli właśnie przez jedną z nich i zaczęli się wspinać po szerokich betonowych schodach. W połowie drogi Hemel zatrzymał się i odwrócił. Tenan przystanął obok niego. Światło żarolampy było zbyt słabe, żeby rozświetlić przestronne wnętrze cysterny. W mroku majaczyły tylko dwa najbliższe filary podpierające strop. Oba szerokie, masywne i pokryte cienką warstwą suchych, martwych porostów. Hemel znieruchomiał. Węszył.

– Co jest? – zapytał cicho Tenan.

– No właśnie nic – mruknął Hemel. – Niczego tu nie ma. Im bliżej Komory, tym mniej życia. Nie podoba mi się to.

– Nie strasz...

Umilkli. Cisza napierała ze wszystkich stron, ale zamin nie miał ochoty się w nią wsłuchiwać.

– Stwierdzam tylko fakt, który nie musi nic znaczyć – powiedział. – Ruszajmy. Daleko do Komory?

Tenan sprawdził w tablozesorze.

– Chyba nie. W górę, do korytarza, potem w prawo i cały czas prosto.

– Świetnie, pośpieszmy się. Chcę to mieć za sobą.

Ruszyli w dalszą drogę.

– Może porozmawiamy? – zaproponował perus. – No wiesz, żeby nie myśleć o tych pustych podziemiach, w których jeżą mi się włosy na nogach.

Hemel prychnął rozbawiony.

– A o czym?

– Nie wiem. O planach Menura? Albo o tym, czego szuka Panaplian?

– Szkoda czasu...

Wspięli się na górę. Schody dochodziły do szerokiej betonowej platformy. Za nią było widać duży okrągły otwór ciemniejący w ścianie. To musiało być wejście do korytarza. Wyglądało na to, że kiedyś było zamknięte masywną stalową grodzią, którą coś wyłamało z taką siłą, że teraz sterczała wbita w lity beton platformy pogięta i zardzewiała. Hemel powąchał ją ostrożnie i zapytał:

– Ciekawe, co mogłoby zrobić coś takiego?

– Materiał wybuchowy? – zasugerował Tenan.

– Nie wyczuwam i nie ma śladów osmalenia, ale spójrz na te wgłębienia. – Zamin wskazał palcem na dwa głębokie odkształcenia, wokół których popękał gruby metal. – Wyglądają jak ślady po uderzeniach. Gdyby ta gródź trzymała się tylko na zawiasach, pewnie już pierwszy cios wyrwałby ją z miejsca, ale na pewno była zaryglowana, więc potrzebny był drugi...

Hemel oderwał wzrok od zniszczonej grodzi i zapatrzył się w ciemność wypełniającą okrągły korytarz.

– Na pewno chcemy tam wejść? – pisał Tenan.

– Cokolwiek tędy przeszło, zmierzało w przeciwną stronę.

– No właśnie...

– Tak, wiem. – Hemel westchnął. – Idziemy.

Korytarz łagodnie skręcił w prawo, a później biegł prosto.

– Teraz już chyba mogę cię zapytać – powiedział Hemel, niespodziewanie przerywając milczenie.

Tenan zadrżał. Od dłuższego czasu jego wypustka ledwo wystawała z ciała.

– O co?

– Tylko obiecaj, że powiesz prawdę!

– Dlaczego miałbym kłamać? – oburzył się perus. – Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, nie mógłbym przecież...

– Z przyzwyczajenia.

Tenan od razu się uspokoił.

– No tak, racja, dobrze, postaram się, obiecuję.

– Widziałeś choćby jednego perusa albo zamina, który ucierpiał od Impulsu?

To było jedno z tych pytań, na które nie powinno się odpowiadać. Tenan czuł silny wewnętrzny opór, ale jednocześnie miał w sobie znacznie więcej siły i determinacji niż kiedyś i wiedział, że może go pokonać. Chciał to zrobić.

– Nie – wyznał i poczuł euforyczną, wyzwalającą ulgę.

– Ja też nie – stwierdził Hemel.

Perus był zafascynowany uczuciem, jakie wypełniło mu ciało. Smakował jego świeżość. Pragnął się nim podzielić.

– A więc tak się czuje ktoś, kto nie musi się już liczyć z niczym zdaniem.

– Podejrzewałem, że przełamanie zakazu wywoła taką reakcję. Też poczułem ulgę, ale to tylko kolejny dowód na to, że nasze życie w tym mieście jest coraz bardziej pozbawione sensu i coraz mniej bezpieczne.

– No to mnie pocieszyłeś... Ale czekaj, ten Impuls to musiała być jakaś sztuczka. Jak te plotki o złotych pajęczakach, trójnogich pojazdach, które Rada rzekomo ukrywa w kopule Apolabium. Wszyscy wiedzą, że to bzdura, a i tak wielu zaminów i perusów

zarzeka się, że naprawdę je widziało.

– To nie to samo. Mamy pewność, że Impuls uderzył, poczuliśmy go, musiał być jednak czymś innym, niż twierdzi Rada.

– Cóż, wyłączył Basala. A jeśli on nie był ani człowiekiem, ani Lepe, lecz faktycznie jakimś rodzajem xulo, to może...

– ...chodziło właśnie o niego?

– Nie! O obu, Basala i Drussa! Na Tabotta! Przez te wszystkie lata, gdy z nimi pracowaliśmy, gdy ich podglądaliśmy i szczegółowo raportowaliśmy naszym zwierzchnikom przebieg każdego dnia, który spędziliśmy w ich towarzystwie, wokół tych dwóch działo się coś, czego nie widzieliśmy; coś, na co byliśmy ślepi. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale wygląda na to, że...

Prawie jesteście na miejscu.

Hemel uniósł żarolampę, ale w zasięgu wzroku było widać tylko znikający w ciemności korytarz.

– Panaplian? – zapytał niepewnie.

Ciemność natychmiast odpowiedziała.

A spodziewaliście się kogoś innego?

Hemel głośno odetchnął z ulgą. Świadomość, że waleczny zamin odczuwa strach, nie dodawała Tenanowi otuchy, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien się z nim dzielić tym spostrzeżeniem.

Zaraz dojdziecie do przedsionka.

Tuż za nim znajduje się Komora.

Przejdźcie do końca.

Ale uważajcie na szczeliny.

Chwilę później natknęli się na przewężenie, które raptownie zmniejszyło średnicę okrągłego korytarza. Jego wylot był już tylko niedużym ciasnym otworem. Na szczęście zdołali się przez niego przecisnąć. Po drugiej stronie znajdowało się wąskie pomieszczenie. To musiał być przedsionek, o którym mówił Panaplian. Chyba był dość wysoki, bo sufit niknął w ciemności, ale niezbyt długi. Już po kilkunastu krokach żarolampa oświetliła prostokątne wejście. Pancerna gródź, która go niegdyś zamykała, leżała w poprzek przedsionka, połamana i zgnieciona jak suchy liść. Hemel i Tenan spojrzeli na siebie, a później wolno przeszli nad resztkami grodzi i wkroczyli do Komory. Miała kształt dużego, zamkniętego sześcianu i tylko jedno wejście, to, z którego skorzystali. W suficie i ścianach nie było żadnych otworów. Jedynie betonową podłogę przecinały cztery szerokie szczeliny ciągnące się na całej długości Komory. Ciemność, która się z nich podnosiła, szumiała głucho pustką przepastnej otchłani. Hemel nachylił się nad szczeliną i poświecił w dół, ale niczego nie wypatrzył.

***Ostrożnie! Jeśli któryś tam wpadnie,
To obawiam się, że nic mu już nie pomoże.***

Zamin ponownie oświetlił Komorę. Panaplian był tuż przed nimi. Czarny stożek pokryty dużymi lśniącymi łuskami wystawał poziomo ze ściany, która znajdowała się naprzeciwko wejścia do Komory.

– Aż tak głęboko? – zapytał Hemel.

Głębiej, niż możesz sobie wyobrazić.

– To jakiś odpływ? Naturalna szczelina w skałach? – zainteresował się Tenan.

***Niezupełnie. Raczej coś w rodzaju przejścia.
Jest może nieco zapomniane, ale, jak widzicie,
Dla bezpieczeństwa zostało częściowo zamknięte.***

Zamin i perus wpatrywali się w niego w napięciu. Strach wisiał w powietrzu jak duszna, wilgotna mgiełka. Mimo to Tenan czuł, że musi zadać pytanie.

– Dokąd prowadzi to przejście?

Jesteście pewni, że chcecie to wiedzieć?

Nie, nie byli pewni. Obaj niczego nie byli już pewni.

W...

!

W...

ODIVALE
1947

Obliczenia były bezbłędne. Arnica nie znalazła w nich żadnego potknięcia. Wydawały się tylko nieco dłuższe niż zwykle. Logika wyводу była bez zarzutu, ale między ciągi cyfr wkradł się jakiś rozwlekły i trudny do zdefiniowania czynnik, który zaburzał elegancję równań.

Porównała je z poprzednimi wyliczeniami. Przekartkowała notatki i zsumowała liczby. W zamyśleniu zaczęła gryźć ołówek. To oczywiste – wcześniej zajmowały mniej miejsca. Ale dlaczego? Czemu nie można zlokalizować merytorycznej różnicy? Zirytowana spojrzała na zegarek. Do końca zmiany zostało dwadzieścia minut. W tym czasie będzie musiała podjąć decyzję. Albo ustawi parametry według nowych wyliczeń, albo zadzwoni do Cyryła. Nie, po szybkim namyśle odrzuciła drugą możliwość. On nie ma żadnych skrupułów. Za wszelką cenę chce ją ośmieszyć przed innymi doktorantami, więc z całą pewnością wykorzystałby to przeciwko niej. A przecież już dość ponizający był fakt, że Arnica jest jedynym doktorantem, który nie dostał jeszcze pozwolenia na realizację własnego projektu badawczego i jej praca siłą rzeczy sprowadza się wyłącznie do przeprowadzania testów akceleratora i analizy raportów kalibracji.

Jeszcze raz porównała wyniki. Zdecydowała się. Ustawiła pokręta w odpowiednich pozycjach, przekręciła kluczyk, odetchnęła głęboko i wcisnęła czerwony przycisk. Po chwili na monitorze rozrysowały się spiralne tory cząstek. Drukarka pisnęła i zaczęła wypluwać kartki pokryte zwartymi kolumnami liczb. Raport. Arnica przejrzała go uważnie, ale nie znalazła nic dziwnego. Rezultaty mieściły się w normach. Zostało jej osiem minut. Uśmiechnęła się, złożyła podpis pod raportem i poszła zdać

zmianę.

* * *

Dwa dni później Arnica wypatrzyła na korytarzu chudą, pochyloną sylwetkę Cyryla. Wiedziała, że to, co za chwilę zrobi, będzie miało nieprzyjemne konsekwencje, ale pogodziła się z tym, bo nie miała innego wyjścia. Nigdy nie czuła potrzeby umacniania formalnych i bardzo ulotnych znajomości ze współpracownikami, więc z nikim się nie przyjaźniła i teraz, kiedy naprawdę musiała się kogoś poradzić, paradoksalnie jedyną osobą, do której mogła się zwrócić, był jej największy wróg. Niemal siłą zaciągnęła marudzącego Cyryla do najbliższego automatu z kawą, kupiła mu latte z podwójnym cukrem i pokazała swoje obliczenia.

– Widzisz tu coś niezwykłego?

– Nie mam zamiaru poprawiać twoich błędów.

– Nie w tym rzecz.

– To w czym?

– Jest tu coś, czego nie rozumiem. Spójrz. Nie potrafię tego rozgryźć.

Cyryl nerwowo podrapał się w głowę.

– Nie dziwię się, że nie chcą ci przydzielić czasu na akceleratorze, skoro gubisz się w najprostszych równaniach.

– Przestań! To niesprawiedliwe! Zawsze byłam w tym dobra i nie przyszedłbym do ciebie z byle głupotą.

– Ty tak mówisz.

Arnica zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Nie wytrzymała.

– Wciąż jesteś na mnie zły?! Nie moja wina, że nie wiedziałeś!

– Mogłaś uprzedzić!

– Kiedy? Przecież znaleźliśmy się od trzech godzin.

– Mimo to mogłaś.

- Nie zdążyłam. Długo będziesz robił z tego sprawę?
- Dawid się po mnie wozi...
- A jak cię przeproszę, to przestanie? Nie bądź śmieszny. Pozwalasz się poniżać, bo zależy ci na projekcie. Ja nie mam tu nic do rzeczy.
- To nie tak. Nie rozumiesz. Śmieję się ze mnie, bo nie miałem pojęcia, że masz męża i dzieci. Nie wyglądasz...
- A jak twoim zdaniem wygląda mężatka z dwiema córkami?
- No... nie wiem. Jak ty?
- Jesteś żałosny. Na razie dostarczasz im rozrywki, ale gdy przestaniesz ich bawić, skończysz jako laborant.
- Może i tak, mam jednak swój projekt.
- Ciekawe jak długo? Dorośnij!

* * *

Wiktor przytulił Arnice przed drzwiami do sypialni dziewczynek.

- Śpią?
- Tak, położyły się godzinę temu.
- Mogę tam wejść?
- Oczywiście, chodź.

Niewielki pokój wypełniały ciche odgłosy głębokich oddechów. Weronika spała na brzuchu ciasno owinięta skłębioną pościelą, jej twarz kryła się w gęstwinie rudych kręconych włosów. Ida wtuliła się w ścianę i nakryła kołdrą, spod której wystawały tylko drobne, szczuplutkie stopy. Arnica chciała ich dotknąć, przytulić je, pogłaskać, ale nie miała odwagi. Ze łzami w oczach spojrzała na Wiktora. Po cichu wyszli z sypialni i usiedli na kanapie w salonie.

- Co się dzieje? – zapytał.
- To nic. – Arnica otarła łzy. – Za rzadko was widuję.
- Wiedziałaś, że tak będzie.

– Ale nie mam pewności, czy nadal tego chcę.

– Przecież całe twoje życie kręci się wokół pracy. Cóż innego mogłabyś robić?

– To samo, ale nie tam i nie na takich warunkach. Męskie koterie, kochliwi gówniarze z przerostem ego, wchodzenie w dupę profesorom i członkom zarządu, koleżeński wyścig szczurów, nie, nie potrafię się w tym wszystkim odnaleźć. A jeśli tego nie zrobię, to nie pozwolą mi zrealizować własnego projektu na akceleratorze. Krąg się zamyka.

Wiktor objął ją i pocałował.

– Co zamierzasz?

– Mam parę pomysłów, muszę je tylko spokojnie przemyśleć. Wzięłam dzisiaj dwa tygodnie wolnego.

– Mogłaś mnie uprzedzić.

– Nie planowałam tego. Okazało się, że uzbierałam trzydzieści dni niewykorzystanego urlopu.

– Kazali ci wybrać?

– Sama chciałam. Powinna chyba odpocząć od pracy i irytujących kolegów. Chcę z wami pomieszkać. Myślisz, że jeśli dacie mi w kość, to zatęsknię za ośrodkiem?

– Kto wie? Pogadam jutro z szefem i jeśli uda mi się wywalczyć kilka wolnych dni, to wyskoczmy gdzieś z dziewczynkami. Na przykład na wieś do rodziców.

– Fajnie by było, ale one mają szkołę.

– Rozbrajasz mnie, kochanie. Za dwa dni odbierają świadectwa.

Arnica zapatrzyła się w okno.

– Po siedmiu latach w ośrodku czuję się obca we własnym domu. Jakby ten cholerny akcelerator rozbił moją rodzinę.

Wiktor uśmiechnął się czule i delikatnie położył dłoń na ramieniu Arnicy.

– Głuptasie, wiemy, że nas kochasz. Też cię kochamy

i rozumiemy, jak ważna jest dla ciebie praca. Może nie jesteś na bieżąco z rodzinnym grafikiem, ale czy to naprawdę takie ważne? Raz dwa go uaktualnimy. Moja w tym głowa.

– Dziękuję.

– Nie wiem, czy to właściwe słowo. Jak poznasz namolne koleżanki Idy i posłuchasz o jej wydumanych kłopotach w szkole, a potem zaczniesz sobotni poranek od ulubionego deathmetalowego jazgotu Weroniki, to z krzykiem uciekniesz do tego swojego ośrodka.

– Nie może być aż tak źle.

– Wspomnisz moje słowa. A skoro już jesteśmy przy domowych obowiązkach, to będziesz tak dobra i rozwieszisz pranie, które nastawiłem półtorej godziny temu? Ja pójdę opróżnić zmywarkę. Potem, gdy będziemy to mieli z głowy, spokojnie dokończymy naszą rozmowę. Co ty na to?

– Brzmi jak poważne zadanie.

– Bez przesady, poważne zadania poznasz po tym, że będziemy musieli zsynchronizować zegarki.

– Głupek.

– Blondynka. I do tego leniwa. Do roboty!

Roześmiana wstała z kanapy i zeszła po schodach do suszarni. Pralka wypompowywała wodę z ostatniego płukania. Arnica cierpliwie czekała, aż zgaśnie czerwona lampka i odblokuje się kłapa, która zamyka dostęp do bębna. Patrzyła, jak...

PYK

Sama w przepastnych pokojach wyłożonych grubymi dywanami, w których zapadają się buty. Błędząca długimi korytarzami, po ciemnej gładzi parkietów, wśród ogromnych mebli, wysokich luster

w złożonych ramach, pod wielkimi żyrandolami delikatnie kołyszącymi się w podmuchach niewyczuwalnego przeciągu. Za oknami zadbane park, kopce zagrabionych liści i ogród poprzedzielany ścianami gęstego żywopłotu. Natychmiast rozpoznała to miejsce. Dom bogatego wujostwa. Kilka razy odwiedziła go z rodzicami. Miała wtedy dwanaście lat. Za każdym razem mama i tata zamykali się z wujkiem Kurtem w gabinecie, a ona włóczyła się po całej posesji. Arnica zachowała tylko strzępki wspomnień z tamtych czasów i nie pamięta, dlaczego rodzice tu przyjeżdżali.

Ale znowu tu jest i nie czuje zdziwienia.

Spojrzała w lustro. Była wysoka jak na swój wiek. Wyglądała na co najmniej piętnaście lat. Stała w progu wielkiej pustej sali obwieszanej kryształowymi żyrandolami błyszczącymi w półmroku. Sięgające od podłogi do sufitu okna były przysłonięte grubymi aksamitnymi zasłonami. W kilku miejscach przebijały się przez nie pochyłe kolumny światła, wewnątrz których leniwie wirowały drobinki kurzu. Arnica przeszła po skrzypiącym parkiecie i wsunęła dłoń w świetlisty snop. Ciepłe mrowienie popłynęło w górę ręki, przez ramię, bark i obojczyk. Stwardniały jej sutki, coś drgnęło na dnie brzucha. Poczowała, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się, ale była sama. Cofając rękę, zauważyła, że drobinki kurzu ułożyły się w ostry kształt, przypominający literę A z trzecią nogą w środku, który niemal natychmiast rozpląnął się w powietrzu, jakby spłoszyło go jej spojrzenie.

Dorośla Arnica zaskakująco dobrze czuła się w ciele nastolatki, ale zaniepokoiło ją, że nie pamięta tego wydarzenia. Co tu się dzieje? Co to wszystko znaczy? Wybiegła na korytarz i zaczęła szukać gabinetu wujka Kurta, lecz nie mogła go znaleźć. Błąkała się w labiryntowych trzewiach budynku. Była coraz bardziej zdezorientowana. W końcu dotarła do schodów, zbiegła na dół

i wyszła na żwirowy podjazd. Stał tam lśniący czarny mercedes należący do jej rodziców. Nie był zamknięty, więc rozsiadła się na miękkiej skórze tylnej kanapy. Jej przyjemny zapach i głucha cisza uwięziona we wnętrzu samochodu sprawiły, że straciła poczucie czasu i zasnęła.

PYK

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą pochylone córki – Idę i Weronikę.

– Co się stało, mamó? – zapytały jednocześnie.

– Nic takiego, zasłabłam, pomóżcie mi wstać.

To zdarzyło się całkiem niedawno. Straciła przytomność na trawniku za domem. Była słoneczna niedziela i razem z Wiktorem i dziewczynkami od rana szykowała przyjęcie urodzinowe dla Idy. Później grali w dwa ognie piłką plażową i nagle ziemia uciekła jej spod nóg.

Ponownie się tu znalazła.

Robią dokładnie to samo, co wtedy. Zaraz posadzą ją na schodkach, Wiktor poda jej szklankę zimnej wody, a potem na chwilę zostawia ją samą. Arnica czeka na ten moment, bo chce coś zmienić – wybiec na ulicę, przeskoczyć przez płot do sąsiadów, przewrócić stół nakryty dla gości Idy. Gdy jednak nadchodzi właściwa chwila, jej myśli posłusznie spływają w dół, jak nurt wartkiego strumienia, który nie potrafi opuścić kamienistego koryta, i wszystko przebiega tak, jak zapamiętała. Przyjęcie, prezenty, sprzątanie do późna. Raz przeżyte i utrwalone w pamięci wydarzenia są jak trójwymiarowy film, który oddziałuje na wszystkie zmysły i nie podlega zamianom. Jednakże Arnica cały czas zdaje sobie sprawę, że to już było, że już brała w tym udział,

zatem musi istnieć maleńki margines niedopasowania, mikroskopijne przesunięcie, które sprawia, że jej świadomość nie może się w pełni zintegrować z czasoprzestrzenią powracającego wspomnienia i wyczuwa jego iluzoryczność.

To jakaś forma spontanicznej podróży w czasie czy chorobliwa erupcja pamięci? Dar czy pułapka? Jak je odróżnić? Jak wrócić w koleiny dawnego życia i utraconego czasu?

Dziewczynki chichoczą przed telewizorem. Oglądają prezenty. Za chwilę Arnica powie im, że czas pójść do łóżek. Ale jeszcze nie teraz. Na razie tylko patrzy i zastanawia się, w którym momencie odrzuciła prawdziwe, emocjonalne więzi łączące ją z Idą, Weroniką i Wiktoorem, by zastąpić je wygodnymi złudzeniami? Cóż za paradoks – każde zawodowe niepowodzenie utwierdzało ją w przekonaniu, że ma w życiu coś ważniejszego, coś, co daje jej siłę i do czego zawsze może wrócić. Dzieci i męża. Naprawdę? A skąd ta pewność? Skąd wiadomo, że ich uczucia nie są równie wątpliwe jak jej własne? Od jak dawna zapewnia ich o swojej miłości, mimo że już nic do nich nie czuje?

Nieprawda!

– Dziewczynki, czas do łóżek – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Jęknęły zawiedzione, ale grzecznie poszły na górę.

Nieprawda!

Ja ich kocham!

A jednak na ich widok nie czuję już tego cudownego ciepła w środku.

Chcę je znowu poczuć!

P Y K

Arnica zgina się wpół i rzyga do brudnej muszli klozetowej, pokrytej ciemnymi zaciekami. Rzadko się upijała, bo źle znosiła alkohol i zazwyczaj poprzestawała na jednym drinku, małym piwie lub kieliszku wina, które sączyła powoli przez całą imprezę. Tylko raz straciła kontrolę. Gdy wraz ze znajomymi z uniwersytetu świętowała obronę pracy magisterskiej. Dlatego świat wiruje i Arnica ledwo może ustać na nogach. Klęknęła na popękanych kafelkach i oparła rozpalone czoło o zimną porcelanę cuchnącą starym moczem. Nagle coś usłyszała. Ciche, zduszone dźwięki. Dobiegały z sąsiedniej kabiny. W cienkiej ścianie ktoś wyciął nieduży otwór. Dopiero teraz go zauważyła – typowa glory hole. Krawędzie były zabezpieczone srebrzystą taśmą klejącą. Wie, co zobaczy po drugiej stronie. Mimo to musi zajrzeć.

Laura siedzi na rezerwuarze z podciągniętą sukienką. Przed nią na desce sedesowej klęczy Tina z głową wsuniętą między szeroko rozłożone nogi koleżanki. Laura wije się i jęczy. Nagle Tina odsuwa się i sięga do kieszeni. Wyjmuje małe zwinięte sreberko. Rozwija je. Grudki białego proszku przyklejają się do wilgotnych palców Tiny. A potem jej dłoń ostrożnie wsuwa się między uda Laury. Arnica jęknęła bezwiednie. Tina zerknęła w jej stronę i uśmiechnęła się chytrze.

– Już ci lepiej, Arnica? Chcesz trochę?

Nie czekając na odpowiedź, włożyła palce do otworu w ścianie. Arnica się zawahała. Wciąż kręciło jej się w głowie, ale czuła również łaskotanie w udach i wilgoć w kroku. To nie była kwestia decyzji, po prostu przestała myśleć, otworzyła usta i zlizwała gęsty, słony smak Laury przyprawiony ostrymi, elektrycznymi iskrami kokainy. Tina roześmiała się. Zimno przebiegło po dziąsłach Arnicy jak seria krótkich wyładowań i eksplodowało pod czaszką żrącą, oślepiającą bielą. Nigdy wcześniej, ani nigdy potem, nie przeżyła takiego orgazmu. Jak mogła o tym zapomnieć? Przecież nie

wstydziła się tego wspomnienia i nie musiała go wypierać z pamięci. Już wtedy była szczęśliwą mężatką – żoną człowieka, z którym ani razu nie doświadczyła czegoś, co choćby przypominało ten kaustyczny rozbłysk. Czego o sobie nie wiedziała?

Czego wciąż nie wie?

Kokaina pomogła jej się pozbiierać. Świat przestał wirować. Wytarła usta, podniosła torebkę. Odwróciła się. Między wulgarnymi napisami nabazgranymi na drzwiach toalety ktoś narysował literę A z trzecią nogą w środku. Niemożliwe! Jak mogła to przeoczyć?! Ten sam kształt pojawiający się w dwóch różnych, ale niemal równie osobliwych okolicznościach. Czyżby jej analityczny umysł zawodził, gdy kierowała go w swoją stronę? Czy to właśnie robi? Próbuje uchwycić tego, który chwytą?

Za ścianką dziewczyny kochały się głośno i bezwstydnie. Arnica wyciągnęła dłoń i dotknęła dziwnej litery.

P Y K

Znowu toaleta, ale większa i znacznie czystsza. Na półkach równo poukładane kosmetyki. Arnica drży. Przepelnia ją paniczny strach, rozpacz, zdziwienie i ciekawość. Niezwykła i jedyna w swoim rodzaju mieszanka emocji. Coś takiego można poczuć tylko raz w życiu. To wspomnienie nie mogło się ukrywać zbyt głęboko, bo zdołała się z nim oswoić, mimo że przez wiele lat wprawiało ją w zażenowanie. Przełknęła ślinę i jeszcze raz spojrzała w głąb muszli klozetowej, gdzie skapnęły piękne jaskrawoczerwone krople krwi i utworzyły kształt przypominający literę A z trzecią nogą w środku.

Skąd się tam wzięła krew?

Od rana poboлеwał ją brzuch, a gdy po obiedzie poszła do toalety, jej ciało niespodziewanie ujawniło mroczną, wilgotną tajemnicę i raz na zawsze odebrało Arnicy dziecięce poczucie bezpieczeństwa.

Nie mogła się skupić. Nastoletnia świadomość jest jak rozlana rtęć i trudno nad nią zapanować. Co tak naprawdę łączy te wszystkie wspomnienia? Co kryje się za tym ostentacyjnym i banalnym symbolem, wdrukowanym w jej świadomość jak cień czegoś nienazwanego, nieuchwytnego, ale znacznie bardziej autentycznego niż te gówniane dekoracje, wśród których wegetowała przez całe życie?

Trzeba się dowiedzieć, co rzuca ten cień!

Dotrzeć do tego!

Znaleźć to!

Arnica zacisnęła pięści. Chciała wykrzyknąć bezsilną wściekłość, ale poczuła na policzkach gorące łzy i zamiast tego zrozpaczonym głosem trzynastolatki zawołała:

– Mamo, mamusiu!

PYK

Wrzask i rozdzierający ból. Jej wrzask i jej rozdzierający ból. Biała, jasno oświetlona sala porodowa.

Tylko nie to!

Arnica wróciła do dnia, w którym przez osiem godzin w męczarniach rodziła Weronikę.

Za co, kurwa?! Za co?!

Pot zalewa jej oczy. Na szczęście nie zgodziła się, żeby Wiktor był przy porodzie, i nie będzie jej oglądał w takim stanie. Położna otarła rękami twarz Arnicy i mocno chwyciła ją za rękę. Była niską, kręłą i bardzo silną kobietą, która podobno pracowała kiedyś

w szpitalu wojskowym. Jej lewe przedramię zdobił zabawny tatuaż. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak trzy chińskie litery ustawione w szeregu, ale po bliższych oględzinach okazało się, że to schematyczne, patykowate ludziki splecione w karkołomnych seksualnych pozycjach. Arnica oddychała głęboko i wpatrywała się w tatuaż. Nie chciała oglądać twarzy lekarza i położnej, ale sprośne literki były w porządku. Nie irytowały. Pozwalały się skupić.

Ból przychodził falami i dawał jej chwile wytchnienia, lecz były one coraz krótsze i w końcu został już tylko on. Położna musiała przekrzykiwać wrzaski Arnicy.

– Jeszcze moment! Wytrzymaj, kochanie! Widzę główkę!

Wtem wszystko mija. Bolesny cień wsiąka w podłogę. Wyczerpana Arnica opada na łóżko. W ciszy rozlega się płacz dziecka. Córka. Lekarz kładzie ją na piersiach matki. Arnica tuli mokre, kwilące ciało, z którego paruje zapach krwi i cierpki odór wód płodowych. Załkała. Poczula gorący płomyk rozkosznie palący trzewia.

Czy wciąż się tli?

Położna nachyliła się i powiedziała:

– Dobra robota. Ma pani wspaniałą córeczkę. Gratuluję.

Arnica chciała z wdzięcznością spojrzeć jej w oczy, ale nie mogła oderwać wzroku od tatuażu. Wśród wielu przecinających się linii wypatrzyła literę A z trzecią nogą w środku.

Zrozumienie rozjaśniło twarz młodej matki.

Już wie, co musi zrobić.

Wie jak przejąć kontrolę.

P Y K

Wysoka, przestronna sala wykładowa. W ławkach przysypia

kilkunastu studentów. Profesor Lofting powoli zapisuje szeroką tablicę zwartym ciągiem liczb. Nuda.

Arnica ziewnęła dyskretnie i wyjrzała przez okno. Rześkie wiosenne słońce rozświetlało domy, ulice i kwitnące drzewa. Każdy, nawet najdrobniejszy i najmniej znaczący okruch tego świata wydawał się dzisiaj piękny, fabrycznie nowy i pełen ożywczej energii. Dlaczego chodziła na te nudne wykłady? Przecież nie musiała. Mogła się włóczyć po mieście, przesiadywać w kawiarniach i spotykać z Wiktorem. Miłość już krążyła w jej żyłach.

Poznali się w akademiku na urodzinach Adama. Wiktor nie potrafił ukryć, że bardzo się denerwuje w jej towarzystwie, i właśnie to pomogło Arnice przełamać wrodzoną niechęć do nawiązywania bliższych kontaktów. Łatwo go było przejrzeć, bo najwyraźniej w ogóle nie potrafił się bawić w te odwieczne damsko-męskie gierki, oparte na kłamstwach, pustych obietnicach i fałszywych wyznaniach, będących najczęściej wyrazem pobożnych życzeń, a nie prawdziwych uczuć. Odpowiadała jej taka sytuacja. Dzięki temu czuła się przy nim pewnie. Nie musiała się niczego domyślać. Po prostu widziała, że ma tremę, bo bardzo mu zależy. To wiele ułatwiało. Poza tym był całkiem przystojny. Może trochę za niski, ale nie robiła z tego problemu. Szybko przypadli sobie do gustu. Sporo ich łączyło, lubili górskie wycieczki, wieczorne wypadki do kina i oboje nie mieli głowy do alkoholu. Reszta towarzystwa była już całkiem pijana, a oni wciąż dyskutowali w kuchni, trzeźwi, pochyleni nad kubkami z herbatą, skupieni tylko na sobie. Arnica miała wrażenie, że zna go od lat. Każdy gest. Każdą zmarszczkę na czole. Bez trudu odtworzyłaby je z pamięci już po pięciu minutach spędzonych w jego towarzystwie. Po imprezie umówili się na kolejne spotkanie i mimo że czuła silną więź z Wiktorem, ogarnął ją dojmujący lęk. Czy przyjdzie? Czy rzeczywiście będzie chciał się ze

mną spotykać?

Czekała na niego przed księgarnią uniwersytecką. Co chwila przeglądała się w szybie wystawy. Była źle ubrana, za gruba, niezgrabna, brzydka, miała brudne buty, tłuste włosy, tandetne kolczyki. Wszystko nie tak. Nerwowo przestępowała z nogi na nogę i chciała uciec. Ale kiedy Wiktor wyszedł z za zakrętu i zobaczyła jego szeroki uśmiech, poczuła, że miękną jej kolana – jakby słońce zaświeciło tylko dla niej.

Czy wciąż świeci?

Przyjemność we dwoje, wspólnie spędzony czas. Pasma pięknych chwil nanizanych na wiosenne dni. I liczby. Gdzie w tym wszystkim miejsce dla fizyki i matematyki?

Arnica wpatrywała się w dłoń profesora Loftinga i błędziła myślami. Jakie to wszystko obce. Z taką determinacją walczyła, żeby dostać się na studia, ukończyć je z wysoką oceną, a potem zdobyć pracę w renomowanym ośrodku naukowym, który zajmuje się fizyką cząstek elementarnych, jakby wierzyła, że życiu można nadać kierunek i wybrać to, co naprawdę ważne. Chyba tak właśnie było – wierzyła w to. Jednak gdzieś po drodze wszystko, co wydawało się cenne, straciło kuszący blask i niepostrzeżenie zaczęło ciążyć w stronę rozczarowania. Nie, nie pomyliła się, gdy przeliczała parametry testu akceleratora. Pomyliła się, szacując parametry własnego życia.

Skoncentrowała się i w otwartym zeszycie spróbowała narysować literę A z trzecią nogą w środku.

Udało się!

Zmieniła przeszłość.

Swoją wersję przeszłości.

Minimalnie, ale wystarczająco, żeby odkleić się od strumienia zapętlonego czasu.

PYK

Zima. Śnieg zacina poziomo. Miasto za oknem tonie w bieli, ale tu, w ciepłym i przytulnym łóżku, Arnica karmi Idę pierśią i wszechświat z szacunkiem krąży wokół nich.

Druga dziewczynka urodziła się dwa lata po Weronice i przyszła na świat spokojnie, wśród cichych stukotów chirurgicznych narzędzi. Arnica nie widziała, jak lekarz nacina jej brzuch, bo szara płachta zasłaniała widok, ale nie na tyle, by nie zdołała zobaczyć, jak unosi dziecko w górę, wprawnymi ruchami wyplątuje z pępownicy, a potem usuwa mu śluz z nosa i daje klapsa. Patrzyła na to, zdumiona i trochę nieobecna, jakby oglądała występ osobliwego iluzjonisty – intrygujący i dający do myślenia, jednak w niewielkim stopniu angażujący jej emocje.

Cieszyła się obecnością Idy, ale jej radość była zbyt słaba, kapryśna i często ulegała presji irytacji, z którą Arnica nie mogła sobie poradzić. Była wściekła, że musi przerwać pracę w ośrodku, i jej myśli nieustannie krążyły wokół tych wszystkich ciekawych projektów badawczych, które na pewno ją ominą. Wmawiała sobie, że to przecież Ida jest dla niej najważniejsza, ale nie czuła, by w tych słowach kryła się prawda, i większość czasu poświęcała na uzalanie się nad sobą.

Jednakże teraz jest inaczej niż w jej wspomnieniach.

Spowija ją spokój. Jego źródłem jest Ida. W jakiś sposób ten brzydki pomarszczony niemowlak potrafi uspokoić jej huśtawki nastrojów i rozproszyć negatywne emocje. Arnica zdaje sobie sprawę, że nie potrwa to długo, bo odruchowo znowu zaczyna przyciągać mroczne myśli. Nie chce tego, ale nie wie, jak powstrzymać ten proces. Próbuje pochwycić spokój Idy, posmakować go w niewerbalny, bezpośredni sposób i nasiąknąć nim. Mentalny horyzont znowu się oczyszcza. Kolejne chwilowe

zwycięstwo. Cienie wycofują się, ale nie odchodzą, wciąż tu są, krążą i czekają na okazję.

Trzeba jak najszybciej odnaleźć źródło spokoju emanującego z maleńkiej Idy.

Czy wciąż emanuje?

Ida wypuściła sutek z ust. Arnica wstała z łóżka i z dzieckiem w ramionach podeszła do okna. Chuchnęła na szybę i na znikającej mgiełce narysowała palcem literę A z trzecią nogą w środku. Potem wróciła do łóżka.

Nic nie musi się skończyć tak, jak pamięta. Trzeba tylko uratować to, co jest naprawdę ważne.

P Y K

Arnica otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą pochylone córki – Idę i Weronikę.

– Co się stało, mamó? – zapytały jednocześnie.

– Nic takiego, zasłabłam, pomóżcie mi wstać.

Znowu i znowu i znowu...

Nie miała pojęcia od jak dawna odgrywa niezmiennie scenariusze wspomnień. Trwała zapętłona w czasie, coraz cięższa, coraz bardziej obca, i w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że Wiktor, Ida i Weronika stali się dla niej pustymi formami, kolorowymi trójwymiarowymi cieniami prawdziwych ludzi, przestrzennymi projekcjami wyświetlanymi na rozciągniętej do granic możliwości membranie pamięci, z którą nie ma już nic wspólnego. Wciąż mogła być blisko nich, lecz nie czuła już takiej potrzeby, bo przestała ich mylić z żywymi istotami. Wewnętrzny dryf powoli ściągał ją w dół. Prosto w skłębiony mrok. Nie bała się i nie zamierzała się opierać, bo wiedziała, że gdy zdoła się wreszcie

oderwać od tych wydrążonych wspomnień, będzie mogła podążyć tam, gdzie w dole, bardzo głęboko, żarzy się znajome ciepło.

* * *

– Obawiam się, panie Wiktorze, że nie mam dobrych wieści. Pani Arnica jest u nas już od dwóch miesięcy i na początku, mimo że była nieprzytomna, jej mózg wykazywał dość wysoki poziom aktywności. Potem z dnia na dzień było coraz gorzej. Co prawda, po trzech tygodniach odzyskała przytomność, lecz pozostała nieobecna duchem i bezwolna. Potrafi samodzielnie jeść i korzystać z toalety, nie stwarza żadnych problemów, ale na nic nie zwraca uwagi i nic nie mówi. Panie Wiktorze, musi pan rozważyć możliwość, że pani Arnicy już nie ma. Coś, jakiś czynnik, którego nie potrafimy zlokalizować, zainfekował układ nerwowy pana żony i rozregulował pracę jej mózgu. Proszę zobaczyć, to wydruk ze skanera monitorującego aktywność fal mózgowych pani Arnicy. Jak pan widzi, jest niemal zupełnie płaski. To nie jest normalne. U zdrowych ludzi są tu gęste, rozdygotane sinusoidy, coś jakby fale, na których unosi się nasza świadomość. To dzięki nim pana żona była osobą, którą pan znał. Gdy ich nie ma, nie ma również pani Arnicy. Odeszła. Nie wiemy jak i dlaczego, ale tak się stało. Proszę wybaczyć mi to porównanie, ale obecnie jej ciało przypomina pustą muszlę porzuconą przez ślimaka.

– Czy jest jakaś szansa, że kiedyś znowu stanie się sobą?

– Trudno powiedzieć. Nigdy nie zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Nie chciałbym kłamać i łudzić pana fałszywymi obietnicami. Naprawdę nie mam pojęcia, co się stało pańskiej żonie i czy można to odwrócić.

– Dziękuję za szczerść, doktorze.

– Przykro mi, że tylko tyle mogłem zrobić.

- Dobrze i to.
- Będę pana na bieżąco informował o wynikach kolejnych badań.
- To miło z pańskiej strony. Do widzenia.

* * *

Pod pulsującym, elektrycznie sklepionym niebem faluje bezkresny ocean kamieni. Każdy głaz pokrywa warstwa tłustego szlamu, a mimo to powietrze drży jazgotem ocierających się skał. W szczelinach między nimi przemykają podłużne wielonogie cienie, które za pomocą ostrych i długich wypustek polują na mniejsze stworzenia żyjące wśród nieustannie poruszających się głazów. Jednakże cienie również nie mogą się czuć bezpieczne. Czasem z pulsującego nieba opadają pionowe cylindry metalicznego blasku i ich rubinowa wibracja rozpuszcza ciała istot, które zdoła osaczyć. Bywa też, że nagle pojawiają się ogromne kanciaste drapieźniki, z łatwością roztrącające na boki nawet najpotężniejsze głazy. Ich pancerna skóra jest pokryta głębokimi zębatymi kraterami, mogącymi wessać każdą formę życia, jeśli tylko znajdzie się w zasięgu przyciągania. Większość cieni reaguje na zagrożenia w taki sam sposób. Pierzchają w głąb, między zwirową drobnicę. Ale jeden z nich nie zważa na niebezpieczeństwa i cały czas trzyma się blisko wielkiego kamienia, na którym wyryty jest dziwny symbol przypominający literę A z trzecią nogą w środku oraz trzy pierwsze litery niemal całkowicie zatartych słów.

W...

I...

W...

Cień nie wie, skąd się tam wzięły, i nie zna żadnego alfabetu, więc nie zdołałby ich odczytać, nawet gdyby były całe. To jednak

w ogóle nie ma znaczenia, bo przyciąga go do nich cudowne ciepło, które w sobie czuje, gdy na nie patrzy. Ciepło, którego tak długo szukał i od którego ścisnęłoby go w gardle ze wzruszenia, gdyby tylko miał coś, co chociaż przypomina gardło, i potrafił odczuwać wzruszenie.

ODIVALLE
KHAT

PAIROU

Druss zaczynał oswajać intensywną niezwykłość tego zdumiewającego, nieustannie przekształcającego się miasta. Nie sposób było przed nią uciec, nabrać dystansu do niezliczonego mrowia dziwnych i niezrozumiałych rzeczy, które mijali, gdy zmierzali w stronę koralowych tarasów, ale jego umysł stopniowo przestawał do nich lgnąć, opływał je i swobodnie podążał dalej, powoli uczył się wytyczać własną drogę – nowy kierunek istnienia, który dopiero odkrywał. Druss nabrał przekonania, że miasto celowo wymusza właśnie taki rodzaj percepcji. Otumania, atakuje ze wszystkich stron, bezlitośnie zarzuca przybyszy bodźcami, by musieli się ustosunkować do tego miejsca i jego osobliwości, stawić mu opór lub ulec, uformować się na nowo i wejść w głębsze relacje z tą płynną rzeczywistością lub zgubić się wśród wielu możliwości i stać się bezwolnym elementem chaotycznego tańca form. Jednak kiedy dotarli na miejsce i zaczęli wchodzić na górę po czymś, co w istocie okazało się jednym, spiralnie wznoszącym się tarasem, zdumienie, oszołomienie i zachwyty powróciły ze zdwojoną siłą.

Przeszli obok walcowatych namiotów uformowanych z miękkiego, kryształowego płótna pulsującego uwiecznionym światłem. Okrążyli kanciaste klatki trzeszczącej elektryczności, wewnątrz których falowały ciemne, zwiewne postacie. Wspięli się na potężną maszynę oplecioną grubymi przewodami i wibrującą skrywaną mocą. Przedarli się przez las długich owadzich odnóży, które nie były częścią żadnego widocznego ciała i wydawało się, że każde z nich żyje własnym życiem. Zaraz potem napotkali plemię ogromnych włochatych wielonogów wylegających się leniwie na całej szerokości tarasu. Ich basowe, medytacyjne mruczenie niepokojąco kontrastowało z potężnymi łapami uzbrojonymi

w długie szpony, białymi ślepiami połyskującymi w różnych częściach skomplikowanych ciał, jak nagie, wypolerowane kości, i ostrymi zębami, rosnącymi bezpośrednio na skórze niczym twarda, nastroszona sierść.

– Nie są groźni – zapewniał Nyklumb, gdy ostrożnie przechodzili między ich cielskami. – Tropią tylko jedną zdobycz i wierzą, że gdzieś tu jest.

Najwyraźniej nie tylko oni. Wszyscy przybywają tu w podobnym celu. Przyciągają ich starożytne konstrukty, dziwaczne obiekty lewitujące tuż obok siebie, w szeregu, który niemal nieprzerwanie ciągnie się wzdłuż krawędzi spiralnych tarasów.

Każdy z nich jest inny.

Każdy z nich jest zagadką.

Druss słuchał wyjaśnień Nyklumba, ale większość z nich puszczał mimo uszu, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kształty, które tu cumują, wymykają się słowom i znacznie więcej treści przekazują swoim wyglądem, specyficznym charakterem obecności. Nie było to coś, co można bezpośrednio przełożyć na użyteczną wiedzę, ale ciężar ich znaczenia w namacalny sposób przenosił się na obserwatora i, chcąc nie chcąc, zabierało się go ze sobą.

Konstrukty zdawały się emanacjami obcych myśli, materializacjami konceptów zrodzonych w świadomościach postrzegających rzeczywistość w jakiś niemożliwy do uchwycenia sposób, ale dla większości przybyszy były to po prostu pojazdy, osobliwe maszyny, dzięki którym, jeśli tylko ktoś potrafił je uruchomić, można opuścić to miasto i zanurzyć się w Oceanie Mglistych Drzew. Choć tak naprawdę dla każdego oznaczało to coś innego i Druss nie miał wątpliwości, że nigdy się w tym nie połapie. Stado fosforyzujących meduz, przyssanych do ażurowego cylindra z białego kamienia, mogło być tylko grupką porzuconych wylinek,

pozostałościami po istotach, które już dawno opuściły to miasto. Albo przeciwnie, właśnie tu zakończyło swoje poszukiwania, bo odnalazło sposób na zjednoczenie ze swoim ukochanym bóstwem, dzięki któremu wszystkie będą teraz kamienieć w ekstazie przez niezliczone eony, stając się powoli częściami jego jestestwa i trwałymi elementami konstruktu. A ten masywny, omszały ślimak, który wniknął giętkimi czułkami w podłużne szczeliny płaskiego sześcianu, wyglądającego jak skomplikowana układanka złożona z wielu drobnych elementów wystruganych z ciemnego, polerowanego drewna, wcale nie musiał szukać sposobu na mechaniczne otwarcie i uruchomienie tego obiektu. Jego rozumienie mogło go prowadzić inną ścieżką i możliwe, że chciał się zsynchronizować z mentalnym wzorcem wpisanym w strukturę konstruktu, by dzięki niemu przekształcić własne ciało w pojazd, który sam, bez pomocy zewnętrznego instrumentarium, zabierze go tam, dokąd zmierza. Im wyżej wchodzili, tym mocniej docierało do Drussa – tysiące możliwości i absolutny brak wspólnego schematu. Zakręciło mu się w głowie.

– Tylko nam nie spadnij! – ostrzegł Nyklumb.

– Można tu umrzeć?

– O nie, tak nie uciekniesz. Wrócisz tylko do miejsca, w którym się zmaterializowałeś. Obawiam się jednak, że to może być dość daleko i minie sporo czasu, zanim tu wrócisz, więc proszę, żebyś uważał.

Kiedy zbliżyli się do szczytu koralowych tarasów, zrobiło się trochę luźniej. Konstrukty nadal bezszelestnie lewitowały w luźnym szeregu, ale przybyszy było tu znacznie mniej. Druss nie mógł się powstrzymać i zatrzymał się przy jednym z nich. Wyglądał jak mała pręgowana rybka. Unosił się w powietrzu dzięki owadziom skrzydłom, które trzepotały z taką szybkością, że przypominały rozmazaną mgiełkę, wydającą niski buczący dźwięk. Z jego brzucha

zwisało półprzezroczyste filigranowe ramię, zakończone czymś w rodzaju chwytnej dłoni wyposażonej w kilkanaście palców. Zręcznie manipulował nimi przy konstrukcie, który był spłaszczoną kulą twardej i ciasno zwiniętej materii. Latająca rybka odwijala ją z mozołem, kawałek po kawałku, i nadawała jej nowy kształt – chropowatego żagla, matowego ekranu, membrany wibrującej energii lub czegoś jeszcze innego, co wymykało się świadomości Drussa. I chyba właśnie dlatego, że jego rozumienie ześlizgiwało się z tego, co widział, spontanicznie zachwyił się absurdalnym i niepojętym pięknem tej sceny. Fruchy zatrzymały się za jego plecami i czekały w milczeniu. Rybka kontynuowała pracę i w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Jej rozdygotany cień tańczył na powierzchni konstrukt. Przypominał o miękkim, wszechobecnym świetle, które spowijało to miasto, choć nie miało konkretnego źródła. Druss poczuł, że bardzo tęskni za swoim cieniem, i zapragnął jak najszybciej znaleźć się na górze.

– Chodźmy – mruknął.

Po chwili znaleźli się pod otwartym niebem i w miejscu, gdzie kończył się taras, Druss wypatrzył ogromne jajo, grafitowe i pobrużdzone. Miał wrażenie, że skądś je zna. Podszedł do niego. Konstrukt pękł wzdłuż i rozpadł się na dwie identyczne połówki, które powoli się rozchyliły, niczym ogromne płatki mechanicznego kwiatu lub skorupy pancernego orzecha. Był pusty w środku.

– Tak jak mówiłem – stwierdził Nyklumb, ale Druss go nie słuchał.

Przyglądał się wewnętrznej powierzchni jaja. Było tam mnóstwo zaczepów, krótkich rurek zakończonych skomplikowanymi zaworami, nagwintowanych palików, a także zygzakowatych szczelin i pięciokątnych otworów. Druss czytał w nich. Albo one czytały w nim. Coś działo się na styku ich obecności. Nagle w jego umyśle pojawiło się słowo. Musiał je wypowiedzieć na głos.

– Krek'h-pa...

– Szybko się poddałeś – zgrzytnął metalicznie Nyklumb.

– Co to znaczy?

– Wielu z tych, których minęliśmy, wierzy, że odnalazło tu Krek'h-pę, ale to z całą pewnością uwięzi ich w tym mieście na dłużej.

Druss odwrócił się, spojrzął na Nyklumba i powiedział:

– Nie o to pytałem. – Choć wcale nie był pewien, czy rzeczywiście tak było.

– No tak, rozumiem... Przyciągnęła cię, choć nie masz pojęcia, czym jest. Ja też nie wiem. Nikt nie wie. Zresztą prawie każdy ma swoją teorię. Może to niezgłębiona świadomość jakiejś kolosalnej istoty, której obecność cały czas wyczuwamy, bo jest niczym cichy i nieustępliwy szelest wieżobalonów? Niektórzy twierdzą, że to miasto dosłownie wyrosło na jej skórze i gdyby nie wynurzyła się kiedyś z Oceanu Mglistych Drzew, to nigdy by nie powstało. Inni uważają, że chodzi o któryś z konstruktów, jeden lub kilka, trudno mieć pewność, bo wersje cały czas się zmieniają. Ten obiekt – albo obiekty – miałyby być ostatnią pozostałością prastarych światów, które od dawna nie istnieją, Krek'h-pa zaś to mądrość ich starożytnej materii rzekomo promieniująca na miasto. Ta teoria ma sporo zwolenników i co gorsza, wielu z nich sądzi, że znalazło jej potwierdzenie. Spotkałem się również z hipotezą, według której miasto jest jakby trwałym zawirowaniem materii, kilwaterem specyficznym ukształtowanej rzeczywistości, powstałym po przejściu czegoś tak niewyobrażalnie potężnego, że nawet nie zauważa istnienia takich bytów jak my. Ci, którzy ją głoszą, są przekonani, że Krek'h-pa jest nieustannie pobrzmiwającym echem bliskości tej mocy. Ja jednak mam inne zdanie. Sądzę, że to pułapka.

– W jakim sensie?

– Najważniejszym. Kusi, przyciąga, absorbuje do tego stopnia, że nie sposób przestać o niej myśleć. Odwraca uwagę, karmi przybyszy wizjami, które nie mają nic wspólnego z kierunkiem, w jakim powinny podążać ich poszukiwania, i sprawia, że nie próbują zrozumieć swoich związków z tym miastem i swojego splątania z jego możliwościami, sensu pojawienia się w tym miejscu i szansy, jaką to daje. Zamiast tego zaczynają tropić Krek'h-pę, nieuchwytną przynętę na głupców. Chcesz do nich dołączyć?

– Nie, nie wiem – odparł Druss zgodnie z prawdą. – Rozumiem, że szukanie fruchów to według ciebie właściwa alternatywa?

– Dla nas tak, lecz nie dla każdego. Właśnie o to chodzi. Tu wszystko opiera się na odkrywaniu własnych sposobów działania, więc możliwe, że to rodzaj próby, kolejna przeszkoda do pokonania, albo coś, co tu żyje, co jest tym miastem lub kryje się w jego fundamentach, ma powody, żeby sprowadzać tu przybyszy i przetrzymywać ich jak najdłużej, bo dajmy na to żywi się ich obecnością.

– Niepokojąca wizja... – mruknął Druss.

Ostrożnie wszedł do wnętrza otwartego jaja. Lekko przychyliło się pod jego ciężarem. Przyjrzał się z bliska zaczepom, rurkom i otworom. Podszedł do krawędzi i objął wzrokiem rozmigotaną, ruchliwą przepaść miasta wraz z falującym przestworem Oceanu Mglistych Drzew. Wciąż miał ochotę kontemplować ten widok, ale teraz wrażenie było nieco inne niż na dole, gdy stał przy balustradzie na heksagonalnym placu. Tu, na koralowych tarasach, narosło w nim przeczucie, którego nie mógł się pozbyć. Pojawiało się już przelotnie, gdy mijał niektóre konstrukty, jednak w drodze na górę okrzepło i stało się znacznie silniejsze. Spojrzał na fruchy. Tak, one też, bez wątplenia, tak samo jak ten konstrukt zaczęły sprawiać wrażenie ruchomych dekoracji pozbawionych głębszego znaczenia. Milczenie się przeciągało. Nie chciał, żeby nabrały

podejrzeń, więc postukał butem w jeden z nagwintowanych palików i zapytał:

– Jak dokładnie wygląda ten Mukanam?

– To jakby ty zrobiony z innego materiału.

– Czyli z jakiego?

– Z drobnych metalowych elementów przypominających łuski.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciekawiej.

– Też nosi ubranie i buty? – drażył Druss.

– Nie, choć wydaje się, że je na sobie ma.

– Jak mam to rozumieć?

– One się chyba wyświetlają na powierzchni jego ciała.

Wyglądają jak twoje, ale są płaskie, dwuwymiarowe. Jego twarz też jest całkiem płaska.

– Brzmi intrygująco, lecz nic mi nie mówi. Ten konstrukt też nie podsuwa mi żadnego pomysłu, choć miałem nadzieję, że będzie inaczej. Musicie powiedzieć coś więcej. Gdzie najchętniej przebywał? Co przyciągało jego uwagę? Na pewno wiecie coś, dzięki czemu zdołamy go odnaleźć.

Nyklumb kołysał się nerwowo w tył i w przód. Debe krył się za jego kanciastym tułowiem i tylko od czasu do czasu nieśmiało spoglądał w stronę Drussa. Za każdym razem robił to w podobny, albo wręcz taki sam sposób, co niepokojąco przywodziło na myśl zapętłony ruch, utrwalony za pomocą jakiegoś urządzenia i odtwarzany w nieregularnych odstępach czasu. Druss zamarł. Co to było? Mechanika kłamstw, w które został wciągnięty, czy w desperackim akcie wycofania, mimowolnego odrzucenia tego świata, zobaczył fruchy przez pryzmat swoich najgłębszych lęków? Bezradnie wpatrywał się w Nyklumba i Debe. Nie miał pojęcia, jak mógłby to rozstrzygnąć, nic, żadnego pomysłu, więc przestał się z tym zmagać. Od razu poczuł się lepiej. Niespodziewanie pomyślał, że niektóre ciężary można przenieść wyłącznie za pomocą mięśni,

które nie istnieją. W ciszy zastygłego czasu zdał sobie sprawę, że nie wie już, czy to on czeka na słowa fruchów, czy one na jego. Nagle zachwiał się, mając wrażenie, że w plecy uderzył go silny podmuch wiatru. Kątem oka zauważył błysk światła ześlizgującego się po metalicznych łuskach i widmową srebrzystą aurę opływającą go z boku, wzdłuż ręki i nad głową. Przeszła przez niego i klęknęła na brzegu konstruktów. Wskazała na coś palcem. Druss schylił się, żeby to dokładnie obejrzeć. W kręgu haczykowatych zaczepów znajdowało się płytkie porowate wgłębienie, miękka podstawa pod element, który zniknął dawno temu. Druss wiedział, co to jest. Pamiętał to cieniem obecności Mukanama. Jakby sam tu kiedyś klęczał, wskazywał na to miejsce i tłumaczył innym fruchom, gdzie mogło spaść to, co stąd odpadło.

– Co robisz? – zapytał Nuklumb.

– Chyba... go widzę...

– Kogo?

– Mukanama...

– Możliwe! Na schemacie jesteś niemal równorzędnym fruchem i wasze ścieżki czasoprzestrzeni przebiegają bardzo blisko siebie.

Łuskowata aura wstała, zesza z konstruktów i zaczęła się oddalać.

– Odchodzi! – zaniepokoił się Druss.

– Ruszajmy za nim!

Schodzili znacznie szybciej, niż wchodzili, i to nie tylko dlatego, że mieli z górki. Widmo Mukanama ze zdumiewającą łatwością omijało wszelkie przeszkody i znajdowało skróty. Wystarczyło, że Druss nie spuszczał go z oka i cały czas podążał jego śladem, by mógł niemal w taki sam sposób prześlizgiwać się między istotami, obiektami i maszynami. Fruchy nie pozostawały w tyle.

Zeszli na heksagonalny plac. Druss nie miał pewności, czy to ten sam, na którym już był, lecz takie szczegóły przestały się ograniczać do jednego znaczenia i płynnie przeskakiwały między różnymi

sensami. Był tu, nigdy tu nie był, nigdy nie opuszczał tego miejsca i pozwalał swoim myślom dryfować po niezliczonych światach, przychodził tu tylko raz na jakiś czas, by czytać z ruchu mglistych fal – mógł wybrać i zasklepić się w jednej z wielu możliwości lub delektować się wadliwą fragmentarycznością każdej z nich. Ale jedno i drugie odwracało jego uwagę od tego, co w tym momencie uważał za najważniejsze, i dlatego nie zamierzał dokonywać żadnego wyboru. Okręzał, ignorował, mijał i bez większego trudu zapominał o natarczywej obecności wieloznacznych szczegółów. Zawęził postrzeganie i płynął przed siebie wąskim tunelem, który drażyło przed nim widmo Mukanama obciążone srebrzystą, esencjonalną aurą.

Tunel raptownie skręcił w lewo i zbliżył się do jednego z tych wielkich ślimaków krążących po placu. Tak samo jak pozostałe dźwigał na plecach pękata muszlę lśniąca jaskrawymi kolorami. Gdy widmo Mukanama wskoczyło na platformę otaczającą podstawę muszli, wspięło się po krótkich schodkach i wniknęło w szerokie drzwi pokryte skomplikowanym cynowym grawerunkiem, Druss zaczął się zastanawiać, co się za nimi kryje. To rozproszyło jego uwagę. Zwolnił i natychmiast zrozumiał, że nie powinien dopuścić, by srebrzysty cień Mukanama zniknął mu z oczu. Tunel już tracił ostrość, blaknął w błyskawicznym tempie i przestawał go chronić przed naporem szczegółów domagających się uwagi. Druss rzucił się do przodu i pchnął drzwi. Z impetem wpadł do wąskiego pomieszczenia zastawionego kanciastymi kształtami niewyraźnie majaczącymi w półmroku, potknął się o coś ciężkiego i runął na twarz, między przyzmy twardych przedmiotów. Podniosły się gęste kłęby kurzu. Druss jęknął i przetoczył się na plecy. Drzwi znowu się otworzyły i weszły fruchy.

– Co ty wyprawiasz? – zabrzączał Nyklumb.

– Leżę, chyba widać. Dziękuję za troskę – odburknął Druss

i kichnął.

Obmacał nos, klatkę piersiową i nogi. Wyglądało na to, że nic sobie nie złamał. Wstał. Bolała go lewa ręka, ale chyba nie było to nic poważnego i skończy się na siniakach.

– Gdzie Mukanam? – zainteresował się Nyklumb.

– Zgubiłem go – powiedział Druss i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Jego wzrok szybko oswoił się z półmrokiem i Druss zaczął rozpoznawać zgromadzone tu przedmioty. Najwięcej było książek. Leżały spiętrzone na półkach pod ścianami i w stertach bezpośrednio na podłodze, ale wśród nich kryło się również mnóstwo innych rzeczy: cieniutkie ramki, w których tańczyły ruchome obrazki, kolorowe sfery wypełnione płynnym światłem, a także drewniane skrzyneczki zawierające skomplikowane maszynie zmontowane z wirujących trybików, półprzezroczystych tarcz oraz bębnow pokrytych kolumnami zawiłych fosforyzujących liter i cyfr. Druss nie wiedział, do czego miałyby służyć, i nie interesowało go to, bo czuł, że te urządzenia nie mają z nim nic wspólnego. Spojrzał ponad nimi i zauważył resztki znikającego tunelu, który skręcał w ostatni korytarz po prawej. Ruszył w tamtą stronę. Wbiegł po wąskich schodach, przeskoczył przez barykadę tykających mechanizmów połyskujących płomiennymi kształtami rozpalających się i gasnących symboli, przebrnął przez grubą warstwę galaretowatych słów, które pod wpływem nacisku dzieliły się i łączyły w nowe słowa, by w końcu dotrzeć do małego kolistego pomieszczenia. Nie było tu półek z książkami. Na podłodze stało kilkadziesiąt wysokich trójnożnych stojaków, które podtrzymywały duże płachty ruchomiedzianych grafik wyświetlających przestrzenne monochromatyczne obrazy, wirujące pod kopulastym szylkretowym sufitem. Tunel, którym podążał, zniknął bez śladu,

jednak Druss nie miał wątpliwości, że znalazł się we właściwym miejscu. Nigdy tu nie był, ale wydawało mu się, że rozpoznaje znajome kształty wielowymiarowych struktur obracających się nad jego głową. Ich znaczenie odślaniało się samo, mimo że przestał już wyczuwać obecność cienia Mukanama. Gdy dołączyły do niego fruchy, wiedział, o co powinien zapytać w pierwszej kolejności.

– Znacie to miejsce?

– Pierwszy raz je widzę – odparł Nyklumb.

– Ja także – dodał Debe.

Druss nie miał powodu, żeby im wierzyć. Wskazał palcem na obszar zagęszczonych linii.

– Spójrzcie tu, trzy kule nanizane na połamaną oś. Jedna z nich, ta na końcu, wydaje się największa, najbardziej masywna i zdecydowanie najważniejsza. Niewątpliwie wytyczył do niej drogę, lecz co to właściwie jest?

– Wyglądają jak odivale – stwierdził Nyklumb.

– Nic mi to nie mówi.

– A widziałeś już kule, które nieustannie toczą się po obrotowych placach?

Druss był niemal pewien, że usłyszy coś w tym rodzaju.

– Właściwie to jedno z pierwszych rzeczy, jakie tu zobaczyłem. Czym one są?

– Zwiniętymi światami, młodymi, często pustymi. Rzadko budzą zainteresowanie przybyszów.

– Więc czemu Mukanam się nimi zajmował?

– Pewnie szukał Rairoma, choć to ostatnie miejsca, w których należałoby go szukać. Są tam tylko byty zrodzone wewnątrz tych światów i ci, którzy świadomie do nich przeszli. Gdyby nasz fruch Rairom rzeczywiście tam trafił, to raczej nie miałby problemu z opuszczeniem odivala i przejściem do miasta.

– A jeśli nie pamięta, kim jest? Mogło zaistnieć wiele różnych

okoliczności, które uniemożliwiły mu przejście, unieruchomiły i pozbawiły jakichkolwiek możliwości. Tym jednak zajmiemy się później. Najpierw musimy odnaleźć Mukanama. Jego dzieło powinno nam pomóc. Poświęcił mu wiele pracy i energii. Wygląda na to, że połączył różne projekcje i stworzył symulacyjne środowisko, w którym badał ruchy odivali, by namierzyć właściwy świat, ten, w którym znajduje się to, czego szuka.

– Myślisz, że mu się udało? – zapytał Debe.

– Coś znalazł, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie wiem, jakimi przesłankami się kierował i ile czasu mu to zajęło, ale, jak widać, zdołał wyznaczyć drogę.

– Czyli wystarczy teraz pójść jego tropem – uznał zadowolony Nyklumb.

– To chyba nie będzie takie proste...

– Dlaczego? – zdziwił się Debe.

Druss uważnie śledził gęste welony przecinających się linii krążących pod sufitem. To, co widział, zaczynało go niepokoić. Nie chciał jednak mówić wprost o swoich obawach. Wolał je zachować dla siebie.

– Wykresy nie są jasne. Nie wiemy, jak znaleźć właściwe odivale. Poza tym albo nie rozumiem najważniejszego, albo ktoś musiał mu pomagać.

– Czemu tak uważasz?

– Z powodu trzech punktów odniesienia umieszczonych obok kluczowych odivali. Każdemu przypisane jest symboliczne oznaczenie. Mamy tu kwadrat, grubą falistą kreskę i...

Nagle Druss pojął sens ustawienia tych dwuwymiarowych znaczników.

– ...przypomina małego ludzika – zauważył Debe.

– No właśnie, to Mukanam, a za pozostałymi kryją się ci, którzy pomagali mu wytyczyć drogę.

- Nie pojmuję, czemu zrobił to bez nas? – wyznał Nyklumb.
- Możemy się dowiedzieć tylko w jeden sposób...

* * *

Hemel cofnął się, wydzielając ostry smród przerażenia. Tenan nie do końca wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę, i miał ochotę uciec w głąb siebie, choćby na krótką chwilę, w czasie której zdołałby może uporządkować panicznie wirujące myśli, ale głos Panaplina mu na to nie pozwalał – trzymał go na uwięzi, paraliżował, uniemożliwiał schowanie wypustki.

*To mniej niebezpieczne,
Niż mogłoby się wydawać.
Wystarczy, że nie będziecie na nią patrzeć.
Możecie mówić w jej obecności,
Możecie jej słuchać,
Możecie nawet czymś do niej rzucić,
A i tak nie zauważy, że tam jesteście.
Jeśli jednak na nią spojrzycie,
Choćby przelotnie,
Od razu was wyczuje,
Dopadnie
I potknie.
Nie miejcie złudzeń.*

– Nie wiem jak Tenan, ale ja tam nie wejść! – warknął Hemel.

Perus nastroszył sierść. Nieufnie łypał wypustką na Panaplina i cieszył się, że nie musi mu się przeciwstawiać samotnie.

– Na mnie też nie licz – powiedział hardo, lecz strach nie zagłuszył ciekawości i od razu dodał: – Dlaczego sam tego nie

zrobisz?

*Nie jestem stąd.
Jej sen przyłgałby do mnie
Natychmiast.*

Hemel uznał, że to dogodny moment na otwarty atak.
– Chcecie się nas pozbyć, bo nie jesteśmy wam już potrzebni!

*Wiem, co sobie myślicie.
Mylicie się.
W każdej kwestii.
Miałem nadzieję, że jesteście mądrzejsi.
Przestańcie się skupiać tylko na sobie.
Zrozumcie wreszcie, że nie spiskuję razem z Menurem.
Połączył nas przypadek, chwilowa zgodność celów,
Dzięki której splottły się również nasze drogi.
Nie zmienia to jednak faktu,
Że jeśli szybko nie znajdę tego, czego szukam,
Łos Linvenogre zostanie przesądzony.*

– Nie wierzymy ci. Nawet przestałeś udawać, że chcesz nam pomóc odnaleźć Drussa.

*Nie macie pojęcia, jak bardzo
Nasze poszukiwania są ze sobą związane.*

– To dlaczego nie chcesz nam tego wyjaśnić? Czemu to przed nami ukrywasz?

Dla waszego dobra.

*Troszczę się o was
I liczę, że sami zaczniecie wreszcie
Wyciągać wnioski.
Bo to, że mi nie wierzycie,
Niczego nie zmienia.
Nie musicie.
Wszystko, czego potrzebujecie,
Macie tuż przed sobą.
Niezależne ode mnie
I bardziej przekonujące
Niż moje słowa.*

Hemel zadrżał i spojrział na Tenana. Ogarnęła go wstrząsająca, niemal absolutna pewność, że coś przegapił, a teraz przyjdzie mu za to zapłacić.

– Co masz na myśli?

*Trudno mi zaakceptować fakt,
Że nie zdołaliście tego zauważyć,
Mimo że jesteście przecież
Tropicielami xulo.
Naprawdę nie dziwi was, że
Od pewnego czasu nic się tu
Nie materializuje?*

Hemel i Tenan zamarli w bezruchu mrocznego olśnienia. Nie musieli odpowiadać na to pytanie.

*A to tylko początek.
Pierwszy symptom.
Wkrótce pojawią się kolejne*

*I będzie znacznie gorzej.
To już się dzieje!
Tablotesory zapadają się
W głębiny świadomości i
Coraz więcej zaminów i perusów
Traci umiejętność posługiwania się
Tym instrumentarium.
Impuls promieniujący z
Przestrzeni Konstruktu
Powoli, acz nieubłagane odwraca
Wektor istnienia i
Wkrótce zaczną umierać
Pierwsi mieszkańcy Linwenogre.
W dziwnych wypadkach,
Na nieznane, przerażające choroby,
Czy rozszarpani przez bestie
Z innych pięter rzeczywistości.
Życie w tym mieście stanie się
Niemożliwą potwornością,
Która skończy się dopiero wtedy,
Gdy na jego zdestabilizowanej materii
Wyrośnie coś zupełnie nowego,
Rozpełźniętego na wszystkie strony,
Wczytanego w gładką kopułę nieba
Milionami galaretowatych czutek.
Ale nie musi tak być.
Miasto może uniknąć tego losu,
Jeśli tylko uda mi się znaleźć
I usunąć stąd to, co tu kiedyś spadło.*

– Wciąż nie wiemy, co to jest – wykrztusił skołowany Hemel.

*Słowa niczego wam nie wyjaśnią.
Nie pomogą wam zrozumieć.
Zobaczycie, co mam na myśli,
Gdy złapiemy trop.*

– Czyli musimy tam wejść?

*Nie,
Ale powinniście mieć świadomość,
Że nikt inny tego nie robi.*

– No dobrze, ale czego mielibyśmy tam szukać?

Tenan był zaskoczony szybkością, z jaką Hemel pokonywał swój strach i zaczynał akceptować nieuniknione.

*Klucza,
Sposobu na znalezienie odpowiedzi,
Narzędzia, które wskaże nam drogę.*

– Nie można prościej?

*Bardziej się nie da.
Przepchnę was przez ścianę Komory.
Po drugiej stronie jest szeroki gzyms.
Otacza on kolistą otchłań,
W której spoczywa Ebrena.
Bez względu na to, czy pójdziecie w lewo, czy prawo,
Prędzej czy później dotrzecie do obszernego pomieszczenia.
Nazywają go keson,
I to do niego są zrzucane wszystkie xulo
Przechwytywane przez*

*Tajne jednostki zaminów.
W głębi, w prawym rogu kesonu,
Znajduje się to, co musicie stamtąd przynieść.
Przypomina korpus niezbyt długiej lunety
Albo coś w rodzaju tulei
Wykutej w twardym, złotawym świetle.
Kiedy to odnajdziecie, wróćcie po gzymsie
Do miejsca, w którym was przepchnąłem,
I wciągnę was z powrotem.*

– Jak cię odszukamy, skoro nie możesz się wychylić po stronie Ebreny?

*Będę czekał tuż pod powierzchnią
Rozjarzony czerwoną luminescencją.
Nie przegapicie mnie.
Jeszcze jakieś pytania?*

– Czy to boli? – wykrztusił zrezygnowany Tenan.

*Nie.
To jak nurkowanie
W bardzo gęstym błocie.
Gęstym i zimnym.*

Szybko przekonali się, że to prawda. Hemel chwycił Tenana za nogę, a potem dotknął gorącej, łuskowatej czerni ciałoskafandra Panapliana. Nagle obaj przestali odczuwać swój ciężar, mrowiejące powietrze uniosło ich w górę i zaczęli się powoli zanurzać w litym betonie. Pochłonęła ich ciemność. Mogli w niej oddychać, lecz byli ślepi i głusi. Czuli jedynie, że opływa ich gęsta ziarnista szorstkość

emanująca lodowatym chłodem.

KHAT

RAIROU

SARGA DPOO

- Zgaś światło i odejdź od okna!
 - Mama?! Ale mnie wystraszyłaś! Myślałam, że nikogo nie ma.
- Dlaczego siedzisz po ciemku?
- Zgaś to cholerne światło!
 - Dobrze już, dobrze. Co cię ugryzło?
 - Widziałaś kogoś przed domem?
 - Nie wiem, nie rozglądałam się. Co się dzieje?
 - Chodźmy do gabinetu Toma.
 - Przecież nie zaglądasz tam od rozwodu.
 - Co ty nie powiesz? Zamknęłaś drzwi?
 - Tak.
 - Na pewno?
 - Chcesz sprawdzić?
 - Niekoniecznie.
 - Czemu tam idziemy?
 - Łatwo się zabarykadować i są kraty w oknach.
 - Ale nie zrobisz mi krzywdy?
 - Nie bądź głupia. To nie mnie powinnaś się bać.

* * *

- Pomóż mi przesunąć biurko. Właśnie tak.
- Mamo, to jakieś szaleństwo.
- Wiem, dlatego musisz mi coś obiecać.
- Niby co?
- Że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem.
- Nie rozumiem...
- Alina, masz już szesnaście lat i jesteś na tyle duża, że powinnaś

wiedzieć jak wyglądają sprawy między dorosłymi. Długo walczyłam o opiekę nad tobą i nie zamierzam jej teraz stracić. A stanie się tak, gdy Tom znajdzie dobry powód.

– To znaczy?

– Gdy na przykład uzna, że mi odbiło.

– Ja już tak myślę.

– Z pewnością, ale to przejściowe, wszystko ci wyjaśnię. Lada moment dojdę do siebie i będę mogła normalnie funkcjonować. Tylko obiecaj, że nikt się nie dowie.

– O czym?

– O tym, co mi się przydarzyło, córuś.

– To może nic nie mów...

– Muszę to z siebie zrzucić. Przepraszam, kochanie, ale jesteś jedyną osobą, której mogę się zwierzyć.

– Skoro musisz...

– Tylko nie przerywaj, dobrze?

– Tak, mamo.

– W piątek, zaraz po tym, jak zawiozłam cię pod szkołę i pojechałaś na wycieczkę, odwiedziłam Helenkę i Basię. Umówiłam się z nimi na wieczór. Wiesz, mamy te swoje babskie spotkania, przy winie i kartach.

– I pornosach...

– Miałaś nie przerywać! Poza tym, skąd o tym wiesz? Zaglądałaś do mojej szafki na dole? Tej, którą zamykam na klucz?!

– Przepraszam, to było silniejsze ode mnie.

– Jeszcze o tym porozmawiamy, moja panno! Chcesz, żebym zaczęła grzebać w twoich rzeczach?! Chcesz?!

– Nie powiesz mi, że nigdy tego nie robiłaś!

– Otóż wyobraź sobie, że nie. Zadowolona?!

– Strasznie mi głupio, mamo...

– A tak w ogóle to po co mi powiedziałaś? Zajrzałaś to zajrzałaś.

Nie musiałam wiedzieć.

– Wymyknęło mi się.

– Oj, dziecko, dziecko, chyba nie powinnam ci nic mówić.

– Ale ja chcę, mam, proszę, nikomu nie powtórzę! Daj mi szansę! Tym razem cię nie zawiodę, słowo!

– Ech, co ja z tobą mam... No dobrze, skoro już zaczęłam, to skończę. Dziewczyny miały wpaść około dziewiętnastej, więc zrobiłam zakupy i śpieszyłam się do domu, żeby spokojnie posprzątać. Przejeżdżając przez nasze osiedlowe rondo, zauważyłam kłoszarda. Normalnie nie zwróciłabym na niego uwagi, ale był ogromny, prawdziwy olbrzym i jakiś taki nieforemny, cały obwieszony reklamówkami. Miałam wrażenie, że patrzy w moją stronę. Zrobiło mi się dziwnie. Poczułam na skórze zimne mrowienie. Minęłam go i od razu mi przeszło. W trakcie sprzątania zupełnie o nim zapomniałam. Szykowałam koreczki, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi, niemal łomot. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła szesnasta. Za wcześnie jak na dziewczyny. No i one zazwyczaj dzwonią. Zawahałam się i nagle znowu poczułam zimne mrowienie. Było znacznie silniejsze niż za pierwszym razem i nie zamierzało ustąpić. Objęło mnie chłodem. Straciłam kontrolę nad swoim ciałem, które stało się posłuszne obcej woli. Nic nie mogłam na to poradzić. Otworzyłam drzwi. Na zewnątrz stał ten ogromny kłoszard. Miał duży kapelusz, który skrywał jego twarz w cieniu. Z rękawów podartego płaszcza wystawały długie, małe łapy. Sięgałam mu do łokcia. Cuchnął mułem i stęchlizną. Milczał. Wyszłam tak, jak stałam. W klapkach i dziurawym dresie. Ruszyłam ścieżką między domami. Słyszałam, jak kłoszard ciężko człapie za moimi plecami. Byłam przerażona. Minęliśmy domy, przeszliśmy przez plac zabaw i nikt nie zwrócił na nas uwagi. Jakbyśmy byli niewidzialni. Nieco dalej, tam gdzie zaczyna się park, jest mały staw. Obok niego rośnie wysoki krzew bzu. Na pewno go

pamiętasz. Wydał mi się inny niż zwykle: gęstszy, większy i niepokojąco złowieszczy, jakby to wcale nie był bez, ale coś, co go tylko udaje. Przedzierałam się przez niego z takim trudem, że przypominało to wpychanie się na siłę do gardła liściastego potwora. A potem ześlizgnęłam się z błotnistego pagórka w inne miejsce.

– Do wody?

– Przecież tam jest płasko i bez nie rośnie przy samym brzegu stawu, lecz trochę dalej. Po prostu nagle znalazłam się w jakimś innym miejscu.

– To znaczy gdzie?

– W dziwnym obcym mieście, nad którym unosi się ogromna złota kopuła, a brukowanymi ulicami kroczą poczwary z najgorszych koszmarów: wielkie trójnożne pająki, które zamiast głowy mają zwiewną białą mgielkę, i goryłowate olbrzymy pokryte lśniącą czarno-żółtą skórą salamandry. Tych było chyba najwięcej. Czułam, jak mi się przyglądają. Ich ciemne wyłupiaste oczy, osadzone tuż ponad żabimi paszczami pełnymi małych trójkątnych zębów, śledziły każdy mój krok. A w górze, po czystym, błękitnym niebie, przemykały białawe kształty podobne do ośmiornic zamkniętych w kulistych bańkach przezroczystego szkła. Gdybym mogła, na pewno posikałabym się ze strachu. Jednak nie panowałam nad swoim ciałem i nogi niosły mnie bez mojego udziału. Za sobą cały czas słyszałam człapanie kloszarda.

Podążałam wąską ulicą wijącą się między niskimi budynkami, które przypominały kanciaste bunkry, bo zamiast normalnych okien miały poziome szczeliny. Potem skręciłam i zaczęłam schodzić opadającą w dół alejką. Budynki się przerzedziły. Pojawiło się więcej zieleni. Takiej jak na bagnach, no wiesz, takiej ciemnej, połyskującej niczym woskowany papier. Mijałam karłowate i poskręcane drzewa porośnięte bluszczem, jaskrawe kule

fosforyzujących grzybów i wysokie łądygi kolczastych trzcin, upiornie kołyszających się na wietrze. Roślinność gęstniała z każdym krokiem i coraz bardziej napierała na brukowaną alejkę, która prowadziła do stalowej bramy osadzonej w masywnym murze zbudowanym z wielkich bloków ciemnego kamienia. Pilnowały jej cztery goryłowate stwory. Stałam przed nimi, ale ich wzrok prześlizgnął się po mnie i zatrzymał na tym, który mnie tu sprowadził. Usłyszałam sapnięcie, głośny gardłowy pomruk i zbliżające się człapanie. Kloszard pojawił się w zasięgu mojego wzroku. Nie przypominał już człowieka. Wyglądał tak samo jak strażnicy bramy.

Rozmawiali przez chwilę, posługując się karkołomną kombinacją parsknięć, chrząknięć i pomruków. Nie rozumiałam ich, ale odniosłam wrażenie, że czekali na nas. Ciężkie wrota zostały otwarte i weszłam do środka. Znalazłam się na terenie jakiegoś kompleksu. Początkowo alejka kluczyła między silosami pełnymi cuchnącego szlamu i głębokimi zbiornikami czystej wody, w których wirowały ławice dużych czarnych kijanek. Potem ciągnęła się wzdłuż grubych rur łuszczących się rudymi płatami rdzy i wysokich piramid ułożonych z kostek sprasowanych glonów wydzielających niezwykle ostry, choć smakowity zapach, przypominający woń kiszonej kapusty, lecz znacznie intensywniejszy, niemal przekraczający granicę przyjemności. Ponad murem otaczającym cały kompleks wznosiły się dachy miasta, nad którymi latała potężna kopuła, lśniąca oślepiającym złotem. Widziałam również niesamowitą budowlę wyglądającą jak gigantyczne stożkowate wiertło, białe jak kość. Nad jej ostrym czubkiem łopotał płomień. Co prawda, nigdzie nie było goryłowatych i nie słyszałam już ich człapania, które wcześniej cały czas mi towarzyszyło, ale nie przejmowałam się tym. Przestałam się bać. Wydawało mi się, że śnię zwariowany, niezwykle realistyczny

sen. I nie chciałam się obudzić.

W końcu alejka doprowadziła mnie do przysadzistego zigguratu stojącego na dnie kamiennego zbiornika. Pokrywała go gruba warstwa ciemnozielonych glonów. Wciąż były mokre, więc wodę wypompowano całkiem niedawno. Aby dostać się do budynku, musiałam zejść w dół po szerokiej pochylni zbitej z nieheblowanych desek. W głębi, na samym dole, między ciemnymi murami lśniącymi oślizgłą wilgocią jarzyło się żółte światło. Kiedy się do niego zbliżyłam, okazało się, że to okrągły lampion trzymany przez jednego z goryłowatych. Było ich tam bardzo dużo. Tłoczyli się w obszernej podziemnej komorze. Rozsunęli się, żebym mogła przejść, a potem utworzyli wokół mnie ciasny krąg. Wciąż byłam pewna, że to sen, ale w tym momencie nabrałam przekonania, że zaraz przerodzi się w koszmar. Rzucą się na mnie i wtedy się obudzę. Czekałam. Nikt się nie ruszył. Zamiast tego odzyskałam władzę nad swoim ciałem. Goryłowaty z lampionem nachylił się w moją stronę i warknął:

– Khat!

Nie miałam pojęcia, czego ode mnie chce. Patrzyłam na niego bezradnie, a on uniósł potężne ramię, grubym palcem wskazał na muliste dno komory i powtórzył:

– Khat!

Domyśliłam się. Uklęknęłam i zaczęłam kopać gołymi rękami. Po odrzuceniu kilku garści mułu błysnęła srebrzysta biel. Stwory zaczęły nerwowo przestępować z nogi na nogę i parskać. Ostrożnie dotknęłam znaleziska. Było twarde, ciepłe i świeciło własnym światłem. Oczyszczałam je i podniosłam. Przypominało niewielki, ale zaskakująco ciężki dysk. Goryłowaci cofnęli się i zrobili mi przejście. Ten z lampionem ruszył przodem. Po chwili zatrzymał się i machnął, żebym poszła za nim. Cóż innego mogłam zrobić? Musiałam się jednak często zatrzymywać, bo dysk bardzo mi ciążył.

Idąc za goryłowatym, trafiłam do długiego baraku podzielonego na małe pomieszczenia. W jednym z nich stał pusty kamienny sarkofag. Włożyłam do niego dysk, a goryłowaty z hukiem zatrzasnął pokrywę. Potem zimne mrowienie znowu odebrało mi władzę nad ciałem. Poprowadziło mnie przez to dziwne miasto jak zdalnie sterowaną marionetkę. Tym razem nikt mi nie towarzyszył i samotnie wróciłam do miejsca, w którym rósł gęsty, rozłożysty bez. Weszłam między ciasne sploty gałęzi, a one zacisnęły się z taką siłą, jakby chciały mnie przezuć. Walczyłam z nimi, rozpychałam się, kopałam i darłam się przy tym jak szalona. Nagle uścisk zelżał, straciłam oparcie i poleciałam na twarz. Z impetem spadłam na gliniasty brzeg stawu. Zamroczyło mnie z bólu. Aż dziw, że nic mi się nie stało. W każdym razie wróciłam do naszego parku i moje obolałe ciało wreszcie należało do mnie. Zdołałam się jakoś pozbierać, choć podejrzewam, że zajęło mi to sporo czasu. Nie miałam daleko do domu, ale droga bardzo mi się dłużyła. Ludzie patrzyli na mnie jak na wariatkę. Szeptali, wytykali palcami. Trudno się dziwić. Wyglądałam strasznie. Zgubiłam klapki, więc byłam boso, a mój ubłocony dres przypominał stary łach, który jeszcze przed chwilą leżał na śmietniku. Na szczęście tylko częściowo zdawałam sobie sprawę, że wzbudzam powszechne zainteresowanie, bo moją uwagę zaprzętało coś innego. Kuśtykałam, nerwowo oglądałam się za siebie i bałam się, że znowu zobaczę tego goryłowatego kloszarda. Gdy dotarłam do domu, od razu pobiegłam na górę i zabarykadowałam się w gabinecie Toma. Nie otworzyłam dziewczynom, nie odbierałam telefonów i udawałam, że mnie nie ma.

– Siedziałaś tu od piątku?

– Niezupełnie, musiałem przecież coś jeść, pić i od czasu do czasu korzystać z toalety.

– Może to halucynacje po winie, mamó? Albo faktycznie ci się

przyśniło i lunatykowałam po ogródku. Mogło tak być, mamusiu, prawda?

– No już, już, chodź do mnie. Przytul się. Nie płacz, proszę. To nic takiego. Wiesz, powiem prawdę, dobrze? Tylko nie płacz. Zmyśliłam to.

– Co?! Czemu to zrobiłaś?!

– Poznałam kogoś. Spędziliśmy razem szalony weekend. Nie mam pojęcia, czy coś z tego będzie, więc wolałam, żebyś myślała, że mi odbija. Wiem, jak bardzo przeżyłaś mój rozwód z Tomem, i dlatego wymyśliłam tę zwariowaną historię. Powinnaś wiedzieć, że nie jesteś już dzieckiem i wszystko zrozumiesz.

– Naprawdę tak było?

– Oczywiście, że tak! Nie ma się czym przejmować. Cholera, muszę zadzwonić do dziewczyn i wszystko im opowiedzieć. No dobra, dość tych głupot. Odsuńmy to biurko. Zaparzysz herbaty?

– Jakiej?

– Takiej jak zwykle, kochanie, zielonej.

Alina zeszła do kuchni, włączyła światło i zagotowała wodę. Przechodząc korytarzem, zauważyła, że na drewnianej podłodze odcisnęły się błotniste ślady bosych stóp. Ciągnęły się od drzwi wejściowych do schodów prowadzących na piętro i już dawno zdążyły wyschnąć. Alina upewniła się, że matka wciąż rozmawia przez telefon, i łykając łzy, wytarła podłogę mokrą szmatą.

Do czysta.

RAIRO

BARGA DROD

Wszystko tam było. Wystarczyło się tylko dobrze wczytać w projekcje nawarstwione pod szylkretową kopułą sufitu. Położenie odivali, odległości między nimi, punkty orientacyjne oraz kolejność, w jakiej należało podjąć działania prowadzące do otwarcia przejścia, w prosty sposób zobrazowane niemal krok po kroku. To była gotowa, w pełni funkcjonalna instrukcja. Czekala tylko, kiedy ktoś jej użyje. Prosiła się o to. Miała jednak jedną zasadniczą wadę. Niestety nie tłumaczyła, dlaczego fruchy nie wiedziały o jej istnieniu i czemu Mukanam wolał wytyczyć drogę do Rairoma bez ich pomocy. Nie dawało to Drussowi spokoju. Rozważał różne możliwości, ale wszystkie krążyły wokół tych samych elementów instrukcji – kwadratu, grubej falistej kreski i małego ludzika.

Trudno było nie zauważyć, że znaczniki symbolizują nie tylko Mukanama, ale także Nyklumba i Debe. Trudno też było uwierzyć, że Mukanam zdołał znaleźć w tym mieście fruchy, które mogły ich zastąpić. Tak skomplikowana i precyzyjna symulacja musiała zostać stworzona w oparciu o konkretne węzły istnienia, więc podmienienie ich na alternatywne byty zmieniloby wszystkie parametry i prawdopodobnie uniemożliwiło otwarcie przejścia. Druss nie miał pojęcia, skąd to wie, ale był pewien, że to prawda. Tym samym oznaczało to również, że fruchy kłamią. Może pomogły Mukanamowi przedostać się do odivala i uwięziły go wewnątrz tamtego świata? Albo naprawdę nie wiedziały, nad czym pracuje, bo im nie ufał i ukrywał to przed nimi? Czy uciekł, gdy wystraszył się, że odkryją jego tajemnicę, i przyczał się gdzieś w mieście, a fruchy wykorzystują wszelkie dostępne środki, żeby go odnaleźć? Jeśli faktycznie tak było, to Druss kontemplował instrukcję, która jeszcze nigdy nie została użyta.

Metaliczny sześcian na czterech teleskopowych nogach i karbowany wąż odsunęły się od niego i dyskretnie wycofały do korytarza, by mógł w spokoju analizować dorobek Mukanama. Stał w ciszy z zadartą głową i niemal czuł powolne ruchy ogromnego ślimaka, który niósł ich na swoich plecach. W labiryntowych zakamarkach jego muszli czas kapał chwila po chwili jak krople gęstej melasy. Kusiło go, żeby je rozdzielać i liczyć, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na tchórzliwe odwrócenie się od sytuacji, w jakiej się znalazł, bo fruchy już dawno dopadły Mukanama i w podobny sposób próbują teraz pozbyć się jego. Lub z jego pomocą chcą odszukać ukrywającego się Mukanama. Jakkolwiek by na to spojrzeć, nie wyglądało dobrze, lecz Druss nie zamierzał uciekać. Przeciwnie. Chciał z nimi walczyć ich własną bronią. Ukradkiem spojrzął w stronę fruchów stojących w korytarzu. Wyczuwał tłące się między nimi napięcie i był ciekaw, czy domyślają się, że przejrzał ich grę. Miał w sobie siłę i determinację, które pozwalały mu wierzyć, że cokolwiek wykombinują, cokolwiek się stanie, on i tak znajdzie sposób, żeby je przechytrzyć. Oczywiście najbardziej pomogłoby mu, gdyby się dowiedział, co nimi kieruje i co chcą osiągnąć.

Jedna myśl przyciągnęła drugą i spontanicznie zaczęły się mnożyć, rozrastać, kłębić wokół fruchów. Szybko obrastały znaczeniem, które stawało się coraz bardziej sensowne i przekonujące, a na koniec przybrało kształt wręcz oczywistej prawdy.

Otóż to, Druss nie mógł się mylić!

Nyklumb i Debe zamierzają samodzielnie uruchomić upatrzony konstrukt i wbrew zaleceniom schematu dobrać sobie fruchy słabsze od nich, czyli takie, które będą musiały podporządkować się ich woli. Kluczem do realizacji tego planu jest właśnie schemat wspomniany przez Nyklumba. Tak, tak, bez niego niewiele by

działały. Z jego pomocą mogą wyszukiwać i podstępnie eliminować potężne fruchy stwarzające zagrożenie dla ich zamysłów, a także odnajdywać słabe, pasujące do funkcji, jakie będą pełnić w ich wymyślonym mechanizmie, który chcą zbudować wewnątrz grafitowego jaja lewitującego na szczycie koralowych tarasów. Mukanam starał się im przeszkodzić, próbował narzucić wolę dominującego frucha, lecz sam był za słaby, żeby to zrobić, uznał więc, że jedynym sposobem na skuteczne przeciwstawienie się buntowniczemu spiskowi Nyklumba i Debe jest odnalezienie innego wpływowego frucha, czyli Rairoma. Jednak sprytnie fruchy wykorzystały badania Mukanama przeciwko niemu i pozbyły się go w jakiś chytry sposób. A teraz znowu to robią. Znowu je wykorzystują. Tyle że tym razem przeciwko Drussowi.

Uporczywie wpatrywał się w miejsca, w których przecinały się migotliwe trajektorie projekcji kołujących nad jego głową, nasiąkał zawartą w nich wiedzą i nieśpiesznie, w ich tempie, utwierdzał się w przekonaniu, że on też może zrobić tylko jedno – otworzyć przejście. A przynajmniej spróbować. Fruchy z całą pewnością są bardzo przebiegłe, ale jeśli będzie ostrożny, to nie zdołają go podejść. Wciąż ma nad nimi przewagę, bo najwyraźniej nie zorientowały się jeszcze, że on już wie, jakie są ich zamiary. Teraz wystarczy, że odszuka Mukanama lub Rairoma. Gdy połączy siły choćby z jednym z nich, te zbuntowane fruchy nie będą miały żadnych szans. Na razie Druss nie chciał jednak wyprowadzać ich z błędu. Niech myślą, że robi to, czego od niego oczekują, i do końca pozostają nieświadome, że kontroluje sytuację i działa przeciwko nim. Podobała mu się ta wizja. Ekscytowała go. Zastanawiał się, czego powinien unikać, by nie wzbudzić podejrzeń, i układał sobie w głowie kolejność działań wpisanych w instrukcję, gdy nagle poczuł opór z jej strony, jakby świadomie nie chciała dać się odczytać i wykorzystać. Zachwiał się i przyćmiło mu wzrok.

Zawirowwały ciemne plamy, spod których wyłoniło się znajome słowo – Krek'h-pa. Ogarnęła go mdląca słabość, ale zacisnął pięści i zdołał utrzymać się na nogach.

No właśnie, dlaczego Nyklumb nie miałby również kłamać w tej sprawie?

Od samego początku, od momentu, gdy Druss obudził się w tym mieście, intuicyjnie zdawał sobie sprawę, że powinien ufać tylko sobie i swojemu wyczuciu, choć było ono nieco zagubione i brakowało mu pewności. Szybko jednak doszło do siebie i nabrało zdecydowania. Teraz nie miało już problemów z odróżnieniem tego, co ważne, od tego, co mało istotne, mimo że zostało obdarzone iluzoryczną atrakcyjnością i bez wahania kierowało go w stronę Krek'h-py. W oczywisty sposób potwierdzając wcześniejsze przebłyski intuicji. Krek'h-pa nie miała nic wspólnego z konstruktami cumującymi przy koralowych tarasach ani z Nyklumbem i Debe. Nie było to do końca jasne, ale za to wyraźnie odczuwalne. Cień jej obecności skłaniał się ku czemuś innemu. W niewielkim stopniu i trochę niepewnie wiązał się z Mukanamem, ale bardzo mocno lgnął do Rairoma, dążąc niemal do połączenia lub utożsamienia. To sprawiło, że Druss pozbył się resztek wątpliwości. Był gotów. Instrukcja też przestała stawiać opór, jakby się pogodziła z nieuniknionym lub spełniła swoją powinność i po skierowaniu jego uwagi we właściwą stronę mogła się zająć czymś innym.

Druss zdjął ze stojaka ruchomiedzianą grafikę, na której płynne fale cieniutkich kreseczek mapowały rozkład kluczowych odivali, zwinął ją w rulon i dołączył do fruchów.

– Rozumiesz coś z tego? – zaskrzeczał Nyklumb z nadzieją.

– Prawie wszystko – odparł Druss i miał na myśli nie tylko instrukcję. – Chodźmy!

– Dokąd?

Świetnie udawał idiotę, trzeba mu to było przyznać.

- Tam, gdzie kryją się odpowiedzi na nasze pytania.
- Chcesz poszukać tych odivali i otworzyć przejście?!

Tym razem znakomicie odegrał zdumienie. Druss prawie dał się nabrać. Prawie.

– Obiecałem wam, że spróbuję odnaleźć Mukanama, i właśnie to robię. Jeśli się rozmyśliliście albo...

- Ależ nie! – gwałtownie zaprzeczył Nyklumb.

Przesadził nieco z ekspresją i jego nerwowa niecierpliwość zdradzała, jak bardzo mu na tym zależy. Chciał chyba, żeby wyglądało na to, że trochę się boi. Druss nie dał po sobie poznać, że widzi jego prawdziwe intencje. Ochoczo podjął grę.

– Nie ma się czego bać, będziemy roztropnie podążać śladami Mukanama i postaramy się nie popełnić jego błędów. Przeanalizowałem instrukcję i dostrzegłem kilka niedopracowanych i potencjalnie niebezpiecznych elementów, lecz wydaje mi się, że możemy wyeliminować te wady i bezpiecznie przejść wytyczoną drogą.

Nyklumb nie skomentował jego słów, ale wydawał się bardzo zadowolony. Druss pozwolił sobie na lekki uśmiech. Przedstawienie zaczynało się rozkręcać i chyba każdy czuł się znakomicie w swojej roli.

Dotarcie do obrotowych placów zajęło im tylko kilka chwil, jakby samo miasto wspomagało ich poszukiwania i przebudowało się, by skrócić im drogę. Druss odniósł wrażenie, że teraz jest ich więcej, niż kiedy był tu poprzednim razem, ale nie sądził, że kryje się za tym jakieś głębsze znaczenie, a nawet jeśli tak było, to nie miało to żadnego wyczuwalnego związku z tym, co musiał tu zrobić.

Spojrzał w górę na kołyszące się wieżobalony – ich układ miał być pierwszą wskazówką. Trzeba znaleźć cztery takiej samej wielkości, stojące bardzo blisko siebie, i jeden duży znajdujący się z tyłu za nimi, dokładnie w osi symetrii całego układu, która ma

przebiegać wzdłuż linii styku środkowych wieżobalonów. Druss nie widział tu jednak niczego takiego. Co prawda, wokół wznosił się szeleszczący las gigantycznych kolumn uformowanych z cynowej folii i podtrzymywanych przez teleskopowe przypory, ale ich rozmieszczenie wydawało się całkowicie przypadkowe i trudno było wśród nich wypatrzeć choćby dwa, które znajdowałyby się tak blisko siebie jak na instrukcji, a co dopiero cztery. Poza tym ażurowe kopuły zawieszane nad placami w znacznym stopniu utrudniały obserwację. Mimo to nie było powodów do obaw. Pewność wypierała wątpliwości. Druss zdawał sobie sprawę, że otwarcie przejścia nie będzie łatwe, ale instrukcja odcisnięta w jego umyśle zapewniała go, że to na pewno da się zrobić, musi się tylko uzbroić w cierpliwość.

Ściskając w dłoni zwiniętą ruchomiedzianą grafikę, pulsującą jak metalowy cylinder, przez który tam i z powrotem przepływa powolna elektryczna fala, spokojnie przemierzał teren obrotowych placów. Nyklumb i Debe trzymali się blisko niego. Nic nie mówili, ale uważnie obserwowali jego poczynania.

Nagle ogarnęła go irytacja. Zorientował się, że to, co robi, jest bez sensu. Był zbyt blisko wieżobalonów. Właściwie widział tylko te, które unosiły się nad granicą obrotowych placów, bo wypełniały niemal całe pole widzenia i zasłaniały wszystko, co się za nimi znajdowało. Musiał się od nich oddalić, żeby zmienić perspektywę. Skręcił w stronę muru, za którym kryła się oszałamiająca panorama Oceanu Mglistych Drzew, i odwrócił się dopiero wtedy, gdy mógł go dotknąć. Uśmiechnął się. Żaden z placów graniczących z murem nie był zadaszony. Rozpościerał się z nich znakomity widok na rozkołysane wieżobalony. Szczególnie jeden przyciągał uwagę. Ogromny, wyraźnie przewyższający rozmiarami wszystkie inne i otoczony ciasnym kręgiem mniejszych kolumn szeleszczącej folii. Jego falujący szczyt niemal dotykał meduzowatych platform

stroszących ruchliwe szypuły rozpromienione osobliwymi rodzajami światła. Kształtem i wielkością pasował do wzorca umieszczonego w instrukcji.

Teraz należało odnaleźć właściwy punkt widzenia.

Lawirując między toczącymi się odwalami, Druss przeszedł przez osiem placów, aż w końcu dotarł do tego, którego szukał, i duży wieżobalon ustawił się we właściwej pozycji, za czterema mniejszymi. Były tu tylko dwa odivale. Oba niezbyt duże. Jeden wyglądał jak ciemnobrązowa kula zwinięta z cienkiego mechatego sznurka i sięgał Drussowi do pasa, a drugi był jeszcze mniejszy i przypominał czarną, porowatą grudę kauczuku.

Druss rozwinął ruchomiedzianą grafikę, by się upewnić, że dobrze pamięta. Nie mylił się. Czarny był pierwszym punktem odniesienia. Miał przypisany znacznik w kształcie kwadratu.

– Ty zaczynasz, Nyklumb – powiedział Druss.

– Co mam robić?

– Wystarczy, że będziesz się trzymał blisko tego czarnego odivala. Musisz iść tuż obok niego, równo z nim, ani szybciej, ani wolniej.

– I to wszystko?

Nie wydawał się rozczarowany ani specjalnie podekscytowany, raczej znużony, jakby robił to już wiele razy. Albo niekonsekwentnie odgrywał swoją rolę, albo chodziło o coś, czego Druss nie potrafił rozgryźć.

– Nie tego się spodziewałeś? – zapytał skonsternowany.

– Sam nie wiem. Myślałem, że będzie tu może jakaś maszyna, którą trzeba wprawić w ruch, lub coś w tym rodzaju.

Druss prychnął.

– To śmieszne, maszyna domaga się maszyny?!

Zapadła krępująca cisza. Dopiero po dłuższej chwili przerwał ją Nyklumb.

– Rób dalej swoje – zabrzączał cicho.

Nieprzyjemny chłód zjeżył Drussowi włosy. Poczłł, że włłśnie przegapił coś waźnego, ale nie miał pojęcia, co to byłł.

– No dobrze... – wydusił przez ściśnięte gardłł. – Nie ruszaj się stąd, chyba że cię zawołam.

– Tak, tak, oczywiście.

Drus popatrzył na duży wieżobalon i towarzyszące mu cztery mniejsze. Razem tworzyły układ o wręcz nienagannej symetrii i zdawało się, że nawet ich falowanie jest nieustannym poszukiwaniem ostatecznej, idealnej formy. Zmusił się, żeby oderwać od nich wzrok, i z lekkim zamętem w głłowie ponownie zajrzał do grafiki.

– Teraz w lewo, do placu z jednym czerwonym odivalem. Chodź, Debe.

– Na pewno? – zapytał ostrożnie karbowany wąż.

– To się okaże – warknął Druss i rozdraźniony ruszył przed siebie.

Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Nagle zaczął tracić kontrolę nad emocjami. Kusilo go, żeby powiedzieć fruchom, co o nich myśli. Podbiegł, przeskoczył na następny plac i obejrzał się za siebie. Debe pełzył za nim, ale trzymał się na dystans. I dobrze. Druss łajał się w myśłach. Przecież powinien milczeć i ukrywać swoje prawdziwe zamiary, bo tylko w ten sposób może z nimi wygrać. Zdawał sobie sprawę, że to jedyne wyjście, ale jego rozsadek nie potrafił sobie poradzić z gwałtownym naporem emocji. Mimo to zdołał się jakoś zebrać w sobie i skupić na poszukiwaniu drugiego punktu odniesienia. Choć sporo go to kosztowało, bo nie mógł się pozbyć przykrego wrazenia, że musi przy tym odrzucić część siebie, autentyczne, głłbokie przeczucia, które chcą mu przekazać coś bardzo waźnego, lecz trzeba je poświęcić, by odzyskać precyzyjny przepływ uwagi i ciągłłść konsekwencji w dążeniu do

wyznaczonego celu.

Wpasował się w koleiny aktualnych potrzeb i niemal od razu dostrzegł sporego czerwonego odivala, zmontowanego z wielu małych miedzianych płytek połączonych miękkim grzybniowym lutem. Toczył się z metalicznym pogłosem. Przypisano mu znacznik w kształcie grubej falistej kreski. Druss zrównał się z nim i zaczekał chwilę.

– Zostań tu – oznajmił, gdy dołączył do niego Debe. – I rób to samo, co Nyklumb.

– Zadziała?

– W jakiś sposób.

– Jaki?

– Zauważalny. Możesz być tego pewien.

Druss nie miał ochoty odpowiadać na kolejne pytania Debe i próbował wymyślić jakąś ciętą, może nawet agresywną ripostę, która zmusi go do milczenia, lecz karbowany wąż oszczędził mu wysiłku i sam umilkł. Druss odetchnął z ulgą i zostawił go na placu. Zmierzając w kierunku dużego wieżobalonu, ani razu nie sprawdził, czy Debe posłusznie wykonuje jego polecenie. Nie musiał. Był przekonany, że bez względu na wszystko fruch będzie robił to, co do niego należy.

Instrukcja doprowadziła go do obrotowego placu, który znajdował się najbliżej dużego wieżobalonu. Można było stąd przejść do dzielnicy ruchomych minaretów na dwa sposoby – przez ażurowy, zadaszony mostek lub przeskakując po szczytach szerokich pylonów. Było ich pięć, ale Drussa interesował tylko trzeci z kolei. Na jego gładkiej ciemnoszarej powierzchni wyryto znaczek małego ludzika.

To tutaj.

Odwrócił się i odszukał wzrokiem czerwonego odivala oraz towarzyszącego mu Debe. To było łatwe, lecz musiał też wypatrzeć

Nuklumba i jego czarnego odivala, kryjących się za wieloma placami pełnymi toczących się obiektów, które dodatkowo były po części zasłonięte przez filary i wsporniki podtrzymujące zawieszono w górze kopuły. Już to, samo w sobie, było dość trudne, ale kiedy w końcu Drussowi udało się tego dokonać, musiał się zmierzyć z faktem, że kolejna wskazówka wpisana w instrukcję jest dość absurdalna. Ściślej rzecz biorąc, najbardziej absurdalna ze wszystkich wytycznych, choć jednocześnie jej niemożliwa dziwaczność miała w sobie coś akceptowalnego, prawdopodobnego i paradoksalnie możliwego do zrealizowania. Druss bezradnie dryfował między tymi skrajnościami i nigdzie nie potrafił zakotwiczyć swojego rozumienia. Mimo to pchany zwykłą, bezrozumną siłą rozpędu, przymierzył się do tego, co musiał zrobić. Czarny odival znajdował się skrajnie po lewej stronie i był bardzo oddalony, natomiast czerwony toczył się znacznie bliżej, na wprost, tuż za trzema obrotowymi placami. A Druss, nie ruszając się z miejsca, w którym stał, miał na nie spojrzeć w taki sposób, żeby mniejszy nałożył się na większy.

Nic bardziej niewykonalnego.

Instrukcja odcisnięta w umyśle Drussa i ruchomiedziana grafika nie tłumaczyły, jak to zrobić. Nie zawierały żadnych wskazówek, sugestii ani nawet zagadkowych piktogramów, które przynajmniej kryłyby w sobie zaszyfrowane obietnice odpowiedzi. W ogóle się nad tym nie rozwodziły, jakby to było takie proste, że dodatkowe wyjaśnienia nie są tu potrzebne. Druss westchnął, lecz to nie zbliżyło odivali.

Jak otworzyć przejście?

Markotnie wpatrywał się w czerwonego odivala, a potem przeniósł wzrok na czarnego i pomyślał, że padł ofiarą jakiegoś skomplikowanego żartu fruchów, którego nigdy nie zrozumie. Chętnie by je tu zostawił i wrócił do pokoju, w którym się obudził,

tak, właśnie teraz, w tym momencie, wystarczy przecież wejść między ruchome minarety i znaleźć tę samą drogę, którą... Nagle, w błysku olśnienia, ponad myślami zajętymi podtrzymywaniem emocjonalnej cyrkulacji, luźne elementy rozumienia połączyły się w jedną spójną całość. Zdumiony Druss powoli rozwinął ruchomiedzianą grafikę. Bez wątpienia były na niej zaznaczone tylko dwa odivale i punkt, z którego należało dokonać ich mentalnego połączenia, ale przecież symulacja Mukanama wyraźnie pokazywała trzy odivale nanizane na połamaną oś, i to ten ostatni miał być najważniejszy.

Czemu go tu nie ma?

Ponieważ to, co powstało wewnątrz muszli ogromnego ślimaka, było kompletne i zawierało w sobie wszystkie potrzebne informacje, lecz działania Drussa sprawiły, że rozpadło się na dwa tylko częściowo uzupełniające się elementy – zapamiętaną instrukcję i ruchomiedzianą grafikę. Być może nie powinno się stamtąd niczego wynosić, ale Druss nie miał wrażenia, że popełnił błąd, i nie robił sobie z tego powodu wyrzutów. Był przekonany, że każdy kontakt z symulacją musi się opierać na ingerencji w jej strukturę i nie da się z niej korzystać, nie zmieniając lub nie niszcząc jej w jakiś sposób. Oczywiście trudno się pogodzić z faktem, że przepadła większość wskazówek, wypowiedzi i wyjaśnień, ale z drugiej strony nie było aż tak źle, bo spora część wiedzy ocalała w pustych miejscach, niedociągnięciach, dziurach i sprzecznościach, które nabierają znaczenia, gdy zestawia się ze sobą niekompletną treść instrukcji z wybrakowanym przekazem grafiki. To, co najważniejsze, pojawia się właśnie między nimi, w negatywowych szczelinach niedopowiedzeń. Co prawda, tylko czasami, a do tego na krótkie, ulotne chwile, ale jeśli się wie, gdzie trzeba patrzeć, to nawet najkrótsze z nich zawsze trwają wystarczająco długo, by dało się odcyfrować sens tego, co się tam

roziskrza.

Druss zaczął to pojmować. Rozejrzył się. W zasięgu wzroku były cztery obrotowe place, które pozornie wydawały się puste. Przypatrzył się najbliższemu. Cierpliwie czekał, aż to, co tam jest, znajdzie drogę do jego świadomości. W końcu, samoistnie, coś zarysowało się tuż nad ciemną powierzchnią placu. Wyglądało jak delikatna fala srebrnego światła lub zwinięte pasemko rotującego blasku. Nie pasowało jednak do głębokich szczelin podpowiedzi i Druss skupił wzrok na drugim placu. Dostrzegł tam kulisty wir drobnych liści zamkniętych w pętli własnego wiatru, ale to również nie miało związku z instrukcją i grafiką. Na trzecim placu było coś nieuchwytnego, migotliwe błyski na dole i w górze, słabiutkie, rozmazane, ledwo widoczne. Cały czas utrzymywały się na granicy percepcji. Mimo to magnetycznie anektowały spojrzenie Drussa, kleiły się do niego, zachęcały do prześlizgiwania się po niemal nieistniejących fakturach kruchego światła. Nie widział powodu, żeby z tym walczyć. Chętnie zrezygnował z kontroli i poddał się przyciąganiu. Zredukował się do roli obserwatora samego siebie i bardzo mu się to podobało. Ochocho dryfował w głąb tego intensywnego, a zarazem rozluźniającego doświadczenia i nagle, niepostrzeżenie, jego umysł zsynchronizował się ze słabymi rozbłyskami. Ulotny kształt, który się pod nimi skrywał, złożył się jak kapryśna układanka skonstruowana z inteligentnych, wielowymiarowych, prawie niewidzialnych elementów, które wspólnie zdecydowały, że pozwolą Drussowi ujrzeć tajemnicę.

Trudno było uwierzyć, ale cały plac zajmował jeden kolosalny, na wpół obecny odival. Coś w rodzaju pustej kuli stworzonej z cienkiej i całkowicie przezroczystej materii. Słabe, migotliwe błyski, były refleksami światła, pojawiały się i gasły na krzywiznach jego rozfalowanej powierzchni, a teraz, gdy wizualnie stały się integralną częścią całego odivala, natychmiast zaczęły wypełniać

negatywowe szczeliny podpowiedzi. Do pomarszczonej gładzi przezroczyściego lśnienia przylgnęły odbicia niezliczonych odivali. Gdzieś wśród nich na pewno był również czarny Nyklumba oraz czerwony Debe. Druss nie mógł ich wypatrzeć w mrowiu kulistych kształtów, lecz właśnie tak miało być, bo powinien szukać czegoś innego. Przekrzywił głowę i wyteżył wzrok. A fruchy tam były, czekały na niego między odivalami i filarami podtrzymującymi kopuły. Przecież po to zostały rozstawione. Tak bardzo się wyróżniały, że trudno było ich nie zauważyć. Błyszcząco, metaliczny sześcian kołysał się na teleskopowych nogach, a ciemny, karbowany wąż pełził rwącym, mechanicznym ruchem. Druss skupił się tylko na nich. Ich odbicia były bardzo blisko siebie, ale jeszcze się nie nakładały. Nie spuszczać wzroku, cofnął się dwa kroki, a potem przyklęknął. Zbliżyły się, lecz to jeszcze nie było to. Odrobineę przesunął się w lewo i nagle Nyklumb, wraz ze swoim czarnym odivalem, znaleźli się w środku czerwonego odivala Debe. Odbite wizerunki nałożyły się na siebie w ciekawy sposób. Wydawało się, że mały odival toczy się wewnątrz dużego, a Nyklumb stąpa po falującym poziomo Debe. Wciąż jednak czegoś brakowało. Druss zawahał się i wtedy na błyszczącym korpusie Nyklumba zobaczył odbicie w odbiciu, maleńką klęczącą postać, ludzika z instrukcji, samego siebie.

Jego myśli przyśpieszyły jak rwący nurt gwałtownie wzbierającej rzeki, która porywa wszystko, co napotka na swojej drodze. Druss próbował zachować spokój. Chciał w sobie znaleźć coś spójnego, coś dającego oparcie, coś, czego można się uchwycić, ale nie mógł, bo stał się mknącą tonią wirujących obrazów, emocji, wyobrażeń, zapachów i dźwięków. Rozsadzało go od środka. Rwał się na strzępy luźny węzeł rzeczywistości, który jeszcze przed chwilą lgnął do imienia Druss, a teraz błyskawicznie tracił kontakt z otaczającym go światem. Wokół niego pływało coraz więcej

dziwnych kształtów, których znaczenie całkowicie mu się wymykało. Wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć, lecz jej także nie rozpoznał. Wystraszył się tego czegoś, co wyrastało mu z boku, zachwiał się i pochłonęła go głęboka kipiela.

Obecność powróciła, gdy zdała sobie sprawę, że wilgotny półmrok, nasycony soczystym zapachem ziemi i mokrych kamieni, nie jest nią, lecz czymś, co ją otacza. Tuż przed sobą zobaczyła ciemnobrązową pobrużdżoną powierzchnię pokrytą drobnymi kanciastymi kształtami. Były tam również dwa bliźniaczo podobne obiekty zakończone taką samą liczbą cienkich wyrostków. Wyglądały jak coś żywego. Poruszyły się, a ona rozpoznała w nich dłonie przyciśnięte do gliniastej ziemi. Swoje dłonie. Poczowała pod nimi ostre kamyki i rozbłysło w niej mgliste wspomnienie zdumiewającego miasta, w którym zamierzała otworzyć przejście do innego świata. Nie pamiętała, dlaczego chciała to zrobić, ale chyba się udało.

Tylko gdzie właściwie trafiła?

Wyczuła swoje ciało i uświadomiła sobie, że jest jej niewygodnie. Nie mogła się wyprostować, bo klęczała na czworakach w niskim tunelu. Na szczęście nie był on długi i żeby z niego wyjść wystarczyło tylko trochę przesunąć się do przodu. Na zewnątrz padał drobny, jednostajny deszcz. Potężne burzowe chmury całkowicie zakrywały niebo nad skalistą doliną skąpaną w szarym deszczowym świetle. Daleko w dole metalicznie błyszczało duże jezioro, a w górze, między postrzępionymi chmurami i szybko przemieszczającymi się pasmami gęstej mgły, pojawiały się i znikwały pionowe zbocza wysokich gór. Jednak teren, na którym stała obecność, był tylko lekko nachylony i podobnie jak reszta tej części doliny łagodnie opadał w stronę jeziora.

Dookoła, na pofałdowanym i kamienistym gruncie, prawie całkowicie pozbawionym roślinności, wznosiły się niskie,

stożkowate stupy zbudowane z precyzyjnie dopasowanych głazów. W zasięgu wzroku stało trzynaście takich budowli. Wyglądały niemal identycznie. Każda była zwieńczona dużą kamienną kulą, a w dole, tuż przy samej ziemi, ciemniały w nich wyloty niskich tuneli, prawdopodobnie takich samych jak ten, z którego przed chwilą wyszła obecność. Cisza doliny, powlekana ledwo słyszalnym i jakby owadziim szmerem drobnego deszczu, miała w sobie coś niepokojącego. Nie zwlekając, obecność ruszyła w dół łagodnego stoku, żeby jak najszybciej zagłuszyć ją swojskim chrzęstem własnych kroków. Nie dziwiła się, że ma na sobie ubranie i buty. Uważała, że ochrona, jaką jej zapewniają, to wyraz przychyłności tego świata, jego subtelne błogosławieństwo.

Zatrzymała się tknięta nagłym lękiem. Zamajaczył przed nią duży kanciasty kształt zatopiony w bryle gęstej mgły. Obecność wahała się przez chwilę, lecz tamto w ogóle się nie ruszało, więc odważyła się podejść bliżej. Był to prosty kwadratowy budynek, który podobnie jak stupy został zbudowany ze starannie dopasowanych kamieni. Płaski łupkowy dach lśnił w deszczu jak rybie łuski. Nigdzie nie było widać okien ani drzwi. Obecność powoli okrążyła budowlę i odkryła, że po drugiej stronie są duże drewniane wrota. Prowadziła od nich wyboista ścieżka, która wiła się od strony jeziora. Czuła, że powinna sprawdzić, co się za nimi kryje, ale gdy tylko skierowała się w ich stronę, bezładna sterta płaskich kamieni leżących obok wrót poderwała się w górę i z ogłuszającym świstem przekształciła w ryczące kamienne ostrze, które zawisło w powietrzu. Przerazona obecność zamarła w pół kroku i skuliła się w sobie.

– Zostaw! – rozległ się znajomy głos. – On może wejść.

Ostrze natychmiast się rozpadło. Płaskie kamienie spadły z rumorem na ziemię. W otwartych wrotach stał duży metaliczny sześciąt na czterech teleskopowych nogach.

– Nareszcie! – zabrzączał. – Jeszcze nigdy tak długo nie czekaliśmy. No chodź, Druss.

Druss – to słowo coś znaczy, coś ważnego, obecność była tego pewna, choć nie miała pojęcia, skąd bierze tę pewność, ale ta metaliczna istota mówiąca dziwnie znajomym głosem z całą pewnością wiedziała więcej od niej. Obecność zbliżyła się do wrót. Sześcian wycofał się w głąb ciemnego wnętrza budynku, by mogła wejść do środka. Po przekroczeniu progu przez dłuższą chwilę nic nie widziała. Musiała się oswoić ze smolistym półmrokiem, który kłębił się wokół niej jak gęsty dym. Dopiero potem zaczęła dostrzegać niewyraźne szczegóły: zwiędłe kwiaty rozrzucone na klepisku i sklezione woskiem pochodzącym z wielu wypalonych świec, kopczyki fosforyzującego popiołu, a także mnóstwo małych kulek. Było ich naprawdę dużo – srebrne, miedziane, szklane, złote, kamienne, drewniane, kryształowe – ale obecność odniosła wrażenie, że dalej, w mrocznej głębi budynku, jest ich jeszcze więcej.

– Czekasz na coś? – zapytał metaliczny sześcian ukryty w ciemności.

Obecność rozejrzała się nerwowo.

– Nie, ja tylko tak... – odparła, choć nie bardzo wiedziała, co chce przez to powiedzieć.

– To podejdź wreszcie!

Ostrożnie ruszyła przed siebie. Starła się nie deptać kulek, lecz było to trudne, bo przecucie jej nie myliło – przybywało ich z każdym krokiem. Chwiała się, traciła równowagę, ale uparcie parła do przodu. Przyciągało ją nikłe, przelewające się światło zagubione w mroku. Nie była do końca pewna, czy rzeczywiście je widzi, czy jest to tylko złudzenie żarzące się w jej świadomości, jednak głos metalicznego sześcianu również dochodził z tamtej strony, więc obecność uznała, że coś w tym musi być. W końcu,

brnąć po kolana w przesypujących się kulkach, dotarła do szerokiej podstawy masywnego cokołu. Na jego szczycie, wysoko, tuż pod belkowanym stropem, spoczywała duża kryształowa kula. Piękna, fascynująca, absolutnie wyjątkowa. Obecność była przekonana, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak wspaniałego. Jej mleczone, półprzezroczyste wnętrze rozświetlała złota iskra, która cudownie powolnym, hipnotycznym ruchem, przelewała się z dołu do góry i z góry na dół. Patrząc na ten nieustanny dryf wędrującego blasku, obecność czuła, jak powracają jej wspomnienia i ciężar świadomości samej siebie. Roztrzaskane fragmenty tego, czym kiedyś była, wciąż wirowały splątane w jedną dziką, nieuporządkowaną falę, lecz z każdą chwilą gęstniały i wytracały impet.

Co to jest?

Obecność wpatrywała się w kryształową kulę i nurzała w ekstatycznym zachwycie.

Co to jest?

– Napatrzyłeś się?

Jakiś głos wyrwał ją z błogostanu. Znała ten głos. Niechętnie oderwała wzrok od kuli. Metaliczny sześcian stał tuż obok, po lewej stronie cokołu, skąpany w złotej poświacie. Ale ona chciała tylko, żeby dał jej spokój i pozwolił nadal rozkoszować się iskrą zamkniętą w kryształ.

– Nie! – powiedziała. – Zostaw mnie!

– Zawsze to samo...

Obecność miała problemy z koncentracją, lecz wśród gwałtownych zawirowań myśli pojawiały się coraz spójniejsze struktury pamięci, które łączyły się ze sobą i powoli dobudowywały sens do sytuacji, w jakiej się znalazła.

Nie.

Znalazł.

– To ja... Jestem Druss... Otworzyłem przejście...

– Nie pierwszy raz.

Już go pamiętał, to Nyklumb, a skoro on tu jest, to musi być też ten drugi – Debe. I był. Oczywiście. Jakżeby inaczej. Karbowany wąż leżał zwinięty z prawej strony cokołu, nie ruszał się i wyglądał jak martwy przedmiot. Natomiast ten cudowny, olśniewający obiekt, ta kula z litego, jedwabiście gładkiego kryształu, która znajdowała się na cokole, to mógł być tylko Rairom. Wspomnienia wcześniejszych wydarzeń, kalkulacje, fakty i rozważania intensywnie sortowały się w świadomości Drussa i powoli, acz nieubłaganie, zaczynała do niego docierać nieprzyjemna prawda – nic tu do siebie nie pasuje. Przede wszystkim ani Nyklumb, ani tym bardziej nieruchomy Debe, nie wyglądali, jakby znaleźli coś, czego od dawna szukali, a Rairom nie sprawiał wrażenia zagubionego frucha uwięzionego w tym miejscu. Nic podobnego. Był raczej czymś na kształt boskiej inkarnacji, której tutejsze istoty oddają cześć. A zatem...

„Zaczyna się obudowywać rozumieniem”.

Głos Rairoma brzmiał jak kryształowe dzwoneczki trącane ciepłą, łagodną bryzą. Druss mógłby go słuchać godzinami, i to mimo że wyczuwał w nim ukrytą groźbę.

– Dałem się podejść, tak? – zapytał, nabierając dojmującej pewności, że większość jego domysłów minęła się z prawdą i od początku nie miał z fruchami żadnych szans.

– Wielokrotnie – potwierdził Nyklumb. – Odkąd pojawiłeś się w mieście i za naszą namową stworzyłeś symulację, dzięki której odkryłeś położenie Rairoma i wytyczyłeś do niego drogę, skorzystałeś ze swojej instrukcji ponad dwadzieścia razy.

– Przecież to nie ja, tylko Mukanam!

– Mukanam nie istnieje. To twój wymysł. Lustrzane odbicie

Manakuma, pancerza, który cię chronił. Sam nadałeś mu iluzoryczną tożsamość. Właściwie to nie bardzo wiemy po co. Jeśli się dobrze rozejrzysz, to może znajdziesz tu resztki tego, co z niego zostało. Dla ułatwienia dodam, że przypominają małe srebrzyste łuski. Powoli zaczynaliśmy już tracić nadzieję, ale nasza cierpliwość została wynagrodzona, gdyż w końcu, po wielu próbach, Rairom zdołał was rozdzielić i teraz możemy się ciebie pozbyć na dobre.

Druss chciał coś powiedzieć, zaprzeczyć, sprzeciwić się, ale ogłuszył go piekący, przygniatający wstyd i mógł tylko stać ze spuszczoną głową. Jak to możliwe, że aż tak się pomylił w ocenie sytuacji? Dlaczego nie zorientował się, do czego to wszystko zmierza? Wydawało mu się, że nad wszystkim panuje, a tymczasem to fruchy prowadziły go za rękę. Chociaż nie. Gorzej. Sam się prowadził, bo bezkrytycznie wierzył we wszystko, co przyszło mu do głowy.

„Masz rację, ale zawsze dochodzisz do tego samego wniosku i nic z tego nie wynika”.

Druss niechętnie spojrzał na Rairoma. Czuł, jak ten potężny fruch prześwietla go na wylot i wchłania każdą jego myśl.

„Jesteś całkowicie przewidywalny i łatwo się tobą manipuluje. Drepczesz w kółko po własnych śladach i wciąż nabierasz się na te same proste sztuczki, jak ta z jajowatym konstruktem, który otwiera się przed każdym przybyszem. Można ci podsunąć jakikolwiek trop, a ty zawsze wykorzystasz go w taki sam sposób. Naprawdę nie było trudno sprowadzać cię tu raz za razem. Nieustannie sprawdzała się ta sama strategia. Wystarczyła drobna sugestia albo lekka zachęta, a ty niezawodnie wpadałeś w koleiny swoich nawyków, uparcie wierząc przy tym, że działasz przeciwko

nam. Wypychałem cię z tej rzeczywistości, a ty wracałeś, znowu cię wypychałem, a ty znowu wracałeś. Manakum nie pozwalał, byś wypadł poza obręb światów, które przenikają się w wielowymiarze miasta, ale każde wypchnięcie coraz bardziej osłabiało twój pancerz. Stawałeś przede mną uformowany w różne tożsamości, byłeś jednoosobowym pochodem rozmaitych ludzi, byłeś Cyparisem, Atrifą, Galenem i wieloma, wieloma innymi, lecz to już koniec. Teraz jesteś już tylko ty. Jeden. Kiedy podczas naszego ostatniego spotkania zdołałem oddzielić cię od Manakuma i zniszczyć go, wiedziałem, że tym razem przeskoczysz do miasta najkrótszą drogą i zmaterializujesz się w nim jako Druss. Jeszcze miałaś w sobie odrobinę mocy pancerza, ale Nyklumb i Debe już na ciebie czekali i oczywiście wiedzieli, co mają robić. Jak zwykle.

Nie powinieneś się dziwić temu, co się stało. W istocie nic nie mogłeś na to poradzić. Twój umysł, a właściwie najgłębsza esencja tego, czym jesteś, woli tworzyć własne wersje rzeczywistości niż doświadczać jej takiej, jaka jest. Boisz się tej mnogiej, niezgłębionej, wszechogarniającej otchłani, w której żyjesz, i bronisz się przed nią. Nawet nie chcesz przyjąć do wiadomości, że ona istnieje i jesteś jej częścią, więc dlatego musimy się ciebie pozbyć. Twoja obecność może być dla nas tylko przeszkodą”.

Druss nie czuł się na siłach, by mu przerywać. Milczał i przeglądał się w słowach Rairoma jak w lustrze, które odbija tylko to, co najgorsze, ale kiedy fruch skończył, zdołał wykrzesać z siebie słaby sprzeciw i szepnął bez przekonania:

– Nie wierzę...

„Może pomogłoby ci, gdybyś zajrzał do schematu, o którym mówił Nyklumb?”.

Poczuł, że odzyskuje nadzieję. Zupełnie o nim zapomniał. On rzeczywiście mógłby mu pomóc zrozumieć zależności łączące go z fruchami i... Wtem zdał sobie sprawę, że znowu to robi, znowu łapie fałszywy trop i buduje własną wersję rzeczywistości, a Rairom umiejętnie manipuluje rozmową, by Druss mógł świadomie doświadczyć tego procesu, zanim zostanie zepchnięty z krawędzi niewyobrażalnej dali. Bez osłony Manakuma oderwie się od tego skupiska wielorakich rzeczywistości i pomknie w stronę innych, jeszcze bardziej odmiennych i obcych, gdzie przekształcony, całkowicie pozbawiony swojej tożsamości, będzie się błąkał przez niezliczone eony, aż do chwili, gdy zatrzyma się czas.

Druss wiedział, co go czeka, bo w obecności Rairoma wszystko wydawało się zrozumiałe, oczywiste i łatwe do zaakceptowania. Zdawał sobie sprawę, że powinien być na niego zły, tak samo jak na pozostałe fruchy, ale musiał szczerze przyznać, że wbrew wszystkiemu nie potrafi się na niego gniewać i w zasadzie to jest mu nawet wdzięczny. Choć nie umiałby sprecyzować, za co. Mimo to powiedział:

– Dziękuję. Za nieistniejącą instrukcję również.

„Tak lepiej. Nie powinniśmy się zegnać. Na wszelki wypadek”.

Druss nie zamknął oczu. Patrzył na niego do końca. Rozkoszował się jego pięknem, gdy nagle wydało mu się, że słyszy odległy huk potężnego gromu, apokaliptyczny trzask złotego błysku przeskakującego w głąb pustki.

* * *

Panaplian chciał ich wypchnąć tuż nad samym gymsem, żeby zminimalizować ryzyko przypadkowego ujrzenia Ebreny. Hemel

i Tenan czuli, jak nimi obraca w zimnej żelbetonowej toni, a potem ostrożnie wysuwa poza obręb gęstej ziarnistej ciemności. Coś jednak poszło nie tak i gdy wynurzyli się z muru, zawisli bezwładnie w powietrzu, jakby po tej stronie brakowało nie tylko gzymsu, ale także ciężenia. Lewitowali w pustce i wiedzieli, że nie mogą jej oswoić za pomocą wzroku. Musieli polegać wyłącznie na swoim słuchu, lecz to, co słyszeli, tylko potęgowało ich niepokój. Zewsząd dobiegały szepczące pogłosy falujące w bezdennej otchłani, która otwierała się pod nimi iście kosmiczną głębią nakładających się dźwięków: pisków, trzasków, suchych wyładowań, bełkotliwych słów, powarkiwań, gardłowych krzyków, poszatkowanych fragmentów dziwacznej muzyki i powoli przemieszczających się warstw masywnych wibracji o tak potężnym natężeniu, że mogły je wywołać jedynie ocierające się płyty tektoniczne albo coś znacznie większego – gigantyczny instrument zbudowany z martwych planet krążących wokół gasnącej rubinowej gwiazdy; instrument, który od niepamiętnych czasów rozbrzmiewa gęstą subsoniczną pieśnią, spowalniającą czas i pożerającą próżnię.

Żywa konstelacja splątanych dźwięków napierała na skórę i mąciła myśli. Tenan zaczął drżeć, walczył z pokusą wysunięcia ektoplazmatycznej wypustki i nie mógł opanować bezwiednego popiskiwania. Hemel warknął ostrzegawczo i mocniej zacisnął palce na włochatej nodze. Pomogło. Tenan ucichł. Zamin znajdował się jednak w lepszej sytuacji niż perus, bo jego lewa dłoń wciąż była zanurzona w betonie i magnetycznie przylegała do gorącego boku Panaplina. Dawało mu to fizyczne oparcie, a także szczątkowe poczucie bezpieczeństwa, które mimo wszystko było na tyle mocne, że pomagało zachować względny spokój. Nagle pod palcami lewej dłoni Hemel poczuł delikatne mrowienie. Napłynęło od strony Panaplina, wniknęło w ramię, zagłębiło się w ciele i pomknęło

wyżej, do głowy, gdzie natychmiast przekształciło się w słowa.

Źle ocenilem odległość.

Ona bez przerwy coś zmienia.

Jesteście za wysoko.

Przyciągnij Tenana do siebie.

Zaraz was przemieszczę.

Hemel wykonał polecenie i poczuł, że powoli zaczynają opadać. Chłód płynnego betonu prześlizgiwał się po jego nadgarstku.

– Co się dzieje? – jęknął Tenan.

– Wyszliśmy za wysoko i Panaplian koryguje.

– Przecież miał nas posadzić na gzymsie!

– Ale on chyba ciągle zmienia położenie. Wiesz, myślę, że...

Chciał mówić dalej, zagadywać i wyrzucać z siebie słowo za słowem, bo odkrył, że to świetny sposób na zagłuszanie bełkoczącego oddechu otchłani, ale nagle poczuł grunt pod nogami i umilkł zaskoczony.

– Hemel? – zaniepokoił się Tenan. – Wszystko dobrze?

– Jest gzyms, stoję na nim.

– Daleko mam?

– Zaraz się przekonasz.

Zamin pociągnął Tenana w dół i nakierował na wąską betonową półkę. Gdy obaj się na niej znaleźli, odruchowo przyłgnęli do muru. Hemel puścił nogę perusa, ale jego lewa dłoń nadal dotykała Panapliana ukrytego w betonie. Znowu popłynęło przez nią delikatne mrowienie.

Pamiętajcie!

Nie wolno na nią patrzeć!

Wiem, że będzie was kusito,

*Ale jeśli ulegniecie,
Będzie to ostatnia rzecz,
Jaką zrobicie na tym świecie.
Nie próbujcie również
Otwierać tabloesorów.
Idźcie.
Skupcie się na zadaniu.
Nie musicie się śpieszyć.
Wierzę, że sobie poradzicie.
Czekam tu na was.*

Hemel stracił kontakt z Panaplianem i jego dłoń wysunęła się z muru. Mimowolnie obmacał miejsce, w którym się wynurzyła, ale była tam tylko jednolita chropowata powierzchnia. Wróciło ciężenie, a wraz z nim znajome poczucie masy ciała.

– Nareszcie oddał nam ciężar, bez niego trudno być sobą – stwierdził perus.

Hemel sapnął chrapliwie.

– Skoro tak uważasz...

– A ty nie?! Nie wmówisz mi, że jest ci to obojętne. Przecież nawet ty masz jakieś...

– Dobrze już, dobrze – przerwał mu Hemel. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w słowne przepychanki, choć rozumiał, że Tenan próbuje w ten sposób rozładować napięcie i oszukać strach. – Po prostu w ogóle się nad tym nie zastanawiałem, bo cały czas myślę, co trzeba zrobić.

– Jasne, powiedz jeszcze, że zamini niczego się nie boją – zadrwił Tenan. – Widziałem, jak zareagowałeś, gdy Panaplian zaczął wyjaśniać, na czym ma polegać nasza rola.

Hemel zarechotał.

– Wszyscy czują lęk, wszyscy, tylko że w odróżnieniu od ciebie ja

nie robię z tego sprawy.

Tenan umilkł i nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Powietrze wokół nich zagadywało cichymi pogłosami jazgotliwej otchłani.

– To którędy? – zapytał w końcu Hemel.

– Może ty prowadź – zasugerował Tenan.

Odpowiadało mu to. Obrócił się, żeby prawym bokiem cały czas dotykać muru, i powoli, opierając się na przedramionach, zaczął sięczołgać. Tenan trzymał się tuż za nim. Obrął podobną strategię, oczywiście, na ile pozwalała mu odmienna budowa ciała. Zgiął nogi pod dużym kątem, dwie przesunął wzdłuż muru, trzecią podpierał się od strony otchłani, a dolną częścią swojego kulistego tułowia tarł o zwietrzałą powierzchnię gzymsu, która zostawiała na skórze suchy posmak starego popiołu. Ostrożniepełzli przed siebie, lecz już trzy długości ciała dalej Hemel odkrył, że dotarli do miejsca, w którym kończy się gzyms i nie ma dalszej drogi. Wysunął rękę do przodu w nadziei, że natrafili na szeroką szczelinę, ale wyczuł tylko pionowy mur i pustą przestrzeń.

– Czemu stoimy? – zapytał Tenan.

– Nie ma przejścia. Gzyms się zerwał. Utknęliśmy.

– Na Tabotta, Panaplian znowu nas okłamał! Przecież mówił, że obojętne, w którą stronę pójdziemy!

– To zwodnicze miejsce, oszukuje go tak samo jak nas.

– Ale to my tu tkwimy, nie on!

– Zgadza się i spróbujemy znaleźć inną drogę.

– Niby jak?

– Normalnie, zawrócimy i teraz ty poprowadzisz.

– Ja?!

Hemel odwrócił się i szturchnął go potężną pięścią.

– No już, nie traćmy czasu.

– Idę, idę...

Do tej pory Tenan wierzył, że uda mu się tego uniknąć, i ta wiara

dodawala mu otuchy, ale gzyms byl zbyt wazki, zeby bezpiecznie zamienic sie miejscami, wiec musial sie pogodzic z nieuchronnym nastepstwem zdarzen, lekliwie przestawil szcudlowate nogi i ruszyli w przeciwnym kierunku.

– Czeka! – powiedzial nagle Hemel. – Zatrzymaj sie na chwile.

– Co znowu?

– Chce cos sprawdzic, rozejrzec sie troche.

– Oszalales?! Nie pamietasz, co mowil Panaplian?! Co prawda nie ufam mu, ale...

– Nie bede patrzyl w strone Ebreny, mam pewien pomysl, jak by ci to... Twój wzrok dziala inaczej niz mój, prawda?

– Zgadza sie.

– Uzywasz tej swojej wypustki, ktora w kazdej chwili mozesz schowac.

– No tak.

– Ale gdy wciagasz ja do wnetrza ciala, to dociera do niej chocby odrobina zewnetrznego swiatla?

– Nie.

– A w srodku cos widzisz, na przyklad aksamitna ciemnosc rozswietlona slabymi rozblyskami?

– Nie mam pojecia, o czym mowisz, po prostu odlamam ten zmysl, a pozostale czesciowo zajmują jego miejsce.

– Ja tak nie potrafię. Moje oczy to kule wypełnione płynem. Mogę je zakryć powiekami, ale nie dam rady całkowicie odciąć się od bodźców, bo jakaś część światła zewnetrznego zawsze zdoła przeniknąć przez skóre i dotrzeć do swiatloczulego dna oka. To jeszcze nie wszystko. W całkowitych ciemnościach widzę delikatne rozblyski, które najprawdopodobniej samoistnie powstają w głębi oczu.

– To ciekawe i dość osobliwe, ale jaki to ma związek z tym, co chcesz zrobić?

– Nie rozumiesz, do czego zmierzam?! – prychnął poirytowany Hemel. – Odkąd tu jesteśmy, cały czas mam zamknięte oczy, a mimo to pod powiekami widzę pełgające, powolne rozbłyski. Wcześniej myślałem, że to ja sam ze zdenerwowania dodaję coś od siebie, ale gdy zatrzymałem się na krawędzi gzymsu i skierowałem głowę w dół, te rozchybotane światła znacznie przybrały na sile.

– Czyli że raczej ci się nie wydaje?

– Tak podejrzewam. Zamierzam przyłożyć twarz do muru i otworzyć oczy. Jestem ciekaw, co zobaczę. Pewnie niewiele, ale nie daje mi to spokoju i chcę spróbować.

– Skoro do tej pory nie wzbudziłeś podejrzeń Ebreny...

– Byłem pewien, że będę cię musiał przekonywać.

– Nie doceniasz mnie.

Hemel był skłonny się z nim zgodzić, bo z powodów, których nie rozumiał i nie zamierzał zgłębiać, wciąż zaskakiwała go nieprzewidywalność Tenana. Odetchnął głęboko, a potem bez zbędnych rytuałów przycisnął czoło do muru i powoli otworzył oczy. Ujrzał popękana fakturę zwietrzałego betonu, skąpaną w pływającym ciemnopomarańczowym świetle, które wcale nie wyglądało jak światło, wirowało pulsującymi rozbłyskami niczym gęsta zawiesina rozszarżonych iskier, wsiąkało w beton i falowało wraz z nim. Hemel natychmiast zamknął oczy. Tak było o wiele lepiej.

– I jak? – zapytał Tenan.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Otworzyłeś czy nie?

– Otworzyłem, ale nie powinienem był tego robić.

– Dlaczego?

– Bo to odbiera wszystkiemu stabilność.

– Miałeś rację: nie chcę wiedzieć – stwierdził krótko Tenan i po omacku ruszył dalej.

Otchłań buczała i zawodziła gderliwie, wtem przetoczył się przez nią huk, który rozprysł się na tysiące pojedynczych, rozćwierkanych melodii, a chwilę później wszystkie, jedna po drugiej, utonęły w falującym szumie i przekształciły się w gąszcz głośnych skrzypień przekomarzających się w nieznanym języku. Perus starał się ignorować dźwięki napływające z otchłani i początkowo nie miał z tym większego problemu, bo musiał się skupić na badaniu drogi. Ale gdy złapał rytm – noga do przodu, ostrożne obmacywanie gzymsu, przesunięcie ciała, noga do przodu, ostrożne obmacywanie gzymsu, przesunięcie ciała – zaczął to robić automatycznie i jego myśli coraz częściej uciekały w stronę dziwnych odgłosów. By temu zapobiec, usiłował skierować uwagę na coś innego. Rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek punktu zaczepienia, gdy nagle przypomniał sobie, że słowa Hemela mówiącego o różnych sposobach obcowania ze światłem, wynikających z odmiennej budowy narządów wzroku, poruszyły w nim coś, co natychmiast odrzucił, tknięty nadspodziewanie gwałtownym impulsem. Pozostał mu tylko cień tego wrażenia, delikatny zarys, który usilnie próbował odtworzyć i wypełnić treścią, mimo że otaczała go silna aura przekonania, że nie powinien podążać tym tropem. Krążył wokół tego, czego nie mógł uchwycić, przeskakiwał między skojarzeniami i nagle jest, udało się, znowu to miał. Wczepił się w to ze wszystkich sił i nie zamierzał puścić.

– Hemel... – szepnął, nie zatrzymując się.

– Mówiłeś coś? Powtórz, tylko głośniej. Słabo słyhać w tym hałasie.

– Jak można widzieć coś, czego nie ma?

– Dlaczego pytasz?

– Bo nie potrafię zrozumieć.

– Czego?

– W jaki sposób to działa.
– Nie możesz się wyrażać trochę jaśniej?
– Karnawał Tabotta, plaga nawiedzeń, dziwne konstrukcje, przebudowy...

– Co z nimi?

– A to, że tak na prawdę nic się nie dzieje.

Hemel westchnął ciężko.

– Co ty znowu wymyślasz?

– Ja?! To wy! A może coś innego. To wszystko jest... Przystaję cokolwiek pojmować. Tak jak z tym Impulsem, który trafił tylko Basala.

Zamin poczuł nieprzyjemne swędzenie z tyłu głowy.

– Co zobaczyłeś? – zapytał chrapliwie.

– Wszystko tam jest, w moich wspomnieniach, wystarczy tylko spojrzeć na nie pod odpowiednim kątem. Kiedy wyjaśniałeś, jak działają oczy zaminów, coś przesunęło się w mojej świadomości. Początkowo nie wiedziałem, co się stało, to chyba taki nawyk, wyuczone odruchy, dzięki którym nie mamy prawa tego zauważać, ale nie zrezygnowałem i w końcu unieruchomiłem to w mentalnym polu widzenia. Choć wcale mi się to nie podoba. Wcale.

– Co zobaczyłeś?! – powtórzył z naciskiem Hemel.

Obaj mieli świadomość, że wkraczają na zwodniczy teren widmowego Linvenogre, które niemal w całości zostało wzniesione w umysłach mieszkańców.

– Wiedziałeś o tym, prawda?! Powiedz, że wiedziałeś! – wykrzyczał Tenan.

Zamin próbował zachować spokój.

– Dla nas, no dobrze, dla mnie było to jak najbardziej realne, większość tych zjawisk musiała taka być i nawet jeśli czasami pojawiały się wątpliwości, natychmiast je wypierałem, wstydliwie ukrywałem przed innymi, bo przecież czułem te obce byty w swojej

głowie, wsłuchiwałem się w ich polecenia albo pozwalałem im działać moimi rękami, którymi potem montowałem kapilarę do transportu białego wiatru lub budowałem heksagonalne komórki, by chmury mogły w nich zakotwiczyć swoje cienkie odnóża. Po wyjściu z transu porzucałem gotowe czy też częściowo ukończone konstrukcje i później nigdy ich nie szukałem, ale to niczego nie dowodzi. Dla mnie, powtarzam, dla mnie było to prawdziwe, choć zdarzało się, że...

Hemel umilkł. Próbował mówić, ale nie mógł. Coś dusiło go w środku i blokowało słowa. Jeszcze nigdy się tak nie czuł – jakby zatrzymał się na progu ciemnego pokoju, bo z przerażeniem zdał sobie sprawę, że w środku jest coś, czego pod żadnym pozorem nie powinien zobaczyć. Tenan wyczuwał jego lęk i wiedział, skąd się bierze. Znał jego źródło.

– Jednak miałem rację – powiedział. – Nie jesteś pewien swoich doświadczeń. To interesujące, bo ja nie jestem zaminem, a dotąd nie miałem powodów, by kwestionować prawdziwość tego, co dzieje się podczas Karnawałów Tabotta, ale teraz... Teraz pamiętam coś innego.

– Ja, ja...

– Nic nie mów. Zostaw to mnie. Cztery lata temu, wczesnie rano, tuż po karnawałowej nocy, udałem się do portu po przesyłkę. Miałem odebrać podarunek dla szanowanego nestora starszyzny mojego kominodomu – żywą drewnianą rzeźbę, stworzoną przez trutle, która przyłynęła do Linvenogre na pokładzie jednego z tych dużych kupieckich okrętów mogących żeglować nie tylko po jeziorach i rzekach, ale także po morzach. Zawsze chciałem wejść na pokład takiej jednostki i obejrzeć ją z bliska, więc cieszyłem się, że moje marzenie się spełni. Do tego nadarzała się również rzadka okazja, by pobawić się dziełem trutli. Czekala mnie zatem podwójna przyjemność i nie zamierzałem się śpieszyć z powrotem

do kominodomu. Gdy przebyłem ponad połowę drogi, zobaczyłem skupisko pięciu tulpa unoszących się nad wąską alejką. Podeszedłem bliżej i okazało się, że tak naprawdę krążą nad kwadratowym spłachetkiem ziemi, pustym miejscem między domami zaminów, które zostało otoczone prowizorycznym płotem pilnowanym przez dwóch gwardzistów. Od razu zrozumiałem, że tędy nie przejdę, i byłem trochę zły, bo wiesz, po lewej stronie miałem mur enez i wiedziałem, że muszę się cofnąć aż do Apolabium, a potem pójść przez salos albo dookoła kanałami w stronę tomor i wzdłuż brzegu jeziora. Tak czy inaczej, czekał mnie dłuższy spacer. Śpieszyłem się, ale byłem też ciekaw, co się dzieje za płotem. Zresztą nie tylko ja. Zebrała się już spora grupka gapiów. Przyłączyłem się do nich.

Jak mówiłem, między domami był niewielki kwadratowy plac błotnistej ziemi, podmokły i gęsto zarośnięty wodną trawą. I tam, w tym trawiastym bloku, siedziało w kółku czterech zaminów. Mieli puste, nieobecne spojrzenia, ale ich dłonie pracowały z niezwykłą precyzją. Co chwila któryś z nich sięgał do swojej paszczy, wyjmował z niej małą cegielkę żółtego blasku, a potem kładł ją przed sobą w powietrzu i ona nie spadała. Kiedy tam przyszedłem, było ich już bardzo dużo, ale zamini wciąż dokładali nowe. Budowali z nich skomplikowany żółty mechanizm, tykający lewitującymi częściami, które zachodziły na siebie pod dziwnymi, niemożliwymi kątami. To było fascynujące. Spojrzałem w górę. Nad pograżonymi w karnawałowym transie zaminami majestatycznie krążyły tulpa, jakby nie chciały przegapić żadnego etapu powstawania cegielkowej maszyny. Tego ranka blask wschodzącego słońca z taką łatwością przenikał przez ich pancerze, że wydawały się puste w środku. Pamiętam każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, niezwykle faktury ich kolców, faliste ruchy segmentowanych macek, kształt chmur leniwie przemierzających niebo. Potem skupiłem się na zapracowanych zaminach i straciłem

poczucie czasu. Gdy znów zacząłem normalnie myśleć, pozycja słońca uświadomiła mi, że już dawno powinienem być w porcie, i pobiegłem okrężną drogą.

Tak to wyglądało, jestem pewien, lecz teraz to wspomnienie wygląda trochę inaczej. Wszystko jest niemal takie samo: tulpa, gapie, gwardziści, ci zamini też tam są i siedzą w kółku, ale nie ma żadnych cegiełek złotego blasku... Oni po prostu żrą błoto i trawę, garściami wpychają je sobie do paszczy, przeżuwają łapczywie, a później wypluwają śluzowatą breję, która spływa im po brzuchach. Już prawie nie widać ich nóg pogrzebanych pod przeżutym błotem...

Innym razem, chyba sześć lat temu, przez przypadek znalazłem się w...

– Nie, dość, przestań! – wycharczał Hemel. – Nie chcę tego słuchać. Może to kłamstwo, jakiś zbiorowy obłąd, a błoto to tylko błoto, może jest tak, jak mówisz, i nic się nie dzieje, a może przeciwnie: zobaczyłeś esencję cudownej przemiany i błoto naprawdę zmieniło się w cegiełki złotego blasku. Może widziałeś coś, co zwykle jest dla nas zakryte, bo nie powinniśmy tego oglądać i w pełni świadomie uczestniczyć w tym procesie...

Tenan spodziewał się takiej reakcji.

– Nigdy nie dziwiło cię, że wszystko, absolutnie wszystko, co powstaje w czasie Karnawału Tabotta, znika bez śladu najdalej po kilku dniach?

– Część z tych obiektów, możliwe, że nawet wszystkie, na pewno zabierają zamini, którzy gromadzą xulo dla Ebreny. A naprawą budynków, co przecież nie jest żadną tajemnicą, zajmują się sprawne ekipy remontowe wyspecjalizowane w takich pracach.

– Jeśli masz rację, to dowody znajdziemy w kesonie.

– Oczywiście, że mam.

– A co, jeśli będą tylko xulo?

– Nie sędę, sam się przekonasz.

– O ile będę się mógł rozejrzeć i będzie co oglądać...

Hemel nie kontynuował tematu i Tenan uznał, że na razie lepiej dać mu spokój. Wysunął nogę, pomacał gzyms i przesunął się do przodu. Nagle skończył się mur. Zaskoczony perus stracił równowagę i z piskiem przechylił się w lewo. Hemel zareagował instynktownie. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, jego ręka sama wystrzeliła do przodu, zacisnęła palce na gęstej sierści Tenana i postawiła go do pionu.

– Na Tabotta! – warknął. – Uważaj trochę, głupi perusie! Nie chcę tu zostać sam.

– To chyba nie to – wystękał Tenan, gdy zdołał uspokoić oddech.

– Jeśli gzyms zerwał się również z tej strony, to mamy problem.

– Nie słuchasz...

– Może ona wyczuwa naszą obecność i bawi się nami, usuwa gzyms kawałek po kawałku, a jak jej się znudzi, to pewnie zniknie również to, po czym idziemy...

– Nie słuchasz! – krzyknął Tenan.

– Czego?!

– Nie czego, tylko kogo! Mnie. Mówię, że to nie to. Mur ucieka w lewo. Chyba dotarliśmy.

Hemel natychmiast się opanował.

– A, to dlatego... Możesz się upewnić?

– Zaraz...

Tenan zabrał się do tego z dużą ostrożnością, ale z każdą chwilą miał coraz mniej wątpliwości.

– No i? – niecierpliwiał się Hemel.

– To musi być to. Mogę dotknąć tylko jednej ściany, odchodzącej pod kątem prostym od muru, wzdłuż którego cały czas podążaliśmy. W głębi wyczuwam większą przestrzeń, ciągnie wilgotnym powietrzem, na dole jest twarde i lepkie podłoże, być

może przyschnięty szlam. Przytrzymaj mnie, zbadam, co jest dalej.

– Nie, czekaj...

Tenan nie słuchał. Ocierając się o ścianę, zrobił krok w przód, potem drugi i trzeci. Hemel chwycił go za nogę, napiął się i w każdej chwili był gotów przyciągnąć perusa do siebie, ale jego szybko zaczęło to irytować.

– Możesz już puścić?! – syknął rozdrażniony. – I wstań, nie musisz się czołgać!

– Wciąż nie jesteśmy pewni.

– Straciłem ochotę na dalsze podchody. Idziesz czy nie?

– Przez ciebie zginiemy.

– Nie zachowuj się jak ja. Myślę, że już niedaleko.

– Nigdy nie wierzyłeś swoim przeczuciom.

– Tym bardziej powinienes mi zaufać.

– Cóż za uparty perus.

– To chyba niewłaściwe słowo, bardziej pasowałoby... Stój!

Hemel zamarł.

– Co jest?

– Natrafiłem na coś. Jest gładkie i w dotyku przypomina ciepłe szkło. Może xulo. Stoi nam na drodze.

– Czekaj, sam sprawdzę.

Hemel wepchnął się między ścianę a Tenana i położył dłonie na szklistej i wyraźnie ciepłej powierzchni. Była duża, ale trudno było stwierdzić jak bardzo. Równo przylegała do ściany, zagłębiała się w podłożu i przewieszonym nawisem wznosiła ponad nimi wyżej, niż mogli dosięgnąć.

– I co, niedowiarku? – zapytał Tenan.

– Nie damy rady się po tym wspiąć, musimy się dowiedzieć, jak daleko to sięga.

Ruszyli wzdłuż szklistej powierzchni. Lepki grunt pękał i zapadał się pod ich ciężarem, ale nie utrudniało to marszu. Prowadził

Hemel, i to on wymacał przed sobą spiętrzone bezładnie sześciany, zimne, nieduże, chropowate.

– Mam tu coś, podejdź.

Tenan szturchnął nogą jeden z nich. Sześcian przewrócił się, wydając głuchy metaliczny dźwięk.

– Niezbyt ciężkie. To chyba klatka Kodora.

– No tak, to właściwe miejsce dla pułapek na xulo. Pewnie każda jest pełna.

– Jeśli nie znajdziemy przejścia, to może dałoby się postawić jedną na drugiej i wspiąć po nich na szklistą przeszkodę?

– Dobry pomysł – stwierdził z uznaniem Hemel. – O ile jest ich tu dostatecznie dużo i przeszkoda nie sięga do sufitu.

– Nie pomagasz... Lepiej chodźmy dalej.

Po kilkudziesięciu krokach natrafili na lity beton przeciwległej ściany kesonu.

– Tego się obawiałem – mruknął zamin. – Nie ma nawet jednej, wąskiej szczeliny. Chyba musimy spróbować z tymi klatkami. Jeśli to w ogóle są klatki.

– Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Wiesz, o co mi chodzi...

Cofnęli się, a potem zaczęli rozgrzebywać stertę metalicznych sześciaków i ustawiać je od nowa. Było ich sporo i po pewnym czasie udało się z nich zbudować strome schody dwukrotnie wyższe od Hemela. Bez pomocy wzroku nie było to łatwe, ale nie mieli innego wyjścia, więc musieli się przykładać. W końcu jednak wykorzystali wszystkie sześciany, a schody wciąż były za niskie. Tenan wspiął się na nie, by dokładnie zbadać szklistą przeszkodę. Nie śpieszył się, chciał mieć pewność, że nic nie ujdzie jego uwagi, lecz to, co wyczuwał, odbierało mu resztki nadziei. Gdy miał już tego dość, zszedł na dół i przysiadł obok zamina.

– To koniec, możemy wracać – powiedział zrezygnowany.

– Niekoniecznie.

– Co ty mówisz? Nigdy nie przejdziemy na drugą stronę. Żeby chociaż ściany kesonu były bardziej chropowate, to spróbowałibyśmy po nich wejść, a tak...

– A jeśli niewiele nam brakuje?

– Do czego?

– Do szczytu. W miejscu gdzie kończą się nasze schody, to szkliste draństwo nie jest już przewieszane. Może tylko jeden skok dzieli nas od wejścia na samą górę. Ciężko ocenić, jeśli nie można na to spojrzeć.

– Nie sugerujesz chyba...

– A co mamy do stracenia? Poza tym będę patrzył do góry, więc nie zobaczę Ebreny. Przecież raz już zrobiłem coś takiego i nic się nie stało. Tylko zerknę.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nawet otchłań szemrała cichymi pogłosami, jakby czekała na ich decyzję.

– Niedawno mówiłeś, że nie powinieneś być tego robić – przypomniał Tenan.

– Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale szczerze mówiąc, wykorzystaliśmy już wszystkie możliwości i jeśli nie masz lepszego pomysłu, to pozwól, że zrobię, co muszę.

– Mam złe przeczucia.

– Ja też. To niczego nie zmienia.

Tenan zadrżał. Zrozumiał, że nic nie powstrzyma Hemela.

Zamin wszedł po chybotliwych sześcianach na szczyt stromych schodów. Przyłgnął do ciepłej szklistej powierzchni i odchylił głowę, by mieć pewność, że w najgorszym wypadku zobaczy sufit kesonu. Przygotował się na niepokojący widok gęstych fal ciemnopomarańczowego światła, wirującego niczym zawiesina rozżarzonych iskier, które szczelnie wypełniają przestrzeń i wyglądają, jakby rozpuszczały materię, a potem otworzył oczy.

Oślepił go jasny białobłękitny blask, emanujący z wybrzuszonej obłości kolosalnego obiektu, który przylegał do szarej powierzchni sufitu, zapadał się w pokrytym zaschniętym szlamem podłożu i opierał o ściany. Jakiś niewiarygodny, potężny kształt, zaklinował się w poprzek kesonu i całkowicie blokował przejście. Schody, które Hemel zbudował razem z Tenanem, nie sięgały nawet do połowy jego wysokości. Zamin był oszołomiony rozmiarami obiektu i kesonu. Jeszcze przed chwilą zarówno jedno, jak i drugie wydawało mu się o wiele mniejsze, ale teraz, gdy zobaczył, jak mikre były ich wysiłki wobec tego ogromu, poczuł, że wzbiera w nim gorzki, histeryczny śmiech, który momentalnie zamarł mu w gardle.

Coś wynurzyło się z głębi obiektu, urosło i przywarło po drugiej stronie grubego szkła. Było okrągłe, większe niż dom, większe niż trójmasztowiec z rozłożonymi żaglami. Mieniło się jak płynny miedziany kryształ. Po jego powierzchni przeskakiwały srebrne iskierki, które niczym ławica mikroskopijnych elektrycznych rybek podążały w tym samym kierunku. Początkowo krążyły bez celu i z ich ruchu nie można było wyczytać żadnego sensu, ale nagle, w samym środku lśniącej miedzianej tarczy, otworzył się czarny przepastny otwór i srebrne iskierki zaczęły się przemieszczać w jego stronę. Pojawiały się na obrzeżach, falami napływały do środka i znikwały, rozbłyskując na krawędzi czarnego otworu.

Hemel był przekonany, że to xulo, bo widywał już podobne zjawiska, ale w znacznie mniejszej skali. Jeszcze nigdy nie spotkał się z tak dużym artefaktem. Zastanawiał się, w jaki sposób zamini zdolali umieścić go w kesonie. Patrzył na niego zafascynowany i pomyślał, że Tenan też powinien to zobaczyć, ale nagle miedziana tarcza nachyliła się w jego stronę i Hemel poczuł na sobie jej porażający wzrok. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że spogląda na niego ogromne oko. Przerażenie odebrało mu mowę.

– Jak to wygląda? Przejdziemy? – zapytał z dołu Tenan.

Potworna źrenica, otoczona pierścieniem srebrnych rozbłysków, zdjęła z Hemela ciężar swojego spojrzenia i przesunęła się w dół, jakby oko też usłyszało pytanie perusa i chciało mu się przyjrzeć.

– Hemel, co tu jest?! – zaskrzeczał Tenan. W jego głosie czaił się strach.

Zamin chciał mu to wyjaśnić, powiedzieć o strasznym oku, podnieść na duchu, ale nie mógł wydusić nawet jednego słowa. Natężył się, zebrał wszystkie siły, lecz wydał z siebie tylko ciche, bełkotliwie rżenie. W myślach zaczął się modlić do Tabotta, żeby Tenan nie wysunął ektoplazmatycznej wypustki i żeby obaj wytrzymali morderczy nacisk spojrzenia. Wtedy jednak źrenica znowu się ruszyła, przemieściła w górę i odnalazła Hemela, który skrzywił się z bólu. Jej intensywna czerń wypalała mu oczy, paraliżowała, przypiekała skórę. Nie mógł się ruszyć, nie mógł opuścić powiek, był pewien, że zaraz zginie.

Wtem nacisk zelżał i wszystko ustąpiło. Zgasł białobłękitny blask bijący z głębi xulo i oko zniknęło w ciemności, jakby schowało się pod powieką. Powietrze wypełniło się rozfalowaną ciemnopomarańczową zawiesiną wirującego światła. Ciepłe mrowienie ulgi przywróciło Hemelowi władzę nad ciałem i na moment uśpiło jego czujność. Kiedy się zorientował, co się dzieje, natychmiast zamknął oczy, lecz było już za późno. Stało się. Szklista i niepodświetlona powierzchnia xulo zadziałała jak lustro i Hemel niechcący zobaczył, co się w niej odbija; zobaczył źródło ciemnopomarańczowego światła, które kłębiło się w otchłani i było jak bezkresny labirynt omszałych brył, kanciastych, a zarazem okrągłych, albo zamarznęta kaskada na wpół żywych kryształów, patrzących w stronę Hemela wstrząsająco mnogim wzrokiem, albo wypolerowana płaszczyzna o zatrważającej głębi, pulsującej śluzowatymi cięgnami, albo szklany ptak uwięziony w roju

mosiężnych owadów, zamkniętych w jednej z niezliczonych komór grafitowego jaja, albo coś jeszcze innego, wszystko naraz, a zarazem nic, co dałoby się uchwycić myślą i nazwać – zobaczył Ebrenę.

Otchłań umilkła. Zapadła straszna, przytłaczająca cisza. A potem z tej ciszy zaczął się podnosić jeden narastający wysoki dźwięk, jakby coś stamtąd wyłaziło. Hemel wiedział, że to koniec i Ebrena zaraz ich dorwie, ale nie zamierzał biernie czekać na jej przyjście. Pamiętał, w którym miejscu stał Tenan, jeszcze przed chwilą wyraźnie widział jego skurczoną sylwetkę odcinającą się na tle rozmigotanej otchłani. Zamin liczył na to, że strach tak go sparaliżował, że wciąż tam stoi. Odbił się od szklistej powierzchni i skoczył. Czas zwolnił. Umysł Hemela pracował na najwyższych obrotach. Mimo zamkniętych oczu instynktownie wyczuwał swoje położenie względem xulo, ścian kesonu i Tenana, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli źle zapamiętał odległości, to spadnie na perusa i zabije go swoim ciężarem, a potem sam zginie w otchłani. Uznał to za bardzo prawdopodobne, ale każde działanie, nawet najbardziej ryzykowne, było według niego lepsze od beczynności.

Z impetem wbił się w lepki szlam, przekoziółkował, wykorzystując siłę rozpędu, i zatrzymał się na zgiętych nogach. Wyciągnął rękę, żeby namacać Tenana. Był tam, nieruchomy i sztywny jak pusta skorupa. Podniósł go i zaczął biec w lewo.

Wysoki pisk wspiął się już na wysokość kesonu, świdrował w uszach, bolały od niego zęby. Hemel biegł. Ciężko człapał szerokimi stopami. Sapał i parskął. Z otwartej paszczy ściekały mu strugi gęstej śliny.

Pisk zaczął się obudowywać potężnymi szczęknięciami, jakby wokół niego rozkładały się płaszczyzny metalowego powietrza.

Hemel biegł.

Do wysokiego pisku i szczęknięć dołączyło wibrujące buczenie,

basowe i naelektryzowane. Dźwięki oscylowały chaotycznie, ale szybko zaczęły się do siebie dopasowywać. Hemel podejrzewał, że kiedy skończą, stanie się to, co było nieuniknione. Dlatego biegł z całych sił i wierzył, że zdąży. Nagle zderzył się ze ścianą kesonu. Zamroczyło go z bólu, ale ustał na nogach i nie upuścił Tenana. Splunął krwią i wybitymi zębami. Nie przejmował się tym. Ból minie, a zęby odrosną. Jeśli przeżyje. Podziękował Tabottowi, bo mógł przecież bardziej stracić wyczuć kierunku i wpaść do otchłani, a potem zdyszany dowlókl się do gzymsu.

Zdążył.

Dźwięki zespoły się i eksplodowały rykiem rozdzieranej rzeczywistości. Potworna siła z hukiem wbiła się w beton niedaleko Hemela. Fala uderzeniowa sypnęła odłamkami, ale zamin schował się za rogiem i znalazł się poza jej zasięgiem. Mocno wczepił się pazurami w gzyms i nawet silne wstrząsy nie mogły go zrzucić w otchłań. Za to mogły co innego. W głębi kesonu rozległ się piskliwy jazgot ciężkiego szkła zsuwającego się po betonie. Hemel wiedział, co to jest – ogromne szkliste xulo, w którym gnieździ się potworne oko. Słyszał, jak kolosalna bryła wysuwa się poza krawędź kesonu, a za nią z ogłuszającym rumorem podąża przesypująca się lawina mniejszych obiektów. Potem wszystko leci w dół, oddala się i tonie w zawrotnych głębinach ciszy. Zamin cierpliwie czekał, aż znowu odezwą się szepczące pogłosy gderliwej otchłani, i dopiero wtedy odważył się wstać. Potrząsnął Tenanem, ale on nadal był pogrążony w głębokim stuporze. Westchnął, zarzucił sobie sztywnego perusa na ramię i wrócił do kesonu. Szedł tuż przy ścianie i nie wyczuwał już pod nogami zaschniętego szlamu. Wszystko połknęła Ebrena. Zapewne również to, po co przyszli. Hemel nie dbał o to. Cieszyło go, że z każdym krokiem oddala się od otchłani. Po długim marszu dotarł wreszcie do krańca kesonu i uznał, że tu może już bezpiecznie otworzyć oczy.

Ciemnopomarańczowe światło nie falowało tak intensywnie i wydawało się całkiem znośne. Hemel odłożył sztywnego Tenana, po czym usiadł pod ścianą. Był wyczerpany. Powiódł wzrokiem po opadającej posadzce pustego kesonu. Teraz wydawał się jeszcze większy, przypominał absurdalną betonową gardziel prowadzącą do bezdennego żołądka, którego nie było stąd widać, ale jego blask jarzył się w oddali niczym dogasające ognisko bogów. Jednak zmęczenie uodporniło zamina na takie widoki i zrezygnowany zamknął oczy. Opadała mu głowa.

– Żyjemy?! – zapytał z niedowierzaniem Tenan. Najwyraźniej wreszcie przewyciężył paraliż.

– Nie dzięki tobie – wycharczał Hemel, z trudem unosząc ciężkie powieki.

– Ale jak? Co tu się stało?

– Potem, Tenan, potem...

– A ta rzecz, którą mieliśmy znaleźć?

– Sam zobacz, wszystko przepadło, zsunęło się prosto do paszczy Ebreny.

– Nieprawda, to wciąż tu jest!

Hemel od razu się ożywił. Spojrzał na perusa, ale on biegł już wzdłuż ściany, potrząsając ektoplazmatyczną wypustką. Zatrzymał się przy czymś, co z daleka wyglądało jak kłębowisko brudnych szmat, i wysapał:

– Na Tabotta...

Zamin zebrał resztki sił i zdołał się podnieść. Wolno, powłócząc nogami, podszedł do Tenana. Stał obok niego. Długo patrzyli w milczeniu.

Pod ścianą kesonu leżał ludzki szkielet owinięty przegniłą tuniką, na której wciąż było widać wyblakłe spiralne wzory. Tulił do piersi krótką tuleję, fosforyzującą twardym, złotawym blaskiem. Ciemnopomarańczowe światło otaczało ją szeroką aureolą, jakby

się bało do niej przylgnąć.

W końcu Tenan przerwał milczenie i powiedział na głos to, o czym obaj myśleli.

– Ojciec Drussa nosił takie samo ubranie.

BARGA DROD
SORMMYRK
SILLES

– Nie ma innego sposobu?

– Przykro mi, rozumiem pani wątpliwości i obawy, ale nie możemy zwracać na siebie uwagi. Na razie udaje nam się to utrzymać w tajemnicy i chcemy, żeby tak zostało. Poprowadzi nas Yak. Jego lud od setek lat wykorzystuje to miejsce do szamańskich inicjacji.

– Dlaczego więc dopiero kilka miesięcy temu odkryliście jego istnienie? Przecież nasza stacja od dawna stoi niedaleko Erebusa. Ktoś musiał coś zauważyć.

– Pani profesor, na Antarktydzie nic nie jest proste. A pobratymcy Yaka dobrze pilnują swoich tajemnic. Pomógł nam przypadek. Adam i George znaleźli jednego z nich. Pielgrzyma, który tam zmierzał. Zgubił się w zamieci. Nasi wracali z odwiertów i mało brakowało, a przejechaliby go ciągnikiem. Był bardzo wyziębiony. Miał niewielkie szanse na przeżycie i przez kilka dni bredził w malignie. W kółko powtarzał dwa słowa: „Barga Drod, Barga Drod, Barga Drod...”. Yak wyjaśnił nam, o co chodzi. Zabrałem kilku ludzi i pojechaliśmy to obejrzeć. Niesamowite, że było tu przez cały czas. Tuż pod nosem.

– A te słowa?

– Nie rozumiem...

– Czy Barga Drod coś znaczy?

– Dom Głosów.

– Ładnie, ale... Co on powiedział?

– Yak twierdzi, że nie powinna pani tam iść.

– Dlaczego?

– Nieważne, jest bardzo przesądny, nie warto go słuchać.

– Być może, ale jestem ciekawa. Niech powie.

– Twierdzi, że tacy jak pani znikają tam bez śladu. Mówiłem. Głupie gadanie.

– Wyjaśnił czemu?

– Bo nic pani tu nie trzyma. Bo straciła pani wszystko, co było dla pani cenne. Proszę się nie przejmować, innym mówi to samo. Chodźmy. Musimy się przygotować do wyjścia.

* * *

– Jednak pojedziemy? Dzięki Bogu!

– Tylko kawałek. Zabierzemy się z geologami, ale wysadzą nas w połowie drogi. Później będziemy musieli pokonać pieszo prawie dziesięć mil.

– Ile nam to zajmie?

– Trudno powiedzieć. Zależy od pogody. Jeśli się utrzyma, to wyrobimy się w osiem godzin. Ale spokojnie. Proszę się nie obawiać. To stosunkowo łatwy teren. Najtrudniejsza i najbardziej wymagająca będzie końcówka, zwłaszcza że wszyscy będziemy już wyczerpani, lecz na pewno sobie poradzimy. Proszę starannie dopiąć kołnierz, sprawdzić szczelność maski i pilnować swojego ekwipunku. Od tego może zależeć pani życie.

– Tak jest, panie kapitanie!

– Nie tak głośno. Tutaj tylko kilka osób wie, że jestem wojskowym. Poza tym mam już majora. Możemy sobie mówić po imieniu?

– Dobrze, Williamie.

– Od razu lepiej.

– W jakim języku rozmawiasz z Yakiem?

– To jego osobista mieszanka norweskiego i francuskiego. Zna też angielski, ale woli tamte.

– Trochę to dziwne.

– Bynajmniej. Nauczył się ich, gdy był młody, i wciąż ma sentyment.

* * *

Erebus wypełnił całe pole widzenia i nadal rósł. Brudził bezchmurne niebo bladą smugą szarego siarkowego dymu. Profesor Anna Cofler czuła się bardzo zmęczona, ale William twierdził, że już niedaleko, i to dodawało jej sił.

Nie wierzyła, że wstępne raporty mówią prawdę. Nie ufała zdjęciom i relacjom ludzi, którzy widzieli Barga Drod na własne oczy. To wszystko wydawało się zbyt niedorzeczne. Nawet nie chciała tu przyjeżdżać, ale decyzja nie należała do niej, tylko do koncernu inżynieryjnego Nefastis, który ją zatrudniał. Dla jego pracowników nie było żadną tajemnicą, że jest on współfinansowany z budżetu ministerstwa obrony narodowej i ma tak duże wpływy w środowiskach naukowych, że otwarte kwestionowanie postanowień zarządu może skutecznie zablokować dalszą karierę. Dlatego w momencie, gdy ktoś na górze zdecydował, że to właśnie sceptycyzm Anny czyni z niej najlepszą kandydatkę do wyjazdu na Antarktydę, jej los został przesądzony, a ona, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie, mogła się tylko pogodzić z tym faktem i spakować.

Powoli wspinała się na łagodny stok Erebusa. Towarzyszyło jej dziesięć osób. W większości mężczyźni. Drażniło ją to, ale nie wiedziała dlaczego. Nie była feministką. Sprawy równouprawnienia w ogóle jej nie interesowały. Tak naprawdę niewiele rzeczy wzbudzało w niej zainteresowanie. Prawie nic. Od pewnego czasu czuła się lekka i pusta jak wylinka, mgliście pamiętająca ciepłą energię żywego ciała, które ją zrzuciło, i nieudolnie pozorująca jego zwyczaje, zainteresowania, sposoby

interakcji ze światem. Praca nie sprawiała jej żadnej przyjemności, ale była dla niej równie ważna jak powietrze, którym oddychała, bo zmuszała ją do podejmowania schematycznych i powtarzalnych działań, nieustannie podtrzymujących iluzję życia, które mimowolnie wiodła. Poza ramami zawodowych obowiązków radziła sobie jeszcze gorzej. Często łapała się na tym, że po zrobieniu zakupów nie pamiętała, co kupiła. Musiała zajrzeć do torby, żeby zobaczyć, co w niej przyniosła. Przeglądając jej zawartość, nie potrafiła jednak dociec, dlaczego między masłem, chlebem, mrożonymi zapiekankami, mlekiem, krojoną wędliną czy innymi artykułami pierwszej potrzeby znajduje również zagadkowe przedmioty, których obecności w żaden sposób nie potrafi wyjaśnić. Raz był to zdalnie sterowany samochód na baterie, innym razem plastikowa figurka kosmity, zdarzały się również komiksy, płyn po goleniu, męski dezodorant w sztyfcie czy krawat w brązowe prążki. Skąd się tam wzięły? Przecież mieszkała sama. Zupełnie, zupełnie sama. Nie nawiązywała też bliższych relacji z mężczyznami i nie utrzymywała kontaktów z rodzinami wychowującymi dzieci. Przeciwnie – unikała zarówno jednych, jak i drugich. Zmuszała się do jedzenia, zmuszała się do rozmów z ludźmi. W wolne dni nie miała powodów, by wstawać z łóżka, i leżąc godzinami, wpatrywała się w sufit, albo puste ściany. Cisza opadała na nią jak kurz. Anna nic nie czuła. Od dnia, w którym jej mąż Ray odebrał ze szkoły ich ośmioletniego syna Briana i chwilę później obaj wpadli pod ciężarówkę, była jak martwy przedmiot uwikłany w absurdalne obowiązki żywych, bo wraz z tymi, których kochała, zginęły w niej również wszystkie emocje i sensory. To wydarzyło się pięć lat temu. Pięć długich, aseptycznych lat. Wymuszony przylot na Antarktydę wydawał się Annie naturalną konsekwencją długotrwałego poczucia oderwania i bezcelowego dryfowania. Jakby wiatr przywiał ją w końcu do królestwa pustoty,

w którym arktyczne odludzia są płynnym przedłużeniem nieruchomej próżni, szroniącej od wewnątrz jej kości.

Anna z mozołem, krok po kroku, zdobywała kolejne jardy. Trzymała się blisko Williama i słyszała ciężkie oddechy jego ludzi. Nikomu nie było łatwo. Podchodzili zygzakiem, ominęli lodowe osuwisko – i nagle jest. Anna była pewna, że to musi być to. Ciemna, kanciasta skaza, wyraźnie odcinająca się na białym tle.

– Zaraz zobaczysz – wydyszał William.

– Co?

– Barga Drod.

– Przecież już widać.

– Gdzie?

– No tu. Na wprost.

– Nic tam nie ma. Pojawi się dopiero za następnym trawersem.

– W takim razie, co to jest?

– Coś ci się przywidziało.

Przecisnęli się przez długą szczelinę i stanęli pod Barga Drod. William spojrzał na Annę podejrzliwie. Nic nie powiedział. Za nim, wysoko nad jego głową, ze zbocza Erebusa poziomo wyrastała ogromna narośl ciemnego kryształu, stercząca niczym fragment kanciastego dysku, który wbił się w wulkan z taką siłą, że niemal cały zagłębił się w skałach. Z góry przykrywała go gruba warstwa zmarzniętego śniegu, a z dołu zwieszały się lodowe zęby długich sopli. Na jego wypukłym obrzeżu ciemniały duże sześciokątnych otwory – wyglądały jak komórki tytanicznego plastra miodu, w których zalał się mrok. Jeden z nich przylegał do stoku. Właśnie do niego kierował się Yak. Gdy dotarł na miejsce i jako pierwszy stanął na progu Barga Drod, odwrócił się i pomachał. Anna odniosła wrażenie, że zrobił to specjalnie dla niej. Zadrżała.

Idąc po śladach Yaka, wspięli się na górę i wkroczyli do gigantycznego obiektu, który w niczym nie przypominał budowli

wznoszonych przez ludzi. Wysoko sklepiony sufit nikał w głębokim półmroku, mimo że przez siedem otworów, tak wielkich, że trudno je było nazwać oknami, wpadało dość dużo światła. Anna podeszła do najbliższego i westchnęła zachwycona. Widok był niesamowity. Wydawało się, że Barga Drod unosi się ponad rozległą arktyczną równiną i powoli leci w stronę skutego lodem horyzontu. Anna patrzyła jak zahipnotyzowana. Z uśmiechem odwróciła się do Williama.

– Pięknie tu! – powiedziała.

Uśmiech zastygł na jej twarzy. Nagle zrozumiała, dlaczego nikt się nie odzywa. Echo przekształciło jej słowa w zwartą grudę basowej wibracji owiniętej szeleszczącym zawodzeniem. Niewidzialny soniczny kształt dwukrotnie okrążył Annę, a potem oddalił się korytarzem, który prowadził w głąb Erebusa.

– Przyzwyczaisz się – szepnął William. – Na początku wszyscy reagują nerwowo. Nieprzypadkowo nazwano to miejsce Domem Głosów. Staraj się mówić cicho. To pomaga. Nie wywołuje takiego efektu.

– Mogłeś uprzedzić...

– Nie gniewaj się. To nasz mały rytuał. Każdy, kto przychodzi tu pierwszy raz, musi przez to przejść.

– Akurat.

– Oj przestań, przecież to nic takiego. Lepiej przyjrzyj się ścianom. Co o tym myślisz?

– Materiał przypomina brunatny chalcedon. Wyraźne regularne karby, żadnych śladów obróbki... Wszędzie tak to wygląda?

– Identycznie. Sama zobaczysz. W korytarzach karby są zazwyczaj prostopadłe do podłoża, ale nie zawsze...

– Tak, czytałam o tym w raportach. Jeden z badaczy napisał, że na pierwszy rzut oka Barga Drod wygląda jak ogromny kryształ, który ukształtowano za pomocą nieznanego procesu hodowlanego.

Nie dziwię mu się. Trudno uwierzyć, że wyrósł taki sam z siebie.

William odciągnął Annę od swoich ludzi, którzy zajęli się rozkładaniem obozowiska, i zapytał:

- Widziałaś kiedyś coś takiego?
- Nigdy nie spotkałam się z podobną technologią.
- Nawet w Marfie?

Anna spojrzała na niego krzywo.

- Próbujesz mnie sprowokować?

– A podobno to ja jestem podejrzliwy... Jak sądzisz, co ja tu robię? Od dwunastu lat biorę udział w projekcie Rurociąg, czyli od momentu, gdy odkryto pierwsze wejście. W mojej obecności otwarto Kratownicę w Marfie i to mój oddział jako pierwszy wszedł do tych prastarych korytarzy. Tak samo było w przypadku wielu innych podziemnych kompleksów.

- Innych?

– Myślałem, że wiesz. Jest ich znacznie więcej, lecz na razie udostępniono tylko jeden, żeby takie koncerny jak Nefastis mogły w nim prowadzić swoje badania. Nie jest to jakaś supertajna informacja, ale rozumiesz chyba, że nie powinnaś...

- Tak, tak, jasne.

– No dobrze, w każdym razie zmierzałem do tego, że gdy z naszej stacji na Antarktydzie dotarła informacja o odkryciu Barga Drod, to w pierwszej kolejności wezwano właśnie moją jednostkę.

Anna wyjrzała zza ramienia Williama. Obóz powstał w imponującym tempie. Sześć namiotów przypominających małe srebrzyste kopułki stało wokół masywnej kuchenki gazowej, na której dwoje ludzi zaczęło przygotowywać gorący posiłek. Pozostali schowali się w namiotach, rozpakowywali plecaki lub wyglądali na zewnątrz przez sześciokątne otwory. Ich oszczędne i precyzyjne ruchy zdradzały profesjonalną zręczność, która najczęściej jest efektem wielu lat intensywnego treningu. Wnioski nasuwały się

same.

– Wszyscy jesteście żołnierzami?!

– Owszem, ale działamy dyskretnie i nie naruszamy ustaleń Traktatu Antarktycznego.

– Przecież ukrywacie to miejsce przed innymi.

– Normalna procedura. Prędzej czy później i tak się wyda.

– Im później, tym lepiej, co?

– Oczywiście. Konkurencja robi dokładnie to samo. Takie są reguły gry. Nikt z własnej woli nie ujawnia swoich odkryć. Ani starożytnych korytarzy, które powstały na długo przed pojawieniem się ludzi, ani takich miejsc jak Barga Drod, ani wielu innych rzeczy. Jeśli nie rozumiesz elementarnych zasad funkcjonowania tajnych projektów badawczych, to chyba powinnaś zmienić pracę, bo prędzej czy później może się to dla ciebie źle skończyć.

– O czym ty mówisz?!

Zdumienie sprawiło, że Anna zapomniała, czym to grozi, i podniosła głos. Echo znowu pochwyciło jej słowa. Ulepiło z nich rozchybotaną sinusoidę metalicznych popiskiwań. Po chwili wyłoniło się z nich pulsujące wilgotne mlaskanie, które wzleciało do góry i zaczęło cichnąć, jakby odchodziło, pełznąc po suficie.

– Przepraszam – szepnęła skruszona.

– To ja przepraszam. Czasem nie potrafię utrzymać języka za zębami. Trudno o bardziej kłopotliwą cechę w moim zawodzie, ale cóż można poradzić, prawda? Tu jest twój namiot. Zostaw plecak i weź tylko czołówkę. Oprowadzę cię. Na pewno nie możesz się doczekać.

Yak nie spuszczał ich z oczu.

* * *

W głąb Erebusa prowadził tylko jeden korytarz, ten, który połknął pierwsze słowa Anny wypowiedziane w Barga Drod. Na jego wysokich ścianach z chalcedonu opalizowały światła czołówek. Po kilkudziesięciu jardach pojawiło się rozwidlenie, a potem kolejne. William bez wahania zapuścił się w ten labirynt rozgałęziających się tuneli. Pokazał Annie kilka obszernych i pustych pomieszczeń, wąskie przejścia, którymi trzeba się było przeciskać, długie galerie wypełnione kryształowymi monolitami oraz schodkowate formacje przypominające coś w rodzaju niewielkich amfiteatrów. Wszystko gładkie, delikatnie karbowane, roziskrzzone i połyskujące w ciemnościach.

Ciszę zalegającą w korytarzach mąciły wątle echa ich kroków, a także nagłe erupcje polepionych dźwięków, które od czasu do czasu przelatywały obok nich. Raz był to przerażający wrzask, przenikający do szpiku kości jak ryk atakującego drapieżnika. Innym razem gęsta soniczna chmura, spleciona z wielu różnych odgłosów i przywodząca na myśl dźwiękową aurę roztaczaną przez jakieś portowe targowisko, bo wyraźnie dało się w niej usłyszeć regularne nawoływania, pomruki zwierząt, jęk olinowania zmagającego się z wiatrem, a nawet monotony szum setek nakładających się rozmów, prowadzonych w przedziwnym i całkowicie niezrozumiałym języku. Najbardziej niepokojące były jednak ciche szepty, mamroczące natarczywie, podążające za nimi krok w krok i domagające się uwagi. Po godzinie Anna miała już dość.

– Nie chciałabym się tu zgubić. Wracajmy.

– Bez obaw. Wytyczyłem kilka szlaków i wszystkie są dobrze oznakowane. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać markerów. Nie umieściłem ich na widoku. Taki jestem sprytny. Co to za mina? O czym myślisz?

– Zastanawiam się, po co mnie tu przysłali?

– Nie rób sobie problemu. Pomyśl o tym, jak niewielu ludzi może zobaczyć coś takiego.

– Mam to gdzieś! Nie zależy mi! Wcale nie chciałam tu przyjeżdżać!

Echo kapryśnie pochwyciło fragment jej gniewnych pokrzykiwań.

„Nie chciałam, chciałam, chciała, chciała, chciała, chciała...”.

Zignorowała to, ale znowu zaczęła mówić szeptem.

– Przyznaj, że pokazywałeś Barga Drod bardziej kompetentnym specjalistom. Przecież nawet ty jesteś bardziej kompetentny. Widziałeś znacznie więcej podziemnych kompleksów niż ja i posiadasz bogatszy zasób informacji.

– Ale nie jestem naukowcem.

– To bez znaczenia. Nic nie rozumiesz. Czy podczas rekonesansów w innych korytarzach niż te w Marfie zauważyłeś gdzieś ściany podobne do tych w Barga Drod?

– Nie.

– No właśnie. A skąd ja mam o tym wiedzieć? Dlaczego uparli się, żeby mnie tu przysłać?!

– Może zdecydował przypadek?

Anna zmierzyła go smutnym spojrzeniem. William miał ochotę ją przytulić, ale skarcił się w myślach i powiedział:

– Zwróciłaś uwagę, że nie czuć tu siarką? I nie zmienia się temperatura, chociaż Erebus jest czynnym wulkanem, a my weszliśmy głęboko w jego trzewia.

– Rzeczywiście. To ciekawe...

– Chodź, zjemy coś w obozie, zdrzemniemy się, a potem wrócimy tu z miernikami.

Anna nie rozumiała, dlaczego zaraz po posiłku musi się położyć. Przekomarzała się Williamem.

– Nie jestem aż tak zmęczona! Czemu chcesz mnie zaciągnąć do śpiwora?

– Zaufaj mi. To ci dobrze zrobi. Całodobowy dzień oszukuje zmysły i w niedobry sposób mobilizuje organizm. Trzeba przełamać instynktowne odruchy. Wiem, że nie chce ci się spać, mimo to, gdy się położysz, na pewno poczujesz się senna. No już, wykonać, bez dyskusji!

Przestała się opierać, wzruszyła ramionami i wczołgała się do namiotu. Zasnęła po kilku minutach.

We śnie coś pełzło w jej stronę. Powoli wyłaniało się z mroku. Już, już miała zobaczyć, co to jest, i nagle się obudziła. Leżała bez ruchu, nasłuchując.

Coś szeptało.

„Mamo? To ty? To naprawdę ty?”.

Anna natychmiast rozpoznała ten głos. Jak mogłaby go zapomnieć?

– Brian? – jęknęła z niedowierzaniem.

„Chodź do mnie, mamusiu, chodź, muszę ci coś pokazać”.

Gwałtownie wezbrały żywe, rozszalałe emocje. Anna nie potrafiła nad nimi zapanować. Było jej na przemian zimno i gorąco. Trzęsła się spazmatycznie, jakby wracała do życia po długiej somnambulicznej hibernacji.

„Na co czekasz, mamusiu? Tu jest coś pięknego, musisz to zobaczyć!”.

Zapięła kurtkę, porwała czółówkę i wyskoczyła z namiotu. Przemknęła między zdumionymi ludźmi i zniknęła w korytarzu.

– Yak! Za mną! – krzyknął William. – Reszta zostaje na stanowiskach!

Pobiegli za Anną. Przez moment towarzyszyło im zniekształcone echo słów Williama, uformowane w szeleszczącą bryłę metalicznych zgrzytów.

* * *

„Nie tędy, mamo, cofnij się i skręć w lewo”.

Podążając za głosem Briana, Anna coraz bardziej zagłębiała się w labiryncie chalcedonowych korytarzy. Dyszała, puls łomotał jej w uszach. Głos syna całkowicie zaabsorbował jej uwagę, więc nawet nie zauważyła, że William i Yak biegną tuż za nią. A im bardzo to odpowiadało, bo nie zamierzali jej zatrzymać. Jeszcze nie.

Nagle stracili ją z oczu. Zaczęli nerwowo przeszukiwać korytarz.

– Gdzie ona jest? – warknął poirytowany William. – Przecież nie rozpuściła się w powietrzu.

– Coś przeoczyliśmy, jakieś przejście, otwór...

– Wzmocnię sygnał lokalizatora. Jeśli wciąż jest w zasięgu, to na pewno ją znajdziemy.

„Przeczołgaj się przez tunel, a potem obejdź filar i zejdz po pochylni”.

Szept Briana stawał się coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Anna

czuła, że z każdym krokiem zbliża się do syna. Zeszła po szerokiej pochylni i znalazła się w niskiej, ale obszernej komorze przypominającej podziemny garaż. Trudno było ocenić jej wielkość, bo światło czołówki było za słabe, żeby ją rozświetlić, i grzęzło w ciemnościach. Głos Briana ucichł. Kobieta rozejrzała się bezradnie. Nagle coś zobaczyła. W oddali, gdzieś w głębi pomieszczenia, migotała żółta iskierka. Kusila i przyciągała. Anna nie mogła się oprzeć. Ruszyła w jej stronę.

„Prawda, że piękne, mamusiu?”.

Brian miał rację. Stała tam duża kryształowa kula. Miała ponad jard średnicy. W jej mlecznym, półprzezroczystym wnętrzu tańczyła złota iskra. Rozkosznie powolnym ruchem przelewała się z dołu do góry i z góry na dół. Emanowała złotym blaskiem, który przenikał w głąb ciała i żarzył się w nim wstrząsająco intymną czułością, głębokim współczuciem, bezgraniczną miłością. Ta cudowna, olśniewająca kula z litego, jedwabiście gładkiego kryształu była jak namacalna obecność troskliwego i kochającego Boga. Anna zachwiała się, opadła na kolana i załkała. Gorące łzy spłynęły po policzkach.

– Tak, kochanie, piękne.

„Musisz mi pomóc, mamusiu”.

Gdy patrzyła na kulę, wszystko wydawało się zrozumiałe, oczywiste i łatwe do zaakceptowania. O nic nie trzeba było pytać. Anna wiedziała, co musi zrobić, godziła się na to i do nikogo nie miała żalu, że została oszukana.

William i Yak wciąż krążyli po korytarzach i nie mogli jej

znaleźć.

– Lokalizator pokazuje, że Anna jest niedaleko, ale nie wiem, jak do niej dotrzeć. Zdaje się, że to gdzieś pod nami. Nic z tego nie rozumiem.

- Znalazła jakieś zejście. Musieliśmy przeoczyć.
- Niemożliwe. Sprawdzaliśmy kilka razy.
- To sprawdzimy jeszcze raz.

Anna naparła na kulę całym ciałem. Była bardzo ciężka, ale kobieta zdołała ruszyć ją z miejsca. Wolno potoczyła się do przodu. Mimo to złota iskra cały czas przelewała się z dołu do góry i z góry na dół w tej samej płaszczyźnie.

„Jeszcze kawałek. Na końcu pomieszczenia skrócić w prawo, a potem w górę po pochylni i do końca korytarza”.

Głos, który słyszała, nie należał już do Briana, ale Annie to nie przeszkadzało, bo kula dała jej siłę, by mogła się wreszcie pogodzić ze śmiercią syna i męża. Żałowała jedynie, że wkrótce będzie musiała rozstać się z tym kryształowym cudem. Z ogromnym wysiłkiem przetoczyła kulę przez krawędź pochylni. Dalej było już łatwiej. Na końcu krótkiego korytarza znajdował się chalcedonowy lej – wlot pionowego szybu. Kula idealnie do niego pasowała. Zniknęła w środku z głuchym odgłosem zasysania, przypominającym charakterystyczny dźwięk poczty pneumatycznej. Anna opadła z sił. Pot zamarzał pod ubraniem i czuła, że daleko nie zajdzie. Usiadła pod ścianą. W takiej pozycji ją znaleźli.

Uśmiechnęła się słabo.

- To znowu wy... Wiem, dlaczego mnie tu ściągnęliście.
- Tak? – zapytał William, uważnie rozglądając się na boki.

– Miałam odpowiedzieć na wezwanie.

– Wezwanie?

– To, którego nie słyszeliście. Chyba mi się udało. Przeszłam inicjację?

– Zapewne – odparł Yak.

Wtedy Anna przypomniała sobie, że na Antarktydzie nie ma i nigdy nie było rdzennej ludności. Wybuchła śmiechem, a echo przekształciło go w smutną, synkopową melodię, przywodzącą na myśl coś ulotnego, pięknego, bezpowrotnie utraconego.

S O R M M Y R K
R I M L E S

Rzęsisty majowy deszcz ścieka po drobnych liściach jabłoni niczym czas przeciekający przez skomplikowaną sieć higroskopijnych tunelików, docierających do najbardziej ukrytych, najbardziej tajemniczych zakamarków mojego ciała.

Ja, Sormmyrk – ten, który poruszył samego siebie i zdołał oderwać się od Matrycy – powtarzam to w nieskończoność, oglądam to z różnych stron, smakuję na wiele sposobów, ale wciąż nic z tego nie rozumiem.

Drzę, jakbym zobaczył ogromny cień mający pod gładką taflą spokojnego jeziora, i próbuję sobie przypomnieć, jak to się stało, że znalazłem się w domu Scarlett, i co ja tu właściwie robię. Lecz nie mogę. Mam pustkę w głowie, którą z rosnącą paniką staram się wypełnić.

Nigdy nie wiem, co mnie przybliżyło do odkrycia ukrytego znaczenia, a co mnie od niego oddało. Szukam po omacku, badam różne możliwości i cierpliwie dopasowuję do siebie niemożliwe kształty obcych rzeczy, długie ciągi nieznanych słów oraz zagadkowe obrazy i emocje, które nieustannie pojawiają się w moim umyśle.

Jej ojciec stoi obok mnie, po lewej, Scarlett płacze skulona w fotelu za moimi plecami, a John, blady i wstrząśnięty, wygląda przez okno z twarzą niemal przyciśniętą do szyby. Nad szerokim trójkątem mglistej pary, którą odkłada na szybie jego oddech, odbijają się oczy Johna, rozbiegane, przerażone, zaglądające we wszystkie zakamarki ogrodu. Wszystkie oprócz

tego miejsca pod jabłonią, gdzie leży mokry, ciemnobrązowy kształt, z którego wciąż wydobywa się cieniutka smuga siwego dymu.

Efekty tych wysiłków zawsze są mało satysfakcjonujące, ale nic nie można na to poradzić. Nieudane eksperymenty nauczyły mnie, że każda próba przyspieszenia tego procesu kończy się błędzeniem, gubieniem tropu i pogrążeniem w iluzji, którą potem trudno rozproszyć. To ma własne tempo, to raz przyspiesza, raz zwalnia, to w żadnym wypadku nie zależy ode mnie, lecz od czegoś innego, mineralnie wpisanego w głębokie struktury materii, na której jestem nabudowany.

Nikt nic nie mówi. Z trudem przetykam ślinę i zbieram się na odwagę. Wreszcie pozwalam, by wzrok ześlizgnął się po ociekających deszczem liściach jabłoni i spoczął na kopczyku mokrej sierści. Już wiem, już pamiętam. John obiecał, że jeśli przyjadę tu razem z nim, to pożyczy mi na weekend swoją corvette. Ale nie dlatego się zgodziłem. Przyjaźnię się ze Scarlett od dzieciństwa i dobrze znam jej rodziców, więc wydawało mi się, że mogę pomóc załatwić sprawę po przyjacielsku, bez większych tarć, i rzeczywiście, nie powiem, szło nam całkiem nieźle. Do czasu.

Dlatego nawet teraz nie czuję pokusy, żeby wymusić przyspieszoną cyrkulację myśli i siłą wydobyć potencjalne rozwiązania z głębokich kawern umysłu. Wiem, że to w niczym nie pomoże, a jedynie pogorszy moją sytuację, choć już w tej chwili jest ona tak trudna, że mógłbym ją uznać za beznadziejną, gdybym tylko nie bronił się przed tą myślą z całych sił. Staram się zatem ograniczyć badania do tego, co mi się przytrafiło, i do późniejszych zjawisk – spontanicznie wpływających z otchłani świadomości oraz materializujących się w wymiarach obrastających miejsce, do którego trafiłem.

Kto mógł przypuszczać, że wszystko aż tak się pokomplikuje? John i Scarlett chodzili ze sobą niecałe trzy lata. Nie byłem o nią zazdrosny, o nie, nic podobnego, byliśmy do siebie zbyt podobni, żeby mogło się między nami pojawić prawdziwe napięcie, takie, z którego rodzą się gorące uczucia. Jasne, poszliśmy do łóżka, trudno było tego uniknąć, ale oboje nie mieliśmy wątpliwości, że nie tego szukamy, choć dla pewności powtórzyliśmy to kilka razy. Gdy Scarlett zaczęła się spotykać z Johnem, byłem pewien, że z tego musi coś być, i naprawdę się ucieszyłem. Zupełnie do siebie nie pasowali i pewnie dlatego tak bardzo do siebie lgnęli. Ona bystra, ułożona i bardzo wrażliwa, a on zaczepny pozer, co prawda ambitny i pracowity, lecz niezbyt skomplikowany, szpanujący sportowym samochodem i nieprzepuszczający żadnej imprezy w mieście. Okazało się, że to idealne połączenie. Doskonale się rozumieli. Szybko stali się nierozłączni. Ale po dwóch latach, z okazji rocznicy ich związku, John dał Scarlett prezent, który wszystko zmienił – psa.

Unikam rozważań o niezliczonych sposobach, w jakie moja świadomość może tu wygasnąć, ale nie tracę właściwej perspektywy i ani przez moment nie zapominam, że to nie zmniejsza prawdziwego niebezpieczeństwa. Nieustannie balansuję na krawędzi i wciąż nie odkryłem, jak mógłbym przeważać swoją egzystencję w stronę dalszego istnienia. A czasu mam coraz mniej. Przestał działać na moją korzyść, od kiedy niefortunna alokacja pływu świadomości wytrąciła mnie z orbity i zepchnęła na tę opustoszałą planetę pokrytą błotnistym lodem.

Spadłem i leżę bezsilny.

Każdym kawałkiem swego roztrzaskanego ciała wbilem się głęboko w lodowaty szlam.

Żywię się wszechobecnym chłodem.

Obserwuję dryfujące myśli – swobodnie kiełkujące idee, blade majaki bełkotliwych obrazów migoczących jak gazowe ogniki.

Resztkami wypalonych zmysłów doglądam ruchów lodu, przypatruję się wirującym światłom, odpychającym lub przyciągającym metaliczne niebo, albo śledzę przemarsze ciężkich, powolnych stworów, kroczących na potężnych nogach splecionych z wielu mniejszych istot. Wciąż jednak nie wiem, co powinienem zrobić, żeby się ocalić. Trwam w stanie podwyższonej uwagi i powoli, powoli tracę siły.

Co może poróżnić kochających się ludzi? Nie mówię o zwykłej różnicy zdań – kłótniach, które najczęściej rodzą się z drobnych, życiowych spraw, czy głupotach urastających do rangi jednodominutowej, ba, jednosekundowej tragedii wywołanej chwilowym zawirowaniem emocji. Każdy doświadczył czegoś takiego. Każdy wie, jak to jest, gdy błahe uwagi bliskiej osoby wywołują autentyczną wściekłość. Ale nie każdy wie, co się dzieje, gdy w normalnych relacjach między dwojgiem dorosłych ludzi pojawia się coś trzeciego. Nie kochanek czy kochanka, ale właśnie coś, jakaś obca siła zaspokajająca niezrozumiały głód. W przypadku Johna i Scarlett przybrała ona kształt małego ciemnobrązowego foksteriera. Zaczęło się od tego, że nie mogli się zdecydować, jak mu dać na imię. A właściwie mogli, lecz on chciał go nazwać inaczej niż ona i nie potrafili dojść do kompromisu. Potem było już tylko gorzej.

Nie widzę żadnej możliwości odwrócenia sytuacji, w której się znajduję, ani żadnej ścieżki wewnętrznych połączeń, którą mógłbym uciec. Gasnę. To mogę. To przychodzi naturalnie i bez trudu. Nie muszę wymyślać na to sposobu. Kiedy to do mnie dociera, dryfujące myśli zmieniają kierunek. Same z siebie. Albo nie. Czuję, że coś się zaczyna dziać.

...

Scarlett

John

Corvette

Foksterier

Maj i deszcz

...

Prześlizguję się pośród dziwnych słów, które zawierają w sobie niezwykle obrazy i tętnią emocjami, albo przemykam między tętniącymi emocjami i niezwykłymi obrazami, które zawierają w sobie dziwne słowa. Trudno powiedzieć, bo nie sposób ich od siebie oddzielić i nadal nic nie rozumiem. Wyczuwam w tym jednak słaby, ale bardzo wyraźny nurt istnienia. Ktoś nim podąża, więc ja też mógłbym się stać jego częścią. Jednakże pamięć podpowiada, że trzeba poczekać, aż w sekwencyjnej przestrzeni niezrozumiałego bytu, którego częściowo doświadczam, pojawi się coś, co znowu ruszy mnie z miejsca, coś, co oderwie mnie od tego błotnistego lodu i wypchnie poza Sormmyrka, którym byłem, od kiedy skropliłem się na pobrużdżonej skorupie jajowatej Matrycy.

Wiem tylko, że to „coś” musi być czymś, co już znam.

Rozpadłem się i nie mam wątpliwości, że nigdy nie zdołałem się scalić, więc właściwie, choć wciąż trudno mi się z tym pogodzić, Sormmyrk, którego tak gorliwie rozbudowywałem, przestał istnieć. Nagle uświadamiam sobie, co to znaczy.

Uświadamiam sobie, że on to nie ja...

Tak długo nim żyłem, że zapomniałem o tej oczywistości. A przecież jego też zacząłem stwarzać, gdy w jednym z opływających mnie nurtów istnienia rozpoznałem coś znajomego – ciemnobrunatny połysk inteligentnego kryształu, który powoli obrasta niewidzialne, drapieżne kształty, bez trudu przebijające się przez liczne światy.

Tam, na powierzchni jajowatej Matrycy, w zakamarku

pobrużdżonej skorupy – tuż po tym, jak moja sormmyrkowa świadomość oblekła się w grudkę elastycznej cyny i zdołałem z niej uformować cztery cienutkie odnóża – ciemnobrunatne karbowane łsnienie skierowało moją uwagę na płytkie zagłębienia, z których wyrastały rtęciowe pędy zakończone kiścią grubych kryształowych kolców. Poczułem, że każdy z nich wchłania zimne światło odległych gwiazd i gromadzi w sobie subtelnie wibrującą energię. Zapragnąłem jej całym sobą. Musiałem jej posmakować. Sięgnąłem odnóżem do najbliższego pędu. Rozpadł się, zanim go dotknąłem, jakby zniszczyła go sama intencja bezpośredniego kontaktu. Krople płynnej rtęci rozpiezchły się na boki, a kryształowe kolce wbiły się z ciężkim, przyjemnym brzęknięciem w pobrużdżoną skorupę i rozjarzyły lepkiem, gęstym promieniowaniem. Spijałem go łapczywie i karmiłem nim Sormmyrka. Robiłem to tak długo, aż zaczął się rozwijać.

Początkowo, kiedy jeszcze patrzyłem na to z boku, tak zwyczajnie, z pozycji niezaangażowanego obserwatora, myślałem, że to taka dziwaczna zabawa, której sens znają tylko oni. Nie potrafiłem sobie tego inaczej wytłumaczyć. John nadał psu imię Bob i niechętnie się z nim rozstawał, mimo że był to przecież prezent dla Scarlett. Ona też pragnęła mieć foksteriera tylko dla siebie, wołała na niego Skip i wściekała się, że John używa innego imienia. Wciąż się kłócili o tego psa. O to, w którym miejscu ma spać, co powinien jeść, czy musi chodzić na smyczy albo kto pójdzie z nim do weterynarza. Bronili swoich racji z taką zajadłością, jakby to była dla nich kolejna forma miłosnych potyczek, wyzwalająca podobne, a może nawet potężniejsze namiętności niż te, które wypala się za pomocą seksu. Po sześciu miesiącach konflikt zaostrzył się jednak do tego stopnia, że Scarlett zerwała z Johnem i wyprowadziła się do rodziców. Odchodząc, zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy, w tym także, a właściwie przede wszystkim, rocznicowy prezent. Podobno John nie próbował jej zatrzymać. Nie

wiem, nie było mnie przy tym, ale wiem, że tego samego dnia, wieczorem, zakradł się do domu jej rodziców i ukradł psa. Zadzwoił, żeby mi o tym powiedzieć. Prosił, bym do niego wpadł. Pomyślałem, że to dobra okazja, by mu wygarnąć, że za daleko to zaszło i najwyższy czas, aby oboje przestali się zachowywać jak idioci. Wsiadłem do swojego zdezelowanego volvo i pojechałem. Nie śpieszyłem się. Był luty i asfalt pokrywała cienka warstwa zdradliwego śniegu skrzącego się w świetle przydrożnych lamp. John wynajmował mały dom na przedmieściu, niewiele większy od stojącego obok garażu, który zajmowała jego czerwona corvette. Gdy tam dotarłem, było już dobrze po jedenastej. Odważnie wkroczyłem do środka, gotowy wepchnąć mu prawdę do gardła, ale kiedy stanąłem obok niego, nie byłem już taki pewny siebie. John siedział na skórzanej kanapie i wpatrywał się w ściszony telewizor. Tuż przy nim leżał sprawca całego zamieszania – mały, zwyczajny, ciemnobrażowy foksterier. John głaskał go jednostajnym, mechanicznym ruchem. Pies również patrzył na telewizor. Jakby obaj widzieli w nim coś, co tak bardzo ich pochłonęło, że nawet nie zauważyli mojej obecności. Zirykowałem się. Przecież to John chciał, żebym tu przyjechał! To nie był mój pomysł! Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, co ich tak zainteresowało. W głębi kineskopu aktorzy niemo poruszali ustami. Nie znałem tego filmu i wcale nie miałem ochoty go oglądać. Zwłaszcza bez dźwięku. Cisza wypełniająca pokój zaczynała mi działać na nerwy, więc znowu spojrzałem w ich stronę. Zamarłem. Obserwowali mnie w milczeniu. Wydawało się, że w ogóle nie mrugają. Poczulem na karku zimny pot. Zacząłem się wycofywać w stronę drzwi. Byłem przerażony i nie spuszczałem ich z oczu. A oni tylko siedzieli i patrzyli. Kiedy wymacałem za sobą klamkę, John powiedział:

– Nawet cicho to dla niego za głośno...

Wybiegłem z domu, wskoczyłem do samochodu i odjechałem. Długo jeździłem po mieście, nim zdołałem się uspokoić. Wróciłem do siebie nad ranem. Byłem tak zmęczony, że zasnąłem w ubraniu. Zapadłem w głęboki sen, ciemny i gęsty jak trzewia kamieni.

Nic się nie wyjaśnia.

Ten nurt istnienia nie przypomina niczego, co znam. Ale nie martwi mnie to, bo doświadczając go, czuję, że się rozluźniam i poddaję jego zawirowaniom z coraz większym zaufaniem, nie dbając o to, w jakim kierunku zmierza. To powinno wystarczyć, by dotrzeć do punktu, w którym znajdę dla siebie zaczepienie.

To musi wystarczyć.

Przez dwa miesiące miałem spokój. Oni nie dzwonili do mnie, ja nie dzwoniłem do nich. Cieszyło mnie to. Chciałem się trzymać jak najdalej od ich problemów i od tego cholernego psa. Szczęśliwie nie miałem zbyt dużo wolnego czasu, bo wraz z nadejściem wczesnej wiosny w mojej firmie zaczął się gorący okres. Mamy wtedy tyle zleceń, że często musimy pracować od rana do późnego wieczora, dlatego tylko sporadycznie przypominałem sobie o istnieniu Johna i Scarlett. Całymi dniami naprawiałem płoty, malowałem dachy, przepychałem rynny albo uzupełniałem brakujące dachówki. Praca fizyczna uspokaja umysł, solidnie zakorzenia w rzeczywistości i chroni przed głupimi myślami prowadzącymi na manowce, czyli tam, gdzie nie ma już żadnych drogowskazów i można się zgubić. A ja bardzo potrzebowałem czegoś, co dociąży mnie do normalnego świata. Choć gdyby ktoś dociekliwy zapytał, dlaczego z takim zaangażowaniem rzuciłem się w wir pracy, to chyba nie potrafiłbym odpowiedzieć. Zapewne wybełkotałbym coś o psie i o ludziach, których skłócił. Nie miałyby to jednak większego sensu, nawet dla mnie. Wolałem unikać tego, czego nie rozumiałem, i całkiem nieźle mi to wychodziło. Ale uniki to tylko sprytne sztuczki, które opóźniają to, co nieuniknione. Przekonałem się o tym boleśnie pod koniec kwietnia, gdy wieczorem, po pracy, znalazłem na progu swojego domu nieprzytomnego Johna. Wstrząsnął mną jego widok. Był wychudzony, zaniedbany, w poszarpanym ubraniu i cuchnął. Brzydziłem się dotknąć śmierdzących łachów, więc szturchnąłem go butem. Jęknął i otworzył oczy.

– Zabrała mi go, zabrała... – wyrzęził płaczący.

W jednej chwili wróciło do mnie wszystko, od czego z takim zapamiętaniem uciekałem. Przemogłem się, zwalczyłem wstręt i pomogłem Johnowi wstać. Był taki lekki, jakby pusty w środku. Dałem mu wody i chciałem nakarmić, ale twierdził, że nie jest głodny. Mimo to udało mi się w niego wmusić odrobinę rosółu, który czasem przywozi mi matka. Potem przygotowałem kąpiel i kazałem mu się rozebrać. Wygrzebałem z szafy swoje stare ciuchy, żeby mógł włożyć coś czystego, gdy skończy się myć. Były trochę za małe, bo John przewyższa mnie o pół głowy, ale dzięki temu, że tak bardzo schudł, zdołał się w nie jakoś wcisnąć. Choć miałem poważne wątpliwości, ostatecznie pozwoliłem mu zostać na noc. Zniosłem materac ze strychu, a on zwinął się na nim i natychmiast zasnął – jak stary, chudy pies. Przykryłem go kocem. Strach znowu wpełzł mi pod skórę. Długo walczyłem z bezsennością. Dopiero nad ranem zdołałem się trochę zdrzemnąć. Po takiej nocy byłem nieprzytomny i wszystko wypadło mi z rąk, więc dla własnego dobra zadzwoniłem do szefa i poprosiłem o kilka dni urlopu. Później zaparzyłem kawę i czekałem, aż John się obudzi. Długo to trwało, bo wstał dopiero późnym popołudniem. Poszedł do toalety, wrócił i znowu schował się pod kocem, ale słyszałem jego oddech i wiedziałem, że nie śpi. Postawiłem krzesło obok materaca, usiadłem i zapytałem, czy chce kawy. Milczał. Nie poddałem się. Próbowałem coś z niego wyciągnąć, zachęcić do rozmowy, ale odpowiadał mruknięciami i pojedynczymi słowami. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Nie miałem pojęcia, co mu się stało i dlaczego doprowadził się do takiego stanu. Mogłem jedynie podejrzewać, że chodzi o tego nieszczęsnego psa, a zatem spytałem wprost:

– Jest u niej?

A on, cały czas schowany pod kocem, wycharczał w odpowiedzi:

– Pomożesz mi go odzyskać?

Zerwałem się z krzesła i zacząłem nerwowo krążyć po pokoju. Było oczywiste, że próbuje mnie wciągnąć w swoje szaleństwo. Z drugiej jednak strony było to również szaleństwo Scarlett, a z nią łączyło mnie więcej niż

z nim, nawet jeśli ostatnio starałem się jej unikać. Pomyślałem, że może potrzebują kogoś takiego jak ja, kogoś, kto pomoże im się dogadać. Nagle poczułem się częściowo odpowiedzialny za to, co się między nimi stało. Tak, to z całą pewnością głupie i bardzo naiwne, ale wyobraziłem sobie, że gdybym ich nie zostawił na pastwę losu i wcześniej zdecydował, że powinienem im pomóc załagodzić konflikt wywołany obecnością psa, to sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Wyrzuty sumienia dały mi impuls do działania. Zadzwoiłem do Scarlett. Ucieszyła się, że mnie słyszy, ale nie chciała rozmawiać o Johnie i psie. Zrozumiałem, że muszę być bardziej ofensywny. Postanowiłem do niej wpaść i podyskutować twarzą w twarz. Skierowałem rozmowę na pogodę, ceny, polityczne zaangażowanie jej ojca i konwersowałem z nią w najlepsze, gdy nagle w słuchawce usłyszałem odległe, zaszumione szczekanie. To musiał być ten ich pies. Stałem oparty o ścianę i widziałem, jak John powoli siada na materacu, zsuwa z głowy koc i nasłuchuje z wytrzeszczonymi oczami. Ciarki mi przeszły po plecach. Obiecałem Scarlett, że jeszcze dziś ją odwiedzę, i szybko zakończyłem rozmowę. Oczywiście pojechałem tam bez niego. W przeciwieństwie do Johna Scarlett wyglądała znakomicie, wręcz kwitnąco. Usiedliśmy w ogrodzie, w pięknej altance, którą własnoręcznie zbudował pan Jonathan, ojciec Scarlett, i mimo że los byłego chłopaka w ogóle jej nie interesował, wyraziście i dosadnie opisałem stan, w jakim obecnie znajduje się John, a także powiedziałem, co myślę o ich absurdalnej wojnie o psa. Swoją drogą Skip cały czas biegał po ogrodzie i nie zwracał na nas uwagi. Scarlett cierpliwie słuchała tego, co miałem do powiedzenia, ale od czasu do czasu, jakby mimowolnie, szukała wzrokiem baraszkującego psa. Kiedy skończyłem mówić, zawzięcie obszczekiwał pracujący zraszacz. Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło i stwierdziła, że niepotrzebnie się wysiłam, bo już dawno jest po sprawie.

– Jak to?! – zapytałem zdumiony.

– Jeff wszystko załatwił.

– Twój brat?! Ten dupek w policyjnym mundurze?!

– Ktoś musiał mi pomóc. Wiesz, ile razy John wykradał Skipa?

– Nie mam pojęcia...

– Dwanaście! Dwanaście cholernych razy! I to w niecałe dwa miesiące! To był koszmar. Jeff co kilka dni jeździł do Johna, siłą odbierał mu psa, straszył bronią, raz nawet zamknął go na dobę w areszcie, ale nic to nie dało. Skip wciąż znikał i wiadomo było, gdzie go szukać. To nie mogło dalej tak trwać. Trzeba było coś z tym zrobić.

Zaczynałem rozumieć.

– Złożyłaś oficjalną skargę i John ma teraz prawny zakaz zbliżania się do tego domu?

– Nie miałam innego wyjścia.

Zamurowało mnie. Ledwo mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

– Ale to go zdruzgotało! Nie mogliście się jakoś dogadać i podzielić tym diabelskim psem?

– Nic nie rozumiesz, on chce mi go zabrać. Jak mogłabym kochać kogoś takiego?

Poczułem na plecach nieprzyjemny chłód wędrujący w górę kręgosłupa.

– Może faktycznie nie rozumiem, ale uważam, że nic by ci się nie stało, gdybyś mu pozwoliła raz na jakiś czas zobaczyć się z Bobem.

– Skipem! – oburzyła się Scarlett.

– Dla niego Bobem i nie zmieni tego żaden sądowy nakaz! Moglibyście ustalić jakiś harmonogram spotkań czy coś w tym rodzaju. Oczywiście ktoś powinien to nadzorować, zapewne Jeff.

– Nie podoba mi się ten pomysł...

– A podoba ci się myśl, że jeśli nic się nie zmieni, to będziesz miała na sumieniu Johna?

– Nie może być aż tak źle. Poza tym, skąd mam wiedzieć, że nie kombinujesz czegoś razem z nim?

– Gdy go zobaczysz, zrozumiesz, że nie ma w tym żadnego podstępu.

Wtedy powiedziałem to z przekonaniem, bo byłem absolutnie pewien, że robię coś dobrego, pomagam im zreperować to, co sami zepsuli. Ale teraz nie

mam już tej pewności. Może nawet wiem, że nie powinienem ich namawiać, by znowu się spotkali. Wolę jednak myśleć, że prędzej czy później i tak by do tego doszło, nawet bez mojego udziału. To daje mi pocieszenie, uspokaja, oddala poczucie winy. Kłamstwa są w tym niezastąpione. Scarlett zgodziła się pojechać do mojego domu. Podejrzewałem, że zmięknie na widok Johna. Nie myliłem się. Z satysfakcją zauważyłem, że w jej oczach wzbierają łzy. Otarła je pośpiesznie i usiadła na materacu, obok Johna. Zadowolony wycofałem się do drugiego pokoju. Słyszałem, jak szepczą, lecz robili to tak cicho, że niczego nie udało mi się podsłuchać. Umówiłem się ze Scarlett, że następnego dnia zawiozę Johna do niej i wspólnie spróbują wreszcie coś ustalić. Podziękowała mi za wsparcie i pozwoliła się odwiedzić. Ogarnęła mnie cudowna euforia. Miałem wrażenie, że pierwszy raz udało mi się pozytywnie wpłynąć na czyjeś życie. John również był nastawiony bardzo optymistycznie. Wyraźnie odzyskał wigor. Chciał, żebym wziął czynny udział w rozmowach ze Scarlett, jej rodzicami i bratem. Twierdził, że mnie potrzebuje. Właśnie wtedy obiecał, że jeśli mu pomogę, to pożycz mi na weekend swoją corvette. Nie interesował mnie jego samochód, ale przystałem na to, bo chciałem przy nich być, gdy będą próbowali się pogodzić, i wierzyłem, że mogę im w tym pomóc. Naprawdę w to wierzyłem. Niestety, nic nie poszło tak, jak to sobie wyobrażałem. Nie mogliśmy się spotkać w następnym dniu, bo umarła siostra matki Scarlett i do końca tygodnia cała jej rodzina miała inne zmartwienia. John przestał się uśmiechać i znowu zaczął spędzać długie godziny skulony na materacu. Minęło dziesięć dni, nim Scarlett ponownie zaprosiła nas do siebie. Nastął ciepły, burzowy maj. Wreszcie wsiedliśmy do mojego volvo. Jechaliśmy w milczeniu. Napięcie wisiało w powietrzu. Na miejscu czekali na nas tylko Scarlett i pan Jonathan. Zdziwiłem się, ale okazało się, że Jeff powinien się pojawić lada moment, a jej matka wyjechała i nie będzie brała udziału w negocjacjach. Scarlett i John usiedli naprzeciwko siebie. Nie musiałem ich do niczego przekonywać. Bardzo chcieli się pogodzić. Wciąż coś do siebie czuli. Pies był chyba zamknięty w innej części domu, bo nigdzie go nie

widziałem. Na zewnątrz pociemniało, lunął deszcz i niebo rozmigotało się błyskawicami. Mimo to wydawało się, że wszystko zmierza w dobrą stronę. Scarlett była już skora wpuścić psa do pokoju, ale nagle usłyszeliśmy jego szczekanie. Dochodziło z zewnątrz. Poderwaliśmy się z miejsc i podeszliśmy do okien. W jakiś sposób pies wydostał się na zewnątrz i biegał po ogrodzie. Na jego widok John jęknął z rozkoszy. Zwierzak gonił jak szalony, tarzał się w trawie, łapał strugi deszczu i doskakiwał do gałęzi drzew, z których ściekała deszczówka. Patrzyliśmy na niego zauroczeni. John położył dłoń na szybie, jakby chciał pogłaskać ukochanego Boba przez szkło. Pies podbiegł do jabłoni, skoczył w górę i wtedy trafił go piorun. Na ułamek sekundy potężna iskra rozdarła ogród na dwie części, obie wypalone żrącą bielą. Huk wstrząsnął całym domem. Nami również.

Stoimy ośłupiali.

Jestem pusty, zawieszony nad cichym szumem nieobecnych myśli. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, gdzie jestem. Ale nie trwa to długo. Scarlett zaczyna histerycznie szlochać, odchodzi od okna i zwija się na fotelu. Nikt jej nie pociesza. John z obłędem w oczach przylgnął do szyby. Przez jego ciało przebiega seria niekontrolowanych skurczów. Pan Jonathan wydaje się nieobecny, w bezruchu wpatruje się w jeden punkt, jakby uciekł od tego wszystkiego daleko w głąb siebie. A ja patrzę, jak rześisty majowy deszcz ścieka po drobnych liściach jabłoni niczym czas przeciekający przez skomplikowaną sieć higroskopijnych tunelików, docierających do najbardziej ukrytych, najbardziej tajemniczych zakamarków mojego ciała. Patrzę i odzyskuję samego siebie. Wracają wspomnienia i emocje, splecione w dziwny, kolczasty żar pulsujący pod żebrami. Wraca świadomość tego, co się stało. Nagle znowu jestem tu całym sobą i w ciele spalonego psa dostrzegam swoją szansę. Ruszam, gotowy zrobić to, co do mnie należy. Wychodzę na zewnątrz. Nikt mnie nie zatrzymuje, nikt nie pyta, co właściwie zamierzam. Z szopy, w której pan Jonathan trzyma narzędzia rolnicze, zabieram szpadel. Potem wchodzę między drzewa. Niemal przestało padać. Podchodzę do częściowo zwęglonego truchła, wsuwam pod

nie szpadel, podnoszę i kieruję się do mojego volvo. Śpieszę się. Wiem, że muszę się uwinąć, zanim Scarlett i John dojdą do siebie. W bagażniku mam grube foliowe worki, w których zazwyczaj wożę ziemię lub torf. Wyjmuję jeden, wrzucam do niego martwego psa, zawiązuję worek i umieszczam go za kołem zapasowym, żeby w czasie jazdy nie przetaczał mi się po bagażniku. Dla pewności kładę na worku szpadel. Teraz szybko wsiadam do wozu, uruchamiam ślinik i ruszam. Patrzę w lusterko. Pusto. Nikt nie wybiegł za mną na ulicę. Jest dobrze. Jest bardzo dobrze. Dojeżdżam do ronda i skręcam w lewo. Jeszcze nie wiem, dokąd powinienem się udać, ale myślę, że jak będę dostatecznie długo krążył po okolicy, to w końcu coś wykombinuję. Mijam sklep żelazny pana Drussa. Sztyld z nazwiskiem przykuwa moją uwagę i podsuwa pewien pomysł. Na wzgórzach jest duża działka, gęsto zarośnięta dziko rozplenioną trawą, pokrzywami i wysokimi krzakami głogu. Dwa lata temu ktoś ją ogrodził, ale od tamtej pory nic się na niej nie dzieje. W mieście od dawna krąży plotka, że to właśnie pan Druss ją kupił. To skojarzenie zaczyna mną kierować.

Prawie to przegapiłem! Nurt istnienia zapętlił się i zaczął nabierać prędkości, a potem pojawiło się coś, co niemal wydało mi się znajome. Niemal. Natychmiast przyśpieszam.

Przyśpieszam. Po dwudziestu minutach jestem na miejscu. Podjeżdżam pod zamkniętą bramę. Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje. Przerzucam nad ogrodzeniem worek i szpadel, a potem przełażę w ślad za nimi. W głębi działki natrafiam na duży krzak głogu i uznaję, że tu będzie dobrze. Rozgarniam kłujące gałęzie i blisko korzeni wykopuję płytki dół. Wrzucam do niego worek i zasypuję. Wracam do domu. Nie dzwonię do Scarlett, nie sprawdzam, co się dzieje z Johnem. Jestem przekonany, że dziwaczna śmierć psa była najlepszą rzeczą, jaka mogła im się teraz przytrafić. Dzięki niej dostali drugą szansę. Czuję się skrajnie wyczerpany i po prostu idę spać. O dziwo, po tym wszystkim nie mam

żadnych problemów z zaśnięciem. Ale o drugiej w nocy budzi mnie pan Jonathan. Coś się stało. Coś złego. Wiedziałem to już, zanim całkiem się rozbudziłem i pan Jonathan powiedział mi, kto poderznął sobie gardło. Najpierw tłumaczy się i przeprasza, że przyjechał dopiero teraz. Potem, ze łzami w oczach, przechodzi do konkretów i dociera do mnie, że mam na sumieniu Johna, który w niecałe pół godziny po moim odjeździe wziął z kuchni nóż i rozplatał sobie szyję. Kiedy umierał, Scarlett wciąż leżała zwinięta na fotelu, ale była już nieprzytomna. Pan Jonathan wezwał policję i karetkę. Jeff, który spóźnił się na tragiczne negocjacje, tym razem stanął na wysokości zadania i pomógł ojcu przebrnąć przez uciążliwą procedurę przesłuchania. Nie chcąc mi robić kłopotów, pan Jonathan nie wspomniał policji, że nieco wcześniej ja też byłem w jego domu. Jeff gorliwie poparł zeznania ojca, choć z całą pewnością wiedział, kto przywiózł Johna. Lekarz, który zbadał Scarlett, kazał ją natychmiast przewieźć do szpitala. Ledwo oddychała i miała wszelkie objawy zapaści sercowo-naczyniowej. Doktor zapytał, czy Scarlett ma problemy z narkotykami, i mało brakowało, a Jeff rzuciłby się na niego z pięściami. Interweniował szeryf. Zabrał ojca i syna do swojego radiowozu, a potem pojechał za karetką do szpitala. Na miejscu okazało się, że jej stan jest gorszy, niż przypuszczano. Wątroba i nerki są tak zniszczone, że nie wiadomo, czy Scarlett dożyje poranka. Pan Jonathan chce, żebym do niej pojechał. Teraz. Póki jeszcze żyje. Więc ubieram się i jadę. Cały czas mam nadzieję, że to tylko zły sen i zaraz się obudzę. Ale nic z tego. Dojeżdżam do szpitala i nawet jej widok – a wygląda tak, jakby przez kilka godzin postarzała się o czterdzieści lat – nie budzi mnie z tego koszmaru. Obok łóżka Scarlett czuwa jej brat Jeff. Wstaje i podchodzi do mnie. Kładzie mi rękę na ramieniu, patrzy w oczy. Nie przepadam za nim i on za mną też, więc podejrzewam, że zaraz zrzuci na mnie całą winę za to, co się stało. To by było w jego stylu. On jednak mówi coś innego, coś, co mrozi mi krew w żyłach. Szepcze z bliska, świdrując mnie wzrokiem:

– Musi zniknąć, rozumiesz? Nikt nie może go znaleźć!

Kiwam głową na potwierdzenie, że wiem, o czym mówi, choć nie jestem

pewien. Mam sucho w ustach. Jeszcze raz zerkam na nieprzytomną Scarlett i ze zgrozą zauważam, że na jej ciemnych włosach pojawiły się srebrne pasemka siwizny, których jeszcze przed chwilą nie było. Odpycham Jeffa i wybiegam w panice. Znajduję swoje volvo i ruszam w kierunku działki, na której zakopałem psa. Nie mam pojęcia, dlaczego to robię, przecież tylko ja wiem, że on tam jest. Nagle ogarnia mnie nieodparte wrażenie, że jestem obserwowany i ktoś śledzi każdy mój krok. Tknięty paranoicznym przeczuciem zaczynam kluczyć uliczkami miasta, by zgubić tych, którzy mogliby podążać moim śladem, a kiedy mam już pewność, że nikt za mną nie jedzie, znowu kieruję się w stronę działki. Zatrzymuję się przed zamkniętą bramą. Jest już prawie czwarta nad ranem. Świta. Biorę szpadel i przedostaję się przez ogrodzenie. Błądzą po działce i nie mogę znaleźć właściwego krzaka głogu. Wreszcie mi się udaje. Waham się, nie wiem jeszcze, czy przeniosę psa w inne miejsce, czy nie, ale czuję, że muszę go wykopać. Co innego mi pozostało? Jeśli to wszystko dzieje się naprawdę, a widok umierającej Scarlett dowodził tego niezbicie, to powinienem postąpić inaczej, niż sugerował Jeff. Lepiej zabrać stąd to spalone truchło i pokazać je ludziom w szpitalu. Może dzięki temu ktoś z nich odkryje, dlaczego Johna i Scarlett połączył tak tragiczny los. Zapewne lekarze będą na mnie patrzyli jak na wariata, ale trudno, nieważne, zrobię to bez względu na wszystko, byleby choć trochę złagodzić przygniatające poczucie winy. Energicznie rozchylam kłujące gałęzie głogu i kopię. Ziemia jest zruszona, więc łatwo mi idzie. Nagle szpadel z brzękiem uderza o coś metalowego. Patrzę w dół z niedowierzaniem. Uderzam jeszcze raz. Znowu metaliczny brzęk. Klękam i rozgarniam ziemię palcami. Wewnątrz zawiązanego worka jest jakiś obły kształt. Nie przypomina psa. Próbuję wyciągnąć worek z dołka, ale jest tak ciężki, że nie mogę go ruszyć. Napinam się, ciągnę z całych sił. Worek rozrywa się i zostaje mi w rękach. To, co w nim było, nadal leży w dołku. Pochylam się zdumiony. Wygląda jak strusie jajo pokryte dziwną skorupką, grafitową i pobrużdżoną. Cuchnie spalenizną. Nie mam pojęcia, co to jest.

Wiem, co to jest! Kto raz zobaczył Matrycę, nigdy jej nie zapomni. Kiedy moja sormmyrkowa świadomość rozwinęła się na tyle, że mogła już częściowo oderwać się od pobrużdżonej powierzchni i z rozkoszą tańczyć w ledwo wyczuwalnych podmuchach mrowiącego promieniowania krążącego wokół Matrycy, miałem pod sobą, daleko w dole, taki sam jajowaty, grafitowy kształt. Taki sam, a jednak inny. Tamten nie był aż tak absorbujący jak ten, który się zbliża, rośnie, wzbiera potężniejącym buczeniem. Nagle gwałtowny skok percepcji odrywa mnie od roztrzaskanego Sormmyrka. Zwijam się w maleńki punkt, który wpada w tryby innego czasu, znajduje zaczepienie w skomplikowanej strukturze przenikających się wymiarów i błyskawicznie odbudowuje się tuż nad jajowatym kształtem spoczywającym w płytkim dołku. Cierpki zapach świeżo rozkopanej ziemi wypełnia moje płuca wilgotnym chłodem.

Dotykam grafitowego jaja. Próbuję wytoczyć je z dołka, ale ani drgnie. Obmacuję je z góry i po bokach. W pobliżu ostrzejszego wierzchołka wyczuwam podłużną szczelinę. Wsuwam do niej koniuszki palców, jakbym dokładnie wiedział, co mam robić, naciskam i słyszę ciche szcęknięcie zapadki. Jajo rozpada się na dwie identyczne połówki, które płynnym, powolnym ruchem, rozchylają się na boki. W środku jest ciemność, tak ciemna i gęsta, że zaczyna mnie wciągać, a ja z przerażeniem odkrywam, że nie mam się czego złapać.

* * *

Lśniący czarny stożek sterczący z dna obserwatorium Menura – dużego soczewkowatego wgłębienia wykutego w betonowej podłodze – nie posiadał żadnych zewnętrznych sensorów, których aktywność zdradzałaby, gdzie kieruje się jego uwaga, ale wściekły

Hemel i tak miał nieodparte wrażenie, że Panaplian w ogóle nie patrzy w ich stronę, tylko bacznie obserwuje coś, czego ani on, ani Tenan nie mogą zobaczyć.

– Dlaczego milczysz?! Odpowiadaj! – krzyczał zamin. – Czemu wysłałeś nas na pewną śmierć?!

Panaplian odezwał się dopiero po długiej chwili, co tylko potwierdziło odczucia Hemela i podsyciło jego gniew.

Bez przesady.

Przecież żyjecie.

Przebywanie w tym świecie

Jest dla mnie równie niebezpieczne

Jak dla was wizyta w jamie Ebreny,

Więc oszczędźcie mi swoich narzekań.

Cele, które chcemy osiągnąć,

Są obciążone bardzo dużym ryzykiem.

Hemel zdusił gniewny pomruk i uniósł obiekt, który znaleźli w kesonie.

– Nie dostaniesz tego, póki nie powiesz, gdzie znajdziemy Drussa, żywego lub martwego!

A co ja mógłbym tym zrobić?

Hemel oniemiał. Spojrzał na Tenana, który stał z boku i już dawno przestał się odzywać. Otworzył potężną paszczę, ale nie wydobył się z niej żaden dźwięk. W końcu wybelkotał z trudem:

– Myślałem, że...

Żaden z was nie zdołałby podnieść

Tego, czego szukam.

*Tuleja należy do was.
Jedynie ktoś z tej rzeczywistości
Może jej użyć,
Ktoś taki jak wy.
Na razie jest niekompletna,
Ale gdy odkryjemy
Położenie drugiego elementu
I zdołamy go dołączyć,
To możliwe, że to narzędzie
Pomoże wam odnaleźć
Waszego człowieka,
A mnie, być może, naprowadzi na ślad
Mojej zguby.
A właśnie! Znaleźliście jednego
W kesonie, prawda?*

– Jednego? – wycharczał zdezorientowany Hemel.

No cóż, raczej nie był to ten właściwy...

Zamin domyślił się, o czym mówi Panapljan.

– A tak, podejrzewamy, że to ciało ojca Drussa. Nawet po śmierci ścisnął tę tuleję w taki sposób, jakby to była najcenniejsza rzecz na całej Usimie.

*Jeszcze nie widziałem czegoś,
Co przypominałoby ten przedmiot,
Zatem możliwe, że to prawda.
Choć trudno na tej podstawie stwierdzić,
Czy jesteśmy na właściwym tropie,
Czy nie.*

– Powiesz nam, do czego to służy?

Nie mam pojęcia. Cierpliwości.

Funkcja wytoni się sama.

Jak to mawiają istoty posiadające odnoża:

„Trzeba działać krok po kroku”.

– To skąd wiesz, że dla tej rzeczy warto było ryzykować życie?

Jesteście bardzo podejrzliwi.

C cały czas myślicie,

Że was zwodzę i oszukuję.

W sumie dobrze, że tak jest,

Bo dzięki temu dogłębniej

Analizujecie sytuacje,

Które pojawiają się na waszej drodze.

Ale tak naprawdę,

Choć sami niechętnie się do tego przyznacie,

Gdzieś w głębi waszych świadomości

Już dawno umocniło się przekonanie,

Że nie mogę wam zbyt wiele powiedzieć,

Bo szczegółowe tłumaczenia są zbędne,

Wręcz szkodliwe.

W istocie hamują nasze postępy.

Pewnie zabrzmiało to dla was paradoksalnie,

Lecz faktem jest,

Że działacie bardziej efektywnie,

Gdy znacie tylko fragmenty

Większej całości,

Elementy większego obrazu.

Oczywiście

*Ja też nie znam całego.
Z racji mojej nieprzystawalności
Do tego świata
Mam jednak znacznie szerszą perspektywę.
Wiem, jak wypatrywać
Kolejnych modułów wiedzy,
Spontanicznie objawiających się
W obrębie mojej percepcji.
No i, co najważniejsze,
Potrafię odróżnić te, które pasują
Do obrazu,
Od tych, które przestaniają widok.
Rozumiecie, co chcę wam przekazać?*

Zamin westchnął ciężko i Tenan, który do tej pory niechętnie zabierał głos, wysapał cicho:

– Mówi, że rozumiemy. Chyba.

*Nigdy nie zdołacie sobie wyobrazić,
W jaki sposób widzę
Tę waszą gęsto zorganizowaną przestrzeń,
Którą nazywacie miastem.
To mnie w pewnym stopniu ogranicza,
Bo wielu rzeczy nie rozumiem
I nie potrafię wam wyjaśnić,
Że coś interesującego znajduje się
Pod taką a taką ulicą
Czy takim a takim adresem.
Płaskość tej rzeczywistości
Bywa bardzo zdradliwa.
Z drugiej jednak strony*

*W pierwszej kolejności dostrzegam to,
Co wyróżnia się najbardziej:
Osobliwości, anomalie,
Artefakty naniesione pływami obcych wymiarów.
Są to głównie obiekty, które
Określacie mianem xulo.
Ale nie tylko.
Dlatego też wszystko,
Co z naszej perspektywy
Może być interesujące i
Może nas doprowadzić do tego,
Czego szukamy,
Nieustannie znajduje się
W zasięgu mojego wzroku.
Problem polega jednak na tym,
Że jest tego bardzo dużo
I kontekst najczęściej pozostaje dla mnie niejasny.
A zatem
Wy potrzebujecie mnie,
A ja was.
Choć, prawdę mówiąc,
Ja was bardziej, bo mam coraz mniej czasu.
Tuleja może nam pomóc,
Ale nie musi, więc skończmy te jałowe dyskusje
I sprawdźmy to,
Póki w moim ciałoskafandrze jest jeszcze trochę energii.*

Hemel odniósł wrażenie, że mimo wszystko udało mu się dowiedzieć czegoś nowego, choć wiedza, którą zdobył, była dość mętna i raczej mało satysfakcjonująca. Wciąż nie usłyszał też najważniejszego. Wskazał palcem na tuleję i powiedział:

– Sprytnie unikasz odpowiedzi. Nadal nie wyjaśniłeś, czemu to takie niezwykle.

*Z każdego dostępnego mi wymiaru
Ta rzecz wygląda tak samo.*

– To nietypowe? – wtrącił Tenan.

*Unikatowe! Nie sądziłem,
Że w ogóle może istnieć coś takiego.
Jednak wyczuwam w tym obiekcie brak,
Niekompletność,
Która magnetycznie płynie przez miasto,
Łgnie do czegoś,
Czego nie widzę.*

– Skoro to dla ciebie takie łatwe, to dlaczego do tej pory nie udało ci się wypatrzeć tego, czego szukasz, i jedyne go człowieka, jaki pozostał w Linvenogre?

*Ależ wypatrzyłem!
Przecież właśnie to
Próbuję wam powiedzieć.
Ja tylko nie mogę ich znaleźć.
Nie znam słów,
Którymi mógłbym to wyjaśnić
W bardziej zrozumiały sposób.*

Hemela ogarnęło dziwne uczucie. Wydawało mu się, że przytomnieje, dochodzi do siebie po długim somnambulicznym zamysleniu i dopiero teraz zaczyna zdawać sobie sprawę, gdzie się

znajduje. Rozejrzał się. Zauważył, że Tenan schował ektoplazmatyczną wypustkę, ma zjeżoną sierść i dygocze spazmatycznie. Zamin nie miał wątpliwości, że perus czuje to samo, co on, ale jak zwykle robi wszystko, żeby uciec przed swoimi odczuciami i schować się w głębi siebie.

Niemal w samym środku soczewkowatego wgłębienia wznosił się czarny stożek, widzialna część milczącego Panaplina. Kiwał się na boki jak szałwioł unoszący się na powierzchni spokojnej, ale bardzo głębokiej wody. Wydawało się, że promieniuje ciszą, która nie mogła wypełnić całego pomieszczenia, bo odpychało ją ciche buczenie trzech generatorów biotryki, podłączonych do dwóch kręgów miedzianego drutu, otaczających obserwatorium Menura. Drewniane stojaki, na których stary perus rozwiesił swoje druty, stały w nieregularnych odstępach przywodzących na myśl jakiś ukryty zamysł, coś w rodzaju skomplikowanego systemu wymuszającego właśnie takie całkowicie nieprzypadkowe ustawienie. Gniew Hemela zniknął bez śladu. Rozproszyła go złożoność napierających ze wszystkich stron kształtów, a właściwie ich mnogie znaczenia, wyczuwalne, lecz nieodgadnione, nieosiągalne.

Zamin przesunął wzrokiem po niezliczonych xulo spiętrzonych pod betonowymi ścianami pokrytymi ciemnobrązowymi plamami wilgoci i zaciekami, które przyciągały wzrok i wydawały się znakami nieznanego alfabetu. Wpatrzył się w zwartą masę nieostrych, migotliwych, rozwibrowanych, połyskujących artefaktów. Nagle przestały być dla niego czymś obcym, jakby po wielu latach tropienia i obcowania z xulo doszedł do wniosku, że dzieli z nimi ten sam los, bo tak samo jak one jest tylko zbłąkanym przybyszem, który przypadkowo znalazł się na Usimie. Głośno przełknął ślinę i powiedział:

– No więc dobrze. Spróbujmy użyć tej tulei.

O, nie!

Przy odrobinie szczęścia

To ona użyje nas.

RIMKLE

OKRA
2024

...w ciepły letni poranek czworo młodych ludzi stanęło na zarośniętych torach kolejowych, które wynurzały się z lasu, zataczały łuk i ponownie znikwały między drzewami.

– To którądy?

– W lewo.

– Jesteś pewien?

– No jasne.

– Dlaczego? Przecież to pętla. Bez względu na to, w którą stronę pójdziemy, prędzej czy później i tak wrócimy do punktu wyjścia.

– Niby tak, ale w lewo będzie ciekawiej.

– Kto tak twierdzi?

– Mapa.

– Ściemniasz. Pewnie sam ją narysowałeś.

– Ile razy mam powtarzać?! Dostałem od dziadka. Co prawda kazał mi przysiąc, że nigdy nie będę się tu szwendał, ale umarł w zeszłym roku...

– Akurat! Robisz nastrój i tyle. Przyznaj, że chcecie się dostać do naszych majątek.

– Łączymy przyjemne z pożytecznym.

– Trzeba było zrobić imprezę!

– I to by wystarczyło?

– Może...

– Nie jesteście takie.

– Skąd wiesz?

– Czytacie książki, chodźcie do kina. Inna liga.

– Inne co?

– To był komplement, idiotko!

– Sama jesteś idiotka!

– Chodźmy już. Mamy do przejścia kawał drogi.

– Nie boicie się Niemca?

– Kasiu, nie powtarzaj tych głupot! Zapisy w kronikach doliny Rimleg jednoznacznie dowodzą, że pętla powstała przed drugą wojną światową i wszelkie historyjki o widmowych esesmanach pilnujących zapętlonego toru to bzdury wyssane z brudnego palca. Choć, niestety, nie ma tam również żadnych konkretnych informacji pozwalających określić dokładną datę budowy.

– Skoro jesteś tak dobrze poinformowany, to może wyjaśnisz nam, w jakim celu ktoś ułożył tu pętlę z torów, które donikąd nie prowadzą?

– Oj, chciałbym to wiedzieć... To rzeczywiście niezwykle. Zaraz dojdziemy do pierwszego portalu.

– Do czego?

– Nazywamy tak trzy koliste betonowe bramy, przez które przechodzą tory. O, jest!

– Na co to?

– A bo ja wiem? Nic tu nie ma. Brama z lasu do lasu.

– Strasznie śmieszne.

– To nie był żart.

– Jak ty coś palniesz...

– Daj mu spokój, Andrzej. To było zabawne.

– Skoro tak mówisz.

– Gdzie jest drugi portal?

– Kilka kilometrów dalej. Zobaczycie go, jak miniemy stawy. A trzeci znajduje się dopiero...

– Wąskie te tory.

– Mają dokładnie tysiąc milimetrów szerokości, czyli klasyczna metrówka. Kolejny bezużyteczny fakt. Nie pomaga rozwikłać zagadki.

– Jestem głodna. Robimy piknik?

- Teraz?! Nie można później?
- Śpieszysz się gdzieś?
- Niespecjalnie...
- To nie poganiaj. Rozłożymy koc. Otworzymy wino. Wyciągniemy kanapki. Mamy cały dzień.
- No dobrze. Chodźcie. Jest tu taka mała polanka. Prawie nie widać jej od strony torów.
- Zabieracie tam wszystkie dziewczyny, prawda?
- Wy jesteście pierwsze.
- Nie potrafisz kłamać.

* * *

- Wiesz, że twoi kumple ze szkoły uważają, że jesteś trochę stuknięty?
- Mam to gdzieś. Naprawdę pasjonują mnie różne dziwne rzeczy, więc albo będę mówił o tym wprost, albo udawał kogoś, kim nie jestem. Dla mnie wybór jest oczywisty.
- Imponujesz mi. Nie mam tyle odwagi i staram się trzymać mniej więcej pośrodku. Próbuję się angażować w życie, które prowadzą moje koleżanki, i jednocześnie się od nich dystansuję. Średnio mi to wychodzi, ale boję się głośno powiedzieć, że głównie mnie obchodzą głupie seriale i durna muzyka dla półgłówków.
- To wcale nie jest takie trudne.
- Tylko co potem? Zaczną mnie wytykać palcami? Tak jak ciebie?
- Być może, ale przynajmniej nie będziesz czuła, że coś musisz.
- Chciałabym. To musi być ekstra, tak po prostu robić to, na co masz ochotę... Nie powinniśmy już iść?
- Gdzie Piotrek i Ewa?
- Chichoczą za drzewem. Zawołam ich.

* * *

– Co to za słowo?

– Które?

– No to, na brzegu mapy!

– Krek'h-pa...

– Nie zgrywaj idioty, przecież potrafię czytać! Co to znaczy?!

– Nikt tego nie wie. Mój dziadek twierdził, że to przypadkowa notatka, bez związku z mapą. Sama zobacz. Wszystko na to wskazuje. Inny kolor atramentu, inny rodzaj pisma. Być może poprzedni właściciel zapisał tu sobie czyjeś nazwisko albo coś w tym rodzaju. Nie doszukiwałbym się w tym głębszego sensu.

– A ja przeciwnie. Mów sobie, co chcesz, ale nie możesz mieć pewności, że nie jest to jakaś zaszyfrowana wskazówka. Próbowales podgrzewać mapę nad świeczką albo przyglądałeś się jej lustrzanemu odbiciu?

– Zejdź na ziemię! Nie gramy w filmie o przygodach Jamesa Bonda!

– A szkoda, on ma lepsze poczucie humoru niż ty.

* * *

– To jest trzeci portal?

– Tak.

– Różni się od tamtych.

– Może trochę.

– Jeśli spojrzycie w lewo, to zobaczycie coś, co wygląda jak ogromny betonowy grzyb. Częściowo zasłaniają go drzewa, ale...

– Kręci mi się w głowie.

– Po cholere tyle wypiałś?! Nie mogłaś się oderwać od butelki! Przepraszam was, ale Ewa nie wie, kiedy przestać. Ej, czekaj, chcesz

puścić pawia?!

– Wyluzuj! Nic mi nie będzie. Daleko jeszcze?

– Za chwilę wyjdziemy z lasu.

– To dobrze. Mdli mnie od tych torów. Mam wrażenie, że krążymy tu od lat.

– Widzę prześwit. Dochodzimy...

* * *

...w ciepły letni poranek czworo młodych ludzi stanęło na zarośniętych torach kolejowych, które wynurzały się z lasu, zataczały łuk i ponownie znikwały między drzewami.

– To którądy?

– W lewo.

– Jesteś pewien?

– No jasne.

– Dlaczego? Przecież to pętla. Bez względu na to, w którą stronę pójdziemy, prędzej czy później i tak wrócimy do punktu wyjścia.

– Niby tak, ale w lewo będzie ciekawiej.

– Kto tak twierdzi?

– Mapa.

– Ściemniasz. Pewnie sam ją narysowałeś.

– Ile razy mam powtarzać?! Dostałem od dziadka. Co prawda kazał mi przysiąc, że nigdy nie będę się tu szwendał, ale umarł w zeszłym roku...

– Akurat! Robisz nastrój i tyle. Przyznaj, że chcecie się dostać do naszych majątek.

– Łączymy przyjemne z pożytecznym.

– Trzeba było zrobić imprezę!

– I to by wystarczyło?

– Może...

- Nie jesteście takie.
- Skąd wiesz?
- Czytacie książki, chodźcie do kina. Inna liga.
- Inne co?
- To był komplement, idiotko!
- Sama jesteś idiotka!
- Chodźmy już. Mamy do przejścia kawał drogi.
- Nie boicie się Niemca?

– Kasiu, nie powtarzaj tych głupot! Zapisy w kronikach doliny Rimleg jednoznacznie dowodzą, że pętla powstała przed drugą wojną światową i wszelkie historyjki o widmowych esesmanach pilnujących zapętlonego toru to bzdury wyssane z brudnego palca. Choć, niestety, nie ma tam również żadnych konkretnych informacji pozwalających określić dokładną datę budowy.

– Skoro jesteś tak dobrze poinformowany, to może wyjaśnisz nam, w jakim celu ktoś ułożył tu pętlę z torów, które donikąd nie prowadzą?

– Oj, chciałbym to wiedzieć... To rzeczywiście niezwykle. Zaraz dojdziemy do pierwszego portalu.

– Do czego?

– Nazywamy tak trzy koliste betonowe bramy, przez które przechodzą tory. O, jest!

– Na co to?

– A bo ja wiem? Nic tu nie ma. Brama z lasu do lasu.

– Strasznie śmieszne.

– To nie był żart.

– Jak ty coś palniesz...

– Daj mu spokój, Andrzej. To było zabawne.

– Skoro tak mówisz.

– Gdzie jest drugi portal?

– Kilka kilometrów dalej. Zobaczycie go, jak miniemy stawy.

A trzeci znajduje się dopiero...

– Wąskie te tory.

– Mają dokładnie tysiąc milimetrów szerokości, czyli klasyczna metrówka. Kolejny bezużyteczny fakt. Nie pomaga rozwikłać zagadki.

– Jestem głodna. Robimy piknik?

– Teraz?! Nie można później?

– Śpieszysz się gdzieś?

– Niespecjalnie...

– To nie poganiaj. Rozłożymy koc. Otworzymy wino. Wyciągniemy kanapki. Mamy cały dzień.

– No dobrze. Chodźcie. Jest tu taka mała polanka. Prawie nie widać jej od strony torów.

– Zabieracie tam wszystkie dziewczyny, prawda?

– Wy jesteście pierwsze.

– Nie potrafisz kłamać.

* * *

– Wiesz, że twoi kumple ze szkoły uważają, że jesteś trochę stuknięty?

– Mam to gdzieś. Naprawdę pasjonują mnie różne dziwne rzeczy, więc albo będę mówił o tym wprost, albo udawał kogoś, kim nie jestem. Dla mnie wybór jest oczywisty.

– Imponujesz mi. Nie mam tyle odwagi i staram się trzymać mniej więcej pośrodku. Próbuję się angażować w życie, które prowadzą moje koleżanki, i jednocześnie się od nich dystansuję. Średnio mi to wychodzi, ale boję się głośno powiedzieć, że głównie mnie obchodzą głupie seriale i durna muzyka dla półgłówków.

– To wcale nie jest takie trudne.

– Tylko co potem? Zaczną mnie wytykać palcami? Tak jak ciebie?

- Być może, ale przynajmniej nie będziesz czuła, że coś musisz.
- Chciałabym. To musi być ekstra, tak po prostu robić to, na co masz ochotę... Nie powinniśmy już iść?
- Gdzie Piotrek i Ewa?
- Chichoczą za drzewem. Zawołam ich.

* * *

- Co to za słowo?
- Które?
- No to, na brzegu mapy!
- Krek'h-pa...
- Nie zgrywaj idioty, przecież potrafię czytać! Co to znaczy?!
- Nikt tego nie wie. Mój dziadek twierdził, że to przypadkowa notatka, bez związku z mapą. Sama zobacz. Wszystko na to wskazuje. Inny kolor atramentu, inny rodzaj pisma. Być może poprzedni właściciel zapisał tu sobie czyjeś nazwisko albo coś w tym rodzaju. Nie doszukiwałbym się w tym głębszego sensu.
- A ja przeciwnie. Mów sobie, co chcesz, ale nie możesz mieć pewności, że nie jest to jakaś zaszyfrowana wskazówka. Próbowales podgrzewać mapę nad świeczką albo przyglądałeś się jej lustrzanemu odbiciu?
- Zejdź na ziemię! Nie gramy w filmie o przygodach Jamesa Bonda!
- A szkoda, on ma lepsze poczucie humoru niż ty.

* * *

- To jest trzeci portal?
- Tak.
- Różni się od tamtych.

- Może trochę.
- Jeśli spojrzycie w lewo, to zobaczycie coś, co wygląda jak ogromny betonowy grzyb. Częściowo zasłaniają go drzewa, ale...
- Kręci mi się w głowie.
- Po cholere tyle wypiałś?! Nie mogłaś się oderwać od butelki! Przepraszam was, ale Ewa nie wie, kiedy przestać. Ej, czekaj, chcesz puścić pawia?!
- Wyluzuj! Nic mi nie będzie. Daleko jeszcze?
- Za chwilę wyjdziemy z lasu.
- To dobrze. Mdli mnie od tych torów. Mam wrażenie, że krążymy tu od lat.
- Widzę prześwit. Dochodzimy...

* * *

...w ciepły letni poranek czworo młodych ludzi stanęło na zarośniętych torach kolejowych, które wynurzały się z lasu, zataczały łuk i ponownie znikwały między drzewami...

WOKRA

ERKENNEN
ERKENNT

Jestem tu, ale nie jestem stąd. Wszystkie istoty, które tu żyją, omijają mnie z daleka. Rozumiem to, bo wyczuwam ich strach, lecz nie podoba mi się, że w taki sposób reagują na mój widok, i dlatego staram się pozostawać niewidzialny. Bezszelestnie przemykam pośród kamieni i liści, między kroplami deszczu, grudkami ziemi i po cienkiej powierzchni, która tworzy się na styku wody i powietrza. Nie chcę wzbudzać niepokoju. Nie chcę, żeby moja obecność w jakikolwiek sposób wpłynęła na czyjeś istnienie. Często wędruję po gładkim piasku, wzdłuż bezkresnego brzegu morza. Co prawda zostawiam za sobą liczne drobne ślady, które w ogóle nie przypominają tropów stworzeń przynależących do tego świata, ale jestem ostrożny i zawsze poruszam się w zasięgu regularnie powracających fal, więc mam pewność, że tuż po moim przejściu piasek znowu zostanie wygładzony do złotego połysku i będzie tak, jakby nigdy mnie tam nie było.

Od kiedy zauważyłem, że drzewa i chmury bez wysiłku odbijają się w wodzie, wiele razy próbowałem wykorzystać tę samą zasadę, by zbliżyć się do odkrycia, czym właściwie jestem. Przeglądałem się w nurtach strumieni i rzek, w stawach i mętnych kałużach marszczonych wiatrem, lecz za każdym razem widziałem coś innego. Te kształty, te zmienne formy, które wydają się jakąś mnogą manifestacją mojego istnienia, nigdy się nie powtarzają i wątpię, czy potrafiłbym sobie przypomnieć wszystkie, jakie zdołałem zobaczyć. Może kiedyś tak było, dawno temu, gdy nieustannie o nich myślałem, bo wierzyłem, że zawierają ukryty przekaz, wiedzę na mój temat, która tylko czeka, aż ją zrozumiem i przyswoję. Ale to już przeszłość. Teraz powracają jedynie przypadkowe obrazy, sporadycznie pojawiające się na powierzchni

niepokojąco zwiewnej materii wspomnień, utkanych z czasu, który zużyła moja świadomość. Oczywiście w każdej chwili mogę je przywołać. Wystarczy odrobina wysiłku. Nie mam jednak żadnego wpływu na to, co się wynurzy. Te obrazy żyją własnym życiem i każdy z nich, samoistnie, bez udziału mojego ciałoumysłu, przekształca się w coś, co może być zarówno wspomnieniem, jak i wytworem czystej imaginacji. Dlatego, mimo usilnych starań i dobrych chęci, wciąż mam nieprzyjemne wrażenie, że nieustannie oddalam się od możliwości zrozumienia samego siebie. Niewątpliwie coś mi umyka, wiem, że tak jest, ale nie mam żadnego pomysłu, co to może być.

Na próbę patrzę do wewnątrz, by znowu się o tym przekonać.

Widzę gąszcz cienkich odnóży schodzących się w punkcie pozbawionym materii i koloru.

Widzę podłużny, przezroczysty pancerz, wypełniony maleńkimi, chaotycznie mrowiącymi się kształtami.

Widzę kilka kanciastych cieni tworzących zdumiewającą, niekompletną bryłę, której uzupełnieniem wydaję się ja sam, jako brakujący, niewidzialny, a jednak obecny i obserwujący element.

I nic. Nadal to samo. Nadal w niczym mi to nie pomaga, nie naprowadza na żaden trop, niczego nie wyjaśnia. Co najwyżej kolejny raz utwierdza w przekonaniu, że rozwiązanie zagadki mojej natury i klucz do wyjaśnienia okoliczności, w jakich się tu znalazłem, kryją się raczej w tych modułach pamięci, które nie ulegają żadnym przekształceniom. Bo chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało, to jednak dobrze pamiętam moment, w którym przyrosłem do tego świata i wraz z delikatnym tąpnięciem czasu moja rozchwiana świadomość zaczęła gęstnieć w załomach chropowatej kory, na drzewie, wysoko nad ziemią. Trwało to i trwało. Karmiłem się blaskiem słońca, twardniejące dno myśli powoli żłobiło się koleinami i wreszcie, pewnego dnia, mój

ciałoumysł domknął się w autonomiczny byt, który lekko oderwał się od drzewa i poleciał z wiatrem. Tyle wiem na pewno.

Coś jeszcze?

Spotkania z tutejszymi istotami szybko nauczyły mnie, że budzę strach, bo jestem inny niż wszystko, co można tu zobaczyć. To doświadczenie sprawiło, że stałem się ostrożniejszy, ale w żaden sposób nie zmniejszyło mojej ciekawości. Właściwie trudno byłoby mi ją pohamować, nawet gdybym chciał, bo żyją tu stworzenia, które niezmiernie mnie fascynują. Odkryłem ich istnienie, gdy obserwowałem, jak stado, składające się z dziewięciu kudłatych i czworonożnych zębaczy, poluje na jednego, wielkiego stwora, też poruszającego się na czterech kończynach. Ten duży miał obłą budowę ciała i gęstą sierść. Silnymi ciosami odrzucał zębacze na boki. Od czasu do czasu stawał wyprostowany na tylnych łapach i ryczał ogłuszająco. Widać było jednak, że nie ma szans w starciu ze stadem, bo kulał, obficie krwawił i szybko tracił siły. Walczył dzielnie, lecz było jasne, że już po nim. To pozostawało kwestią czasu. Podążałem za nimi ciekaw, jak to się skończy. Choć oczywiście już wtedy wiedziałem, że takie sytuacje najczęściej prowadzą do tego, że ktoś zostaje pożarty. Ten moment wydawał się coraz bliższy. Zębacze zapędziły stwora pod skalną ścianę i odcięły mu drogę ucieczki. Zbliżyły się do niego, wyraźnie przymierzając się do grupowego ataku, którym ostatecznie powalą ofiarę, lecz wtedy stało się coś dziwnego.

Nagle zębacze zaczęły ujadać i skomleć. Większość przewróciła się od razu, a trzy osobniki, które wciąż utrzymywały się na nogach, rozbiegły się w popłochu. Przez chwilę krążyły ze zjeżoną sierścią, lecz one także padły, skowycząc. Z ich ciał wyrosły długie cienkie patyki zakończone maleńkimi skrzydełkami z ptasich piór. To było bardziej niż zastanawiające. Potężny stwór też musiał być zdezorientowany niespodziewanym obrotem spraw, bo węszył,

chwiał się na masywnych łapach, rozglądał na boki, lecz cały czas stał w miejscu i chyba nawet nie pomyślał o ucieczce. To był błąd. Wyczułem ich obecność dopiero, gdy przemknęli tuż obok mnie. Na szczęście byłem dobrze ukryty. Tak precyzyjnie wpasowałem się między źdźbła traw, że nie zdołałoby mnie zobaczyć, nawet gdyby przypadkiem któremuś z nich udało się na mnie nadepnąć. Było ich sześciu. Mieli po cztery kończyny, dwie górne i dwie dolne. Nie wiem dlaczego, ale to właśnie ich radykalna specjalizacja, wymuszająca niespotykaną u innych istot całkowicie wyprostowaną pozycję ciała, była pierwszą rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę. Dolne kończyny służyły wyłącznie do poruszania się, a górne, zakończone chwytными i zręcznymi wyrostkami, zdawały się stworzone do manipulowania morderczymi narzędziami miotającymi te cienkie patyki, które wykończyły zębaczę. Dwunogi podbiegły do stwora. Na ich widok znowu stanął na tylnych łapach i ryknął. Ale one tylko na to czekały. Doskoczyły do niego z długimi, ostro zakończonymi kijami i docisnęły go do skały. Bronił się, ryczał, parskął krwawą śliną i próbował sięgnąć do dwunogów pazurami, lecz one były poza jego zasięgiem. Po krótkiej walce zwiśł bezwładnie nabity na kije. Jeden z dwunogów wyjął skądś krótki, spiczasty przedmiot i poderżnął stworowi gardło. Rozległo się nieprzyjemne bulgoczące charczenie, a potem zapadła cisza. Z podziwem obserwowałem przemyślane i precyzyjne ruchy dwunogów. Kombinowałem, jak się do nich podkraść, żeby mnie nie zauważyły, bo chciałem się z bliska przyjrzeć ich zabójczym narzędziom, lecz nagle zdałem sobie sprawę, że dźwięki, które wydają, wcale nie są podobne do pisków, skomleń, ryków, warknięć czy pomruków, którymi, jak mi się zdawało, w prosty sposób wyrażają swoje emocje wszystkie istoty na tym świecie. Słuchałem ich z rosnącym zdumieniem. Wtedy jeszcze nie potrafiłem zrozumieć żadnego odgłosu, ale wstrząsnęło mną, że i bez tego

w jakiś sposób wyczuwam w nich niewyraźne zarysy znaczeń. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Nie tylko chodziły wyprostowane na dwóch nogach i używały narzędzi, ale także komunikowały się ze sobą za pomocą skomplikowanego systemu modulowanych dźwięków. Wszystko to sprawiało, że dwunogi wydawały się tak samo wyobcowane w tym świecie jak ja. Z tą różnicą, że one nauczyły się tu żyć. Nie były do mnie podobne, niemniej kolejne osobliwości, które dostrzegałem w ich zachowaniu i wyglądzie, tylko umacniały we mnie pierwsze wrażenie – silne, elektryzujące przekonanie, że coś mnie z nimi łączy, jakaś niewytłumaczalna więź obcości. Owijały się przecież cudzymi skórami, bo nie były aż tak owłosione jak istoty, na które polowały. Nie miały też dużych zębów ani pazurów, a mimo to potrafiły być bardzo niebezpieczne. Chciałem się dowiedzieć, co sprawia, że tak się dzieje. Ale nie tylko to mnie interesowało. Zapragnąłem poznać wszystkie tajemnice dwunogów, bo wśród nich mogły się również kryć odpowiedzi na pytania dotyczące mojego istnienia.

Czekałem spokojnie i patrzyłem, jak zdzierają skóry z zabitych istot, tną na kawałki krwawe ochłapy, a potem układają je na zrobionym z gałęzi nosidle. Nie ruszałem się i nie zrobiłem nic, co mogłoby je zaniepokoić. Ale one w jakiś sposób wyczuwały moją obecność. Widziałem to w ich ruchach, gdy zastygały w dziwnych pozycjach, rozglądały się nerwowo lub węszyły z przekrzywioną głową. Coś im nie dawało spokoju, coś je drażniło, ale nie wiedziały co. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że jeden z nich, wysoki, z długimi czarnymi włosami, spojrzał wprost na mnie. Byłem przekonany, że nie może mnie zobaczyć, więc zdołałem wytrzymać jego spojrzenie, ale coś jednak musiał dostrzec, bo nagle jego skóra zrobiła się bledsza, wydał kilka mocnych, kategoriycznych dźwięków i pozostałe dwunogi zaczęły się w pośpiechu szykować do opuszczenia tego miejsca. Nadal trwałem w bezruchu

i obserwowałem rozwój wydarzeń. Ciekawiło mnie, czy czarnowłosa podejdzie bliżej, żeby sprawdzić, czy w trawie rzeczywiście coś się kryje, ale nie zrobił tego. Zabrały tyle skór i mięsa, ile zmieściły na nosidle, i poszły na wschód. Poczekałem, aż znikną za drzewami, a potem ruszyłem za nimi. Podążanie ich śladem nie było trudne. Musiałem tylko utrzymywać duży dystans, bo dwunogi były bardzo sprytnie. Od czasu do czasu nagle przystawały w miejscu i odwracały się, trzymając te swoje zabójcze narzędzia, gotowe wystrzelić cienkie, ostre patyki. Ja jednak nigdy nie znalazłem się na tyle blisko, by zdołały mnie zauważyć. Po długiej wędrówce, gdy niebo zaczęło już ciemnieć, zobaczyłem, dokąd zmierzają. Na dnie szerokiej doliny, tuż przy brzegu jeziora, znajdował się kolejny dowód ich niezwykłości. Z pni drzew, z kamieni, z plecionych gałęzi i kopców udeptanej ziemi wybudowały tam coś, co mogło być tylko zmyślnym schronieniem, w którym bezpiecznie mieszkało wiele dwunogów. Kolisty mur otaczał kilka dużych kanciastych budowli, skupionych wokół błotnistej placu mieszczącego się w samym środku tego miejsca. Przyczałem się wysoko, na szczycie pobliskiego drzewa, i patrzyłem, jak dwunogi przechodzą przez pomysłowe wejście, które było jakby ruchomą częścią muru. A potem, już w środku, zbiegli się wokół nich liczni mieszkańcy, duzi i mali. Ściskali się, poklepywali. Z daleka słyszałem, że zawodzą i pokrzykują. Chciałem to oglądać. Czułem, że uczestniczę w czymś przyjemnym.

Zostałem tam na dłużej. Nie miałem innego wyjścia. Obserwowałem uważnie i powoli zaczynałem poznawać ich zwyczaje. Wiedziałem jednak, że przede wszystkim muszę znaleźć sposób, by nauczyć się ich języka. Zapewne mógłbym po prostu dopaść jednego z nich, gdy oddali się od towarzyszy, pracując przy roślinach, które uprawiali poza murami swojego schronienia. Bez większego wysiłku wydrenowałbym jego świadomość

i błyskawicznie zdobył upragnioną wiedzę, ale nie miałem zamiaru nikogo krzywdzić ani straszyć. Jediną alternatywą, jaką brałem pod uwagę, był podstęp, dzięki któremu pozostanę w ukryciu, a jednocześnie wszystkiego się dowiem. Wierzyłem, że jeśli będę cierpliwy, to prędzej czy później wykombinuję, jak to zrobić. Ale pomógł mi przypadek. Od momentu, gdy zacząłem podglądać dwunogi żyjące w swoim imponującym schronieniu, skupiałem się głównie na tych dużych i dopiero pewien ciekawy incydent sprawił, że zrozumiałem swój błąd.

W ciepły, przyjemny dzień duży dwunóg wyprowadził poza mury grupę małych dwunogów. Poszły prosto do kopca ściętej trawy, gdzie tego samego dnia, ale nieco wcześniej, jeden z dużych zabił podłużne stworzenie bez nóg, które swoim pojawieniem się wywołało spory popłoch. Kiedy duzi ucichli i rozeszli się do swoich prac, zaryzykowałem i przekradłem się do kopca, żeby przyjrzeć się tej istocie. Widywałem już takie, więc wiedziałem, że ich ugryzienia są bardzo trujące i mogą być niebezpieczne nawet dla dużych stworzeń. Nie dziwiło mnie, że dwunogi się ich boją. Zastanawiałem się, czy ich reakcja byłaby podobna, gdyby odkryły moją obecność. Pogrążyłem się w myślach i kiedy zauważyłem, że zbliża się do mnie duży dwunóg z gromadką małych, było już za późno na ucieczkę. Duży miał ze sobą kij. Nadział na niego martwą beznogą istotę i wydając z siebie dźwięki, których wciąż nie rozumiałem, uniósł ją w górę, żeby wszystkie małe dwunogi mogły się jej przypatrzeć. Skuliłem się przyczajony w kopcu trawy i miałem tylko nadzieję, że nikt mnie nie zauważy, ale nagle odkryłem, że pewien dźwięk często się powtarza. Olśniło mnie. Tak poznałem znaczenie pierwszego z nich – wąż. A po nim przyszły sensory ukryte w innych dźwiękach, które oni nazywają słowami.

Zacząłem się regularnie zakradać do ich schronienia, do ich, jak to mówią, grodu, by podglądać dużego dwunoga uczącego małe.

Szybko odkryłem, że dwunogi to ludzie, niebieskie na górze to niebo, a białe i kłębiaste to chmury. Słowo po słowie coraz lepiej rozumiałem, jak oni widzą ten świat, jak go nazywają i tłumaczą. Miałem nadzieję, że dzięki temu zdobędę upragnioną wiedzę, która da mi wgląd w głębsze pojmowanie tej rzeczywistości lub ukaze tropy mogące mnie doprowadzić do rozwiązania zagadki mojej obcości. Ale zamiast tego coraz mocniej docierało do mnie, że pierwsze wrażenie, jakie zrobili na mnie ludzie, było więcej niż trafne, było jedyną prawdą, jaką mogłem odkryć w ich słowach, bo oni są równie zagubieni jak ja i tak samo jak ja nie mają pojęcia, dlaczego się tu znaleźli. Wymyślili jednak prosty unik, dzięki któremu zdołali oswoić tę straszną niewiedzę i wrodzoną obcość, a także uzasadnić swoją obecność na tym świecie. Uwierzyli, że oni sami oraz wszystko, co ich otacza, jest dziełem potężnych istot, tak zwanych bogów, którzy, choć kapryśni i nieprzewidywalni, opiekują się ludźmi w zamian za ofiary i modlitwy. Ta wiara daje im poczucie sensu i przynależności, kieruje ich życiem, no i pomaga konstruować zabójcze narzędzia, którymi sprawnie zawłaszczają rzekomo darowany im świat. Doceniałem pomysłowość takiego rozwiązania, ale nie było to coś, czego szukałem. Nie interesowały mnie doraźne sztuczki utwierdzające w przekonaniu, że jestem tu, bo muszę. Nie. Chciałem znać prawdziwe odpowiedzi, chciałem wiedzieć, kim albo czym jestem i dlaczego się tu znalazłem. Po prostu. Bez uników. Nadal więc byłem w punkcie wyjścia.

Mimo to moje zainteresowanie ludźmi wcale nie osłabło. Z przyjemnością podglądałem ich życie, bo choć miałem wrażenie, że dobrze ich znam, oni, ku mojemu zdziwieniu, wciąż potrafili mnie zaskakiwać. Nie dziwiło mnie już, że z niewyczerpaną inwencją tworzą nowe narzędzia, pokonują trudności związane z uprawą roślin i hodowlą zwierząt, polują, leczą choroby czy zabijają wrogów, ale zdarzało się, że nie umiałem się wpasować

w ich sposoby myślenia i potrzebowałem dużo czasu, by odkryć sens niektórych działań. Pamiętam zdumienie, które ogarnęło mnie, gdy zobaczyłem, że nauczyciel udzielający dzieciom pierwszych lekcji posługiwania się mieczem zadaje pozorowane ciosy, klęcząc przed swoimi uczniami. Długo nie rozumiałem, czemu tak robi. To jasne, że przede wszystkim chce zminimalizować różnicę wzrostu, ale przecież nie dlatego, żeby wyrównać szanse, bo maluchy jeszcze w ogóle nie potrafią walczyć. Z biegiem lat, gdy dzieciaki rosły, dotarło do mnie jednak, że taka nauka opiera się na długotrwałym wpajaniu odruchów, które mają sens, gdy walczący są podobnego wzrostu. O tak, ludzie nigdy nie przestali mnie zachwycać swoją zmyślną zaradnością. Ich umiejętność doświadczania rzeczywistości niewątpliwie różni się od mojej, lecz dzięki cierpliwości i sporemu wysiłkowi całego ciałaoumysłu, niejednokrotnie udawało mi się spojrzeć na ten świat ich oczami. Niestety, paradoksalnie, to, co widzieli, gdy patrzyli na mnie, wciąż pozostawało poza zasięgiem mojego rozumienia.

Zdarzyło mi się ze cztery albo pięć razy, że nie byłem wystarczająco ostrożny i ludzie mnie zauważyli. Nie jestem z tego dumny. Ani trochę. Na szczęście szybko się orientowałem, co się dzieje, i natychmiast uciekałem pod ziemię, wnikałem w głąb drzew, czy też wsączałem się między cząsteczki wody i udawałem, że mnie nie ma. Ludzie kręcili się nerwowo, lecz już chwilę później zaczynali wątpić, czy rzeczywiście coś zobaczyli, uspokajali się i wracali do swoich zajęć. A potem szeptem opowiadali sobie nawzajem, że chyba widzieli Nokrę.

Wiele bym dał, żeby dowiedzieć się, co znaczy to słowo, ale ono pojawia się tylko i wyłącznie wtedy, gdy ludzie dostrzegają moją obecność, więc jego sens jest tak bardzo oderwany od nazw, których używają na co dzień, że nie sposób do niego dotrzeć. Co prawda mógłbym ujawniać się częściej, ale bałem się, że może to zaburzyć

naturalny przebieg ludzkiej egzystencji, i poprzestałem na tym, co robiłem dotąd, na podglądaniu i podsłuchiwanie. Jednakże słowo Nokra znakomicie chroniło swoje tajemnice, a to w krótkim czasie rozbudziło frustrację i doprowadziło do tego, że zaczęły mnie kusić ofensywne rozwiązania. Obmyśliłem kilka wariantów możliwych działań, wśród których znalazło się również spektakularne ukazanie się w samym środku grodu. Gdy jednak zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście byłbym do tego zdolny, przestraszyłem się swoich pomysłów. Żeby nie dopuścić do ich realizacji i zwalczyć nieprzyjemne pokusy, coraz częściej oddalałem się od ludzi i błądziłem po lasach, górach, wzdłuż rzek i brzegu morza. Tak było lepiej. Znacznie lepiej. Być może zrobiłem unik w ludzkim stylu, ale nie przejmowałem się tym, bo bardzo mi to pomogło. Przestałem się dręczyć Nokrą i oplatającymi mnie tajemnicami. Odszukałem w sobie spokój. Chyba nawet pogodziłem się z myślą, że najprawdopodobniej nigdy nie dowiem się, czym jest to coś zwane mną i skąd się tu wziąłem.

Tak. Już mogę z tym żyć.

Od zachodu nadciąga burza. Silny wiatr szarpie gałęziami drzew. Liście wirują w powietrzu. Z ciemnych, nisko zawieszonych chmur siecze gęsty deszcz. Słysząc huk odległego gromu. Za chwilę będzie ich więcej. To dopiero początek. Kieruję się w stronę morza. Chcę zobaczyć sztorm. Ogromne fale, spienione, rozrywane podmuchami bezlitosnego wiatru, i błyskawice nurkujące we wzburzonej wodzie. Chcę usłyszeć huk, z jakim skały odpierają ataki morza. Szybko docieram na wybrzeże. Zachwycony kontempluję gniewne, rozszalałe widowisko, ale nie moknę. Ja nigdy nie moknę. W końcu, późnym wieczorem, wiatr słabnie, morze łagodnieje i pękająca warstwa ciemnych chmur powoli odsłania rozgwieżdżone niebo. Ludzie bardzo sobie cenią ten widok, więc ja również, kolejny raz, próbuję w nim odkryć coś

niezwykłego. Bez powodzenia. Obietnica istnienia boskich grodów, którą tam dostrzegają, dla mnie jest tylko jeszcze jedną sztuczką, mającą odwrócić uwagę od braku konkretnych odpowiedzi. Gdy wschodzi słońce, powoli ruszam wzdłuż brzegu. Po pewnym czasie docieram do skalnej ściany, która przegradza wybrzeże. Nie mam ochoty przeciskać się szczelinami, więc odbijam się i przelatuję nad nią. Opadam po drugiej stronie i od razu dostrzegam coś, co w ogóle tu nie pasuje. Coś nowego.

Na brzegu, zaryte w piasku, leży ogromne jajo, grafitowe i pobrużdzone. Zbliżam się do niego. Zastanawia mnie, czy to możliwe, żeby morze wyrzuciło je podczas sztormu. Próbuję wniknąć do środka, ale nie mogę. Materia, z której jest uformowane, ma niesamowitą gęstość. Jakby to coś nie pochodziło z tego świata. Kiedy dociera do mnie sens tej możliwości natychmiast usiłuję opanować ekscytację, bo nie chcę, by pobudzone emocje w jakikolwiek sposób zakłóciły moją ocenę sytuacji. W pierwszej kolejności powinienem chyba przetoczyć jajo w głąb wybrzeża, jak najdalej od wody, żeby morze się o nie nie upomniało. Materializuję potężne kończyny, zapieram się i pcham. Ani drgnie. Musi być bardzo ciężkie. Właściwie mogłem się tego domyślić, bo to wiąże się z jego nadzwyczajną gęstością. Dowodzi również, że jajo nie mogłoby się utrzymać na wodzie. A zatem jak się tu znalazło? Przytoczyło się po dnie?

Zamieram. Tknięty zimnym przeczuciem badam piasek wokół dziwnego jaja i odkrywam, że odchodzą od niego dwa równoległe tropy. Trochę je zdeptałem, gdy usiłowałem ruszyć tę rzecz z miejsca, ale nawet teraz nie pozostawiają wątpliwości, że coś wyszło z jaja. Jakaś istota, a właściwie dwie, które najprawdopodobniej różnią się wyglądem, bo zostawiły zupełnie inne ślady – dwa szeregi dużych okrągłych otworów oraz wijący się szeroki trop, przypominający ślad po przejściu węża, choć znacznie

większy, jakby to, co go odcisnęło, było naprawdę ogromne. Oba prowadzą w głąb łądu. Bez wahania podążam za nimi.

Gdy piasek się kończy, zaczynają się skały, a na nich nie widać żadnych tropów. Podejrzewam jednak, że przybysze wybrali najprostsze przejście, czyli szeroki wyłom między dwoma skalnymi nawisami, bardzo dobrze widoczny z brzegu. Jest on dość stromy, ale zdecydowanie łatwiejszy do pokonania niż pionowe ściany i, co najważniejsze, są tam również pojedyncze spłachetki piaszczystej gleby, na której rośnie rzadka trawa. Lecę do wyłomu i widzę, że się nie myliłem. Niewątpliwie wspięli się tędy na górę. Obijam się i miękko ląduję za skalnym masywem, między drzewami. Ślady przybyszy są bardzo wyraźne. Trudno ich nie zauważyć. Teraz prowadzą w stronę dużego stawu. Nie mam pojęcia, kiedy tędy przeszli, więc staram się nie śpieszyć. Nie chciałbym na nich wpaść przez przypadek. Czuję, że powinienem zachować ostrożność, ale nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Nie wiem, kim oni są, i właściwie nie mam powodów, żeby się ich bać, a mimo to nie zamierzam się im pokazywać. Docieram do stawu. Przemykam pod gęstymi paprociami i wsuwam się między sztywne łodygi roślin wyrastających z wody. Nagle, na drugim brzegu, dostrzegam ośmiu ludzi. To łowcy. Mają przy sobie noże, włócznie i łuki. Nie dziwi mnie ich obecność. Często tu przychodzą, żeby napełnić bukłaki i sprawdzić wnyki zastawione na ścieżkach wydeptanych przez zwierzęta wędrujące do wodopoju. Jednak teraz robią coś zupełnie innego. Czają się na błotnistym brzegu, schowani pod pnem pochylonego drzewa. Od czasu do czasu wychylają się, zerkają w głąb lasu i natychmiast chowają się z powrotem. Przyglądam się skonsternowany, bo zachowują się dziwnie nawet jak na ludzi. Wtem powietrze przeszywa niesamowity, metaliczny trzask i wnika w głąb mojego ciałowmysłu. Zostawia po sobie elektryczną poświatę, którą z całą pewnością widzę tylko ja, ale dzięki niej

zaczynam rozumieć, co się dzieje. Wycofuję się i wchodzę na najbliższe drzewo. W połowie nieruchomieję przerażony. Dostrzegam to, co wystraszyło ludzi, i odkrywam, że z jakiegoś powodu ja też się tego boję. Jestem pewien, że to przybysze, którzy wyszli z jaja, jestem pewien, że takie istoty widzę pierwszy raz, lecz mimo to nie mogę się pozbyć wrażenia, że je znam i mam powody, by się ich lękać.

Są tam. Są zupełnie inni niż ludzie i zwierzęta. Wydaje się, że ktoś ich zrobił, zbudował, być może w taki sam sposób, jak ludzie konstruuja swoje narzędzia, ale oczywiście przybysze są o wiele bardziej skomplikowani. Jeden wygląda jak metalowy sześcian na czterech teleskopowych nogach, a drugi jest jakby węzem, długim, ciemnoszarym i karbowanym, na obu końcach ma coś w rodzaju owalnych, matowych kryształów. Są ogromni. Człowiek bez problemu mógłby przejść wyprostowany pod tym kanciastym, wąż zaś jest długi jak pień starej sosny i tak szeroki, że leżąc na ziemi, sięgałby zapewne do pasa nawet wysokiego łowcy. Choć teraz wcale nie leży, tylko wpełzł na potężne drzewo i jednym ze swoich kryształów raz za razem mocno uderza w pień. Łamie się gruba gałąź i spada na kanciastego. Znowu rozlega się ten niesamowity, metaliczny trzask. Sześcian brzęczy gniewnie, wąż odpowiada podobnym, trochę wibrującym, a trochę skrzypiącym głosem. Nie rozumiem ich. Ale boję się bardziej niż przed chwilą. Co oni tam robią? Zmagam się z paraliżującym strachem i przyglądam się drzewu, które oplata wąż. Wtem zapada cisza. Nie podoba mi się to. Zmieniam pozycję, żeby mieć lepszy widok na poczynania węża, i widzę, że wepchnął kryształ do dużej, głębokiej dziupli. Czego może tam szukać? Chcę stąd uciec, odlecieć wysoko w góry i zapomnieć o tych dziwnych przybyszach, którzy budzą we mnie lęk, ale nie mogę się ruszyć. Coś mnie trzyma. Patrzą na węża, na sześcian, na dziuplę i nagle ją rozpoznają. To właśnie tu przyrośłem

do tego świata. Powietrze tężeje, jakby wokół mnie zamykała się przezroczyta klatka. Wąż wyjmuję z dziupli kryształowe oko, odwraca je i patrzy wprost na mnie. Wiem, że mnie widzi. Kurczę się w sobie. Wąż brzęczy hałaśliwie i mierząc we mnie swoim kryształem, błyskawicznie zsuwa się z drzewa. Sześcian rusza w moim kierunku. Łamie brzozy, które stoją mu na drodze. Wciąż nie mogę się ruszyć. Nie wiem, kim są, nie wiem, czego chcą, ale nie mam wątpliwości, że to mnie szukają i raczej nie mają dobrych zamiarów. Rozlega się metaliczny grzechot. To ludzie wychylili się zza pochylonego drzewa i strzelają z łuków. Pewnie myślą, że przybysze idą po nich, i próbują się bronić. Przez chwilę mam nadzieję, że kanciasty ich zignoruje, bo strzały nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, odbijają się tylko i spadają w krzaki. Ale on otwiera górną część metalowego tułowia i wysuwa stamtąd ażurowe ramiona obwieszane podłużnymi, złowieszczo wyglądającymi przedmiotami. Jeden z nich z ogłuszającym wizgiem odrywa się od ramienia i ciągnąc za sobą smugę ognia, uderza w pochylone drzewo, za którym chowają się ludzie. Potężna eksplozja rozrywa je na strzępy i wyrzuca łowców w górę. Bezwładnie spadają do stawu. Nie mogli tego przeżyć. Dlaczego ich zabił? Co to za broń? Unoszę wzrok, na ażurowym ramieniu kanciastego pojawia się jakiś nowy element, obły, szeroki, pusty w środku, nie, coś w nim jednak jest. Skacze w moją stronę, leci, rozkłada się w powietrzu. Wszystko dzieje się bardzo szybko, ale to żaden problem. Jestem wściekły, zły, naprawdę zły, tak bardzo, jak jeszcze nigdy nie byłem. Strząsam z siebie bezruch i zatrzymuję czas. Podrywam się w górę, przelatuję nad tym, co zmierzało w moją stronę. Teraz wisi zamrożone w czasie. Przypomina sieć, której ludzie używają do połowu ryb. Materializuję mocne, przezroczyte skrzydła i nabieram wysokości. Odleczę stąd, odleczę daleko i nigdy mnie nie znajdą. Jednak przybysze nie zamierzają mi

na to pozwolić. Najwyraźniej znają sztuczkę, którą zastosowałem, bo z łatwością przywracają czas. Zwalniam zaskoczony i odruchowo, bezmyślnie, zerkam za siebie, jakbym chciał zobaczyć, jak oni to zrobili. W tym samym momencie dociera do mnie, że popełniłem błąd. Powinienem był przyśpieszyć. Od ażurowego ramienia kanciastego przybysza odrywa się drugi podłużny przedmiot ciągnący za sobą smugę ognia i dymu. Tym razem jest wycelowany we mnie. Wznoszę się, wiruję, zmieniam kierunki, ale nie mogę uciec, bo to coś cały czas mnie ściga. Wreszcie opadam między drzewa i latający przedmiot trafia w jedną z gałęzi, które właśnie minąłem. Wybuch ciska mną o ziemię. Jestem obolały, ale przytomny. Słyszę brzęczące głosy przybyszy. Zbliżają się. Czego chcą? Nie mogą zostawić mnie w spokoju? Rozważam możliwość ukrycia się pod korzeniami najbliższego drzewa, ale nagle sama idea ukrywania się czy uciekania wydaje mi się absurdalna. Pierwszy raz w pełni wyczuwam swój ciałowymysł i niezgłębiony potencjał jego możliwości. Dlaczego z nich nie korzystam? Przypomina mi się klęczący nauczyciel, który uczy dzieci walczyć mieczem. Ja nikogo nie uczę, ale zachowuję się tak, jakbym specjalnie ograniczał swoje możliwości, żeby przypadkiem nie skrzywdzić kanciastego i węża; jakbym klęczał, walcząc z dorosłymi wojownikami. Dość tego! Prostuję się, wstaję, rozciągam, wypełniam tłumioną energią i spoglądam z góry na przybyszy. Teraz to ja jestem ogromny. Zatrzymali się. Brzęczą do siebie niezrozumiale. Ciekawe, co widzą, gdy na mnie patrzą? Kanciasty obraca ażurowe ramię. Znowu zamierza do mnie wystrzelić, ale jestem przygotowany i wiem, co mam robić. Błyskawicznie sięgam do wnętrza jego korpusu i gdy trzeci wybuchowy przedmiot zaczyna pluć ogniem, przecinam podstawę wysięgnika. Cała konstrukcja wpada do środka i kanciasty znika rozerwany eksplozją. Fragmenty metalowych wnętrzości spadają na ziemię

jak osobliwy, rozżarzony grad. Duży kawałek pancerza niemal przecina węża na pół. Przybysz wije się, rzuca, piszczy, wreszcie nieruchomieje, gdy wysypują się z niego jakieś drobne kuliste rzeczy. Rozglądam się i gaszę krzaki, które zapaliły się od kawałków kanciastego. Pożar lasu mógłby przecież zabić kolejnych ludzi, nie mówiąc już o zwierzętach, które tu żyją. To jednak wcale nie poprawia mi nastroju, bo zdaję sobie sprawę, że łowcy zginęli z mojej winy. Co prawda, przypadkowo stanęli na drodze przybyszy, ale w gruncie rzeczy niczego to nie zmienia. Tamci zjawili się tu, ponieważ szukali mnie, i gdyby mnie tu nie było, ci ludzie wciąż by żyli. Muszę odejść. Opuścić ten świat. I to jak najszybciej. Tylko jak to zrobić? Przypominam sobie o jaju. Jeśli przybysze dotarli tu z jego pomocą, to może ja też mógłbym go użyć? Rozkładałam się na boki i w górę. Mój ciałowymysł wydaje się teraz potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, a do tego stał się jakby wielowarstwowy i pełen sekretnych zakamarów. Chcę sprawdzić jego możliwości. Powiększam się. Ciekawe, czy zobaczę stąd jajo zaryte w piasku wybrzeża? Las szybko ucieka w dół i nagle wszystko dookoła mnie zmienia wygląd. Jakbym przeskoczył w inną, równoległą rzeczywistość. Drzewa, liście, kamienie, trawa, mech, paprocie, a nawet ziemia i woda stały się kształtami uformowanymi z gęstych pajęczyn błyszczących nitek, rozciągających się w czarnej, bezdennej otchłani i pulsujących delikatną energią. Patrząc w dół, na siebie, widzę, że ja również jestem taką pajęczyną. Ale między drzewami, utkanymi teraz z miękkiego nitkowatego światła, znajduje się coś, co jest inne i się wyróżnia. Przypatruję się temu. Włókienka energii, które to tworzą, są wyraźnie cieńsze i zaskakująco nieliczne, jakby tylko pozorowały istnienie tej rzeczy. Po dłuższym namyśle rozpoznaję w końcu zarys węzowatego przybysza i otaczającą go konstelację odłamków kanciastego, które także mają w sobie niewiele nitek. Wtem

dostrzegam coś jeszcze. W kilku miejscach z nieruchomego cielska węża wyrastają złote pasma cieniusieńkiej pajęczyny. Są ledwo widoczne, wznoszą się wysoko, a potem opadają w stronę wybrzeża. Nie muszę wiedzieć, co to jest, żeby domyślić się, gdzie się kończą, a właściwie zaczynają te złote nitki. Nadal się powiększam, rosnę, sięgam coraz wyżej, aż w końcu odległy skalny masyw, matowo błyszczący powolną, kanciastą energią, przestaje zasłaniać widok i pojawia się jajo leżące na piasku. Lśni porażającym blaskiem. Coś w jego wnętrzu emanuje wirującym złotym żarem, który przebija się przez niesamowicie skomplikowane kłębowisko migoczących pajęczyn. To tutaj sięgają złote nitki wyrastające z węża. Zapewne kanciasty też takie miał, ale wybuch je zniszczył. Czym oni są? Niezależnymi istotami czy narzędziami stworzonymi przez jajo lub coś, co się w nim ukrywa? Zamierzam się tego dowiedzieć. Teraz. Nachylam się w stronę wybrzeża, ze świstem tnę powietrze i już tam jestem. Dalsze powiększanie nie ma sensu. Odwracam proces. Zmniejszam się, kurczę. Odzyskuję rozmiar, do którego jestem przyzwyczajony, a wraz z nim znajomą percepcję rzeczywistości. Jest wczesne popołudnie. Spokojna powierzchnia morza mieni się migoczącymi iskierkami. Nie wiem, jak się dostać do jaja, lecz wcale mnie to nie martwi. Nie ma pośpiechu. Wszystko w swoim czasie. Na razie chcę tylko dotknąć tej pobrużdżonej skorupy. Ale kiedy próbuję to zrobić, czuję, że zaczynam się zmieniać, przekształcać, choć nie mam pojęcia w co. Mój ciałowymysł składa się do środka, zagęszcza strukturę, obudowuje się materią. A ja czekam i pozwalam, by to, co się dzieje, działa się nadal. Jest mnie coraz mniej, jestem coraz bardziej zwarty i z rosnącym zdumieniem zauważam, że dobrze mi z tym; że odruchowo, sam z siebie, albo pod wpływem tego niezwykłego jaja, przyjmuję formę, która mi odpowiada. Przemiana kończy się równie szybko, jak się zaczęła. Wyczuwam ciepło słońca

i delikatne muśnięcia wiatru. Te wrażenia jeszcze nigdy nie były tak intensywne. Gdzieś w dole, na samym spodzie mego jestestwa, jestem zanurzony w przyjemnej wilgotnej ziarnistości. Spoglądam w tamtą stronę i odkrywam, że mam ciało człowieka. Jestem nagi. Stoję po kostki w piasku. I podoba mi się to. Oddycham głęboko cudownym słonym powietrzem, a potem powoli kładę dłoń na pobrużdżonej grafitowej skorupie. Jajo pęka wzdłuż i bezszelestnie rozkłada się na dwie identyczne połówki. Chyba powinienem być zaskoczony, ale nie jestem. Obie połowy niemal całkowicie zanurzyły się w piasku i tworzą teraz owalne, płaskie platformy, które ledwo sięgają mi do kolan, więc bez problemu wchodzę na najbliższą. Mnóstwo tu dziwnych elementów, których przeznaczenie jest dla mnie zagadką. Nie widzę jednak, by wśród nich kryło się coś żywego. W jakiś sposób pomaga mi to zapomnieć, że jeszcze przed chwilą, gdy opadałem na wybrzeże i cały ten świat wyglądał jak płatanina świetlistych pajęczyn, przez krótki moment wydawało mi się, że mnie także łączy z jajem cieniusieńka złota nitka. Nie chcę o tym myśleć. Wolę się skupić na czymś innym i skwapliwie korzystam z okazji. Stoję i zastanawiam się, jak działa jajo. Muszę zrozumieć tę rzecz i zmusić ją, by ruszyła się z miejsca. Coś mi nie daje spokoju. Po chwili odkrywam w czym rzecz. Ani wąż, ani kanciasty nie zmieściliby się w jajcu. Połówki pasują do siebie idealnie. Gdy znowu się zamkną, nie wciśnie się między nie nawet mrówka. Ale przecież widziałem ślady. No i te złote nitki. O co w tym chodzi? Dziwne staje się jeszcze dziwniejsze. Powoli ruszam do przodu i błędzę między osobliwymi kształtami wyrastającymi z metalicznego podłoża. Nagle razi mnie błysk ostrego światła. Przysłaniam oczy dłonią i próbuję się zorientować, co się dzieje. Odkrywam, że niedaleko znajduje się mały kwadratowy placyk wzmocniony metalowymi żebrami, promieniście schodzącymi się w miejscu, gdzie tkwi coś, co

przypomina mleczny kryształ węzowatego przybysza, ale w odróżnieniu od niego jest całkowicie przezroczysty. Jego krzywizna odbija oślepiające promienie słońca. Podchodzę bliżej. Zaglądam w głąb kryształu i widzę, że po drugiej stronie, na dole, jest poziomy tunel, który chyba ciągnie się wzdłuż tej połówki jaja. A więc to tak! Chyba mam przed sobą coś w rodzaju drzwi, które jednak nie są zrobione z drewna i nie wiszą na rzemieniach, jak to zazwyczaj wygląda w chatach ludzi, lecz są mocną, stalową konstrukcją zamontowaną w suficie. Wystarczy je jakoś otworzyć i będę mógł wejść do środka. Naciskanie nic nie daje. Szarpanie też nie. Musi być jakiś sposób. Musi. Zmieniając pozycję, opieram się o krótki opływowy element wystający z boku drzwi i wyczuwam, że się rusza. Chwytam go mocno, przekręcam w jedną stronę, nic, przekręcam w drugą i słyszę wyraźne szczęknięcie. Ale drzwi się nie otworzyły. Może uchylają się tylko w jedną stronę? Wsuwam palce w wąską szczelinę na obrzeżu, napinam się i czuję, że powoli się unoszą. Są ciężkie, ale udaje mi się je otworzyć. Siadam na brzegu kwadratowego otworu i wskakuję do środka. Miętko ląduję w długim i prostym korytarzu, przywodzącym na myśl segmentowane gardło mechanicznego potwora, oświetlone bladym, nieruchomym światłem. Podłoga jest gładka i ciepła. W powietrzu unosi się dziwny, nienaturalny zapach. Teraz powinno być łatwiej. Trzeba tylko zbadać wnętrze i wyciągnąć właściwe wnioski. Wtem gaśnie światło. Patrzę w górę. Wejście, które otworzyłem, właśnie się zamyka. Widzę przez kryształ, jak zbliża się druga połowa jaja i gasi słońce. W ciemności słyszę potężne tąpnięcie domykających się połówek. Przez moment stoję w bezruchu, ale w końcu ruszam do przodu, macając na oślep ściany korytarza. Po kilku krokach podłoga nagle zaczyna się kołysać. Rzuca mną od ściany do ściany, robi mi się niedobrze, wymiotuję czymś lepkiem i gorącym, ślizgam się, uderzam o coś

głową i tracę przytomność.

* * *

Hemel i Tenan zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później musi do tego dojść, ale nie przypuszczali, że stanie się to właśnie tu i w taki sposób. Głęboko pod hermetycznie zamkniętymi komorami najstarszej części Kompostowni ośmiokątny tunel, który miał ich doprowadzić do niezamieszkanego obrzeży dzielnicy untus, niespodziewanie skończył się ślepym zaułkiem przypominającym suche dno szerokiej studni. Hemel uniósł kulistą żarolampę, ale jej chybliwy blask nie zdołał rozproszyć piętrzącego się nad nimi mroku.

– Co teraz? – mruknął.

Tenan nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle z góry spadł ogromny ciemny kształt. Miętko wylądował pod ścianą, niedaleko nich. Zamin rozpoznał go po zapachu i sylwetce. Nie potrzebował do tego światła żarolampy. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby nią rzucić i zyskać kilka chwil na ucieczkę, ale zamiast tego uczeplił się nadziei, że gdyby Rakam naprawdę chciał go dopaść, to od razu skoczyłby mu na plecy i jednym ciosem przetrącił kark.

– Chcesz nas wykończyć osobiście? – zapytał, cofając się mimowolnie. – Czemu zawdzięczmy ten zaszczyt?

– Nic z tych rzeczy – powiedział przywódca miejskiej gwardii, nie wychodząc z mroku. – Cokolwiek robicie, nie sądzicie chyba, że moglibyście to robić bez przyzwolenia Rady? Panaplian i Menur działają w porozumieniu z władzami Linvenogre, więc wy również pracujecie dla nas. Nie może być inaczej.

Hemel przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Panaplianem i gwardzistów, którzy w pośpiechu opuszczali tamten kominodom. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego zawsze tłumaczył sobie to

zdarzenie w taki sposób, że nie musiał rozważać najgorszej ewentualności.

– Czemu tak patrzycie? – zapytał rozbawiony Rakam. – Nie udawajcie zdziwionych. Sytuacja jest tak trudna, że musimy wykorzystywać wszelkie dostępne możliwości. Długotrwały kontakt z człowiekiem wyposażył was w bardzo użyteczne cechy, których nie posiadam ani ja, ani żaden z moich gwardzistów, więc wasza pomoc jest bardzo cenna. To Panapljan podsunął nam ten pomysł. Druss był zbędny. Trzeba się go było pozbyć, lecz niestety zrobiliśmy to trochę za późno. Zapewne, zgodnie z zaleceniami, niewiele wam wyjaśnili, ale myślę, że najwyższy czas, byście poznali nieco szczegółów. Należy się wam przecież jakaś nagroda, zwłaszcza że zdołaliście przeżyć w jamie Ebreny. A to nie byle co. Chodźcie! Pokażę wam przejście do starego untus. Zamurowaliśmy tunel kilka lat temu, żeby zmniejszyć napływ poszukujących i uniemożliwić powrót opróżnionym do centrum miasta, ale i tak od czasu do czasu któremuś się udaje. Na szczęście większość mieszkańców Linvenogre nie potrafi ich dostrzec, a ci, którzy jednak potrafią, starają się jak najszybciej zapomnieć, że cokolwiek widzieli. Czekam na górze.

Potężna plama ciemności, bezszelestnie poruszająca się w gęstym mroku, skoczyła w górę, szybko wspięła się po murze i zniknęła.

Hemel, kompletnie zdezorientowany i zeszywniały ze strachu, spojrzął na Tenana. Jego ektoplazmatyczna wypustka ledwo wystawała z kulistego tułowia, ale mimo wszystko perus nie zapadł się w sobie i wciąż był przytomny. Choć milczenie, w którym się pograżał, było jednak bardzo wymowne.

– Idziemy? – zapytał zamin.

– Zdaje się, że musimy zaliczyć wszystkie chore atrakcje w tym przeklętym mieście – wyszeptał perus.

– Czułem, że powiesz coś w tym stylu.

Hemel zbliżył się do muru i obejrzał go w świetle żarolampy. Między kamieniami dostrzegł szereg płytkich uchwytów i zagłębień. Były dobrze zakamuflowane, ale on wiedział, że muszą tu być, i dzięki temu zdołał je wypatrzeć. Prowadziły do góry i znikały w ciemności.

– Zostaw żarolampę! – krzyknął niewidoczny Rakam. – Nie będzie potrzebna.

Hemel nie miał w sobie wystarczająco dużo odwagi i siły, by sprzeciwić się jego woli. Postawił żarolampę na betonowej posadzce, tuż przy murze, i zaczął się wspinać w ciemność. Jego palce z zaskakującą łatwością odnajdywały właściwe uchwyty, mimo że w ogóle ich nie widział. Z dołu dobiegało sapanie Tenana, który najwyraźniej też sobie świetnie radził i bez trudu dotrzymywał mu kroku. Nagle, już po kilku chwilach, wymacał przed sobą pustą przestrzeń, otwór w murze. Chwycił się krawędzi, podciągnął i wszedł do środka.

– Po piętnastu krokach pierwszy zakręt w lewo, a później, po kolejnych dziesięciu, drugi w prawo, tam zrobi się jaśniej – poinstruował wciąż niewidoczny Rakam.

Hemel stał nieruchomo oblepiony aksamitną i nieprzeniknioną ciemnością.

– Słyszałeś? – zapytał gramolącego się za nim Tenana.

– Nie jestem głuchy, no idź, blokujesz przejście.

Zamin ruszył do przodu, na oślep, z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

– To jakby suchy syfon – zagadywał Rakam. – Wiecie, jak te w kanalizacji. Z tą różnicą, że tamte zatrzymują smród zamińskiego gówna, a ten ma zatrzymywać tych, którzy próbują się tu dostać, no i tych, których opróżnił Kamień.

Hemel zebrał się na odwagę i powiedział:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To znaczy, że dobrze wykonuję swoją pracę.

Zamin bał się z tym polemizować, więc postanowił, że na razie nie będzie się odzywał. Doliczył do piętnastu, skręcił w lewo, a potem do dziesięciu i skręcił w prawo. Faktycznie zrobiło się jaśniej. Nikłe światło wpadające przez liczne szczeliny, które w nieregularnych odstępach przecinały wysoki sufit, oświetlało z góry wąskie i bardzo strome schody. Siedział na nich Rakam. Nie był zadowolony.

– Pośpieszcie się! – warknął. – Czas ucieka.

– Przecież idziemy!

– Gdzie perus?!

– Tutaj – odparł Tenan, który w tym samym momencie stanął obok Hemela. – Teraz na górę?

– Ależ ty jesteś domyślny. Marnowałbyś się, przewijając te wasze archiwa – zakpił Rakam i wstał. Przez moment wpatrywał się zaczepnie w perusa, ale on nie dał się sprowokować, więc przeniósł wzrok na Hemela i powiedział: – Sprawdzę, czy nikogo nie ma w pobliżu, a potem otworzę klapę i macie jak najszybciej wyjść na powierzchnię, rozumiano?!

– Oczywiście – gorliwie potwierdził zamin.

– Coś nam grozi? – zaniepokoił się Tenan.

– Skądże, nie chcę tylko, żeby któryś z opróżnionych zobaczył, że stąd wychodzimy, bo potem będzie próbował tędy uciec. Co prawda wystarczyłoby zamontować najprostszy zamek i mielibyśmy spokój, ale Rada nie pozwala. Pewnie ma powód. Nie wnika.

Perus nie zdołał pohamować ciekawości i zapytał:

– Kim są ci opróżnieni?

– Przymknij się.

– Przepraszam, ja...

– Dość! Cisza! Jeśli nas usłyszą, zanim stąd wyjdziemy, to ktoś za

to oberwie! Trzymać się blisko mnie.

Hemel i Tenan poszli bez słowa za Rakamem. Wąskie schody doprowadziły ich do dużej metalowej kłapy wbudowanej w sufit. Była pokryta rdzawymi naciekami i nie wyglądała na lekką. Dowódca gwardzistów uniósł ją nieco, troszeczkę, tylko na tyle, by mógł się rozejrzeć, a potem błyskawicznie otworzył na całą szerokość i wyskoczył na zewnątrz.

– Szybko, no już! – krzyknął ponaglająco, choć nie było takiej potrzeby, bo zarówno Hemel, jak i Tenan nie kazali na siebie czekać.

Rakam zatrzasnął kalpę.

– Całkiem nieźle – stwierdził z uznaniem. – Oby tak dalej.

Był środek mrocznego dnia. Słoneczny blask niechętnie przebijał się przez grube monsunowe chmury, ale po długim czasie spędzonym w ciemnościach podziemnych korytarzy Hemel i Tenan musieli się chwilę oswajać z nadmiarem oślepiającego światła. Gdy jednak przelewające się plamy rozżarzonej bieli pociemniały i przybrały konkretne kształty, obaj znieruchomieli wstrząśnięci.

– Co... – Hemel głośno przełknął ślinę. – Co to jest?

– Zakazana część starego untus. Oficjalnie nie istnieje – odparł Rakam.

– Myślałem, że po Ebrenie już nic mnie nie zdziwi – wyznał Tenan zaskakująco spokojnym głosem.

Przywódca gwardzistów zarechotał drwiąco.

– Jeszcze nic nie widzieliście.

Kłapa, przez którą się tu dostali, była częścią starej, rozpadającej się uliczki. Niewiele z niej zostało. Właściwie ocalał jedynie krótki odcinek, będący rumowiskiem połamanych kamiennych płyt, zarośniętych mchem i gęstą trawą. Z jednej strony uliczka kończyła się ślepym zaułkiem, bo dochodziła do czarnej ściany Kompostowni. Był to ogromny budynek w kształcie kanciastej

piramidy, który górował nad okolicą i nie miał ani okien, ani żadnych zewnętrznych elementów wystających z elewacji. Z obu stron przylegały do niego typowe domy zaminów, masywne i toporne. Co prawda były zrujnowane i raczej nikt w nich nie mieszkał, ale nie miało to większego znaczenia, bo pełniły zupełnie inną funkcję niż w pozostałych częściach miasta. Rozsypujące się domy były tu przede wszystkim czymś w rodzaju muru. Stały ciasno jeden przy drugim i szerokim kołem otaczały kolosalny lej. Nie był to jednak duży otwór w ziemi, lecz coś w rodzaju wklęsłej budowli stworzonej z litego brunatnego chalcedonu. Krawędź leja miała chyba kształt dziesięciokąta, choć z tej perspektywy nie można było mieć pewności. Tuż przed nią urywał się drugi koniec starożytnej uliczki. Chalcedonowe ściany stromo opadały w dół. Z ich karbowanej powierzchni wyrastały potężne sześciiany, kanciaste kolce, bulwiaste narośle i półokrągłe tarcze, które tworzyły skomplikowany system platform, pochylni i wąskich pomostów, łączących się w jedną architektoniczną strukturę robiącą porażające wrażenie. I nie chodziło tu o jej imponujące rozmiary, lecz o coś, co kryło się w układzie tych wszystkich kładek, półek i tarasów zachodzących na siebie w taki sposób, że przestrzeń między nimi wydawała się napiętą cieniutką błoną, która falowała delikatnie i emanowała niepokojącą łuskowatą ziarnistością. Jakby od spodu napierała obca i wyjątkowo wroga rzeczywistość. Na samym dnie chalcedonowego leja, daleko w dole, czerniał kanciasty kształt, który z tej wysokości wyglądał jak maleńka lśniąca bryłka, ale można się było domyślić, że jest bardzo duży. Z całą pewnością wystarczy tylko zejść niżej, a złudzenie wywołane sporym oddaleniem natychmiast zniknie.

– Napatrzyliście się? – zapytał Rakam.

– Ja... To... – Tenan bezskutecznie próbował wydusić z siebie jakąkolwiek sensowną odpowiedź.

– Daruj sobie – podsumował jego wysiłki przywódca gwardzistów. – Teraz ja będę mówił, a wy będziecie się starali nie wchodzić mi w słowo. Możecie czasem o coś zapytać, ale radzę nie nadużywać tego przywileju. Zrozumiano?

Hemel i Tenan patrzyli na niego w milczeniu.

– No i bardzo dobrze. Właśnie o to mi chodziło. Zejdziemy na dół. Nie zostawajcie w tyle. Nie zwracajcie uwagi na opróżnionych i nie nawiązujcie z nimi kontaktu wzrokowego. To w większości zamini, ale powinno być łatwo. Zazwyczaj tak jest, bo oni nie są tu agresywni. Zajmuje ich coś innego. Nie wiem, co to jest, nie wiem, co sprawia, że, nie wiedząc o istnieniu tego miejsca, starają się tu dostać wszelkimi możliwymi sposobami, ale z całą pewnością pochłania ich to całkowicie. Tak bardzo, że każdy z nich prędzej czy później musi wejść pod Kamień. Ruszajmy.

Zostawili za sobą kamienne płyty starożytnej uliczki i zaczęli schodzić po drobno karbowanych chalcedonowych półkach, tarasach, pochylniach. Od czasu do czasu przechodzili obok zaminów, siedzących w bezruchu i intensywnie wpatrujących się w ciemny kształt znajdujący się na dnie leja. Zdarzali się również perusi, mniej liczni, lecz równie głęboko pogrążeni w kontemplacyjnym bezwładzie. Zarówno jedni, jak i drudzy w ogóle nie reagowali na obecność przybyszy. Jednak szybko stało się jasne, że niektórzy z nich tylko pozornie wyglądają jak goryłowaci i pająkowaci mieszkańcy Linvenogre. Kiedy Hemel ujrzał to pierwszy raz, z wrażenia omal nie spadł z wąskiego pomostu, po którym właśnie przechodził. Zachwiał się i oparł o Tenana, dzięki czemu zdołał odzyskać równowagę. Ale nie mógł przestać myśleć o tym, co właśnie zobaczył. „Wiem, Hemel, wiem, idź, proszę, patrz pod nogi i nie zatrzymuj się”, szeptał Tenan drżącym głosem. I Hemel szedł dalej, posłusznie, jak automat. Rakam nie oglądał się za siebie, by sprawdzić, jak sobie radzą. Parł

do przodu, utrzymywał stałe tempo i głośno rechotał za każdym razem, gdy perusi lub zamini, których mijał, rozmywali się w powietrzu i stawali się pozbawionymi konturów niewyraźnymi plamami. Wyglądało to tak, jakby ich ciała były uformowane z gęstego dymu, który rozwiewa się pod wpływem ruchów powietrza albo magnetycznej bliskości kogoś, kto mocniej przylega do rzeczywistości usimy. Co prawda nie był to trwały efekt, bo ciała błyskawicznie odzyskiwały gęstość i migotliwą ostrość konturów, ale nie sposób się już było pozbyć wrażenia, że są tylko niestabilną projekcją, pozbawioną masy i jakby pustą, opróżnioną z tego, co określało ich przynależność do tego świata. Podążając za przywódcą gwardzistów, Hemel i Tenan również wywoływali podobne reakcje u tych, których mijali, ale były one znacznie mniej spektakularne. Sprowadzały się jedynie do lekkiego rozmycia konturów i nerwowego migotania nieostrych postaci. To musiało coś znaczyć, bez wątplenia, gdybyż tylko wiedzieli co... Nie potrzebowali jednak dodatkowych wyjaśnień, by zrozumieć, że te ulotne, rozwiewające się istoty, łudzaco przypominające perusów i zaminów, to właśnie ci, o których mówił Rakam – opróżnieni. Nie wyglądało na to, że któryś z nich zamierza stąd uciec.

Schodzili coraz niżej. Byli już w połowie drogi, gdy poczuli, że chalcedonowy taras zaczyna im wibrować pod nogami.

– Stać! Nie ruszać się! – krzyknął Rakam. Zatrzymał się i powoli odwrócił w ich stronę.

Hemel i Tenan zamarli w bezruchu. Wibracja przybierała na sile.

– Uwaga!

– Co się dzieje? – zapytał nerwowo Tenan.

Huknęło i potężne tąpnięcie wstrząsnęło lejem. Hemel i Tenan odruchowo przyłgnęli do karbowanego podłoża, a Rakam stał i pogardliwie patrzył na nich z góry. Dudniące echo przetoczyło się po wnętrzu leja falą bolesnego jazgotu, który wgryzał się kości.

Ucichło dopiero po dłuższej chwili. Hemel, mimo że trochę oszołomiony, był pewien, że słyszał już ten charakterystyczny huk. I to wiele razy. Trudno go było pomylić z innymi hałasami Linvenogre. Zbyt często zdarzało się, że swobodnie rozchodził się po mieście, marszczył lustro wody w kanałach, strącał liście z drzew, rozwarstwiał szlam w głębokich kadziach Kompostowni albo powoli wygasał w wąskich zaułkach salos. Za każdym razem brzmiał tak samo – jakby gdzieś niedaleko zatrzasnęło się gigantyczne kamienne wieko. Do dzisiaj Hemel podzielał przekonanie większości tropicieli, że jest to odgłos, który towarzyszy materializacji niektórych xulo. Ale teraz, gdy znalazł się bliżej źródła tego hałaśliwego dźwięku niż kiedykolwiek wcześniej, zrozumiał, że to nie może być prawda. Spojrzał na Tenana. Jego ektoplazmatyczna wypustka ostrożnie wysuwała się z ciała. Przyglądając się perusowi, Hemel usiłował zebrać myśli. Wtem przypomniał sobie o Rakamie. Wciąż tu był. Stał nad nimi i uśmiechał się ponuro.

- Co to było? – zapytał Hemel, patrząc mu w oczy.
- Kamień – odparł Rakam. – Znowu się przewrócił.
- Co?!
- Zobaczycie. Na dole.

ERKENNEN
ZUR GOTT

Alfred dobrze wiedział, jak to jest, gdy ambicja nie idzie w parze z tym, co przynosi życie.

Wydawało się, że jest skazany na sukces. Wychował się w bogatej rodzinie, uczył się w prestiżowych szkołach i miał talent plastyczny, który mógł rozwijać od dziecka, bo rodzice nie szczędzili pieniędzy na wspieranie jego zdolności. Mimo to obrazy Alfreda nie chciały się sprzedawać, krytycy twierdzili, że są nijakie, a on nie czuł złości, gdy czytał ich recenzje. Ciężko pracował nad każdym płótnem, ale później, gdy patrzył już na gotowe dzieła, czuł dokładnie to samo, co oni. Wszystkie nadawały się do kosza. Nie było w nich nic wartego uwagi. Proces malowania był niewątpliwie wspaniałą, emocjonalną przygodą, wyprawą w głąb siebie, ale efekt końcowy zawsze go rozczarowywał. Alfred miał wrażenie, że te obrazy nie mają z nim nic wspólnego i równie dobrze mógł je namalować jakiś zupełnie obcy człowiek.

Kobiety reagowały na niego tak, jak krytycy na jego obrazy. Nie miał problemów z poderwaniem dziewczyny na jedną noc, ale żadna nie chciała przebywać w jego towarzystwie dłużej niż kilka dni. Jakby instynktownie wyczuwały, że nie ma im nic do zaoferowania i jest tak samo nijaki jak jego dzieła. Alfred miał niespełna dwadzieścia pięć lat, ale już zdążył się z tym pogodzić.

Doceniał wysiłki agentki, która nieustannie podnosiła go na duchu i wciąż wynajdywała nowe galerie gotowe wystawiać jego prace, lecz zmęczyło go bycie młodym, dobrze zapowiadającym się twórcą. Marzył o tym, by jego kariera wreszcie nabrała charakteru i rozpędu, lecz nie robił sobie nadziei, bo wiedział, że dopóki on się nie zmieni, nic z tego nie będzie. I nie było. Aż do dnia, w którym poznał Alysę Erkenon.

Był na swoim wernisażu, ale nie chciał tu być. Stał w rogu sali i nerwowo bawił się kieliszkiem pełnym kwaskowatego wina. Z oczywistych powodów tego rodzaju imprezy przyciągają nie tylko zawodowych krytyków i niezbyt zamożnych miłośników sztuki, ale także, a może przede wszystkim, ludzi, dla których są one świetną okazją, by spotkać się ze znajomymi, poplotkować, pokazać się w towarzystwie nowej kochanki czy kochanka i pochwalić kolejnym ferrari. Galeria jest przecież bardziej przyjaznym miejscem dla konwersacji niż opera czy teatr, a przy tym równie snobistycznym i prestiżowym. Zwłaszcza z perspektywy tych, którzy kupują obrazy pod kolor dywanów lub skórzanych kanap. Alfred miał dosyć tego towarzystwa. Gdyby nie to, że agentka nie spuszczała go z oka, już dawno wymknąłby się do pracowni z butelką whisky, ale wciąż czuł na sobie jej spojrzenie i, chcąc nie chcąc, musiał się uśmiechać do kretynów z wypchanymi portfelami. Co gorsza, musiał tym samym udawać, że wierzy w swoje obrazy – w to, że są udane i warto za nie zapłacić. Pociły mu się ręce, piekły policzki, zasychało w gardle. Ledwo wytrzymał teatralną absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazł. Aby zagłuszyć poczucie głębokiego zażenowania, Alfred rozpaczliwie próbował zająć umysł czymś przyjemnym, czymś, co pomoże mu się zdystansować. Odkrył jednak, że w takiej chwili potrafi myśleć wyłącznie o swoich kochanych rodzicach, którzy przez tyle lat pokładali nadzieje w talencie jedyne go syna, a teraz nie przychodzą już na jego wernisaże. Od dłuższego czasu usprawiedliwiali się podeszłym wiekiem i problemami ze zdrowiem, lecz Alfred wiedział swoje – spisali go na straty, dawno temu zdecydowali, że nie chcą być świadkami jego artystycznej porażki. I dobrze. Gdyby tu przyszli, wstyd byłby nie do zniesienia.

Zdecydował się. Ucieknie, gdy agentka upoluje kolejnego potencjalnego kupca i przejdzie z nim do drugiej sali. Na pewno szybko zauważy, że go nie ma, i jeszcze dzisiaj zerwie współpracę,

ale Alfredowi było wszystko jedno. Czuł tylko nieodpartą chęć opuszczenia tego miejsca. Odstawił pełny kieliszek na stolik z napojami, ostentacyjnie wsunął wilgotne dłonie do kieszeni spodni i odwrócił się w stronę drzwi.

Wtedy ją zobaczył.

Stała przy samym wejściu. Zjawiskowa Alyssa Erkenon. Piękna. Wysoka. Z oszałamiającą aureolą rudych loków. Znana z gazet i telewizji, jedyna córka multimiliardera Thomasa Erkenona – właściciela kilku linii lotniczych, pól naftowych na Morzu Norweskim i sieci luksusowych hoteli – powszechnie uważanego za jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na Ziemi. Jeszcze nikt nie zwrócił na nią uwagi. Tylko Alfred gapił się kompletnie zaskoczony. Ona?! Tu?! Na jego wernisażu?!

Skupiła się na obrazach i powoli przechodziła od jednego do drugiego. Nic innego jej nie interesowało. Nagle nuda imprezowej rutyny prysła jak bańka mydlana. Ludzie zaczęli sobie pokazywać Alyssę palcami i tłumnie ruszyli w jej stronę. Widząc, co się dzieje, agentka natychmiast pośpieszyła z pomocą, ale Alyssa nie potrzebowała niczyjej ochrony. Alfred z satysfakcją obserwował, jak jego znienawidzeni goście tracą przy niej pewność siebie i, nie wiedząc, co powiedzieć, potulnie, bez słowa, ustępują jej z drogi. Wtem poczuł na sobie wzrok Alyssy, który prześlizgnął się po nim niczym podmuch naelektryzowanego powietrza. Alfred zastygł w bezruchu. Przez chwilę widział tylko jej oczy, zielone i przenikliwe. Silne szarpnięcie przywróciło go do rzeczywistości.

– Co z tobą? – zapytała agentka uczepiona jego ramienia. – Piłeś?

Chciał zaprzeczyć, ale ona nie czekała na odpowiedź i od razu pchnęła go w stronę Alyssy, mówiąc:

– Na co czekasz? No idźże do niej!

Tak, wydawało się oczywiste i naturalne, że to on powinien podejść do Alyssy, a nie ona do niego. Z bliska była jeszcze bardziej

onieśmielająca. Przedstawił się. Alyssa uśmiechnęła się chytrze i zapytała:

– Lubi pan swoje obrazy?

Gdyby chodziło o kogoś innego, jakiegoś zwykłego, obiecującego klienta, Alfred bez wahania zacząłby kłamać. Miał w tym wprawę, bo robił to wiele razy. Ale był pewien, że Alyssa Erkenon bez trudu przejrzy każde jego łgarstwo, i dlatego jej musi powiedzieć prawdę.

– Nie – odparł szybko.

Agentka zmroziła go wzrokiem, lecz Alyssa chyba właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– To mi się podoba – stwierdziła rozbawiona. – Kupię jeden z pańskich obrazów. Powiedzmy ten z Dionizosem. Jest uroczo niezdarny. Dam za niego pięć, albo nie, dziesięć tysięcy dolarów. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na odpowiedź.

– Musi mi go pan osobiście dostarczyć do apartamentu.

– Kiedy?

– Jutro. Najlepiej przed południem.

– Zgoda.

– Proszę, to wizytówka z adresem. Gratuluję szybkiej decyzji.

Wyszła, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać.

* * *

Alyssa mieszkała na szczycie luksusowego apartamentowca. W przestronnym kilkupoziomowym penthousie, pełnym antyków, orientalnych artefaktów i unikatowych dzieł sztuki. Alfred ścisnął w dłoniach swój obraz i czuł się tu jak sprzedawca tandety stojący na progu magicznej jaskini wypełnionej prawdziwymi skarbami. Nie było to przyjemne i miał ochotę jak najszybciej wyjść, ale drzwi

wejściowych pilnowali dwaj potężni ochroniarze w czarnych garniturach, którzy przed chwilą wpuścili go do środka, i nie wyglądało na to, że pozwolą mu odejść, zanim przyjdzie Alyssa. Nagle pojawiła się na szczycie szerokich schodów, ubrana w piękny jedwabny szlafrok. Alfred wpatrzył się w nią zafascynowany.

– Proszę, proszę – powiedziała z uznaniem. – Nie spodziewałam się, że przyjdzie pan przed dziesiątą. Chce pan zrobić na mnie wrażenie?

– Warto było spróbować.

– Niewątpliwie. Ma pan ochotę na kawę?

– Nie odmówię.

– Doskonale. Proszę za mną.

Usiedli w obszernym salonie, przy masywnej bryle litego granatowego marmuru, która pełniła tu funkcję stołu. Jedna ze ścian, ta znajdująca się naprzeciwko nich, była ogromnym oknem sięgającym od podłogi do sufitu. Rozpościerał się z niego imponujący widok na Manhattan i rzekę Hudson. Lokaj postawił przed nimi maleńkie filiżanki parującego espresso i kryształowe szklanki z wodą. Alyssa spojrzała na obraz.

– Niech go pan położy na tym fotelu – poinstruowała Alfreda. – Właśnie tak. Dobrze. Mam wrażenie, że coś z nim jest nie tak.

– To ten sam, który pani wybrała.

– Oczywiście. Nie to miałam na myśli. Niewątpliwie ma pan talent i wyrobioną rękę, ale każde pańskie dzieło zatrzymuje się w pół drogi i prześlizguje po rzemieślniczej sprawności. Zobaczyć jeden pański obraz to tak, jakby widzieć wszystkie. Nuda. Żadnego zaskoczenia. Żadnych błysków czy choćby powidoków natchnienia.

– Uważa pani, że zakup mojego obrazu daje pani prawo do obrażania mnie?

– Naprawdę czuje się pan obrażony? Czyżby wczoraj nie był pan ze mną szczery?

Alfred przełknął ślinę. Miała rację. Instynktownie bronił przegranej sprawy.

– Byłem – przyznał niechętnie. – Już dawno powinienem przestać malować, ale tylko to potrafię.

– Proszę nie dramatyzować. Jeszcze nie wszystko stracone.

– W jakim sensie?

– Niech pan zapyta.

– O co?

– Zostawmy te podchody. Z całą pewnością jest coś, co bardzo chce pan wiedzieć. Od początku chciał pan o to zapytać, prawda? Śmiało!

Było coś takiego.

– Aż tak to widać?

– Ma pan to wypisane na twarzy.

– Dlaczego wydała pani tyle pieniędzy na tak marny obraz?

Alyssa zerknęła na niego z ukosa.

– Teraz to pan mnie obraża. Nie kupiłam pańskiego obrazu, tylko pańską uwagę. To część mojej pracy. Powiedzmy, że zajmuję się wyszukiwaniem utalentowanych ludzi o zmarnowanym lub niewykorzystanym potencjale, by złożyć im propozycję, która może odmienić ich życie.

– Chyba nie sugeruje pani, że potraficie stymulować talenty?

– Zasadniczo tak. Potrafimy. W większości przypadków.

Alfred zaniemówił z wrażenia, ale szybko doszedł do siebie i powiedział:

– Nie wierzę.

– Wcale się panu nie dziwię.

– W jaki sposób? Czy to jakiś sekciarski system? Coś w rodzaju scjentologii?

– Nic podobnego. Choć uprzedzam, że proces pobudzania jest trudny, nieprzewidywalny i wyjątkowo niebezpieczny.

– W takim razie dziękuję. Aż tak mi nie zależy.

– No cóż, może rzeczywiście nie ma pan powodów, by ryzykować. Przecież nie musi się pan o nic martwić. Żyje pan sobie spokojnie za pieniądze rodziców i bawi się w sztukę. Można się w ten sposób bezboleśnie prześlizgnąć przez całe życie.

– W pani ustach ten zarzut brzmi jak czysta hipokryzja.

– Ulżyło panu?

– Nie.

– Proszę. To pański czek na dziesięć tysięcy. Tak jak się umawialiśmy. Jeśli będzie pan chciał...

– Jak to się odbywa? Co musiałbym zrobić?

– Przede wszystkim musi mi pan zaufać. Zasady są proste. Wszystko albo nic. Godzi się pan na moje warunki, o nic nie pyta, podpisujemy umowę i dalej sprawy toczą się swoim torem. Lub też zabiera pan swoje dziesięć tysięcy, rozstajemy się w zgodzie i obiecuję, że już nigdy nie będę się panu naprzykrzać.

– Ile mam czasu, żeby to przemyśleć?

– Taką propozycję dostaje się tylko raz.

– Jak mogę się na to zgodzić, skoro nie wiem, co mnie czeka?

– Zna pan stawkę. Proszę samemu ocenić, czy warto dla niej zaryzykować.

– Gdzie mam podpisać?

Alyssa podała Alfredowi teczkę z dokumentami.

– Niech pan to dokładnie przeczyta, a potem omówimy szczegóły wyjazdu.

– Gdzieś się wybieram?

– Im mniej będzie pan wiedział, tym lepiej.

* * *

Alfred dostał trzydzieści dni na załatwienie wszystkich spraw.

Zgodnie z zaleceniem Alyssy swoim rodzicom i znajomym powiedział, że wybiera się w podróż dookoła świata, lecz prawda była inna. Po upływie wyznaczonego czasu miał pozostać w mieszkaniu i czekać na przybycie samochodu, który zabierze go na prywatne lotnisko, znajdujące się gdzieś pod Nowym Jorkiem. Ten dzień nadszedł zaskakująco szybko. Alfred był pełen obaw, ale bardzo chciał, by w jego życiu coś się wreszcie zmieniło, więc mimo wszystko wsiadł do czarnej limuzyny i w ciągu niecałych dwóch godzin dotarł na miejsce. Piloci bez zbędnych słów wprowadzili go na pokład małej, luksusowej cessny. Był jedynym pasażerem. Coś musiało być w wodzie mineralnej, bo po kilku łykach poczuł senność, zapadł się w miękkim skórzanym fotelu i odpłynął w mrok.

Obudził go pulsujący ból głowy i przenikliwy świst wiatru. Leżał w namiocie. Miał na sobie wysokie trekkingowe buty i ubranie do turystyki górskiej. Wokół niego piętrzyły się spore zapasy puszkowanej i liofilizowanej żywności oraz plastikowe kanistry z wodą. Wyjrzał na zewnątrz. Wiatr był tak silny, że niemal go przewrócił. Klęcząc na czworakach, rozejrzał się dookoła. Namiot stał w płytkim zagłębieniu znajdującym się na bezkresnej równinie czarnego piasku. Stalowoszare chmury szczelnie wypełniały niskie niebo. Alfred miał wrażenie, że są prawie na wyciągnięcie ręki. Nie widział, co to za miejsce i jak się tu znalazł. Schował się w namiocie.

Rzadko wychodził na zewnątrz. Właściwie robił to tylko wtedy, gdy musiał, bo nigdy nie było to przyjemne. Lodowaty wiatr smagał bezlitośnie i bez trudu przenikał przez grubą kurtkę, a widok czarnej równiny miał w sobie coś depresyjnego i niepokojącego. Większość czasu spędzał na leżąc. Nie miał innego wyjścia, ponieważ kopulasty namiot był dość mały i nie można w nim było stanąć. Dlatego Alfred głównie spał, drzemał albo rozmyślał. Słońce świeciło tu przez całą dobę i tylko na kilka godzin – trudno mu to

było dokładnie oszacować, bo nie miał zegarka – obniżało się do poziomu horyzontu. Alfred doszedł więc do wniosku, że najprawdopodobniej znajduje się blisko granicy kręgu polarnego. Śledził wędrówkę niskiego słońca przez poliestrowe ścianki namiotu i nieustannie zadawał sobie te same pytania: na czym ma polegać rzekome stymulowanie talentu, którym skusiła go Alyssa? Czemu zostawili go na tym pustkowiu? Na żadne z nich nie potrafił znaleźć odpowiedzi, ale częste ataki paranoicznych przeczuć dawały mu do zrozumienia, że cała rodzina Erkenon bawi się teraz jego kosztem.

Gdy słońce czwarty raz zbliżyło się do horyzontu, wiatr nagle ucichł i Alfred usłyszał coś innego – cichy chrzęst dobiegający z głębi ziemi. Jakby coś dużego i ciężkiego przebijało się przez warstwy czarnego piasku. Wyszedł z namiotu i stanął pod bezchmurnym niebem. W zasięgu wzroku nic się nie poruszało, ale chrzęst stawał się coraz głośniejszy. Alfred poczuł zimne ukłucie lęku. Pomyślał, że coś po niego idzie.

Ucieczka nie wchodziła w grę. Nie wiedziałby, w którą stronę pójść, i z całą pewnością zgubiłby się na tej czarnej pustyni. Musiał zostać i stawić czoło temu, co przygotowała dla niego Alyssa. Cokolwiek to było.

Dwie albo trzy godziny później ziemia zaczęła drżeć. Alfred natychmiast opuścił namiot. Niedaleko, kilkadziesiąt kroków od niego, coś zaczęło się wynurzać z czarnego piasku. Przypominało wygiętą kolumnę albo ogromne kamienne żebro, które powoli urosło na ponad dwadzieścia jardów i zamarło w bezruchu. Cisza boleśnie wypełniła uszy Alfreda. Podszedł do obiektu i przyjrzał mu się z bliska. Dotknął chropowatej powierzchni – miała barwę skamieniałego kurzu i była bardzo gorąca. Obejrzał się za siebie. Wszystko zdawało się takie nierealne. Cały czas miał wrażenie, że występuje w programie „Ukryta kamera”, sponsorowanym przez

Thomasa Erkenona, ale jak do tej pory jeszcze nikt nie wyskoczył z ukrycia, żeby mu pokazać, w którym miejscu przyczał się kamerzysta. To było w tym najdziwniejsze.

Alfred przyłożył ucho do gorącego kamienia. Usłyszał wyraźne bulgotanie i odgłosy przelewania, jakby w środku przemieszczał się gęsty płyn. Cofnął się i dopiero teraz zauważył, że powierzchnia obiektu przypomina pumeks i jest w niej mnóstwo małych otworków. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odskokzył instynktownie. Coś go przeraziło. Odwrócił się, ale nic tam nie było. Odetchnął głęboko. To miejsce doprowadzało go szaleństwa. Czy właśnie o to chodziło Alyssie?

Znowu coś mignęło na granicy pola widzenia i jednocześnie poczuł muśnięcie na włosach. Wrzasnął. Nogi same go poniosły. Zatrzymał się po kilkuset jardach. Ciężko dyszał. Nigdy nie dbał o formę. Uspokoił oddech i spojrzał w stronę kamiennego zebra. Nie rozumiał, co się dzieje. Górę i dół widział wyraźnie, ale jego środkowa część była rozmazana, jakby przysłaniała ją delikatna mgielka. Alfred przechylił głowę i nagle dostrzegł to tuż przed swoją twarzą. Wzrok go oszukał. To nie była mgielka, lecz cieniusiętkie pasemko połyskującej czerni, które wysnuło się z kamiennego zebra i pomknęło za nim, wijąc się w powietrzu. Nie zdążył zareagować.

* * *

Alfred odzyskał świadomość w prywatnej klinice w Szwajcarii. Był obolały, nie mógł chodzić i ze zdumieniem odkrył, że minęły już prawie trzy miesiące od momentu, gdy zasnął w samolocie, a on nic nie pamięta z tego okresu. Alyssa wyjaśniła mu, że to efekt uboczny procesu stymulacji i mimo wszystko nie powinien się przejmować, bo może spokojnie żyć bez tych wspomnień. Zasugerowała też, że najlepiej będzie, jeśli wróci do malowania stopniowo, bez

pośpiechu, zgodnie z własnym wyczuciem.

– Moja asystentka zgromadziła tu wszystkie materiały, których może pan potrzebować.

– To znaczy, że się udało?

– Oczywiście.

– Skąd pani wie? Nie czuję żadnej różnicy. Poza tym, że wszystko mnie boli i nie mogę sam pójść do toalety.

– Dzięki temu wiadomo, że proces zakończył się sukcesem. Proszę się nie martwić. Ból szybko minie i wszystko wróci do normy.

– Nie chcę myśleć, co by było, gdyby się nie udało.

Alyssa spoważniała.

– Dobrze pan wie. Teraz to najmniej ważne.

– Kiedy wrócę do domu?

– Najpierw musi pan zregenerować siły. Zazwyczaj po odzyskaniu przytomności potrzeba na to trzech do czterech tygodni.

– Naprawdę będę mógł znowu zamieszkać w Nowym Jorku i dacie mi spokojnie pracować?

– Przecież o to właśnie chodziło, prawda?

– Niby tak, ale jeśli wszystko poszło, jak trzeba, to wychodzi na to, że zyskałem coś za darmo.

– To prawda, że pokryłam wszystkie koszty, ale chyba zapomniał pan o umowie, którą podpisaliśmy. Moja rodzina ma prawo do pierwokupu każdego nowego obrazu.

– Nigdy nie chciały się sprzedawać. Zrobiła pani kiepski interes.

– To się jeszcze okaże. Powiedzmy, że każde z nas działa na własne ryzyko. Muszę już iść. Niech pan wypoczywa. A potem proszę się brać do pracy. Niecierpliwie wyczekuję rezultatów. Do zobaczenia w Nowym Jorku.

Miesiąc później Alfred przekroczył próg swojego nowojorskiego mieszkania. Odwiedził rodziców, odnowił znajomości, urządził kilka imprez. Wszystkim powiedział, że tak naprawdę nigdy nie miał zamiaru włóczyć się po świecie i do razu poleciał do Tajlandii, gdzie przez kilka miesięcy zwiedzał burdele. Nikt nie miał powodów, by mu nie wierzyć.

Alyssa nie ingerowała w jego życie i nie popędzała go. Alfred wrócił do sztalg, gdy poczuł się gotowy. Ale kiedy już zaczął malować, to nie mógł przestać. Tworzył obrazy, które go zaskakiwały, olśniewały i budziły dziwne uczucia, przypominające mgliste wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Znajomi bledli na ich widok, a zaprzyjaźniona agentka, która z litości zgodziła się je obejrzeć, zamarła z otwartymi ustami. Chwilę później złapała za telefon i natychmiast zaczęła organizować wernisaż w jednej z najbardziej prestiżowych galerii w Nowym Jorku.

Alfred był szczęśliwy. Z dnia na dzień stał się bardzo popularny. Pierwsza wystawa po powrocie okazała się nieprawdopodobnym sukcesem. Krytycy nie mogli się go nachwalić. Miłośnicy sztuki tłumnie przychodzili do galerii i z zachwytem wpatrywali się w jego dzieła. Tylko kolekcjonerzy byli rozczarowani, bo okazało się, że obrazy zostały sprzedane, zanim trafiły na wystawę. Alfred spotykał się z kupcami osobiście. Przyprawiała ich Alyssa.

Wszyscy należeli do rodziny Erkenon.

Wszyscy potrafili wyczytać w jego obrazach coś, co mogli zrozumieć tylko oni.

NERGOTT

ALHAZEN
ALHAYTH

Ten smród był jak żalosne zawrodozenie rannego fortaka, który, drapiąc pazurami wilgotną darń, próbuje odpełznąć poza zasięg drugiego strzału. Nie można się było od niego uwolnić. Odkładał się w mózgu rezonującymi falami nieustannie powracających mdłości i nagłymi skurczami gęstniejącego mroku, które wywoływały ataki kaszlu i zmuszały do walki o każdy oddech. Trzeba się było z nim zmagać, walczyć, zawzięcie przedzierać przez bagniste warstwy gęstego fetoru, by mimo braku sił i dławiącej wilgoci wsączającej się w płuca mozolnie czołgać się w stronę słabego żółtawego światła, przyciągającego jak blask odległej latarni wskazującej położenie bezpiecznego portu...

Barkelby ocknął się, leżąc na boku, na metalowej podłodze, w rogu małego pomieszczenia wypełnionego żółtym światłem. Zapewne takie ułożenie ciała uratowało mu życie, bo nie zadławił się własnymi wymiocinami, mimo że cały był nimi utyłany. Od ich zjadliwego smrodu piekły go oczy. Łupiący ból rozsadzał czaszkę i utrudniał myślenie. Barkelby zacisnął zęby, skupił się na upiornym pulsowaniu bólu i wykorzystując sztuczkę, której nauczył się od Zergotta w okopach pod Bozzokanem, wypchnął go poza krawędź uwagi. Zelżało. Rozżarzona igła przepalająca mózg stała się odległym ćmieniem majaczącym daleko na horyzoncie świadomości. Teraz mógł spokojnie przemyśleć swoją sytuację. Zastanawiało go, czy ktoś celowo zadał sobie trud, żeby ułożyć jego ciało właśnie w taki sposób. Rozważał to przez dłuższą chwilę, ale w końcu uznał, że to mało prawdopodobne, tak samo jak to, że wczoraj pił wyłącznie czystą wódkę, bo nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się aż tak źle po alkoholu. Podejrzewał, że ci skurwysyńscy agenci Moloka dosypali mu coś do kieliszka.

Wiedział, że są do tego zdolni i nie wahają się wykorzystywać wszelkich sposobności, jeśli tylko nadarzy się okazja, ale nie rozumiał, po co mieliby to zrobić. Przecież posłusznie wykonywał rozkazy. Odpowiedział na wezwanie i zgodnie z umową, którą zawarł z Molokiem wiele lat temu, bezzwłocznie przyплыął do Loqudynu. To rutynowa procedura. Przechodził przez nią wiele razy. Każdy agent działający na prowincji, daleko od serca Imperium Brytynejskiego, daleko od Loqudynu i Cesarzowej Matki, musi od czasu do czasu przybyć do stolicy, by oczyścić się z toksycznych wpływów obcych Belenusów. Jednakże tym razem stało się coś innego, coś nieoczekiwanego. Z jakiegoś powodu upili go, zatruli i porzucili w miejscu, które ani trochę nie przypominało pokoju, jaki Barkelby wynajął dwa dni temu w jednym z tych małych portowych hotelików. Dlaczego? Nie miał pojęcia.

Jego nogi znajdowały się pod wąskim łóżkiem przywieszonym do ściany, a głową opierał się o grube metalowe rury. Chwycił się ich, podciągnął i usiadł. Było lepiej, niż przypuszczał. Odległy ból głowy tylko nieznacznie przybrał na sile i na razie nie zapowiadał kolejnych ataków mdłości. Żołądek zdołał już chyba całkowicie pozbyć się trucizny i sądząc po tym, że wymiociny nie zdążyły przyschnąć, skończył nie dalej niż dwie, trzy godziny temu.

Barkelby nie potrafił określić, jak długo leżał nieprzytomny, zanim zaczął wymiotować. Odruchowo sięgnął pod pachę, do kabury, i z ulgą wymacał masywną kolbę Zergotta. Od wielu dni był uśpiony i na pewno nie pomoże mu wyjaśnić, jak się tu znaleźli, ale już sam fakt, że nikt go nie zabrał, bardzo podnosił na duchu. Barkelby czuł pokusę, żeby okłamać samego siebie i wykorzystać jego obecność jako dowód na to, że nie został uwięziony, choć tak naprawdę jedno nie wykluczało drugiego, bo czegoś takiego jak Zergott nie można po prostu zabrać. Gdyby ktoś inny niż Barkelby wyszarpnął go z kabury, pistolet natychmiast by się obudził

i z wrodzoną sobie złośliwością odstrzelił złodziejowi jaja. Albo zrobiłby się tak ciężki, że przygniótłby go do podłogi i rozkoszował jego cierpieniem. Co prawda teraz, gdy wojna enoropejska była już tylko odległym wspomnieniem, niewielu ludzi nosiło przy sobie świadomą broń, przypisaną jednemu, konkretnemu właścicielowi, i był to dość rzadki widok, ale Barkelby miał powody, by przypuszczać, że ci, którzy go tu umieścili, znają się na rzeczy i potrafią rozpoznać to, co nosi pod pachą, więc zdawał sobie również sprawę, że mogli wiedzieć, co im grozi, i dla własnego bezpieczeństwa woleli zostawić Zergotta w spokoju. No i dobrze, pomyślał, zarówno dla nich, jak i dla mnie. Zacisnął palce na kolbie, odprężył się i wyobraził sobie, że przenika umysłem w głąb broni. Nagle zimna obecność wlała mu się w kości. Jakże znajome uczucie. Tak nieprzyjemne, że nie można się było do niego przyzwyczaić, a jednocześnie uzależniające i dające poczucie siły. Jeżyło włosy, skracało oddech, utwardzało erekcję. Zergott wrócił.

„Co tak śmierdzi?” – zapytał chrapliwym szeptem, który słyszał tylko Barkelby.

– Ja.

„Niemożliwe, to gorsze niż odór wodnistego gówna, który musiałem znosić, gdy leżałeś chory na dezynterię w bozzokanskim lazarecie”.

– Sam zobacz. Porzygałem się.

Zergott był mentalnie połączony z Barkelbym i jeśli nie spał, to widział, słyszał i czuł to samo, co on, z tą jednak różnicą, że potrafił znacznie szybciej przyswajać i analizować bodźce docierające ze zmysłów człowieka. Bez wątpienia obejrzał całe pomieszczenie i zdołał wyrobić sobie zdanie, zanim się odezwał, ale lubił się czepiać, przekomarzać, zonglować złośliwymi docinkami i zmuszać do niepotrzebnych, ponizających wyjaśnień.

„Coś ty żarł? Nie. Zapomnij. Nie chcę wiedzieć. Lepiej powiedz,

gdzie jesteśmy?”.

– Piłem wódkę z agentami Moloka, tyle pamiętam. Nie wiem, jak tu trafiliśmy i co to za miejsce.

W umyśle Barkelby'ego rozległ się ponury śmiech – regularny, piskliwy dźwięk, równie drażniący jak odgłos metalu trącego o metal.

„Ale z ciebie idiota”.

– Musieli coś dodać do wódki. Naprawdę nic nie pamiętam, ja...

„Nie tłumacz się, kretynie, tylko pomyśl. Czujesz to przecież cały czas. Te delikatne fale mdłości przelewające się przez ciało. To twoja odpowiedź”.

– Nie rozumiem...

„Dlaczego mnie to nie dziwi? Wstań, może wtedy zaczniesz kojarzyć”.

Barkelby podniósł się z trudem i stanął w szerokim rozkroku. Metalowa podłoga kołysała mu się pod nogami. Był przekonany, że to z jego winy, bo wciąż mąci mu się w głowie, ale nagle uświadomił sobie, że pomieszczenie, w którym się znajduje, to mała jednoosobowa kajuta, i zrozumiał w czym rzecz. Nie było żadnej trucizny. Tylko alkohol i choroba morska. Straszny kac dopadł go na statku, który walczy ze wzburzonym morzem.

„Właśnie tak, staruszkule, upili cię i zwerbowali do marynarki. A teraz płyniemy w nieznane. Mam nadzieję, że nie zostałeś mianowany etatowym czyścicielem kibli. Nie mam ochoty całymi dniami wędzić się w ludzkim smrodzie. Sprawdź, czy da się stąd wyjść, znajdź jakąś łazienkę i doprowadź się do porządku. Cuchniesz jak ścierwo fortaka”.

– Nie mów mi, co mam robić!

„Dobra, jasne, jak chcesz, najpierw drzwi, potem umywalka. Zapamiętasz czy narysować instrukcję?”.

– Wal się!

Barkelby nie miał wyboru. Musiał się uodpornić na irytujące komentarze i złośliwe zaczepki Zergotta, bo był na niego skazany. Ale nie dlatego, że nie mógł się go pozbyć. Gdyby naprawdę tego chciał, już dawno by to zrobił, lecz niezwykle talenty schizofrenicznego dyskomfortu gderającego mu w głowie sprawiały, że z nim czuł się o wiele pewniejszy i bezpieczniejszy. Dzięki niemu nie musiał polegać tylko na sobie. Zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta. Barkelby był uzależniony od tego poczucia bezpieczeństwa i przerażała go myśl, że mógłby je stracić, nauczył się więc znosić wredny charakterek Zergotta i nie miał wrażenia, że jest w tym układzie poszkodowany.

Na chwiejnych nogach podszedł do drzwi. Nie były zaryglowane, więc bez problemu opuścił kajutę. Ruszył w prawo wąskim korytarzem, a potem schodami w dół. Trafił do kolejnego korytarza, nieco szerszego. Tutaj kołysanie było już bardzo uciążliwe. Na szczęście wzdłuż ścian były przymocowane liny, których można się było złapać. Po prawej stronie znajdowały się również dwa małe bulaje. Barkelby przysunął twarz do najbliższego i próbował wyrzeć na zewnątrz, ale zobaczył tylko wzburzoną wodę pieniącą się w ciemności. Walcząc o utrzymanie równowagi, poszedł dalej, w głąb statku. Po kilkunastu krokach usłyszał głosy – zbyt ciche, żeby można było zrozumieć poszczególne słowa, choć bez wątpienia należały do dwóch osób. Korytarz skręcał w lewo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Barkelby minął zakręt i zauważył otwarte drzwi. Promieniował z nich blask, który był o wiele jaśniejszy niż brudnożółta poświata rozświetlająca korytarz. Odgłosy cichej rozmowy stały się nieco głośniejsze. Zawahał się, ale uznał, że z Zergottem nie ma się czego bać, postanowił więc, że nie będzie dyskretnie zaglądał do środka, i mrużąc oczy, po prostu stanął w drzwiach. Było to wejście do niewielkiej ładowni. Wskazywały na to piętrzące się w środku skrzynie unieruchomione

grubymi linami. Ale pomieszczenie pełniło także funkcję kajuty, bo na samym środku, pod silnymi lampami elektrycznymi, znajdowały się cztery piętrowe prycze oraz spory stół, przy którym stały masywne ławy. Zajmowali je dwaj potężni amfibianie, nazywani też wodnymi ludźmi, choć tak naprawdę w niewielkim stopniu przypominali ludzi. Dotychczas Barkelby widywał ich tylko na zdjęciach. Owszem, byli humanoidalni, lecz każdy z nich miał około trzech jardów wzrostu, nieproporcjonalnie długie kończyny i bezwłosą skórę pokrytą gładkimi łuskami, które lśniły zielonkawo w świetle lamp. Najdziwniejsze jednak i zdecydowanie najmniej ludzkie były ich głowy. Pozbawione nosa i uszu, wąskie, podłużne, zwężające się ku górze i zakrzywiające do tyłu. W połowie wysokości czegoś, co z braku innych słów można określić mianem twarzy, ciemniała długa pozioma szczelina, czyli szerokie i pozbawione warg usta, a trochę ponad nimi sterczały na boki krótkie szypuły dużych teleskopowych oczu, chowających się pod często mrugającymi półprzezroczystymi powiekami. Amfibianie siedzieli naprzeciwko siebie i grali w kości. Byli tak do siebie podobni, że równie dobrze mógł to być jeden wodny człowiek odbijający się w lustrze. Znieruchomieli na widok Barkelby'ego, który wyczuł w powietrzu delikatną, lecz wyraźną woń ryb i skonsternowany uświadomił sobie, że to oni wydzielają ten zapach.

„Na co się gapicie, śmierdziele?!”

– Przepraszam, że przeszkadzam... – zaczął Barkelby, ale amfibian siedzący po jego lewej stronie natychmiast poderwał się z miejsca i szczerząc w uśmiechu makabryczną paszczę pełną trójkątnych zębów, powiedział:

– Nie do wiary, że tak szybko doszedł pan do siebie! Chyba musi pana chronić potężne błogosławieństwo Cesarzowej Matki. Bardzo mnie to cieszy, bo bałem się, że mi pan zdechnie w kajucie, a wtedy

z całą pewnością uznaliby, że to moja wina, i pewnie już do końca życia wegetowałbym na zesłaniu w obozie pracy na dnie Oceanu Indyjskiego. Czuwałem przy panu, ułożyłem pańskie ciało w taki sposób, żeby miał pan szansę przeżyć te konwulsyjne wymioty, i dopiero chwilę temu, gdy wreszcie zapadł pan w głęboki sen, odważyłem się zostawić pana samego. Proszę mi wybaczyć, nie sądziłem, że lada moment odzyska pan siły.

„Rybny ścierwojad kłamie jak nakręcony. Nawet jeśli ułożył cię tak, jak trzeba, to jestem pewien, że nic więcej nie zrobił. Większość czasu spędził tu, grając w kości, a teraz się podlizuje, złamas jeden. Jak nie przestanie, to podziurawię mu ten sukinsyńsko krzywy łeb!”.

– Żyję, więc chyba nie powinienem mieć pretensji. Dziękuję za pomoc. Mógłbym się gdzieś umyć?

– Oczywiście.

Amfibian zostawił milczącego towarzysza i zbliżył się do drzwi. Był znacznie wyższy od Barkelby'ego, łypał z góry teleskopowymi oczami i wciąż się uśmiechał. Okazywał szacunek w specyficzny sposób. Jakby chciał, ale wcale nie musiał tego robić. Wyciągnął szeroką dłoń i powiedział:

– Jestem Sed. Naprawdę się cieszę.

„Pozwól, że z litości skrócę jego męki...”.

Barkelby ochoczo uścisnął długie palce amfibiana, połączone srebrzystą błoną i zakończone czarnymi szponami. W dotyku były twarde i ciepłe.

– A ja...

– Barkelby. W każdym razie tak mi powiedzieli.

„Dobrze, dobrze, niech się wygada. Zobaczymy, ile wie. Tylko go nie popędzaj”.

– Ci, którzy przyprowadzili mnie na statek?

– Raczej przynieśli. Był pan nieprzytomny. Przepraszam.

Barkelby cofnął się, żeby go przepuścić, a potem ruszył za nagim, przygarbionym olbrzymem, który zabawnie człapał na szerokich stopach, kołysał się na zgiętych nogach i niczym goryl podpierał się długimi, sięgającymi do kostek rękami. Dopiero idąc z tyłu, za amfibianem, zauważył, że wodny człowiek ma między nogami penisa, który wygląda jak gruba macka pokryta małymi przyssawkami i przywiera do wewnętrznej strony jego uda. Dało się również dostrzec pozostałość po mosznie, w większości wchłoniętej w głąb ciała i zredukowanej do dwóch niewielkich kulistych wybrzuszeń osłoniętych grubymi łuskami. To było coś niezwykłego, bo z tego, co wiedział, formicy nie posiadali płci i nie mogli się rozmnażać. Czuł obrzydzenie zmieszane z fascynacją i żar wstydu za uszami. Z trudem oderwał wzrok od mackowatego prącia i zapytał:

- Jak dawno to było?
- Z dziewięć godzin temu.
- Mówili coś?
- Kazali mi się panem zaopiekować.

„Ostrożniej dobieraj słowa. Lepiej, żeby się nie domyślił, że nic nie wiemy”.

Nie do końca była to prawda, bo kilka oczywistych wniosków nasuwało się samoistnie. Amfibianie służyli wyłącznie na okrętach wojskowych, zatem Barkelby miał pewność, że nie bierze udziału w operacji cywilnej. Został wciągnięty w coś poważniejszego. Coś, co najprawdopodobniej wiązało się z doświadczeniem, które zdobył na anaferykańskim froncie, a także w czasie wieloletniej pracy w ochronie Alpanejskiego Kołowrotu. Gdy go werbowali, z pewnością wytłumaczyli mu, o co chodzi, lecz nic nie pamiętał. Mógł jedynie podążać za domysłami. Na szczęście możliwości nie było aż tak dużo, żeby nie dało się ich ograniczyć do kilku opcji. Któraś z nich musiała być prawdziwa, bo działania Moloka zawsze

są wyrazem woli Cesarzowej Matki, a ona jest znana z tego, że nie lubi marnować swoich ludzkich zasobów. Choć z drugiej strony – Barkelby ciągle to sobie powtarza, żeby zachować właściwą perspektywę – posiadanie tego rodzaju wiedzy nigdy nie sprawia, że decyzje i postępowanie brytyjskiego Belenusa stają się bardziej zrozumiałe, więc może każde przypuszczenie, które dotyczy tej istoty i planów, jakie ma wobec ciebie, z założenia musi być chybione i dalekie od prawdy, jakakolwiek ona jest.

Sed otworzył drzwi znajdujące się u podnóża stromych schodów, sięgnął w głąb ciemnego pomieszczenia i zapalił światło. Po czym usadowił się wygodnie na podłodze oparty o przeciwległą ścianą korytarza.

– Zaczekam tu na pana – oznajmił.

Barkelby wszedł do zaskakująco przestronnej łazienki. Chciał, żeby amfibian cały czas pozostawał w zasięgu wzroku i słuchu, więc nie zamknął drzwi. Pochylił się nad stalową umywalką. Z ciemnego lustra spojrzało na niego niewyraźne odbicie – chuda, zmęczona twarz z podkrążonymi oczami, rudą brodą i rdzawymi, krótko przyciętymi włosami – nie było to jednak coś, co miałby ochotę oglądać, więc opuścił wzrok i zajął się tym, po co przyszedł. Ciepłą wodą wyplukał z ust obrzydliwy kwaśny posmak, umył twarz i zaczął usuwać wymiociny z czarnej skórzanej kurtki, flanelowej koszuli, szarobrazowych drelichowych spodni i wysokich butów. Kołysanie okrętu wciąż przyprawiało go o lekkie mdłości, ale pod innymi względami czuł się już o wiele lepiej. Nawet odległy ból głowy przestał zwracać na siebie uwagę. Sed dyskretnie, choć z wyraźnym zainteresowaniem, obserwował jego poczynania. W końcu nie wytrzymał przedłużającego się milczenia i powiedział:

– Przypadkiem zauważyłem, co pan przy sobie nosi.

„Akurat! Ostrzegli go. W sumie szkoda. Gdyby nie to, już dawno bym się do niego dobrał. Jak myślisz: spierdoli na tych długich

rękach, gdy odstrzelę mu nogi?”.

– Widziałeś już kiedyś coś takiego?

– Tak, w czasie wojny. Teraz mało komu pozwalają nosić.

Dlaczego pan wciąż go ma?

– Wiesz, że nie muszę odpowiadać?

– Oczywiście, proszę wybaczyć, nie powinienem pytać.

Barkelby był zadowolony z kierunku, w jakim podążała ta rozmowa. Skończył czyścić ubranie, wyszedł z łazienki i też usiadł na podłodze, naprzeciwko Seda. Pilnował się, żeby nie zerkać między jego rozchylone uda.

– Spokojnie – powiedział. – Nie muszę, ale mogę. Chciałbym jednak, żebyś ty też odpowiedział na moje pytania.

– Zgadzam się.

Pod wpływem nagłego impulsu Barkelby zrezygnował z podchodów i zapytał wprost:

– Dokąd płyniemy?

– Na Nuntalak.

„Gratuluje subtelności...”.

W pierwszej chwili nic mu to nie mówiło.

– Gdzie?

– No wie pan, na tę ogromną wyspę pokrytą lodem – wyjaśnił spokojnie Sed, nie okazując zdziwienia niewiedzą Barkelby’ego.

Wtedy do niego dotarło.

– To bez sensu... – wykrztusił kompletnie zdezorientowany. – Przecież tam nic nie ma!

– Nieprawda. Jest kilka rybackich osad, jedno nieduże miasto i stara wojskowa baza, daleko na północy, do której od czasu do czasu dostarczamy żywność, paliwo i ciężkie skrzynie wypełnione jakimś żelastwem. Zwerbowani też nam się trafiają.

„On wie. I myśli, że jest sprytniejszy od ciebie”.

– Rozumiem...

„Na razie wystarczy. Nie pytaj już o to, bo wyjdiesz na idiotę. Zmień temat”.

Barkelby nie do końca zgadzał się z Zergottem, ale mimo to posłuchał jego rady i zapytał:

– Urodziłeś się jako amfibian czy zgłosiłeś się na ochotnika?

Twarz Seda skrzywiła się w dziwnym grymasie, który nie miał w sobie nic ludzkiego.

– Kiedyś byłem taki jak pan – wyznał. – Ale gdy ten germiański Belenus Trooh zaczął podbijać Enoropę i zagrażać naszej ojczyźnie, natychmiast zaciągnąłem się do służby i przechodowali mnie na amfibiana.

– Pamiętasz to? Pamiętasz, jak to jest być normalnym człowiekiem?

– Tak, ale nie tęsknię za tym.

Barkelby spodziewał się, że usłyszy coś w tym rodzaju. Wiedział nawet, czemu Sed woli być amfibianem, ale chciał to usłyszeć od niego.

– Dlaczego? – zapytał z przesadnym zdziwieniem.

– Podpuszcza mnie pan.

„Mówiłem. Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Tym bardziej mam ochotę zrobić mu krzywdę”.

– Trochę.

– Czyli pan wie?

– Słyszałem co nieco od innych formiców, ale interesuje mnie, co ty masz do powiedzenia na ten temat.

Sed westchnął.

– Moje ciało jest teraz większe i mocniejsze niż kiedyś. Woda stała się dla mnie gęstszym powietrzem i mogę się swobodnie poruszać zarówno po dnie oceanu, jak i po lądzie. Zmieniła się również moja percepcja rzeczywistości i zacząłem w niej dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie widziałem, choć zawsze tu

były. Wie pan, mówię o tym wszystkim, co stało się widzialne, gdy przebudzili się Belenusi, i co tacy jak ja mogą oglądać dzięki przemianie w całej okazałości. Ale tak naprawdę, jeśli mam być z panem szczerzy, to muszę wyznać, że wszystko, o czym wspomniałem, to tylko użyteczne dodatki, szczegóły, drobiazgi, które zaledwie uzupełniają najwspanialsze dary Cesarzowej Matki – jej miłość, jej troskę i jej wsparcie. Czuję je nieustannie od momentu, gdy wynurzyłem się z kadzi. Nieważne, gdzie jestem i co robię. Ona zawsze przy mnie jest. I zawsze będzie. Już nigdy nie będę sam.

Barkelby pokiwał w milczeniu głową. Wszyscy formicy, zarówno szeregowi formikrudzi, jak i telumi, czyli potężni ludzie-armaty, a także latający volatrisi i zmiennokształtni konstruktorzy maszyn zwani comisori, absolutnie wszyscy ludzie przechodowani przez Cesarzową Matkę najchętniej mówiliby tylko o tej beleniczej miłości, która stała się esencją i sensem ich życia. Barkelby nie czuł tego, co oni, ale miał pewne pojęcie o sile, z jaką Matka oddziałuje na świadomość, bo spotkało go wyróżnienie, o którym większość formiców może tylko pomarzyć.

– Widziałeś ją kiedyś? – zapytał. – Czy choć raz znalazłeś się blisko niej?

– Nie, nigdy...

Sed zawiesił głos, bo w twarzy Barkelby'ego wyczytał coś, czego pożądał od momentu, gdy stał się amfibianem.

– ...ale ty tak, prawda? – wykrztusił wzruszony.

– Zgadza się – potwierdził Barkelby. – Lata temu, jeszcze w czasie wojny, zostałem zaproszony na audiencję do Czarnego Pałacu. Pozwolono mi wejść między czarne kolumny i zbliżyć się do Matki ścieżką białych kamieni...

„Nie powinienes o tym mówić. Wiesz, czym to się może skończyć”.

– Słyszałem, że audycje odbywają się tylko w nocy.

– Dobrze słyszałeś. Mówią, że nikt nie może spojrzeć na Cesarzową Matkę, gdy pada na nią blask słońca i jedynie światło księżyca sprawia, że jej wygląd staje się znośny dla ludzi i nie sprowadza natychmiastowej śmierci. To musi być prawda, bo nawet w nocy jest to coś, jest to coś...

Barkelby zamilkł, bo nie potrafił znaleźć słów, którymi mógłby choć w przybliżeniu opisać to, co wtedy zobaczył.

– Jaka ona jest? – zapytał cicho Sed.

Barkelby spojrzał w jego duże teleskopowe oczy. Zobaczył w nich ludzką ciekawość i żar fanatycznej miłości, ale było tam coś jeszcze – zatrważająca otchłań, która odwzajemniła spojrzenie. Z trudem przełknął ślinę.

– Inna niż wszystko – wycharczał i poczuł, że gdzieś daleko stąd coś gigantycznego drgnęło w swym leżu.

„Ostrzegałem”.

Zielonkawe łuski Seda wyraźnie pobladyły. Też musiał to poczuć.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wspomnienie tamtej audycji tylko częściowo należy do mnie. W większości zostało u niej. Ilekroć do niego wracam, Matka oddaje mi je w taki sposób, że muszę to wszystko ponownie przeżyć, i nigdy nie jest to łatwe.

– Może lepiej, żeby pan tego nie robił?

„Może?! Nikt z nas tego nie chce. Powstrzymaj tę dziecinadę, zanim będzie za późno”.

Zergott miał rację. Barkelby zamierzał tylko dopiec temu irytującemu amfibianowi, który był znacznie lepiej poinformowany od niego, by dotarło do jego rybnej mózgowicy, że nie rozmawia z byle kim. Nie chciał jednak naprawdę wracać do tamtego wspomnienia, bo nie dość, że za każdym razem było to równie wstrząsające doświadczenie, to jeszcze istniało spore ryzyko, że

transfer pamięci uśpi Zergotta na dłuższy czas. To już się kiedyś zdarzało i Barkelby wiedział, że nie może dopuścić, by stało się ponownie.

– Masz rację – powiedział zimnym, zjadliwym tonem. – Obawiam się, że nie jesteś na to gotów.

Teleskopowe oczy Seda zaszklily się łzami. Zmieszany opuścił krzywą głowę i przestał się odzywać.

„Prosto w słabiznę! Brawo! To musiało zabołec. Dobrze go wyczuleś. Czegoś cię jednak nauczyłem. Teraz skup się na czymś innym, szybko, nie pozwól, żeby połączenie z Matką się ustabilizowało”.

Barkelby w ogóle go nie słuchał. Jeszcze przed chwilą z pełną premedytacją starał się dokuczyć amfibianowi, ale teraz, gdy mu się udało, czuł nieprzyjemny ciężar wyrzutów sumienia i zastanawiał się, jak się ich pozbyć. W końcu doszedł do wniosku, że najskuteczniejsza będzie szczerosc.

– Sed, musisz wiedziec, że Matka miała powód, by mnie wezwać – wyznał.

„Co ty wyprawiasz?!”.

Amfibian znowu spojrzal na niego z zainteresowaniem.

– Bo ja...

Nagle ktos krzyknal:

– Co on tu robi?! Miales pilnowac, zeby nie opuszczal kajuty!

Barkelby i amfibian jednoczesnie uniesli glowy. W polowie stromych schodow stal wysoki mezczyzna ubrany w ociekajacy woda sztormiak. Pod obszernym kapturem kryla sie owalna brodata twarz ocieniona daszkiem kapitańskiej czapki. Sed błyskawicznie zerwal sie z podlogi, stanal na baczność i zaczal sie tłumaczyc:

– Przepraszam, panie kapitanie, ale to nie moja wina, nic nie moglem poradzić, bo...

„Robi się coraz ciekawiej”.

Barkelby nie dał amfibianowi dokończyć. Ostentacyjnie został na podłodze i wszedł mu w słowo.

– Zaraz! Moment! Czy jestem więźniem?

Kapitan zmierzył Barkelby’ego nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Nie – odparł po chwili. – Raczej cennym bagażem, który dla własnego bezpieczeństwa powinien zostać w kajucie. Zwłaszcza w czasie sztormu.

– A widział pan moją kajutę, kapitanie?

– Właśnie z niej wracam. Chciałem sprawdzić, jak się pan czuje, ale pana nie było, więc zacząłem przeszukiwać okręt. Przy okazji kazałem jednemu z moich ludzi posprzątać u pana.

„Gdybym miał dupę, to kazałbym mu ją pocałować z języczkiem”.

– Cóż za troska, kapitanie. Bagaż jest wdzięczny – zakpił Barkelby. – Jak łatwo się domyśleć, musiałem skorzystać z łazienki i dlatego opuściłem kajutę. Sed cały czas mi towarzyszył i nie spuszczał mnie z oka.

– Czemu przyszliście aż tu, skoro tuż obok pańskiej kajuty też jest łazienka?

Był podejrzliwy i wyraźnie coś mu nie pasowało.

„Ten dupek jest męczący”.

Barkelby zmrużył oczy i zapytał:

– To jakiś problem albo poważne uchybienie w regulaminie? Czy też zwyczajnie się pan czepia?

Kapitan wściekle zacisnął usta, które zmieniły się w wąską bladą kreskę, ale gdy się odezwał, jego głos brzmiał zadziwiająco spokojnie.

– Ależ nie o to chodzi – powiedział spokojnie. – Ja naprawdę martwię się o pana bezpieczeństwo. Powiedziano mi, że to priorytetowa i niezwykle ważna misja, dlatego też zgodziłem się wyruszyć od razu, bez względu na pogodę, więc niech mi pan teraz

nie utrudnia zadania i nie szwenda się po moim okręcie. Za jakąś dobę powinniśmy dotrzeć na miejsce i wszyscy będą zadowoleni. Dostarczymy panu do kajuty, co tylko pan chce, tylko proszę w niej zostać. Sed, odprowadź pana, ja muszę wracać na mostek. Do zobaczenia, panie Zergott.

Nie czekając na ripostę Barkelby'ego, kapitan odwrócił się i udał schodami na górny pokład.

– Myślałem, że będzie gorzej – stwierdził Sed. – Dziękuję, że mnie pan nie zdradził. Gdyby ten sukinsyn dowiedział się, że zostawiłem pana samego, z pewnością dostałbym za swoje. Może pan liczyć na moją wdzięczność. Proszę za mną, pokażę drogę.

Ale Barkelby nie mógł się ruszyć.

– Słyszałeś, Sed? Słyszałeś jak mnie nazwał?

– Nie zwróciłem uwagi.

– Powiedział „panie Zergott”.

„Przesłyszałeś się. Nie mieszaj mu w głowie. Przyda nam się jego pomoc. Zwłaszcza teraz, gdy jest po naszej stronie”.

– Naprawdę?

– Tak. Chyba...

Barkelby sam nie był już tego pewien.

– Nieważne – uznał, choć brzmiało to trochę tak, jakby bardzo chciał w to uwierzyć. – Prowadź.

Wspięli się po schodach, na których jeszcze przed chwilą stał kapitan, a potem skręcili w lewo. Wąski korytarz doprowadził ich do dużej kabiny zastawionej kanciastymi blokami buczonej maszynerii, które przypominały agregaty prądotwórcze, lecz równie dobrze mogły być czymś zupełnie innym. Na końcu pomieszczenia znajdowały się drzwi. Za nimi ciągnął się kolejny wąski korytarz, dłuższy od wszystkich, które Barkelby widział tu do tej pory. Dwukrotnie skręcili nim w lewo i wreszcie dotarli do jego kajuty. Rzeczywiście była wysprzątana. Ale wciąż unosił się w niej

smród wymiocin. Na szczęście nie był już tak zjadliwy i po chwili przestawało się zwracać na niego uwagę. Amfibian pokazał Barkelby'emu, gdzie znajduje się najbliższa łazienka wyposażona w toaletę, i zostawił go samego. Obiecał jednak, że szybko wróci i przyniesie mu z kambuza dzbanek świeżo zaparzonej herbaty oraz kanapki, na wypadek gdyby zgłodniał.

Barkelby zdjął skórzaną kurtkę i położył się na koi. Pomyślał, że mimo dość niezwykłych okoliczności powinien się teraz zwyczajnie przespać. Nagle przypomniał sobie o Zergocie.

– Przycichłeś. To do ciebie niepodobne. Żadnego komentarza? Żadnych złościwości?

„Ledwo się trzymam... Zaraz odpadnę... Ten skurwiały kapitan wiedział, w którym momencie wkroczyć...”.

Barkelby zeszywniał.

– O czym ty mówisz?

„Odwrócił twoją uwagę, ale nie na tyle, żeby uniemożliwić transfer. Nie czujesz? Nadchodzi. Ja...”.

– Zergott? – wyszepał Barkelby ze zgrozą. – Zergott?

Wtedy się zaczęło.

Pierwszy raz przeżywał to na morzu, ale ogarniające go przerażenie niczym się nie różniło od strachu, którego doświadczał na lądzie. Początek zawsze był taki sam. Potężniejsza obecność żywego, gęstniejącego chłodu namacalnie gromadziła się w głębi ziemi, tuż pod miejscem, w którym się znajdował. Tym razem jest jednak inaczej. W niewytłumaczalny sposób, jakby uaktywnił mu się jakiś dziwaczny zmysł, który na co dzień pozostaje uśpiony, Barkelby zobaczył, jak coś kolosalnego podnosi się z morskiego dna i zbliża do okrętu. Zobaczył też, że wszyscy amfibianie pracujący na statku przestają robić to, co właśnie robili, i z niepokojem rozglądają się na boki. A potem. Jednocześnie. Spoglądają w dół. Mroczny, nieprzenikniony ogrom wnika w kadłub. Wraz z nim

pojawia się gorzkawy zapach loqudyńskiej mgły, która leniwie opływa masywne pnie wysokich sosen rosnących wokół Czarnego Pałacu. Słońce zaszło ponad dwie godziny temu, lecz nie jest całkiem ciemno, bo mgła snuje się tuż przy ziemi i nie przysłania srebrzyście połyskującego księżycy. Barkelby patrzy na niego i dygocze ze strachu. Jest przekonany, że ubieganie się o audiencję u Cesarzowej Matki było najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić, ale nie pomaga mu to pozbyć się paralizującego lęku, który zbudził się w nim, gdy dotarł do Loqudynu. Wmawia sobie, że drży z powodu wilgoci i chłodu, dzięki czemu na krótką chwilę udaje mu się zapomnieć, co to za miejsce i dlaczego się tu znalazł. Wykorzystuje to i powoli rusza ścieżką wijącą się między drzewami, jakby był na zwykłym nocnym spacerze. Na razie jest dobrze. Co jakiś czas kusi go, żeby obrócić się na pięcie i uciec z krzykiem, ale nie robi tego. Odwraca uwagę od strachu i idzie. Krok za krokiem. Krok za krokiem. Ścieżka jest wyłożona białymi kamieniami o nieregularnych kształtach, które fosforyzują w mroku. W zasięgu wzroku znajdują się tylko drzewa, mgła i księżyc. Nie słychać żadnych miejskich hałasów. Trudno uwierzyć, że to centrum Loqudynu i jeszcze sześć lat temu stały tu zawszone czynszówki, mrowili się ludzie, a rynsztokami płynęły cuchnące strumienie ścieków. Ale to prawda. Tak było. Do dnia, w którym jedyna prawdziwa Matka upomniała się o swoje dzieci i zaczęła zmieniać to miasto, jego mieszkańców oraz całą Brytyneję. Wciąż to robi. Z tego miejsca. Z Czarnego Pałacu.

Agent Moloka – korpulentny blondyn, który powiedział Barkelby’emu, że nazywa się Enkro, i przywiózł go samochodem na obrzeże szerokiego pasa zieleni otaczającego Pałac – nie próbował rozwiewać wątpliwości, którymi karmiły się jego lęki. Wręcz przeciwnie.

– Jak sam widzisz, nie ma tu straży ani murów z zasiekami –

stwierdził z chytrym uśmiechem. – A wiesz czemu? Bo to zbyt bezpieczne. Wchodzenie do Czarnego Pałacu bez zaproszenia to pewna śmierć. Gdybym poszedł razem z tobą, szybko zgubiłbym się między drzewami, a potem zniknął bez śladu. Dlatego, po pierwsze, musisz mieć zaproszenie. Pokaż mi jeszcze raz tę narośl, która wyrosła ci na ramieniu.

Barkelby zdjął kurtkę, rozpiął koszulę i odstąpił lewe ramię, na którym niecały miesiąc temu pojawił się romboidalny guz, przypominający mały kawałek brunatnego chalcedonu oszlifowany do gładkiego połysku. Enkro przyjrzał mu się uważnie w świetle sufitowej lampki samochodu, choć on i inni agenci robili to już mnóstwo razy. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

– No dobrze, ubierz się. Tylko się upewniam. Ostrożności nigdy za wiele. W końcu chodzi tu o twoje życie. Ale wygląda na to, że zaproszenie jest w porządku i spełniasz podstawowy warunek.

– Nie mam porównania, nigdy innego nie widziałem.

– A ja przeciwnie, widziałem ich sporo i zasadniczo jestem pewien.

– Zasadniczo?

– No wiesz, nigdy nie można mieć absolutnej pewności. Tacy z naroślą też czasem nie wracają. Ale możliwe, że w grę wchodzi tu dodatkowe czynniki. Być może Matka wzywa ich właśnie po to, żeby ich pożreć. Albo są idiotami i schodzą ze ścieżki. Nie da się wykluczyć tej możliwości, mimo że każdego, kto tu przybywa, ostrzegamy, że jest to coś, czego pod żadnym pozorem nie wolno robić. To bardzo, bardzo ważne i dlatego powtarzamy to do znudzenia: cokolwiek się stanie, cokolwiek zobaczysz, nie schodź ze ścieżki białych kamieni. Ani między drzewami, ani tym bardziej w samym Pałacu. Dotarło?!

– Tak – odparł Barkelby, wściekły na siebie, że nie potrafi zapanować nad drżeniem głosu.

– Nie przejmuj się, wszyscy się boją – powiedział Enkro, przyjacielsko klepiąc go po plecach. – Nie powiem ci, co cię tam czeka, bo każdy, kogo przepytywałem po audiencji, opowiadał mi coś innego. Ty też pewnie wrócisz z własną wizją spotkania. Jeśli w ogóle wrócisz. No idź już. Im dłużej będziesz zwlekał, tym trudniej będzie ci ruszyć w drogę. Zmykaj. Zobacz się z nią i wróć, a jeśli będziesz musiał umrzeć, zrób to szybko i bezboleśnie.

Enkro roześmiał się histerycznie i wypchnął Barkelby'ego z samochodu.

– Cały czas prosto! – krzyknął przez otwarte okno. – Nie zgubisz się. Chyba że zjedziesz ze ścieżki. Czekam tu na ciebie.

Barkelby odwrócił się do niego plecami i na miękkich nogach ruszył w stronę drzew. Bez trudu znalazł początek ścieżki. Przyciągnęła go bladym światłem słabiutko jarzącym się we mgle. Uległ mu i idzie. Waha się. Zwalnia. Przystaje. Znowu rusza przed siebie. Zastanawia się, czy mógłby żyć napiętnowany tym chalcedonowym stygmatem zaproszenia i nigdy z niego nie skorzystać. W tej chwili to bardzo pociągająca ewentualność, choć tak naprawdę tylko pozorna, teoretyczna, w oczywisty sposób zrodzona ze strachu, bo mimo wszystko pragnie tej audiencji. Prosił o nią. Modlił się o nią. Składał hojne ofiary i zabiegał o uwagę Cesarzowej Matki, ponieważ był pewien, że tylko ona może mu pomóc. Zrozumiał to w dniu, w którym Bozzokan został zaatakowany przez formiców Kilimanarusa, a on mógł tylko bezradnie patrzeć, jak kolczaste pełzacze rozrywają na strzępy jego brata i przyjaciół. To z ich powodu oszukuje lęk i podąża ścieżką białych kamieni na spotkanie z najpotężniejszym Belenusem na Ziemi.

Wtem drzewa stają się wyższe i znika księżyc. Choć jego blask wciąż tu jest, ale w postaci bladych srebrzystych smug, opadających w dół jak pochyłe filary widmowego światła. Barkelby zaczyna

rozumieć. Wygląda na to, że niepostrzeżenie wszedł pod obsydianową, perforowaną kopułę spoczywającą na niezliczonych czarnych kolumnach i tym samym wkroczył do Czarnego Pałacu. Sklepienie niknie w ciemności, wysoko w górze. A kolumny, choć srebrzysty blask tylko w niewielkim stopniu wydobywa je z mroku, przytłaczają swoim ogromem. Między nimi, tam gdzie ciemność jest najgłębsza, mrok marszczy się i szepcze. Barkelby usiłuje nie zwracać na to uwagi. Skupia się na ścieżce białych kamieni, która łagodnie skręca w lewo. Nie słucha bełkotliwych szeptów, chociaż wydaje się, że podążają tuż za nim, wypełniając przestrzeń niezrozumiałymi i niemożliwymi do powtórzenia słowami. Nagle wśród nich pojawia się jedno, które brzmi znajomo – *Thrakorne*. Barkelby jest absolutnie pewien, że nigdy wcześniej go nie słyszał, i nie ma pojęcia, co może znaczyć. Mimo to nie potrafi wyrzucić go z umysłu. *Thrakorne, Thrakorne*, powtarza w myślach, niczym refren prawie całkiem zapomnianej piosenki, którą nucił dawno temu, w innym życiu, gdy na grzbiecie sześcioramionego uberusa szukał pustynnej twierdzy Akkata ukrytej w labiryncie żywego piasku. Barkelby przebiega do przodu i coraz mocniej pochyla głowę, by nie dostrzegać kanciastych ruchów mroku, który łamie się i lśni metalicznie na krawędziach pola widzenia. Patrzy pod nogi, bo się boi, że zgubi ścieżkę meandrującą między kolumnami. Okrąża jedną z nich i nagle wchodzi w zimny srebrzystobiały blask. Unosi wzrok. Kilkadziesiąt jardów przed nim znajduje się coś niepojętego. Ogromny, segmentowany, meduzowaty kształt, zwiewny i niemal całkowicie przezroczysty, a jednocześnie ciężki, wyraźnie rozlewający się na boki pod wpływem swojej masy. Barkelby mimowolnie zbliża się do miejsca, w którym kończy się ścieżka białych kamieni. Dochodzi. Zatrzymuje się. Cisza napiera na niego ze wszystkich stron jak woda w najgłębszej otchłani oceanu. Ma mętlik w głowie. Jego myśli są poszarpane i niekompletne. Nie

potrafi sformułować nawet jednego prostego słowa. Rozjarzone segmentowane istnienie góruje nad nim niewzruszone. Barkelby bezskutecznie próbuje opanować drżenie i zaczyna szcząkać zębami. Wydaje mu się, że warstewka potu, która pokrywa jego skórę, lada moment zmieni się w lód. Ale zamiast tego robi mu się gorąco między nogami. Czuje ostry zapach moczu i ogarnia go fala głębokiego wstydu. Odruchowo zasłania dłońią krocze. Wtedy dociera do niego absurdalność tego gestu, bo przy prawdziwej Matce nie musi się przecież niczego bać ani wstydzić. Ona potrafi wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć. To przekonanie od razu go uspokaja. W miarę jak jego oddech zwalnia, dostrzega coraz więcej szczegółów, które wnikają weń z dziwnym mrowieniem i stają się jego częścią, jakby, patrząc na Cesarzową Matkę, na trwałe wypalał w sobie jej obraz. Widzi, że segmentowane cielsko spoczywa w przepastnym zagłębieniu w kształcie potężnej misy, i nabiera przekonania, że jest w nim zwinięte, poskładane, zredukowane do formy, na którą można bezpiecznie patrzeć. Widzi, że zimny srebrzystobiały blask, którym emanuje Matka, to odbite i wzmocnione światło księżyca. Leniwe strumyki lśniącego srebra, cyrkulujące wewnątrz meduzowatego cielska, przyciągają jego wzrok jak magnes, ale gdy przygląda im się uważniej, Matką wstrząsa silny skurcz, który niemal pozbawia Barkelby'ego przytomności. Przez moment ma wrażenie, że jego ciało się rozpada, przekształca, faluje jak podwodny anemon. Syczy z bólu, chwieje się, klęka i nagle wszystko mija, a on dochodzi do siebie i wstaje. Z wytrzeszczonymi oczami i śliną ciekącą z otwartych ust nie może przestać patrzeć na to, co się dzieje. Tam. W środku. W Matce. Jej wnętrze to chaotyczny gąszcz meduzowatych płaszczyzn splecionych w jedną skomplikowaną strukturę. Ale skurcz coś zmienił, poruszył, zapoczątkował powolną przemianę. Płaszczyzny zaczynają się przemieszczać, odwijają, porządkować.

Po chwili wrażenie chaosu znika i Barkelby widzi, że wewnątrz Matki wypełniają teraz liczne, niemal całkowicie przezroczyste sfery. Ona sama też przypomina spłaszczoną sferę. Wewnątrz niej jest kolejna, nieco mniejsza, a w tamtej jeszcze mniejsza i jeszcze mniejsza, i jeszcze, i jeszcze... Opadają warstwami i wydają się niezliczone, ale Barkelby jest pewien, że gdzieś tam musi być również ta najmniejsza, zamknięta w najgłębszym zakamarku cielska. Kiedy o niej myśli, dociera do niego, że przyszedł tu właśnie po to, żeby ją zobaczyć. Wszystko inne było tylko pretekstem. Aby to zrobić, musiałby jednak zejść ze ścieżki białych kamieni, podejść do krawędzi leża i spojrzeć w dół. Waha się, pamięta ostrzeżenie Enkro i wie, że nie powinien ryzykować, ale wydaje mu się, że Cesarzowa Matka chce, żeby to zrobił, i czeka na niego. Barkelby nie potrafi się zdecydować, zмага się ze sprzecznymi uczuciami, gdy nagle coś niematerialnego popycha go w stronę Matki. Wyczuwa w tym jej działanie. To pomaga mu podjąć decyzję. Nie może przecież dopuścić do tego, żeby straciła cierpliwość. Schodzi ze ścieżki i staje tuż przy niej. Skóra Matki lśni jak welin pokryty szronem i zionie lodowatym chłodem. Barkelby nie zwraca na to uwagi, bo patrzy w dół, tam gdzie meduzowate sfery stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu ostatnia z nich otacza coś, co wygląda jak małe metaliczne jajo, grafitowe i pobrużdżone. Po jego powierzchni bardzo wolno pełźnie złoty blask. Barkelby jest urzeczony. Jeszcze nigdy nie widział czegoś tak pięknego. Wpatruje się zafascynowany i chciałby to robić do końca życia, ale złote lśnienie wsiąka w jajo i gaśnie. Potworny ból odrzuca go do tyłu. Czoło pali żywym ogniem, jakby ktoś wbił mu między brwi gruby metalowy pręt rozpalony do białości. Wyje, piszczy, gryzie język do krwi. Odczołguje się w stronę ścieżki białych kamieni. Kiedy do niej dociera, ból staje się nieco mniejszy. Nie zatrzymuje się. Byle dalej, byle dalej. Po kilkunastu jardach może już wstać. Zataczając się,

opuszcza Czarny Pałac. Jest na wpół przytomny, ale jakoś udaje mu się wrócić do samochodu, w którym czeka Enkro. Brudny, obolały, spocony i obszczany kuli się w fotelu. Dygocze jak młody fortak, który, choć sam w to jeszcze nie wierzy, zdołał uciec przed nagonką i przeżyć polowanie. Agent Moloka otwiera schowek, wyjmuje małą buteleczkę whisky, odkręca i podaje Barkelby'emu. Mężczyzna nie reaguje, więc Enkro przykłada mu ją do ust i przechyla. Barkelby krztusi się, prycha, a potem łapczywie pije ognisty, palący płyn.

– Już dobrze – mówi Enkro. – Po wszystkim. Chyba całkiem nieźle ci poszło.

Barkelby patrzy na niego jak na szaleńca mówiącego we własnym, wymyślonym języku.

– No co?! – prycha rozbawiony agent. – Wróciłeś! Wcześniej nie chciałem cię straszyć, ale teraz mogę ci powiedzieć, że niewielu ma tyle szczęścia.

Barkelby udaje, że tego nie słyszy. Zamyka oczy. Jest śmiertelnie zmęczony i chce mu się spać. Po chwili Enkro uruchamia silnik i jego rytmiczny stukot wreszcie sprowadza upragniony sen.

Barkelby ocknął się i zobaczył nad sobą pochylonego Seda. Odetchnął z ulgą. Wrócił na okręt płynący na Nuntalak.

– Proszę pana, proszę pana, skończyło się? – zapytał amfibian. W jego głosie czaił się niepokój.

– Tak... – wycharczał z trudem Barkelby.

– Całe szczęście. Strasznie długo to trwało. Zapadł pan w letarg, a razem z panem prawie wszyscy amfibianie na statku. Kapitan wkurwił się nie na żarty i chciał pana wyrzucić za burtę. Ale dzięki błogosławieństwu Cesarzowej Matki ja pozostałem przytomny i mogłem pana bronić. Powiedziałem im, że nie powinni pana ruszać, bo to obudzi pańską broń i wtedy żarty się skończą. Nie wiedziałem, czy faktycznie mogłoby się tak stać, lecz znam ich trochę i podejrzewałem, że ani kapitan, ani jego dwaj zastępcy nie

odważą się zaryzykować. Nie pomyliłem się. Oni poszli, ja zostałem z panem.

– Jak długo mnie nie było?

– Około piętnastu godzin. Mamy opóźnienie, ale teraz, gdy cała załoga jest sprawna, powinniśmy trochę nadrobić. Pójdę i zobaczę, jak to wygląda. Myślę jednak, że najlepiej będzie, jeśli pan tu zostanie. Nie powinien się im pan pokazywać.

Barkelby był tego samego zdania.

* * *

Kiedy Hemel i Tenan zrozumieli, że to, co widzą na dnie chalcedonowego leja, jest jak najbardziej prawdziwe, ogarnęły ich złe przeczucia. Mimo to cały czas posłusznie szli za Rakamem. Ale gdy już dotarli na sam dół, wątpliwości i strach zaczęły wyraźnie spowolniać ich marsz. Wpatrywali się we wznoszący się przed nimi obiekt i czuli, że w żadnym razie nie powinni się do niego zbliżać. Wyglądał jak wielki obsydianowy sześcian, tak czarny, że można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie odbija światła, jakby był kostką stworzoną z jakiejś nieznannej formy materii albo czegoś, co tylko materię udaje. Hemel i Tenan jeszcze nigdy nie widzieli czegoś tak przerażającego. W końcu zatrzymali się sparaliżowani lękiem. Rakam obejrzał się i warknął:

– Nie zarządziłem postoju!

Hemel przełknął ślinę.

– Czemu nas tu przyprowadziłeś? Panaplian powiedział, że mamy zrobić szybki rekonesans i natychmiast wracać.

– Dobrze wiem, co musiał wam powiedzieć. Gdybyście usłyszeli prawdę, nie przyszlibyście tu z własnej woli.

– Dalej nie idziemy! – stwierdził hardo Hemel, zaciskając pięści. Rakam wyglądał na rozbawionego.

– Myślałem, że zrozumieliście już nieuchronność swej powinności.

– Nie jestem pewien, czy chcemy jeszcze cokolwiek rozumieć. Przypominam, że miałeś nam to wszystko wyjaśnić, ale oczywiście nie zrobiłeś tego. Ostatnio często nam się to zdarza. Zbyt często. Dlatego nigdzie nie idziemy. Zostawcie nas w spokoju. Dajcie nam odejść. Opuścimy miasto i już nigdy nie będziemy wchodzić wam w drogę.

Rakam cmoknął z dezaprobatą.

– Oj, wystarczyło przypomnieć. Skoro jednak w ten sposób stawiacie sprawę, to muszę być z wami szczery. Albo będziecie gorliwie wykonywać moje rozkazy, wszystkie, nawet te najdziwniejsze, co może się skończyć waszą śmiercią, ale wcale nie musi, albo kategorycznie odmówicie współpracy, przestaniecie być potrzebni i wtedy ja z całą pewnością was zabiję. Chyba że to wy zabijecie mnie. Zyskalibyście trochę czasu na ucieczkę i może nawet zdołalibyście się wyrwać z Linvenogre. Kto wie? Na razie, niestety, wciąż żyję. No już, dawaj Hemel, przecież widzę, że chcesz spróbować.

Rakam pochylił się, uniósł potężne ramiona i znieruchomiał gotowy do walki. Hemel poczuł, jak napięcie, które gromadziło się w nim od dawna, zmienia się we wściekłość.

– Lepiej się odsuń – warknął do Tenana i perus oddalił się w pośpiechu.

Potężniejący gniew wyparł rozsądek Hemela. Zamin myślał już tylko o tym, że zaraz zmiażdży zarozumiałego przywódcę gwardzistów, połamie mu kości, wypatroszy, posmakuje jego krwi, urwie mu głowę i zrobi sobie z jego czaszki hełm. Jakby zupełnie zapomniał, że gwardzistami mogą rządzić wyłącznie najlepsi wojownicy, którzy potrafią udowodnić swoją wyższość w walce na śmierć i życie, a Rakam był przywódcą od wielu lat i miał na swoich

łapach krew niezliczonych pretendentów do jego stanowiska.

Hemel ryknął i skoczył. W swojej naiwnej wściekłości był przekonany, że uda mu się powalić Rakama, unieruchomić, oślepić pazurami, ale nie zdołał go nawet dotknąć. Przywódca gwardzistów z niesamowitą szybkością wślizgnął się pod niego, gdy jeszcze był w powietrzu, złapał go za nogę i szarpnął. Ciało Hemela zatoczyło łuk i z impetem uderzyło w chalcedonowe dno leja. W głowie zamina eksplodowały ciemne iskry, które przysłoniły świat. Kiedy opadły, rzeczywistość powoli zaczęła do niego wracać.

– Byłem ciekaw, czy się odwazysz – stwierdził spokojnie Rakam.

– Nie jesteś przecież wojownikiem i znasz moją reputację. To była imponująca głupota, ale szanuję to. Teraz nikt nie może powiedzieć, że jesteś tchórzem. Jeśli jednak zrobisz to ponownie, nie będę już taki wyrozumiały i uduszę cię twoimi własnymi flakami. Zrozumiano?

– Taaak... – wycharczał Hemel, wstając i krzywiąc się z bólu. Żebra paliły go żywym ogniem, a prawe oko było tak spuchnięte, że niewiele na nie widział.

– Cieszę się, że mamy to już za sobą. Chodźcie. Kamień czeka – powiedział Rakam i ruszył w stronę czarnego sześcianu.

Hemel pokuśtykał za nim. Po chwili dołączył do niego Tenan. Czuli się jak więźniowie prowadzeni na egzekucję. Milczeli. Przygnębienie odbierało im chęć do rozmowy. Za to Rakam był w doskonałym humorze i stał się nadzwyczaj wylewny. Nie przestawał mówić.

– Nie macie pojęcia, ile się trzeba namęczyć, ile pracy trzeba włożyć, żeby ukryć istnienie takich rzeczy jak ten lej i Kamień. To miasto nie mogłoby sprawnie funkcjonować bez gwardzistów, którzy dbają o to, żeby jego mieszkańcy żyli normalnym, uporządkowanym życiem. Na szczęście umacniany od wielu lat autorytet Rady jest bezdyskusyjny i pomaga ucinać dywagacje

Mistrzów, którzy chcieliby swobodnego dostępu do wszystkich aberracji Linvenogre. A tam, gdzie nie pomaga autorytet, wkraczam ja. Sami wiecie. Nie muszę wam przypominać. W normalnych okolicznościach już dawno bym się was pozbył. Zbyt odstawiacie od normy. Wasza egzystencja prowokuje innych do zadawania niewygodnych pytań i niszczy porządek – no dobrze, iluzję porządku, ale to w sumie to samo, bo mieszkańcy w nią wierzą. Nie chcą znać faktów, które mogłyby im odebrać przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Jednak sytuacja się zmieniła. Mamy poważny problem. Zapewne nic o tym nie wiecie, ale Łowca Ludzi dotarł już do granic Linvenogre. Zatrzymał się na Polu Mżawki. Niedaleko jamy Avorro. Stoi tam i czeka. Nie mam pojęcia na co. Towarzyszy mu trzech Małych Ludzi. W każdym razie tylu widziałem. Podejrzewamy, że przyciągnęła go obecność Drussa. Ale człowieka już nie ma, a Łowca wciąż czeka. Poszedłem tam, na Tabotta, naprawdę tam poszedłem, bo Rada postanowiła za moim pośrednictwem przekazać mu swoją wolę. Na pewno domyślacie się, o co chodzi. Chcą, żeby sobie poszedł. Grzecznie proszą. Tak, właśnie tak, kazali mi grzecznie poprosić. Byłem wściekły. Ja nie proszę. Nigdy! Ja stanowczo i zdecydowanie robię to, co trzeba! Ale gdy się tam znalazłem, gdy go zobaczyłem, to pierwszy raz od bardzo dawna poczułem strach i zacząłem wierzyć, że te wszystkie dziwaczne opowieści o Łowcy Ludzi, które do tej pory wydawały mi się głupimi wymysłami, mogą być prawdziwe. Moje rozkazy były proste. Gdyby odmówił i nie miał zamiaru odejść... Dobrze sobie, odejść... Czy można tak powiedzieć o kimś, kto nie ma nóg? – Rakam zaśmiał się cicho z żartu, który rozumiał tylko on. – Nieważne. Chodziło o to, że jeśli się sprzeciwi, to miałem, uwaga, teraz będzie najlepsze, otóż miałem go postraszyć, mówiąc, że Rada użyje wobec niego siły. A więc stanąłem przed nim i zacząłem tłumaczyć, że Radzie Linvenogre, reprezentującej wszystkich

mieszkańców miasta, nie podoba się jego obecność, i prosi, aby... Tyle zdążyłem powiedzieć, bo nagle usłyszałem potworny, przerażający dźwięk, który z ogłuszającą mocą dosłownie wgniótł mnie w mokrą trawę. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to jego głos, że Łowca coś do mnie powiedział. Gdy znowu się odezwał, rozpoznałem swoje imię. „Rakam?”, zapytał. Zabulgotałem coś w odpowiedzi, nie potrafiłem zebrać myśli. „Odejdź. Nikt z was nie ma tu wstępu”, powiedział, a każde jego słowo coraz mocniej wbijało mnie w ziemię. Na wpół przytomny odczołgałem się w stronę miasta, a gdy wreszcie udało mi się zebrać siły i wstać, od razu pokuśtykałem do Rady. Panapljan nie kłamał. Nie mamy z nim żadnych szans. Chyba że znajdziemy coś, co bardzo dawno temu ukrył tu sam Tabott, coś, co da się wykorzystać jako broń, która zdoła odstraszyć, a może nawet unicestwić tak potężną istotę jak Łowca. To właśnie wasza rola. Pomagacie nam odnaleźć to coś, co ma szansę ocalić Linvenogre. Jeśli nam się nie uda, to wszyscy zginiemy, bo każde miasto, do którego przybywa Łowca, prędzej czy później znika z powierzchni Usimy. A jeśli nie zawiedziemy, to Rada przywróci wam wszelkie przywileje i będziecie tu mogli spokojnie dożyć kresu swoich dni.

Hemel wymownie spojrzął na Tenana. Nie musieli nic mówić. Obaj dobrze wiedzieli, że Rakam nigdy nie powiedziałby im prawdy i tylko umiejętnie wzmacnia ich poczucie zagubienia, by wykonywanie niezrozumiałych, absurdalnych zadań, w które zostali wmanewrowani, stało się dla nich jedyną możliwą formą celowego działania, jaka im została.

– Co mamy robić? – zapytał Tenan.

– To proste. Podobnie jak wszyscy zamini i perusi, którzy tu przychodzą, musicie wejść pod Kamień.

– Czyli?

– Pozwolić, żeby was przygnoił. Co jakiś czas Kamień się

przewraca, a ci, których tu przyciągnął, potrafią wyczuć, w którą stronę poleci tym razem, i ustawiają się pod właściwym bokiem. Kiedy kolejny przewrót uwalnia przygniecionych, oni wciąż żyją, ale w inny sposób. Materia tworząca ich ciała ulega radykalnej i nieodwracalnej przemianie. Nie jest już taka gęsta jak wcześniej i przypomina jakiś rodzaj gazu. Przygnieceni nie muszą jeść. Nie muszą pić. Nie muszą spać. Zajmują ich niezrozumiałe dla nas sprawy i jeszcze wielokrotnie wchodzą pod Kamień. Po pewnym czasie niektórym udaje się odejść z leja i błąkają się po mieście, a inni rozwiewają się w powietrzu lub całkowicie znikają pod Kamieniem. Tak czy inaczej, nie mają już z nami nic wspólnego. Może zachowali ogólne podobieństwo formy, ale zostali pozbawieni fizycznej esencji łączącej ich z tym światem. Dlatego nazywamy ich...

– Opróżnieni – dokończył Hemel. – To żalosne. Nie jesteśmy aż tak głupi. Nie wmówisz nam, że pomożemy ocalić miasto, zmieniając się w te gazowe trupy. To gorsze niż śmierć. Lepiej nas zabij.

Rakam zatrzymał się i odwrócił. Hemel napiął mięśnie, przekonany, że przywódca gwardzistów rzuci mu się do gardła, a Tenan schował się z piskiem za jego plecami. Tyle że Rakam wcale nie był zdenerwowany.

– W takiej formie faktycznie nie byłoby z was pożytku – stwierdził. – Na szczęście nic takiego wam nie grozi, jeśli będziecie mieli przy sobie to, co znaleźliście w jamie Ebreny. W każdym razie tak twierdzi Panaplian, a ja nie mam powodów, żeby mu nie wierzyć.

– Ale tuleja została u Menura – powiedział Tenan z nadzieją w głosie.

– Niezupełnie – odparł Rakam.

Otworzył szeroko paszczę, obrócił mięsistym jęzorem i wypluł

krótką tuleję fosforyzującą złotym blaskiem. Z metalicznym brzęknięciem spadła na chalcedon u stóp Hemela. Najwyraźniej przywódca gwardzistów cały czas miał ją przy sobie.

– Może to przesadne środki ostrożności, ale nie chciałem, żebyście zaczęli coś podejrzewać i zniknęli z tuleją przed naszym spotkaniem w tunelu.

Hemel schylił się i podniósł ją. Była mokra i śliska, kapiała z niej gęsta ślina.

– A co się stanie, jeśli damy się przygnieść razem z tym? – zapytał.

– Panaplian mówi, że wtedy Kamień przepchnie was do bąbla mikrorzeczywistości zacumowanego na styku Linvenogre i Przestrzeni Konstruktu. To właśnie tam Tabott ukrył to, co musicie odszukać.

– Co to jest? Jak wygląda?

– Nie wiem, ale Panaplian uważa, że z całą pewnością będzie podobne do tulei, bo jest jej częścią. Ta wskazówka musi wam wystarczyć. Chętnie... Zaczyna się. Chodźcie! Szybko!

– Co się dzieje? – zapytał Hemel, ale sam szybko zorientował się, o co chodzi, bo zobaczył, że ze wszystkich stron zbliżają się opróżnieni i każdy z nich kieruje się w stronę Kamienia.

Rakam doprowadził ich na miejsce, wyjaśnił, że muszą się wspólnie trzymać tulei, a potem wycofał się na bezpieczną odległość. Cały czas pozostawał jednak w zasięgu wzroku, żeby wiedzieli, że obserwuje każdy ich ruch. Hemel i Tenan stali w tłumie widmowych perusów i zaminów, którzy falowali w podmuchach słabego wiatru. Tuż obok znajdował się złowieszczy Kamień. Ogromny sześcienny blok nieprzeniknionej ciemności nie rzucał cienia i nie dało się skupić na nim wzroku, więc starali się nie patrzeć w jego stronę i udawać, że w ogóle go tu nie ma. Hemel uniósł tuleję, żeby Tenan mógł uchwycić jej drugi koniec swoją

ektoplazmatyczną wypustką, i powiedział:

– Załatwili nas. No i dobrze. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam już siły dalej tego ciągnąć. Niech to się wreszcie skończy. Trzeba przyznać, że mimo wszystko tworzyliśmy udany zespół.

– Niestety, chyba nie masz racji.

– Prawda. Po co się oszukiwać? Zawsze byliśmy nieudacznikami.

– Nie to miałem na myśli.

– A co?

– Boję się, że to jeszcze nie koniec...

Chwilę później poczuli, że dno chalcedonowego leja zaczyna drżeć. Gdy wibracje osiągnęły apogeum, z hukiem spadła na nich twarda ciemność.

ALHIANZEN
SITAMUR
SIRG

Kancelaria prawnicza „Kurt Rozen & Wspólnicy” znajdowała się w centrum Wiednia, zajmowała całą kamienicę i słynęła z niezwykle drogich usług. Jej klientami byli politycy, gwiazdy show-biznesu i bogaci przedsiębiorcy, ale Herman Shöll nie był żadnym z nich. Od ponad dwudziestu lat pracował jako motorniczy w wiedeńskich tramwajach i nie znał się na zarabianiu dużych pieniędzy. Wciąż jednak pamiętał swoje dzieciństwo i młodość, które przeżył w prawdziwym luksusie, i domyślał się, dlaczego go tu wezwano.

Recepcjonista skierował Hermana na trzecie piętro, a tam przejęła go sekretarka i zaprowadziła do obszernego gabinetu samego Kurta Rozena – człowieka będącego częścią przeszłości, o której Herman pragnął zapomnieć. Na twarzy prawnika malował się profesjonalny, wystudiowany uśmiech.

– Witaj, Hermanie. Trudno mi się było pogodzić z myślą, że już nigdy cię nie zobaczę, więc tym bardziej cieszy mnie, że los zdecydował inaczej. Usiądź.

– Dziękuję, postoję. Panie Rozen...

– Spokojnie, nie musisz się tłumaczyć. Przecież nie jestem twoim ojcem. Chociaż, szczerze mówiąc, mogłeś przyjść na jego pogrzeb.

– Nic mnie nie łączyło z tym człowiekiem.

– Poza tym, że cię spłodził i wychował.

– To nie wystarczy, żeby być dobrym ojcem.

– Nie zasłużył sobie nawet na odrobinę szacunku? Choćby pośmiertnie?

– Wszyscy wiedzą, na czym zbudował swój majątek. Gdy podrosłem i zrozumiałem, co z tego wynika, poszedłem do niego i chciałem o tym porozmawiać. Wie pan, co mi wtedy powiedział?

Jak pan myśli, panie Rozen?

– Nie mam pojęcia.

– Za szybko się pan poddaje. Z tego, co pamiętam, łączyła was przyjaźń.

– Nie jestem pewien, czy wystarczająco bliska.

– Nieważne. Ojciec powiedział mi, że normy moralne i etyczne nie mogą być wymówką dla ludzi czynu, bo w życiu trzeba umieć walczyć o swoje i albo to potrafimy, albo skazujemy się na łaskę innych. Zgadza się pan z tym?

– Raczej nie. To trochę zbyt radykalne.

– Czyżby? Rozumiem, że pańska kancelaria nigdy nie broniła interesów ludzi, którzy zarobili na drugiej wojnie światowej?

– Przyznaję, że prowadziliśmy kilka takich spraw, lecz są one znacznie bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Wiem, jak to oceniasz, ale przemawia przez ciebie wydumany idealizm. Ludzie nie są dobrzy, współczujący i mili. Jeśli jednak wierzysz, że tak jest, i opierasz na tym całe swoje życie, to obawiam się, że prędzej czy później gorzko się rozczarujesz.

– Przeraza mnie pańska wizja świata i dlatego nie chcę mieć nic wspólnego z takimi ludźmi jak pan i mój ojciec.

– W porządku. Masz do tego prawo. Szanuję to i może trochę podziwiam, bo nie wiem, czy potrafiłbym tak łatwo zrezygnować z rodzinnego dziedzictwa.

– Chodzi panu o pieniądze? Bo nie bardzo rozumiem...

– Przede wszystkim, Hermanie, przede wszystkim. Ale zostawmy te dywagacje. Wezwałem cię z konkretnego powodu.

– Domyślam się. Niczego od niego nie chcę.

– Wiem, ale powinieneś podjąć świadomą decyzję, więc pozwól mi wyjaśnić.

Herman westchnął i usiadł w głębokim fotelu.

– No dobrze. Nie będę się kłócił z prawnikiem. Miejmy to za

sobą.

– Zapewne uznasz, że to do niego niepodobne, lecz ojciec faktycznie dotrzymał danego ci słowa i rozdzielił majątek między twoją macochę i dwójkę ich dzieci. Do tego doszły jeszcze darowizny na rzecz kilku różnych fundacji zajmujących się walką z rakiem, więc dla ciebie nic nie zostało. Tak jak chciałeś. Ale jest jeszcze coś. Nie wiem, czy wiesz, że twój ojciec zbierał unikaty – jedyne w swoim rodzaju znaleziska archeologiczne, zagadkowe artefakty, dziwne urządzenia.

– Naprawdę?

– To była jego pasja. Miał sporą kolekcję takich przedmiotów. Kiedy jednak dowiedział się, że zostało mu tylko kilka miesięcy życia, zaczął je wyprzedawać. Rodzina chciała go powstrzymać, lecz on nikogo nie słuchał, jakby się bał, że po jego śmierci wszystkie unikaty wpadną w niepowołane ręce. Gdy się ich pozbył, konto twojego ojca wzbogaciło się o niebagatelną sumę, ale dokładna analiza rachunków ujawniła, że w wykazach brakuje jednego z najcenniejszych artefaktów. Nie został sprzedany i nie było go w sejfach, w których ojciec trzymał swoją kolekcję. Nie było go również w jego osobistych rzeczach. Po prostu zniknął.

– Jaki to ma związek ze mną?

– No cóż, po otwarciu testamentu nieoczekiwanie okazało się, że wśród spadkobierców widnieje także twoje nazwisko. Ojciec zapisał ci coś, co na kilka tygodni przed jego śmiercią zostało zdeponowane w skrytce Vienna Bank. Nikt nie wie, co to jest, ale twoja rodzina podejrzewa, że może to być właśnie ten zaginiony eksponat z kolekcji. I chcą go odzyskać.

– Nie widzę problemu. Sporządzi pan pełnomocnictwo, ja je podpiszę i wszyscy będą zadowoleni.

– To nie jest takie proste. Twój ojciec zostawił szczegółowe instrukcje. Zgodnie z jego wytycznymi tylko ty masz dostęp do

zawartości skrytki.

– Nawet po śmierci musi mnie mieszać do swoich spraw?

– Nie dramatyzuj. Sprawę można łatwo rozwiązać. To prawda, że zostałeś obciążony niewygodnym zobowiązaniem, ale za moim pośrednictwem rodzina chce ci złożyć uczciwą propozycję.

– Powiniennem się bać?

– Wręcz przeciwnie.

– Co musiałbym zrobić?

– Wypełnić wolę ojca i odsprzedać zawartość skrytki.

– Nie mogą jej sobie wziąć za darmo?

– Hermanie, są pewne granice przyzwoitości, których nie powinno się przekraczać. Bogaci lubią płacić i jeśli okradniesz ich z tego przywileju, to mogą się poczuć oszukani. Dlatego nie pozwolę, żeby twój przypadek stał się kłopotliwym precedensem.

– Natychmiastowe opuszczenie pańskiego gabinetu również nie wchodzi w grę?

– Nie dadzą ci spokoju. Możesz się z nimi targować, ale nie możesz się wycofać. Jeśli naprawdę nie chcesz ich pieniędzy i pragniesz zachować czyste sumienie, to po zakończeniu transakcji przekażesz je na jakiś szczytny cel. W ten sposób obie strony będą usatysfakcjonowane.

– Przypuśćmy, że się zgadzam. O jakiej sumie mówimy?

– Pięć milionów euro. Na początek.

– Jasna cholera... Przepraszam. Co to znaczy „na początek”?

– Możliwe, że w skrytce jest coś innego. Pieniądze albo jakiś prezent, który ma wartość tylko dla ciebie. Jeśli tak będzie, to dostaniesz pięć milionów za fatygę. Ale jeśli twoja rodzina się nie myli, to po wszystkim dostaniesz kolejne pięć milionów.

– Dlaczego tak bardzo im zależy?

– Nie mam pojęcia. Widziałem kolekcję twojego ojca w czasach jej największej świetności i trudno mi zrozumieć, czym się tak

ekscytował. Nie moja sprawa. Nie dociekam. Zgadzasz się?

– Skoro nie ma innego wyjścia...

– Doskonale. Samochód czeka na dole. Chodźmy.

– Jak to? Teraz?

– A kiedy? Chcesz się z tym przespać?

– Ma pan rację. Załatwmy to od razu.

* * *

W skrytce Vienna Bank znajdowała się nieduża drewniana skrzynka. Herman nie miał ochoty do niej zaglądać. Otworzył ją dopiero za namową Rozena, na tylnej kanapie limuzyny, która wiozła ich do jednej z wielu posiadłości należących do rodziny Hermana. W środku krył się masywny czarny sześcian wielkości pięści. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy jest zrobiony ze szkła, czy wycięty w kryształ. Chociaż czarna kostka została umieszczona w aksamitnym zagłębieniu, niczym cenny klejnot, nie było w niej nic nadzwyczajnego. Poza tym, że dla niektórych była warta dziesięć milionów euro.

Rozen rzucił na nią okiem i pokiwał głową.

– Wygląda na to, że szczęście ci sprzyja, mój chłopcze. Zgarniesz dzisiaj niezłą sumkę.

Limuzyna zatrzymała się na podjeździe, przed głównym wejściem do rozległego pałacu. Podeszły do niej trzy osoby: Agnes, macocha Hermana, tylko dziewięć lat starsza od niego, oraz jego przyrodnie rodzeństwo – dwudziestopięcioletni Otto i trzydziestojednoletnia Helen.

Gdy tylko Herman opuścił samochód, Agnes rzuciła mu się na szyję i uścisnęła go serdecznie. Mimo że był do niej wrogo nastawiony, nie wyczuł w tym geście nawet odrobiny wyrachowania. Jego chłodna rezerwa osłabła już w pierwszych

sekundach spotkania. Razem weszli do letniego pałacu, który pamiętał z młodości.

– Cieszę się, że w końcu mogę cię tu gościć – powiedziała Agnes.
– Chciałbyś się trochę rozejrzeć? Z tym miejscem na pewno wiąże się wiele wspomnień.

Herman nerwowo przełknął ślinę. Nie spodziewał się, że widok pokoi, korytarzy, schodów, rzeźb i obrazów, które przez wiele lat starał się wyprzeć z pamięci, tak mocno go poruszy.

– Raczej nie...

– Jak sobie życzysz. Chodźmy. Na piętrze jest pomieszczenie, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– Biblioteka?

– Widzę, że świetnie pamiętasz rozkład budynku.

– Lepiej, niżbym sobie życzył.

Wspięli się po szerokich schodach. Otto, Helen i Rosen podążali za nimi jak milczące cienie. Dotarli do pałacowej biblioteki i usiedli przy długim mahoniowym stole. W dzieciństwie Herman uwielbiał się tu bawić, bo w żadnym innym pomieszczeniu nie było aż tylu niesamowitych zakamarków, w których można się było schować. Potem, jako nastolatek, godzinami przekopywał się przez chaotyczny, nieskatalogowany księgozbiór i zawsze miał pewność, że prędzej czy później trafi na jakiś niezwykle wolumin. Oczywiście pod warunkiem, że będzie wystarczająco wytrwały.

– Dobrze się czujesz Hermanie? – zapytała Agnes.

– Tak. Wszystko w porządku.

– Co nam przyniosłeś?

Herman otworzył drewnianą skrzynkę i wyjął sześcian.

– Mogę się przyjrzeć?

– Jasne.

Otto wstał, zabrał kostkę i ostrożnie postawił przed matką. Agnes musnęła ją palcami i spojrzała na Hermana.

– Wiesz, co to jest?

– Nie, ale nie wygląda zbyt okazale.

– Zawsze mi się wydawało, że nie należysz do tych, którzy uważają, że ignorancja jest błogosławieństwem. Twoje życie i decyzje jawnie przeczą takiej postawie. Powiedz szczerze: nie jesteś ciekaw, dlaczego chcemy za to zapłacić dziesięć milionów euro?

– Jestem, ale chyba wolałbym nie wiedzieć.

– To już mogę zrozumieć, lecz musisz mi wybaczyć, bo nie zamierzam uszanować twojej woli.

Popatrzyła w stronę prawnika.

– Panie Rozen, może pan poczekać w salonie na dole?

– Naturalnie. Proszę tylko, żeby podczas mojej nieobecności nie dochodziło do żadnych ustaleń.

– Ma pan moje słowo. Dokumenty podpiszemy pod pańską pieczęcią.

– W takim razie do zobaczenia.

Kurt Rozen wyszedł z biblioteki i zamknął za sobą drzwi.

Agnes podniosła szklisty sześcian, zważyła go w dłoni.

– Niewielu ludzi wie o ich istnieniu, bo wszystkie są w rękach prywatnych właścicieli, którzy nie lubią się nimi chwalić. Dlatego też trudno oszacować, ile ich jest. Wiemy o dwóch. Ten jest trzeci. Wiele lat temu ktoś wymyślił dla nich celną nazwę. Nikt już nie pamięta, kto to był, ale nazwa się przyjęła. Cały czas jej używamy. Mówimy na to alhazen.

– Pierwsze słyszę...

– Zatem pozwolę sobie wyjaśnić, co się za tym kryje, bo dzięki temu będziesz miał pełen obraz. Alhazen, zwany również Ibn al-Hajsam, był wybitnym arabskim matematykiem, fizykiem i astronomem, który żył i pracował w Egipcie, przypuszczalnie w latach 965-1039. Uważa się go za pioniera optyki i wynalazcę

soczewki. Jako pierwszy opisał działanie camera obscura i zwrócił uwagę na to, że widzenie świata jest skomplikowanym procesem, w którym biorą udział zarówno ludzkie oczy, jak i umysł. A ta rzecz, ta niepozorna kostka, dowodzi tego bardziej niż cokolwiek innego.

Herman uśmiechnął się ironicznie.

– Niby jak? To coś w rodzaju szklanej kuli? Widać w tym przyszłość?

Nikt się nie roześmiał.

– Nie – odparła poważnie Agnes. – Dzięki niej można wejrzeć w inną rzeczywistość.

– Chyba nie mówisz poważnie? Wierzcie sobie, w co chcecie, ale mnie w to nie mieszajcie.

– To nie jest kwestia wiary, tylko doświadczenia. Jesteś na to gotowy?

– A co?! Pokażecie mi?! Tak po prostu?! No jasne! Powariowaliście od tego bogactwa!

– Przez twoje usta przemawiają pretensje, gorycz i żal, a przecież sam zrezygnowałeś ze wszystkiego, co mogło być twoje, więc winić możesz tylko siebie. W każdej chwili mogłeś tu wrócić i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Wiem, że nigdy nie zastąpię ci prawdziwej matki, lecz jesteś synem człowieka, którego kochałam, i zawsze będziesz częścią tej rodziny.

Herman ugryzł się w język. Ból i smak krwi pomogły mu powstrzymać łzy. Targały nim sprzeczne uczucia. Nienawidził Agnes i zarazem był jej wdzięczny. W końcu zebrał się w sobie i zapytał sarkastycznie:

– To będzie coś w rodzaju seansu spirytystycznego? Za życia moja matka je uwielbiała. Jeśli wciąż ma do nich słabość, to jest szansa, że odpowie na nasze wezwanie.

– Nie tym razem – powiedziała spokojnie Agnes i poprosiła Ottona, żeby zasłonił okna.

Potem wstała i podeszła do niskiej komody stojącej między półkami na książki. Znajdował się na niej tylko jeden przedmiot, który wyglądał jak lichtarz przerobiony na prosty palnik. Agnes zapaliła świeczkę, umieściła alhazen tuż nad płomieniem, w idealnie dopasowanym uchwycie, i bez słowa wróciła do stołu.

W miarę jak Otto zaciągał kolejne zasłony, biblioteka pogrążała się w coraz głębszym mroku, rozświetlonym jedynie chyboczącym blaskiem świecy. Gdy skończył i usiadł na swoim miejscu, całą bibliotekę wypełniały niespokojne, podrygujące cienie. Czarna kostka była najbliżej źródła światła i rzucała ogromny cień, który szerokim klinem rozlewał się po ścianie i suficie. Im dłużej paliła się świeca, tym silniejsze było wrażenie, że nad alhazenem gęstnieje smolista ciemność.

– Pomodlimy się czy coś? – zapytał cicho Herman.

– Nie, poczekamy, aż się rozgrzeje. To nie potrwa długo. Cierpliwości.

Herman miał ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale zamarł z otwartymi ustami, bo w głębi smolistego cienia błysnęła złota iskra, która w mgnieniu oka rozrosła się na boki, pożerając mrok. Rozmazane kształty wypełniły przestrzeń. Były trójwymiarowe i nasycone słonecznym blaskiem, ale nieostre i płynne. Nie dało się w nich rozpoznać nic znajomego – nic, co choćby odlegle przypominało rzeczy z tego świata. Ale to się zmieniało. Formy łączyły się ze sobą i robiły się coraz bardziej skomplikowane. Zalśniły krawędzie, wyraźnej zarysowały się smugi blasku i cienia. A potem, gdzieś w głębi tego świetlnego zjawiska, otworzyła się przepastna głębia, która nagle ustabilizowała ostrość i wyklarowała obraz.

Herman poczuł na twarzy lekki orzeźwiający wiatr, przesycony jakimś obcym zapachem. Mrugnął kilka razy, ale nic się nie zmieniło. Nadal to widział. Wyglądało jak dziura w rzeczywistości,

okrągły portal o nieregularnych poszarpanych krawędziach, który prowadził do innego świata. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była ściana i stały regały z książkami, rozpościerała się oszałamiająca panorama skalistej równiny. Za nią, w oddali, wznosiły się absurdalnie wysokie góry. Możliwe, że sięgały nawet do najwyższych warstw atmosfery i ich szczyty muskały lodowatą próżnię kosmosu. Między kamieniami rosła rzadka trawa. Na jednym z większych głazów stała ludzka postać odziana w powłóczystą białą szatę. Obraz nieśpiesznie popłynął w jej stronę i zatrzymał się tuż przed nią, gdy drobna twarz pięknej ciemnowłosej kobiety wypełniła całe pole widzenia. Trudno było wytrzymać onieśmielające spojrzenie jej ogromnych zielonych oczu, które przenikały na wskroś, nicowały ciało i iskrzyły zatrważającą wiedzą. Herman przełknął ślinę. Zarumienił się i spuścił wzrok.

Na chwilę.

Kątem oka zauważył, że obraz się zmienił, i odważył się zerknąć. Kobieta spojrzała w lewo. Przez chwilę było widać tylko jej włosy i ucho. Potem obraz podążył za jej spojrzeniem.

Coś nadchodziło od strony gór. Mnóstwo cylindrycznych półprzezroczystych istot, fosforyzujących upiorną bielą i unoszących się na niezliczonych zwiewnych odnóżach. Poruszały się miękkimi ruchami podwodnych roślin. Pływały w powietrzu. Poprzedzała je fala wibrujących dźwięków, które brzmiały jak rozwlekłe tony powolnej muzyki przesączającej się z odległych domen czasu. Obraz cofnął się i ustawił kilka metrów za plecami kobiety. Mimo swej powolności białe istoty szybko znalazły się blisko niej. Zatrzymały się. Kobieta uniosła rękę i rozwibrowane basowe pomruki, nieustannie drażące przestrzeń, połączyły się w jeden niewidzialny obiekt, którego krawędzie można było wyczuć brzuchem, tyłem głowy, echem uwięzionym w kościach. A potem

wszystko rozpadło się na trójwymiarowe rozmażane kształty, które utonęły w ciemności.

Otto odsłonił okna. Agnes zgasila świeczkę i oddała Hermanowi alhazen. Był zimny.

– Schowaj go – powiedziała.

Herman patrzył na nią tępym wzrokiem i nie potrafił pojąć, jak mogła być taka spokojna po tym, co zobaczyli.

– To było...

Umilkł. Czuł ucisk w gardle. Powietrze uwięzło mu w płucach.

– Nic nie mów. Oddychaj. Słowa nie pomogą.

Zrobił tak, jak radziła. Uspokoił się i odzyskał oddech.

– Zawsze pokazuje to samo? – zapytał.

– Tak. Jest jak trójwymiarowy film. Ale prawdziwy. Chodź.

Agnes pomogła mu wstać i wszyscy razem zeszli do salonu, w którym czekał Rozen. Mocna kawa postawiła Hermana na nogi, lecz wciąż nie mógł zebrać myśli. Mimo to nikt go nie popędzał, nikt go do niczego nie zmuszał. Herman patrzył w głąb siebie i próbował zrozumieć, co się z nim dzieje. Jak to możliwe, że nagle, w jednej chwili, wszystko, co było dla niego ważne i w zasadniczy sposób kształtowało jego życie, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie? Musiał się bardzo wysilić, żeby przypomnieć sobie, dlaczego wyrzekł się ojca i rodziny.

O co mu chodziło?

Czemu się przy tym upierał?

Cóż za bezsensownie zmarnowany czas...

Herman zdawał sobie sprawę, że już go nie nadrobi, ale pocieszała go myśl, że jeszcze nie wszystko stracone. Szybko podjął decyzję. Bez wahania podpisał dokumenty, które mu podsunęli. Nie miał wątpliwości, że alhazen powinien zostać w tej rodzinie, bo z nią będzie bezpieczny i tu jest jego miejsce. Nie myślał o pieniądzach. Pragnął tylko mieszkać jak najbliżej ciemnowłosej

kobiety stojącej na kamienistej równinie. Agnes od razu się zgodziła. Powiedziała, że może się wprowadzić w każdej chwili, bo przecież należy do rodziny.

* * *

Wracając do swojej kawalerki, Herman wyczytał prawdę w ciemnych kształtach przesuwających się za oknami limuzyny i zapytał:

– To mój ojciec wymyślił tę intrygę, prawda? Rzeczywiście miał całą kolekcję takich artefaktów?

– Czy to ważne? – mruknął sennie Rozen.

– Już nie.

SITHAMUR
BIRGA
BIRGA

Uwielbiał te długie, rozprężone chwile, gdy leżeli obok siebie, milczący, przytuleni, zakopani pod grubą warstwą termicznych koców. Barkelby głaskał Sihamur po rozkosznej krzywiznie lekko wygiętych pleców, a właściwie niemal bezwiednie, wręcz mechanicznie, wodził palcami wzdłuż jej kręgosłupa i patrzył w ciemność, wsłuchując się w odgłosy wędrujące kanałami wentylacyjnymi i pustymi korytarzami. Najczęściej słyszał trzaski i jakby zwierzęce jęki przesuwającego się lodu, odległy huk fal atakujących skalisty brzeg i ciche zawodzenie wiatru. Czasem dołączały do nich metaliczne hałasy, szczęknięcia przewalającego się złomu, niezawodnie sygnalizujące, że szalony Tarsus znowu opuścił kryjówkę pod kotłownią i poluje na części do swoich dziwacznych maszyn, które według niego są narzędziami do regulowania rzeczywistości. Ale zdarzało się również, że słyszał basowe pomruki, od których drżały ściany, albo głucho, potężne stukotanie i trudne do zdefiniowania chrzęszczące dźwięki, przywodzące na myśl ogromną paszczę nieśpiesznie przeżuwającą skały lub powolne pulsowanie czegoś ciężkiego, wielokształtnego, żywego w całkowicie obcy, lecz słyszalny sposób. Barkelby wiedział, że źródłem tych odgłosów jest to, co kryje się po drugiej stronie rozległego kompleksu podziemnych zabudowań i instalacji, na końcu długiego korytarza wykutego w litej skale, za grubymi pancernymi wrotami, zamkniętymi od tak dawna, że nie żyje już nikt, kto pamiętałby, jak się je otwiera. Wiedział również, że z tak dużej odległości nie powinien niczego słyszeć, i nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób te dziwne dźwięki odnajdują go w ciemności. Dzisiaj też nie miały z tym żadnego problemu i niemal zagłuszały wszystkie inne odgłosy.

– Strasznie się wierci – szepnęła Sihamur. – Odkąd tu jesteś, Krek'h-pa ma bardzo niespokojny sen. Ciągłe przewraca się z boku na bok.

Barkelby syknął poirytowany.

– Skąd wiesz, że śpi i ma jakieś boki, na które może się przewracać?

– Tak tylko mówię. Od wczoraj jesteś bardzo drażliwy, nie można ci nic powiedzieć. Nie chcesz mówić o swojej przeszłości, to nie mów. Obejdzie się. Przecież cię nie zmuszę.

Westchnął.

– Chcę, ale to trudne...

– Nic nie jest łatwe. Ja też nie mam pojęcia, dlaczego się tu znalazłam. A do tego odmrażam sobie tyłek znacznie dłużej niż ty. Mimo to nie robię scen. Miałam nadzieję, że razem będzie nam łatwiej...

– Jak możesz myśleć, że jest inaczej? Chociaż przypląnąłem zaledwie osiem dni temu, to mam wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu i nie wiem, jak bym sobie poradził, gdyby nie ty. Podziwiam cię. To nieprawdopodobne, że zdołałaś tu wytrzymać pół roku w samotności.

– Łatwo się nie poddaję. To jedno na pewno można o mnie powiedzieć. Poza tym zapominasz, że jest jeszcze Tarsus. Miałam dużo szczęścia, bo szybko się na niego natknęłam. Łaziłam za nim tak długo, aż pokazał mi co i jak... Nie było światła ani ogrzewania i trzeba było coś z tym zrobić. Trochę nam to zajęło, ale przynajmniej mogłam się skupić na czymś konkretnym. Bardzo chciałam ożywić to miejsce. Pracowałam do upadłego dzień w dzień i chyba można powiedzieć, że mi się udało. Co prawda, nadal jest mnóstwo pracy i niewiele rzeczy działa tak, jak powinno, ale to dobrze, bo nie sposób się tu nudzić. Zresztą sam wiesz, codziennie pomagasz mi coś naprawiać. Nie masz pojęcia, jak bardzo się

wystraszyłam, gdy zobaczyłam cię pierwszy raz, tam, w północnym korytarzu. Myślałam, że zaczynam wariować...

Barkelby przylgnął do Sihamur całym ciałem. Uważał, że dzielenie się ciepłem jest najlepszym sposobem pocieszenia.

– Byłem równie przerażony jak ty. W tym pancernym skafandrze wyglądałaś jak jakaś zagubiona, oszalała maszyna błąkająca się na ślepo.

– Bez przesady, szukałam tylko skrzynki z bezpiecznikami. Wiesz, jak trudno patrzeć do góry w tym wdzianku.

– No tak, ma wiele mankamentów, ale przynajmniej jest w nim ciepło. Czekał. No właśnie!

– Co jest?

– Wczoraj, gdy zmagalem się z klamrami i znowu nie mogłem się dopiąć, pomyślałem, że Tarsus będzie pewnie wiedział, gdzie można znaleźć zapasowe klamry do skafandrów, i trzeba będzie do niego zejść. Wtedy przypomniało mi się coś, co prześladowuje mnie już od pewnego czasu, ale wciąż zapominam się dopytać.

– Tak?

– Skoro to on opowiedział ci o Krek'h-pie, pokazał cały kompleks i oprócz nas jest tu jedyną żywą istotą, to czemu nie zapytałaś go, czy wie, kto i dlaczego cię tu ściągnął?

– Zapytałam.

– Naprawdę?! Co odpowiedział?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo chcę coś sprawdzić. Zobaczysz.

Sihamur obróciła się przodem do niego. Niewielkie twarde piersi naparły na jego brzuch i poczuł, że wraca mu erekcja. Ona też to poczuła. Zachichotała.

– Zagadujesz, zbaczasz z tematu, a teraz jeszcze stosujesz chwyt poniżej pasa. Nieładnie. Bardzo nieładnie. Ale nie mam już

ochoty na seks i nie wymigasz się. Musisz mi wreszcie opowiedzieć o Zergotcie i spotkaniu z Cesarzową Matką. Nie bój się, tutaj nie grozi ci transfer wspomnień.

– Skąd ta pewność? Poza tym przed chwilą twierdziłaś, że nie będziesz mnie zmuszać.

– Lubisz się droczyć, co? Jesteś gorszy od Tarsusa.

Barkelby westchnął i położył się płasko na plecach. Sihamur ułożyła głowę na jego klatce piersiowej. Jej krótkie włosy kłuły i łaskotały, ale to były przyjemne doznania, bo w ciemnościach zwiększały poczucie bliskości. Z daleka dobiegał niepokojący rytmiczny łomot. Wydawało się, że ogromna żeliwna pięść raz za razem uderza w skały. Albo gdzieś tam, głęboko pod ziemią, wielki granitowy kafar mozolnie przebija się do jądra planety. Po każdym łupnięciu melodyjnie dźwięczały stalowe drzwi pokoju, w którym się zamknęli.

– Co to może być? – zapytał Barkelby.

– Krek'h-pa. Cokolwiek to znaczy. Dzisiaj mam wrażenie, że chce wyjść.

Barkelby wyczuł, że ciało Sihamur pokryło się gęsią skórką.

– Może to jeden z Belenusów? – zapytał. – Taki, któremu nie udało się w pełni przebudzić albo przeniknąć do naszego świata.

– To nie jest nasz świat, tylko ich. Stworzyli go. I nas. Przynajmniej tak twierdzą. Poza tym Tarsus uważa, że pancerne wrota zostały zamknięte, zanim się przebudzili.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Chciałabyś zobaczyć, co za nimi jest?

– Mam to gdzieś. Dość tego. Mów. Teraz. Czekałam wystarczająco długo.

Miała rację. Był jej to winien. Ona zwierzyła mu się ze wszystkiego już w drugim i trzecim dniu ich znajomości, a on stale odwlekał to w czasie, jakby nie tylko bał się transferu, ale wręcz

chciał coś przed nią ukryć. Barkelby zdawał sobie sprawę, że teraz już musi zrobić to, o co prosi Sihamur, bo jeśli zacznie wymyślać kolejne uniki i dalej będzie zbywał ją ogólnikami, to w końcu zrani jej uczucia, a co gorsza, nadwyręży zaufanie, którym go obdarzyła. Pogodził się z tym, że znowu będzie musiał przeżyć bolesne i przerażające szczegóły swoich wspomnień, i zaczął opowiadać. Początkowo nieśmiało, jakby ostrożnie, badał grunt. Gotów był w każdej chwili przerzucić uwagę na coś innego, ale rzeczywiście nie pojawiały się żadne symptomy zbliżającego się transferu, więc rozluźnił się i niezdarnie ubierając swoje doświadczenia w słowa, streścił Sihamur przebieg audiencji u Cesarzowej Matki. Kiedy skończył, kobieta milczała przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– Nie wiem, czy ci zazdrościć, czy współczuć. To musiało być straszne, ale też piękne na swój osobliwy sposób. Warto było? Dostałeś to, co chciałeś?

– W zasadzie tak. Następnego dnia obudziłem się w pokoju hotelowym, trzymając w dłoni Zergotta. To znaczy wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tak się nazywa, ale widziałem już świadomą broń, więc rozpoznałem ją bez trudu i ucieszyłem się, że udało mi się nie tylko przeżyć spotkanie z Matką, ale także zdobyć to, na czym mi zależało. Chociaż jej dar okazał się czymś innym, niż myślałem...

– Od razu wróciłeś do Bozzokanu?

– Kończyła mi się przepustka i musiałem się śpieszyć. Wiedziałem, że comisori, pod którym służyłem, uprzykrzy mi życie, jeśli nie wrócę do bazy na czas. Nie myśl sobie jednak, że byłem tam kimś ważnym. Pracowałem w magazynie, w którym przechowywane były mundury, buty, pościel, zapasy żywności. Wygodna posadka. Na miarę moich mikrych ambicji. Miała sens, gdy jeszcze byli tam ludzie. Załatwił mi ją brat, który służył

w jednostce specjalnej. Był dobry w tym, co robił, i tuż zanim zostaliśmy przeniesieni do Bozzokanu, awansował na porucznika.

– Wspominałeś wcześniej, że zginął. Jak do tego doszło?

– Ja... My... Byliśmy trochę...

– Przepraszam, nie powinnam o to pytać. To musi być dla ciebie bardzo bolesne. Zostawmy to.

– Nie! Chcę ci to opowiedzieć. Nic mi nie będzie. Mówiąc wprost, my wszyscy, nie tylko ja i mój brat Piter, byliśmy głupi, po ludzku głupi. To znaczy, że nie przyjmowaliśmy do wiadomości tego, co nie pasowało do naszych doświadczeń. Każdy tak robi, w mniej lub bardziej świadomy sposób, ale to żadne wytłumaczenie. No wiesz, gdy przebudzili się pierwsi Belenusi, siedzieliśmy w Anaferyce już od ośmiu lat. Oczywiście czytaliśmy gazety, słuchaliśmy radia i ogólnie rzecz biorąc, wiedzieliśmy, co się dzieje, ale tak jakby to do nas nie docierało. Może byłoby inaczej, gdybyśmy stacjonowali w Brytynei, lecz tam, w bozzokańskiej kolonii, nic się nie zmieniało, wciąż robiliśmy to samo, co wcześniej, więc dlaczego ktokolwiek z nas miałby się zastanawiać, co się stanie, gdy zaatakują nas formicy obcego Belenusa? Sama możliwość, że coś takiego istnieje naprawdę, była czymś zabawnie absurdalnym. Nie chcieliśmy o tym słyszeć. Omijaliśmy temat. Odpychaliśmy to od siebie w przekonaniu, że w ogóle nas nie dotyczy.

– Do czasu.

Barkelby zaczął delikatnie gładzić Sihamur po włosach, jakby to ona potrzebowała otuchy, a nie on.

– Tak, kochanie, do czasu... Jak zapewne wiesz, Bozzokan leży na zachodnim brzegu Anaferyki, niemal na wysokości równika, a nasza baza znajdowała się na peryferiach stolicy, która wtedy nazywała się tak samo jak cały ten nieszczęsny kraj. Zatem, gdy po drugiej stronie kontynentu przebudził się Kilimanarus, nie byliśmy narażeni na bezpośredni atak i tak naprawdę przez dłuższy czas

nikt nie zdawał sobie sprawy z powagi zagrożenia. Co prawda, w Bozzokanie pojawiało się coraz więcej uchodźców, uciekinierów z krajów, które zaanektował Belenus, ale trudno było poważnie traktować ich opowieści. Bełkotali jak szaleńcy. Mówili, że słynny Kilimanar – pradawny wygasły wulkan, najwyższa góra w Anaferyce – wstał, wyprostował się i brodząc w chmurach, idzie w głąb interioru otoczony tysiącami ogromnych, kroczących drzew. Mówili, że to boska, wszechmocna istota, która stwarza zwierzęta, jakich nikt wcześniej nie widział, i zmienia krajobraz. Mówili, że zabija tych, którzy odważą się na niego spojrzeć. Mówili, że przekształca ludzi w kolczaste, jadowite węże, gotowe oddać za niego życie. Mówili, że gdy się zbliża, ziemia zaczyna wrzeć jak gęsta, bagnista maź. Uwierzyłybyś w coś takiego? My nie potrafiliśmy... Ale rzeczywistość nie przystawała już do naszej wiary. Patrole wysyłane w głąb lądu przestały wracać i zrobiło się nerwowo. Poprosiliśmy Loqudyn o wsparcie i po dziesięciu dniach obsada naszej bazy zwiększyła się o cztery plutony formiców Cesarzowej Matki, w których skład wchodziłi potężni telumi, skrzydlaci volatrisi i liczni formikrudzi. Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Spodziewaliśmy się dużej liczby sprzętu pancernego i zwykłych, ludzkich żołnierzy, a nie czegoś takiego. Wielu naszych protestowało. Wiesz, stare śpiewki w stylu: wojsko to nie cyrk i najlepiej będzie, jeśli ci nowi wybudują sobie osobne koszary i się do nich wyniosą. Ich obecność bardzo nas deprymowała i staraliśmy się trzymać od nich z daleka. A tym paskudom najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Nie reagowali na zaczepki i spędzali czas we własnym gronie, cisi, spokojni, zajęci swoimi osobliwymi sprawami. Wyraźnie przygotowywali się do walki. Ależ nas to bawiło! Śmialiśmy się z tych przygotowań. Śmialiśmy się, bo uważaliśmy, że są idiotami i widzą zagrożenie tam, gdzie go nie ma. Wiem, jak to brzmi, ale naprawdę tak było. Śmialiśmy się,

mimo że sami prosiliśmy o wsparcie. To nie wszystko. Śmiało się też, bo byliśmy przekonani, że te dziwolągi w ogóle nie potrafią walczyć i jeśli już dojdzie do jakiegoś starcia to bardzo szybko zginą na polu bitwy. Prawdę mówiąc, życzyliśmy im tej śmierci i śmiało się dalej. Aż do dnia, w którym...

Barkelby chciał przełknąć ślinę, żeby zwilżyć boleśnie wysuszone gardło, ale w ustach też miał sucho. Wymacał w ciemności manierkę, która stała obok łóżka, wypił trochę lodowatej wody i odkładając ją na miejsce, uświadomił sobie, że Krek'h-pa ucichła.

– Zawołali mnie – powiedział ochryplym głosem. – Pewnego dnia zawołali mnie i wyszedłem z magazynu. Wszyscy patrzyli w stronę horyzontu, na którym wznosił się gigantyczny stożkowaty cień, przerażający mroczny masyw. Nagle poczułem, że coś się dzieje. Nie umiem tego wyjaśnić. Tak jakby zamknął się wokół nas bąbel upiornej ciszy, w którą powoli zaczynają wnikać długie, jadowite kły. Zaskomlałem jak kopnięty pies i pobiegłem w stronę bunkra. Mieliśmy takie dwa. Nie były zbyt duże i wykorzystywaliśmy je wyłącznie jako dodatkowe magazyny. A ja miałem klucze. Do obu. Dobiegłem do najbliższego i zatrzasnąłem się w środku. Potem zadrżała ziemia, powietrze rozdarł potworny ryk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem, i rozległa się kanonada. Rzuciłem się między worki z kukurydzą i byłem pewien, że już tam zostanę, z twarzą wciśniętą w pył, skulony, modlący się, by nikt mnie nie znalazł. Ale ludzka ciekawość jest nieustraszona, ona chce wiedzieć, zawsze chce wiedzieć, bez względu na konsekwencje. Siłą przyciągnęła mnie do otworu strzelniczego i kazała patrzeć. Ziemia wrzała. Wyglądała jak gotujące się bagno, w którym żerują czarne kolczaste macki, błyskawicznie doskakujące do naszych żołnierzy, by wciągnąć ich pod ziemię, nadzieć na kolce, udusić lub rozerwać na strzępy. W górze, nad polem bitwy, znajdowało się coś ogromnego, coś, czego nie widziałem, bo otwór strzelniczy był zbyt

wąski, żeby dało się spojrzeć prosto do góry. Mogłem tylko zobaczyć liczne segmentowane nogi, na których to coś kroczyło. Były grube jak baobaby i nie miałem wątpliwości, że jeśli któraś z nich nadejście na bunkier, w którym się ukryłem, to z całą pewnością rozgniecie go na miazgę, a mnie razem z nim. Co jakiś czas z góry opadało wielkie modliszkowate odnóże i z niezawodną precyzją przecinało któregoś z naszych na dwoje. To była masakra. Nasi strzelali i ciskali grantami, ale nic to nie dawało, ginęli w błyskawicznym tempie.

Zauważyłem, że Piter i ludzie z jego oddziału wspięli się na dach największego budynku w naszej bazie i udaje im się skutecznie odpierać ataki formiców Kilimanarusa. Ale nie trwało to długo. Ogromna segmentowana noga wbiła się z impetem budynek i wszyscy, co do jednego, spadli między czarne, kolczaste macki. Ocierałem łzy i nie mogłem przestać na to patrzeć. Nie mogłem odwrócić wzroku. Chciałem być tak samo odważny jak oni, lecz nie potrafiłem walczyć i umiałem tylko odważnie patrzeć na ich śmierć. Byłem pewien, że lada moment ja też do nich dołączę. Jednak stało się coś innego. Nagle rozległ się ogłuszający huk, jakby gdzieś bardzo blisko mnie jednocześnie wystrzeliła bateria haubic. Chwilę później usłyszałem kolejny huk i jeszcze jeden. To mnie zastanowiło. Mieliśmy kilka haubic. Z tego, co pamiętam, były to cztery sto pięćdziesiątki piątki. Ale żadna z nich nie była przygotowana do walki. Atak formiców Kilimanarusa był tak szybki i niespodziewany, że nie sądzę, by ktokolwiek zdołał ich użyć. Poza tym znajdowały się dość daleko od bunkra, w którym się schowałem, a huk dobiegał z bliska. No i częstotliwość, z jaką rozlegały się strzały, była nieosiągalna nawet dla wprawnych artylerzystów. Domyśliłem się, co się dzieje, zanim ich zobaczyłem. Kolosalne nogi, grube jak baobaby, zachwiały się i zaczęły się przemieszczać w stronę pustyni. Z każdym ogłuszającym hukiem

z góry spadały ogromne i poszarpane kawałki ciemnego chitynowego pancerza. W odmętach wrzącej ziemi pojawili się nasi formikrudzi, którzy nurkowali w niej bez lęku, skutecznie bronili się przed atakami czarnych macek, wyrwali im kolce i wykorzystywali przeciwko napastnikom. Tuż za nimi powoli kroczyli telumi. Naprawdę nie wiem, czemu mówią na nich ludzie-armaty, skoro te ich głowy bardziej przypominają mózdzierze... W jakiś sposób nie zapadali się we wrzącej ziemi. Szli przed siebie, niewzruszeni, strzelali raz za razem i ogromnymi pięściami miażdżyli czarne pęłzace. Ponad nimi śmigali volatrisi, niewyraźne kształty rozmazane szybkością, tnące wszystko na swojej drodze. W pewnym momencie telumi odstrzelili jedną z tych wielkich baobabowych nóg, a volatrisi dosłownie rozszarpali ją na drobne wióry, w powietrzu, zanim spadła na ziemię. Gdy bitwa się skończyła, gdy zapadła cisza i na miękkich nogach wyszedłem z bunkra, byłem już innym człowiekiem. Wreszcie dotarło do mnie, że świat naprawdę się zmienił, a my nie zrobiliśmy nic, żeby się do tych zmian przystosować.

– Co za koszmar... Już rozumiem. Chciałeś pomścić brata i swoich znajomych, ale nie jako potwór, lecz człowiek. Dlatego nie zamierzałeś się przekształcać w formica Cesarzowej Matki. Przerazała cię myśl, że mógłbyś się stać jednym z nich. Trudno ci się dziwić. Uparcie szukałeś innych możliwości i w końcu doszedłeś do wniosku, że tylko w jeden sposób możesz zachować swoje człowieczeństwo i jednocześnie wyrównać szanse w starciu z siłami obcego Belenusa...

– To nie tak. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak świadoma broń i nigdy nie myślałem o zemście. Po ataku żyłem w dziwnym zawieszeniu, odklejony od rzeczywistości, wyizolowany. Zostały ze mnie tylko przyzwyczajenia, codzienne rytuały, mechanizmy nawyków. Spałem, ale nie śniłem, posilałem

się jedzeniem, które nie miało smaku, oddychałem jak bezduszny kowalski miech, myłem się, a moje ciało w dotyku przypominało szorstki kamień. Skupiałem się na wykonywaniu obowiązków, które nie miały już żadnego sensu, bo formicy nie nosili mundurów ani butów, nie używali pościeli, żywili się piaskiem, kamieniami i blaskiem słońca. Jednak, co ciekawe, mimo że przejęli dowodzenie w bazie, pozwalali mi nadal robić to, co robiłem do tej pory. Tak więc liczyłem prześcieradła, liczyłem koce, liczyłem mundury, liczyłem puszki z fasolą i wołowiną, liczyłem buty, liczyłem worki z ryżem i kukurydzą. Przekładałem to wszystko z miejsca na miejsce i porządkowałem, bez końca, nieustannie, od rana do wieczora, z przerwami na sen i posiłek. A oni zostawili mnie w spokoju. Niczego ode mnie nie chcieli. Byłem jedynym człowiekiem, któremu udało się przeżyć atak formiców Kilimanarusa, i odruchowo, somnambuliczną siłą rozpędu, żyłem sobie pośród groźnych dzieci Cesarzowej Matki, dziwacznych istot, których kompletnie nie rozumiałem. Nie miałem poczucia mijającego czasu i nie dałbym rady powiedzieć, jak długo to trwało, ale teraz myślę, że w tym stanie znajdowałem się dwa, może trzy tygodnie. A potem moja pusta, bezmyślna i kompletnie bezsensowna rutyna została przerwana.

Nagle w półmroku magazynu coś dużego stanęło mi na drodze. To był comisori, nazywał się Tolos. Jak wiesz, akurat ci formicy bardzo się między sobą różną. Ten wyglądał jak trzyjardowa rzeźba człowieka, stworzona z cienkiego, gęsto splecionego i prawdopodobnie miedzianego drutu. Powiedział, że mam z nim iść, i zaprowadził mnie na wybrzeże, do miejsca, gdzie między skałami, pod gołym niebem, urządził sobie kwaterę główną obecny dowódca bazy, telumi, do którego wszyscy zwracali się: „kapitanie Berk”. Razem z nim był człowiek, którego widziałem pierwszy raz w życiu. Bardziej przypominał podróżnika niż żołnierza. Miał na

sobie znoszone cywilne łachy i śmieszny korkowy hełm, a do paska przytroczył sobie dużą skórzaną kaburę. Nieproporcjonalnie dużą. Wyglądał jak dziecko, które ukradło ojcu pistolet. Od razu zwróciło to moją uwagę. Tak samo jak jego buty, zniszczone do tego stopnia, że tylko cudem utrzymywały się jeszcze na stopach. Mimo że nie odczuwałem wtedy prawie żadnych emocji, widok człowieka sprawił, że musnął mnie cień czegoś, co odlegle przypominało przyjemność. Kapitan Berk nie przedstawił mi go. Powiedział tylko, że mam mu dać nowe buty i zawieźć go łazikiem na pustynię. I tak zrobiłem. Znalazłem buty dla niego, a później wsiedliśmy do łazika i pojechaliśmy. Początkowo nieznajomy nie był zbyt rozmowny. Pasowało mi to, bo odwykłem od zwyczajowej wymiany zdań i obawiałem się, że nawet zdawkowa rozmowa mogłaby mi sprawić kłopot. Podczas prawie dwugodzinnej podróży tamten człowiek odzywał się tylko po to, by wskazać mi drogę. „Skręć tu”, mówił. „Zatrzymaj się”, mówił. „Zawróć”, mówił. Nie odjechaliśmy daleko od bozzokańskiej bazy. Najwyżej piętnaście, no, może dwadzieścia mil w głąb pustyni. A potem zaczęliśmy krążyć, kluczyć między wydmami. Jakbyśmy czegoś szukali. Choć tam nic nie było. Dziewiczy piasek, żadnych śladów. No nic. Nieznajomy rozglądał się spokojnie, pochylał głowę, nasłuchując dźwięków, których ja nie słyszałem, i pokazywał, w którą stronę mamy jechać. Zerkalem na niego coraz bardziej zaniepokojony, aż w końcu nie wytrzymałem i zapytałem: „Szukamy czegoś?”. „Tak, szuka”, odparł. „Szuka? Kto?”, zapytałem przekonany, że się przesłyszałem. „Ten, kto potrafi znaleźć”, stwierdził nieznajomy z chytrym uśmiechem. Uznałem, że nie ma sensu dopytywać, kogo ma na myśli, i przestałem się odzywać. Miałem nadzieję, że pokręcimy się jeszcze chwilę po pustyni i wrócimy do bazy, bo zmęczyła mnie już ta szalona wyprawa. Było gorąco jak w piecu i mokre od potu dłonie ślizgały mi się na kierownicy. Nagle kazał mi się zatrzymać

i wyłączyć silnik. Kusiło mnie, żeby go zapytać, co to wszystko ma znaczyć, ale nieznajomy położył palec na wargach, dając mi do zrozumienia, że mam być cicho. Potem sięgnął do tej swojej ogromnej kabury i wyjął z niej coś, co wyglądało jak toporna i pozbawiona szczegółów atrapa pistoletu, wykonana z litego kawałka karbowanego metalu. Była duża, ale pasowała do jego dłoni. Przyszło mi do głowy, że zaraz zatłucze mnie tą metalową bryłą na śmierć. „Siedź tu i nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem, że możesz”, powiedział nieznajomy. Otworzył drzwi i wysiadł. Zanim je zamknął, dodał jeszcze: „Zastanawiałeś się, dlaczego tylko ty przeżyłeś atak?”. Byłem przerażony. Bałem się go. Bałem się tego, co mówił. Chciałem natychmiast uruchomić silnik, odjechać i zostawić go na pastwę pustyni. Pomyślałem jednak, że poczekam, aż się trochę oddali. Położyłem dłoń na przycisku rozrusznika. Widziałem, jak nieznajomy wchodzi między wydmy, rozgląda się, skręca w lewo, skręca w prawo, po kilku krokach zatrzymuje się i unosi tę swoją zabawną atrapę. Wtedy wszystko rozbłysło czarnym światłem, a ja usłyszałem swój wrzask.

– Że co?

– On to zrobił. Ten nieznajomy. Bo Feroz chciał, żebym coś zobaczył.

– Możesz mówić jaśniej?

– Świadome bronie może i przypominają pistolety lub strzelby, ale działają w zupełnie inny sposób. Zdejmują warstwy rzeczywistości, zaginają przestrzeń, otwierają kawerny osobliwych wymiarów i pasożytniczych czasów, z których mogą błyskawicznie skonstruować coś niebywale morderczego. Mogą też sprawić, że zaczniesz widzieć rzeczy, których żaden normalny człowiek nie powinien oglądać. Reczy spod poszewki zdarzeń.

– Czyli co właściwie zrobił?

– Pokazał mi, jak czarne światło prześwietla piasek i skały, jak

łuszczy się cieniutka skorupka świata, jak mrowi się pod nią ocean ziarnistego, opalizującego mroku i jak w głąb niego, w potworną, niewyobrażalną otchłań umyka kanciasty ogrom. Ten kształt kurczył się, wciągał w siebie długie falujące szypuły i składał się niczym skomplikowany mechanizm mogący dowolnie zredukować lub powiększać swoje rozmiary. Widziałem to tylko przez chwilę, przez jeden bardzo krótki moment, po którym pustynia znowu stała się taka sama jak wcześniej, normalna, wypalona złotym blaskiem oślepiającego słońca, ale mimo to nie mogłem przestać wrzeszczeć. Darłem się tak długo, aż nieznajomy wrócił do łazika i dał mi w pysk.

– Pomogło? – zapytała wyraźnie rozbawiona Sihamur.

– Jasne, to zawsze pomaga – odparł ponuro Barkelby, któremu wcale nie było do śmiechu. – Ale wciąż dygotałem. Trzęsło mną jak przy wysokiej gorączce. Nieznajomy położył sobie na kolanach karbowaną bryłę metalu w kształcie pistoletu i zapytał mnie, czy wiem, co to jest. Pokręciłem głową, że nie. „Nazywa się Feroz”, powiedział, „i uważa, że musiałeś zobaczyć to, co zobaczyłeś. Podobało się?”. Znowu pokręciłem głową. „Feroz mówi, że nie ma to żadnego znaczenia”, stwierdził nieznajomy, „bo chodzi wyłącznie o to, żebyś zrozumiał, że to właśnie z powodu tego, co widziałeś, musieli zginąć wszyscy ludzie w Bozzokanie. Wszyscy. Nie tylko żołnierze z twojej bazy. W promieniu czterystu mil nie ma ani jednego człowieka. Rozumiesz? Ani jednego. Jesteśmy tylko my dwaj. Wiesz dlaczego?”. Nie miałem pojęcia, ale nic nie powiedziałem, kręciło mi się w głowie, miałem dreszcze, czułem, że jeszcze chwila i stracę przytomność, więc tylko nieznacznie wzruszyłem ramionami. „Dobrze, w takim razie Feroz wytłumaczy ci to po swojemu”, powiedział nieznajomy. „Kim jest ten Feroz?”, wykrztusiłem resztką sił. Nieznajomy poklepał metalową atrapę i odparł, że tak ma na imię ta broń. Widząc niezrozumienie

malujące się na mojej twarzy, dodał, że jest to podarunek od Cesarzowej Matki, świadomy, autonomiczny byt, który mówi wprost do jego głowy i potrafi robić różne zabawne rzeczy. Po czym zarechotał chrapliwie, a ja niemal zesrałem się ze strachu. „Zanim sobie pójdę, przekażę ci jego słowa”, stwierdził stanowczo. „Pójdiesz? Dokąd?”, zapytałem. „Śladem cumy”, odparł poważnie. „Na razie to wciąż strefa niczyja, ani Matki, ani Kilimanarusa, ale to, co zobaczyłeś, z pewnością rozstrzygnie sytuację w regionie na korzyść jednej bądź drugiej strony. Wygra ten Belenus, który będzie sprytniejszy i pierwszy znajdzie sposób, by wciągnąć to na swoją orbitę. To dlatego Kilimanarus nie przebiera w środkach”. „Ale co to jest? Czemu to takie ważne?”, pytałem jak głupiec, który wie, że bez względu na to, co usłyszysz, i tak nie zrozumie odpowiedzi. Nieznajomy uśmiechnął się smutno i powiedział, że istnieją rzeczy starsze od Belenusów, starsze niż ten wszechświat wszystkich światów, w którym żyjemy, rzeczy, które zmieniają ich, ale oni ich zmienić nie mogą, rzeczy, które są jak aluwialne moduły starożytnego światła albo strumień osobliwej materii, który powstaje, gdy żywy dźwięk wędrujący przez kosmiczną pustkę zaplata swe niezrozumiałe myśli. I to, co widziałeś, jest właśnie jedną z takich rzeczy. Potem położył mi dłoń na ramieniu, mówiąc, że jestem częścią tego wszystkiego, że nie ma przypadków i żyję z konkretnego powodu, lecz w żadnym razie nie powinienem próbować tego zrozumieć, że mogę tylko dołączyć, współuczestniczyć, ale zawsze będę dostrzegał zaledwie fragmenty większej całości, fragmenty obcych porządków układających się we wzór, który mogę jedynie kontemplować i w którym przegląda się to, kim naprawdę jestem.

„No dobrze, tyle ode mnie”, powiedział. „Teraz posłuchaj Feroza”.

Kurczowo zacisnąłem palce na kierownicy i spojrzałem na

karbowany kawał metalu, jakbym się spodziewał, że zwróci się bezpośrednio do mnie, przemówi własnym głosem. Nieznajomy zapytał: „Wiesz co się stanie, gdy rzucisz gołębim surowe, mielone mięso?”. I natychmiast odpowiedział sobie sam: „Dostaną amoku, będą się zachowywać się jak oszalałe mięsożerne bestie, będą bezlitośnie dziobać z całych sił, ze wściekłym zapamiętaniem, i to nie tylko mięso, ale też siebie nawzajem, jakby nagle nabrały chętki na świeżą krew, na parujące flaki, jakby chciały posmakować śmierci. Ale nie zawsze tak jest. Czasami, bardzo rzadko, zdarza się, że nie dzieje się nic. Rzucasz im mięso, a one w ogóle nie są zainteresowane. Jak myślisz, dlaczego go nie chcą? Co to znaczy, że znalazłeś się w miejscu, w którym gołębie nie chcą tknąć surowego, mielonego mięsa? Musisz się tego dowiedzieć”, stwierdził nieznajomy, wysiadł z samochodu i poszedł w głąb pustyni.

– I co? Dowiedziałeś się? – zainteresowała się Sihamur.

– Jeszcze nie.

– Po tylu latach?

– Wybacz, że cię rozczarowałem – odparł Barkelby z przekąsem.

– Pewnie nie jestem wystarczająco bystry.

– Jasne, obraż się. Przecież nie to miałam na myśli.

– Wiem, wiem, przepraszam. Drażnią mnie te wspomnienia.

Czuję się prawie tak samo jak wtedy.

– Jak to?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale przypomina to coś w rodzaju transferu. Nie jest aż tak dosłowne, nie przeżywam wszystkiego kolejny raz, lecz udzielają mi się te same emocje, te same albo bardzo podobne do tych, które przepelniały mnie, gdy wracałem do bozzokańskiej bazy.

– Co dokładnie czuleś?

– Mówiłem już, że po ataku byłem apatyczny i wycofany, dryfowałem zanurzony w długotrwałym letargu. Ale spotkanie

z dziwnym nieznanym, to, co mi pokazał i powiedział, no i kontakt z tym, co on nazywał świadomą bronią, sprawiły, że coś we mnie pękło i ponownie wypełniły mnie emocje. Znowu płakałem, myśląc o bracie i przyjaciółach, lecz w ich tragicznej śmierci nagle zacząłem dostrzegać ukryty sens, tajne znaczenie, które należało rozszyfrować, odczytać i miałem silne przeczucie, graniczące z pewnością, że tylko ja mogę to zrobić, nikt inny. W drodze powrotnej skręciłem w stronę miasta. Nie planowałem tego. To był impuls. Chwilowa utrata ostrości widzenia, która powróciła, gdy zahamowałem pod pomnikiem króla Azarutana. Otaczał go wielki bazar, centrum miejskiego życia w Bozzokanie, które było znane z tego, że nigdy nie zasypia i przez całą dobę gorączkowo roi się tam tłum ludzi, lecz gdy wysiadłem z łazika, nie zobaczyłem nikogo. Żadnych ciał, żadnych śladów walki, jakby ci wszyscy ludzie po prostu wyparowali. W pustych straganach i namiotach wciąż znajdowały się towary, którymi jeszcze niedawno tam handlowano: dywany, przyprawy, tania biżuteria, ubrania, figurki z wypalanej gliny, drewniane zabawki, tkaniny, radia na baterie, pozółkłe owoce, noże. Na płytach wygasłych pieców leżały stwardniałe placki pszennego pieczywa i wysuszone kawałki mięsa, które z niezrozumiałych powodów nie przyciągały much. Jeśli przyjechałem tam po to, żeby wypatrzeć jakiś złowrogi omen, który umocni mnie w moich przeczuciach, to niewątpliwie dostałem to, czego chciałem. Szybko wróciłem do łazika i kiedy w końcu dojechałem do bazy, byłem już pewien, że bez pomocy kogoś, kto wskaże mi drogę i nauczy mnie, jak mam się poruszać koleinami nowego, zmienionego świata, nigdy nie uda mi się wywiązać z powinności wobec martwego brata i martwych przyjaciół. Chciałem to przemyśleć, u siebie, w magazynie, jednak po przybyciu na miejsce natychmiast podszedł do mnie Tolos i powiedział, że mam się zameldować u kapitana Berka. Barczysty

telumi czekał na mnie. Był sam. Przyjrzał mi się uważnie tymi swoimi wypukłymi oczami z pancernego szkła i zapytał: „Widziałeś?”. Nie miałem pojęcia, czy chodziło mu o świadomą broń, czy raczej o to, co uciekło w głąb płyty tektonicznej, ale w sumie widziałem obie te rzeczy, więc odparłem, że tak. „To dobrze”, powiedział, „być może czeka cię prawdziwy ruch, ale to trudne i wymaga świadomego wysiłku. Nikt nie wie, czy dasz sobie radę. Na razie tylko wskazano ci kierunek. Gdy poczujesz, że jesteś gotów wziąć w tym udział, daj mi znać. Tolos nauczy cię, jak składać ofiary i zwracać się do Matki”. Słuchałem go, pograżając się w coraz większej konsternacji. Nie wiedziałem, o czym on mówi. Uniosłem głowę i zobaczyłem białe mewy krążące nad zatoką. Wtedy przypomniałem sobie ptasią zagadkę Feroza i zrozumiałem...

Potężne tąpnięcie niemal zrzuciło Barkelby'ego i Sihamur z łóżka. Z sufitu posypały się na nich kawałki tynku i okruchy skał.

– Co jest?! – jęknęła przerażona Sihamur.

Coś zastukało w drzwi. Barkelby poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

– To ja, Tarsus – rozległ się brzękliwy, metaliczny głos.

Sihamur kliknęła przełącznikiem, ale światło się nie zapaliło.

– Co za cholera... – syknęła, włączając latarkę.

Tarsus szarpnął drzwi, lecz nie mógł ich otworzyć, bo były zaryglowane.

– Po co się zamykacie?! – warknął wściekły. – Przecież tu nikogo nie ma.

– Ty jesteś – odparła Sihamur, wciskając się w obcisły elastyczny trykot.

Szybko wskoczyła do pancernego skafandra, zapięła klamry i postukała palcem w okrągłe akwarium wbudowane na wysokości piersi. W środku, za grubym hartowanym szkłem, w którym zatopione były liczne elektrody, pływał duży biały robak, tark'sah,

żywe źródło prądu, które zasilalo wszystkie podzespoły skafandra. Robak zaczął się wic i pulsować. Natychmiast rozjarzył się reflektor umieszczony na lewym ramieniu skafandra Sihamur i z szumem ożyły serwomechanizmy. Barkelby łatwo uporał się z trykotem, ale wciąż nie mógł sobie poradzić z zacinającymi się kłamrami, które łączyły zachodzące na siebie skorupy skafandra. Sihamur podała mu latarkę i otworzyła drzwi.

Na zewnątrz, w ciemnym korytarzu, stał Tarsus, comisori, który wyglądał jak dwuipółjardowa aluminiowa modliszka z czterema ramionami. Chodził wyprostowany, na dwóch nogach, niczym człowiek, ale pod żadnym innym względem nie przypominał człowieka. Lśnił metalicznie w świetle reflektora. Jego trójkątną głowę przecinała pozioma głęboka bruzda, w której rubinowo jarzyły się liczne oczy.

– Musimy uciekać – powiedział.

– Co?! Dlaczego?! – krzyknęła Sihamur.

Kolejne tąpnięcie niemal zważyło ich z nóg. Barkelby wpadł plecami na ścianę i zdawało mu się, że już to kiedyś przeżył, właściwie był tego pewien, tak samo jak tego, że wie, co zaraz powie Tarsus. Comisori trzymał się mocno framugi metalowych drzwi i wpatrywał się w niego intensywnie.

– On wie – stwierdził.

Sihamur odwróciła się w stronę Barkelby'ego.

– O czym on mówi? – zapytała.

Czuł to już bardzo wyraźnie, całym sobą. Czuł, jak gęstnieje obecność czegoś, co wydobywa się z wąskiego, ciasnego miejsca i szybko rozrasta we wszystkie strony, zmienia zapach powietrza, delikatnie marszczy powierzchnię kamieni. Barkelby spojrział na niską szafkę, w której zamknął uspiętego Zergotta, i powiedział:

– Miałaś rację. Krek'h-pa chce wyjść. Teraz.

Kiedy Hessirun krzyknął, było już za późno. Tertell podbiegł do niego tak szybko, jak tylko zdołał, ale to, co zobaczył, sprawiło, że stanął jak wryty. Pochyła łąka trawiastych Cicho Zielonych, na której się paśli, łagodnie opadała w stronę gęstego lasu drzewiastych Cicho Zielonych i niemal na granicy ich terytoriów, w chłodnym cieniu rzucanym przez liście rozgałęzionych olbrzymów, znajdował się niezbyt głęboki dół, w którym rósł mały, krzaczasty Cicho Zielony. Był to jeden jedyny dół na całej łące. A właściwie dołek, który nie stanowiłby zagrożenia nawet dla kilkudniowych jagniąt. Ale wielki i silny Hessirun nie dał mu rady i musiał do niego wpaść. I to nie tak zwyczajnie. O nie. Ten sparszywiały czworonożny worek na kłopoty, obciążony kulawym darem nieszczęścia, musiał to zrobić we własnym stylu, widowiskowo, czyli tak, jak jeszcze nikt nigdy tego nie zrobił. No i tkwił teraz, kopytami do góry, zaklinowany między łamliwymi gałązkami na wpół uschniętego Cicho Zielonego.

Tertell nie potrafił stwierdzić, czy targa nim tłumiony śmiech, czy wzbierająca wściekłość. Hessirun zawsze wzbudzał w nim ambiwalentne uczucia. W pierwszym odruchu miał ochotę go tu zostawić. Albo kopnąć i zostawić. Albo ugryźć, kopnąć i zostawić. Znał jednak Hessiruna od tak dawna, że wiedział, że niczego go to nie nauczy, bo on już taki jest i nic nie wskazywało, że kiedykolwiek się zmieni. A złośliwe zaczepki, szturchańce, docinki i głupie kawały sprawiają jedynie, że robi mu się przykro i zaczyna opowiadać o mgle, deszczu i ulubionych Cicho Zielonych, kwaśnych, miękkich i trawiastych, którzy nagle, z niewiadomego powodu, stracili smak. Tertell przemógł więc małosłowną pokusę, westchnął i podszedł bliżej, żeby mu pomóc.

– Wygodnie ci? – zapytał.

– Zimno mi w jaja – odparł Hessirun całkiem poważnie, jakby w ogóle nie wyczuł ironii. Jego głos był dziwnie przytłumiony.

– W tej sytuacji to normalne, wiatr może z nimi robić, co chce. Zostawię was sam na sam, bo mam wrażenie, że ci się to podoba.

– Nie, nie, zaczekaj! Nie rozumiesz! To nie tak jak zwykle! Nie zamysliłem się! No, może trochę, lecz wlałem tu specjalnie. Coś tu jest, na dnie dołka. Świeciło się i chciałem się temu przyjrzeć. Ale trochę mi nie wyszło...

Tertell obszedł go dookoła, lecz niczego nie wypatrzył, gdyż ciało przyjaciela niemal całkowicie wypełniało dołek. Zaintrygowało go, że nie może również dostrzec jego głowy. Słyszał Hessiruna, więc musiała być na swoim miejscu. Bez niej nie mógłby mówić, to przecież oczywiste, pomyślał Tertell i dość szybko doszedł do wniosku, że głowa musiała się wbić w dno dołka i zapewne znajduje się teraz pod ziemią. To tłumaczyłoby, dlaczego głos Hessiruna jest taki stłumiony.

– Możesz oddychać? Dobrze się czujesz?– zapytał z niepokojem.

– Trochę boli mnie oko, ale poza tym nic mi nie jest i chciałbym już normalnie stanąć na nogach. Pomożesz?

Tertell obejrzał się za siebie. Stado pasło się spokojnie na pochyłej łące. Kozymandisi i kozymandiski nieśpiesznie przeżuwali źdźbła trawiastych Cicho Zielonych i tylko czworo z nich zwróciło uwagę na to, co się przytrafiło Hessirunowi. Z uniesionymi głowami obserwowali rozwój wydarzeń. Wśród nich był Aserem, silny kozymandis z okazałymi rogami, w którym wielu członków stada widziało następcę obecnie panującego przywódcy, głównego kozymandisa, Tazama. Aserem zagwizdał i uniosły się kolejne głowy, w tym dwóch jego niezbyt inteligentnych, ale wiernych popleczników, Naluma i Gezema. Tertell wiedział, czym to grozi. Wystarczy drobna zachęta Aserema i od razu zejdzie tu cała trójka, by naigrawać się z Hessiruna, który nic nie mógł poradzić na to, że

jest, jaki jest. Tertell chciał mu tego oszczędzić.

– Jasne – odparł. – Ale sam nie dam rady. Musisz mi pomóc. Przekręć się w bok, w stronę drzewiastych Cicho Zielonych, i to szybko, zanim zobaczą cię te nieliczne kozymandiski, którym jeszcze czasem zdarza się na ciebie zerkać, albo, co gorsza, przyjdzie tu ktoś, kto będzie chciał sprawdzić, jak twoje jaja reagują na poszturchiwanie rogami.

– Dobra, już... – powiedział Hessirun, lecz, zamiast wykonać polecenie Tertella, zaczął niezgrabnie wierzgać nogami.

– Co ty wyprawiasz, głupia karmo dla zębaczy?

– Próbuję się przekręcić, ale nie mam nic pod kopytami. Bez podparcia nie mogę.

Tertell sapnął poirytowany.

– Musisz popracować całym ciałem, idioto, jak gąsieniczniki na liściach. Rozumiesz?

– Spróbuję – stwierdził Hessirun swoim przytłumionym głosem, dobiegającym z głębi ziemi, lecz jego ruchy stały się nagle tak nieporadne i spazmatyczne, że na ich widok Tertell dostał ataku śmiechu.

Na moment stracił nad sobą panowanie. Dygotały mu nogi, łzawiły oczy i czuł krople gorącego moczu ściekające po udach. Wtem usłyszał jednak coś, co sprawiło, że śmiech ulotnił się równie szybko, jak się pojawił.

– Nie za dobrze się bawicie? – zapytał Aserem.

Tertell poznał go po głosie i nie musiał się odwracać, żeby się upewnić, że to on. Był też pewien, że nie przyszedł tu sam. Pomyślał, że zostało mało czasu, by pomóc Hessirunowi, i to jest właśnie ten moment, w którym powinien coś wymyśleć. Coś błyskotliwego i skutecznego. Z całą pewnością nie miał tak dużych rogów jak inni kozymandisi w stadzie i nie był równie silny, ale uważał, że ma w sobie tyle mądrości, że zawsze znajdzie sposób, by

przechytrzyć resztę stada, w tym także Tazama i Aserema. W każdym razie tak sobie wmawiał, bo rzadko kiedy miał okazję, by to udowodnić. A i wtedy chodziło zazwyczaj o drobne sprawy, które mało kto traktował poważnie. Łatwo było zmyślać wytłumaczenia dla różnych niegroźnych wypadków, do których dochodziło z powodu niezgrabności Hessiruna, czy odwracać uwagę szukających zaczepki kozymandisów, bo nie dochodziło wtedy do bezpośredniej konfrontacji. Cała energia, wszystkie gniewne emocje przechodziły bokiem i nikt nie obrywał. Tak, w unikach Tertell był mistrzem, ale wszystko wskazywało na to, że tym razem mu to nie pomoże. Starcie wydawało się nieuniknione. Był jednak przekonany, że istnieje jakieś wyjście z tej sytuacji, tylko on nie może go dostrzec. Myśli gorączkowo wirowały mu pod czaszką. Ledwo za nimi nadążał. Nagle zdał sobie sprawę, że w normalnych sytuacjach nikt nie atakuje Hessiruna fizycznie, bo jest bardzo duży i mimo jego wrodzonej nieporadności wszyscy kozymandisi czują respekt dla jego rozmiarów. To nasuwało oczywisty wniosek: trzeba go jak najszybciej postawić na nogi, trzeba jak najszybciej wyrównać szanse. Jeśli się uda, to Aserem i jego poplecznicy nie będą mieli odwagi go skrzywdzić i skończy się tylko na złośliwych docinkach. A z tym już sobie poradzą.

Tertell doskoczył do Hessiruna, przyłożył rogi do jego boku i pchnął. Niewiele to dało, bo nie miał wystarczająco dużo siły, żeby ruszyć go z miejsca.

– Ej, co ty wyprawiasz? – zapytał zdezorientowany Hessirun.

Aserem i jego towarzysze parsknęli śmiechem.

Tertell zrozumiał, że w tej sytuacji pozostaje mu tylko jedno. Pochylił głowę i wbił ostre końce swoich rogów w podbrzusze Hessiruna. Jego reakcja była natychmiastowa. Wrzasnął, niemal podskoczył w miejscu, błyskawicznie zgiął się w pół, przekręcił i stanął na czterech nogach, obok dołka.

– Co mi zrobiłeś? – zapytał, patrząc z wyrzutem na Tertella.

– Przepraszam, musiałem, ja...

Aserem nie dał mu dokończyć.

– Bodłeś się z krzaczastym? – zapytał.

Tertell ze zdumieniem zauważył, że prawe oko Hessiruna jest czerwone i spuchnięte, jakby jego przyjaciel faktycznie się z kimś bił. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że zamiast lewego rogu miał jakąś dziwną, podłużną rzecz, która emanowała złotym blaskiem popołudniowego słońca, przesączającego się przez gęste liście drzewiastych Cicho Zielonych. Po dłuższej chwili Tertell nabrał przekonania, że ta rzecz jest zapewne pusta w środku i po prostu nabiła się na róg Hessiruna, gdy wpadł do dołka.

– Czemu się tak na mnie gapicie? – zapytał Hessirun, który nie rozumiał, co się dzieje, i chyba nie dosłyszał złośliwego pytania.

– Masz coś na głowie – stwierdził Aserem, a jego poplecznicy zarechotali ubawieni.

– Ja? Nic nie czuję – powiedział Hessirun i zmierzył Aserema gniewnym spojrzeniem. – Znowu zaczynasz?

Tertell wyczuł w jego głosie coś nowego, połyskliwy cień twardości, której nigdy wcześniej tam nie było.

– Daj spokój, nie warto się nim przejmować – stwierdził. – Lepiej mi powiedz, jak wyglądała ta świecąca rzecz na dnie dołka, która przyciągnęła twoją uwagę.

– Nie wiem, widziałem tylko złoty blask, podłużny złoty blask.

Tertell pokiwał głową.

– No cóż... Obawiam się, że to, co tam było, nabiło się na twój róg.

– Ale jak to?! – zdumiał się Hessirun i natychmiast zaczął histerycznie potrząsać łbem i przewracać szeroko otwartymi oczami. Wyglądało na to, że w absurdalny sposób usiłuje przyjrzeć się swoim rogom, co z oczywistych powodów było niemożliwe i jego

dziwaczne zachowanie wywoływało tylko kolejne salwy śmiechu.

– Przestań! – warknął Tertell, rozdarty między poczuciem zażenowania a potrzebą chronienia przyjaciela, który wystawia się na łatwy atak.

Pomogło. Hessirun znieruchomiał i nie robił już z siebie pośmiewiska.

– Niczego nie widzę – stwierdził zdyszany.

– W dupę sobie zajrzyj, kretynie – parsknął Aserem.

– Do mnie mówisz, kwadratowy bobku? – zapytał Hessirun głosem ciężkim od narastającego gniewu.

– A widzisz tu innego półgłówka, który przynosiłby wstyd całemu stadu? Już dawno powinienś zostać usunięty z naszej rodziny, ale Tazam ma chyba za małe jaja, żeby to zrobić. Bądź wreszcie prawdziwym kozymandisem. Zrób chociaż jedną dobrą rzecz dla tego stada i odejź. Wszyscy będą ci wdzięczni.

Hessirun zmrużył oczy i powoli ruszył w stronę Aserema. W powietrzu pojawiło się wyraźnie wyczuwalne napięcie. Tertell stanął przyjacielowi na drodze i spróbował przemówić mu do rozsądku.

– Co ty robisz? Chodźmy stąd, nim któremuś z nas stanie się krzywda.

– Lepiej go posłuchaj – powiedział Aserem, lecz jego głos zdradzał, że nie jest już taki pewny siebie.

– Nie zamierzam – odparł krótko Hessirun, obszedł Tertella i zbliżył się do Aserema, nie spuszczać z niego wzroku.

Tertell parzył na to z niedowierzaniem. Co tu się dzieje? – pytał w myślach samego siebie. To nie była normalna sytuacja. Hessirun nie był sobą. Zachowywał się jak jakiś obcy kozymandis. Widać było, że Aserem też jest zaniepokojony jego agresywną postawą, niepewnie przestępuje z nogi na nogę i prawdopodobnie, gdyby tylko mógł, obróciłby to wszystko w żart i wycofał się z godnością.

Ale nie było takiej możliwości. Hessirun nie okazywał strachu, nie kładł uszu po sobie i wyraźnie dążył do starcia. Zatrzymał się przed Aseremem, który krzyknął:

- Nie prowokuj mnie, bo pożałujesz!
- Zobaczymy...

Odpowiedź Hessiruna nie pozostawiała już żadnych wątpliwości, jak to się musi skończyć. Tertell przełknął ślinę. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien się rozejrzeć, czy gdzieś w pobliżu nie ma Tazama, jedyne gozymandisa, który mógłby stanąć między nimi i zapobiec tej walce, ale bał się nawet mrugnąć, żeby nie przeoczyć momentu, w którym energia starcia zostanie uwolniona. Napięcie było nieznośne. Ostry zapach feromonów łaskotał w nozdrzach. Przeciwnicy stali bardzo blisko siebie i nie było miejsca na rozbieg, więc Tertell podejrzewał, że pierwszy gozymandis, który nie wytrzyma napięcia, podskoczy i stanie na tylnych nogach, aby wykorzystać ciężar ciała i zaatakować rogami z góry.

Nie pomylił się.

Aserem poderwał się w górę, żeby zadać cios, ale Hessirun, który był nieco wyższy od przeciwnika, wysunął głowę do przodu, zahaczył swoimi rogami o rogi Aserema i z ogromną siłą ściągnął go w dół. Wszystko działo się tak szybko, że błyszczący przedmiot nabity na jego róg zmienił się w smugę płynnego złota. Aserem zachwiał się, lecz zdołał ustać na nogach i błyskawicznie zaparł się kopytami gotowy do siłowania. Ale Hessirun jakby na to czekał. Przechylił głowę w lewo i ich rogi się rozłączyły. Tego Aserem się nie spodziewał. Stracił równowagę, poleciał do tyłu i zdezorientowany przysiadł na zadzie. Hessirun nie dał mu czasu, by ochłonął i zdał sobie sprawę, co się dzieje. Trzema potężnymi susami skrócił dystans i z impetem wbił się rogami w żebra Aserema. Siła uderzenia była tak duża, że wyrzuciło go w górę, obróciło

w powietrzu i z głuchym łomotem spadł na plecy. W strasznej ciszy Hessirun podszedł do leżącego Aserema. Tertell poczuł zimne iskry pulsujące wzdłuż kręgosłupa i zrozumiał, że to jeszcze nie koniec. Hessirun uniósł kopyto i jednym ciosem złamał lewy róg Aserema. Potem uniósł je znowu, ale powstrzymał go władczy głos.

– Dość! Nie musiałeś tego robić. Dostał już za swoje.

Wszyscy odwrócili się w stronę tego, który wypowiedział te słowa. Tazam stał na skraju lasu w otoczeniu kilku swoich ulubionych kozymandisek. Wyglądało na to, że właśnie wyszli z gęstwiny drzewiastych Cicho Zielonych. Główny kozymandis nie był zdenerwowany. Sprawiał wrażenie raczej zasmuconego.

– Wystarczy zostawić was na chwilę i od razu zaczynacie rozrabiać. Choć akurat po tobie się czegoś takiego nie spodziewałem...

Hessirun patrzył na niego tak nieustępliwie, że Tertell zaczął się bać, że z nim również będzie chciał walczyć. Tazam odczytał jego spojrzenie w taki sam sposób.

– Ze mną też chcesz spróbować? – zapytał.

Hessirun powoli opuścił nogę. Wciąż milczał i nie tylko Tertell zastanawiał się, jakie myśli kłębią się teraz w jego głowie.

– Nie ma sprawy, możemy to zrobić – stwierdził spokojnie Tazam – lecz jeśli mnie pokonasz, a potem nie zajmiesz się należycie stadem, to będziesz miał przeciwko sobie wszystkich kozymandisów i wszystkie kozymandiski. Rozumiesz?

– Tak – odparł cicho Hessirun. Nagle wydał się mniejszy, jakby uszło z niego powietrze, a wraz z nim całe napięcie. – Nie tego chcę. Nie byłbym dobrym przywódcą. To niemożliwe, ja... ja... nie chciałem go aż tak bardzo...

Tazam podszedł do Hessiruna, obejrzał z bliska pojękującego Aserema i powiedział:

– Wyliże się, jest tylko trochę poturbowany. Najbardziej

ucierpiało jego poczucie własnej wartości, które będzie skomleć tak długo, jak będzie odrastał jego róg. Ale ty, Hessirunie, jeśli nadal uznajesz moją władzę, musisz teraz zrobić to, co ci każe.

– Tak, Tazamie, oczywiście... – odparł Hessirun ze spuszczoną głową.

– Pójdiesz do lasu i odszukasz norę niuchaczy i zieloniarek. Wśród nich żyje niejaka Bmulkyna. Chcę, żebyś ją do nas przyprowadził. To bardzo stara kozymandiska i jest już nieco zachwiana, ale zna się na leczniczych Cicho Zielonych jak mało kto i doradzi naszemu obolałemu Aseremowi, co powinien jeść, żeby szybko odzyskać siły. Przy okazji obejrzy go dokładnie i sprawdzi, czy nie złamałeś mu czegoś jeszcze. No i być może będzie też wiedziała, jak ściągnąć ci z rogu tę świecąca rzecz, której nabawiłeś się nie wiadomo kiedy.

– Dobrze, chętnie, lecz nie mam pojęcia, gdzie może być ta...

– Ja pomogę – powiedział Tertell. – Pójdę z nim, jeśli tylko pozwolisz, Tazamie.

– Nie mogło być inaczej – stwierdził spokojnie Tazam, a Tertell uświadomił sobie, że tylko uprzedził fakty. – Ruszajcie natychmiast. Nie macie dużo czasu. Na razie pogoda nam sprzyja, ale nie wiadomo, jak długo będzie to trwało. Za dwa, najdalej trzy dni zaczniemy się przemieszczać na drugą stronę przełęczy i mam nadzieję, że do tego czasu wrócicie już z Bmulkyną. Jeśli nie zdążycie, to spotkamy się po drugiej stronie, pod Starą Granią. Ale tam też nie będziemy czekać na was wiecznie, bo gdy niebo zasłonią grube czarne chmury i zacznie padać, to będziemy musieli zejść do doliny...

– Zdążymy – powiedział Tertell.

– Mam nadzieję. Idźcie już i uważajcie na zębacze.

Tertell czuł na sobie spojrzenia wszystkich kozymandisów i kozymandisek, ale ignorował je pogardliwie. Odwrócił się i ruszył

w kierunku lasu. Po chwili dogonił go Hessirun.

– Pozbył się nas, co? – zapytał.

Nawet dla niego było to oczywiste.

– Tak, liczy na to, że nie wrócimy, ale mam straszną ochotę go rozczarować.

Hessirun zachichotał.

– Ja też. Ja też...

Tazam w milczeniu odprowadzał ich wzrokiem. Patrzył, jak ta dziwna para kozymandisów, przy której wszyscy czują się nieswojo, wchodzi w gęstwinę drzewiastych Cicho Zielonych. Czuł ulgę, że na jakiś czas, może nawet na zawsze, ma ich z głowy. Nagle wydało mu się, że w głębi lasu, między konarami, widzi ogromne, niezrozumiałe kształty, jakie w żadnym razie nie powinny istnieć. Jeden kanciasty i metaliczny, na czterech długich i jakby dwuelementowych nogach, a drugi podłużny, przypominający potężnego węża, grubego jak drzewiasty powalony wiatrem i łypiącego wielkim, zimnym okiem, wypukłym i suchym. Tazam mrugnął, kształty zniknęły. Hessirun i Tertell również. Został tylko las. I niskie słońce drgające żywym złotem na liściach.

PIRGA

KREK'H-PA
S'ETPIS

Pociąg jechał na wschód. Bruno drzemał w przedziale, który przypominał wnętrze małego, przytulnego kufra wyściełanego ciemnoczerwonym aksamitem. Teczka z dokumentami zsunęła mu się z kolan i spadła na podłogę. Nie obudził się. Monotonny stukot kół spychał go w głąbinę snu.

Wydawało mu się, że tylko na chwilę zamknął oczy, lecz gdy uniósł ciężkie powieki, był już szary świt i pociąg stał na pustym peronie. Bruno otworzył okno, wpuścił do przedziału chłodną wilgoć jesiennego poranka i wystawił głowę na zewnątrz. Peron okazał się zwykłą rampą załadunkową, która nie miała nawet zadaszenia. Żaden dźwięk nie mącił ciszy. Bruno spojrzął w lewo i za niskimi budynkami zobaczył wielki betonowy mur.

– Nareszcie – powiedział z uśmiechem.

Nagle usłyszał donośny chrzęst zbliżających się kroków i na końcu rampy pojawił się człowiek w wojskowym mundurze. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Podszedł i zapytał:

– Pan Bruno Grass?

– Zgadza się.

– Sierżant Edmund Beli, adiutant kapitana Kavo. Chodźmy. Zaprowadzę pana do niego.

Bruno zebrał porozrzucane dokumenty, które czytał w trakcie podróży, i wrzucił je do walizki. Potem włożył płaszcz i niezdarnie wygramolił się z wagonu. Sierżant odwrócił się i ruszył do przodu różnym krokiem, nie oglądając się za siebie. Bruno starał się, jak mógł, i nerwowo przebierał nogami, ale nie potrafił go dogonić. Za rampą znajdował się szeroki plac zryty błotnistymi koleinami. Bruno próbował balansować ciałem i przeskakiwać z jednego suchego miejsca na drugie, tak samo jak to robił sierżant, lecz nie

miał jego wprawy i przeszkadzała mu ciężka walizka, więc szybko przegrał nierówną walkę i wpadł po kolana do ciemnobrązowej wody. Gdy próbował się z niej wydostać, błoto z łapczym mlaśnięciem połknęło jego lewy but. W końcu jednak przemoczony i wściekły dotarł na drugą stronę placu, gdzie pod bramą zamkniętego magazynu czekali na niego sierżant Beli i terenowy UAZ. Sierżant bez słowa odebrał mu walizkę i wcisnął ją między siedzenia. Wsiedli do samochodu. Ryknął silnik i UAZ skoczył do przodu, rozchlapując błoto.

– Trochę asfaltu by tu nie zaszkodziło – stwierdził Bruno.

– Wręcz przeciwnie. Rzadko miewamy gości, a trudne warunki pomagają trzymać żołnierzy w ryzach.

– Pewnie wydajecie majątek na buty.

Sierżant nie raczył się uśmiechnąć.

– W tych i tak daleko by pan nie zaszedł. Poproszę magazyniera, żeby wyszukał panu coś lepszego. Jaki rozmiar pan nosi?

– Zazwyczaj pasuje czterdzieści pięć. Wolałbym przymierzyć, zanim...

– Oczywiście. Przyniosę panu kilka par do wyboru.

Beli niechętnie używał hamulca, więc samochód ślizgał się na zakrętach, podskakiwał i zarzucało nim na boki. Błyskawicznie przemknęli między długimi budynkami z ciemnobrązowej cegły i obok przestronnego warsztatu, w którym spawacze pracowali przy rozbebeszonym wozie pancernym. Później ostro skręcili w lewo i jechali wzdłuż ogromnego betonowego muru. Minęli truchtającą grupę lekko ubranych żołnierzy, męczących się w trakcie porannej zaprawy, i gwałtownie zahamowali przed toporną sześciopiętrową siedzibą dowództwa.

Biuro kapitana Kavo mieściło się na najwyższej kondygnacji i było częścią jego kwatery, dlatego też brak windy chyba nie stanowił dla niego problemu. Mozolnie wspinając się po stromych

schodach, Bruno wpatrywał się w szerokie plecy sierżanta Beli i myślał o tym, że adiutant, czy tego chce, czy nie, musi mieć doskonałą kondycję.

Kavo już na niego czekał. Świeżo ogolony, w rozpiętym mundurze i z nogami na biurku. Zmierzył Bruna pogardliwym spojrzeniem i wskazał mu krzesło.

– Proszę siadać. Widzę, że chrzest ma pan już za sobą.

– Chrzest?

Kavo wymownie zerknął na bosą stopę Bruna pokrytą skorupą jasnobrązowego błota.

– No tak...

– Wszyscy rekruci muszą zaliczyć plac.

– Nie jestem pańskim żołnierzem, kapitanie.

– Nie zaszkodzi panu.

– Rozumiem, że chce mnie pan zniechęcić.

Kavo zarechotał.

– Gdyby tak było, to wylądowałby pan w lazarecie. Z postrzałem.

– Nie życzę sobie takich żartów.

– To nie był żart. Najchętniej odesłałbym pana z powrotem, lecz nie mam wyboru.

– Na szczęście.

– O szczęściu porozmawiamy, jak pan wróci. O ile pan wróci. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób udało się panu przekonać władze do tego pomysłu?

– Niech pan nie udaje, kapitanie. Przecież zna pan moje nazwisko.

– Oczywiście, ale co to ma...? Aha... Dziękuję, że mi pan podpowiedział. Sam bym się chyba nie domyślił. Amelia Grass była pańską żoną?

– Tak i nie podoba mi się, że mówi pan o niej w czasie przeszłym.

– Rozumiem, co pan czuje, ale fakty są takie, jakie są.

– Znam je lepiej od pana. Byłem jednym z tych, którzy tworzyli program badawczy dla Pirgi i budowali wokół strefy naukową infrastrukturę.

– Ale, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, nigdy pan tu nie był, prawda? Wszystko robił pan z za biurka.

– Nie było takiej potrzeby...

– Ładnie to tak wystugiwać się żoną?

– Niech pan zachowa dla siebie te żenujące impertynencje. Proszę tylko wykonywać rozkazy.

– Spokojnie, zrobię wszystko, co muszę. I nic więcej.

– Tyle wystarczy.

Kapitan Kavo wstał i zapiął mundur.

– Pozwoli pan, że coś sprawdzimy? To niedaleko. Tędy proszę.

Kavo otworzył szerokie dwuskrzydłowe drzwi. Za nimi znajdował się duży salon, w którym stał masywny dębowy stół zarzucony mapami. Minęli go i dotarli do kolejnych drzwi, tym razem przeszklonych, które prowadziły na taras. Gdy na niego wyszli, Bruno zrozumiał, dlaczego kapitan mieszka i urzęduje właśnie w tym miejscu. Był to najwyższy budynek w jednostce i tylko z niego można było zobaczyć, co kryje się za murem.

Gęsty las ciągnął się po horyzont.

– Ładny widok, prawda? – rzucił kapitan.

– Rzeczywiście...

– Niech pana nie zwiedzie. To bardzo niebezpieczne miejsce.

Słyszysz pan coś?

– Co pan ma na myśli?

– Cokolwiek.

– Wiatr. Ptaki. Nie wiem, o co panu chodzi.

– Widzi pan, w którą stronę biegną tory? Proszę tam spojrzeć.

Nie tu! Tam. Wyżej. Widzi pan coś na horyzoncie?

– Mgłę. Wstające słońce. Naprawdę nie rozumiem...

– Niektórzy potrafią to zobaczyć i usłyszeć z dużej odległości, ale pan chyba nie jest jednym z nich.

Bruno poczuł muśnięcie strachu.

– To dobrze czy źle?

– Podobno zna pan fakty lepiej ode mnie.

– Tak. Znam.

– I nie zmienił pan zdania?

– Nie.

– To proszę się zbierać. Moi ludzie są już gotowi.

* * *

Pociąg był krótki. Do lokomotywy doczepiono tylko jeden wagon towarowy. Ciężka przesuwana brama otworzyła się ze zgrzytem i skład wtoczył się do strefy. Nie mógł jechać szybko, bo na torach leżało mnóstwo połamanych gałęzi, a drewniane podkłady były stare i zmurszałe. Piętnastoosobowy oddział żołnierzy, pod dowództwem chorążego Talawy, szedł przed lokomotywą i czyścił tory. Bruno siedział w kabinie obok starego maszynisty, który co chwila zerkał w jego stronę, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

– Czy to prawda, że Amelia była pańską żoną?

Bruno oderwał wzrok od wolno przesuwających się drzew i spojrzał na maszynistę.

– Jest moją żoną.

– Niesamowita kobieta. Kavo serdecznie jej nienawidził, bo ludzie darzyli ją większym szacunkiem niż jego. Gdy nakazał wszystkim opuścić strefę, nie tylko odmówiła wykonania rozkazu, ale jeszcze przekonała sporą grupą naukowców, żeby zostali razem z nią.

– Skąd pan wie? Może to oni ją przekonali?

– Większość jednak wróciła i każdy z nich twierdził, że to był jej

pomysł. Kavo był wściekły i pojechał po nią osobiście. Jego żołnierze przeczesali teren, lecz nikogo nie znaleźli. Potem wojskowi zamknęli strefę. To było cztery lata temu. Od tamtej pory nikt tu nie wchodził. Do dzisiaj.

– Wiem...

– Co im pan powiedział?

– Komu?

– No tym. – Maszynista uśmiechnął się chytrze i wskazał na żołnierzy, którzy usuwali gałęzie z torów. – Wydawało mi się, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby ich do ponownego wejścia do strefy.

– To tylko żołnierze. Muszą wykonywać rozkazy. Nawet jeśli opierają się na fałszywych przesłankach.

– Jak to?

Bruno zganił się w myślach.

– Przepraszam, plotę bez sensu.

– Nie szkodzi. Dojeżdżamy.

* * *

Pociąg zatrzymał się na malutkiej stacji. Na krzywej tablicy łuszczyły się czarne litery układające się w słowo PIRGA, ale nikt na nią patrzył. Wszyscy kierowali wzrok w drugą stronę. Tam gdzie nad wioską unosiło się coś, co przypominało ogromny, nieruchomy piorun, który z trzaskiem wypala niebo.

Zjawisko pojawiło się siedemnaście lat temu, wczesnym rankiem 30 czerwca 1908 roku. I w jednej chwili większość mieszkańców wioski rozplynęła się w powietrzu. Pozostali uciekli i zawiadomili władze. Wojsko błyskawicznie zabezpieczyło teren, lecz po kilku dniach w popłochu wycofało się z Pirgi, bo kilku żołnierzy również zniknęło bez śladu. Pod naciskiem generałów rząd zdecydował, że teren zostanie ogrodzony, a wszelkie informacje na ten temat będą

ściśle tajne. Władze kupiły milczenie ocalałych mieszkańców Pirgi i oficjalnie wioska przestała istnieć. Pięć lat trwała budowa muru, który otoczył Pirgę kołem o średnicy czterdziestu kilometrów. Po zakończeniu prac Instytut Wojsk Lądowych w Kilunie zaczął dyskretnie werbować ochotników do tajnego projektu badawczego. Spośród chętnych wyselekcjonowano dwudziestu naukowców, wśród których znaleźli się Bruno i Amelia Grass. Pech chciał jednak, że on został przydzielony do grupy analityków, a ona do działań w terenie i musieli się rozstać na osiem długich lat, bo tyle trwały badania w Pirdze – zakończone dezercją i zniknięciem Amelii oraz zamknięciem strefy.

Bruno jednak wierzył, że ona wciąż tam jest, i przez cztery lata przekonywał wpływowych ludzi, żeby pozwolili mu wejść do strefy. A kiedy zabrakło mu argumentów i został doprowadzony do ostateczności, postanowił sfalszować list od Amelii, w którym jego żona wyznaje, że jest bliska rozwiązania zagadki Pirgi i odkryła coś, co pozwoli bezpiecznie badać elektryczne zjawisko. Kłamstwo okazało się bardzo skuteczne. Dzięki niemu Bruno znalazł się wreszcie tam, gdzie chciał, i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Czuł, że po prostu musiał to zrobić. Musiał tu przybyć. Za wszelką cenę. Dla niej. Dla Amelii. Nawet jeśli w którymś momencie przejrzą jego blef i zamkną go w więzieniu. Choć niedawna rozmowa z Kavo, podczas której kapitan zdaje się odgrywał przed nim wyuczoną rolę, podsunęła Brunowi myśl, że list wcale nie był decydującym czynnikiem i od początku jego przełożeni wiedzieli, że to fałszywka, ale pozwolili mu wierzyć, że ich przekonał, by podsycić jego determinację i by tym chętniej pojechał do Pirgi, tym chętniej znalazł się w miejscu, z którego może już nie wrócić. Dziesiątki, a może nawet setki pism z pytaniami, naleganiami i prośbami, które Bruno wysyłał, gdzie tylko się dało, mogły sprawić, że stał się uciążliwy dla swoich przełożonych, i ktoś

decyzyjny, ktoś na górze, postanowił, że nie można tego dłużej tolerować. I jedno pozwolenie załatwiło problem w białych rękawiczkach. Tak, było to bardzo prawdopodobne, lecz Bruno nie zamierzał teraz dociekać, która wersja wydarzeń jest prawdziwa, właściwie w ogóle go to nie interesowało, bo liczyło się tylko to, że w końcu mu się udało, dotarł do Pirgi.

– Gdzie są baraki naukowców? – zapytał z uśmiechem.

Chorąży Talawa wskazał na zrujnowane budynki.

– Za tymi domami. Niedaleko. Nad samym strumieniem. Idziemy z panem, ja i czterej żołnierze w eskorcie. Reszta pilnuje pociągu. Będzie gotowy do natychmiastowego odjazdu. Cokolwiek chce pan zrobić, panie Grass, proszę to robić szybko. Nie chciałbym tu zostawać dłużej niż to konieczne.

Bruno rozumiał jego strach. Objawy zawsze były takie same. To coś, to zawieszony w powietrzu piorunokształtne zjawisko, pałało oślepiającym blaskiem i huczało ogłuszającą nawałnicą trzasków. Ale im dłużej przebywało się blisko niego, tym mniej dokuczliwe było jego towarzystwo. Po tygodniu można już było patrzeć w górę bez okularów przeciwsłonecznych, a trzeszczący jazgot cichł i stawał się dyskretnym szumem marszczącym ciszę na granicy słyszalności. To był sygnał, że należy natychmiast wyjechać z Pirgi na kilka dni, by reakcje organizmu wróciły do normy. Każdy, u kogo stwierdzono wzrost tolerancji na efekty generowane przez zjawisko, musiał się udać na rekonwalescencję do jednostki, w której obecnie mieszkają wyłącznie żołdacy kapitana Kavo. Nieustanne wyjazdy i powroty narzucały tym, którzy tu pracowali, obowiązkowy rytm życia, bo wszyscy mieli świadomość, że ci, którym nie przeszkadza już obecność zjawiska, znikają w pierwszej kolejności. Tak było najczęściej. Zdarzało się również, jak przekonali się o tym na własnej skórze pierwsi żołnierze, którzy wkroczyli do opustoszałej Pirgi, że ludzie znikali tuż po przybyciu

do wioski, nagle, bez ostrzeżenia. Bruno od tak dawna badał te sprawy, że bez trudu potrafiłby wyrecytować z pamięci nazwisko i datę zniknięcia każdego z nich. Wiedział też, co oznacza dla niego fakt, że zjawisko ani go nie ogłusza, ani nie oślepia, choć przyjechał tu zaledwie chwilę temu.

Baraki naukowców zapadły się w sobie. Deszcz i słońce zniszczyły wyposażenie laboratoriów. Drewniana podłoga porośla trawą i mchem. Chorąży Talawa przestępował z nogi na nogę.

– Czego szukamy, panie Grass? – zapytał.

– Nie wiem...

Żołnierze rozglądali się nerwowo. Piękny, jesienny dzień starzał się z minuty na minutę. Bruno zauważył, że tuż za barakami rozciąga się szeroka łąka porośnięta wysoką turzycą – kwitnącą, soczysto zieloną, jakby następną porą roku miało być lato, a nie zima. Nagle zapomniał o bolących piętach, które obtarł sobie w nowych butach, i mimowolnie ruszył w jej stronę.

– Niech pan się nie oddala! – krzyknął chorąży. Musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć jazgotliwe trzaski wypełniające mu uszy, ale Bruno świetnie go słyszał, bo otaczała go cisza wyściełana kojącym szumem.

– Bez obaw. Zaraz wrócę.

Talawa nie próbował go zatrzymać. Miękkie źdźbła rozstępowały się przed Brunem. Szedł tak długo, aż dotarł do granicy lasu. Potem się odwrócił. W oddali zobaczył nieruchome sylwetki żołnierzy. Wiatr przywiał pojedynczy liść, który zawirował i nieśpiesznie zanurzył się w trawie. Bruno odszukał wzrokiem piorunokształtne zjawisko. Jego blask wypełnił go jak cudowne wspomnienie ukochanej osoby. Nie było już nic innego.

– Amelia?

Nikt mu nie odpowiedział. Z daleka zbliżały się obce dwunożne istoty. W górnych kończynach trzymały groźne narzędzia, ale nie

budziły w nim strachu. Ten świat rozpływał się w abstrakcyjnych formach, których nie potrafił już nazwać. Tracił go, lecz bez żalu. Ktoś pomagał mu przejść na drugą stronę. Czule. Delikatnie. Z miłością.

– Amelia?

* * *

Pielgrzymi przybyli ze wszystkich stron.

Jedni ufali tylko sile własnych odnóży, macek lub wypustek, a inni woleli zapaść w letarg w ciasnych kabinach chitynowych skoczków lub kontemplować widoki z ażurowych kajut wyhodowanych pod skórzastymi balonami, które wysoko nad ziemią tropią nurty przychylnych wiatrów i potrafią uprzyjemnić podróż, opowiadając niezwykle historie. Najbardziej towarzyscy organizowali karawany złożone z setek trójnożnych groa, noszących na grzbietach małe, aczkolwiek pomysłowe i wygodne kapsuły z drewna, metalu i grubego płótna, albo, jeśli byli bardzo zdeterminowani i nie mieli innego wyjścia, nakłaniali potężne mechaniczne struktury napędzane nieprzyjaznymi mineralnymi świadomościami, by zgodziły się ich przetransportować w zamian za życie jednego z nich, pielgrzyma, którego sprawiedliwie wylosują i który za obopólną zgodą zostanie wciągnięty w gorące trzewia mechanizmu i pochłonięty przez jego wewnętrzny ogień.

Każdy wybrał własny sposób pielgrzymowania, ale wszyscy zmierzali do tego samego miejsca. Na przełęcz Yanta, gdzie wznosi się czerwone wrzeciono prastarego klasztoru Wyznawców Góry.

Od niepamiętnych czasów raz do roku budzi się tam medytujący posąg Wadary i odprawia rytuał Przywołania – rozwija miękkie ramiona, unosi się w powietrze i tańczy we wnętrzu kulistej tęczy. Śpiew niesie się ponad tłumem pogrążonym w ekstatycznym

transie. W kulminacyjnym momencie Wadara opada, przywiera do kamienia i zastyga w bezruchu, pozostawiając wszystkich z poczuciem niespełnienia. Wyczekujących.

I wtedy nad przełęczą pojawia się widmo kolosalnej Góry.

Tak jak teraz.

W tym momencie.

Na chwilę stożkowaty kształt wypełnia całe niebo i wyraźnie widać, że na krawędzi płaskiego szczytu znajduje się ogromne metaliczne jajo, grafitowe i pobrużdżone. Jego kształt zagina umysły tych, którzy na nie patrzą, i formuje z nich bezdenne, pionowo opadające tunele, dzięki którym każdy z nich może spojrzeć w głąb, poza siebie.

Nie da się porównać tego przeżycia z niczym innym. Zanim Góra zniknie, wszyscy zostaną odmienieni. Wzbogacą ich miniaturowe skarby z innych czasów, blado migoczące pod skórą, albo rozpełzające się w powietrzu smaki wielu nakładających się wymiarów, dzięki którym odkryją, że są czymś innym, niż im się do tej pory wydawało. Poczują na sobie przerażające spojrzenie ciemnych, pradawnych maszyn, które obracają galaktykami i dostrajają do nich ruch każdego żywego istnienia. Niektórzy odkryją coś, czego nigdy nie chcieli wiedzieć, a inni to, co zawsze chcieli poznać.

Zwinięty w łuskowatą kulę amerbus dygocze zrozpaczony i pożera własne wnętrzności, bo zdał sobie sprawę, że żadne z ruchomych gniazd, które sam zaprojektował i kleił własną śliną, nie porusza się po równinach Zeretusa zgodnie z jego wolą. A mały włochaty tekot przysiadł zdumiony na kamieniu i radośnie kontempluje cudowną wiedzę, bo wreszcie zrozumiał, co oznacza słowo Amelia – które prześladowuje go od momentu, gdy wyklął się ze stożkowatego jaja – i zobaczył, w jaki sposób może to znaczenie odszukać.

KREK'IT'D
CYRARI'S
WOODTO

Być może właśnie tak się czuje fortak, który zrozumiał, że wpadł w pułapkę i już się z niej nie wydostanie, pomyślał Barkelby i usiadł na szerokim, płaskim kamieniu. Reflektor przytwierdzony do lewego ramienia jego skafandra rozświetlał wnętrze obszernej jaskini. Jej strop i ściany pokrywały gęsto żłobione formacje, odległe przypominające mechaniczne kwiaty wyrzeźbione w kamieniu. Barkelby wolałby w nich widzieć naturalne abstrakcyjne kształty, siłami erozji wytrawione w skałach przez tutejszy mikroklimat, a nie płaskorzeźby, które bardzo dawno temu, zanim czas starł z nich wszystkie szczegóły, ukazywały nieludzkie postacie wykonujące niepokojąco enigmatyczne czynności podpatrzone w jakimś pradawnym, zapomnianym świecie. Ale razem z nim było tu coś, co nie pozostawiało mu wyboru.

Minął już kilka takich jaskiń. Wszystkie wyglądały jak ogromne sześciennie komory o regularnych kształtach. Wszystkie były częścią starożytnego kompleksu tuneli i podziemnych zabudowań, tylko w niewielkim stopniu zagospodarowanych przez ludzi, którzy niegdyś zajmowali się ich badaniem. I wszystkie były puste.

Oprócz jednej.

Barkelby cały czas kierował się na południe, tak jak kazała mu Sihamur. Popędzany nieregularnymi wstrząsami, wywoływanymi przez wydostającą się z zamknięcia Krek'h-pę, szedł wzdłuż torów kolejki wąskotorowej i zmierzał do byłej siedziby dowództwa. Sihamur wyjaśniła mu, krok po kroku, w jaki sposób ma do niej dotrzeć, jak odnaleźć biuro człowieka, który przed laty nadzorował działania wojskowych naukowców pracujących w kompleksie, i gdzie powinien szukać znajdującego się tam sejfu. Powiedziała Barkelby'emu, że w jego zimnym, pancernym brzuchu, kryje się

zakodowana płytka magnetyczna i że tylko z jej pomocą można otworzyć grodzie i zalać suchy dok, w którym spoczywa mały kuter patrolowy – ich jedyna nadzieja na ucieczkę. Podała mu szyfr do sejfu – Barkelby'emu wydawało się podejrzane, że go zna, lecz przemilczał wątpliwości – a potem razem z Tarsusem poszła do suchego doku, żeby zatankować kuter i sprawdzić, czy wszystkie podzespoły okrętu funkcjonują prawidłowo.

Barkelby wiedział, co ma robić, rozumiał, dlaczego muszą się rozdzielić, i wierzył Sihamur, gdy mówiła, że nie ma innego sposobu, żeby się stąd wydostać, ale im głębiej wchodził w labirynt podziemnych korytarzy, tym silniejszy ogarniał go niepokój. Co gorsza, nie miał pojęcia, skąd się on bierze. Problemem nie był strach, bo to miejsce, mimo gęstniejącej obecności Krek'h-py, nie budziło w nim lęku. Chodziło o coś innego. Czuł się trochę tak, jakby z każdym krokiem coraz bardziej odrywał się od świata, który znał, albo jakby budził się z długiego, męczącego snu, z którego jednak, z jakiegoś powodu, wcale nie chciał się obudzić. W końcu Barkelby doszedł do wniosku, że źródłem jego niepokoju jest właśnie to dziwne poczucie niechętnego wybudzania, gdyż wszystko, co napotykał na swojej drodze, powoli przywracało mu jasność myślenia, mimo że w ogóle nie wydawała się zmacona, i rozrzedzało mgłę spowijającą jego wspomnienia, chociaż wcale nie odnosił wrażenia, że dostęp do nich jest czymś ograniczony. W jakiś nieuchwytny sposób wywierały na niego wpływ te puste kontenery mieszkalne, ciemne sztolnie, w których rdzewiały porzucone maszyny, laboratoria, gdzie wciąż panował wzorowy porządek, lecz wszystkie stoły, menzurki, pipety, autoklawy, mikroskopy i palniki były przyprószone cieniutką warstwą szronu, lśniącego matowo w świetle reflektora jak zmrożony kurz. Coś nieokreślonego przyciągało jego uwagę w stronę masywnych brył szklanych monitorów podłączonych do maszyn liczących,

najwyraźniej wciąż działających, bo za grubym szkłem pokrytym lodowym bielmem słabo migotały rozmazane ciągi nieczytelnych symboli i cyfr. Ale najbardziej oddziaływały na niego te obszerne jaskinie, tajemnicze sześcienne komory, które mijał od czasu do czasu i które wabiły go swoją pustą przestrzenią, magnetycznie rezonującą z tym, czego jeszcze nie potrafił rozpoznać, choć powoli wyłaniało się już spod cofających się fal sennej jawy zaciemniającej umysł. Dlatego też, gdy dotarł do opuszczonej siedziby dowództwa – piętrowego budynku z ciemnej cegły wzniesionego pod przewieszoną ścianą wysokiego korytarza – i zauważył, że niedaleko, nie więcej niż dwadzieścia pięć jardów od miejsca, w którym się zatrzymał, znajduje się kolejne charakterystyczne wejście do sześciennej jaskini, szybko uznał, że sejf może jeszcze chwilę poczekać, i ruszył w stronę komory. Podszedł do niej, oświetlił jej wnętrze reflektorem i mimowolnie odskoczył z krzykiem.

Nie była pusta.

Roztrzęsiony wpatrywał się w ciemność, która szczelnie wypełniała komorę, i dopiero po kilku długich chwilach udało mu się przekonać samego siebie, że cokolwiek tam jest, z całą pewnością nie jest żywe i nie rzuci się na niego, bo gdyby było inaczej, już dawno by to zrobiło. Zebrał się na odwagę i powoli uniósł reflektor. Światło prześlizgnęło się po skalistym podłożu, a potem załśniło na ciemnobrunatnej i jakby ceramicznej powierzchni dużego obiektu lewitującego na środku jaskini. Barkelby nie miał pojęcia, co to może być.

Nie zmieniało się, ale jednocześnie co chwila wydawało się czymś innym – wielkim robakiem zwiniętym w kulę, szklistą i skurczoną macką, obłą mechaniczną grudą, zbudowaną z tysięcy mikroskopijnych trybików poruszających się z prędkością rosnącej trawy, kryształową skorupą, wewnątrz której przelewa się gęsta

ziarnista ciemność, połyskliwą świadomością powolnego światła, które pod wpływem ruchów reflektora migotało leniwie w niezliczonych ciekłych fasetach i obrysowywało w powietrzu niemożliwy kształt wielowymiarowej soczewki, zakrzywiającej się w boleśnie niedorzeczny sposób... Wiele kształtów, wiele obecności i rzeczy, ukrytych w jednym kształcie, jednej obecności i rzeczy. Albo jedna obecność, jedna rzecz i jeden kształt ukryty w wielu obecnościach, kształtach i rzeczach, których nie sposób nazwać i które promieniowały każdym ze swoich znaczeń na skalistą komorę i na Barkelby'ego. A on patrzył i patrzył. Na obiekt i na pokrywające ściany dziwaczne płaskorzeźby, których nie potrafił zrozumieć, lecz czuł, że są częścią obiektu, projekcją jego obecności, kojącej niepokój i dotykającej w szczególności, bardzo głęboki sposób. Niespodziewanie przypomniała mu się nieżyjąca matka, która w czasach, kiedy był małym chłopcem, lubiła kłaść dłoń na czubku jego głowy, ale przestała to robić, gdy w wieku czternastu lat zaczął ją przerastać. Nie mógł sobie przypomnieć twarzy matki, lecz wciąż pamiętał ciepło jej dłoni. I dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo mu go brakuje. Zamknął oczy. Poczul żar wzbierających łez i duszność obezwładniającego wzruszenia. Zaszlochał bezgłośnie. Cisza spowiła go jak kokon. Obiekt lewitował bezszelestnie. W kulistym akwarium, wbudowanym w skafander na wysokości piersi, Tark'sach pulsował cichą elektrycznością. Krek'h-pa przestała się szarpać, ale nie wiadomo było, czy zdołała się już wydostać ze swojego zamknięcia, czy zamarła w bezruchu, czekając na to, co się wydarzy. Nagle czubek głowy Barkelby'ego otuliło znajome ciepło, a on otworzył załzawione oczy i zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Z wrażenia usiadł na szerokim płaskim kamieniu.

Otworzył klamry i rozszczelnił skorupy skafandra. Wysunął rękę z pancernego rękawa, włożył dłoń pod szklaną szybkę hełmu i otarł łzy. Potem, nie zważając na wpełzający do skafandra mróz, sięgnął

pod pachę, do kabury, w której znajdował się uśpiony Zergott. Chwycił za kolbę i bez przekonania spróbował go obudzić. Odkąd utknął w tym zapomnianym przez bogów i ludzi miejscu, robił to już wiele razy, ale efekt zawsze był taki sam – cisza, żadnego odzewu. I nic się nie zmieniło.

– Dość tego! Słyszysz?! Mam cię dość! – krzyknął Barkelby i rzucił Zergottem o ścianę.

Broń odbiła się od skały i z metalicznym brzękiem wylądowała w kącie jaskini. Echo podchwyciło ten dźwięk i poniosło go w głąb labiryntu podziemnych korytarzy. Barkelby słuchał, jak cichnie, i czekał. Czuł, że to kwestia minut. Nie pomylił się.

„To wszystko? Nic więcej nie przychodzi ci do głowy?”.

– Zasłużyłeś – odparł ponuro Barkelby.

„Nie twierdzę, że nie, lecz nie miałem innego wyjścia. Dla takich jak ty to zawsze jest trudne, bo od urodzenia istniejecie głębiej niż inni, ale ty chyba jesteś szczególnie odporny na światła migające w otchłani. Robisz wszystko, żeby nie zwracać na nie uwagi. Ignorujesz podpowiedzi i wskazówki. Manipulujesz wspomnieniami, w odpowiednich momentach odwracasz uwagę, cenzurujesz doznania. Nic się do ciebie nie przebija. Dlatego w końcu musiałem zaimprovizować coś radykalnego”.

– To bez znaczenia. Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłeś. Interesuje mnie tylko, jak mogę się stąd wydostać. Jeśli mi powiesz, to może zabiorę cię ze sobą.

„Jest kilka możliwości, ale żadna ci się nie spodoba. Swoją drogą podejrzewałem, że ciekawość już dawno zaprowadzi cię pod pancerne wrota, za którymi zamknięta jest Krek'h-pa, o której tyle opowiadała ci Sihamur”.

– Nie Sihamur, tylko ty.

„Przyznaj, że była przekonująca”.

– Spierdalaj!

Zergott zarechotał rozbawiony.

– A ja z nią... – mruknął Barkelby i poczuł, że się rumieni.

„Masturbacja też cię krępuje?”.

– Jak możesz porównywać?! Przecież to ty ją stworzyłeś! Kiedy żyła, nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby ona i ja, my, razem... To było, to było... – Przez chwilę szukał właściwego słowa, aż w końcu krzyknął: – Obrzydliwe!

„Nie kłam, wiem, że ci się podobało. Tylko ten Barkelby, w którego tak bardzo wierzysz, nie pozwala ci się szczerze wypowiedzieć”.

– Co ty próbujesz mi wmówić?! – wrzasnął Barkelby z wściekłością. – Dość tych gier! Nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby mnie naprawdę poznać, więc nie masz pojęcia, kim jestem. Nie wiesz, czego potrzebuję, do czego dążę, co mi się podoba... To ty ciągle kłamiesz i naginasz rzeczywistość, żeby wykorzystywać mnie do swoich celów...

„Nie chcę i nie muszę cię znać. Nawet cię nie lubię. Prawdę mówiąc, wystarczy mi, że wiem to, co najważniejsze; to, co z takim zapamiętaniem przed sobą ukrywasz. Nie pamiętam już, jak wiele razy próbowałem cię otworzyć, poszerzyć twoje pole widzenia, ale z jakiegoś powodu jesteś równie mało podatny na moje wysiłki, jak jakiś głupi fortak. Tylko Feroz potrafił na ciebie wpłynąć. Tylko on potrafił cię odpowiednio nakierować. Ja musiałem się uciec do podstępów. Co prawda, efekty są na razie mało zadowalające i nie wszystko wyszło tak, jak planowałem, ale jesteśmy na dobrej drodze...”.

– Powiedział irytujący wrzód na dupie. Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? Czego ty właściwie chcesz, co?!

Zergott znowu wybuchnął śmiechem.

„Ja?! A czemu ty się mnie nie pozbyłeś? Potrafisz szczerze odpowiedzieć na takie pytanie? Zastanawiałeś się kiedyś, z czego

wykula mnie Cesarzowa Matka? Założę się, że świetnie pamiętasz ból, który czułeś, gdy odrywała mnie od twojej świadomości. Czy to wspomnienie daje ci do myślenia?”.

Barkelby zbladł.

– Czyli, że ty... – zaczął, ale nie był w stanie dokończyć tej myśli, bo wydawała mu się zbyt przerażająca i jednocześnie boleśnie oczywista.

„Ależ tak! A to, czym rzuciłeś, żeby sobie ulżyć, to tylko kawałek zwykłego metalu. Był potrzebny, żebyś miał się o co zaczepić, ale tak naprawdę nie ma ze mną nic wspólnego”.

– Kłamstwa, same kłamstwa...

„Głównie twoje. Jak gwiazdy namalowane na tekturze. Ściągnąłem cię tu podstępem, żebyś je zdrapał i przekonał się, jak łatwo kruszy się farba, której użyłeś do ich namalowania, i żebyś zobaczył, co kryje się za tekturowymi ścianami”.

Barkelby siedział zesztywniały. Jego myśli przypominały rozsypaną układankę, której już nikt nie zdołałby złożyć w całość. Powtarzał w kółko:

– Nie słucham cię, nie słucham cię, nie słucham cię, nie słucham cię...

„Ale coś, co się w tobie otwiera, gdy patrzysz na to, co tu wisi i czeka, słucha cię bardzo uważnie. Czujesz, jak się tu osadzała, prawda? Czujesz, jak gęstnieje jej obecność, jak wydobywa się z wąskiego, ciasnego miejsca, rozrasta we wszystkie strony, zmienia zapach powietrza, delikatnie marszczy powierzchnię kamieni. Zawsze tu była, ale zmaterializowała się dopiero dzięki tobie. Podejrzewałem, że może do tego dojść, i byłem pewien, że jeśli któraś z nich cię rozpozna, to od razu ulegniesz sile jej przyciągania...”.

Barkelby umilkł i spojrzał na obiekt.

– Czyli to jest ta Krek'h-pa?! – zapytał. W jego głosie

pobrzmiwało wyraźne rozczarowanie, które bardzo go zaskoczyło, bo był przekonany, że w ogóle go to nie obchodzi.

„Nie. Nie miałbyś wątpliwości, gdyby to była ona”.

– Więc co?

„Bardzo stara myśl. Myśl, która dojrzewa i czeka”.

– Na co? – zapytał odruchowo Barkelby, chociaż nic z tego nie rozumiał.

„Aż przyjdzie właściwy czas”.

– To przez nią wynieśli się badacze?

„Nie sędzę. Tylko nieliczni mogą je zobaczyć”.

– Chcesz powiedzieć, że jest ich więcej?

„Tak naprawdę żadna sześcienna komora, którą tu widziałeś, nie jest pusta”.

Barkelby zadrżał. Przenikliwe zimno odwróciło jego uwagę. Przypomniało mu, że zapomniał domknąć i uszczelnić skafander. Z trudem zatrzasnął zacinające się klamry i przez chwilę rozkoszował się ciepłem wypełniającym skafander. To pomogło mu się uspokoić.

– No dobra – powiedział. – Skończ z tym, Zergott! Wiem, że to twoje dzieło, i już mnie nie nabierzesz. Usuń to.

„Żadna siła nie ruszy jej z miejsca. Światy powstają i rozpadają się wokół nich, a one trwają. Czekają, aż coś je uruchomi, zaprzęgnie, dopasuje, aż staną się czymś innym, czymś niezmiennym”.

– Skąd niby miałbyś wiedzieć takie rzeczy? Przecież rzekomo jesteś częścią mnie, a ja nic o tym nie wiem – zakpił Barkelby.

„Nie Barkelby to wie, ale to, co wierzy, że nim jest”.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, i nie chcę wiedzieć, czego ode mnie chcesz. Jestem wolnym człowiekiem i będę robił to, co uważam za stosowne, czy ci się to podoba, czy nie.

„Więc co zrobisz teraz?”.

– Zostawię cię tu, a potem znajdę sposób, żeby się wydostać z tego przekłętego miejsca i wrócić do Loqudynu, skąd przy pierwszej nadarzającej się okazji popłynę do Anaferyki. Co ty na to?

„Proszę bardzo, idź”.

– Tak po prostu?

„Tak”.

– Nie zatrzymasz mnie?

„Nie”.

Barkelby wstał, odwrócił się plecami do lewitującego obiektu i chciał wyjść z komory, ale nie mógł. Coś go powstrzymywało.

– Puść mnie!

„To nie ja”.

– Nie wierzę. Puść w tej chwili!

„Nie mogę”.

– Czyli to jednak ty!

„Mówiłem, że nie”.

– A kto?

„Przecież wiesz...”.

– Ile razy mam powtarzać, że nie mam, kurwa, pojęcia?! – krzyknął Barkelby histerycznie.

„Spokojnie, nic ci już nie pomoże. Chyba że ty sam”.

Barkelby dyszał, serce łomotało mu szaleńczo, krew huczała w uszach.

– Puść! – warknął.

„Tak naprawdę to nie wiem, czy jestem częścią ciebie. Może tak, może nie. Ale chyba zabolę mnie tak samo”.

– No puszczaj, puszczaj!

Po twarzy Barkelby’ego spłynęły łzy bezsilności i ogarnęła go dojmująca, rozpaczliwa niemoc.

– Dlaczego nie chcesz mnie puścić...? – jęknął.

„Nie marudź! Odwróć się i spójrz na przedwieczną myśl”.

Barkelby przestał walczyć z siłą, która uniemożliwiała mu opuszczenie komory, i posłusznie wykonał polecenie Zergotta. Nieruchomo mieniący się znaczeniami obiekt ukoił jego histeryczne rozedrganie.

„Co czujesz, gdy na nią patrzysz? Założę się, że nie jest ci to obojętne”.

Barkelby pokiwał głową, bo jej czubek znowu otuliło ciepło matczynej dłoni.

– Coś przyjemnego, coś, co pamiętam z dzieciństwa – powiedział.

„Niewątpliwie tak to postrzegasz, ale to sięga głębiej, znacznie głębiej. Sihamur widziała w tym cień emocjonalnego promienia, który łączy takich jak ty z podczepionymi do was istotami. A ja byłem przekonany, że pójdziesz tym tropem i w końcu odkryjesz prawdę. Oboje się myliliśmy”.

– Jej do tego nie mieszaj! Martwi nie mogą bronić swoich racji!

„Co ty możesz o tym wiedzieć? Zablokowałem twoje sfalszowane wspomnienia i stworzyłem iluzję, dzięki której wydawało ci się, że spotykasz Sihamur pierwszy raz w życiu. Chciałem, żebyś znowu się w niej zakochał, a potem odkrył, że to tylko złudzenie, imitacja prawdziwej osoby, która kiedyś znaczyła dla ciebie bardzo, bardzo dużo. Miałem nadzieję, że seks zwiąże cię z kopią Sihamur na tyle mocno, że jej ponowna utrata zmaltrętuje cię emocjonalnie i wywoła silny wstrząs, który wydobędzie na powierzchnię świadomości prawdziwe wspomnienia. Niestety, jak zwykle w twoim przypadku, niewiele to dało i wciąż bezpiecznie dryfujesz oddalony od prawdy. Na szczęście zaaranżowanie tego wszystkiego tu, w polu przyciągania zakulisowej przestrzeni i w pobliżu Krek'h-py, wprowadziło cię na tak niską orbitę, że nie zdołasz się już poderwać”.

Barkelby uśmiechnął się lekceważąco.

– Nie konfabulujesz trochę? To prawda, że Sihamur mi się podobała i nawet próbowałem się z nią umówić, ale szybko odrzuciła moje zaloty, a potem zginęła przygnieciona jedną z tych kanciastych spór, które czasami odrywają się od przewodów Alpanejskiego Kołowrotu. Nie łączył nas żaden romans, ani razu nie spaliśmy ze sobą, skąd w ogóle myśl, że...

„Wiem, co pamiętasz. To twoja sprawka. Zmanipulowałeś własne wspomnienia, żeby uciec przed żalem i tym, co naprawdę widziałeś”.

– Nie bądź śmieszny. Tak było. Przecież...

„Będziesz się bronił do końca, to zrozumiałe”.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Barkelby'ego. Gdzieś, daleko, mignęło bezlitosne anaferykańskie słońce.

– Co to było? – zapytał, czując, że emocje ściskają mu gardło.

„Blask prawdziwych wspomnień. Za moment wrócą, a ty będziesz musiał się z nimi zmierzyć. Zadbalem o to. Widzisz?”.

Powietrze faluje nad skalistymi wzgórzami. Łopocze wypłowiała płachta. Brezent, z którego ją uszyto, był kiedyś jasnobrązowy, ale słońce i ostre drobinki piasku niesione gorącym wiatrem nadały mu bladeżółty chorobliwy odcień, który Barkelby'emu kojarzy się wyłącznie z samotnością.

„Widzisz?”.

– Nie.

„Jak chcesz...”.

Obudziła go cisza. Od kiedy kapitan Berk przeniósł go do maleńkiego i częściowo zrujnowanego fortu Sules, w którym musiał pełnić samotną służbę, jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by wiatr wiejący od strony Gór Jaszczurzych umilkł choć na krótką chwilę. Barkelby powoli usiadł na łóżku polowym, na którym nie tylko sypiał, ale również spędzał większość czasu w trakcie długich, upalnych dni. Sięgnął po Zergotta, żeby go wybudzić, lecz rozmyślił

się, cofnął rękę i wstał tak cicho, jak tylko zdołał. W zimnym, nieruchomym powietrzu ciche pojękiwania starych sprężyn łóżka wydały mu się jednak istną kanonadą donośnych skrzypnięć, które niewątpliwie przyciągnęły uwagę tego, co kryło się w mroku. Barkelby syknął poirytowany, włożył buty i wyszedł spod brezentowej płachty pełniącej funkcję prowizorycznego zadaszania.

Znajdował się na dachu jedyne go budynku w forcie, bo tylko w tym miejscu mógł się czuć w miarę bezpiecznie. Mury nie dawały żadnej ochrony, od kiedy brama została wyłamana i splądrowano budynek. Pod nieobecność formikrudów Cesarzowej Matki ktoś wyniósł z niego meble, wyrwał drzwi z futrynami i zdjął okiennice, a potem spalił to wszystko na środku dziedzińca. Kiedy Barkelby tu przybył, pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, był właśnie wszechobecny smród spalenizny, który wsiąkł w to miejsce tak bardzo, że nawet po blisko czterech miesiącach pobytu nie zdołał się do niego przyzwyczaić i wciąż wyczuwał go w powietrzu. Któregoś dnia pomyślał, że gdyby wyniósł poza mury resztki pogorzelska, całą tę irytującą stertę popiołu i niedopalonych szczap, to może wreszcie pozbyłby się tego obrzydliwego, tłustego smrodu łaskoczącego w gardle. Ale gdy się do tego zabrał, szybko odkrył, że w popiele zagrzebane są dziwne ażurowe kości, dłuższe niż jego ręka, i natychmiast zrezygnował z tego pomysłu.

Wszystko, czego potrzebował do życia, zgromadził na dachu. Można tam było wejść tylko w jeden sposób. Po wmurowanych w ścianę metalowych szczeblach, które Barkelby w każdej chwili mógł przyblokować ciężką skrzynią. Sporo się namęczył, żeby z pomocą volatrisa umieścić ją na dachu, ale nie łudził się, że stanowi ona przeszkodę nie do pokonania. Chodziło mu tylko o to, żeby zminimalizować ryzyko ataku z zaskoczenia i w razie zagrożenia zyskać kilka cennych chwil potrzebnych do rozbudzenia Zergotta.

Barkelby rzadko schodził na ziemię. Właściwie robił to jedynie wtedy, gdy musiał nabrać wody ze studni, albo potrzebował skorzystać z rozpadającego się wychodka, czyli małej wiaty z blachy falistej, skleconej nad płytkim dołem wykopanym w piaszczystej glebie. Splądrowany budynek był wyższy niż mury fortu, więc Barkelby miał z niego znakomity widok w każdą stronę. Obstawił się aluminiowymi pojemnikami z zaopatrzeniem, które kilka razy w miesiącu zrzucali mu volatrisi kapitana Berka, i ukryty pod brezentową płachtą, chroniącą go przed palącym słońcem, całymi dniami przesiadywał na polowym łóżku i obserwował przez lornetkę martwy krajobraz falujący w gorącym powietrzu.

Nie miał pojęcia, dlaczego go tu przeniesiono. Berk nigdy mu tego nie wyjaśnił, a Zergott twierdził, że wie tyle samo, co Barkelby. Absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazł, i długie godziny męczącej nudy doprowadziły do tego, że już po kilku tygodniach zaczął fantazjować o ucieczce z fortu, o porzuceniu Zergotta, o niebezpiecznej wyprawie w głąb Gór Jaszczurzych, o dramatycznych poszukiwaniach wody, o pełnych napięcia polowaniach na ptaki lub inną drobną zwierzynę i o wielu niezwykłych, mrozących krew w żyłach przygodach, które czekają na niego tam, za horyzontem, w sercu interioru kontynentu anaferykańskiego. Potrafił jednak odróżnić fantazje od rzeczywistości i realnie ocenić swoje szanse, dlatego wiedział, że tak naprawdę nigdzie się stąd nie ruszy. Ale, paradoksalnie, infantylne marzenia o ucieczce i bohaterskich perypetiach pomagały mu stopniowo godzić się z zesłaniem i umacniały w nim przekonanie, że musi tu pozostać, bo nie ma innego wyjścia. Wiedział, że stacjonuje w Sules niecałe cztery miesiące, lecz miał wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu. Wiele, wiele lat. Wystarczająco dużo, żeby słońce wypaliło do kości naiwną wiarę w to, że można zrozumieć świat kierowany wolą Belenusów.

Barkelby doszedł jednak do wniosku, że przed ich przebudzeniem wcale nie było łatwiej, że ta rzeczywistość – jedyna, jaką zna – zawsze dobrze chroniła swoje tajemnice. Uchwycił się tej myśli. Znalazł w niej pocieszenie. Pielęgnował ją z ogromną troską i czuł, jak powoli, dzień po dniu, zsuwa się z niego ciężar poczucia winy. W końcu jego martwy brat zaczął wyglądać na zdjęciach jak obcy człowiek, którego twarz nie wywołuje żadnych emocji, i wizja pozostania w forcie Sules do końca życia przestała się wydawać Barkelby'emu taka straszna.

Wtedy upiorna cisza obudziła go w środku nocy.

Podszedł do krawędzi dachu. Księżyc lśnił na bezchmurnym niebie jak srebrna tarcza wykuta z twardego światła. Bezwietrzna cisza szumiała w uszach. W zasięgu wzroku nic się nie poruszało. Księżycowy blask łagodnie kładł się na kamienistych stokach Gór Jaszczurzych i bezszelestnie spływał po krawędziach wydm. Cisza i spokój. Coś było jednak nie tak. Barkelby nerwowo przełknął ślinę. Wydawało mu się, że ktoś go obserwuje. Ktoś ukryty w ciemności. Tłumaczył sobie, że to tylko paranoja, ale nie mógł się pozbyć tego irytującego uczucia, które było jak mrówki pod skórą. Wszystko go swędziało. Odwrócił się. Chciał wrócić pod płachtę i wybudzić Zergotta, żeby dodać sobie odwagi, ale zamarł w bezruchu. Ciemny falujący kształt bardzo szybko zbliżał się od wschodu. Zanim Barkelby zdążył się poruszyć, wielka trzepocząca chmura nadleciała nad fort i przygasiła księżyc.

– Spokojnie, spokojnie, to tylko ptaki – powiedział do siebie Barkelby.

Stado, które przelatywało nad fortem, było naprawdę ogromne i zdawało się, że tworzy go wiele różnych gatunków ptaków. Barkelby nie mógł się upewnić, czy tak jest, bo było za ciemno i zastanawiał się, czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale zanim doszedł do jakichkolwiek sensownych wniosków, stado minęło fort,

księżyc znowu rozbłysnął pełnym blaskiem i okazało się, że to faktycznie są różne ptaki, zarówno duże, jak i małe – drozdy, marabuty, czaple, bociany, bąki, języki, czajki... Wśród nich można było również dostrzec liczne nietoperze. Barkelby patrzył zdezorientowany, jak znikają w oddali, a potem spojrzął w kierunku, z którego nadleciało stado. Chmury kłębiły się na horyzoncie. Pojawiały się czasem nad pustynią, więc nie było w tym nic dziwnego, ale tym razem poruszały się z zaskakującą prędkością i w nietypowy sposób – pienily się, przelewały, gwałtownie wypiętrzały i opadały w dół, jak mętna, wzburzona woda. Barkelby uniósł nieco wzrok i cieniutka, ale bardzo ostra igła przerażenia wbiła mu się w mózg. Coś tam było. Coś tak wielkiego, że już teraz zakrywało połowę nieba i sunęło od wschodu, pchając przed sobą chmury. Barkelby sięgnął po lornetkę i drżącymi rękami uniósł ją do oczu. Prosto na niego leciała ciemna kanciasta bryła, większa niż wszystko, co potrafiłby sobie wyobrazić. Jej szklista powierzchnia była pokryta skomplikowaną siecią głębokich szczelin i obłymi wybrzuszeniami w kształcie segmentowych kopuł, które lśniły w świetle księżyca. Przywodziło to na myśl widok jakiegoś obcego, nieludzkiego miasta oglądanego z dużej wysokości. Jednakże takie skojarzenie było tylko odruchem obronnym umysłu, który za wszelką cenę próbował oswoić, nazwać, umieścić w znajomym kontekście to, co widział, i w miarę jak kolosalny kształt zbliżał się do fortu, coraz gorzej sobie z tym radził. Barkelby opuścił lornetkę i stał jak zahipnotyzowany. Nawet przez moment nie pomyślał, żeby rzucić się w stronę Zergotta. Co mógłby zrobić? Jak można się przeciwstawić czemuś takiemu? Nadlatywało bezszelestnie. Straszne, nieubłagane, miazdzące świadomość rozmiarami i niepojętą naturą. Stopniowo zasłaniało niebo. Barkelby uniósł głowę. Wysoko w górze zawirowały potężne zwały skłębionych chmur i tytaniczna bryła zgasiła księżyc. Nagle strach

zniknął. Spokój wypełnił Barkelby'ego jak gęsty syrop. Bez obaw obserwował przesuwaną się nad nim lekko karbowany spód obiektu i wydało mu się, że wcale nie patrzy do góry, lecz w dół, głęboko, głęboko w dół, w głąb tego kolosalnego czegoś, co było chyba częściowo przezroczyste, bo słabo przebijał się przez to blask okrągłej tarczy księżyca. Wtem Barkelby zrozumiał, że to wcale nie jest księżyc, że coś tkwi w środku tej bryły i emanuje własnym światłem, innym niż światło księżyca, pięknym, złotym, takim, które już kiedyś widział...

– Dość, kurwa, dość! Wyjdź z mojej głowy! – wrzasnął Barkelby i natychmiast wrócił do skalnej komory.

„Ależ ty się opierasz...”.

– Nic takiego się nie wydarzyło! Pewnego dnia Berk odwołał mnie bez żadnego wytłumaczenia.

„Ale nie bez powodu”.

– Zostaw mnie w spokoju!

„Nie chcesz tego. Uwierz mi. Skupmy się na Sihamur”.

– Znowu zaczynasz?! Przecież mówiłem, że nic między nami nie było!

„Tak, jasne...”.

– Posłuchaj, ja...

„Przestań jęczeć i powiedz mi, czy widzisz?”.

– Ale co?

– To!

Poczuł na plecach jej spojrzenie i musiał się odwrócić. Sihamur stała w otwartych drzwiach. Z założonymi rękami opierała się o framugę.

– Gotowy? – zapytała.

Barkelby uśmiechnął się niepewnie.

– Pilnujesz, żebym nie uciekł?

– Nikt cię do niczego nie zmusza. To nie był rozkaz, tylko

propozycja. Chcesz, idziesz z nami. Nie chcesz, wracasz do bazy. W szpitalu nie zostaniesz.

– Zawsze jesteś taka zasadnicza?

– To zależy.

– Od czego?

– Z kim rozmawiam.

– Nie jestem byle rekrutem!

– Wiem, też mam taki gadający kawałek metalu, który potrafi nieźle namieszać w głowie. Idziemy?

Barkelby w milczeniu pochylił się nad otwartą walizką, jakby potrzebował chwili do namysłu, lecz tak naprawdę decyzję podjął już dwa dni temu, gdy Sihamur przysłała do niego pierwszy raz, i nie miał pojęcia, dlaczego teraz zwleka. Błąkał się wśród rozporoszonych myśli i na wpół świadomie wodził palcami po zwiniętych skarpetkach i majtkach, dwóch parach ciasno złożonych spodni, trzech znoszonych koszulach i książce, której do tej pory nie udało mu się przeczytać. Wreszcie zebrał się w sobie, jednym zdecydowanym ruchem zatrzasnął walizkę, zdjął ją z łóżka i odwrócił się, mówiąc:

– Tak. Chodźmy.

Sihamur zmrużyła chytrze oczy.

– Nie pożałujesz. To praca dla takich jak ty. O ile zaakceptuje cię Kołowrót. Łódź woporowa już czeka.

Wyszli z lazaretu i stanęli w oślepiającym blasku anaferykańskiego słońca. Sihamur uniosła głowę, osłaniając oczy dłonią. Barkelby zrobił to samo. W górze, zanurzony głęboko w błękitnej otchłani bezchmurnego nieba, znajdował się maleńki błyszczący obiekt, który kształtem przypominał pocisk karabinowy, lecz nim nie był. Wtem nadlecieli volatrisi, delikatnie chwycili Barkelby'ego i Sihamur szponiastymi łapami i bez wysiłku unieśli w powietrze. Po kilku chwilach postawili ich na pokładzie łodzi

wyporowej, która obrała kurs na Eneropę.

Barkelby dostał ciasną, ale za to bardzo przytulną kajutę, znajdującą się blisko rufy wyporowej łodzi, jednak kiepsko w niej sypiał. O dziwo, w ogóle nie przeszkadzali mu dziwaczni comisori, którzy bez przerwy, dzień i noc, hałaśliwie krzatali się przy skomplikowanych urządzeniach. Problemem były inne odgłosy, znacznie cichsze, a mimo to wyraźnie wibrujące w ścianach i podłodze. Brzmiały jak basowe mamrotanie, natarczywe szepty, gardłowe jęki i cichutkie popiskiwanie, które przywodziły na myśl kogoś, kto bezpowrotnie osunął się w szaleństwo i w jakimś własnym, niezrozumiałym języku próbuje przekazać swoje osobliwe wrażenia, opisać to, co czuje i widzi. Barkelby odniósł wrażenie, że te odgłosy chcą go gdzieś wciągnąć i pokazać mu coś, czego w żadnym razie nie powinien oglądać, bo był pewien, że jak raz to zobaczy, to już nigdy nie wymaże tego z pamięci. Robił więc wszystko, żeby o nich nie myśleć, wmawiał sobie, że są tylko złudzeniem, i starał się je ignorować, lecz ilekroć próbował zasnąć, oczyma wyobraźni widział zmaltretowanego i kompletnie obłąkanego comisori, powoli miażdżonego we wnętrzu maszyny, która gdzieś pod pokładem przetwarza energię jego niewyobrażalnego bólu i nienawiści do świata, w którym musi doznawać takich cierpień, aby wykorzystać ją do zanegowania grawitacji i utrzymywania wyporowej łodzi w powietrzu. Dlatego nie mógł spać. Wychodził na górny pokład, gdzie nie docierały koszmarne odgłosy wydawane przez łódź, i otulony skórzaną kurtką obserwował przepływające w dole chmury. Do kajuty wracał dopiero nad ranem, gdy był już całkiem przemarznięty i oczy same zamykały się mu ze zmęczenia.

Czwartej nocy okazało się, że nie tylko on ma problemy ze snem. Zapewne spotkaliby się wcześniej, ale Barkelby nie wiedział, że istnieje przejście prowadzące na dziób łodzi. Jak zwykle patrzył

w dół i zastanawiał się, dlaczego ledwie widoczne kłębowiska chmur wydają mu się tak niepokojące, gdy na krawędzi pola widzenia zwinnie przemknął smukły cień, który przeskoczył wysoki reling i zniknął. Barkelby poszedł jego śladem i odkrył wąski trap podwieszony wzdłuż burty. Dzięki niemu przedostał się na dziób łodzi, do kryjówki Sihamur.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, oparta o niewielką chromowaną kopułkę. Uśmiechnęła się, jakby czekała na niego od dawna. Gestem zachęciła go, by usiadł obok niej. Później długo i w milczeniu obserwowali comisori, który przekształcił się w smukłe metaliczne skrzydło i z cichym łopotem szybował na wietrze – w pozornym bezruchu, kilkanaście jardów nad łodzią, migotał odbitym światłem gwiazd. Barkelby zdawał sobie sprawę, że olśniewające piękno tego comisori wykracza poza ludzką miarę, że to tylko odprysk czegoś jeszcze wspanialszego, czego jako człowiek nie może dostrzec, ale mimo to jego widok budził w nim taki zachwyty, że nie mógł zaczerpnąć głęboko tchu. Podejrzewał, że to musi coś znaczyć, lecz nie miał pojęcia co. A gdy chciał zapytać o to Sihamur, kobieta bez słowa położyła mu palec na ustach, a potem go pocałowała. Długo, namiętnie. Smak jej śliny przywodził na myśl coś, czego próbował w dzieciństwie. I nie miało to nic wspólnego z jedzeniem.

Po tygodniu dotarli nad Alpaneje i w zasięgu wzroku pojawił się Kołowrót. Zanim przebudzili się Belenusi, była to po prostu Biała Góra, najwyższy szczyt w tym masywie, ale później przekształciła się w coś innego. Podobną przemianę przeszło wiele gór, jaskiń i wysp znajdujących się w różnych miejscach na Ziemi, lecz tylko tu pojawił się gigantyczny Kołowrót, którego głównymi elementami były dwa przeszło ośmiomilowe koła. Kręciły się obok siebie, nieustannie, dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale w przeciwnych kierunkach. Jedno nawijało gruby, niekończący się

przewód, a drugie odwijalo. Końce obu przewodów znikaly w kosmosie. Rzekomo siegaly az do Marsena, gdzie stal podobny Kołowrot, tylko wiekszy, bo zmienil sie w niego Olympus Glacius – starozytny, nieczynny wulkan i niegdyś najwyzsza gora w Układzie Slonecznym. Barkelby czytaly o tym w gazetach, widzial zdjecia i wydawalo mu sie, ze jest dobrze przygotowany na spotkanie z Kołowrotem, ale gdy łódź wyporowa miękko osiadła na bazaltowej platformie, z której pionowo wyrastaly połowki ogromnych kół, i stanął w ich cieniu, uzmyslowil sobie, ze zbyt pochopnie przyjal propozycje Sihamur.

– Idź, poczekamy na ciebie – powiedziala.

Barkelby oblizal suche wargi.

– Co mam robic?

– Podejdz do piasty. Kołowrot cie sprawdzil. Albo sie nadasz, albo nie. Tak czy inaczej, po wszystkim wróc do nas.

– Skąd będe wiedzial, ze...

– Zorientujesz sie. No juz, idz, to kawal drogi.

Barkelby ruszyl w strone kół. Bardzo chcial wierzyc, ze tym razem nie będzie az tak źle jak podczas audiencji u Cesarzowej Matki, i pozornie nie mial powodów, zeby sie bac, bo przeciez Kołowrot w niczym nie przypominal Belenusa. Mozna bylo bez obaw patrzec na niego w dzien i jego obecność nie byla ani tak przytlaczajaca, ani zabójcza, jak w przypadku Matki, Trooha czy Kilimanarusa. Problem polegaly jednak na tym, ze wszystkie informacje na jego temat, jakie pojawiaja sie w ksiazkach i gazetach, rozpowszechniane sa przez takie organizacje, jak Molok, a Barkelby zbyt czesto doswiadczaly na sobie ich kłamstw i przekretów, by ufac temu, co mowia. Oczywiscie rozumial, ze musza tak robic. Wiedzial, ze nie maja innego wyjscia, bo za wszelka cene staraja sie ukrywac przed ludzmi to, czego nie tylko w zaden sposob nie da sie pojac, ale nawet nie nalezy probowac. Ich

kłamstwa były więc bardziej niż potrzebne, były ostatnią linią obrony, jedynym sensem, jaki pozostał po ludzkiej stronie rzeczywistości, samotną kapliczką na pustkowiu, wyznaczającą granicę, za którą rośnie w siłę przesypujące się królestwo myślącego piasku, wsłuchanego w mowę wiatru i obojętnego na istnienie człowieka. Niestety, świadomość, że jest się obiektem takiej manipulacji, definitywnie odbiera wiarę w uspokajające kłamstwa i dlatego Barkelby nie mógł się czuć pewnie, gdy zbliżał się do piasty Kołowrotu.

Gładka skalna platforma z pewnością mierzyła ponad dwanaście mil średnicy i aby dotrzeć do piasty, Barkelby musiał pokonać połowę tego dystansu, czyli było tak, jak mówiła Sihamur – miał przed sobą kawał drogi. Przyśpieszył kroku. Koła rosły w oczach i ich rozmiary skutecznie odbierały Barkelby'emu odwagę, ale strach nie był jeszcze na tyle silny, by skłonić go do myślenia o odwrocie.

Szybki marsz na świeżym powietrzu zwiększył mu tętno i – musiał to szczerze przyznać – był bardzo przyjemny. Nie czuł się zaskoczony. To pierwszy porządny spacer od momentu, gdy opuścił ten przygnębiający szpital, w którym trzymali go aż trzy tygodnie, mimo że objawy dezynтерии ustąpiły już po dwóch dobach. Wystarczyło tylko, że zaaplikowali mu antybiotyki i porządnie napoili. Barkelby brał pod uwagę możliwość, że lekarze dostali rozkaz, aby zatrzymać go do przylotu Sihamur, lecz uznał, że nawet jeśli to prawda, zapewne i tak nigdy się nie dowie, kto i po co rozegrał to w taki sposób, więc porzucił jałowe dywagacje. Luźne szpitalne skojarzenia sprawiły jednak, że przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy przeczytał o Alpanejskim Kołowrocie. To było trzy lata temu, we wrześniu. Płynął do Loqudynu na rutynowe wezwanie Moloka i znalazł w kajucie ścigacza zaczytany egzemplarz prestiżowego magazynu „The National Belenic”, który niegdyś,

przed pojawieniem się Belenusów, nosił dumną nazwę „The National Geographic”. Był w nim bardzo obszerny artykuł ilustrowany ładnymi kolorowymi zdjęciami.

Patrząc na przewody Kołowrotu, które niczym napowietrzne szyny łagodnym łukiem wznosiły się równolegle do siebie i znikwały w błękitnie nieba, Barkelby próbował wydobyć z pamięci informacje, jakie wyczytał w tamtym tekście. Z tego, co zdołał sobie przypomnieć, wynikało, że do przewodu, który docierał na Ziemię z Marsena, powinny być przyłączone kanciaste spory. No i faktycznie były. Barkelby widział je bardzo wyraźnie. Ciemne, metaliczne, ale również fioletowe, zielone i jaskrawożółte. Rozmieszczone w nieregularnych odstępach. Autor artykułu twierdził, że są one czymś w rodzaju pożywienia, które dawno temu, jeszcze przed pojawieniem się człowieka, Belenusi zgromadzili na Marsenie, a teraz, za pomocą Kołowrotu, sprowadzają na Ziemię. Dlatego też większą część swojego tekstu poświęcił spekulacjom dotyczącym zagadkowej natury owej beleniczej żywności. Ale znalazło się w nim również miejsce na zawile wyjaśnienia, których Barkelby nie potrafił już zrekonstruować, tłumaczące, jak to możliwe, że Kołowrót może działać bez przeszkód, mimo że Ziemia i Marsen nieustannie krążą po niezależnych orbitach.

Wtedy, gdy Barkelby to czytał, odnosił wrażenie, że tekst układa mu się w głowie w osobliwy, ale jednak klarowny i zrozumiały obraz tego, czym jest i jaką funkcję pełni Alpanejski Kołowrót. Zapewne nadal by tak było, gdyby nie to, że teraz z daleka rozpoznawał toporną prowizoryczność takich kłamstw i nie potrafił już w nie uwierzyć. Wiedział, że zaszła w nim ta zmiana, był jednak przekonany, że rozumie jej naturę, dlatego nigdy nie zastanawiał się, co się stanie, gdy znajdzie się zbyt blisko pozaludzkiego blasku, i aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że jest wobec niego

całkowicie bezbronny, bo nie ma już nic, za czym mógłby się schować. A kiedy zaczęło to do niego docierać, było już za późno.

Nieuchwytny, pełzający po skórze niepokój spowolnił Barkelby'ego i skupił jego uwagę na kanciastych sporach przyczepionych do przewodu Kołowrotu. Nagle mignęło i spory pojawiły się również na drugim przewodzie, tym, który zmierzał w stronę Marsena.

Dlaczego?

Czy zawsze tak było?

– To nic nie znaczy – wyszeptał Barkelby, broniąc się przed gęstniejącym strachem. – Zupełnie nic, zupełnie nic... – powtarzał, zwalniając, aż w końcu zatrzymał się przekonany, że żadna siła nie zmusi go, by podszedł do piasty Kołowrotu.

Ale wtedy przezroczyście skuła bazaltową platformę jak lód, który błyskawicznie pokrywa gładką tafłę jeziora, i Barkelby musiał spojrzeć w dół.

Przewody Alpanejskiego Kołowrotu ani się nie nawijały, ani nie odwijały, lecz tuż za kołami opadały pionowo na rozciągającą się w głębinach pozorną równinę – bezkresną, metaliczną, skapaną w mglistym szarozółtym świetle, przywodzącym na myśl słaby fosforowy blask gnijącego próchna. Powierzchnię równiny tworzyły miliony kanciastych spór będących w nieustannym ruchu. Dopasowywały się do siebie, obracały, przesuwwały, zamieniały miejscami, przetaczały po sobie. Jeden przewód Kołowrotu dokładał spory, a drugi je zabierał i unosił w górę. W miejscach, w których przewody wnikały w pozorną równinę, inicjował się ruch wszystkich spór i rozchodził się stamtąd niczym kręgi na wodzie. W ich nieustannych przekształceniach było jakieś napięcie, nerwowość, którą Barkelby odczuwał jako bolesny skurcz na dnie brzucha. Nie chciał tego oglądać, ale to chciało, by patrzył, więc nie mógł przestać. Jęknął, opadł na kolana. Wydało mu się, że słyszy

jakiś nieprzyjemny dźwięk, coś jakby rytmiczny zgrzyt zardzewiałego metalu, odlegle przypominający złośliwy chichot Zergotta, którego trzymał w uśpieniu od chwili, kiedy raz wybudził go w szpitalu, a on natychmiast kazał się z powrotem uśpić, bo twierdził, że nie może znieść smrodu chorych ludzi. Nie było jednak czasu, żeby o tym myśleć. Kanciaste spory przyspieszyły. Zaczęły się składać w wielowymiarowy kształt, który kłuł Barkelby'ego w oczy, wyłaniał się, potężniał i obracał, by spojrzeć wprost na niego...

Leżał na boku, zgięty w pół, i spazmatycznie rzygał krwią do wnętrza skafandra. Krztusił się, charczał, rozpaczliwie walczył o oddech, a mimo to usłyszał Zergotta bardzo wyraźnie.

„Przestań! To obrzydliwe i żałosne”.

Pogardliwy ton jego głosu pomógł się Barkelby'emu pozbierać.

– Kurwa, zabijesz mnie... – wycharczał.

„Nic ci nie będzie. Odgryzłeś sobie kawałek policzka i połknąłeś razem ze sporą ilością krwi, więc teraz twój żołądek usiłuje pozbyć się tego paskudztwa. Trudno mu się dziwić. Zachowujesz się dokładnie tak samo, jak na okręcie. A to oznacza, że znowu wróciliśmy do punktu wyjścia”.

– Ale to Sed, ten amfibian mnie tam ułożył.

– Nie. On ci tylko powiedział, że tak zrobił.

– Jak uważasz, nie chcę się kłócić. Zrobię, co chcesz, tylko błagam, skończ z tym, przestań mnie męczyć.

„Bardzo dobrze. Wydaje mi się, że jesteś już gotowy, by przyjrzeć się temu, co wygląda jak śmierć”.

– Mówiłeś, że nic mi nie będzie!

„Ciebie tu nie ma, więc jak mogłoby ci się coś stać? Musisz się jakby, hmm... zanurzyć, albo może przemieścić, naprawdę trudno dobrać właściwe słowo. W każdym razie potrzebujesz dobrego przykładu, czyli właściwej śmierci”.

– Cokolwiek każesz...

„Jaki grzeczny! Jak słucha! A widzi?”.

– Co?

„Nie udawaj. Obiecałeś, że się postarasz”.

Barkelby usiadł. Poczuł, jak ciepłe wymiociny spływają w głąb skafandra, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Zignorował ból pulsujący w prawym policzku, zamknął oczy i powiedział drżącym głosem:

– Dobrze. Pokaż mi. Teraz już będę...

Stała nago przed namiotem. Patrzył na nią pod słońce, więc była tylko ciemnym obrysem smukłego ciała, nieruchomym i pozbawionym szczegółów. Najwyraźniej widział jej wąskie, może nieco zbyt chłopięce biodra, które mimo wszystko były bardzo seksowne. Mógłby godzinami kontemplować ten widok, ale był ciekaw, co ją zainteresowało. Wyszedł z namiotu i objął Sihamur ramieniem. Na horyzoncie masywna kula krwistoczerwonego słońca powoli tonęła w pustynnym piasku. Wydmy nasiąkły karmazynowym blaskiem. Gigantyczną kopułę bezchmurnego nieba przecinały w poprzek dwie równoległe kreseczki, przewody Alpanejskiego Kołowrotu, z tej odległości cieniutkie jak nitki migoczącej karmazynowo pajęczyny. Spektakularnie umierający dzień ustępował miejsca nocy, której chłodny oddech coraz wyraźniej czuło się w powietrzu. Ciało Sihamur pokryło się gęsią skórką.

– W takich chwilach wiem, dlaczego tu jestem – powiedziała.

– Ja też – szepnął jej do ucha Barkelby i przesunął dłonią w dół po ciepłych plecach.

Chciał ją złapać za twarde pośladki, ale wyrwała mu się z chichotem i wskoczyła do namiotu. Nie pozwolił, żeby na niego czekała.

Gdzieś w środkowej części kontynentu anaferykańskiego znajdował się rozległy pustynny płaskowyż. Nie powiedziano im,

gdzie to dokładnie jest, ponieważ była to informacja ściśle tajna i z punktu widzenia ich pracy właściwie zbędna. Comisori, którzy przetransportowali ich tam woporową łodzią, nazywali tę wyjałowioną ziemię Un-ku. Ani Barkelby, ani Sihamur, ani ludzie, z którymi tu pracowali, nie mieli pojęcia, co znaczy to słowo, ale nie mieli też wątpliwości, że to, co się za nim kryje, musi mieć jakiś związek z tym, co sprawia, że nie jest to zwyczajna pustynia. Rzecz w tym, że to jedyne miejsce w całej Anaferyce, z którego widać przecinające niebo przewody Alpanejskiego Kołowrotu, i z niepojętego powodu wszystkie spory, które od czasu do czasu odrywają się od tych przewodów, spadają właśnie tu, na tym pustkowiu, i zawsze lądują gdzieś w promieniu dwustu mil od wielkiego białego kamienia znajdującego się w centralnej części pustynnego płaskowyżu.

Zadanie Sihamur, Barkelby'ego i innych pracowników rozlokowanych w czterech obozach, które na mapie Un-ku tworzyły narożniki kwadratu o bokach długości około dziewięćdziesięciu mil, polegało na odszukiwaniu tych oderwanych spór, pilnowaniu, by nie przejęli ich formicy Kilimanarusa, i dbaniu o to, by zostały załadowane do woporowych łodzi i przetransportowane do Eneropy. Najtrudniejsze było oczywiście szukanie, bo rzadko można było zobaczyć spadające spory, ale Zergott Barkelby'ego i Kerratos, świadomy rapier Sihamur, zawsze potrafili naprowadzić na właściwy trop.

Zabezpieczanie spór tylko pozornie wiązało się z ryzykiem. Wystarczyło kilka tygodni spędzonych w terenie, by zorientować się, że na Un-ku nie ma nawet śladowej obecności wrogich formiców. Tak więc krążyli łązikiem po pustyni, słuchali wskazówek Zergotta i Kerratosa, odnajdywali spory i spokojnie czekali przy nich na przybycie łodzi woporowych z potężnymi comisori, którzy wciągali spory na pokład i odlatywali razem z nimi

w stronę Eneropy. Nikt nie wiedział, dlaczego trzeba to robić i czy spory naprawdę trafiają do Eneropy, ale też nikt nie starał się tego dowiedzieć, ponieważ wszyscy ludzie, którzy się tym zajmowali, z Sihamur i Barkelbym włącznie, już dawno oduczuli się zadawać pytania. Z tym, że akurat Barkelby był tak odurzony miłością do Sihamur, że miał to gdzieś i myślał tylko o tym, jak mógłby jej zrobić przyjemność, czym ją zaskoczyć, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy, w jakiej pozycji jeszcze się nie kochali i co będą robić, gdy już skończą pracę dla Alpanejskiego Kołowrotu. Zwłaszcza to ostatnie nie dawało mu spokoju, bo wiadomo było, że każdy, kto trafi na pustynię Un-ku, spędzi tu najwyżej cztery lata, po których automatycznie przejdzie w szeregi agentów Moloka. A to otwierało wiele ciekawych możliwości, wśród których były również wygodne i bardzo dobrze płatne posadki w służbie konsularnej. Barkelby uwielbiał sobie wyobrażać, że w niedalekiej przyszłości przeniosą się razem do Eneropy albo do Azyji i zamieszkają w jednym z tych luksusowych brytynejskich konsulatów. To był jego ulubiony sposób spędzania wolnego czasu, dlatego też nie potrafił zrozumieć, czemu Sihamur w ogóle nie chce z nim o tym rozmawiać, przemilcza pytania, zmienia temat i unika jego wzroku. Podejrzewał, że ma swoje powody, i zdawał sobie sprawę, że w żadnym razie nie powinien na nią naciskać, bo sama mu powie, gdy będzie na to gotowa. A jeśli się okaże, że jednak nie będzie chciała tego zrobić, to on musi to uszanować, ponieważ kocha ją taką, jaka jest, prawda? Prawda?! Tak sobie wmawiał, lecz mimo to nie potrafił odpuścić. Przeklinał się w duchu i wciąż zadawał jej podchwytliwe pytania.

Pozornie wszystko było w jak najlepszym porządku. Dogadywali się i sprawnie odszukiwali spory. Bez względu na to, czy były to pentagonalne kryształy z zatopionymi wewnątrz rozmazanymi kształtami, które poruszały się w ślimaczym tempie, jakby tkwiły

w kapsule obcego czasu, czy kanciaste bryły zmrożonej żółci, emanujące kosmicznym chłodem, który pokrywał piasek żółtym szronem w promieniu dwustu jardów od miejsca upadku spory, czy też na w pół widzialne stożki rtęciowego światła, w wyczuwalny sposób obserwujące tych, którzy się do nich zbliżyli, oni zawsze potrafili zlokalizować ich położenie i nikt nie miał wątpliwości, że znakomicie wywiązują się ze swoich obowiązków, lecz myślami coraz bardziej oddalali się od Un-ku. Barkelby fantazjował o ich wspólnej przyszłości, a Sihamur nie tylko nie chciała dzielić z nim tych marzeń, ale wydawało się, że wręcz ucieka przed nimi we własne, zupełnie inne marzenia, które przed nim ukrywa. Seks, wspólna praca i wspólne milczenie potrafiły sprawić, że wciąż czuli, że im na sobie zależy i są sobie bliscy, a uczucie, którym darzą siebie nawzajem, nie jest wymuszone. Ale gdy zaczęli rozmawiać, coraz częściej robiło się niezręcznie i krępująco, jakby rosło w nich przekonanie, że nigdy nie mówią tego, co naprawdę myślą.

Noc spędzili w namiocie, a wczesnym rankiem zwinęli obóz i ruszyli łązikiem na północny zachód.

– Zergott twierdzi, że to niedaleko – powiedział Barkelby.

– Podobno – mruknęła Sihamur, nieobecna, zapatrzona w monotony pustynny krajobraz.

Barkelby miał przemożną ochotę, żeby ją zapytać, gdzie odpłynęła myślami, ale wiedział, że w odpowiedzi pošle mu jedno z tych zbolątych, oskarżycielskich spojrzeń, których znaczenia nie potrafił rozgryźć, więc z trudem przemilczał pokusę i mocniej zacisnął palce na kierownicy. Przyśpieszył. Drobne kamyki zagrzechotały w nadkolach łązika.

– Zwolnij – powiedziała bez przekonania Sihamur.

„Między wydmami, a potem w prawo. Czuję go”.

– Zaraz. Jak będziemy na miejscu – warknął Barkelby i znowu dodał gazu.

Sihamur pisnęła zaskoczona i chwyciła się masywnego pałaka zamontowanego przed fotelem pasażera.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła.

Strach, który Barkelby usłyszał w jej głosie, sprawił mu sporo satysfakcji, ale jednocześnie nienawidził się za to, że jej to robi. Nie zwalniając, przemknął między wysokimi wydmami i gwałtownie skręcił w prawo. Łazik przechylił się niebezpiecznie, lecz Barkelby szybko skontrolował kierownicą i gdy koła odzyskały kontakt z podłożem, mocno docisnął hamulec. Samochód podskoczył na nierównościach, zachybotał się, zarył w piasku i stanął. Pęd rzucił Sihamur do przodu, na deskę rozdzielczą, a potem z powrotem na fotel. Znieruchomiała, trzymając się za głowę. Barkelby wiedział, że tak się stanie, bo nie miała zapiętych pasów. Nigdy ich nie zapinała. Chciał ją przytulić, pocieszyć, przeprosić i delikatnie sprawdzić, czy nic się jej nie stało, ale wciąż, wbrew sobie, zachowywał się jak głupi nastolatek, który za wszelką cenę chce udowodnić całemu światu, że na niczym mu nie zależy, a już szczególnie na tym, czego utraty boi się najbardziej. Zatem nie zrobił nic. Zerkał tylko na nią z ukosa i pocił się w ciszy. Ona jednak nie patrzyła na niego, lecz do przodu, przez zakurzoną szybę. Była blada. Barkelby spojrział w tę samą stronę. Nie od razu zrozumiał, co tam jest. Ale gdy to wreszcie do niego dotarło, wszystko inne przestało się liczyć.

Sihamur otworzyła drzwi, wysiadła i wciąż trzymając się za głowę, wolno ruszyła w kierunku wielkiego białego kamienia. Barkelby wiedział, że powinien ją zatrzymać, lecz paraliżował go strach.

– Zergott? Zergott? – wyszeptał.

Odpowiedziała mu cisza. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Nie dość, że ten cholerny skurwysyn sprowadził ich tu, mimo że pracownikom Alpanejskiego Kołowrotu pod żadnym pozorem nie wolno się zbliżać do tego miejsca, to jeszcze teraz zostawił ich

samych. Dlaczego milczy i udaje, że go nie ma? Złość zagłuszyła strach. Barkelby wyskoczył z łazika i pobiegł za Sihamur.

– Stój! Zatrzymaj się! – krzyczał, ale ona nawet się nie odwróciła.

Dogonił ją, gdy od kamienia dzieliło ich najwyżej piętnaście jardów. Złapał ją za ramię.

– Nie możesz, nie wolno nam... – wydyszał.

Sihamur obejrzała dokładnie dłoń, którą przed chwilą przyciskała do głowy. Była cała we krwi. Barkelby z trudem przełknął ślinę. Kobieta spojrzała na niego i spokojnie powiedziała:

– Nic nie rozumiesz. W ogóle mnie nie słuchasz. Odkąd mam to coś, tę pieprzoną myślącą broń, która mówi mi, co mam robić, czuję się jak mięsna kotwica na końcu długiej szypuły wyrastającej z czegoś, co nie jest mną, ale jestem więcej niż pewna, że w jakiś sposób do tego przynależę, i chcę, żeby ta szypuła wreszcie się skurczyła, chcę stać się częścią tego czegoś.

– O czym ty mówisz?! – wykrztusił zdumiony Barkelby.

– Jak zwykle ci to nie ciąży. Nie chciałabym być w twojej skórze, gdy zaczniesz.

– Nie wiem, czy dobrze...

– Pamiętasz choć jedną naszą rozmowę na temat świadomych broni i tego, co decyduje o tym, że jedni je dostają, a inni nie? Pamiętasz moją teorię?

– Przecież nigdy o tym nie rozmawialiśmy...

– Tak samo jak o twoim spotkaniu z Alpanejskim Kołowrotem?

– Nie ma o czym. Stchórzyłem. Nie dotarłem do piasty. Do dzisiaj nie wiem, czemu mnie zaakceptował.

– I nie daje ci to do myślenia, prawda?

– O czym tu myśleć?

Sihamur pokiwała głową, jakby niczego innego nie spodziewała się usłyszeć. Po jej twarzy spłynęły łzy.

– Nie wiem, czy ci współczuć, czy zazdrościć. Wiem tylko, że

jestem już zmęczona, bo trudno jest kochać samonapędzający się agregat do produkcji sztucznej mgły. Puść mnie!

Zrobił, co mu kazała, mimo że wcale tego nie chciał. Sihamur skierowała się w stronę kamienia. Z jej lewego ucha kapłała krew. Czerwona plama na plecach wojskowej koszuli koloru khaki robiła się coraz większa. Barkelby zdawał sobie sprawę, że powinien jakoś zareagować, choćby rzucić się na nią, siłą zawlec do łazika, opatrzyć i wywieźć daleko stąd, ale miał wrażenie, że wszystko dzieje się poza nim, bez jego udziału, i nie ma sposobu, by zdołał się prześlizgnąć do tego nurtu zdarzeń, w którym mógłby coś zmienić. Nie potrafił jej jednak zostawić i szedł za nią jak cień, bezmyślnie, do momentu, gdy Sihamur stanęła przed ogromnym białym kamieniem.

Był większy, niż Barkelby sobie wyobrażał. Musiał mieć przeszło trzydzieści jardów długości i ponad dwadzieścia wysokości. Przypominał monstrualne, skamieniałe jajo leżące na boku. Wydawało się, że lewituje tuż nad powierzchnią pustyni. Barkelby uległ pokusie i przyklęknął, żeby zajrzeć pod niego i sprawdzić, czy naprawdę tak jest. Okazało się jednak, że to tylko złudzenie, ponieważ duży kamień stał na znacznie mniejszym kamieniu, wystającym z piaszczystego gruntu i ukrytym głęboko w cieniu. To odkrycie nieoczekiwanie poprawiło mu humor, jakby nagle znalazł niezbity dowód na to, że wszystko, co dziwne, złowieszcze, wieloznaczne i niebezpieczne, w rzeczywistości jest jedynie sprytnym oszustwem. Wstał, wyprostował się i uśmiechnął do Sihamur. Uśmiech zamarł mu na ustach.

Sądząc po długości ściekających strużek krwi, kobieta położyła zakrwawioną dłoń na kamieniu już kilka długich chwil temu. Stała tak bez ruchu, opierając się o głaz, i nicowała Barkelby'ego skupionym spojrzeniem. Pod naciskiem jej wzroku czuł się kompletnie bezbronny, nagi, zagubiony. Zebrał się na odwagę

i spojrzął jej w oczy. Lodowaty podmuch zmroził go od środka. Coś patrzyło jej oczami. Coś patrzyło przez łzy.

– Bardzo cię kocham – powiedziała. – Cokolwiek się stanie, musisz o tym pamiętać. Obiecuj, że nigdy nie zapomnisz.

– Sihamur...

– Obiecuj! – krzyknęła.

– Obiecuję, obiecuję – powiedział łamiącym się głosem. – Ale dlaczego, co się dzieje, czemu mi...?

– Kerratos i Zergott dotrzyмали słowa, a ty, ty kochanie, mam nadzieję, zrobisz z tym, co trzeba. Kochasz mnie?

Barkelby poczuł łzy na policzkach. Wyciągnął rękę, ale nie miał odwagi dotknąć Sihamur.

– Jak możesz pytać?

Szloch rządził mu w płucach.

– Trochę się boję... – szepnęła.

Barkelby otarł łzy i powiedział najspokojniej, jak potrafił:

– Chodź ze mną, wsiadźmy do łazika i odjedźmy stąd. Po prostu uderzyłaś się w głowę, to nic takiego, naprawdę, możemy przecież...

– Nie. Tak trzeba. Muszę to zrobić. Również dla ciebie, bo cię kocham, mimo że jesteś ślepy i głuchy. Widzisz?!

– Co?

Nie odpowiedziała. Coś, co patrzyło jej oczami, spojrzęło w górę. Zrobiło się ciemno, jakby burzowa chmura zasłoniła słońce. Barkelby uniósł głowę i zobaczył to, co zaćmiło blask anaferykańskiego słońca. Pulsowało na niebie jak czarny, aksamitnie meduzowaty miech, rozszczepiający rzeczywistość na niezliczone warstwy mieniące się obcymi wymiarami. Barkelby poczuł, że obecność tego kształtu budzi kilkusetmilowego bazaltowego lewiatana zanurzonego w oceanie magmy, głęboko pod ziemią. W jakiś sposób usłyszał sejsmiczne tykotanie bazaltowej grzybni uruchamiającej starożytny mechanizm

i uzmysłowił sobie, że kolos się przemieszcza, ustawia, precyzyjnie zajmuje pozycję. A potem pulsujący na niebie kształt zwinął się, skurczył, wessał całe światło i stał się obiektem lewitującym w sześcienniej jaskini.

Barkelby patrzył na niego i łkał, wdychając kwaśny smród wymiocin. Policzek palił go żywym ogniem.

„Gówno warte są te twoje obietnice, wiesz? Po tym wszystkim wciąż nie potrafisz przywołać całego wspomnienia”.

– Nie chcę pamiętać. To zbyt bolesne.

„Tyle dobrze, że teraz zdajesz sobie z tego sprawę”.

– Nie wiem, co robić. Zabrałeś mi złudzenia, dzięki którym mogłem jakoś żyć. I co teraz? Dostanę coś w zamian? Coś, co mi pomoże?

„O tak. Ostanie wspomnienie”.

– Nie mam już nic, co mógłbyś wykorzystać. Ograbiłeś mnie ze wszystkiego. Jestem zmęczony. Chcę zasnąć, na zawsze.

„Pamiętasz, dlaczego odrzuciłeś propozycję pracy w Moloku?”.

– Wkurwiają mnie, jebani hipokryci...

„Mogłeś sobie spokojnie mieszkać w Loqudynie, a ty poprosiłeś o ponowne przydzielenie do jednostki w Bozzokanie”.

– Tylko tam mogłem się łudzić, że wciąż jestem blisko niej.

„Tak, w pewnym sensie to fascynujące. Odkryłeś jakąś własną formę istnienia. Przebudowałeś się sfalszowanymi wspomnieniami i żyłeś w bańce bezpiecznych i wyjątkowo skutecznych złudzeń, a mimo to wciąż przyciągała cię prawda. Lecz starałeś się jej nie dostrzegać. Kiedy pozwolili ci wrócić do Bozzokanu, sądziłem, że niewiele już trzeba, żeby ten twój iluzoryczny domek z kłamstw zawalił się pod własnym ciężarem. Czekałem tylko na okazję, na coś, co postawi cię w sytuacji bez wyjścia, w sytuacji, w której sam przed sobą będziesz musiał odkryć prawdę. No i w końcu nadarzył się Gebelter”.

Barkelby zadrżał.

– Chyba nie mówisz poważnie, ledwo uszedłem z życiem i nie ma to nic wspólnego z...

„Nalegałem, żeby cię tam wysłali. Byłem pewien, że wreszcie się uda. Ale nic z tego. Nie dość, że udało ci się stamtąd wydostać, to jeszcze zręcznie pomanipulowałeś tym wspomnieniem, żeby nie zostało w nim nic, co dawałoby do myślenia. Prawdziwy majstersztyk. Gdybym chciał być miły, to powiedziałbym, że nawet trochę podziwiam tę zacienioną część twojej osoby, która odpowiada za te wszystkie sprytne machinacje. Jest bystra, kreatywna, elastyczna i błyskawicznie dostosowuje się do sytuacji. Ale cóż, ja jestem sprytniejszy. Sprowadziłem cię tu i rozmontowałem wspomnienie po wspomnieniu. Wisisz już tylko na włosku i nie masz gdzie uciec. To nie potrwa długo”.

Barkelby westchnął ciężko i powiedział:

– No i dobrze. Kończ to wreszcie. Ile można czekać?

Podobało mu się zdecydowanie, które usłyszał we własnym głosie.

„Kto to powiedział?”

– Ja! Nikogo innego tu nie ma.

„To się okaże. Widzisz?”

– Tak.

Sztuczna, betonowa równina pustego pasa startowego, na którą Barkelby zeskoczył z pokładu woporowej łodzi, lśniła metalicznie w blasku porannego słońca. Pełniła ona funkcję granicy oddzielającej półwysep Gebelter – maleńkie, ale ważne strategicznie terytorium należące do Cesarzowej Matki – od terenów, które były własnością Trooha, czyli tak naprawdę od całej zachodniej części Eneropy. Wzdłuż lotniska ciągnął się szeroki pas ziemi niczyjej, straszący podmokłymi ruinami zapadniętych budynków i stertami gruzu, na których nic nie chciało rosnąć. A za nimi, tam gdzie

zaczynały się już wznosić łagodne pagórki kontynentu, pokryte soczyscie zieloną trawą i niskimi drzewami, widać było pojedyncze zarysy wielkich kanciastych wież, które nieśpiesznie przesuwały się w rzadkiej mgle. To musiały być te słynne Wieżowe Skarabeusze, czyli potężni, ciemnografitowi formicy Trooha, którzy od wielu lat rozbudowują w Eneropie skomplikowaną, tytaniczną strukturę, sięgającą głęboko pod powierzchnię ziemi i z każdym dniem coraz bardziej odkształcającą rzeczywistość zamieszkujących ją ludzi w stronę życia w labiryntach fraktalnych zabudowań, samoistnie narastających we wnętrzu pustych, heksagonalnych kolumn, emanujących własną grawitacją i zawieszonych pionowo nad bezdenną otchłanią rozmigotaną metamorficznym światłem zmieniającym materię w coś, na co na tym świecie jeszcze nie ma nazwy. Barkelby słyszał na ten temat wiele dziwnych opowieści, ale pierwszy raz miał okazję zobaczyć ziemie Trooha na własne oczy, więc patrzył z dużym zaciekawieniem. Mgła jednak bardzo utrudniała obserwację i po chwili stracił zainteresowanie. Rozczarowany odwrócił się w przeciwną stronę.

Spojrzał na miasto i rozległy port. Niegdyś wszędzie krzątali się ludzie, ale teraz niepodzielnie rządziły tu stada dzikich małp. Kolczaste krzewy wyrastały z rozbitych okien, wysoka trawa kołysała się na dachach wieżowców, a wzdłuż ścian zwieszały się czepliwe pnącza. Woda w porcie była zielona od glonów. Zamiast huku portowych machin, znieruchomiłych i łuszczących się czerwoną rdzą, słyhać było jedynie gardłowe nawoływania magotów i ćwierkanie ptaków. Nad miastem górowała wapienna Skąła Gebelterska, wysoka na prawie pięćset jardów i kształtem przypominająca krzywą piramidę. Od setek lat była bardzo ważnym punktem obserwacyjnym, ponieważ rozciągał się stamtąd znakomity widok na Cieśninę Gebelterską – jedyne miejsce, w którym Morze Międzyziemne łączyło się z Oceanem

Atelantyckim. Na szczycie Skały znajdowała się rozległa twierdza, zbudowana po to, by stacjonujący tam brytyjscy żołnierze mieli baczenie na wszystko, co dzieje się w cieśninie, aż po wyraźnie widoczny drugi brzeg należący już do Anaferyki. W każdym razie tak było kiedyś, bo teraz twierdza była tak samo opuszczona, jak miasto i port.

Ludzie wynieśli się stąd dwadzieścia trzy lata temu. Niedługo po przebudzeniu Belenusów wszyscy mieszkańcy półwyspu poczuli, że muszą natychmiast opuścić to miejsce; poczuli głęboki wewnętrzny przymus, który był tak silny, że walka z nim przypominałaby próbę zatrzymania własnego serca siłą woli, więc każdy musiał mu się podporządkować. Podobno ci, którzy zaczęli pakować swój dobytek, widzieli, jak ze szczytu gebelterskiej Skały powoli wyłania się ogromna czarna szypuła. A gdy ostatni mieszkańcy Gebelteru porzucali swoje domy i wsiadali do łodzi, była ona już tak wysoka, że jej koniec znikał w chmurach. Potem nie było tu już nikogo, kto mógłby opowiedzieć, co wydarzyło się na półwyspie, a nawet gdyby był, pewnie i tak nie zobaczyłby zbyt wiele. Bo to, co najważniejsze, działo się daleko stąd, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Mimo to Brytyjczycy dowiadawali się o tym z gazet, plotek zasłyszanych w barach i z audycji radiowych, które w manipulacyjnie zgodny sposób przekazywały te same informacje. Według nich szypuła wyrosła poza atmosferę, sięgnęła głęboko w kosmos i zaczęła się kurczyć, ściągając stamtąd potężną kulistą sporę. Każde kolejne doniesienie na jej temat zagęszczało atmosferę nerwowego wyczekiwania, mnożyło paranoiczne podejrzania, podsycalo wątpliwości i trudne do zwerbalizowania nadzieje. Aż w końcu, po niemal dwóch latach od momentu, gdy zaczęła rosnać, szypuła przyholowała sporę tu, nad Gebelter, i Molok natychmiast wystosował oficjalny komunikat, w którym ogłosił, że jest to nowy receptor Cesarzowej Matki, dzięki któremu będzie mogła

bezpośrednio obserwować Cieśninę Gebelterską i poczynania Trooha, co szybko doprowadziło do tego, że ludzie oswoili sporę, nadając jej własną nazwę. Dosłownie z dnia na dzień wszyscy zaczęli na nią mówić Oko Matki. A napięcie kumulujące się od dłuższego czasu w społeczeństwie zostało rozładowane za pomocą licznych festiwali, organizowanych w całej Brytynei przez specjalnie stworzone w tym celu komórki operacyjne Moloka. Pokazy mechanicznych kuglarzy, teatry żywych obrazów i ogromne ilości podejrzenie taniego piwa, warzonego z laudanum, skutecznie odwróciły uwagę ludzi od tego, o czym tak naprawdę wcale nie chcieli myśleć.

Teraz, po latach, spora nie budzi już takich emocji i właściwie mało kto pamięta jeszcze o jej istnieniu, ale ona wciąż tu jest. Kołysze się nad Skałą, wysoko w górze, na końcu grubej kilkumilowej szypuły, niczym balon pokryty kolczastymi łuskami lśniącymi jak wypolerowany zębaty onyks.

Barkelby był jednak pewien, że wszystko, co jej dotyczy, wszystkie te relacje i infantylne objaśnienia, to tylko zmyślne kłamstwa, które padły na podatny grunt, i nie łudził się, że kiedykolwiek dowie się, czym tak naprawdę jest ta spora i dlaczego została tu umieszczona. Ważne było dla niego jedynie to, że teraz musi do niej wejść, bo po to go sprowadzono. Resztę nawykowo spychał poza krawędź zainteresowania.

Comisori, który robił mu odprawę na wyporowej łodzi, ujął to bardzo zwięźle. Stwierdził, że to nic takiego, czysta formalność, ale akurat Barkelby jest jedynym czynnym właścicielem świadomej broni, który może się tego podjąć. Później wytłumaczył mu, że wewnątrz Oka znajduje się obóz badawczy, w którym pracują naukowcy zajmujący się analizowaniem struktury kosmicznej spory. Są oni w ciągłym kontakcie radiowym z Loqudynem, ale od czasu do czasu zdarza się, że ich radio milknie. Źródłem

problemów z łącznością jest odmienna fizyka spory, która regularnie transformuje ludzką technologię w coś, co nie działa już w przydatny dla nas sposób. Dlatego też elektroniczne podzespoły radiostacji muszą być często wymieniane. Molok zawsze stara się mieć pod ręką kogoś, kto w każdej chwili może dostarczyć części zamienne, ale niestety, tak się teraz złożyło, że ci, którzy się tym zazwyczaj zajmują, w trybie natychmiastowym zostali przeniesieni na biegun południowy i trzeba było szybko znaleźć dla nich zastępstwo. Skoro jednak musi to być ktoś, kto dysponuje świadomą bronią, z oczywistych powodów wybór był bardzo ograniczony. Comisori ubolewał przepaszającym tonem, że fatygowali go aż z Bozzokanu, i przekonywał, że załatwienie sprawy zajmie mu najwyżej kilka godzin. Barkelby zapytał, czemu musi to zrobić posiadacz świadomej broni? A comisori odpowiedział enigmatycznie, że tylko z nią można wejść do Oka. Potem dali mu ciężką płócienną torbę z częściami zamiennymi do radiostacji i zostawili go na pasie startowym gebelterskiego lotniska.

Pasek torby wrzynał mu się w skórę i co kilkadziesiąt kroków musiał się zatrzymywać, żeby przerzucić ją z jednego ramienia na drugie. Mimo to szybko zostawił za sobą zrujnowane budynki, przerdzewiałe wraki samochodów, a także popękany asfalt miejskich ulic – zniszczony przez trawę oraz niskie kolczaste krzewy – i zaczął się wspinać szeroką brukowaną drogą na szczyt Skały. Wszędzie roiło się od małp. Gdy przechodził obok nich, wpatrywały się w niego podejrzliwie. Barkelby bał się, że mogą się poczuć zagrożone i będą próbowały przepędzić go ze swojego terytorium. Co prawda były dość małe, ale nadrabiały liczebnością. Gdyby chciały, bez trudu zrobiłyby mu krzywdę.

– Powiedz, że masz na nie oko – szepnął.

„Nie ma takiej potrzeby. Wciąż pamiętają ludzi”.

– Obyś miał rację.

„Skup się na zadaniu i oszczędzaj oddech”.

Wejście na Skalę zajęło Barkelby'emu niecałą godzinę. Nie wiedział, czego właściwie powinien się spodziewać, ale nie zaskoczyło go, że twierdza praktycznie przestała istnieć. Właściwie tylko główna brama i część zewnętrznych obwarowań zachowały się w nienaruszonym stanie. Reszta zabudowań zmieniła się w koncentryczne fale szklistego żużlu, zastygłe wokół miejsca, z którego wynurzała się czarna szypuła. Barkelby przeszedł przez otwartą bramę i nagle znalazł się tuż przy niej. Mimowolnie westchnął z wrażenia. Jej szeroka stożkowata podstawa była o wiele większa niż słynna gotycka katedra w Wenchester, która, tak samo jak wszystkie inne obiekty sakralne na całym świecie, po przebudzeniu Belenusów przestała pełnić swoją dawną funkcję, ale wciąż robiła wrażenie swoimi rozmiarami. Choć, prawdę powiedziawszy, w porównaniu z czymś takim nie była niczym imponującym i można było wręcz dojść do wniosku, że od początku budowano ją z myślą o tym, że kiedyś stanie się ładnym zadaszonym targowiskiem, na którym teraz mieszkańcy Wenchester chętnie kupują ziemniaki, jajka, pomidory, marchewki, chleb, świeżutkie udka kurczaków i seler.

Uważając na torbę z częściami zamiennymi, Barkelby przegramolił się przez twarde fale zastygłego żużlu i ostrożnie wszedł na nierówną powierzchnię czarnej szypuły. Tworzyły ją gęste sploty szorstkich włókien zrobionych z jakiejś osobliwej materii, która przypominała elastyczny kryształ. Włókna różnej grubości układały się w nieregularne bruzdy, obłe pagórki i płytkie zagłębienia gęsto porośnięte licznymi kanciastymi pręcikami, równie czarnymi jak materia, na której rosły, ale zakończonymi srebrzyście połyskującymi szyszkami. Większość z nich sięgała Barkelby'emu do pasa. Gdy znalazł się między nimi, najbliższe szyszki rozbłysły bladym światłem i nachyliły się w jego stronę.

Zawahał się, ale uznał, że jeśli pojawi się prawdziwe zagrożenie, to Zergott z pewnością się tym zajmie, postanowił zatem iść dalej. Nie dałby rady ominąć wszystkich ciekawskich pręcików, bo było ich za dużo, lecz okazało się, że nie ma takiej potrzeby. Choć początkowo bardzo chciały się do niego zbliżyć, ostatecznie unikały fizycznego kontaktu, odsuwały się i same pozwalały mu przejść.

Szypuła nie wznosiła się pionowo, lecz pod kątem około trzydziestu stopni i zwężała się ku górze. Mimo swej nieprawdopodobnej grubości wyginała się i falowała pod wpływem nieustannych ruchów zakotwiczonej na jej końcu spory, która nawet z tej odległości wydawała się ogromna. Zimny i niepokojąco kolczasty blask jej onyksowych łusek wyraźnie odcinał się na tle częściowo zachmurzonego nieba i wywoływał ciarki na plecach.

– Łatwo nie będzie – stwierdził sceptycznie Barkelby.

„Mówiłem, żebyś oszczędzał oddech”.

– Nie pomagasz...

„Stopa pilotująca ciężki wojskowy but zmierzający w stronę twojego tyłka pomogłaby znacznie bardziej, prawda?”.

– Ale się uwziąłeś. Jeszcze chwila i pójdziesz spać!

„Cokolwiek, tylko przebieraj szybciej nogami, bo nie mamy całego dnia!”.

Barkelby zdusił przekleństwo i wydłużył krok. Wspinaczka była męcząca, ale nie aż tak trudna, jak mu się początkowo wydawało. Co jakiś czas przystawał, żeby uspokoić oddech, ale szybko ruszał w dalszą drogę. Im wyżej wychodził, tym mocniej uderzały w niego podmuchy porywistego wiatru. Próbował nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby któryś z nich zepchnął go z szypuły, i jak długo musiałby z wrzaskiem spadać do morza. Przygarbił się i uparcie parł przed siebie. Kanciaste pręciki nachylały srebrzyste szyszki, które, rozbłyskując bladym światłem, niemo obserwowały jego wysiłki. Wreszcie, po niepokojąco długim czasie – nie chciał patrzeć

na zegarek, bo wołał nie wiedzieć, ale sądząc po pozycji słońca, musiały minąć ze trzy godziny – Oko wypełniło całe pole widzenia i Barkelby zobaczył wejście do szpytuły. Wąska pionowa szczelina ciemniała między kolczastymi czarno-białymi łuskami, wielkimi jak wagony pociągu pancernego. Ale Barkelby mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą żadnej szczeliny tam nie było.

Dotarł do niej, zatrzymał się, i dysząc, wpatrzył się w aksamitną ciemność, która w niej zalegała. Nie czuł strachu, choć nieco podobne uczucie nieprzyjemnie łaskotało go w żołądku. Odwrócił się, by spojrzeć na Gebelter. Daleko w dole majaczyły wtopione w Skalę zgliszcza twierdzy, opuszczone miasto, port i lotnisko, nad którym metalicznie połyskiwała maleńka łódź woporowa. Jej widok był pewnym pocieszeniem, bo dobrze było wiedzieć, że wciąż na niego czekają, ale Barkelby nie mógł się pozbyć irracjonalnego wrażenia, że widzi ją ostatni raz; że wszystko, na co teraz patrzy, widzi ostatni raz. Uniósł wzrok i spojrzął poza ziemię niczyją, na tereny Trooha. Mgła zniknęła bez śladu, odsłaniając widok, od którego kręciło się w głowie.

Bezkresna pagórkowata równina była podziurawiona ogromnymi, heksagonalnymi wlotami pionowych tuneli i nawet z wysokości Oka nie można było zobaczyć, jak głęboko sięgają te monstrualne studnie i czy w ogóle mają jakiegokolwiek dno. Ich ściany i krawędzie opalizowały ciemnobrunatnym, kryształowym blaskiem. Wokół heksagonalnych wlotów nieśpiesznie krzątały się Wieżowe Skarabeusze zajęte swoimi niepojętymi sprawami. Odległość sprawiała, że przypominały małe dziecięce zabawki poruszające się dzięki spiralnej mocy nakręcanych sprężyn. Jedne wloty przylegały do siebie, inne znajdowały się w sporym oddaleniu, ale wszystkie były połączone rozbudowanym systemem metalicznie połyskujących cięgien, zintegrowanych z na wpół materialnymi siłownikami unoszącymi się w powietrzu jak kanciaste sterowce

utkane z gęstych pajęczyn niebieskofioletowego iskrzenia orgonu. Wyraźnie było widać, że heksagonalne tunele i łączące je instalacje tworzą razem jedną kolosalną strukturę, która, oddalając się w głąb kontynentu, robi się coraz bardziej skomplikowana. Kształty wlotów nakładały się na siebie i zaburzały perspektywę, jakby kryły w sobie dodatkowy wymiar, którego nie sposób bezpośrednio dostrzec, ale można zauważyć efekty jego oddziaływania. Odległy horyzont nie był ani poziomy, ani lekko wypukły, lecz niepokojąco wklęsły. Barkelby pomyślał, że Trooh próbuje zmienić zachodnią Eneropę w jakieś gigantyczne urządzenie niewiadomego przeznaczenia, złożone z wielowymiarowych i jedynie fragmentarycznie widocznych modułów, formujących coś na kształt czaszy parabolicznej anteny, na dnie której, w samym jej środku, w miejscu, z którego rozrosły się wszystkie heksagonalne tunele, spoczywa on sam. Przez jedną przerażającą chwilę Barkelby był niemal pewien, że widzi go w najniższym punkcie wklęsłego horyzontu i migocząca kolumna czarnego światła wypala mu mózg, ale zorientował się, że to tylko stado czarnych ptaków krążące nad jednym z heksagonalnych wlotów, i szybko odzyskał kontrolę nad swoją paranoiczną wyobraźnią.

„Napatrzyłeś się?”.

– Stul dziób! – warknął Barkelby, odwrócił się i wszedł do szczeliny.

Cisza otuliła go ze wszystkich stron. Była niemal namacalna, jak wata w uszach. Pachniała starożytnym pyłem. Wnętrze spory wypełniała zwarta gąbczasta substancja przywodząca na myśl porowaty miękisz chleba, rozświetlony od wewnątrz niepokojąco znajomym mglistym, szarżółtym blaskiem gnijącego próchna. Dzięki niemu nie było tam całkiem ciemno. Mimo to Barkelby nie miał pojęcia, w którą stronę powinien pójść. Możliwości było wiele, bo w głąb spory prowadziło co najmniej pięć różnych korytarzy, ale

przy żadnym z nich nie dostrzegał śladów pozostawionych przez ludzi. Ani wydeptanych ścieżek, ani śmieci, ani skrzynek ze sprzętem, ani w ogóle czegokolwiek, co sugerowałoby jakiś kierunek.

– Doradzisz coś?

Zergott nie odpowiedział.

– No jasne, obraź się – mruknął Barkelby, poprawił torbę z częściami zamiennymi i zaczął się przepychać wąskim owalnym korytarzem, który wydawał mu się największy i najbardziej obiecujący.

Po kilku jardach musiał skrócić w prawo, a potem w lewo. Korytarz zaczął się wznosić i mniej więcej trzydzieści minut później doprowadził go do podłużnej komory, długiej na jakieś piętnaście, a może nawet dwadzieścia jardów. Tu się zatrzymał. Komora była zupełnie pusta i nadal nigdzie nie było widać śladów obecności ludzi. Ale nagle Barkelby poczuł, że nie jest sam. Rozejrzał się, lecz nie zauważył niczego, co tłumaczyłoby jego odczucia. Uniósł głowę. Sufit niknął w gęstym mroku. Barkelby miał niejasne wrażenie, że coś się w nim kryje i porusza na granicy widzialności. Dreszcz przebiegł mu po skórze. Przełknął ślinę i starał się nie wpaść w panikę, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli do tego dopuści, pozostanie mu tylko ucieczka i wrzask. A przecież nie ma się czego bać. To tylko ciemność bawi się z nim w te swoje starożytne gierki. Zdjął z ramienia płócienną torbę i położył ją przed sobą na gąbczastym, lekko uginającym się podłożu. Zebrał się w sobie i krzyknął:

– Jest tu ktoś?!

Cisza łapczywie wchłonęła jego słowa i było tak, jakby Barkelby nic nie powiedział. Zadrzał. Nie miał odwagi odezwać się drugi raz. W jego świadomości skryształizowała się dławiąca oddech pewność, że nie ma tu żadnych ludzi. I nigdy nie było. Przyklęknął, otworzył

torbę z częściami do radiostacji i zajrzał do środka. W słabym fosforowym blasku spory zobaczył, że wypełniają ją spalone lampy elektronowe, połamane płytki obwodów drukowanych i uszkodzone transformatory z niekompletnym uzwojeniem. Wstał. Zostawił torbę i powoli wycofał się tyłem. Potem odwrócił się i wskoczył do korytarza. Bez torby poruszał się znacznie szybciej, lecz już po chwili zorientował się, że to nie może być ten sam korytarz, którym przyszedł, bo był o wiele szerszy, no i przede wszystkim wznosił się do góry, a powinien opadać. Barkelby zatrzymał się skonsternowany, i wtedy usłyszał coś, co zmroziło mu krew. Od strony komory, którą przed chwilą opuścił, zbliżały się głośne chrzęsty, trzaski i powolne szuranie, jakby coś dużego i bardzo ciężkiego z trudem przeciskało się w jego stronę. Jęknął i zaczął uciekać. Świadomość, że nie kieruje się w stronę wyjścia, w żadnym razie nie pomagała mu zapanować nad lękiem. Próbował biec, lecz potykał się i upadał. Poprzestał więc na szybkim, nerwowym marszu. Wiedział, że nie może wrócić, ale wmawiał sobie, że znajdzie jakiś inny sposób, żeby stąd wyjść.

– Zergott! – powiedział zdyszany. – Musisz mi pomóc.

„Chętnie”.

Sam dźwięk jego głosu sprawił, że Barkelby częściowo odzyskał pewność siebie.

– Załatw to cholerstwo!

„Nie dałbym rady, nawet gdybym chciał”.

Barkelby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– To kiepski moment na takie żarty! Rozumiem, że chcesz się odegrać za to, że ci przygadałem, ale...

„Nie żartuję. Już czas”.

– Niby na co? – zapytał Barkelby, czując, że zaczyna przegrywać nierówną walkę z paniką.

„Żebyś przestał uciekać”.

– Ale to mnie dopadanie!

„Prędzej czy później musi. Zatrzymaj się”.

– Niedoczekanie!

„Już raz stąd uciekłeś. Nie wyszedłeś na tym dobrze”.

– Co ty bredzisz?! Nigdy wcześniej tu nie byłem!

„Byłeś”.

Na dnie umysłu mignął mu labirynt podziemnych korytarzy i dziwny obiekt, który lewituje w sześciennej jaskini i nieruchomo mieni się znaczeniami.

Barkelby zwolnił.

„Stój! Przestań uciekać”.

Strach był nieustępliwy i agresywny jak fizyczny ból. Zgęstniał w klatce piersiowej, wbił się w nią niczym lodowy sztylet, a potem, zupełnie niespodziewanie, odpuścił, rozwiął się bez śladu.

Niewidzialny ciężar spętał Barkelby'emu nogi i zatrzymał go w pół kroku. W jakiś sposób ta unieruchamiająca siła była również pustką w jego głowie; pustką, która zaczynała się wypełniać.

– Ja...

„Nie, nie ty”.

Złowieszcze odgłosy stawały się coraz bliższe, coraz głośniejsze. Nagle Barkelby zdał sobie sprawę, że wcale nie dochodzą z korytarza i słyszał je zawsze, wyczuwał głębinowe poruszenia albo potężniejącą obecność żywego, gęstniejącego chłodu poprzedzającą każdy transfer wspomnień. Ale nigdy nie chciał ich słyszeć. Teraz chce. Skupia się na nich i w jednej chwili wszystko, co przez tyle lat z takim zapamiętaniem od siebie odpychał, magnetycznie przylega do niego w miejscach, które na to czekają. Chrząszcząc, trzeszcząc, szurając, zagina się rzeczywistość, odsłania się przejście.

„A jednak nie boli. Teraz mogę już spokojnie rozmontować Tarsusa”.

– Ty...

„Nie, nie ja”.

Prastara myśl drży.

Jej kontury rozmazują się, zrzucając z siebie ostrość.

Jej wnętrze zapada się, rozciąga i przekształca w długi korytarz wykuty w litej skale, na którego końcu otwierają się grube pancerne wrota.

Barkelby pierwszy raz w życiu spogląda tam, gdzie powinien, i nie odwraca wzroku.

Patrzy.

W głębinę zakulisowej przestrzeni kapie złoty blask. Na krótki, zapierający dech moment rozświetla to, co kryje się w jej ciemnej otchłani. Gdy gaśnie, zostawia po sobie znikający powidok, którego w żaden sposób nie da się objąć umysłem, i Barkelby bezradnie znika wraz z nim.

* * *

– Cały czas mam wrażenie, że coś za nami idzie – powiedział Hessirun, kolejny raz oglądając się za siebie.

Tertell jęknął poirytowany.

– Przestań, nie mogę się skupić!

– No przysiągłbym, że...

– To tylko wiatr przepycha się z drzewiastymi.

– Wcale go nie czuję.

– Bo wieje wyżej. Tak trudno to zrozumieć?

– No nie, ale wiesz...

– Dość! – parsknął Tertell. – Przymkniesz się wreszcie?! Musimy odszukać trop, a ty w ogóle nie pomagasz.

– Mówiłeś, że wiesz, gdzie jest.

– No i co z tego? Zapomniałeś, przez kogo tu jesteśmy?

– To nie moja wina, ja tylko...

– Jeszcze chwila i cię tu zostawię. Obiecuję!

– Dobrze już, dobrze. Po co te nerwy?

Tertell przystanął i rozejrzał się bezradnie. Był skołowany. Często podsłuchiwał ulubione kozymandiski Tazama, które bezmyślnie plotkowały na temat spraw, jakimi zajmowali się główny kozymandis oraz jego najbliżsi poplecznicy, i dzięki temu – mimo że tak naprawdę nigdy nie widział żadnego niuchacza ani żadnej zieloniarki – zdobył wystarczająco dużo informacji, żeby się zorientować, gdzie powinien ich szukać, i utwierdził się w przekonaniu, że dotarcie do ich kryjówki będzie banalnie proste. Jednakże w leśnej gęstwinie drzewiastych Cicho Zielonych wszystko się pokomplikowało. Piękny, wyraźny trop niespodziewanie urwał się w połowie stoku, a Tertell nie potrafił zrozumieć, jak to w ogóle jest możliwe. Głowił się nad tym kilka dłuższych chwil, aż wreszcie doszedł do wniosku, że musiał przeoczyć jakąś niepozorną, zakamuflowaną odnogę albo wpadł w zapachową pułapkę pozostawioną dla zmyłki. Z tego, co pamiętał, ostatni wyraźny ślad wywąchał nieco wyżej, na zboczach, uznał więc, że najrozsądniej będzie do niego wrócić. Powiedział o tym Hessirunowi.

– Z powrotem na górę?! – zapytał z niedowierzaniem potężny kozymandis.

– Musimy. Coś nam umknęło.

– Ale co?

– Gdybym wiedział, tobym ci powiedział!

– Nie chce mi się...

– Naprawdę nie mam ochoty wysłuchiwać twojego...

Tertell umilkł. Między strzępiastymi Cicho Zielonymi wypatrzył coś na kształt ledwo widocznej ścieżki. Podeszedł do niej, włożył łeb między długie łodyżki pokryte drobno ząbkowanymi listkami i powąchał udeptaną ziemię. Nie znał tego zapachu. Przypominał

niecو woń kozymandisów, ale równie dobrze mógł to być trop pozostawiony przez jakieś inne Mięso Kościste czworonogi, które często tędy przechodzą.

– Znalazłeś coś? – zapytał Hessirun.

– Możliwe.

– To nie wracamy na zbocze?

– Nie masz innych zmartwień?

– Chwilowo nie.

– Idiota – szepnął do siebie Tertell.

– Ej, słyszałem to! – oburzył się Hessirun.

– Mam nadzieję... – mruknął Tertell i powoli ruszył do przodu z nosem przy ziemi.

Z każdą chwilą nabierał coraz większej pewności, że to jednak jest zapach kozymandisów, choć miał w sobie mnóstwo dodatkowych, trudnych do zidentyfikowania składników, kojarzących się z rzadko spotykanymi Cicho Zielonymi albo wręcz z kozymandisami, których nie urodziły kozymandiski, lecz napęcznieli pod ziemią, w korzeniach Cicho Zielonych, niczym włochate bulwy pełne soczystego i może trochę gorzkawego, ale jednak bardzo smakowitego mięszu. Tertell przełknął ślinę, która obficie zebrała mu się pod językiem, i skupił się na zapachu. Tym razem nie zamierzał go zgubić.

Trop zaprowadził ich na brzeg wąskiego strumyka leniwie spływającego kamienistym dnem głębokiego jaru, a potem skręcił między duże omszałe głazy. Tertell zatrzymał się, potrząsnął łbem i zastrzygł uszami.

– Dlaczego stoimy? – zapytał Hessirun.

– Myślę.

– Możesz to robić, idąc.

– Daj znać, gdy sam kiedyś spróbujesz.

– Czemu taki jesteś? – jęknął urażony Hessirun. – Przecież nic ci

nie zrobiłem.

Tertell westchnął.

– Masz rację, przepraszam – powiedział spokojnie. – Stoimy, bo trop ucieka między głazy, a ja zastanawiam się, czy nadal powinniśmy za nim iść. W takich miejscach często kryją się zębacze.

– Pójdę pierwszy, jeśli się boisz.

– O ciebie też się boję i nie chcę, żebyś się narażał.

– W takim razie nie wiem...

– A ja wiem – powiedział nagle ktoś trzeci.

Tertell i Hessirun zamarli z przerażenia, ale nic więcej się nie wydarzyło, więc po chwili odważyli się poruszyć i spojrzeli na siebie.

– Też to słyszałeś? – zapytał Tertell.

– Chyba tak...

Rozejrzeli się, lecz w zasięgu wzroku nie zobaczyli nikogo, kto mógłby się do nich odezwać.

– A może jednak nie? – stwierdził pytająco Hessirun. – Zapomnijmy o tym i chodźmy dalej.

– Tu, na górze! – podpowiedział tajemniczy głos.

Tertell i Hessirun unieśli pyski.

– Nie, nie, z drugiej strony.

Kierując się wskazówkami głosowymi, wypatrzyli w końcu kozymandisa leżącego na jednym z dużych okrągłych głazów. Nie był to typowy pobratymiec Tertella i Hessiruna, bo pod pewnymi względami bardzo się od nich różnił. Jego futro przypominało trawiastą ściółkę Cicho Zielonych, a rogi pokrywał ciemnozielony nalot, dzięki czemu znakomicie zlewał się z mchem, na którym leżał, i z gałęziami drzewiastych znajdującymi się tuż za nim. Nieznajomy kozymandis wyglądał więc tak, jak podobno wyglądają wszystkie zieloniarki i wszyscy niuchacze, ale Tertell i Hessirun nie

byli pewni, czy to faktycznie jest jeden nich, bo znali ich tylko z opowieści i jeszcze nigdy żadnego nie spotkali.

Zielony kozymandis wstał i jakby wyczuwając ich wątpliwości, powiedział:

– Bmulkyna kazała mi wyjść wam naprzeciw.

– A niby skąd wie, że do niej idziemy? – zapytał podejrzliwie Hessirun.

– Zdziwiłbym się, gdyby nie wiedziała. Nazywam się Ebed. Chodźcie. Zaprowadzę was do niej.

Zgrabnie zeskoczył z głazu, minął ich, spoglądając wymownie na podłużną złotą rzecz nabitą na róg Hessiruna i wszedł między omszałe skały. Tertell i Hessirun wciąż nie mogli się zdecydować, czy powinni mu zaufać, ale zdawali sobie również sprawę, że przez własne tchórzostwo mogą stracić szansę na szybkie dotarcie do Bmulkyny, wymienili więc porozumiewawcze spojrzenia i świadomi wiążącego się z tym ryzyka pośpiesznie ruszyli za Ebedem.

Ledwo wyczuwalna zapachowa ścieżka wiła się pośród ogromnych skał, grubych pni drzewiastych Cicho Zielonych i gęstych krzaczastych najeżonych długimi kolcami, ale Ebed podążał nią z taką łatwością, jakby szedł wzdłuż zawieszanej w powietrzu fosforyzującej pajęczyny, bezbłędnie wskazującej mu drogę. Ani razu się nie zawahał. Zawsze wiedział, gdzie trzeba skręcić, gdzie zawrócić, a gdzie wspiąć się nieco wyżej. Tertell nie mógł wyjść z podziwu. Był tak zafascynowany jego orientacją w terenie, wyczuciem i spostrzegawczością, że nie od razu zorientował się, że zapach Ebeda łaskocze go w nozdrzach i zwraca na siebie uwagę, wywołując ciąg skojarzeń powiązanych ze zgubionym tropem niuchaczy i zieloniarek.

W samym rdzeniu swojego zapachu Ebed pachniał tak samo jak każdy normalny kozymandis, ale ten znajomy rdzeń był owinięty

innymi woniami, przynależącymi do nasączonych słońcem liści i powolnych ruchów korzeni zagłębiających się w wilgotnej ziemi. Ich źródłem było oczywiście nietypowe Cicho Zielone futro Ebeda. Jednak zapachy te nie były ani tak mocne, ani trwałe, jak skrywająca się tuż pod nimi woń kozymandisa, więc po przejściu niuchacza z całą pewnością dość szybko ulatniały się ze ścieżki. Aż w końcu, po pewnym czasie, zostawał na niej jedynie rdzeń kozymandisowego zapachu. Jasno wynikało z tego, że miejsca, w których niuchacze i zieloniarki byli dawno temu, zwyczajnie pachniały kozymandisami, a te, które odwiedzili niedawno, czuć było przede wszystkim soczystą wonią rzadkich trawiastych Cicho Zielonych, kamuflujących kozymandisowe sedno.

Tertell zebrał w głowie te spostrzeżenia i doszedł do wniosku, że na stoku, tam gdzie urwał mu się trop, łączą się ze sobą dwa ślady, stary i nowy. No i właśnie to go zmyliło. Ucieszył się, że wreszcie udało mu się rozwiązać tę zagadkę, i pomyślał, że może warto podzielić się swoim odkryciem z Hessirunem i Ebedem – choć dla niuchacza nie byłoby to zapewne nic nowego – ale zanim zdołał przemyśleć wszystkie za i przeciw, Ebed zatrzymał się i nie patrząc w ich stronę, powiedział:

– To tu.

Potem przyklęknął i wcisnął się w wąskie przejście wykopane pod grubym pniem powalonego wiatrem drzewiastego. Wczołgał się do środka i zniknął po drugiej stronie.

– Nie ma szans, żebym się tam zmieścił – stwierdził Hessirun.

– Poczekaj chwilę – powiedział uspokajająco Tertell i wsunął głowę w głąb przejścia.

Wystarczyły pobieżne oględziny, by się zorientować, że nie jest ono aż tak wąskie, jak się wydaje. Wrażenie ciasnoty wywoływały zwieszające się z kory porosty Cicho Zielonych, optycznie zmniejszające przejście.

Tertell cofnął się i spojrział na Hessiruna.

– Właż! – powiedział. – Miejsca jest dość. Popchnę, jeśli będziesz miał problemy.

Hessirun nie czuł się przekonany.

– Nie jestem pewien... – mruknął cichutko.

– No idź, bo nam zielony ucieknie!

Słowa Tertella dotarły chyba do właściwego miejsca w mózgu Hessiruna, gdyż nagle sapnął, desperacko rzucił się do przodu i zaskakująco żwawo wczołgał pod pień drzewiastego. Wbrew obawom nie tylko bez najmniejszego problemu zmieścił się w przejściu, ale też przelazł przez nie szybciej niż Ebed, w czym zapewne bardzo mu pomógł strach przed utknięciem.

– Śmigasz jak kunak za pędrakami! – krzyknął za nim rozbawiony Tertell i też przeczołgał się pod pniem.

Po drugiej stronie, na małej okrągłej polance zacienionej krętymi gałęziami igłolistnych Cicho Zielonych, czekali na niego nie tylko Ebed i Hessirun. Byli tam jeszcze dwaj inni kozymandisi, a właściwie zielony kozymandis z tak mocno wygiętymi do tyłu rogami, że wyglądały jak druga para uszu, oraz wielka kozymandiska, naprawdę duża, większa od Hessiruna. Przypominała kamienny sześcian porośnięty ściółkowym Cicho Zielonym futrem. Między jej tylnymi nogami kołysały się ogromne wymiona. Tertell nigdy wcześniej jej nie spotkał, ale gdy tylko na nią spojrział, od razu poczuł silne ukłucie pewności – to musi być ona: Bmulkyna! Nie miał jednak pojęcia, skąd bierze się w nim ta pewność. Zieloniarka oglądała złotą rzecz nabitą na róg Hessiruna, który usłużnie pochylał głowę. Tertell podszedł do nich, zerknął na monstrualne wymię i zapytał:

– Łaskoczą cię Cicho Zieloni, gdy się pasiesz?

Wszyscy spojrzeli w jego stronę, ale tylko ona się odezwała.

– Wiedziałbyś, gdybyś też miał się czym pochwalić, lecz z tego, co

widzę, nie mamy o czym rozmawiać.

Oniemiał. Wpatrywał się w jej spokojne ciemnoniebieskie oczy, nad którymi wznosiły się okazałe rogi pokryte grubym mchem, i szukał w myślach jakiejś złośliwej riposty, którą mógłby jej rzucić w pysk, ale pierwszy raz od bardzo dawna nic nie przychodziło mu do głowy.

– Nie trać istnienia na takie rzeczy, Tertellu – powiedziała. – Zmarnowaliście już wystarczająco dużo czasu, żeby do mnie dotrzeć. Czemu wam to tyle zajęło?

– Ja... Zgubiłem trop... – wykrztusił Tertell.

– Sam siebie zgubiłeś, a nie trop, prawda?

Pozostali kozymandisi obserwowali go w milczeniu, a Tertell ze zdziwieniem odkrył, że wcale nie czuje się tym skrępowany.

– Tak – odparł. – Byłem zbyt pewny siebie. Powinienem raczej...

– No właśnie, no właśnie, cieszę się, że już to ugryzłeś, ale zostaw to sobie na później. Przeżujesz, gdy udacie się do Przekażników. Potrzebujecie ich pomocy.

Tertell zadrżał wstrząśnięty.

– Ale... ale... ale to jakby oddychać wodą! – wyrzucił z siebie, jękając się ze strachu. – Każdy kozymandis wie, że tego nie da się zrobić. Przekażniki nikomu nie pomagają. One tylko zwodzą, zniekształcają i trują. Najlepiej trzymać się od nich z daleka.

– Oj, Tertellu, Tertellu, tak naprawdę nic o nich nie wiesz. Znasz tylko opowieści starych kozymandisów, którzy uwielbiają rozprawiać o tym, że Przekażniki tkają pod ziemią swój własny świat, bezkresny i roziskrzony jak nocne niebo. Świat zupełnie inny od tego, co znamy i widzimy na co dzień, ale trwale z tym wszystkim zrosnięty. Na pewno wiele razy słyszałeś, że to, co stworzyły, w czym żyją i czym tak naprawdę są, prześwituje czasem między listkami i szorstkimi załomami kory, niczym lśniąca skóra jaśniejąca między włoskami sierści, albo czai się w kałużach

i delikatnie porusza pajęczynami w bezwietrzne dni. Te gawędziarskie historyjki w oczywisty sposób sprawiły, że wyrobiłeś sobie o nich bardzo konkretne zdanie i co za tym idzie, nauczyłeś się omijać miejsca styku, w których manifestuje się obecność Przekażników, a także unikać ich światłolubnych anten pączkujących na powierzchniach rzeczy i niepodobnych do niczego innego, tylko do samych siebie – różnokolorowych kopulastych bulw stojących na pojedynczych nogach. Ale to tylko bajki, Tertellu, bajki dla małych jagniąt. Migocze w nich odrobina prawdy, bo Przekażniki faktycznie nie są ani Cicho Zielone, ani Mięso Kościste jak my, i siłą rzeczy bardzo się od nas różnią. Rzecz jednak w tym, że nikt nie ma pojęcia, jak bardzo. Bajki chronią przed tą wiedzą. Muszą to robić, gdyż Przekażniki są dziwniejsze, groźniejsze i bardziej nieprzewidywalne, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Bardziej, niż ktokolwiek powinien wiedzieć. Lecz prawie w ogóle się nami nie interesują. W każdym razie nie tak, jak ci się wydaje. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego rzeczywistość jest taka gęsta i daje oparcie naszemu istnieniu? Czemu nasze ciała pojawiają się tu, żeby wzrastać, umacniać swoje istnienie, a potem rozpaść się na kawałki? I co tak naprawdę karmi czas naszego istnienia?

Tertell nie wytrzymał i fuknął rozdrażniony:

– Niczego mi nie wmówisz! Swoje wiem! I nie udawaj, że znasz odpowiedzi na takie pytania. To niedorzeczne. Świat to świat, drzewiaści są twardzi, trawiaści miękcy, a woda mokra. A my jesteśmy tu, bo jesteśmy. Tak już jest. Dopowiedz sobie, co chcesz. Efekt zawsze będzie taki sam. Nic nie wyjaśnisz i nic nie zmienisz.

– Masz rację. Nikt nie ma pojęcia „dlaczego”. Wkop się jednak trochę głębiej w te pytania, a sam się szybko przekonasz, że „jak” znajduje się w zasięgu naszego pojmowania.

Tertell w żaden sposób nie potrafił pojąć, o czym ona mówi, ale

zastanawianie się nad tym pomogło mu się uspokoić.

– No dobra, znowu się pogubiłem – przyznał, patrząc na Bmulkynę spode łba, i wtedy do jego świadomości zaczął się nagle przebijać sens ukryty w słowach zieloniarki.

– Zaraz... – powiedział z ożywieniem. – Czy chwilę temu sugerowałaś, że Przekąźniki tworzą nasze istnienie?

– Tak i nie. Same w sobie nie mają takiej mocy, lecz ktoś, dawno temu, nieprzypadkowo nadał im właśnie taką nazwę. One przekazują, Tertellu. Przekazują i ukierunkowują.

– Niby co?

– Coś, co promieniuje z podziemnego kosmosu i dzięki Przekąźnikom, przez cały czas, bez przerwy, chwila po chwili, oddech po oddechu, przyjmuje kształt naszego świata i nas samych. Musisz jednak wiedzieć, że to coś, co przekazują, to coś, co zestala się w nas i wokół nas, zawiera w sobie również przebłycki niezliczonych obcych światów, wizje przyszłych i przeszłych wydarzeń, zawiłe niestabilne symbole, które fosforyzują nieznanymi kolorami i drżą, jakby się wynurzały z głębokiej wody, a także przeróżne zagadkowe przedmioty. I te ostatnie bywają najbardziej kłopotliwe. Co prawda, zdecydowana większość z nich nigdy nie obleka się w twarde, namacalne kształty i przedostaje się tu jedynie na niewyobrażalnie krótki moment, po którym natychmiast znika, pozostawiając po sobie niewyraźne pajęczne struktury odcisnięte w głębszych warstwach podatnych umysłów, niczym ślady dziwnych kopyt w miękkiej ziemi, ale są też takie, które, niestety, materializują się i grzęzną w naszej rzeczywistości. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Nie... – wychrypiął Tertell, mimo że to, co mówiła Bmulkina, samoistnie ułożyło mu się w głowie w niepokojąco czytelny wzór. – Ta złota rzecz musiała tam leżeć od dawna. Ktoś ją zgubił, stoczyła się po stoku, wpadła do dołka, wbiła się w miękkie dno i zarosła

trawiastymi, a Hessirun przypadkiem, jak to on, potknął się i upadł prosto na nią. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Normalny zbieg okoliczności i tyle. Przestań więc straszyć nas tymi niuchaczowymi bzdurami o Przekąźnikach i zdejmij mu to coś bez głupiego gadania. Im szybciej, tym lepiej. Na pewno znasz jakiś sposób. Przecież to zwykły przedmiot. Tylko trochę osobliwie wygląda. To jak będzie? Zdejmiesz?

Bmulkyna zachichotała.

– A próbowaliście?

– Co?

– No, ściągnąć tę rzecz?

– Nie – odparł Tertell, odkrywając z zaskoczeniem, że to w sumie dość dziwne.

– Przecież to pierwsze, czego powinniście spróbować.

Tertell spojrział na Hessiruna w taki sposób, jakby chciał, żeby przyjaciel wytłumaczył mu, co tu się właściwie dzieje, i patrząc na niego, uświadomił sobie, że odkąd ma na rogu tę złotą rzecz, ani razu się nie potknął, nie przewrócił, nie wpadł do wody, nie wdepnął we własne bobki i nie zderzył się z nim, gdy podążali razem do kryjówki niuchaczy i zieloniarek. A teraz jeszcze milczy i słucha w skupieniu, choć jeszcze niedawno przekraczało to jego możliwości.

– Ja... – powiedział Tertell, ale zawahał się, umilkł, i dopiero po dłuższej chwili dokończył – ...nie potrafię tego wyjaśnić.

– Nie bez powodu – stwierdziła Bmulkyna. – Tego po prostu nie da się tak zwyczajnie zdjąć. A wy, gdzieś tam, głęboko w sobie, dobrze o tym wiecie. Chodź, Tertellu, podejdź, coś ci pokażę.

Zieloniarka okrążyła Hessiruna i stanęła przy jego zadzie.

– Hessirunie, pochyl, proszę, głowę – powiedziała. – Ebedzie, na mój sygnał spróbujesz mu to zdjąć. A ty, Tertellu, patrz na ogon Hessiruna.

– Ale...

– Pytania potem – ucięła. – Jeśli jeszcze będą potrzebne.

– No dobrze – niechętnie ustąpił Tertell.

– Ebed, teraz!

Niuchacz chwycił zębami połyskującą złotą rzecz, zaparł się kopytami i pociągnął. Początkowo nic się nie działo, ale potem, nagle, krótki ogon Hessiruna zaczął się kurczyć. Wydawało się, że gładko wsuwa się w głąb ciała. Po chwili zniknął i wtedy zaczął się skracać tułów Hessiruna. Odległość między przednimi i tylnymi nogami szybko się zmniejszała. Tertell wybałuszył oczy. Poczł w kopytach zimne akwórmę, zjeżyła mu się sierść na grzbiecie i jęknął przerażony.

– Wystarczy! – krzyknęła Bmulkyna.

Ebed puścił złotą rzecz i Hessirun w mgnieniu oka wrócił do swoich normalnych rozmiarów. Pomachał ogonem. Tertell przypomniał sobie o oddychaniu, sapnął przeciągle i drżącym głosem zapytał:

– Hessirun? Dobrze się czujesz?

Potężny kozymandis odwrócił głowę w jego stronę i łypiąc podbitym okiem, zadrwił:

– Poza tym, że to coś nie chce puścić mojego rogu?

Tertell wciąż miał przed oczami widok skrcającego się Hessiruna i nie mógł się go pozbyć. Zerknął na Bmulkynę i zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma pojęcia, jakie pytanie powinien jej zadać. Zaszło mu w gardle. Żadne słowa nie skropliły się na języku. Milczał. Mimo to ona odpowiedziała:

– Jak już mówiłam: potrzebujecie pomocy Przekazników. To dzięki nim dowiedziałam się, że przyjdziecie. To one sprawiają, że mnie rozpoznajecie, mimo że widzimy się pierwszy raz w tym życiu. I tylko one mogą przekazać dalej to coś, co utknęło w naszym świecie na rogu Hessiruna.

CYDARIIS
MOQUADARIS
LAMPRELL

Dzień przed Wniebowstąpieniem Pańskim, siódmego maja 1902 roku, August Cyparis patrzył na morze przez maleńkie okienko swojej celi, które było tylko wąską szczeliną w grubym murze, i kontemplował wewnętrzny spokój – coś, czego nigdy wcześniej nie zaznał.

Był siódmym synem portowej dziwki i już jako małe dziecko nauczył się, że na tym świecie może liczyć wyłącznie na siebie, ponieważ nikt inny o niego nie zadba. Jego matka i sześciu starszych braci, którzy niczym się nie dzielili i walczyli ze sobą o każdy okruszek chleba, wbili mu to do głowy za pomocą kopniaków, wrzasków i okrutnych żartów, po których długo ciągnął się za nim smród gówna zmieszanego ze spermą. August nie miał smykałki do złodziejstwa i kiepsko sobie radził z nożem, ale urodził się ze szczerą twarzą idioty, która wzbudzała autentyczną litość, więc z powodzeniem praktykował żebractwo. Od czasu do czasu miał się również drobnych prac w porcie, lecz robił to bardzo niechętnie, bo nie lubił, gdy ktoś mu rozkazywał. Był drażliwy i nerwowy. Łatwo się irytował. Z paranoiczną podejrzliwością reagował na każdą propozycję pomocy. Bez względu na to, czym się zajmował, jego myśli znajdowały się w nieustannym rozedrganiu. Skakały jak stado przekrzykujących się małą, wchodziły sobie w drogę i potrafiły się skupić wokół jednej rzeczy tylko na krótką chwilę. Niewiele sypiał i często przenosił się z miejsca na miejsce. Cały jego majątek znajdował się w kieszeniach znoszonych spodni.

Każdy dzień swojego dwudziestotrzyletniego życia przeżył w Saint Pierre, mieście leżącym na północno-zachodnim wybrzeżu Martyniki, i wkrótce jego dni dobiegną tu kresu. Pojutrze. Na szubienicy. Po obchodach święta Wniebowstąpienia, do których

gorączkowo szykowali się wszyscy mieszkańcy. Nawet tu, w celi, słyhać było odgłosy przygotowań: miarowe uderzenia młotów, huk beczek przetaczanych po bruku, pomruki przeganianego bydła, śpiew robotników portowych i jęk lin unoszących jeden ładunek za drugim. Każdy z tych dźwięków przypominał Augustowi, że Saint Pierre będzie się jutro bawić bez niego, a on w żaden sposób nie może odmienić swego losu. Świadomość nieuchronnego końca sprawiła jednak, że nieoczekiwanie, pierwszy raz w życiu, ogarnął go spokój. Małpie myśli buszujące w jego głowie przestały skakać i ukryły się w ciemnych omszałych dziuplach. Ich miejsce zajęła cicha laguna, w której delikatnie faluje przejrzysta woda, a w głębi, na dnie, złoci się gładki piasek.

Jeszcze wczoraj August Cyparis był innym człowiekiem.

* * *

Rankiem odebrał zaległą dniówkę od szefa portowych tragarzy. Miał ochotę się upić i zerznąć krąglutką Paulę. Nie potrafił myśleć o niczym innym – jej miękkie uda, masywne piersi, falujące pośladki i odurzający zapach gęstych włosów łonowych często nawiedzały go we śnie. Niemal pobiegł do Meduzy, choć wiedział, że jest za wcześnie i o tej porze dziewczyna jeszcze nie pracuje. Był jednak pewien, że bar będzie już czynny i Gabriel nie poskąpi mu rumu, który cudownie rozgrzeje krew i pomoże zająć czymś głowę do przybycia Pauli.

Gdy minął hałaśliwe targowisko i miał już za sobą ponad połowę drogi, ziemia zadrżała mu pod stopami. Zatrzymał się i spojrzął w kierunku górującego nad miastem wulkanu Montagne Pelée. Przez całe życie myślał o nim jak o zwykłej górze, ale kiedy drugiego maja zaczął trząść ziemią, a potem rzygnął ogniem i dymem, August zrozumiał, dlaczego starcy zawsze twierdzili, że to śpiący

bóg. Co prawda, jego przebudzenie było bardzo spektakularne, lecz na razie ucierpiała tylko Guerin – duża plantacja trzciny cukrowej położona na stoku wulkanu, która była własnością powszechnie znienawidzonego Jose Borro – i nic nie zapowiadało dalszych strat, więc mało kto przejmował się ognistym kolosem. Nawet złowieszczą czarną chmurę spowijającą wierzchołek Montagne Pelée traktowano jak dodatkową atrakcję uświetniającą zbliżające się obchody Wniebowstąpienia Pańskiego. Jedynie mała grupa mieszkańców Saint Pierre zdecydowała się opuścić miasto, narażając się przy tym na niewybredne żarty i złośliwe zaczepki ludzi, którzy odprowadzali ich wzrokiem i pukali się w czoło.

August też się z nich naśmiewał. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego uciekają; dlaczego dobrowolnie rezygnują z udziału w tym wspaniałym święcie, mimo że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Każde dziecko to wie. Gdyby było inaczej, płynny ogień już dawno trawiłby miasto. Ale nic takiego się nie działo. August próbował sobie wyobrazić, jakie będą mieli miny ci wszyscy tchórze, gdy w końcu wrócą do nietkniętego Saint Pierre i kolejny raz wystawią się na pośmiewisko. Jednakże bawiło go to tylko przez chwilę. Twarze uciekinierów szybko przesłoniła wizja nadchodzącego święta – kolorowe tłumy, które przemierzają pięknie przystrojone ulice i powoli zmierzają w stronę katedry, przywołującej wiernych metalicznym śpiewem rozhuśtanych dzwonów, długie nabożeństwo pełne niezrozumiałych, a mimo to podnoszących na duchu słów, pieczona wołowina pachnąca aromatycznym dymem, ciemny rum spływający do żołądka cierpkim ogniem, chętne dziewczyny, którym nie trzeba płacić, bo same unoszą suknie i zachęcająco odsłaniają spocone uda połyskujące w półmroku...

Westchnął rozmarzony i chciał ruszyć w dalszą drogę, ale nagle stanął przed nim garbaty Pablo – herszt żebraków działających na terenie targowiska, a do tego znakomity nożownik.

August nerwowo przełknął ślinę.

– Tylko tędy przechodzę!

– Wiem. Głupi nie jesteś. Chcę pogadać.

– O czym?

– Słyszałeś, co zrobił Jednoręki?

– Nie.

– Poszedł ze swoją bandą do Guerin.

– Po co?

– Znasz go. Ma nosa do łatwej roboty. Plantacja została zniszczona, lecz niektórzy twierdzą, że dom Borro wciąż stoi. Podobno ogień go oszczędził. A skoro cała rodzina tego bogatego kutasa uciekła w popłochu, to Jednoręki doszedł do wniosku, że można się tam obłowić.

– Myślałem, że Guerin jest odcięta.

– Była. Lawa zamknęła posiadłość w ognistym kręgu, ale ostygła i teraz można po niej przejść. Problem polega na tym, że w powietrzu cały czas unoszą się opary siarki i gęsty duszący dym.

– Za mało, żeby ich odstraszyć.

– Być może.

– Nie rozumiem...

– Wrócili z niczym. Siedzą teraz w Podwójnej Rybie, żłopiają rum i mówią, że wulkan to wrota do piekieł.

– Mogli wymyślić coś oryginalniejszego.

– Wymyślili. Twierdzą, że widzieli latającego demona, który był zarazem jeżowcem i ośmiornicą.

– Pewnie Borro zostawił tam strażników, którzy spuścili bandzie Jednorękiego taki wpierdol, że spieprzali aż miło. Próbują więc ratować resztki godności i wmawiają wszystkim, że przegonił ich demon.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek pilnował tych zgliszczy. Pieniądze nie mają tu znaczenia. Dłuższy pobyt na górze to pewna śmierć.

A Jednoręki i jego ludzie wcale nie są poobijani. Wiem, bo ich widziałem. Ale zgadzam się z tobą: coś kręca.

– Może ten dom jednak spłonął?

– To byłaby najprostsza wymówka. Aż dziw, że jej nie użyli, prawda?

– Chyba że naprawdę coś zobaczyli. Niekoniecznie demona, ale coś dziwnego, przerażającego...

– Nie pierdol! Zawsze myślałem, że jesteś mądrzejszy. Tchórze, którzy udają twardzieli, pokazali, że nie mają jaj, a ty dajesz im się wodzić za nos. W tym mieście są już skończeni. Wszyscy się z nich śmieją. To przecież oczywiste: nic nie mówią o posiadłości Borro, bo wcale jej nie widzieli, i gdyby zaczęli rozpowiadać, że dom się spalił, a później okazałoby się, że tak nie jest, kłamstwo szybko wyszłoby na jaw. Dlatego wykombinowali coś, czego nie da się sprawdzić. Tylko że...

– ...nikt im nie wierzy.

– Właśnie. Chodź ze mną do Podwójnej Ryby. Po drodze zgarniemy jeszcze kilku znajomków, a potem będziemy pić i napierdalać tych żalonych sukinsynów. Ciekawe, kiedy uciekną z miasta.

– Chętnie, ale teraz nie mogę. Muszę coś załatwić.

– Niby co? Paula zaczyna kręcić tyłkiem dopiero po południu.

August poczuł, że się rumieni.

– To nie to... Coś innego... Uwinę się i dołączę do was.

Ominął Pabla i pobiegł w górę stromej uliczki.

– Cokolwiek tam dupczysz, rób to szybko! Liczę na ciebie! – wołał za nim rozbawiony garbus.

August był skonfundowany. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Gardził wszystkimi bez wyjątku, ale rumu nie odmawiał nigdy. Przeciwnie. Wykorzystywał każdą okazję, żeby się napić, lecz tym razem nie miał wyboru. Musiał postąpić wbrew sobie, bo coś, jakaś

siła, równie nieustępliwa jak ta, która ściąga w dół każdy rzucony w górę kamień, zaczęła go przyciągać do Guerin. Zawładnęła jego ciałem i kazała mu gnać na złamanie karku, jak spłoszony koń, by jak najszybciej znaleźć się na stokach Montagne Pelée.

* * *

Gdy zanurzył się w duszącej zawieszynie siarczanego dymu, przyciągająca siła zelżała i wreszcie mógł zwolnić. Wciąż jednak nie mógł się jej przeciwstawić. Żwawo podążał głównym traktem i po niespełna dwóch godzinach dotarł do domu Jose Borro. Otaczająca go plantacja wyglądała jak skalista pustynia pokryta grubą warstwą szarego pyłu, który bezustannie prószył z niskiego zadymionego nieba. Na dachu, werandzie i schodach budynku również zebrał się puszysty szary pył. August brodził w nim po kostki, a jedynymi śladami, jakie tam widział, były te, które zostawiły jego stopy.

Bałagan zdradzał, że dom opuszczono w popłochu, natomiast cenne obrazy w pozłacanych ramach, leżąca na widoku biżuteria i wiszące na ścianach strzelby inkrustowane srebrem i macią perłową, jednoznacznie dowodziły, że Jednoręki i jego ludzie nigdy tu nie dotarli. August nie miał pojęcia dlaczego. Tak samo, jak nie miał pojęcia, dlaczego on się tu znalazł. Podrapał się w głowę. Oczy łzawiły mu od oparów siarki i paliło go w płucach, ale na razie dało się wytrzymać. Mało prawdopodobne, że właśnie to zniechęciło bandę Jednorękiego. Trudno uwierzyć, że są aż takimi tchórzami. Coś musiało ich wystraszyć.

Ale co?

Nie mógł się zdecydować, co sobie zabrać, więc opuścił dom z pustymi rękami i silnym przekonaniem, że zaraz do niego wróci. Rozejrzał się. Widoczność była bardzo ograniczona. Siarczany dym owijał się wokół budynku. Nagle August poczuł coś dziwnego; coś

na pograniczu dźwięku i dotyku. Głuchy nacisk na uszy i ciężar w brzuchu. Przetarł załzawione oczy. Nie potrafił wyjaśnić, jak to się dzieje, ale był w stanie zlokalizować źródło tego namacalnego bezgłośnego dźwięku. Ruszył w jego kierunku. Przez chwilę szedł na sztywnych nogach, a potem stanął. To tam było. Wisiało w powietrzu. Wyraźne, choć częściowo ukryte w skłębionych oparach siarki. Nie zwracało na niego uwagi. Wyglądało jak wielki kościany hełm najeżony długimi kolcami, pod którym wisiały segmentowe macki falujące niepokojącymi, spazmatycznymi ruchami. August odwrócił się i odszedł wolnym krokiem. Niczym we śnie.

Nie pamięta, jak wrócił do miasta. Nogi zaprowadziły go prosto do Podwójnej Ryby, gdzie Pablo w towarzystwie czterech kompanów głośno naigrawał się z Jednorękiego, który cztery stoły dalej pił ponuro ze swoimi zbirami. Wszyscy byli już bardzo pijani, ale jeszcze nie rzucili się sobie do gardeł.

August podszedł do garbusa i powiedział:

- Oni nie kłamią. Tam coś jest.
- Nareszcie jesteście! Co tam pierdolisz?!
- Mówię, że w Guerin rzeczywiście coś jest!
- Chuj z tym. Napij się z nami. Dojebimy Jednorękiemu.
- Nie chcę. Muszę się dowiedzieć, czy widziałem to samo, co oni.
- Siadaj, kurwa!
- Nie!
- Louis, usadź tego kutasa! – warknął Pablo.

Człowiek, który siedział po lewej stronie garbusa, poderwał się z ławy, skoczył na Augusta i niemal w tym samym momencie zgiał się wpół i osunął na klepisko. August ze zdumieniem odkrył, że trzyma w dłoni zakrwawiony nóż. Nie miał pojęcia, kiedy go wyciągnął. Wszyscy umilkli. August zamarł w bezruchu. Jacyś ludzie rzucili się na niego z pięściami, powalili i zakuli w kajdany,

lecz on nawet nie próbował się bronić, bo do końca nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dopiero leżąc na zakrwawionym klepisku, zauważył, że człowiek, którego pchnął nożem, ma na sobie mundur żandarma.

Następnego dnia rano żandarm został pochowany ze wszystkimi honorami, a sędzia skazał Augusta na śmierć przez powieszenie. Łaskawie nakazał wykonać wyrok dziewiątego maja, dzień po Wniebowstąpieniu Pańskim.

Pojutrze.

* * *

August długo wpatrywał się w łagodne morze i czyste błękitne niebo. Potem, gdy zrobiło się ciemno, obserwował roziskrzone gwiazdy. Miał wrażenie, że czuje na twarzy ich chłodny blask. Strażnik dał mu bochenek czerstwego chleba i dzban zimnej wody. Smakowały jak nigdy wcześniej. W końcu zagrzebał się w słomie i zanurzył we śnie.

Obudził go upalny słoneczny poranek. Chwilę później huknęło jak z dział. Zdziwił się. Nigdy nie zaczynano obchodów Wniebowstąpienia Pańskiego od salwy. Niepewnie podszedł do okienka i wtedy potężny wstrząs przewrócił go na plecy. Gorący podmuch wgniół go w kamienną podłogę i przydusił oparami siarki.

Stracił przytomność.

Ocknął się późnym popołudniem. Był obolały. Podłogę celi pokrywała warstewka szarego popiołu. W powietrzu wisiała cisza, od której piszcząco w uszach.

Nagle poczuł bezszelestny ruch powietrza. Musnęło go coś niewidzialnego. Wydawało mu się, że przeszło przez jego ciało. Na gładkiej powierzchni szarego popiołu odcisnęły się dziwne

podłużne ślady. Prowadziły w stronę morza. August wyrzwał przez okienko.

Słońce było nisko, niemal dotykało horyzontu, a nad nim, w górze, krążyła taka sama istota, jaką widział w Guerin – jeżowiec i ośmiornica. Potężny hełm najeżony długimi guzelkowatymi kolcami i segmentowe macki. Wszystko szarozółte jak stara wyschnięta kość. Istota wyraźnie odcinała się na tle błękitnego nieba pokrytego drobnymi kłębiastymi chmurami, ale nie odbijała się w spokojnym morzu. Zostawiała za sobą kilwater falującego powietrza.

Po chwili dołączyła do niej druga istota, a potem trzy kolejne. Trudno było stwierdzić, czy czymś się od siebie różnią. Gdy utworzyły szeroki krąg, ściany celi rozjarzyły się wewnętrznym ogniem. Zimnym, bladozielonym, fascynującym. To migotliwe pełganie pozwoliło Augustowi wejrzeć w skomplikowaną strukturę murów i w głąb luminescencyjnych warstw wirującej plazmy, która zastąpiła morze, ale jego uwagę przyciągnęło coś innego. W miejscu, wokół którego krążyły osobliwe istoty, dokładnie w osi ich obrotu, zmatowiało puste powietrze i zaczęła narastać grafitowa materia. Mała grudka rozrosła się, napęczniała, przybrała kształt dużego, metalicznego jaja, a potem z hukiem wpadła do morza. Musiała być bardzo ciężka. August widział, jak toczy się po dnie popychana zawirowaniami gęstej plazmy. Kiedy się oddaliła, bladozielone pełganie natychmiast zgasło. Woda i kamienie odzyskały dawną postać, a latające istoty zniknęły bez śladu.

* * *

Cztery dni później do Saint Pierre przybyły ekipy ratownicze i zaczęły przeszukiwać wypalone miasto. Myśleli, że nikt nie przeżył, lecz jedna z grup przeczesujących wybrzeże usłyszała słabe

wołanie. Zaczęli kopać i okazało się, że w więzieniu, które było częścią starych wielokrotnie przebudowywanych fortyfikacji, ocalał jeden człowiek. Był odwodniony, ale żywy. Nazywał się August Cyparis.

– Co tu się stało? – wycharczał, gdy wyciągnęli go z celi śmierci i zobaczył ruiny miasta.

– Wulkan zabił Saint Pierre i jego mieszkańców. Zabrał trzydzieści tysięcy dusz. Wszystkich oprócz ciebie. Za co trafiłeś do więzienia?

August opowiedział im swoją historię, choć rozważnie nie wspomniał o latających istotach. Uznano, że jego ocalenie to cud, i darowano mu życie, lecz on nie potrafił się cieszyć odzyskaną wolnością.

Przez wiele lat wędrował po Ameryce wraz ze słynnym cyrkiem Barnum & Bailey, w którym występował jako kuriozum – jedyny mieszkaniec Saint Pierre, który z Bożego wyroku przeżył zagładę miasta, mimo że ludzie skazali go na śmierć.

Umarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat na ciężkie zapalenie płuc i do końca wierzył, że prędzej czy później te dziwne kolczaste stwory upomną się o jego duszę.

Pragnął tego.

Codziennie przywoływał obraz grafitowego jaja i modlił się, żeby pozwolono mu dołączyć do mieszkańców Saint Pierre zaklętych w tym metalicznym sarkofagu, który w głębinowej ciemności toczy się po twardym dnie świata.

MOQUUDAD

LAMREH
ARCYBATA

Niewiele pamiętam z mojego dawnego życia, bo nie chcę pamiętać. Wolę, by wszystko to, co mi się przydarzyło zanim trafiłem do Moqudad, pozostawało mgliste, fragmentaryczne, niekompletne. Wolę, gdy cała ta przeszłość dryfuje powolnym wirem przypadkowych obrazów i luźnych wrażeń płynnie mieszających się gdzieś na dnie głębokiego kalejdoskopu umysłu. Wiem, że przy odrobinie wysiłku mógłbym te rozsypane elementy ponownie złożyć w czytelną całość i dałbym radę odbudować spójny obraz swojej przeszłości, lecz musiałbym chcieć wyczytać zapisane w nich znaczenia, a do tego mieć jeszcze powód, by przywołać choć cząstkę dawnego, zapomnianego siebie, który żył tamtymi zdarzeniami; tamtym czasem przetrawionym do cna przez moje ciało i po wielokroć nieudolnie odtwarzanym w zwodniczej maszynie pamięci. A rzecz w tym, że nie mam ani chęci, ani powodu. Nie zamierzam patrzeć pod prąd czasu. Nie obchodzi mnie, kim kiedyś byłem, czym się zajmowałem, kogo i co porzuciłem. Nie interesuje mnie, czy w tej przeszłości jest jakaś stęskniona zapłakana kobieta, czekająca na wieści, że żyję, że mam się dobrze, że wracam mimo niezliczonych przeszkód, bo wciąż kocham; albo są jakieś dzieci, które cierpliwie przyciskają nosy do chłodnej szyby i z nadzieją wypatrują ojca, który zniknął jak magik na urodzinowym pokazie, ale w odróżnieniu od niego nie wyszedł potem z szafy, lecz najwyraźniej zgubił się gdzieś na zapleczu iluzji, między cienkimi ściankami przedmiotów. Nawet jeśli oni rzeczywiście istnieją, rzeczywiście czekają i wypatrują, nigdy nie pojawię się na ulicy, przy której stoi ich dom. Nigdy nie zapukam do ich drzwi. Bo to nie jest już mój dom i nie są to już moje drzwi. To nawet nie jest już mój świat. Bez względu na to, z kim byłem kiedyś związany i jak mocne

były to więzy; bez względu na to, co nadawało kształt mojemu życiu, przybycie do Moqudad sprawiło, że wszystko, czego doświadczyłem wcześniej, wyblakło jak stary cyrkowy plakat, pozółkły i nieczytelny, zlizany przez słońce i deszcz.

Ale nie od razu zdałem sobie z tego sprawę.

Kiedy teraz cofam się myślami w czasie, nigdy nie docieram dalej niż do momentu, gdy przebudziłem się w pociągu tuż przed ostrym zakrętem, za którym cały skład, złożony ze starej lokomotywy i raptem dwóch wagonów, wjechał do tunelu. Zatrzęsło, a ja otworzyłem oczy, uniosłem głowę i zobaczyłem oszalamiająco piękny zachód słońca, roziskrzony złotym migotaniem na łagodnych falach Pacyfiku. Chwilę później oślepiony tym blaskiem, tym płynnym złotem wżerającym się pod powieki zmrużonych oczu, wpadłem w ciemność tunelu. Wciąż jednak widziałem złote migotanie, które wniknęło w głąb mojej czaszki i niechętnie traciło na sile. Mimo to znikало ciemniejącą miedzianą poświatą, jakby nie gasło, lecz stygło i przeciekało w głębsze warstwy mojego ciała, by w końcu zostawić mnie sam na sam z mrokiem. Pociąg jakby na to czekał, bo gdy wewnątrz mnie zapadła ciemność, rozległ się metaliczny jęk hamulców i skład się zatrzymał. Ale nadal znajdował się w tunelu. Przez moment siedziałem tylko i nasłuchiwałem. Miałem wrażenie, że słyszę oddalające się kroki i daleki szum oceanu, choć równie dobrze mogło mi się wydawać, ponieważ w tak głębokiej ciszy, jaka mnie otoczyła, prawdziwe dźwięki niczym się nie różniły od tych, które były jedynie dziećmi imaginacji.

Powoli oswajałem się z ciemnością i zaczynałem dostrzegać, że mrok zalegający w tunelu nie jest aż tak gęsty, jak mi się początkowo wydawało. Skądś przesączało się nikłe blade światło, które miękko obrysowywało krawędzie okien, drewnianych ławek i drzwi. Wstałem, chwyciłem walizkę i przeszedłem do drugiego

wagonu, a właściwie pierwszego, bo to on był podczepiony bezpośrednio do lokomotywy. Miałem nadzieję, że znajdę w nim innych pasażerów, którzy podobnie jak ja utknęli w tym dziwnym miejscu, ale w odróżnieniu ode mnie będą wiedzieli, dlaczego się tu znaleźliśmy i kiedy ruszymy w dalszą drogę. Nikogo tam nie było. Nie spodobało mi się to. Nie chodziło o to, że się bałem. Owszem, okoliczności były dość osobliwe, ale nie budziły lęku. To było inne uczucie. Przypominało wściekłą irytację, która ogarnia nas, gdy od dłuższego czasu planujemy poświęcić się czemuś, co jest dla nas bardzo ważne, i cieszymy się, że w końcu nadchodzi dzień, w którym możemy się tym zająć, a tymczasem właśnie wtedy, bez zapowiedzi, odwiedza nas stary znajomy i nagle musimy zmienić plany. Czułem coś w tym rodzaju i zastanawiało mnie, gdzie się podziali pasażerowie, którzy siedzieli na swoich miejscach, gdy pociąg opuszczał miasteczko Sirapyc. Pamiętam, że mniej więcej wtedy zaczynałem przegrywać nierówną walkę ze zmęczeniem i upomniała się o mnie drzemka. Kiedy przymykałem oczy, siedziało ich tu co najmniej piętnastu. Co się z nimi stało? Przecież nie wyparowali!

Przeszukałem tonące w głębokim półmroku wagony i postanowiłem wyjść na zewnątrz. Liczyłem na to, że może chociaż maszynista będzie tam, gdzie być powinien. Otworzyłem wąskie przesuwane drzwi i zszedłem po stromych schodkach. Ruszyłem w stronę lokomotywy. Gruby żwir chrząścił mi pod podszewami butów. W tunelu czuć było dymem. Pękate i osmalone cielsko potężnej maszyny lśniło oleistymi zaciekami, dyszało sprężoną parą i emanowało ciepłem, lecz w jej kabinie również nikogo nie było. Owładnął mną taki nastrój, że gdybym potrafił kierować lokomotywą, to wsiałbym do niej bez wahania. Dołożyłbym węgla do kotła, pociągnąłbym za właściwe dźwignie i pojechałbym dalej, nie licząc się z nikim i niczym. Ale nie miałem o tym pojęcia, więc

zdusiłem w sobie bezsilną wściekłość, zagryzłem wargi, i z braku lepszego pomysłu uznałem, że po prostu pójdę przed siebie i poszukam maszynisty. Szczerze mówiąc, ani przez chwilę nie pomyślałem, żeby wrócić do wagonu. Coś subtelnego cały czas popychało mnie do działania.

Gdy minąłem lokomotywę, zobaczyłem, że tunel biegnie prosto jeszcze około dwudziestu metrów, a potem łagodnym łukiem skręca w lewo. Z miejsca, w którym się znajdowałem, widziałem jego owalny wylot, przez który wlewało się jasne światło. Na końcu tunelu kończyły się również tory. Stał tam ogromny kozioł oporowy, zbudowany z wygiętych szyn, grubych belek pomalowanych na czarno, i żeliwnych zderzaków. Wydawał się znacznie większy, niż było to potrzebne, jakby postawiono go nie tylko po to, by nie wypadały tu z torów lokomotywy wraz ze swoimi wagonami, ale też, by odstraszał nieproszonych gości. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ta martwa konstrukcja ma w sobie coś przyczajonego; coś, co rzuci się na mnie, gdy tylko odwrócę wzrok. Tłumaczyłem sobie, że to jedynie złudzenie, lecz mimo to zbliżałem się do niej z mieszanymi uczuciami. Wszedłem w jasny blask bijący z wylotu tunelu, pochyliłem głowę, przysłoniłem zmrużone oczy dłonią i głupio wgapiając się w belki, szyny i zderzaki, minąłem to cholerstwo. Nie spuszczałem z niego oczu, więc po chwili musiałem iść tyłem i dopiero gdy oddaliłem się od kozła oporowego na kilka metrów, odważyłem się spojrzeć w inną stronę.

Odwróciłem się od półmroku tunelu i tkwiącego w nim pociągu. Odwróciłem się od kozła i lęku, który we mnie wzbudzał. Spojrzałem w stronę światła. Wciąż było dla mnie za jasno, ale oślepiające przepalone barwy szybko ciemniały, wyostrzały krawędzie, wypełniały kształty.

Oniemiałem.

Stałem na wąskiej brukowanej uliczce ciągnącej się między

wysokimi na co najmniej trzydzieści metrów kamienicami, które tak naprawdę wcale nie były kamienicami, lecz wykutymi w pionowych skalnych ścianach elewacjami udającymi budynki. Wyglądało to jak ogromna i bardzo kosztowna dekoracja zbudowana do filmu, którego akcja ma się rozgrywać w ciasnych zaułkach starego włoskiego miasteczka pamiętającego czasy średniowiecza. Ale dzięki otwartym oknom – całkiem zwyczajnym, zrobionym z drewna i szkła – widać było, że za tymi udawanymi fasadami kryją się przestronne i umeblowane pomieszczenia, więc ktoś naprawdę tam mieszkał. Przemawiały za tym również podwieszane pod niektórymi oknami donice, w których bujnie zieleniły się rośliny.

Ostrożnie ruszyłem przed siebie. Zaglądałem do ciasnych klatek schodowych i nasłuchiwałem w ciszy, która jakby wolno wirowała w powietrzu jak drobinki kurzu w wąskich promieniach światła przecinających półmrok nad stromymi schodami. Nikogo nie zobaczyłem i niczego nie usłyszałem. Uliczka opadała pod tak dużym kątem, że musiałem uważnie stawiać stopy. Mimo to co jakiś czas zatrzymywałem się, żeby spojrzeć w górę, bo fascynowało mnie, że gdzieś tam, wysoko nad moją głową, rozciągały się pojedyncze grube liny oraz wąskie linowe pomosty, które łączyły znajdujące się naprzeciwko siebie okna. Słońce zeszło już bardzo nisko i świeciło gdzieś z dołu, poprzez płataninę tych lin i pomostów. Podążałem w jego stronę i wydawało mi się, że śnię, że samotnie kroczę stromą uliczką wyśnionego miasta.

Im niżej schodziłem, tym bardziej zmieniały się rzeźbione fasady udające kamienice, jakby w miarę oddalania się od tunelu słabła także ich potrzeba naśladowania znajomych struktur, i stopniowo przyjmowały swobodniejszą formę, bliższą prawdziwej natury tych wykutych w skałach siedzib. Równe, kanciaste i proporcjonalne elewacje stały się pofalowane, zaokrąglone,

organicznie asymetryczne, poprzecinane szczelinami i głębokimi bruzdami. A potem zniknęły z nich okna i drzwi. Wraz z nimi ostatecznie ulotniła się iluzja włoskiego miasteczka. Pozostały jedynie lite skalne ściany, omszałe i nietknięte przez ludzi. Patrzyłem na nie zdumiony, podskórnie wyczuwając, że w ich przemianie kryje się jakieś znaczenie, ale oczywiście nic z tego nie rozumiałem; nie miałem pojęcia co to za miejsce i dlaczego jest takie, jakie jest. W zasadzie nadal tego nie wiem, bo choć udało mi się w końcu zdobyć niewielkie rozeznanie, to jednak te kilka pasujących do siebie spostrzeżeń nie układa się w całość, którą dałoby się objąć rozumem. Ale jedno jest pewne. Wszystkie skupiają się wokół tego, co zobaczyłem, gdy uliczka się skończyła i znalazłem się na rozległym półkolistym placu ciągnącym się wzdłuż oceanu.

Przejście z ciasnej uliczki na otwartą przestrzeń placu było tak nagłe i nieoczekiwane, że jęknąłem zaskoczony, jakbym stracił grunt pod nogami. Zachwiałem się. Zimne ciarki przebiegły mi po plecach, dając do zrozumienia, że moje ciało pierwsze dostrzegło to, co mój umysł zauważy dopiero za kilka krótkich chwil, których potrzebuje, by zaakceptować istnienie czegoś, co nie przylega do tego świata wszystkimi krawędziami.

W połowie długości placu, na brzegu Pacyfiku, stał kolosalny szpiczasty kształt, wysoki na co najmniej dwieście metrów i na całej długości powyginany w tak nieprawdopodobny sposób, że jego istnienie wydawało się czymś niemożliwym w świecie, w którym manifestują się jedynie trzy wymiary. Od patrzenia na niego rozboleły mnie oczy i poczułem się tak, jakby mój mózg wypełnił się kaustycznym śluzem. Straciłem ostrość widzenia. Kształt falował, mienił się, opalizował i żarzył. Przywodził na myśl gigantyczny słup gęstego nieziemskiego ognia albo kolumnę płonącej rtęci rozjarzonej od wewnątrz oślepiającym blaskiem. Mimo bólu nie mogłem opuścić powiek, nie mogłem się odciąć od tego widoku.

Odrzuciłem walizkę, by zasłonić oczy obiema dłońmi, lecz nadal to widziałem – przepalające się przeze mnie, powoli wpasowujące się w kształt mojego ciała, w strumień myśli, w oddech, w puls, w każdą komórkę, aż po koniuszki zjezonych na palcach włosków. Gorący ból przeniknął mnie na wskroś i spłynął w dół, po nogach. Kształt dopalił się gdzieś wewnątrz i zniknął.

Odsłoniłem oczy.

Teraz widziałem wyraźnie. Karmazynowy blask gasnącego w oceanie słońca spowijał ogromny szpiczasty obelisk o czworokątnej podstawie. Jego pionowe skalne ściany były pokryte skomplikowaną siecią kryształowych żył, które opalizowały jaskrawymi kolorami i w jakiś sposób wywoływały złudne wrażenie, że skały zaginają się pod nieistniejącymi kątami i odchylają w odmienne, znacznie liczniejsze wymiary. Wysoko, nad czubkiem obelisku, krążyły mewy, niezliczone białe plamki na tle błękitnego nieba.

Z trudem oderwałem od nich wzrok i rozejrzałem się za moją walizką. Leżała niedaleko, więc pochyliłem się i podniosłem ją. Wtedy coś usłyszałem – ciche odległe szepty zlewające się z szumem oceanu. Wiedziony przeczuciem spojrzałem w lewo i odkryłem, że znajdujący się kilkadziesiąt metrów ode mnie kraniec placu płynnie przechodzi w długie i niespotykane szerokie molo, na którym wznosi się mnóstwo niskich drewnianych zabudowań. I właśnie tam, przed tymi zabudowaniami, stała duża grupa jednakowo ubranych ludzi. Nad ich głowami, ponad płaskimi dachami wiat i niewielkich baraków, kołysały się liczne maszty przycumowanych do molo łodzi. Patrzyli na mnie i mówili coś do siebie, ale byłem za daleko, żeby rozumieć sens ich słów. To były jednak te ciche odległe szepty, które zwróciły moją uwagę.

Ci ludzie wpatrywali się we mnie z taką natarczywością, że miałem wrażenie, że im w czymś przeszkodziłem i chcą mnie

zmusić do odejścia samymi spojrzeniami. Niemal czułem opór powietrza wywołany ich skoncentrowaną uwagą. Zrobiłem kilka niepewnych kroków w stronę molo i zatrzymałem się speszony. Przyszło mi do głowy, że może faktycznie powinienem zostawić ich w spokoju. Niech dalej zajmują się swoimi sprawami, jakiegokolwiek one są, a ja po prostu wrócę do wagonu i poczekam na maszynistę, bo przecież kiedyś w końcu musi wrócić. Zapewne szybciej, niż mi się wydaje. Naprawdę byłem gotów to zrobić. Odwrócić się na pięcie i odejść. Ale oni jakby wyczuli moje wahanie i ruszyli ku mnie. Wszyscy.

Było w tym coś uroczystego. Zbliżali się w milczeniu. Powolutku postawiłem walizkę przed sobą. Zauważyłem przy tym, że plac jest pokryty dużymi prostokątnymi płytami czarnego bazaltu, który lśni jak czarny lód. Podeszli i otoczyli mnie szerokim kołem. Ścisnęło mnie w gardle, jakbym za chwilę miał się przywitać z kimś, kogo nie widziałem od wielu lat. Nie pojmowałem, co się ze mną dzieje, ale poddałem się temu uczuciu.

Ktoś – sądząc po głosie, jakiś mężczyzna – zapytał:

– Czyja kolej?

– Chyba moja – odparł inny głos, też niski, ale nie aż tak jak poprzedni, i odniosłem wrażenie, że jego tembr bardziej pasuje do kobiecej krtani.

Nie myliłem się. Z grupy jednakowo ubranych ludzi wyszła kobieta. Ładna i niewysoka. Jej długie proste włosy miały bardzo dziwny kolor. Wydawało się, że są czarne i jednocześnie ciemnobrązowe. Stała blisko mnie i z uśmiechem spojrzała mi w oczy.

– Witaj w Moqudad – powiedziała. – Nazywam się Rumahis, ale wszyscy mówią do mnie Ruma.

– Jestem Fulco, Fulco Tazar – odparłem. – Szukam maszynisty.

Wokół przetoczyła się fala zduszonego śmiechu.

– Na razie nigdzie nie pojedzie – oznajmiła Ruma.

– Dlaczego?! – zapytałem, w oburzeniu podnosząc głos. – To karygodne, ten pociąg już dawno powinien być w...

Zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, dokąd właściwie miał jechać ten pociąg, lecz nie chciałem stracić pewności siebie i postanowiłem podsycić swoje słabnące oburzenie profesjonalnym autorytetem, wynikającym z prestiżu mojego zawodu.

– ...człowiek, który tam na mnie czeka, będzie bardzo niezadowolony, gdy się okaże, że pociąg nie przybył na czas... on... ma dla mnie dokumenty notarialne, które należy jak najszybciej... to znaczy... chciałem powiedzieć, że muszę dla niego sporządzić certyfikat uwierzytelniający... albo raczej... chyba... ja...

Czułem, że błędę. Nie tylko nie miałem pojęcia, dokąd jechałem i z kim miałem się spotkać, ale zapomniałem też, co miałem tam zrobić i na czym w ogóle polega ta moja rzekomo szanowana praca. Nie byłem nawet pewien, czy rozumiem sens słów, którymi przed chwilą próbowałem ją opisać. Pomyślałem, że może tak naprawdę nikt nigdzie na mnie nie czeka, ponieważ od wielu lat włóczę się pociągami po Chile, żyjąc w delirycznej strefie umysłowego pogranicza, gdzie poświęcam się jakiejś widmowej pracy i organizuję widmowe spotkania, równie absurdałne i wymaginowane jak te, które odbywają się w gorączkowych snach, rozwibrowanych natarczywym mamrotaniem moskitów, szepczących wprost do ucha holograficzne instrukcje, których lepiej nie zapamiętywać.

Zmroził mnie dojmujący strach. Zdusił oburzenie i pewność siebie. Ruma wyczytała go z mojej twarzy.

– Spokojnie – powiedziała. – Tak tu jest. Oczywiście wrócisz do swojego życia, jeśli będziesz chciał, ale pojutrze, bo maszynista przybył na Święto i wyjedzie dopiero, gdy będzie po wszystkim. Powinieneś jednak wiedzieć, że nasze Święto jest tylko raz w roku

i skoro dotarłeś tu właśnie dzisiaj, to znaczy, że nieprzypadkowo znalazłeś się w Moqudad. Maszyniści zawsze kogoś przywożą. Najczęściej jedną osobę, choć bywa też, że dwie albo nawet trzy. Ale nie wszyscy opuszczają pociąg. I tylko nieliczni z tych, którzy wychodzą z wagonów, wykorzystują swoją szansę i docierają aż tu. Byliśmy ciekawi, czy do nas zejdiesz.

– Ja... nie wiedziałem... – wydukałem bezsensownie, mimo że wspomnienie kozła oporowego stojącego na końcu tunelu wciąż kładło się na mnie groźnym cieniem.

– Wystarczy, że my wiedzieliśmy.

– Skoro tak, to co się stanie teraz, gdy już tu jestem?

– To samo co zawsze: odejdziesz albo zostaniesz.

– Nic nie rozumiem – wyznałem zgodnie z prawdą.

– Nie szkodzi. Moqudad wytłumaczy ci się lepiej bez słów. Zobacysz. O ile mu na to pozwolisz. Jesteś może głodny?

Czułem się zagubiony. Czułem, że lawiruję w tłumie swoich lęków i każdy z nich obserwuje mnie uważnie zimnymi gadzimi oczami. Ruma i ci otaczający mnie ludzie, ubrani w niemal identyczne ciemnoniebieskie kombinezony, wyglądali jak ekipa szalonych techników budowlanych albo jak członkowie dziwacznej sekty inżynierów oddających cześć skomplikowanym maszynom, które obsługują z namaszczeniem, cały czas wsłuchując się w stukotanie trybów, by wyłowić z niego zrozumiałe słowa lub liczby, mające się kiedyś ułożyć w kod objawienia wysłany przez maszynowych bogów. Zacząłem więc sobie wyobrażać, że za chwilę złożą mnie w ofierze, że zwiążą mnie, a potem wrzucą między potężne koła zębate, które zmiażdżą mi kości i mięśnie, by wycisnąć z nich najpotworniejszy ból i coś jeszcze, coś, co unosi nad ziemią opływowe statki powietrzne, które nie potrzebują skrzydeł, silników napędzających śmigła, a nawet samych śmigieł.

Gdy jednak kształt takiego pojazdu niemal zmaterializował się

w moim umyśle, dotarło do mnie, że za daleko odpłynąłem z nurtem chorych wyobrażeń i pod wpływem nietypowych okoliczności niespodziewanie, sam przed sobą, ujawniłem najskrytszą, masochistyczną fantazję, o której istnieniu nie miałem dotąd pojęcia. Poczulem drgnięcie rosnącej erekcji i ogarnął mnie wstyd. Na szczęście towarzysząca mu konsternacja w jednej chwili rozwiała wszystkie lęki i żenujące kształty ulepione przez nadmiernie pobudzoną wyobraźnię. Zrobiła to z taką samą łatwością, z jaką ciepły letni wiatr radzi sobie z poranną mgłą. Gdy się rozwiała, dostrzegłem w twarzy Rumahis coś znajomego – cień rozpoznania, wywołujący wrażenie, że już ją kiedyś spotkałem. Zacząłem jej szukać w pamięci, lecz niczego nie zdołałem wyszperać. Stałem więc pośród milczących mieszkańców Moqudad, bezradny, zawieszony w niepewności, niezdolny do wprawienia się w ruch. Stałem w tym swoim czarnym płaszczu narzuconym na tani brązowy garnitur w prążki i mimo że nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie właściwie jestem i jak doszło do tego, że się tu znalazłem, a do tego moje ubranie bardzo się tu wyróżnia, nagle, bez wyraźnego powodu, moja obecność w tym miejscu wcale nie wydała mi się dziwna czy niestosowna.

Odniosłem wrażenie, że w jakiś sposób tu pasuję, że właściwie wypełniam tu powietrze.

Uśmiechnąłem się. Ruma odwzajemniła uśmiech. Zgiąłem się, żeby chwycić walizkę, i w tym samym momencie ludzie w ciemnoniebieskich kombinezonach ruszyli w stronę molo, jakby moje ciało wysłało im sygnał, na który czekali. Wraz z Rumą nieśpiesznie podążyliśmy za nimi.

Słońce utonęło w Pacyfiku. Ciemność zalegająca między drewnianymi zabudowaniami rozbłysła ciepłym blaskiem kolorowych lampionów. Na masywnych ławach ustawionych wokół opalanych drewnem palenisk, nad którymi piekły się owoce morza

poukładane w równiutkich szeregach na osmalonych rusztach, rozsiedli się mężczyźni i kobiety z różnych stron świata. Widziałem tam drobnych Azjatów, widziałem Afrykańczyków, których skóra błyszczała jak wypolerowany heban, widziałem wysokich słomianowłosych Skandynawów, widziałem Hindusów i barczystych potomków Azteków o przenikliwym spojrzeniu głęboko osadzonych oczu. Podawali sobie butelki wina, śmiali się, dyskutowali. Ktoś grał na bandoneonie. Ktoś inny brzdąkał na podłużnym instrumencie strunowym przypominającym gitarę. Zerkali na mnie życzliwie, dzielili się alkoholem i chlebem, no i jakoś tak przeoczyłem moment, w którym resztki podszytego strachem zagubienia zostały wykorzenione przez kielkujące zaufanie, a leniwe spędzanie czasu w towarzystwie mieszkańców Moqudad zaczęło mi sprawiać przyjemność.

Zjadłem kilka wybornych dorszy i chrupiącą smażoną ośmiorniczkę, popijając je gęstym ciemnym winem, i dopiero gdy po moim ciele rozlała się fala ciepłej sytości, zorientowałem się, że nikt mnie o nic nie pyta. Wszyscy ograniczali się jedynie do pozdrowień i zdawkowej wymiany uprzejmości. Ale najbardziej znamienne było to, że wcale mnie to nie dziwiło. Powiedziałem o tym Rumie.

– Nie jest ważne, kim jesteś i skąd jesteś – wyjaśniła. – Ważne, że jesteś. Na razie to wystarczy. Reszta przyjdzie w ślad za tym. Zresztą teraz i tak nie potrafiłbyś sobie niczego przypomnieć.

– Pewnie dlatego wciąż trudno mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Cały czas mam wrażenie, że zaraz się obudzę.

– Wiem. Wszyscy przez to przechodziliśmy. Potem, po Świącie, jest już inaczej. Pamięć wraca, ale... Trochę trudno to wyjaśnić.

– O co chodzi z tym Świątem? Możesz coś o nim opowiedzieć, choćby w zarysie, żebym wiedział, czego się spodziewać?

– Nie – powiedziała stanowczo. – Tak będzie lepiej.

Chłód niepokoju musnął mnie między łopatkami.

– Czy to... bezpieczne? – wykrztusiłem.

Ruma zachichotała.

– Wszyscy faceci o to pytają. Bez obaw. Nie ma się czego bać. Tylko dropla się naraża i czasem musi ucierpieć. Ale ty nią raczej nie będziesz. Nie podczas swojego pierwszego Świąta. To byłby ewenement. Może się jedynie zdarzyć, że spontanicznie odrzucisz wezwanie Latarni. Tak bywa. Nic ci z tego powodu nie grozi, lecz wykluczy cię to z obchodów i niewiele zobaczysz.

Zrozumiałem, że w ten sposób nie uda mi się z niej wyciągnąć nic konkretniejszego, i postanowiłem zmienić taktykę.

– W ilu Świątach brałaś udział?

– Dwudziestu dwóch.

– Coś kręcisz. Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia lat. Musiałabyś to robić przez całe życie.

– Czas płynie tu inaczej.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Tak, tak, jasne... Lepiej powiedz, kiedy się zaczniesz.

– Za parę godzin, po północy.

– Co będziemy robili do tego czasu?

– Mam kilka pomysłów – odparła z chytrym uśmiechem.

A potem bezceremonialnie chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego mieszkania. Nawet nie próbowałem się opierać, bo to, że tak zrobiła, wydało mi się tak samo naturalne, jak powolna wędrówka spiętrzonych wieżowych chmur, które od tysięcy lat bezskutecznie próbują zmierzyć ogrom nieba nad zielonymi równinami Pampy. Po drodze Ruma wyjaśniła, że uliczki miasta są niczym szprychy w połówce koła i rozchodzą się promieniście od placu, albo też, jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, schodzą się w stronę placu, celując w gigantyczny kamienny obelisk, który mieszkańcy nazywają Latarnią. Interesowało mnie, jak powstało

Moqudad i dlaczego tak niekonsekwentnie wykuto w skalnych ścianach fasady imitujące kamienice, ale Ruma stwierdziła, że to nieważne. A na pytanie, kto zbudował Latarnię, odparła, że nikt, że sama wyrosła, jak skalny grzyb, dawno temu, zanim na Ziemi pojawili się ludzie. Nie chciała jednak powiedzieć, skąd to wie.

Kiedy wspięliśmy się po schodach do jej lokum, nie pozwoliła mi zapalić lampy naftowej, ale pozwoliła się rozebrać. Potem pchnęła mnie na łóżko, usiadła na mnie okrakiem i kochała się ze mną, powoli i namiętnie. Chrapliwie dyszała mi w ucho i przez jedną niepokojącą chwilę czułem się tak, jakbym uprawiał seks nie z kobietą, lecz z czymś obcym, jakąś miękką polipowatą istotą, która zagęściła wokół siebie włóknistą ciemność i umiejętnie przybrała kształt kobiety, wilgotnej, rozpalonej i spoconej, ale jej gorący i rozwibrowany oddech zdradzał, że tak naprawdę jest to żywy skórzasty zawór, który istnieje tylko po to, by wyrównywać ciśnienie między przylegającymi do siebie równoległymi światami.

Na ułamek sekundy orgazm wygasił mi myśli. Ruma przyłgnęła do mnie i wstrzymała oddech. Pulsowałem zanurzony głęboko w jej ciepłym oślizgłym mroku. Potem zasnęliśmy przytuleni. W każdym razie ja na pewno.

Gdy się obudziłem, wciąż było ciemno. Usiadłem na łóżku. Nic nie widziałem, ale inne zmysły podpowiadały, że jestem sam. Byłem tego pewien. Mimo to szumiące dno ciszy przelewało mi się w uszach jak powolne fale wewnętrznego oceanu i czułem, wyraźnie czułem, że spod tych fal coś na mnie patrzy. Dokładnie tak: nie ktoś, ale coś – promień obcej uwagi skierowany wprost na mnie. Wyraźny jak słodko-żelazisty smak cudzej krwi na języku. Pełznący atawistyczny chłód zjeżył mi włosy na karku. Bałem się poruszyć. I nagle strach ustąpił. Początkowo nie rozumiałem dlaczego. Wstałem z łóżka, podciągnąłem spodnie, wymacałem w ciemności marynarkę i płaszcz. Włożyłem je na siebie,

poprawilem automatycznymi ruchami i zamarłem, bo dostrzegłem to, co kryje się pod tymi prostymi, codziennymi czynnościami. Delikatny, ale czujny i precyzyjny nacisk obcej uwagi zredukował moją świadomość do odkrycia, że ten ja, którego uważałem za siebie, to wcale nie jestem ja, lecz aktywny system zazębiających się nawyków, gorliwie ćwiczonych od dzieciństwa i związanych nie tylko z ubieraniem się, czesaniem włosów i sznurowaniem butów, ale także z praktykowaniem kolejowych metod postrzegania rzeczywistości. To momentalnie doprowadziło mnie do następnego odkrycia, które uświadomiło mi, że moim prawdziwym ja nie jest również to, co z niewiadomego powodu podtrzymuje istnienie tego nawykowego systemu. Wystarczyło, że zdałem sobie z tego sprawę, a mentalna grawitacja natychmiast się odwróciła. Zakręciło mi się w głowie. Niby nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko – obca uwaga nie była już obca. Rozpoznałem w niej coś, co towarzyszyło mi od zawsze, coś, co nieustannie ciurkało na dnie mojej świadomości. Rozpoznałem w niej to, co poprzez moje ciało i poprzez mój umysł rzuca na ten świat cień, który generuje subtelną siłę powołującą do życia moje nawykowe ja i utrzymującą jego iluzoryczną spójność. Rozpoznałem w niej to, co było najprawdziwszym mną, i skierowałem na to oko umysłu.

Spojrzałem na to, co rzuca cień.

Zapomniałem, gdzie jestem. Zapomniałem, kim jestem. Ruszyłem pod prąd strumienia znajomej uwagi, by dotrzeć do jej źródła.

Ciemność miała kształt stromych schodów, które, wykorzystując mój ciężar, pomagały mi iść.

Ciemność miała kształt wąskiej uliczki, która pchała mnie do przodu szklistym mrokiem gęstniejącym za moimi plecami.

Ciemność otworzyła przede mną rozległą przestrzeń, nad którą unosił się kolosalny kształt.

Był podłużny i ostro zakończony. Poruszał się na tle rozgwieżdżonego nieba rwanymi, owadzimi ruchami. Kurczył się, wydłużał, kiwał na boki, zginał i prostował, jakby chciał się wbić w kopułę nocnego firmamentu. Albo przynajmniej zdrapać z niej kilka migoczących gwiazd. Pulsowała w nim stłumiona wilgotna jasność, która ściekała wzdłuż kanciastego cielska – od szpiczastego czubka do rozjarzonej czworokątnej podstawy, lewitującej wysoko w górze jak spodnia część piramidy, która po eonach mozolnego odsączania wreszcie wydobyła z głębi ziemi wystarczającą ilość orgonu, żeby wzbić się w powietrze i rozpocząć podróż w kosmos, gdzie głęboki starożytny chłód pomoże jej zakończyć skomplikowaną inkubację żywych hieroglifów i zainicjuje ekspansję ich na wpół materialnych myśli, które, uwolnione i samodzielne, pomkną w głąb galaktyki, marszcząc się na powierzchniach skał i gazowych odmętów coraz bardziej odległych planet.

Skojarzenie z piramidą wcale nie było przypadkowe, gdyż z tej lewitującej czworokątnej podstawy wydobywał się równie czworokątny promień jasnego światła, który zwiężał się ku dołowi i wyglądał jak odwrócony ostrosłup. Czuję, że źródło znajomej uwagi znajduje się w miejscu, w którym czubek piramidalnego blasku dotyka podłoża. Szybko pomknąłem w jego stronę. Wszedłem pod gigantyczną rozświetloną podstawę i wtedy zorientowałem się, że jest tam coś jeszcze; coś, co do tej pory kryło się w jasnym blasku. Nie mogłem jednak dojrzeć, co to takiego. Dopiero gdy podszedłem bliżej, wszystkie nieostre, rozmazane mocnym światłem szczegóły, złożyły się w ogromne szklane jajo, które niczym oniryczny automobil stało na czterech wysokich kołach, delikatnych i połyskujących srebrzyście, jakby były utkane z pajęczych nici. I to ono okazało się źródłem znajomej uwagi.

A właściwie to, co było w środku.

Wewnątrz jaja, pod wypukłą soczewką grubego szkła, hipnotycznie splatały się ze sobą masywne sinoszare macki falujące w gęstej zawieszynie spienionej brunatnej ektoplazmy. Ich kanciaste heksagonalne przyssawki przyczepiały się do szkła i natychmiast odrywały, przyczepiały, odrywały, przyczepiały, odrywały, nieustannie, bez chwili wytchnienia. Tak mocno szarpały jajem, że kołysało się na boki. Nie odniosłem jednak wrażenia, że macki są w nim uwięzione. Obserwowałem je i czułem, że ich ruchy emanują uwagą i znaczeniem, które docierają do mnie jakimś pradawnym, zapomnianym sposobem. Śwędziało mnie od tego skóra, świszczało mi w płucach, boleśnie rozpierało trzewia i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że one nie próbują się wydostać, lecz robią coś zupełnie innego; coś, w czym mogę im pomóc; coś, w czym może im pomóc padający na ten świat cień prawdziwego mnie, jeśli tylko jest świadom, że jest cieniem.

Podszedłem do najbliższego koła. Jego obrzeże było cienkie jak jutowa linka i sięgało mi do szyi. Chwyciłem go obiema rękami. Gdy to zrobiłem, percepcja przeskoczyła na inny poziom. Wszystko, co nie było mną i szklanym jajem, stało się mgliste i zamazane. Nawet ludzie, którzy chwycili pozostałe trzy koła, przypominali krople czarnego atramentu szybko mieszające się z wodą. Wyczuwałem obecność jakichś obserwatorów, ale byli poza zasięgiem mojego wzroku. Zresztą i tak nie miałbym czasu się rozglądać, ponieważ jedna z macek przyłgnęła do wewnętrznej strony jaja tuż przed moimi oczami i mimo że oddzielało mnie od niej grube szkło, poczułem na twarzy ssanie podciśnienia wytwarzanego przez jej osobliwe heksagonalne przyssawki. Zrozumiałem, że daje mi sygnał, i napałem na koło. Jestem pewien, że wszyscy, którzy stali przy kołach, napaarli w tym samym momencie.

Nie stawiało oporu. Obracało się gładko i nie trzeba było wkładać dużo siły, żeby nadawać mu pęd, ale kręciło się w miejscu i jajo

pozostawało w całkowitym bezruchu. Nie przesunęło się nawet o milimetr. Za to przestrzeń wokół mnie zaczęła migotać, jakby zrywała się trójwymiarowa taśma filmowa, z której wyświetla się świat. Koło przyspieszało, a sprzężone z nim migotanie gwałtownie przybierało na sile. Po chwili nie wiedziałem już, czy to ja nim obracam, czy to ono wymusza na moich rękach dziwne koliste ruchy, które mącą rzeczywistość. W końcu migotanie osiągnęło stroboskopowe apogeum i potężny rozbłysk przepalił mnie na wylot, zdmuchnął cień prawdziwego mnie.

Wpadłem w rozwartą, oślepiającą biel...

Stałem się rozwartą, oślepiającą bielą...

Z niebytu, z niewidzenia, z nieczucia, wyciągnęło mnie wrażenie podążania za drapiezną ostrością, która nie posiada żadnego ostrza dającego się stępić czy wyszczerbić, a mimo to bez najmniejszego trudu tnie wszystko na swojej drodze; ostrością, która mknie przez rozświetloną przestrzeń pośród nieruchomych kształtów i dobrze wie, że one tak naprawdę wcale nie są nieruchome, tylko poruszają się znacznie wolniej od niej.

Mknęliśmy.

Moja świadomość i moja percepcja rozprzestrzeniały się w tej ostrości, stopniowo odkrywając kolejne elementy jej struktury i wypełniając je mną. Wydawało mi się, że rzucam na nią coraz dłuższy cień, który zmienia ją we mnie albo sprawia, że staję się jej integralną częścią. To poszerzało moje pole widzenia i zwiększało ciężar mojej obecności. Zorientowałem się, gdzie jest góra, a gdzie dół. Zobaczyłem słońce na bezchmurnym niebie i rozciągającą się po horyzont kamienistą pustynię ze wzburzonym, ale nieruchomo gotującym się piaskiem, z nieruchomymi kamieniami unoszącymi się tuż nad ziemią i z głębokimi szczelinami, wewnątrz których w bezruchu kłębiły się czarne kolczaste macki. Ponad nimi, na masywnych segmentowanych odnóżach, grubych jak baobaby,

nieruchomo kroczyły ogromne pancerne stwory. Ich potężne wirujące aparaty gębowe przypominały skomplikowane maszyny do rozdrabniania skał, które teraz, tak samo jak wszystko dookoła, znieruchomiały pochwycone pajęczyną cięgien spowalniających czas. Te cięgna również były częścią żywej, przemieszczającej się ostrości. Wyrastały z niej, z jej kulistych, pozbawionych masy i w dużej mierze niewidzialnych generatorów, splatających grawitację z czasem w zamkniętym systemie cyrkulujących turbulencji otulonych magnetyczną błoną, połyskującą ciepło jak przezroczysta powierzchnia bursztynu. Wyczuwałem to, bo coraz bardziej stawałem się tą ostrością, a ostrość coraz bardziej stawała się mną. Czułem też, że moja świadomość z łatwością wnika w łykowany miąższ unieruchomionych czarnych macek i każda z nich, co do jednej, bardzo powoli rozpada się na kawałki, nieśpiesznie tryskając gęstą ciemnozieloną posoką, a giganty na segmentowanych odnóżach kruszą się pod miażdżącym naporem moich masywnych, wrogo nastawionych myśli i powolutku zapadają się w siebie, ale z pewnością zmieniają się w szary pył zanim zdążą upaść na piasek i kamienie.

Wtem, pośród tych wszystkich rozpadających się stworów, pod pajęczyną rozgałęzionych cięgien, w samym środku wiru spowolnionego czasu, między widmowymi generatorami, między wymiarowymi manipulatorami, autonomicznymi emiterami różnych rodzajów energii i masywnymi głowicami twardej ciemności, zastygłej wokół płynnych rdzeni pulsującej plazmy, wyczułem zawieszony w przestrzeni zgrubienie materii, z którego wyrastały wszystkie organelle, z jakich składała się ostrość i z jakich składałem się ja. Zaintrygowany przekierowałem na to swoją uwagę.

Był tam mężczyzna. Stał z zamkniętymi oczami. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, wymiętą koszulę khaki, ciemnobrązowe

spodnie i wysokie wojskowe buty. Zmierzwiłone rude włosy sterczały mu wokół głowy jak brudna, wypalona aureola. Wydawało się, że śpi na stojąco, unieruchomiony przez ciężną spowalniającą czas, ale one nie miały z tym nic wspólnego, bo wyraźnie widziałem, że omijają go z daleka. W lewej ręce, wyciągniętej prosto przed siebie, trzymał karbowaną bryłę litego metalu przypominającą toporną atrapę pistoletu, która nie miała nawet otworu pozorującego wylot lufy. To jednak było to zgrubienie materii, karbowana zmarszczka rzeczywistości, z której wyłaniała się ostrość i z której wyłaniałem się ja. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Zbliżyłem się i wyczułem delikatny podmuch cieniutkiej strużki ostrości, która uświadomiła mi, że wbrew pozorom na powierzchni bryły jest jakiś otwór, a zaraz potem pomogła mi go odnaleźć. Wystarczyło tylko, że przemieściłem się pod prąd strużki, i z uczuciem, że sunę zagęszczoną uwagą wzdłuż zapomnianej kończyny, szybko natrafiłem na maleńką kapilarną osobliwość – mikroportal przebijający się bardzo, bardzo głęboko.

Wślizgując się do niego, wiedziałem już, czemu wygląd tej karbowanej, bryłowatej rzeczy tak jednoznacznie przywodzi na myśl atrapę; zorientowałem się, że każdą molekułą swojej obecności usiłuje ona dać do zrozumienia, że tak naprawdę nie jest tym, na co wygląda, ponieważ to, co przypomina, jest tylko grą skojarzeń, zmyłką, sprytnym fortelem, dzięki któremu okruchy pradawnych, zrujnowanych światów, nieprzystające do świadomości obecnych form życia, gładko wpasowują się w ramy kształtów, które mogą się wydawać znajome i z którymi można nawiązywać trwałe, percepcyjne relacje.

Ścieśniony w kapilarnej osobliwości przeciekłem do wnętrza dużego sześcianu, którego ściany porastały grube czułki falujących szklistomechanicznych ukwiałów fosforyzujących słabym czerwonym blaskiem. Podpłynąłem do nich, zręcznie wyginając się

na boki, jak pozbawiony kości ślimak, żyjący w labiryntowych zakamarkach abisalnego dna oceanu, i jakby wiedziony nawykiem wyciągnąłem do przodu liczne elastyczne ramiona. Ukwiały również wysunęły się w moją stronę. Gdy ich dotknąłem, poczułem wędrujące po miękkiej skórze iskry, które szybko wniknęły do mojego ciała i zaczęły się gromadzić w jego trzewiach. Tam uformowały coś na kształt świetlistego, iskrzącego sześcianu, który skondensował swoją strukturę, a potem szybko rozrósł się na wszystkie strony, pochłaniając całe moje ciało i idealnie nakładając się na sześcian, wewnątrz którego się znajdowałem. Szklistomechaniczne ukwiały wypełniły się bladym śnieżeniem. Czerwony blask przygasł, a gęstniejące śnieżenie stężało w kryształową przezroczystość.

Przez transparentne ściany wlało się jasne światło.

Sześcian, w którym się znajdowałem, unosił się w powietrzu i kilka gętkimi, elastycznymi czułkami był uczepiony krawędzi czegoś, co wyglądało jak długi i lekko nachylony taras, wykuty w suchym, ale na swój sposób wciąż żywym koralowcu. Powyżej i poniżej również znajdowały się podobne tarasy. Były rozmieszczone piętrowo, jeden nad drugim. Po dłuższych oględzinach doszedłem jednak do wniosku, że jest to jeden i ten sam taras, który wznosi się kolistnie, jak gwint wycięty w obrzeżu ogromnej kolumny. Cumowało przy nim mnóstwo dziwnych obiektów, które, podobnie jak mój sześcian, unosiły się w powietrzu. Otaczały mnie niemal ze wszystkich stron. Po lewej widziałem coś, co przypominało kanciasty kłęb długich metalicznych alg, falujących, jakby były zanurzone głęboko pod wodą, a po prawej znajdował się podłużny mlecznobiały głaz, na którego powierzchni mrowiły się niezliczone ciemne punkciki, układające się w nieczytelne dla mnie wykresy, wzory, symbole. Nade mną coś dużego kurczyło się i rozprostowywało, jak szary

miech uformowany z gęstej i lepkiej mgły, wewnątrz którego długi i niewyraźny kształt wił się, krążył, błyskawicznie przemykał z jednego końca miecha na drugi, natomiast w dole dostrzegłem masywną sylwetkę, przywodzącą na myśl wielkiego owada, którego ciało, pozbawione oczu, czy choćby wyraźnie oddzielonej głowy, składało się z wielu identycznych pancernych segmentów, połączonych hakowatymi wyrostkami i rozmigotanych mnóstwem maleńkich przezroczystych, ale bardzo szybko trzepoczących skrzydełek pokrywających prawie całą powierzchnię jego pancerza – niczym delikatna, szklista trawa, migocząca na granicy istnienia.

Tuż obok tej owadziej sylwetki, częściowo zasłonięta przez długie metaliczne algi, kołysała się na boki drewniana osmalona szalupa, której wewnątrz szczelnie wypełniały koła zębate, tłoki, cylindry, popychacze, kotły i wały rozklekotanego, buchającego parą mechanizmu. Na jej burtach znajdowało się osiem szerokich mosiężnych dysz. Cztery na jednej i cztery na drugiej. Wszystkie skierowane do góry. Co chwila wynurzały się z nich pomarańczowe, rozfalowane kształty. Wyglądało to tak, jakby szalupa z terkotem wydmuchiwała przez te dysze podłużne, miękkie balony, lżejsze od powietrza i wyposażone w giętkie macki, którymi chwytają się burt, żeby nie oddalić się od łodzi. Żyły dość krótko, najwyżej dwie, trzy minuty, po których pękały, znikając w pomarańczowych rozbłyskach, ale wciąż pojawiały się nowe i około dziesięciu baloniastych stworów nieustannie trzymało się drewnianego kadłuba. Nie wiedziałem, czy mają utrzymywać szalupę w powietrzu, czy też pojawiają się tam w zupełnie innym celu. Chyba właśnie to poczucie bezradnej niewiedzy sprawiało, że wydawały się urzekające i nie mogłem oderwać od nich wzroku. Nagle jedna z tych pomarańczowych baloniastych istot – byłem już niemal pewien, że są całkowicie świadome swojej boleśnie krótkiej egzystencji – oderwała się od szalupy i uleciała w górę. Patrząc, jak

odlatuje, powoli odwróciłem się od tarasów i przycumowanych do nich obiektów.

Zmroził mnie zimny dreszcz.

Falując luźnymi mackami, malejący pomarańczowy stwór wznosił się między potężnymi, kołyszącymi się na boki wieżami, uformowanymi z jakiegoś miękkiego srebrzystego materiału i podtrzymywanymi przez długie teleskopowe przypory. Leciał w kierunku meduzowatych platform, które unosiły się wysoko ponad czubkami miękkich wież i całe były porośnięte obłymi szypułami pełgającego blasku, rozpadającego się na kolory, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Nie śledziłem jednak dalszego lotu tej baloniastej istoty i nie czekałem na moment, w którym pęknie, ponieważ mój wzrok przyciągnęło to, co było poniżej – obezwładniająca panorama niemożliwego miasta, przypominająca wnętrze niesłychanie skomplikowanego zegara, w którym mnóstwo poruszających się elementów zazębia się w jeden nieustannie podrygujący i nieustannie zmieniający kształty mechanizm.

Chciałem przyjrzeć się uważnie poszczególnym częściom tej żywej, miejskiej struktury; wędrującym, szpiczastym minaretem, obracającym się placom, po których toczyły się jakieś kuliste obiekty, czy spiralnym kratownicom, łączącym przemieszczające się budynki w większe moduły, które swoim wspólnym ruchem zaginały tutejszą rzeczywistość i tworzyły enklawy wypełnione lśniąącym metalicznie powietrzem, wyraźnie spowalniającym gęste światło, w którym pławiły się pulsujące bryły ciemnej rtęci, anektujące przestrzeń wokół siebie długimi włosowatymi wypustkami. Ale nie zdążyłem tego zrobić, bo mimowolnie powiodłem wzrokiem dalej i odkryłem, że miasto nie sięga aż po horyzont, lecz w pewnym momencie ustępuje miejsca rozległemu przestworowi szmaragdowej mgły, falującej jak widmowy, powolny ocean, z którego wyrasta las kolosalnych mglistych kolumn albo

pni, wznoszących się wysoko w górę i zwieńczonych opalizującymi sferami, wewnątrz których łopoczą zimne i wystrzępione płomienie magnetycznych zórz. Podejrzewam, że nawet najmniejsza z tych sfer była tak duża, że całe to ruchome miasto zmieściłoby się w niej bez trudu.

Miałem wrażenie, że pogrążyłem się w osobliwym i bardzo wyrazistym śnie. Nie musiałem rozumieć tego, co widzę. Nie widziałem też powodu, by podejmować jakiegokolwiek działania. Po prostu chłonałem te fascynujące widoki całym sobą, czując na obrzeżach swojego ciała rozkoszne zimno wibrującej ekscytacji. Ale nagle poczułem coś jeszcze. Trudny do zwerbalizowania, mrowiący dyskomfort. Próbowałem go uchwycić, lecz cały czas się wymykał. W końcu jednak zdołałem ustalić, że najbardziej doskwiera mi gdzieś z tyłu. Odwróciłem się więc, żeby sprawdzić, czy jakoś to na niego wpłynie, i okazało się, że nieprzyjemne mrowienie przesunęło się po moim ciele, a potem, gdy znieruchomiałem, ono również znieruchomiało, ale tym razem z przodu, między ramionami. Obmacałem się dokładnie, lecz niczego obcego ani nietypowego na sobie nie znalazłem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że przecież znam to uczucie – ktoś na mnie patrzy, a ja czuję na sobie jego wzrok. Gdy dotarło do mnie, co się dzieje, ponownie spojrzałem w stronę tarasu, do którego był przycumowany mój sześcian, i odruchowo cofnąłem się przestraszony. Coś tam stało. Bardzo blisko. Tuż przy krawędzi tarasu. Tuż przed moim sześcianem.

Wyglądało jak metalowy człowiek. Miało głowę, dwie ręce zakończone pięciopalczastymi dłońmi, tułów i dwie nogi, lecz całe ciało tej istoty pokrywała gładka warstwa srebrnych łusek, między którymi nie było widać żadnych otworów. Głowa była więc srebrzystą łuskowatą kulą, a mimo to czułem promieniujący z niej wzrok. Nie miałem pojęcia, kiedy to coś podeszło do sześcianu, ale

mogło to zrobić, gdy patrzyłem na ruchome miasto, dlatego bardziej zastanawiała mnie inna kwestia: czy ta metalowa istota naprawdę mnie widzi, czy jedynie sonduje na oślep mój sześcian.

Zbliżyłem się do przezroczystej ściany, żeby dokładnie obejrzeć metalowego człowieka, i zamarłem w bezruchu, bo wydało mi się, że na powierzchni jego lśniącej łuskowatej skóry, dostrzegłem jakiś ruch. Coś jakby spazmatyczne drgnięcie niewyraźnej romboidalnej sylwetki najeżonej giętkimi, elastycznymi ramionami. W pierwszej chwili pomyślałem, że łuski są półprzezroczyste i udało mi się dojrzeć to, co kryje się wewnątrz metalicznego pancerza, ale gdy zmieniłem pozycję, licząc na to, że z innej perspektywy zobaczę to znacznie wyraźniej, ta pękata romboidalna sylwetka przemieściła się razem ze mną i wstrząśnięty zdałem sobie sprawę, że to moje odbicie, a humanoidalna istota pokryta srebrzystymi łuskami widzi mnie równie dobrze jak ja ją.

Zakłopotany wycofałem się w głąb sześcianu. Wtedy metaliczny człowiek uniósł lewą rękę i postukał palcem w przezroczystą ścianę mojego pojazdu. Nie wiedziałem, dlaczego to zrobił, choć oczywiste było, że próbuje zwrócić moją uwagę. Gdy starałem się dociec, jakie mogą być jego zamiary, znowu postukał palcem w tym samym miejscu. Tym razem jednak dodał do tego wahadłowy ruch drugą ręką, jakby udawał, że przestawia nią jakąś niewidzialną dźwignię. Ten widok wzbudził we mnie nieznośne intensywne wrażenie, że już to kiedyś widziałem; że już to przeżyłem. Uczucie rozpoznania wniknęło we mnie jak zapach, który dawno temu, we wczesnym dzieciństwie, wiązał się z czymś, co było dla mnie bardzo ważne, a teraz, gdy po wielu długich latach znowu go poczułem, otworzył przejście do ukrytych labiryntów mojego umysłu i przywołał stamtąd zapomniane, niemożliwe wspomnienia, które były tak niepokojące i obce, że w żadnym razie nie mogły być moje, a jednak wiedziałem, coś we mnie wiedziało, że z całą pewnością są moje. Ale

nie miały one nic wspólnego z tymi olśniewającymi chwilami, w których jako mały pędrak, wijący się na ciepłej mechatej posadzce, pośród ogromnych fasetowych konstrukcji i wysokich, pająkowatych istot, uczyłem się sięgać tłusciutkimi ramionami po żywe zabawki unoszące się tuż nad moją głową i wabiące mnie cichutkim, ledwo słyszalnym mruczeniem, pulsującymi kolorami i łaskoczącą moje czułki wonią mleka zmieszanego ze słodkim matczynym potem. To było coś znacznie, znacznie starszego; to było coś, co tliło się słabym, zmroczniałym światłem, uwięzionym pod grubą skorupą łuszczącą się mentalnej patyny; to były nałożone na siebie migawki z dawnych żyć, moich, tylko całkowicie odmiennych, dobrze mi znanych, choć do tej pory ukrytych w starożytnych głębinach umysłu; migawki, w których moja różnokształtna świadomość wielokrotnie i na niezliczone sposoby gęstnieje w sześcianie uczepionym krawędzi koralowego tarasu i widzi niezwykle unoszące się w powietrzu obiekty przycumowane wokół niej. Za każdym razem inne, bo one nigdy się nie powtarzają. Ale ruchome miasto, migoczące daleko w dole, zawsze jest takie samo. I zawsze pojawia się tu ta postać, ten łuskowaty metalowy pancerz w kształcie człowieka, który stuka w sześcian i pokazuje, że to tam jest.

Dokładnie w tym miejscu.

W moich wspomnieniach, mimo początkowych wątpliwości, lęku i bezowocnych prób zrozumienia, dlaczego ta metaliczna istota robi to, co robi, w końcu zawsze rozciągam jedno ze swoich elastycznych ramion i po wewnętrznej stronie sześcianu sięgam do miejsca, które znajduje się naprzeciwko stukającego palca. Muskam szklistomechaniczne ukwiały, obmacuję ich przezroczyste zgrubienia, uważnie badam szorstkie nierówności i prędzej czy później niezawodnie odnajduję niewielką dźwignię. Metaliczna istota pokazuje mi gestem, co powinienem z nią zrobić, ale waham

się, bo wiem, że nie jest to takie proste. Wspomnienia podpowiadają, że można ją przestawiać na wiele różnych sposobów, ja jednak nie mam pojęcia, który jest tym właściwym i co się stanie, gdy uda mi się ją ustawić tak jak należy. Ale muszę to zrobić. To nieuniknione. Tak się dzieje za każdym razem i tak się stanie teraz.

Nagle zawładnęło mną znajome wrażenie, że sens mojego istnienia sprowadza się do tej dźwigni i do obowiązku ustawienia jej we właściwej pozycji, więc bez dalszego ociągania sięgnąłem do niej kolejny raz. Była tam, gdzie zawsze. Przypomniałem sobie, jak przestawiałem ją do tej pory, i z zaskoczeniem odkryłem, że jest ustawienie, jakiego jeszcze nie próbowałem. Spojrzałem na metaliczną istotę. Ostatni raz stuknęła palcem, opuściła łuskowatą rękę i zamarła w bezruchu. Czekwała. Stała tak blisko, że gdyby nie dzieliła nas przezroczysta ściana, to mógłbym jej dotknąć. Złapałem się na tym, że chciałbym to zrobić, że ciągnie mnie do niej, jakby wewnątrz tego łuskowatego pancerza kryło się coś, co kiedyś straciłem, coś, za czym tęsknię. Pokusa była bardzo silna, ale jeszcze raz zdołałem się jej oprzeć, jeszcze raz pozwoliłem, by starożytne wspomnienia pokierowały moim ramieniem.

Przestawiłem dźwignię.

Basowe szczęknięcie obróciło sześcianem i z impetem wyrzuciło mnie poza niego, prosto w nieprzeniknioną, ciemną nieważkość, w której całym sobą zderzyłem się z jakąś twardą powierzchnią. Jęknąłem i otworzyłem oczy. Leżałem na brzuchu, obolały, zmęczony, w ciężkim przemoczonym ubraniu. Podniosłem się z trudem. Ledwo mogłem ustać na dygoczących nogach. Miałem dreszcze, kręciło mi się w głowie i starałem się nie zwracać uwagi na fale mdłości promieniujące z żołądka. Otaczały mnie kłęby gęstej, nieruchomej mgły, ale czarne bazaltowe płyty znajdujące się pod podeszwami moich butów łudzaco przypominały te, które

pokrywały plac w Moqudad, zacząłem więc podejrzewać, że wróciłem do punktu wyjścia. Potarłem wilgotną twarz i chciałem się spokojnie rozejrzeć, zanim zdecyduję, w którą stronę pójdę. Wystarczyło jednak, że spojrzałem w lewo i od razu zauważyłem, że coś tam jest. Nisko, na poziomie gruntu, niewyraźny kształt ciemniał we mgle. Tknęło mnie dziwne przeczucie i powłócząc nogami, ruszyłem w tamtą stronę. Byłem bardzo wyczerpany, lecz inne objawy – zawroty głowy, nudności i drżenie nóg – z każdym krokiem stawały się coraz mniej dokuczliwe. W miarę jak się zbliżałem, kształt zyskiwał coraz więcej szczegółów, które stopniowo wyłaniały się z mgły. Nagle dotarło do mnie, co to jest, i zatrzymałem się.

Przede mną leżał kłęb sinoszarych macek. Tych samych, które widziałem wewnątrz szklanego jaja, albo bardzo podobnych. Nie byłem do końca pewien, choć miały identyczne heksagonalne przyssawki. Poruszały się niemrawo przygniecione własnym ciężarem i wyglądało na to, że długo nie pożyją, jeśli zaraz nie znajdą się w wodzie. Gdy zastanawiałem się, jak je przenieść na brzeg oceanu, ze zdumieniem dostrzegłem, że zaczynają się ze sobą łączyć. Na moich oczach macki powoli scaliły się w jeden wrzecionowaty kształt. Mimowolnie cofnąłem się kilka kroków. Wrzecionowata masa skurczyła się i z wilgotnym trzaskiem pękła w kilku miejscach. Oddzielone części rozsunęły się na boki i rozpoznałem w nich nogi, rozpoznałem ręce, rozpoznałem krągłe piersi i sterczące sutki, rozpoznałem głowę oblepioną mokrymi włosami, długimi i ciemnymi. Próbowałem zebrać myśli i znaleźć wśród nich miejsce na fakt, że macki przekształciły się w nagą kobietę, ale nigdzie nie mogłem go wpasować. Stałem wstrząśnięty, z mętlikiem w głowie, nad którym nie potrafiłem zapanować, i bezradnie patrzyłem, jak kobieta powoli obraca się na bok, zgina w pół i wymiotuje. Ciemny pienisty płyn raz za razem bluzgał na

bazaltowe płyty. W końcu udało mi się jakoś przezwyciężyć strachliwy opór zeszywniałego ciała i ogłuszony jazgotem rozstrojonych myśli podszedłem do niej niepewnie. Nachyliłem się i znieruchomiałem pochwycony jej spojrzeniem. Ruma uśmiechnęła się słabiutko, niemal samymi kącikami ust i przekrwionymi oczami. Ale wystarczająco, żeby dać mi coś znajomego; coś, czego mógłbym się uchwycić. Szalejący pod czaszką mętlik wyraźnie stracił na sile i moje myśli na nowo zaczęły się porządkować. Przyklęknąłem, pomogłem jej usiąść, objąłem ją i przytuliłem. Była bardzo ciepła, jakby trawiła ją gorączka. Z jej skóry i włosów unosiły się blade smużki pary. Odchyliłem głowę, żeby spojrzeć jej w twarz, ale nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Za to ona nie miała z tym problemu.

– Pamiętasz? – zapytała ochryplym szeptem.

– Tak... – odparłem i w tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że chodzi nie tylko o to, że pamiętam wszystko, co przydarzyło mi się tej nocy.

Sugestywność tych wspomnień, ich wyrazista holograficzna głębia, skrywająca mnóstwo nieprawdopodobnych szczegółów, które wciąż skrzyły się na krawędzi mojego pola widzenia i tylko czekały, aż zechcę im się przyjrzeć, całkowicie przyćmiła moje wspomnienia z życia, które wiodłem, zanim przybyłem do Moqudad. Co z tego, że odzyskałem pełny dostęp do swojej pamięci, skoro z mojej obecnej perspektywy wypełniał ją niekończący się ciąg błahych i nudnych zdarzeń; żalosne, nic nieznaczące podrygiwania ludzkiej mrówki, błądzącej w labiryncie bezsensownych obowiązków niemających nic wspólnego z prawdziwym istnieniem, które krzepnie jedynie wtedy, gdy pada na nie blask przesączający się przez niezliczone bezchmurne nieba.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała Ruma. – Gdy cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, że tu zostaniesz.

Nie spodobała mi się pewność, którą usłyszałem w jej głosie.

– Wydaje ci się, że mnie przejrzałaś, co? – zapytałem z przekąsem.

– Niewielu widzi w swojej przeszłości coś, do czego warto wracać, dlatego większość przybyszy decyduje się zostać w Moqudad na zawsze. Ale są również tacy, którzy nie mają wyboru. Nieliczni, choć najważniejsi, bo bez nich nic się nie wydarzy. Gdy tu trafiają, ich świadomość przywiera do tego miejsca. Kotwiczy. Wrasta. I muszą zostać.

– Dlaczego?

– Bo mają w sobie coś, co budzi się tylko tu; coś, co swoją obecnością uruchomia mechanizm Moqudad i z jego pomocą raz w roku przenosi pojedynczą świadomość tam, gdzie powinna się znaleźć; tam gdzie jej istnienie ma największy sens. A wszystkim współuczestnikom przeniesienia pozwala doświadczyć namiastki tego przeżycia.

Wybałuszyłem oczy.

– Chcesz powiedzieć, że to, co właśnie przeżyłem, to nic, w porównaniu z tym, co się stanie, gdy...

Zachłysnąłem się emocjami i nie zdołałem dokończyć.

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Jesteś tu, bo macki lgną do macek, nawet gdy wyglądają i zachowują się jak ludzie. Dlatego nie licz na to, że kiedykolwiek wydostaniesz się z Moqudad. Nie dasz rady. Nie ty. I nie drogą, którą tu przybyłeś.

* * *

– Długo jeszcze? – wysapał Hessirun – Ledwo idę.

Wygięte Rogi nie odpowiedział. Nawet nie spojrzął w ich stronę. Niewzruszony kluczył między drzewami.

– Daj mu spokój! – syknął Tertell. – Przeszkadzasz. Im mniej

będziesz gderał, tym szybciej dojdziemy tam, dokąd mamy dojść.

– Nie sądzę. Chodzimy w kółko. To bez sensu. Nic by się nie stało, gdybyśmy na chwilę odsapnęli.

– To, że go nie widzimy, wcale nie znaczy, że go nie ma.

– Kogo? – zapytał zdumiony Hessirun, rozglądając się idiotycznie.

– Nie „kogo”, tylko „czego”. Sensu! Przecież mówię wyraźnie. Wygięte Rogi z pewnością wie, co i jak trzeba zrobić. Skoro Bmulkina mu ufa, to my chyba też możemy.

– Ale ja nie ufam jej – odburknął Hessirun.

– Znowu zaczynasz? Przyszliśmy do niej z własnej woli, więc bądźmy konsekwentni i sprawdźmy, czy jej metoda zadziała.

– Wcale nie, bo Tazam nam kazał.

– Nie nam, tylko tobie.

– To co tu robisz?

– Lubisz się drażnić, co?! – warknął poirytowany Tertell. – Wygięte Rogi ma tego powyżej uszu. Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Myślisz? Nie wygląda na...

Dygocząc z wściekłości, Tertell przyśpieszył kroku. Zostawił irytującego kompana w tyle i zbliżył się do milczącego niuchacza, który przez cały czas szedł, nie oglądając się za siebie, i zdawało się, że w ogóle nie zwraca na nich uwagi. Jednakże Hessirun z łatwością dogonił go już po kilku chwilach, co jeszcze bardziej zdenerwowało Tertella, bo jednoznacznie dawało do zrozumienia, że potężny kozymandis tylko udawał zmęczonego, aby zwrócić na siebie uwagę i mieć pretekst do narzekania. Zdegustowany Tertell do reszty stracił ochotę na rozmowę, ale niczym niezrażony Hessirun ani myślał zostawić go w spokoju.

– Powiedz, tylko tak naprawdę: wierzysz w to, co mówiła Bmulkina? W te wszystkie bzdury o Przekąźnikach? W to, że ten

niuchacz z wygiętymi rogami oddał im swoje poprzednie imię i w zamian za to pozwalają mu się podsłuchiwać? I w to, że tylko one mogą oderwać tę złotą pijawkę, która wczepiła mi się w róg?

Tertell z trudem przeżuł swoją wściekłość i westchnął zrezygnowany.

– Nie. Ale wiem, co widziałem.

– Ty tak twierdzisz. Ja nic nie czułem, gdy próbowali mi to zdjąć. Nic a nic. Żadnej różnicy. Żadnego skracania, zmniejszania, czy co to tam się niby działo. Może to jakaś sztuczka? Może cię omamiła, żebyś zrobił to, czego chce? Ale wiesz co? To w sumie nieistotne, bo w każdej chwili możemy dać sobie z tym wszystkim spokój; możemy zapomnieć o niuchaczach, zieloniarkach i Przekąźnikach; możemy po prostu wrócić do stada. Ot tak, jak gdyby nigdy nic. Powiemy Tazamowi, że nie znaleźliśmy Bmulkyny, i będziemy sobie spokojnie żyli dalej. Z czasem wszyscy przyzwyczajają się do tej złotej rzeczy i przestaną na nią zwracać uwagę. Co prawda, Aserem z pewnością będzie chciał się zemścić, ale poradzę sobie z nim. Raz mi się udało, to i drugi raz też dam radę. A jak będzie trzeba, to trzeci, czwarty...

– Po co miałyby nas oszukiwać? W jakim celu?

– A kto ją tam wie? Ona i ci jej trawiaści kozymandisi próbują nas pewnie wciągnąć w swoje pokrętne sprawki. Chwila nieuwagi i nam też wyrosną takie śliczne trawiaste futerka. Nie wiem jak ty, ale ja wolę, gdy moje jest takie jak teraz. Trzeba się było postawić Tazamowi i zostać w stadzie. Na szczęście to da się jeszcze wyprostować. Mówię ci, nie jest za późno, wystarczy tylko...

Tertell przestał go słuchać. Zimna ciężkość wlała mu się w kopyta i musiał się zatrzymać. Potrząsnął łbem, jakby oganiał się od achumek, ale wokół niego nie latał żaden insekcysty. Mimo to słyszał narastające monotonne brzęczenie, które pochłonęło go jak mętna głęboka woda. Wirujące ciemne plamki wypełniły mu oczy

i przesłoniły świat.

– No co, nie mam racji? – zapytał Hessirun.

Jego głos dobiegał z bardzo daleka.

– Nie wiem – wycharczał Tertell. – Coś się dzieje...

Ziemia wymusnęła mu się spod kopyt i z taką siłą uderzyła go w bok, że zagrzechotały mu wszystkie zęby. Jakimś cudem zdołał jednak nie odgryźć sobie języka.

– Tertell?! – krzyknął Hessirun.

W ciszy, która wypełniła przestrzeń po tym krzyku i otoczyła Tertella gęstym pajęczym kokonem, złotawy blask chowającego się za górami słońca, gładko ześlizgujący się po liściach drzewiastych Cicho Zielonych, powoli przebił się przez wirujące chmary ciemnych plamek, rozgonił je i na nowo umieścił w oczach kozymandisa kształty, które były dla niego uspokajająco znajome i którym ufał, choć jeszcze nigdy dotąd nie widział ich z takiej perspektywy. Mrugał zawzięcie, ale widok ani trochę nie chciał się zmienić i w końcu Tertell musiał zaakceptować fakt, że lewym bokiem przylega do miękkiej pionowej ściany, porośniętej rzadkimi kępkami trawiastych Cicho Zielonych, i coś, co na razie wymyka się wszelkim próbom zrozumienia, nie pozwala mu się osunąć. Nieco dalej stali Hessirun i Wygięte Rogi. Obaj poziomo odstawali od miękkiego urwiska, a mimo to w jakiś sposób udawało im się od niego nie odpaść. Znajdujący się za nimi drzewiaści Cicho Zieloni również sterczeli poziomo ze stromizny, ale Tertell nie mógł skupić na nich wzroku, bo złota rzecz nabita na róg Hessiruna tak wyraziście emanowała obecnością, tak bardzo przykuwała uwagę każdą swoją krawędzią, że zdawało się, że tylko ona i spowici aurą jej obecności kozymandisi istnieją tu naprawdę.

– Dlaczego nie wstaje? – zapytał Hessirun.

Rozbiegane oczy zdradzały, że bardzo się boi.

– Dochodzi do siebie. Zwrócili na niego uwagę i wpadł

w rezonans – objaśnił zagadkowo Wygięte Rogi.

– O czym ty...?

– To ciekawe, sądziłem, że najpierw wypatrzą ciebie, bo to ty masz na głowie tę rzecz, ale z jakiegoś powodu wolą spojrzeć na ciebie poprzez niego. A może poprzez to, co was łączy? Tak jakby interesowało ich nie to, co masz na rogu, ani nie wy, lecz pusta przestrzeń między wami, coś, co w niej jest, dla nas niewidoczne, nieistniejące, ale dla nich...

Hessirun wyglądał jak kozymandis, który zgubił się w gęstym lesie drzewiastych Cicho Zielonych i stracił wszelką nadzieję na to, że kiedykolwiek odnajdzie drogę do swojego stada.

– Ale że co? – wystękał.

– Wystarczająco długo krążyliśmy nad przekąźnikami i gdzieś w okolicy aktywowały się anteny monadyczne. No już, chodźcie, szkoda czasu. Trzeba je znaleźć.

– Nie ma mowy! Nie ruszę się, bo spadnę! – zaprotestował spanikowany Tertell, który czuł, że zaczyna przegrywać nierówną walkę z lękiem przed odpadnięciem od pionowej ściany. – Nie wiem, jak wy to robicie, jak utrzymujecie się na tej stromiźnie.

– Wstań, to przekonasz się, że też to potrafisz – stwierdził Wygięte Rogi.

Hessirun milczał i zerkał na nich zdezorientowany. To na jednego, to na drugiego. Wydawało mu się, że ci dwaj przerzucają się żartami, które rozumieją tylko oni.

– Wystarczy, że drgnę, i będzie po mnie!

– Najtrudniejszy jest początek, potem już samo idzie – spokojnie przekonywał niuchacz. – Nic ci nie grozi.

– Nie możesz mi tego obiecać, ja...

– Nie jęcz! Rusz się!

Tertell powoli odsunął głowę od pionowej ściany i nagle całe jego ciało podążyło za tym ruchem. Przekręcił się, nogi znalazły

podparcie, wstał i rozejrzał się zdumiony.

– Czy ja...? – zapytał.

– Tak – lakonicznie odparł Wygięte Rogi.

– Aha...

Hessirun zbliżył się do Tertella i konspiracyjnie wyszeptał:

– O co tu chodzi?

Tertell nie miał ochoty niczego tłumaczyć, bo nie znał słów, którymi mógłby opisać sposób, w jaki przed przed chwilą się przewrócił, i zdawał sobie również sprawę, że każda próba wyjaśnienia tego, co się stało, dodatkowo wszystko pokomplikuje, uznał więc, że najlepszym wyjściem będzie udawanie, że do niczego nie doszło.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął, unikając kontaktu wzrokowego z Hessirunem.

Potężny kozymandis zmrużył podejrzliwie oczy, ale nie zadał już kolejnego pytania.

Przez moment Wygięte Rogi wpatrywał się uważnie w Tertella, który nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego spojrzenie kryje w sobie niemą aprobatę. Niuchacz powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek komentarza i wrócił do przerwanego wątku, tak jakby faktycznie nie wydarzyło się nic niezwykłego.

– Anteny monadyczne powinny się znajdować nie dalej niż dwadzieścia, trzydzieści kroków od tego miejsca, ale musicie się rozdzielić, ponieważ, to bardzo ważne, szukacie dwóch zupełnie różnych anten, takich, które będą pasowały tylko do was. Rozumiecie?

– Nie jestem pewien – wymamrotał Tertell, przekonany, że mówi również w imieniu Hessiruna. – Czego właściwie mamy szukać?

– Przekazników. To znaczy tego, co według was jest Przekaznikami. Ale takimi, które do was przemówią. Oczywiście nie tak samo jak ja. Podejrzewam jednak, że zorientujecie się, o co

chodzi, gdy już to zrobią. Idźcie!

– Sam nigdzie nie pójde! – zaprotestował Hessirun. – Ktoś musi mi pomóc.

Wygięte Rogi zrozumiał aluzję, był jednak odporny na jagnięce marudzenie.

– Tak, tak, oczywiście. Widzisz te omszałe głazy?

– No widzę...

– Poszukasz między nimi. Sam! Teraz!

Wcale mu się to nie podobało, lecz mimo obiekcji nie znalazł w sobie wystarczająco dużo odwagi, by sprzeciwić się Wygiętym Rogom, dlatego niezbyt chętnie, ale posłusznie i bez dalszego gderania powlókł się tam, gdzie mu kazano.

– A ty, Tertellu, idź w drugą stronę, do drzewiastych. Szukaj na pniach i w zakamarkach korzeni. Ja będę tu czekał i miał na was oko, żebyście się za bardzo nie oddalili. No już, już. Przebierajcie kopytami.

Hessirun kilka razy obejrzał się za siebie. Czuł silną pokusę, żeby zawrócić i z rozpędu wziąć na rogi tego zarozumiałego niuchacza, ale wiedział, że jest to tylko głupi odruch urażonej dumy, która fantazjuje o odwecie, i nie zamierzał ulec jej presji.

Minął omszałe głazy i stęzał. Były tu. Wcale się przed nim nie ukrywały. Stały na widoku, blisko siebie, nieruchome, do połowy zanurzone w trawiastych. Tworzyły niewielkie stado i wyglądały tak, jakby czekały właśnie na niego. Hessirun obszedł je dookoła i przyjrzał się każdemu z osobna. Były różnej wielkości, a mimo to bardzo do siebie podobne. Na pojedynczych białych nogach, które wydawały się przyprószone jakimś rodzajem marmotylnego pyłku, opierały się nieproporcjonalnie duże głowy, półkuliste, jadowicie czerwone i pokryte sinymi ciapkami. Hessirun zbliżył się do nich ostrożnie i powąchał. Pachniały pancrzykami insekcyjnymi i sobą, tą charakterystyczną cierpkowilgotną aurą Przekąźników, lecz

w żaden sposób nie zareagowały na obecność Hessiruna, więc z ulgą zostawił je w spokoju. Zdążył zrobić najwyżej sześć kroków, gdy usłyszał krzyk Wygiętych Rogów.

– Stój! Jesteś za daleko! Cofnij się, a potem ustaw bokiem i idź tak, żebyś cały czas miał mnie po lewej, mniej więcej w tej samej odległości.

Wymrukując ciche przekleństwa, Hessirun obracał się tak długo, aż jego ciało znalazło się w pozycji, która zadowoliła Wygięte Rogi, i bez przekonania ruszył dalej.

Tertell zanurzył się w cieniu zalegającym pod gałęziami drzewiastych Cicho Zielonych i z każdą chwilą stawał się coraz chłodniejszy, coraz bardziej nieprzenikniony. To był dobry moment, żeby powiedzieć Wygiętym Rogom, że najrozsądniej będzie zrezygnować z dalszych poszukiwań, bo za chwilę zrobi się ciemno i nic nie będzie widać, a przecież można tu wrócić jutro, zaraz po wschodzie słońca. Tertell miał jednak świadomość, że bez względu na to, co mu powie, niuchacz i tak każe im węszyć do skutku, więc milczał i w skupieniu obwąchiwał pnie. Po chwili na jednym z nich dostrzegł liczne stado ciemnobrązowych Przekąźników. Szpiczaste, stożkowate głowy, oparte na cieniutkich i bardzo długich nogach, kołysały się w chłodnych podmuchach niemrawego wiatru i jakoś tak nie zachęcały do pośpiechu. Tertell zapatrzył się na nie i stracił ochotę na jakiegokolwiek poszukiwania. Chciał jedynie zamknąć oczy i położyć się na chwilę tam, gdzie stał. Kiedy o tym pomyślał, nogi same się pod nim ugięły. Mimowolnie opadły ciężkie powieki. Kozymandis poruszył nozdrzami i zaczął węszyć na ślepo. Powietrze wydało mu się jakieś inne, rozwarstwione. Leśne zapachy, zawsze gęste, wyraziste, wręcz namacalne, stały się nagle ulotne jak zwiewna mgła snująca się nad chłodnym tchnieniem rozległej wody zmieszanej z lepkiem zaduchem, który w umyśle Tertella przybrał kształt kanciastego

i mało przyjaznego skupiska wielu dziwacznych stworów. Ich przyprawiająca o mdłości obcość nie pozostawiała wątpliwości, że mógłby je napotkać jedynie w swoich snach, a mimo to w jakiś sposób zdawały mu się znajome. Zwłaszcza te trójnożne – przypominające ogromne włochate kajapie – ponieważ wygląd ich ciał jakby wpasowywał się w puste przestrzenie między nawarstwionymi osadami stwardniałej obecności tworzącymi jego kozymandisowość. Tertell parsknął rozbawiony absurdalnością swoich skojarzeń, które nie miały nic wspólnego z prawdziwym życiem, i wtedy usłyszał szelest. Bliski i wyraźny, ale ostrożnie cichutki, jakby coś, co go wywołało, starało się przejść niezauważone tuż obok niego.

Otworzył oczy.

Gdy Hessirun stracił już nadzieję, że natrafi na cokolwiek wartego uwagi, nagle poczuł za sobą dziwny, szeleszczący ruch. Nie widział tego, ponieważ patrzył w inną stronę, więc nie mogło się to pojawić w jego oczach, ale był pewien, że duża kępa trawiastych Cicho Zielonych, którą właśnie minął, zadrżała gwałtownie, jakby coś zagrzebanego głęboko pod ziemią chwyciło ją za korzenie i kilka razy mocno szarpnęło w dół. Upewniały go w tym intensywne odczucia, które, rozchodząc się po jego ciele, wyraźnie dawały mu do zrozumienia, że podziemny spazm, przypominający szarpnięcie w dół, i połączone z nim szeleszczące drżenie zostały wywołane przez coś, co poruszyło się głęboko w nim samym i tylko przekazało Cicho Zielonym swój spazmatyczny ruch – jak pletwiasty zębacz, który przemyka niewidoczny tuż nad kamienistym dnem stawu, ale silnymi uderzeniami ogona wzbudza na gładkiej powierzchni wody niepokojące bezwietrzne fale.

Zimne akwórmie oblażyły grzbiet Hessiruna. Cofnął się na sztywnych nogach i nachylił nad kępą trawiastych Cicho Zielonych. Między długimi zielonymi źdźbłami lyskało matowo coś złotawego.

Tertell nie chciał spłoszyć tego, co się tu czaiło, więc wstał ostrożnie, powoli prostując nogi. Potem zamarł w bezruchu, wpatrując się w ciemniejące powietrze. Czekał. Czekał cierpliwie. Po chwili znowu usłyszał szelest. Taki sam jak poprzedni i wciąż bliski, ale teraz dobiegający gdzieś z góry. Uniósł wzrok i z lewej strony szerokiego pnia drzewiastego, trochę powyżej swojej głowy, dostrzegł złotawy kajapowy kształt.

Brnąc przez chłodny mrok nocy, Hessirun i Tertell wrócili do Wygiętych Rogów niemal w tym samym momencie. Bez słowa położyli przed nim to, co znaleźli. Mogli się temu dokładnie przyjrzeć, ponieważ ciemność nasączyła się srebrzystym blaskiem Księżycowego Kamienia, który wtoczył się na firmament z typową dla siebie ociężałą powolnością, ale zupełnie wbrew temu, czego można by się po nim spodziewać. Doświadczenie podpowiadało bowiem, że powinien się pojawić dopiero za dwie albo trzy noce. On jednak zrobił to właśnie teraz i jego miękkie światło migotało delikatnie na gładkiej skórze znalezisk, które wbrew pozorom wcale nie musiały być Przekaznikami, bo wyglądało na to, że oba są pokryte czymś, co przypomina maleńkie złotawe łuski. Lecz poza tym nie mogły się od siebie bardziej różnić.

Ten, którego przyniósł Hessirun, miał bardzo grubą nogę, nieproporcjonalnie dużą w stosunku do maleńkiej stożkowatej główki. Ten drugi, znalezisko Tertella, posiadał dużą kulistą głowę wspierającą się na aż trzech długich i cieniutkich nóżkach.

Wygięte Rogi nie krył zadowolenia.

– Znakomicie! Aktywne, idealnie dopasowane anteny monadyczne. Świetnie się spisaliście.

– Ale co teraz? Co trzeba z nimi zrobić? – zapytał Tertell, choć zaczynał się już domyślać, w którą stronę to wszystko zmierza.

Wygięte Rogi zachichotał.

– Czy to nie oczywiste?

– Nie! – burknął Hessirun.

– Dobrze ci wychodzi udawanie kretyna, ale trochę za bardzo się starasz i zdradzają cię celne riposty.

Hessirun łypnął na niego spode łba, żeby ocenić, czy warto się z nim szarpać, lecz w oczach i postawie Wygiętych Rogów czaiło się coś, co odbierało jakąkolwiek ochotę na konfrontację, więc potężny kozymandis natychmiast wycofał się w głąb siebie.

– Nie, nie, Hessirunie, nic z tych rzeczy, wracaj i powiedz nam, co trzeba teraz zrobić. Umieram z ciekawości.

Każde słowo niuchacza było twarde jak kamień.

Hessirun głośno przełknął ślinę i powiedział.

LAMBERT

ARCYBJA
EQUIS

– Czasami słyszę coś dziwnego.

– Jak wszyscy mieszkańcy Londynu, panie Raymondzie. Myśli pan, że ja nie słyszę tych upiornych stukotów V1 albo krótkich przesywających wizgów V2, które natychmiast kończą się wybuchem?

– Tak, droga Emmo, z pewnością, ale ja słyszę coś innego.

– Niby co?

– Trudno powiedzieć.

– Myślę, że powinien pan odpocząć. Rozścieliłam łóżko i jeśli ma pan ochotę się położyć, to...

– Nie, nie. Posiedzę jeszcze. W moim wieku na sen trzeba zapolować. Nigdy nie wiadomo, kiedy raczy się zjawić. Zaczekam, aż się podkradnie.

– To wcale nie musi być uzależnione od wieku. Ja na przykład od dziecka mam trudności z zasypianiem i do tego niezwykle lekki sen. Wynajmuję teraz mieszkanie na parterze, a budzą mnie nawet korniki przegryzające się przez krokwie na strychu.

– Też je czasem słyszę.

– Ale pan mieszka na poddaszu. I jest pan niewidomy.

– No tak. Nie sposób zapomnieć.

– Proszę się nie gniewać. Nie chciałam pana urazić. Ja tylko...

– Jakżebym mógł? To nie pani wina, choć pomaga mi pani z takim poświęceniem, jakby się pani do niej poczuwała.

– Ranią mnie takie słowa, panie Raymondzie. Wie pan przecież, dlaczego to robię.

– Wiem, pani Emmo. Wiem. Też mi go brakuje.

– Tata nigdy by mi nie wybaczył, gdybym zostawiła w potrzebie jego najlepszego przyjaciela.

– Niewątpliwie cenił lojalność ponad wszystko, ale mimo to odnoszę wrażenie, że pani chęć pomocy nie wynika tylko z poczucia obowiązku. Wydaje mi się, że ma pani w sobie dobro, które sprawia, że odczuwa pani silną potrzebę opiekowania się innymi ludźmi, albo też całkowicie myślę się co do pani i tak naprawdę poświęcanie się dla bliźnich pomaga pani zapomnieć o własnym bólu. Rozumie pani, do czego zmierzam? Jest w tym odrobina sensu?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się. Jestem prosta dziewczyna i nie potrzebuję odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Przepraszam, pani Emmo. Pozwoliłem sobie na zbyt wiele. W mojej ciemności słowa są jak sprężynowe mechanizmy obdarzone własną wolą i często bywa tak, że zanim zorientuję się, co się dzieje, one zdążą już odciągnąć mnie od tego, co rzeczywiście ważne. A przecież fakty wyglądają tak, że bez względu na to, czego nie widać, jestem niewymownie wdzięczny za to, że mi pani pomaga. Sam nie dałbym rady zająć się mieszkaniem, sprawunkami, gotowaniem. No i, prawdę mówiąc, brzdąkanie na pianinie w restauracji Dona jest tak nudnym i ogłupiającym zajęciem, że tylko rozmowy z panią podtrzymują mnie jeszcze na duchu. Klienci wciąż proszą o te same kawalki. Do wyrzygania. A w tle brzęczą bez przerwy jałowe dyskusje o wojnie, nalotach i kartkach żywnościowych. Żadnej odmiany. Intelktualny marazm w czystej postaci.

– Trudno się dziwić. Jest pan niesprawiedliwy. Powinien się pan cieszyć, że Don daje panu zarobić.

– Robi to tylko przez wzgląd na starą znajomość. No i dlatego że nikt inny nie chciał tej roboty.

– Ale pomyślał o panu. To dużo w dzisiejszych czasach.

– Może ma pani rację...

– Co się stało? Pobladł pan.

– Znowu... Znowu to słyszę.

– Bomby? Nie było syren!

– Nie. To pełźnie po niebie.

– Pełźnie?

– Tak jakby. Coś się wyłania. Słyszę, jak porusza się wysoko nad ziemią. Nie wiem, co to jest. Wydaje dźwięk, który jest znacznie cichszy niż odgłosy samolotów i nazistowskich pocisków. Nie przypomina też charakterystycznego łopotu balonów zaporowych. Przez jakiś czas snuje się nad Londynem, a potem znika. I nic się nie dzieje. Nie ma żadnego wybuchu ani jęczącego zawodzenia straży pożarnej. Nic. Dziura wypełniona ciszą. Wyraźnie słychać, nad którą dzielnicą to ustaje. Chwila. Teraz! Tym razem nad Camden. Coraz bliżej...

– Panie Raymondzie, proszę się położyć. Jest pan przemęczony. Za długo pan dzisiaj grał. Oj, porozmawiam ja sobie z Donem. Co on sobie myśli? Nie można tak forsować człowieka w pańskim wieku!

– Co tylko pani chce, ale proszę na siebie uważać. Przecież mieszka pani w Camden.

– Bez obaw, William mnie odwiezie.

– Przed tym pani nie obroni.

– Akurat! Zmyślił pan to wszystko, żeby mnie przestraszyć, prawda?!

– Przejrzała mnie pani. Jak widać, jest pani zbyt bystra, żeby się nabrać na głupie żarty.

– Niezupełnie. Prawie uwierzyłam. Powinien się pan wstydzić. Sześćdziesiąt lat na karku, a zachowuje się pan jak rozwydrzony nastolatek.

– Proszę mi wybaczyć słabostkę. Przecież to tylko taka zabawa, pani Emmo. Nic zdrożnego.

– Wiem. Niech się pan nie przejmuje. Nie umiem się na pana

gniewać. Muszę już iść. Nocnik ma pan pod łóżkiem, tam gdzie zwykle. Wodę na szafce po lewej. Zamknę swoim kluczem i proszę nikomu nie otwierać. Wrócę jutro, około jedenastej. Dobranoc, panie Raymondzie.

– Dobranoc. I dziękuję!

Klucz zachrobotał w zamku. Raymond Adams poczłapał do łóżka. Nakrył się pierzyną i wsłuchał w noc. Wciąż to słyszał. W dźwiękowej panoramie Londynu ziała dziura wypełniona ciszą.

Długo nie mógł zasnąć.

* * *

– Wystarczyła jedna rozmowa, panie Raymondzie. Jedna! No i proszę!

– Emmo, wystawia pani moją łatwowierność na ciężką próbę.

– Zadowolę się zwykłym „dziękuję”.

– Chce mi pani wmówić, że Don zgodził się na to bezinteresownie, z dobroci serca?

– Nic panu nie umknie.

– Bez przesady. Nie da się nie zauważyć, że ten człowiek jest grzeczny i wyrozumiały tylko dla tych, z którymi się liczy, albo dla ich rodzin.

– Ma pan rację. William robi z nim interesy.

– Rozumiem...

– Papierosy, wieprzowina w puszkach, whisky. Wie pan, jak to jest, panie Raymondzie. William ma jakiś układ z ludźmi, którzy pracują w magazynach marynarki wojennej.

– Czarny rynek.

– Jakoś trzeba sobie radzić.

– Nie oceniam pani brata, Emmo. Stwierdzam tylko fakt. Już dawno się domyśliłem. Te paczki z żywnością, które mi pani

przynosi, i kartony z papierosami... Nie daję pani aż tyle pieniędzy, a i u pani się nie przelewa. Ale nie komentowałem tego, bo to nie moja sprawa.

– Doceniam, panie Raymondzie. Doceniam.

– To pani robi coś dla mnie, a nie ja dla pani. Nie zapominam o tym. Zaciągnąłem u pani dług, którego nigdy nie spłacę. No i, szczerze mówiąc, cieszę się, że mam co jeść i mogę palić, nie martwiąc się, że jutro skończą mi się papierosy.

– Nic mi pan nie jest winien. Robię to, bo chcę. Już o tym mówiliśmy. Ale chciałabym też o coś zapytać, panie Raymondzie.

– Po co ten oficjalny wstęp? Śmiało, pani Emmo.

– Co to za dźwięk, ten, o którym pan wczoraj mówił?

– Jeszcze raz przepraszam za ten głupi żart. Nie miałem pojęcia, że tak to panią poruszy.

– Nie, to ja przepraszam. Zareagowałam histerycznie i nie mógł pan powiedzieć nic innego. Ale później, gdy już wróciłam do domu, okazało się, że Angela, moja przyjaciółka i współlokatorka, wciąż nie śpi. A musi pan wiedzieć, że jest strasznym śpiochem i często się zdarza, że już o dwudziestej chrapie w najlepsze. Tym razem jednak było inaczej.

Siedziała w kuchni na podwiniętych nogach i bezmyślnie wpatrywała się w ścianę. Zaniepokoiło mnie to. Kiedy zauważyła moją obecność, wskazała palcem na sufit i zapytała: „Słyszysz?”. Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam: „Niby co?”. A ona spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami i szepnęła: „No właśnie”. Poczułam ciarki na plecach. Nagle dotarło do mnie, że otacza nas głucha, niesamowita cisza. Usiadłam obok Angeli i przytuliłam się do niej. Była roztrzęsiona. Przysunęła usta do mojego ucha i cichutko, jakby się bała, że ktoś oprócz mnie może ją usłyszeć, powiedziała płacząco: „Nie wiem, co robić, chyba oszalałam”.

Panie Raymondzie, Angela to bardzo prostolinijna dziewczyna. Może nie jest zbyt mądra, ale potrafi się bronić przed swoimi lękami i nie tak łatwo ulega nastrojom. Zawsze pomaga mi stanąć na nogi, gdy dręczą mnie czarne myśli o Henrym, moim narzeczonym, który wciąż walczy w Europie z nazistami, i gdy doskwiera mi tęsknota za mamą i tatą, których, jak pan wie, we własnym domu zabiła jedna z tych latających bomb. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałam Angeli w takim stanie. Pomyślałam, że ktoś ją skrzywdził. Serce mi się ścisnęło.

Zapytałam: „Co się stało?”. W odpowiedzi Angela pokręciła głową, ale nie zdołała dłużej zatrzymać tego w sobie i po chwili wyznała mi, że spotkało ją coś niemożliwego. Próbowałam ją uspokoić, mówiąc, że to pewnie nic takiego, i poprosiłam, żeby mi o tym opowiedziała. Nie była zbyt chętna, bo uważała, że jeśli to zrobi, odeślę ją do czubków. Siłąc się na uśmiech, zapewniłam ją, że to absurd, bo jest najnormalniejszą osobą, jaką znam, i miałam nadzieję, że to pomoże jej się pozbierać, lecz ona jęknęła, że już nie jest normalna, i zaczęła płakać. Dobrze jej to zrobiło, bo jak się wyplakała, to wreszcie zaczęła mówić.

– Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

– Nie jestem pewna.

– Jak to?

– Do naszego mieszkania można się dostać tylko od strony dziedzińca. Ale wcześniej trzeba jeszcze przejść przez długą i ciemną bramę. Staramy się to robić jak najszybciej, bo jest to nieprzyjemne, cuchnące fekaliami miejsce, w którym każda plama ciemności wydaje się przyczajonym gwałcicielem. Angela twierdzi, że wczoraj wieczorem, gdy wracała do domu i jak zwykle w pośpiechu przebiegła przez bramę, nagle, już na dziedzińcu, usłyszała, że jakiś obcy głos wypowiada jedno niezrozumiałe słowo. Zatrzymała się, odwróciła, i odruchowo zapytała: „Słucham?”.

A ciemność odpowiedziała: „Lamreh?”.

Ten głos dobiegał gdzieś z bliska, ale nikogo nie było widać. Choć Angela zapewniała mnie, że była przerażona, w żaden sposób nie umiała mi wyjaśnić, dlaczego, zamiast uciec i zamknąć się w mieszkaniu, powoli, krok po kroku, weszła w głąb bramy i uważnie rozglądając się na boki, wróciła aż na ulicę. Tam jakby trochę oprzytomniała i postanowiła dać sobie z tym spokój, lecz wtedy zauważyła dużego brązowego kota. Siedział tuż pod ścianą i nie spuszczał z niej wzroku. Chichocząc nerwowo, zapytała go, czy kogoś tu widział, a ten kot, tak po prostu, odpowiedział: „Lamreh?”. Angela stężała. Po chwili kot znowu się odezwał i moja przyjaciółka zwiłała z krzykiem.

– Wierzy jej pani?

– Nie sądzę, że potrafiłaby wymyślić coś takiego. Poza tym była naprawdę poruszona. I jeszcze ta cisza... Coś się dzieje. A pan to słyszy. Proszę mi o tym opowiedzieć. Często pojawia się tamten dźwięk?

– Rzadko. Do tej pory słyszałem go zaledwie kilka razy.

– Potrafi go pan opisać?

– Zastanawiałem się nad tym, pani Emmo. Jest bardzo charakterystyczny, ale trudno go do czegoś przyrównać. Tylko raz w życiu spotkałem się z czymś podobnym. W dzieciństwie. Lecz związane z tym wspomnienie równie dobrze może być wymyślone. Nie mam żadnej pewności, że jest prawdziwe.

– Myślałam, że tylko ja mam takie.

– Każdy ma. Przeszłość to przecież domena wyobraźni. Gdy miałem dziewięć lat, pojechałem z rodzicami w odwiedziny do bogatego stryja. Jego posiadłość znajdowała się niecałe pięćdziesiąt mil od Londynu i była bardzo duża. Pamiętam strzelisty pałac otoczony lasem, który był częścią ogrodu w stylu romantycznym. Wie pani, Emmo, takiego ze sztucznymi ruinami i grobowcami

porośniętymi grubą warstwą mchu. Wymarzone miejsce dla młodego chłopaka. Była wczesna zima. Ojciec cenił niezależność i pozwalał mi na samotne spacer, więc korzystałem z okazji i zafascynowany badałem okolicę. Czułem się jak prawdziwy odkrywca, zagubiony w interiorze tajemniczej krainy. Pośród wielu atrakcji znajdowało się tam również małe, ale niezwykle malownicze jezioro z kamiennym pomostem. Lubiałem na nim przesiadywać i obserwować zapadający zmierzch, gdy mroczniejące lustro wody pochłaniało światło i zaczynało parować mgłą. W przeddzień naszego wyjazdu stało się tam coś osobliwego. Gęstniejąca mgła niespodziewanie przybrała kształt dużej białej piramidy, która wolno obracała się tuż nad gładką taflą jeziora. Chwilę później rozwiła się w powietrzu i spadł pierwszy śnieg. Było tak cicho, że słyszałem kruchy szelest, z jakim płatki śniegu rozpuszczają się w wodzie. To, co czasem słyszę nad Londynem, odległe go przypomina.

– Pięknie pan opowiada. Nie to, co ja. Naprawdę widział pan coś takiego? Piramidę z mgły?

– Chyba tak. Dawno temu. W innym życiu.

– No cóż, naiwnie miałam nadzieję, że coś mi pan wyjaśni, lecz teraz...

– Zapewniam, że wiem tyle samo, co pani. Jestem jednak przekonany, że szuka pani związku tam, gdzie go nie ma. To pewnie przez te latające bomby. Wszystkim puszczaają nerwy. Proszę się tym tak nie przejmować. Za kilka dni pani przyjaciółka nie będzie już taka pewna tego, co widziała i słyszała. Ja również.

– Chyba ma pan rację. Przez moment miałam wrażenie, że dotykam tajemnicy, że dzieje się coś niesamowitego. Głupia jestem, prawda?

– Jeśli tak, pani Emmo, to nie pani jedna. Poczucie niesamowitości musi towarzyszyć każdemu, kto zdaje sobie

sprawę, w jak absurdalnych i brutalnie niepojętych czasach przyszło mu żyć. To odruch obronny, a nie powód do wstydu.

– I tak czuję się głupio.

– Przeze mnie. Myślę, że spędza pani za dużo czasu w moim towarzystwie. Tacy starzy dziwacy jak ja mają niedobry wpływ na młodych, bo prowokują nieprzyjemne myśli i zarażają niepokojem. Dlatego zwalniam panią z dzisiejszych obowiązków. Proszę się zabawić. Powinna pani pójść na występ jakiegoś zdolnego magika. Na przykład Wielkiego Vessero. Tyle się teraz o nim mówi. Podobno jest niesamowity. To panią odpręży. A jutro będziemy się z tego wszystkiego śmiać. Zrobi to pani dla mnie?

– A zakupy?

– Niczego mi nie brakuje, pani Emmo. A nawet jeśli, to przeżyję bez tego do jutra.

– Oczywiście, ale...

– Mam panią błagać?

– Nic z tych rzeczy. Przepraszam. Mogłabym jeszcze...

– Nie, nie. Do widzenia.

* * *

Raymond Adams usiadł przy oknie. Czuł na twarzy szklisty chłód szyby, który nasilał się wraz z zapadającym zmierzchem. Czekał. Dwie godziny temu znowu usłyszał ten niesamowity dźwięk pełnący po niebie, ale tym razem miał wrażenie, że ucichł tuż nad jego głową, gdy Emma prowadziła go z restauracji do mieszkania. Nie powiedział jej o tym.

Otulała go głęboka cisza. Nagle poczuł na policzku tchnienie wilgotnego powietrza. Odprężył się. Był gotów i nie lgnął do strachu. Przywołał obraz mglistej piramidy. Czy naprawdę ją widział? Szczerze wierzył, że tak, bo cała reszta była mrokiem, który

wypełniał mu oczy od czasu, gdy potrącił go autobus.

– Lamreh? – zapytał bezosobowy głos.

– Tak – odparł Raymond. Przecież mieszkał w Lambeth, więc to musiało być tu.

I było.

Zamrugął z niedowierzaniem. Po prawie piętnastu latach błądzenia w ciemnościach znowu widział. Za oknem na parapecie siedział strzep mgły w kształcie kota. Powoli rozwiewał się w powietrzu. Zabierał ze sobą ciszę. I stawał się wspomnieniem. Takim, w które można jedynie wierzyć.

A R C Y B U A

EFMD
EQUIS
ACCREDITED

Razat nie mieli pojęcia, co to znaczy „ryby”, „ławica” ani tym bardziej „ławica ryb”, ale gdy włóczyli się wzdłuż zrujnowanych obrzeży konającej Arcybji i z bliska przyglądali się pożerającemu ją Zaraukardowi, to właśnie te słowa zawsze pojawiały się w ich głowie. Z czasem doszli do wniosku, że powinni zaakceptować fakt, że nigdy nie zdołają uchwycić znaczeń, które się za nimi kryją i łączą to, co Razat tam widzą, z tym, co materializuje się w ich umyśle, jednak ani trochę nie osłabiło to wyraźnego poczucia, że poprzez te ukryte połączenia dociera do nich coś niezwykłego, cennego, coś spoza zmurszałego świata Arcybji, coś, co z jakiegoś nieokreślonego powodu pragną zachować wyłącznie dla siebie, ukryć głęboko pod skorupą. Dlatego, wbrew wszelkim obowiązującym zasadom, trzymali to w tajemnicy nawet przed najbliższymi enqu-enqu ze swojego roju i pielęgowali w sobie niczym nieuzasadnioną wiarę, że w jakiś sposób pomoże im to pomyślnie przejść Próbę Tabotta i stać się pełnoprawnymi członkami Zakonu, który od eonów powstrzymuje Zaraukarda i nie pozwala mu całkowicie pochłonąć Arcybji.

Gdyby Razat zdołali awansować na akolitę, byłoby to dla nich i dla ich roju wspaniałe zwieńczenie niezliczonych wysiłków, ukierunkowanych na takie zmodyfikowanie struktury umysłu, by stał się on narzędziem woli Kolektywu i mógł wziąć udział w ochronie zbiorowości Arcybji. W mniemaniu Razata i jego pobratymców jest to bowiem najbardziej sensowny i godny największego uznania sposób na spożytkowanie życia w tym rozpadającym się mieście, w którym wciąż jeszcze żarzą się resztki blasku dawnej świetności, utraconej wraz ze sztuką budowania gniazd i tajnikami konstruowania skomplikowanych maszyn, które

niegdyś sprawiały, że Arcybja była jednym, ogromnym, pięknym i kunsztownym mechanizmem, karmiącym swoich mieszkańców, zabawiającym ich, zapewniającym im wygodną przestrzeń do życia i pozwalającym wszystkim, którzy tu żyli, współuczestniczyć w nieustannej krzątaninie miejskiego organizmu. Razat nie mogli wyjść z podziwu, że nawet teraz, po tak wielu latach stopniowego rozpadu, ta martwa, nieruchoma i ciemna panorama pochyłych stożków – pokrytych brudnymi zaciekami, unurzanych w mroku i stojących tak blisko siebie, że przypominały skórę parfirnaka porośniętą grubymi łuskami – wciąż imponuje rozmachem i finezją, z jaką przerdzewiały metal masywnych urządzeń łączy się ze spękaniem żelbetem, porysowanymi płytami mętnego szkła, fragmentami kamiennych posągów i chylącymi się ku upadku pylonami. Patrząc na to wszystko, nietrudno się domyślić, jak mogło to wyglądać kiedyś.

Razat często wyobrażali sobie, że stoją pod kryształową kopułą Centrum, na mosiężnej Krzywej Gwieździe, precyzyjnie osadzonej w białym marmurze posadzki i wyznaczającej geometryczną oś miasta, środek świata Arcybji. Było to miejsce, w którym dawniej zbiegały się wszystkie trasy kolejki jednotorowej i zapewne wystarczyło tam tylko przyjść i zatrzymać się na moment, by w mgnieniu oka otoczył was nieustanny miejski zgiełk: setki, tysiące połyskujących pancerzy mieszkańców Arcybji, enqu-enqu i enqu-inza, zmierzających we wszystkich możliwych kierunkach; mknące z onieśmielającą prędkością wagoniki kolejki jednotorowej, lśniące polerowaną miedzią i ciemnymi lakierowanymi łuskami; falujący ogrom dzielnic, bez przerwy zmieniających położenie zabudowy, która – ze świstem sprężonego powietrza, z basowymi pomrukami dobiegającymi z maszynowych trzewi miasta i z przeszywającym jękiem giętego metalu – zapada się, przesuwa lub wypiętrza, by dostosować się do ruchów kolosalnych enqu-

cromrachów pełzających w podmiejskich czeluściach; kołyszące się na boki kanciaste sylwetki mechanicznych tragarzy marszumu, będących właściwie kroczącymi zbiornikami tej życiodajnej substancji, i wreszcie powolny dryf gniazd, które, wyjęte z okrągłych uchwytów, okazują się podłużne i walcowate, migoczą jaskrawymi kolorami, i w mocnym uchwycie potężnych wysięgników, nieśpiesznie, niczym latające pojazdy lżejsze od powietrza, obracają się na tle nieba, na którym...

Nie, tego nie potrafili sobie wyobrazić. Wielokrotnie odwiedzali miejsce, w którym kiedyś znajdowało się Centrum, i dobrze wiedzieli, jak wygląda to zrujnowane smętne zapadlisko wypełnione czarną wodą, z której sterczały połamane tory i pokryte tłustym szlamem kawałki marmurowych płyt, dlatego ich wyobraźnia miała jakieś podparcie, coś, na czym mogła budować swoje imaginacje. Ale niebo, niebieskie i niedorzecznie wysokie, oraz to, co po nim wędrowało, jakieś potężne, oślepiające źródło światła, to coś, czego Razat nigdy nie widzieli i nie umieli powołać do życia samą mocą swej wyobraźni. Znali to jedynie z przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieści, które tak naprawdę nigdy do nich nie przemawiały. Ich wątpliwości i brak przekonania były jednak bez znaczenia, ponieważ odkąd pojawił się Zaraukard, dawna Arcybję istniała już tylko w świecie wyobrażeń i niewiarygodnych historyjek, których w żaden sposób nie można było zweryfikować.

Mimo że Najstarsi nadali temu imię, nikt tak naprawdę nie wie, co to właściwie jest, skąd się tu wzięło i dlaczego pochłonęło niemal całą Arcybję. Ten niepojęty, wrogi byt, który emanuje obcym życiem i powolnym obcym ruchem, niemającymi nic wspólnego z miastem, które pożera, wygląda jak przytłaczający swym ogromem kolisty mur zbudowany z precyzyjnie dopasowanych mechanizmów, których zwiewna, nieostra i na wpół materialna półprzezroczystość

przywodzi na myśl gęstą szarą mgłę. Ślimacze pulsowanie tej mglistej mechaniki nieustannie przeżuwa rzeczywistość Arcybji. Wszędzie tam, gdzie Zaraukard przylega do miasta, zabudowa rozpuszcza się w szarości, traci litą spójność i staje się czymś innym, czymś pożartym, czymś przetrawionym i wchłoniętym. Mglistomechaniczne zjawisko zamknęło w niemal idealnym okręgu pięć ostatnich dzielnic Arcybji i wznosi się tak wysoko, że wszyscy enqu, jacy tu jeszcze egzystują, czują się trochę tak, jakby żyli na dnie gigantycznej studni, której mgliste ściany zbiegają się w miejscu, gdzie ich gęsta, mechaniczna półprzezroczystość staje się maleńkim okrągłym otworem wypełnionym znacznie bledszą, ale wciąż nieprzeniknioną szarością.

Jednak to, co robi największe wrażenie, najbardziej fascynuje i budzi przy tym łaskoczący w kościach niepokój, kryje się wewnątrz tego muru, w głębi jego mglistej półprzezroczystości. Falują tam hipnotycznie nieforemne bryły ciężkiego, złotomiedzianego blasku. Majestatycznie przepływają z miejsca na miejsce, dzielą się na mniejsze, łączą z powrotem, wznoszą i opadają. Zalewają Arcybję zrudziałym, zardzewiałym światłem, które sprawia, że wszystko w tym mieście wydaje się niemal całkowicie zniszczone, zawieszona na krawędzi ostatecznego rozpadu.

To właśnie widok tych przelewających się brył powoduje, że Razat słyszą „ryby”, słyszą „ławica”, słyszą „ławica ryb”. Ale dzieje się to tylko wtedy, gdy podchodzą do zionącego szczypiącym chłodem mglistomechanicznego cielska Zaraukarda tak blisko, że skorupa Razata i ukryte pod nią marszumowe utensylia zaczynają obrastać delikatnym tykotaniem szarych smużek, czujnie badających obecność enqu-enqu i usiłujących znaleźć jakiś sposób, by ich zachęcić lub zmusić, żeby zrobili krok albo dwa i dali się przeciągnąć na stronę mglistych mechanizmów. Dlatego tu, na

pograniczu światów, trzeba bardzo uważać. Nie można zwracać uwagi na błyszczące kształty, leżące kilka kroków przed wami i kuszące możliwością odnalezienia wyjątkowo rzadkiego artefaktu, będącego pozostałością po czasach świetności Arcybjji. Nie wolno reagować na pojawianie się niewyraźnych sylwetek, do złudzenia przypominających enqu, które majaczą w mglistej głębi Zaraukarda i gestami zachęcają, żebyście się do nich zbliżyli. Nie warto zaglądać do owalnych portali, które udają, że są przejściami do tętniącej życiem Arcybjji, takiej, jaką była wiele lat temu lub też wciąż jest, tuż za mglistym murem, który otwiera się na moment i pozwala wam do niej wejść. Dziwne, rozmazane i jakby niedokończone niebo nad tamtą Arcybjją, a także niedorzeczna zgodność jej wyglądu z waszymi wyobrażeniami, natychmiast demaskują iluzję. Trzeba się też nauczyć, że wybuchy niekontrolowanych lęków i erupcje paniki, które atakują was wizjami czegoś przerażającego, niebezpiecznego, dziejącego się tuż za waszymi plecami, to tylko bezpodstawne próby pobudzenia do działania tej instynktownej części waszego umysłu, która uruchamia się tylko w sytuacjach zagrożenia życia i na moment odsuwa od procesu decyzyjnego codzienną świadomość, wraz z jej powolnymi metodami rozważania wszystkich za i przeciw. Dlatego nie słyszeliście zgrzytu pazurów na betonie. Żaden cremor nie wyskoczył z ukrycia i nie leci w waszą stronę. Stado dzikich parfirnaków nie pędzi, by was stratować. Zardzewiała kratownica nie łamie się i nie spada wam na głowę. To się nie dzieje. Na nic nie reagujcie. Lęk i panika mają to do siebie, że są bardzo ulotne, jeśli nie pozwolicie im się zakorzenić. Wyczućcie, jak blisko możecie podejść do Zaraukarda i stańcie, i stójcie, i patrzcie. On będzie was straszył, zachęcał, kusił, mamił, ale tak naprawdę nic się nie dzieje i nic się nie stanie, o ile nie podejdziecie zbyt blisko.

Razat trzymali się tych zasad z żelazną konsekwencją i mimo że

zbliżanie się do Zaraukarda zawsze było ryzykowne i zawsze wiązało się z ogromnymi emocjami, to jeszcze nigdy nie przytrafiło im się nic złego. Tym razem również dobrze się pilnowali, aby rutyna nie sprawiła, że staną się mniej ostrożni, i ponownie obeszło się bez większych problemów. Zignorowali niesamowicie sugestywne wrażenie, że zapada się pod nimi żelbetowa platforma, i przygotowali się na kolejne ataki Zaraukarda, ale nic więcej się nie wydarzyło. Spojrzeli w górę, wzdłuż pulsującej ściany mglistych mechanizmów nieśpiesznie mielących rzeczywistość, a potem rozejrzeli się na boki i stwierdzili, że wybrali złe miejsce, bo większość brył złotomiedzianego blasku przelewała się daleko od nich. Już mieli się wycofać, gdy tuż przed nimi zaczął się wynurzać imponujący masyw zrudziałego światła. Falując, powoli nabierał świetlistej masy. Razat postanowili zostać.

Patrzyli.

Z doświadczenia wiedzieli, że to, na co czekają, nie pojawi się od razu, że musi minąć trochę czasu, aż oczy i umysł oswoją się z tym widokiem, dostosują do niego, znajdą sposób, by w niego wniknąć. Na początku wydaje się, że obserwujecie jednolitą masę płynnego blasku, ale chwila po chwili coraz wyraźniej widać, że tak nie jest, bo okazuje się, że w rzeczywistości składa się ona z wielu malutkich opływowych obiektów, poruszających się zgodnym ruchem jak luźna organiczna struktura, obdarzona wspólną wolą i promieniująca ciężkim zardzewiałym światłem, falującym miękko, nieśpiesznie, hipnotycznie.

Patrzyli i znowu słyszeli w głowie „ryby”, słyszeli „ławica”, słyszeli „ławica ryb”.

Chcieli, żeby ten upajający moment trwał jak najdłużej i dał im jak najwięcej tego nieokreślonego czegoś, czego Razat nie umieli jeszcze nazwać i co w ich odczuciu było głęboko satysfakcjonującym ciężarem osobności, bez którego nie wyobrażali sobie dalszego

życia i którego istnienie mogli podtrzymywać tylko w ten sposób. Chociaż wiedzieli, że właściwie nie powinni tego robić, ponieważ w roju nie było miejsca na tak jednostkowe i niepowtarzalne doznania. Tam wszyscy muszą się dzielić swoimi doświadczeniami i siłą rzeczy są one uśredniane, skupione na roju, jego celach i potrzebach, a cała reszta w naturalny sposób zostaje przemilczana albo odrzucona jako niepotrzebna czy wręcz szkodliwa dla Kolektywu. Każdy, kto spróbowałiby otwarcie przeciwstawić się tym regułom, zostaliby bezzwłocznie wydaleny z gniazda, co byłoby równoznaczne z utratą dostępu do marszumu i w konsekwencji powolną, bolesną śmiercią. Status Razata dawał im sporo swobody, pozwalał na samodzielne włóczęgi po mieście, wizyty w obcych rojach, czy też nieco bardziej nieprzewidywalne zachowanie, ponieważ to wszystko miało im pomagać w przygotowaniach do wejścia w szeregi Zakonu, ale gdyby ktoś odkryli, że swoimi przywilejami Razat karmią również coś, co zachowują tylko dla siebie, to nie byłoby dla nich litości i szybko staliby się karmą dla nielicznych już enqu-cromrachów.

Nie mieli pojęcia, czy ktoś oprócz nich hodują w sobie taką samą, niezależną, schowaną przed innymi przestrzeń doświadczenia i podobnie jak oni próbują tak jakby wynaleźć sposób na odczuwanie świata bez pośrednictwa emocji pozostałych enqu. Po długich rozważaniach uznali jednak, że właściwie nie ma to żadnego znaczenia, gdyż nawet jeśli tamci również się z tym ukrywają, to i tak nigdy tego nie ujawnią, więc w sumie to, co robili, było istotne tylko dla nich, a dla pozostałych enqu równie dobrze mogło nie istnieć i w pewnym sensie z ich perspektywy tak właśnie było. Dlatego nie wywierało to negatywnego wpływu na ich obowiązki wobec własnego roju i pozostałych enqu.

Razat czuli się nieodłączną częścią zbiorowości, byli swoim rojem, a ich rój był nimi, wierzyli w cele, które im wyznaczano, bo

były to ich cele, z poświęceniem i entuzjazmem wykonywali powierzone zadania, bo były to ich zadania, ale głęboko pod skorupą, tam gdzie rosła kawerna osobności, którą karmiły „ryby”, „ławica”, „ławica ryb”, Kolektyw tracił swoje wpływy...

Ogromna bryła złotawego blasku przechyliła się w lewo i zaczęła pękać, dzielić się na kawałki. Razat powiedział wzrokiem wzdłuż najbliższego pęknięcia i zauważyli, że wśród małych opływowych obiektów, poruszających się zgodnym ruchem i tworzących złudzenie jednolitej bryły, rozeszła się fala migotliwego drżenia. Trudno się było oprzeć wrażeniu, że coś je zaniepokoiło. Pęknięcia błyskawicznie się zasklepiły, a potem, dosłownie w jednej chwili, bryła złotawego blasku rozpadła się i zniknęła. Maleńkie obiekty, które ją tworzyły, rozpierzchły się w popłochu we wszystkie strony.

Razat cofnęli się smagnięci przerażeniem. Nigdy nie spotkali się z podobnym zjawiskiem. Chcieli uciec i schować się w rodzinnym gnieździe, ale coś nie pozwalało im spuścić wzroku ze ściany mglistych mechanizmów, wewnątrz której jeszcze przed chwilą pływała masywna bryła złotawego blasku. Czuli, że zaraz zobaczą to, co ją rozproszyło. Czuli, że jest tam coś, co się do nich zbliża, coś, co zbliża się do Arcybji.

Wtem potężny kulisty zarys, ciemny i pobrużdżony kształt spowity olśniewająco piękną złotą aurą, musnął powierzchnię Zaraukarda. Pojawił się i niemal w tym samym momencie z powrotem zanurzył w głębi mglistych mechanizmów. Ale coś tu zostawił. Razat przewrócili się na bok i zwinęli w kłębek. Zamknęli oczy. W ich osobistej, niezależnej przestrzeni rozbłysła złota, migocząca iskra. Wypełniła ich blaskiem, jakiego dotąd nie widzieli. Zachłannie wpatrywali się w niego z zamkniętymi oczami. Im dłużej to robili, tym większej nabierali pewności, że to, co przed chwilą zobaczyli, to, co na moment wychynęło z mglistomechanicznych otchłani Zaraukarda, jest pierwotnym

źródłem blasku, który wszystkie te przelewające się bryły najwyraźniej tylko odbijają – fałszując, umniejszając i sprowadzając go do żalosnej, zardzewiałej namiastki, którą od dawien dawna wypromieniowują do Arcybji.

Wstali, dziwnie lekcy, jakby rozrzedzeni w środku, i ruszyli w stronę rodzinnego gniazda. Mozolnie brnęli przez gruzowiska zalegające na platformach otaczających okrągłe uchwyty, w których tkwiły puste, zrujnowane gniazda. Wspinali się na strome pomosty zawieszane nad ciemnymi przepaściami i falującymi na ich pionowych zboczach długimi łodygami fosforyzującego mchu. Przechodzili przez zardzewiałe rury i puste zbiorniki wibrujące kruchym, metalicznym echem. Skracając sobie drogę, przeczołgiwali się pod wielkimi kołami zębatymi, całkowicie obrośniętymi grubą warstwą gęstych porostów, jarzących się słabym bladozielonym światłem, które wylawiało z ciemności błyszczące oczy parfirnaków, pasących się leniwie w wybebeszonych trzewiach miasta. I przez cały czas nieśli w sobie to nowe światło, które nie zamierzało zgasnąć. Razat zatrzymali się przy tafli matowego szkła i przyjrzeni się swojej krzywej kanciastej sylwetce, niewyraźnie majaczącej w głębi porysowanej powierzchni. Byli niemal pewni, że zobaczą migoczący pod skorupą blask, który wydobywa się z głębi ich ciała, i odetchnęli z ulgą, gdy okazało się, że nic takiego nie widać. Mogli zatem spokojnie udawać, że do niczego nie doszło i wszystko jest w jak najlepszym porządku. Mieli w tym sporą wprawę, więc ta perspektywa wcale ich nie martwiła.

Nie dotarli jednak do swojego gniazda, bo gdy było już w zasięgu wzroku, wpadli na posłańca Zakonu, enqu-enqu z namalowanym na skorupie konturem białego trójkąta – symbolem Białej Piramidy. Posłaniec czekali na nich przed głównym wejściem do opustoszałego o tej porze Bazarrusa, podłużnego kompleksu

składającego się z wielu połączonych ze sobą komór, tworzących istny labirynt niewielkich pomieszczeń, zapewniających dyskrecję wszystkim enqu, którzy chcą się wymienić swoimi marszumowymi utensyliami, aby pozbyć się tych, których nie potrzebują, a zdobyć takie, których pragną. Niegdyś Bazarrus swobodnie wędrował po całej Arcybji i pełnił bardzo ważną funkcję: spajał życie Kolektywu. Obecnie nadal ją pełni, ale leży w bezruchu, częściowo zmiądzony, wbity między dwa puste gniazda, a jego połamane odnóża, z których ostatnia kropla płynu hydraulicznego wyciekła na długo, zanim Razat wykluli się ze swojego jaja, są tak zniekształcone korozją, że przypominają wielkie szponiaste paluchy wczepione w kolczaste pnącza, które porastają zwietrzałą krawędź żelbetowej platformy.

– Mówią, że zawsze tędy wracacie – powiedzieli posłaniec, zastępując im drogę.

Podejrzliwość i lęk zamigotały pod czaszką Razata jak insekciści, którzy, gdy wyczuwają zagrożenie, zaczynają wirować w panicznym pośpiechu, wydzielając przy tym nieprzyjemne metaliczne światło.

– Obserwujecie nas? Sprawdzacie, czy robimy postępy? Czy dobrze wykorzystujemy czas?

– Nie ma takiej potrzeby. Wiemy, co macie pod skorupą, i wiemy, że robicie to, co należy. Wszystko inne byłoby przecież niezgodne z kierunkiem naszych działań, czyli kolidowałyby z waszą naturą, prawda?

– Prawda – przytaknęli Razat nieco spokojniejsi. – Nie ustajemy w wysiłkach i wkrótce będziemy gotowi do...

– Nie wy decydujecie kiedy.

– Oczywiście, nie chcieliśmy tego sugerować. Wiemy, że Opat...

– Tak. Opat.

Dopiero wtedy Razat zorientowali się, o co chodzi.

– Wzywają mnie?! Teraz?!

– Najstarsi czekają na was pod Białą Piramidą. Próba Tabotta odbędzie się dzisiaj.

Razat umilkli, żeby drżący głos nie zdradził, z jaką zajadłością przerażenie walczy w nich z ekscytacją.

– Czy macie przy sobie wszystko, czego potrzebujecie? – zapytali posłaniec zgodnie z rytualną procedurą.

– Tak – wydusili z trudem.

– Zatem nie każcie na siebie czekać zbyt długo.

Bezimienny enqu-enqu odwrócili się, weszli do Bazzarusa i już ich nie było. Przez chwilę Razat wpatrywali się w ciemny otwór, w którym zniknęli posłaniec, a potem spojrzeli w stronę niewidocznego z tego miejsca Sanktuarium, siedziby Zakonu i Najstarszych, tych, dzięki którym Arcybja wciąż istniała.

A więc to już, pomyśleli, wystarczy przezwyciężyć wewnętrzny opór, zmusić się do działania, a dopełni się los. Zadrżeli. Ich ciało samoistnie ruszyło do Sanktuarium, choć Razat wcale nie byli pewni, że tego chcą.

Szli równymi, starannie odmierzonymi krokami, na których bezskutecznie próbowali skupić całą swoją uwagę, zaprzątniętą gorączkowymi podejrzeniami i paranoicznymi skojarzeniami (niespodziewane przyśpieszenie Próby mogło mieć przecież jakiś związek z tym, co dzisiaj widzieli, i ze światłem, które w sobie nieśli), obawami (Najstarsi, prastarzy enqu-enqu, doprowadzili umiejętność wglądu w naturę rzeczywistości do takiego mistrzostwa, że bardzo możliwe, że bez większego trudu przejrzą ich na wylot, dostrzegą kawernę osobności i migoczącą w niej iskrę, a potem ich zabiją) i dręczącymi samooskarżeniami (bo Razat mogli przewidzieć, że wezmą ich z zaskoczenia, i powinni znacznie intensywniej przygotowywać się do Próby, więcej czasu spędzać na treningach i w Sanktuarium). Ale nagle cała ta burza gwałtownych

emocji zderzyła się z jednym prostym faktem – nikt poza Najstarszymi nie wie, na czym właściwie polega Próba Tabotta. Nawet ci, którzy mają ją już za sobą, nie rozumieją, dlaczego im się udało lub czemu zostali odrzuceni. Powtarzano to Razatowi do znudzenia. Doświadczeni kapłani sprawdzali ich zdolności mentalnego sondowania Zaraukarda, zagęszczania umysłu wokół starożytnych barier pozostawionych przez Tabotta, a także długotrwałego utrzymywania koncentracji, lecz w trakcie tych ćwiczeń nieustannie im przypominali, że nie wiadomo, czy właśnie tego będą wymagali od nich Najstarsi. A na pytania w rodzaju: „Czego należy się spodziewać?” zawsze odpowiadali tak samo: „Oto tajemnica Próby Tabotta”.

Czy zatem można się przygotować do Próby, której natura nie jest znana?

Nie można.

Można jedynie wierzyć, że okoliczności, które teraz wydają się niesprzyjające, ostatecznie okażą się przychylne i że to coś, dzięki czemu kiedyś Najstarsi zwrócili na was uwagę i wytypowali na potencjalnego akolitę, pomoże wam również pomyślnie przejść Próbę.

Cokolwiek to jest.

Ta niewiedza i świadomość, że właściwie nie sposób przewidzieć, jaki będzie rozwój wydarzeń, uciszyły zgiełk w głowie Razata i wpuściły do niej odrobinę nadziei, wraz z chrzęstem gruzu ugniatanego kolczastymi podeszwami jego miarowo przemieszczających się stóp.

Sanktuarium znajdowało się niedaleko rodzinnego gniazda Razata, ponieważ wszystkie żywe gniazda funkcjonujące jeszcze w Arcybji były skupione wokół tego uświęconego miejsca. Razat minęli główne siedlisko enqu-inza, którzy jak zwykle tłumnie majstrowali przy wydobytych z podziemi miasta mechanicznych

olbrzymach leżących bezwładnie jeden obok drugiego. Ale mimo wysiłków wielu pokoleń jeszcze żadnemu z nich nie udało się sprawić, żeby choć jedna z tych wieloramiennych maszyn ponownie zaczęła działać. Jakby wraz z przybyciem Zaraukarda zniknęło z Arcybji coś, dzięki czemu kiedyś było to możliwe.

Czując, że dyskretnie odprowadzają ich wzrokiem, Razat skręcili w wąskie przejście między gniazdami, które stromo opadało w dół i przechodziło w długi chybotliwy pomost. Stąpając ostrożnie, weszli po nim na masywną żelbetową prowadnicę. Z jej ogromnych pionowych ścian sterczały stalowe zębatki łuszczące się rudymi płatami spękanej rdzy. Mimo swych rozmiarów nie wyglądały zbyt solidnie, choć podobno w dawnych czasach to właśnie dzięki nim dzielnice mogły się podnosić lub opuszczać. Górna powierzchnia prowadnicy była płaska i niezabudowana. Z punktu widzenia Razata wydawała się monstrualnym mostem stworzonym dla istot znacznie większych niż zwykli enqu-enqu czy enqu-inza. Żelbetowa konstrukcja zwężała się w perspektywie i w oddali dochodziła do kanciastego szkieletu czworokątnej wieży. Miał on trzy wyraźnie widoczne poziomy, wspierające się na licznych smukłych filarach i nieosłonięte żadnymi murami. Na najwyższym jaśniała Biała Piramida, otoczona potężnymi cielskami Najstarszych, poniżej ciemniało mrowie maleńkich nieruchomych kropek, czyli akolitów pełniących służbę na poziomie drugim, a na samym dole, w ruchliwym pośpiechu poziomu pierwszego, nerwowo krzatali się Kapłani, którzy badali zdolności kandydatów na akolitów, trenowali tych najbardziej obiecujących, przydzielali zadania posłańcom i koordynowali dystrybucję marszumu.

Bez względu na to, od której strony podchodzi się do Sanktuarium, zawsze widać je na tle licznych stożkowatych gniazd, wznoszącego się ponad nimi mglistomechanicznego cielska Zaraukarda i hipnotycznie przelewających się w jego wnętrzu brył

ciężkiego miedzianego blasku. Chociaż enqu już od małości praktykują nawyk wypychania tego napierającego ze wszystkich stron zjawiska poza obręb świadomości, tak naprawdę nie ma skutecznego sposobu na to, by uciec przed jego porażającym ogromem i niepokojącą, złowrogą obecnością. Ulgę odczuwa się jedynie wtedy, gdy podejdzie się blisko do Białej Piramidy albo gdy znajdzie się ona w zasięgu wzroku. Jej siła oddziaływania sprawia, że nieustanny nacisk Zaraukarda wyraźnie słabnie i można na chwilę zapomnieć o jego istnieniu. Nawet Razat, którzy, włócząc się często po obrzeżach Arcybji, oswoili się z Zaraukardem znacznie bardziej niż większość enqu, nadal niecierpliwie wyczekiwali na ten moment wytchnienia. Jednakże, mimo że widzieli Białą Piramidę już od dłuższej chwili, wciąż nic się nie działo, wciąż nie czuli ulgi. Za to nagle ożywiła się złota iskra nowego światła, która rozświetlała ich kawernę osobności. Rozbłysła silniejszym migotaniem, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę, i wtedy, w pół kroku, Razat zdali sobie sprawę, że coś jest nie tak. Coś się zmieniło. Matowy poblask Białej Piramidy wydał im się zimny, pozbawiony życia, wręcz wrogi, a gęste, zardzewiałe światło, zbrylone wewnątrz Zaraukarda, promieniowało krzepiącym ciepłem i czymś w rodzaju obietnicy ponownego ujrzenia kulistego źródła tego pięknego, złotego światła, które zasiało w nich migotliwą iskrę.

Razat struchleli. Jak mieli to rozumieć? Czy spędzili zbyt wiele czasu na pograniczu i Zaraukard znalazł w końcu sposób, by przeciągnąć ich na swoją stronę? Najstarsi wyczuli pewnie, co się dzieje, wyczuli, że Zaraukard próbuje przesaczyć się przez zapory Tabotta z pomocą enqu-enqu, którzy byli na tyle głupi, że nawet nie zauważyli, że zostali przechytrzeni i dlatego postanowili ich niezwłocznie wezwać. Ale jeśli to prawda, jeśli Zaraukard faktycznie ich wykorzystał, to tym bardziej muszą jak najszybciej

stanać przed Najstarszymi i poddać się Próbie, a później, jeśli okaże się, że to, co zrobili, to, co pozwolili, żeby im zrobiono, może zagrozić dalszemu istnieniu Arcybji, powinni natychmiast zginąć.

Razat nie potrafili pojąć, w jaki sposób zdołali przekonać samych siebie, że „ryby”, „ławica”, „ławica ryb” nie są niczym groźnym. Jak mogli uwierzyć, że mogą im w czymkolwiek pomóc?

Przyśpieszyli.

U podnóża Sanktuarium, przed szeroką pochylnią, czekali na nich główny kapłan, sprawujący posługę na poziomie drugim. Kontur Białej Piramidy, namalowany na ich skorupie, był całkowicie wypełniony białym pigmentem. Milczący enqu-enqu, znacznie starsi od Razata i o trzy głowy wyżsi, spojrzeli chłodno, bez emocji, i gestem nakazali Razatowi, że mają za nimi pójść. Poprowadzili ich w gwar rozmów, między kadzie z marszumem, kapłanów, komory treningowe, licznych kandydatów na akolitów i biegających posłańców, a potem wyżej, po szerokich spiralnych schodach, w szepczącą ciszę drugiego poziomu. Razat jeszcze nigdy tam nie byli. Trochę wiedzieli, czego się spodziewać, bo brak zewnętrznych murów pozwalał bez przeszkód zaglądać w głąb budynku. Rzecz jednak w tym, że można to było robić tylko z daleka, ponieważ drugi i trzeci poziom wznosiły się tak wysoko, że z bliska widać było jedynie ich wyszczerbione krawędzie. Tuż przy samym Sanktuarium nie było też żadnych gniazd, z których szczytu dałoby się wszystko dokładnie obejrzeć. Nie mogły tu stać, ponieważ uświęcone miejsce znajdowało się w górnej części obrotowego sworznia, jakie w czasach świetności miasta budowano wszędzie tam, gdzie zbiegały się żelbetowe prowadnice, czyli na styku dzielnic, aby mogły się one kręcić wokół wspólnej osi. Dlatego w najbliższym otoczeniu sworznia musiało być znacznie więcej wolnej przestrzeni niż między zazwyczaj ciasno ustawionymi gniazdami.

Razat zdawali sobie sprawę, że podpatrywanie z daleka pomaga się rozeznaczyć jedynie w ogólnym wyglądzie i rozplanowaniu wyższych poziomów Sanktuarium, lecz nie do końca byli przygotowani na to, że obejrzenie tego miejsca z bliska wcale nie musi sprawić, że stanie się ono bardziej zrozumiałe. Zaczęli się o tym przekonywać, gdy idąc za głównym kapłanem, przemierzali wąskie chodniki, które ciągnęły się wzdłuż otworów wydrążonych w posadzce. Wszystkie były kwadratowe i niezbyt głębokie, ale akolici zajmowali tylko niektóre z nich. Oni także mieli na skorupach symbol Białej Piramidy. Biały pigment tradycyjnie wypełniał im lewą połówkę trójkąta. W większości siedzieli wyprostowani, zanurzeni w sobie, nieobecni duchem, całkowicie pochłonięci wzmacnianiem barier Tabotta. Paru zwinęli się w kłębek i regenerowali siły. Jedni i drudzy spoczywali na niskich kamiennych ławach, które najczęściej były jedynym wyposażeniem tych komór. Jednakże w dwóch albo trzech przypadkach Razat wypatrzyli coś jeszcze, jakieś zagadkowe przedmioty – świecące, unoszące się tuż nad podłożem, zmieniające kształty w taki sposób, jakby nie mogły się zdecydować, czym chcą być. Nie wiedzieli, co to jest ani co robi w komorach akolitów, i nawet nie próbowali się dowiedzieć, bo było więcej niż pewne, że nagabywanie głównego kapłana może im bardzo zaszkodzić.

Dziwiło ich, że tak wiele otworów jest pustych. Przecież nigdy nie brakowało kandydatów na akolitów. Czyżby stawiane im wymagania były aż tak duże, że tylko mała grupa enqu-enqu potrafi im sprostać i pomyślnie przejść Próbę? Jak w takim razie wyglądają nasze szanse? – pomyśleli Razat i natychmiast odepchnęli tę myśl, żeby nie dokarmiać rosnącego zdenerwowania. Skierowali uwagę na niskie obłe cokoły, które stały w miejscach, gdzie krzyżowały się chodniki. Były bardzo ciemne, prawie czarne, i lśniące, jakby wypolerowane, co w jakiś sposób sprawiało, że

wyryte na nich koślawe znaki i symbole miały holograficzną głębię. Razat nie potrafili ich jednak odczytać. Funkcje, jakie mogły pełnić te cokoły, również znajdowały się poza zasięgiem ich wiedzy, ale znacznie bardziej przejęli się tym, że dotychczas, zawsze gdy przyglądali się z daleka drugiemu poziomowi Sanktuarium, byli absolutnie pewni, że mrowie ciemnych obłych kropek, które tam dostrzegają, to pogrążeni w wykonywaniu swojej posługi akolici, a tymczasem były to właśnie te stojące w równych szeregach cokoły. Zimny dygot przepelzł im pod skorupą. Skoro ich własny umysł oszukuje percepcję w tak podstawowych sprawach, to czego jeszcze można się po nim spodziewać?

Kolejne szerokie spiralne schody prowadziły tam, gdzie Razat zmierzali przez niemal całe swoje życie, na trzeci poziom Sanktuarium, pod Białą Piramidę i przed oblicze Najstarszych – dwudziestu trzech enqu-enqu, którzy w pełni zasługują na to, żeby ich tak nazywać, ponieważ dawna Arcybja tli się już tylko w ich pamięci. Gdy główny kapłan zatrzymali się w połowie schodów i puścili Razata przodem, strach zaatakował ze zdwojoną siłą. Do tej pory intensywne wrażenia pomagały trzymać go na dystans, ale teraz już nic przed nim nie chroniło, nic nie odwracało od niego uwagi.

Razat ostrożnie weszli w matowy blask Białej Piramidy, która, wisząc w powietrzu, wolno obracała się nad gładką posadzką trzeciego poziomu. Poczuli jej zimne światło na swojej skorupie i nie było to przyjemne uczucie. Ale migotliwa iskra, rozświetlająca kawernę osobności, ogrzewała ich od środka i z deprymującą łatwością przeciwstawiała się jej mocy. Utwierdziło to Razata w przekonaniu, że nie czeka ich tu nic dobrego. Najstarsi siedzieli nieruchomo na podwiniętych nogach i patrzyli. Ponieważ zarówno enqu-enqu, jak i enqu-inza, rośli przez całe życie, co jakiś czas zrzucając skorupy, które były już dla nich za małe, i w ich miejsce

wytwarzając większe, w których mogli się wygodnie pomieścić, naturalną kolejną rzeczą było to, że ci, którzy żyli najdłużej, byli też najwięksi. Dlatego poza enqu-cromrachami nie było w Arcybji większych enqu niż Najstarsi. Każdy z dwudziestu trzech siedzących wokół Białej Piramidy byli co najmniej sześciokrotnie więksi od Razata i samymi rozmiarami budzili lęk. Potężne dłonie prastarych enqu-enqu leżały spokojnie na grubych łuskach pancernej skorupy pokrywającej im uda, ale Razat nie mieli najmniejszej wątpliwości, że w każdej chwili mogą się unieść i zmiażdżyć ich w uścisku, jeśli tylko Najstarszym coś się nie spodoba.

Na wprost wejścia siedzieli Opat. Wyróżniało ich to, że byli trochę więksi od pozostałych i przed nimi leżał duży płaski kamień. Razat wiedzieli, co robić. Instrukcje nie były zbyt skomplikowane, więc łatwo było je zapamiętać. Na sztywnych nogach podeszli do szarego kamienia, który sięgał im do pasa, ukłonili się z szacunkiem i powoli ruszyli w lewo, wewnętrznym kręgiem, między spojrzzeniami Najstarszych a zimnym blaskiem Białej Piramidy.

Ostrożnie stawiając kroki, mijali żywe starożytności tego miasta, jedno po drugim. Słyszeli ich ciężkie, świszczące oddechy, które wnikały we wspomnienia Razata, coraz głębiej i głębiej, aż w końcu dotarły do czasów, gdy byli małym pędrakiem i opiekunowie z ich roju zaprowadzili wszystkich roczniaków przed oblicze Najstarszego. Jest bowiem tak, że raz na jakiś czas jeden z nich wstają ze swojego miejsca, wychodzą przed Sanktuarium i wybierają tych, którzy w przyszłości będą mogli kandydować na akolitów. Z pamięci Razata wychynął niewyraźny kształt górującego nad nimi olbrzyma, ciemnego i połyskującego, który, głośno sapiąc, przyglądali im się z każdej strony. Przypomnieli sobie również swój strach, napędzany myślą, że ten duży chcą ich

zjeść. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, ale lęk pozostał ten sam. Razat wciąż czuli się bezbronni przed obliczem Najstarszych.

Zatoczyli pełne koło i ponownie stanęli przed Opatem. Ciężyla na nich milcząca obecność Najstarszych.

– Pokaż utensylia! – powiedzieli Opat.

Ich niski, basowy głos wibrował w kościach i pancerzu.

Razat spodziewali się raczej jakiegoś sprawdzianu umiejętności, ale nie dali po sobie poznać, że są zaskoczeni. Posłusznie rozchylili skorupę i zaczęli wyjmować utensylia. Układali je na kamieniu, jedno obok drugiego. Nigdy nie należeli do tych, którzy uważają, że powinno ich być jak najwięcej. Wręcz przeciwnie. Zawsze twierdzili, że przede wszystkim liczy się oszczędna pomysłowość w łączeniu ogólnodostępnych akcesoriów, bo głównie dzięki niej udaje się osiągać naprawdę ciekawe rezultaty. Ale większość enqu-enqu i – z tego, co udało im się podpatrzeć – również enqu-inza, stawiała raczej na rozrzutną efektywność i powtarzalność. Gromadzili dużo utensyliów o podobnych właściwościach, z których budowali imponujące konstrukcje, najczęściej będące jednak zwykłymi destylarniami. A przecież trudno uwierzyć, że aż tylu enqu lubi spożywać marszum w postaci niskokalorycznego ciemnobrazowego płynu o lekko słonawym posmaku. Bardziej prawdopodobne było to, że zdecydowana większość korzysta z tych samych prostych rozwiązań, ponieważ samodzielnie nie są w stanie wymyślić żadnej oryginalnej metody przetwarzania wnoszącej coś odkrywczego do konsumpcji marszumu. Dlatego na różne sposoby powielają to, co podpatrują u innych, dodając od siebie jedynie nic nieznaczące szczegóły. I tylko niektórzy próbują nieśmiało eksperymentować. Najczęściej jednak bez powodzenia.

Do tej pory Razat byli dumni z tego, że od dawna praktykują własną metodę przyrządzania i uzdatniania marszumu, gdyż mieli nadzieję, że gdy ją w końcu dopracują, to wzbogaci ona nie tylko

życie ich roju, ale także wszystkich enku w Arcybji. Jednakże, gdy wykładali swoje utensylia przed Opatem, zdali sobie sprawę, że zatrzymując tę metodę wyłącznie dla siebie – z myślą, że tylko do czasu, aż jej skuteczność zostanie w pełni potwierdzona – być może w oczach Najstarszych popełnili ciężkie wykroczenie wobec woli Kolektywu i nawet jeśli tamci nie wypatrzyli jeszcze ani kawerny osobności, ani migoczącej w niej iskry, to teraz już z pewnością znajdą powód, żeby ich ukarać. Drżącą dłonią Razat położyli na kamieniu ostatni i zarazem najważniejszy element osobistego agregatu utensyliów – labiryntowy autoklaw, samodzielnie skonstruowany z ciśnieniowego tygła i zamkniętego w jego wnętrzu systemu mosiężnych rurek.

Otoczyły ich basowe szeptu i pomruki Najstarszych.

– Skąd to masz?

Dziwnie się czuli, gdy Opat zwracali się do nich w tak bezpośredni, pojedynczy sposób, choć wiedzieli, że robią to specjalnie, by ani przez chwilę nie zapominali, że stoją tu sami, bez swojego roju.

– Zbudowaliśmy.

Opat uciszyli Najstarszych, oparli się na potężnych rękach i pochylili nad labiryntowym autoklawem. Łypiąc wielkimi oczami, przyjrzeni mu się z bardzo bliska. Wydali z siebie przenikliwe, basowe warknięcie i szybko wrócili do poprzedniej pozycji.

– Zabierz to i wyjdź! Poczekać na dole!

Razat pośpiesznie schowali utensylia pod skorupą. Dygocząc nerwowo, zeszli po schodach na drugi poziom. Poczuli wyraźną ulgę, gdy zimne światło Białej Piramidy przestało się wgryzać w ich skorupę. Przystanęli, nie bardzo wiedząc, co powinni teraz zrobić. Nagle główny kapłan doskoczyli do nich z taką gwałtownością, jakby się bali, że Razat gdzieś uciekną.

– Nie możecie opuścić Sanktuarium, póki nie zadecydują

o waszym losie – syknęli, łapiąc Razata za ramię.

– Rozumiemy – powiedzieli Razat, choć w żadnym razie nie było to zgodne z prawdą.

– Do tego czasu zostaniecie zamknięci w nieczynnej komorze treningowej. To dobre miejsce dla takich jak wy.

Słowa wypowiedane przez głównego kapłana miały w sobie szorstką twardość pogardy, ale Razat nie potrafili pojąć, skąd ona się tam wzięła. Tak samo, jak nie wiedzieli, co się właściwie stało, dlaczego Próba miała tak osobliwy przebieg i co to znaczy, że nieczynna komora treningowa jest dobra dla takich jak oni.

Czyli jakich?

– My... – Razat chcieli zadać jakieś pytanie, jakiegokolwiek, byleby tylko zainicjować rozmowę, która choć trochę przybliży ich do wyjaśnienia nawarstwionych tajemnic, ale główny kapłan krzyknęli gniewnie:

– Milczeć!

Z wyraźnym trudem powściągnęli emocje i spokojniej dodali:

– Na razie nie macie prawa głosu.

A potem zawlekli Razata na poziom pierwszy i brutalnie wepchnęli do niewielkiej komory w kształcie wąskiego pionowego walca. Zgrzytnęła zasuwka. Razat osunęli się plecami po szorstkiej zardzewiałej ścianie. Drobiniki rdzy posypały się z cichym szelestem. Przez małe okrągłe otwory wpadało nagle żółtawe światło. Można by się jeszcze trzymać słabnącej nadziei, że wszystko będzie dobrze, bo gdy całkiem niedawno Razat ćwiczyli tu pod okiem kapłanów, to zdarzało im się widzieć enqu, którzy po Próbie Tabotta zwyczajnie wychodzili z Sanktuarium i nikt ich nie zatrzymywał, oraz takich, których bezwładne martwe ciała wynoszono na zewnątrz i zrzucano z krawędzi prowadnicy w ciemną otchłań enqu-cromrachów, ale ani razu nie widzieli, żeby siłą zamykano jakichś enqu w komorze. To mogłoby sugerować, że

wciąż jest szansa na przeżycie, lecz, niestety, równie dobrze mogło też oznaczać, że raz na jakiś czas pojawiają się kandydaci na akolitów, którzy tak strasznie narażają się Najstarszym, że ci nie zabijają ich od razu, tylko zamykają w komorze treningowej, blisko siebie, żeby słyszeć, jak się miotają, rżęzą, odchodzą od zmysłów oddzieleni od swojego roju i wreszcie zdychają z głodu, gdy wyczerpie im się zapas marszumu.

W Razacie rosło dojmujące przekonanie, że właśnie taki los ich czeka. Że to jedyne słuszne i jedyne możliwe zakończenie ich życia w tym mieście. Że tak będzie najlepiej dla Kolektywu. Dotychczas wydawało im się, że podążają ryzykowną, ale właściwą drogą, że mogą bezkarnie kontemplować „ryby”, kontemplować „ławica”, kontemplować „ławica ryb” i hodować osobistą, niezależną, schowaną przed innymi przestrzeń doświadczenia. Ale w końcu dotarło do nich, że sami się oszukiwali; że prędzej czy później to musiało się źle skończyć. Razat westchnęli i z pokorą, spokojnie, zaakceptowali nieuniknione – hańbę porażki, odrzucenie roju, rychłą śmierć. Pozostało im już tylko skupić się na prawdopodobnie ostatnim posiłku w ich życiu. Wyjęli więc utensylia. Połączyli rurki, zawory, osadniki, filtry. Robili to tyle razy, że nie musieli nawet widzieć swoich akcesoriów. Ich dłonie znały dokładne położenie każdego elementu. Potem podłączyli labiryntowy autoklaw, w którym umieścili lepką kostkę surowego marszumu. W tej postaci nie nadawał się do spożycia, ale po przepuszczeniu przez agregat nabierze zdatności i mocy. Właściwie nie musieli dokładać kolejnej porcji surowca, bo w rurkach autoklawu wciąż było go bardzo dużo. Ugniatany i przepychany ciśnieniową perystaltyką urządzenia powoli zmieniał swoją strukturę. Razat wiedzieli jednak, że teraz, dzięki temu, że będzie go jeszcze więcej, cały proces ulegnie chwilowemu przyspieszeniu. Właśnie taki efekt chcieli uzyskać.

Rozdmuchali żar tłący się pod autoklawem i spojrzeli na ciśnieniomierz. W półmroku ledwo widzieli jego wskazówkę, ale potrafili rozpoznać po drzeniu rozgrzanego korpusu, że zbliża się moment, w którym trzeba otworzyć zawór. Delikatna wibracja rozeszła się po systemie zespolonych utensyliów i Razat przekręcili dźwignię. W miedzianej miseczce zagrzechotały drażetki. Sięgnęli po nie i nie czekając, aż ostygną, pełną garścią włożyli je sobie do ust. Przyjemnie chrupały między zębami, rozpuszczały się na języku, a potem spływały w głąb ciała gorącą, pobudzającą strugą. Dzięki metodzie przetwarzania marszumu, którą wynaleźli Razat, miał on nie tylko ciekawy smak, ale także dużą wydajność energetyczną. Można się było rozkoszować jego pikantną słodyczą, a do tego mieć pewność, że na długo zaspokoi głód.

Po fali nasycenia, która wypełniała ciało rozkosznym gorącym dreszczem, nieodmiennie przychodziło głębokie medytacyjne odprężenie. Razat zawsze uwielbiali się w nim pogrążyć, ale teraz było im to potrzebne bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Gdy jednak szukali w nim ucieczki od strachu i nieprzyjemnych myśli o rychłym końcu ich istnienia w Arcybjji, ze zdziwieniem odkryli, że jest tam coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyli, jakiś powolny ruch w głębinach, ciemny i połyskujący strumień nieokreślonej materii, na którego powierzchni migocze poświata złotej iskry rozświetlającej wewnątrz kawerny osobności.

Czy to ta iskra wydobyla go z otchłani umysłu? A może sprawiła, że dopiero teraz stał się widoczny, mimo że zawsze tam był?

Nie potrafili tego stwierdzić. Ale nie czuli też, że koniecznie muszą to wiedzieć. Właściwie do szczęścia wystarczał im tylko ten powolny strumień, intensywność jego obecności, delikatne pulsowanie, słabe iskiereki złotego blasku rozbłyskujące na ciemnej powierzchni przelewającej się gęstości... Jedna z tych iskierek, bez konkretnego powodu wydała się Razatowi szczególnie interesująca.

Gdy zwrócili na nią uwagę, ich świadomość spłynęła w jej kierunku z taką gwałtownością, jakby od dawna o niczym innym nie marzyła. Tego ruchu nie dało się powstrzymać.

Razat wpadli w objęcia oślepiającej jasności, która wypaliła przestrzeń wokół nich. Nie była ona jednak czymś wrogim, lecz znajomym, czymś, co do nich pasowało, czymś, co powróciło po bardzo długiej nieobecności, odseparowaną częścią ich jestestwa, której wyblakły cień zawsze majaczył na obrzeżach świadomości, ale dopiero w tym momencie odzyskał pełną formę, na powrót stał się sobą.

Światłość przygasła, zgęstniała w wyraźne kształty.

Ni to siedząc, ni to leżąc, Razat tkwili zapadnięci w miękkim, bardzo wygodnym siedzisku będącym integralną częścią owalnego stołu i przestronnego pomieszczenia z metalu i szkła. Cisza wypełniała powietrze jak gęsty, puszysty dźwięk, którego ciepły dotyk czuje się na skorupie, ale nie sposób powiedzieć, jak właściwie brzmi.

– Zabiją cię.

Był tam ktoś jeszcze – niewyraźna, rozfalowana sylwetka na tle ściany światła.

– Nas – powiedzieli Razat.

– Tylko ciebie. Nie ma żadnych nas. Nigdy nie było.

– Kim jesteście?

– Lubisz to pytanie. Już kiedyś mi je zadałeś. Ale odpowiedź nadal jest taka sama.

Razat czuli się kompletnie zdezorientowani.

– Znamy cię?

– W pewnym sensie.

– Skąd się tu wzięliśmy? Co to za miejsce?

– Chodź i sam zobacz.

Razat wstali, niepewnie, ale bez strachu. Coś w nich pękło i nie

było już nic, co można by im odebrać.

Miękkie siedzisko i owalny stół bezszelestnie schowały się pod gładką podłogą, lecz w miejscach, gdzie na moment rozsunęły się metalowe płyty, nie było widać żadnych szczelin. Razat ruszyli w stronę znajomego światła. Przyciągało ich, choć wciąż było o wiele za jasne. Zardzewiały blask Zarukarda, który towarzyszył Razatowi przez całe życie, był przy nim zaledwie ułomną namiastką, czymś, co próbuje nieudolnie naśladować prawdziwe światło.

– Tylko nie patrz w słońce – powiedziała rozfalowana sylwetka.

– Znaczą do góry, tak?

– Zgadza się

– A gdzie mam patrzeć?

– W dół.

– Co tam jest?

– Coś, co musisz zobaczyć.

Razat dotarli do rozfalowanej sylwetki. Z bliska okazała się oszukańczą sztuczką ostrego światła, które zniekształciło nie do poznania zwykłego enqu-enqu, takiego samego jak oni, może nawet będącego ich dokładną kopią, opierającą się bokiem o wypukłą tafłę grubego szkła. Razat nie mogli oderwać wzroku od bliźniaczego enqu.

– Tak, tak, postarałem się, ale nie o mnie tu chodzi. Spójrz przez okno.

I Razat spojrzeli.

Od razu wiedzieli, na co patrzą. Ten widok na moment odebrał im oddech. Pod nimi, daleko w dole, po horyzont rozciągała się dawna, tętniąca życiem Arcybję, która tylko w niewielkim stopniu wyglądała tak, jak wyobrażali sobie Razat. Owszem, zgodnie z przewidywaniami dzielnice zachodziły na siebie jak koła zębate, wymieniały się gniazdami, podnosiły się, opadały i ich ruch nie

ustawał ani na moment. Elastyczne tory kolejki wiły się pośród zabudowań jak żywe istoty migoczące miedziwym połyskiem. Mrowił się ruch niezliczonych enqu, między którymi kroczyły jakieś potężne maszyny przemieszczające się na długich segmentowanych odnóżach. I z całą pewnością nie były ani tragarzami marszumu, ani nie przypominały tego, co enqu-inza wydobywają z martwych trzewi Arcybji i bezskutecznie próbują uruchomić. Miasto emanowało skomplikowaną wielopoziomową aktywnością, ale cała ta ruchliwa miejska struktura była jedynie misterną i na wpół materialną projekcją formującą się na powierzchni przepastnej, świetlistej głębi, roziskrzanej gęstymi pajęczynami niebieskofioletowej energii. Właśnie to iskrzenie, dobywające się z bezdennej otchłani otwierającej się pod miastem, nieustannie stwarzało i napędzało Arcybję. Właśnie to iskrzenie było Arcybją.

– Nie rozumiem... Dlaczego to tak wygląda? – jęknęli skonfundowany Razat.

– Do tej pory widziałeś tylko kłamstwo. Teraz widzisz prawdę.

W słabym odruchu sprzeciwu Razat chcieli zaprzeczyć temu, co zobaczyli; chcieli powiedzieć nieznanemu enqu, którzy wyglądali jak ich dokładna kopia, że muszą wymyślić coś bardziej przekonującego, bo oni nigdy nie uwierzą, że dawna Arcybja mogłaby tak wyglądać. Ale nie mogli tego zrobić, ponieważ coś w nich wiedziało, że nie jest to iluzja, i cierpiało z tęsknoty za tym niebieskofioletowym iskrzeniem, za jego miastem.

– Dlaczego Zarakard nam to odebrał? – zapytali Razat.

– To nie jego wina. Nie przybył tu z własnej woli.

– Co to znaczy?

– Że został sprowadzony do Arcybji siłą i nie chce tu być.

– Jak to? Przez kogo?

– Najstarszych.

– To bez sensu, przecież oni chronią Kolektyw. Stworzyli Białą

Piramidę i Zakon...

– Narzucili wam paranoiczne poczucie wspólnoty, razem z warunkami, w jakich żyjecie. Ślepo słuchacie tych, którzy wykorzystali coś, co tu kiedyś spadło, coś spoza tego świata, by zgasić orgonowe iskrzenie, zepchnąć wszystkich enqu w całkowitą materialność i zakotwiczyć w Arcybji obcy byt, który pożarł prawie całe miasto i zastraszył ocalałych.

Razat byli coraz bardziej rozdrażnieni. W końcu nie wytrzymali i wybuchli:

– Przestań! Nie wolno ci tak mówić! To same kłamstwa! Nie wierzę ci!

– I dobrze. Wolałbym, żebyś tego nie robił.

– Zostaw mnie, chcę wrócić do komory, zasłużyłem na śmierć.

Enqu-enqu, który wydawał się drugim Razatem, odwrócił się w jego stronę i spojrzał mu w oczy.

– Nie czujesz? Jesteś już tylko ty i nic tego nie odmieni. Rozproszyłeś iluzję, którą cię spowili.

W pierwszej chwili Razat nie wiedział, o czym on mówi, ale nagle dotarło do niego, że nie ma już żadnych „ich” i żadnych „nas”, że teraz jest tylko on oraz ci wszyscy, którzy nim nie są. Z jakiegoś powodu nie czuł się z tym źle.

– Ja... – szepnął niepewnie.

– Głęboko ukryta część ciebie, wolna od wpływu Najstarszych, podpowiedziała ci, jak zbudować odpowiedni agregat utensyliów. Dzięki niemu od dawna spożywałeś tylko czysty marszum i mogłeś powoli, krok po kroku, nawet jeśli nie do końca świadomie, rekonstruować osobną przestrzeń swojego umysłu.

– Jakaś część mnie? Czyżby?

– Bardzo dobrze, podsycaj tę podejrzliwość. Nie ufaj nikomu i niczemu.

– Tobie też?

– Oczywiście.

Razat posmutniał.

– Wciąż siedzę w nieczynnej komorze treningowej i czekam na śmierć, prawda?

– Tak.

– Czyli nic się nie zmieniło...

– Niezupełnie. Masz już prawie wszystko, czego potrzebujesz.

– Do czego?

– Aby poruszyć to, co nieporuszalne.

Razat poczuł się znużony i zniechęcony. To, czego doświadczał, powoli nabierało konsystencji bełkotliwego, pogmatwanego snu, z którego zapewne chciałby się obudzić, gdyby nie ten blask organowej Arcybji mimo wszystko istniejącej tu w sposób, który musiał być prawdą. Chociaż Razat miał powody, by przypuszczać, że jego dalsze życie będzie raczej dość krótkie, nie mógł znieść myśli, że choć na chwilę znajdzie się daleko od tego niebieskofioletowego iskrzenia i umrze bez jego mrowiącego dotknięcia na skorupie.

– Gdyby mieszkańcy twojej mrocznej, wygaszonej Arcybji, zobaczyli to samo, co ty, nie potrafiliby już myśleć o niczym innym. Staliby się innymi enqu. Tak jak ty stajesz się teraz – powiedział ten, który do złudzenia przypominał Razata. – Ale nie jest to niemożliwe. Mógłbyś im pomóc. Mógłbyś sprawić, że oni też zobaczą i też się zmieniają.

Zabrać to iskrzenie ze sobą, przenieść je do starej, ciemnej Arcybji i nie rozstawać się z nim ani na moment – cóż za genialny koncept, pomyślał Razat.

– Jak? Jak to zrobić?

– Z pomocą trzech rzeczy. Przestrzeni wewnętrznej, ukształtowanej przez „ryby”, „ławica”, „ławica ryb”, oraz tego czegoś, co sprawia, że chcesz zachować wyłącznie dla siebie to, co

na moment wychynęło z głębi Zaraukarda.

– Skąd...? Jak...? Ten kulisty kształt i piękne złote światło, i iskra, to... to... Masz z tym coś wspólnego?

– W pewnym sensie.

– Często to powtarzasz.

– Ponieważ często jest to prawda.

– Ale czy ta prawda mnie ocali?

– Nie. Może jednak ocalić twoje miasto. Arcybja nie jest całkiem martwa.

– Przecież zgasła.

– Nie do końca. Orgon wciąż się tli i niewiele trzeba, żeby roziskrzył się na nowo.

– Gdzie? W tej głębi pod miastem?

– Właściwie nie jest to głębia. Przyjrzyj się dobrze.

Razat wysilił wzrok. Starał się skupić na tym, co rozpościerało się pod częściowo materialną miejską strukturą; na migotliwej, przepastnej otchłani wypełnionej orgonowym iskrzeniem, którym nie mogły się nasycić jego oczy.

– Nie zwróciłeś uwagi, prawda? – zapytał ten, który wyglądał jak drugi Razat.

– Na co?

– Mówiłem o trzech rzeczach, lecz wymieniłem tylko dwie.

– Faktycznie. Co jest trzecią?

– Patrz uważnie.

Razat westchnął.

– Nie widzę dna ani niczego, co mogłoby być źródłem iskrzenia. Nie wiem, czego mam szukać, i nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Nic nie rozumiem. Może gdybyś mi to wyjaśnił prostymi słowami...

– Nie ma takiej potrzeby.

– Dlaczego? – zdumiał się Razat.

– Bo to nie ty masz zrozumieć.

– A kto?

– Druss.

– Kto?

– Ktoś, kto zrozumie, gdy usłyszysz właściwe słowa.

– To czemu mówisz to mnie?

– Inaczej się nie da. Słuchaj i patrz, dobrze? Tyle wystarczy. Prędzej czy później to, co widzisz i słyszysz, dotrze tam, gdzie powinno.

– Chyba nie mamy zbyt wiele czasu...

– O to się nie martw. Patrzysz tam, gdzie prosiłem?

– Tak, ale mówiłem już, że nie...

Razat oniemiał. Gdzieś z tyłu jego głowy tyknęło minimalne przesunięcie percepcji, niewielka, ale wyraźnie odczuwalna skokowa korekta ostrości, jakby ktoś, albo coś, jakiś byt istniejący wewnątrz Razata, ale niebędący nim, przestawił mu umysł na nieco inny sposób widzenia. I wtedy, od razu, Razat dostrzegł i rozpoznał to, co promieniowało iskrzącym, niebieskofioletowym orgonem i ukryte w jego blasku nieustannie stwarzało Arcybję. Zachwiał się rażony zrozumieniem, które wypełniło go zimnym dreszczem. Odruchowo, ratując się przed upadkiem, oparł się o gładkie szkło wypukłego okna i uświadomił sobie, że jest ono częścią potężnego kulistego obiektu unoszącego się wysoko nad miastem i że to wcale nie jest jakiś tam kulisty obiekt, ale właśnie ten, który, wynurzając się z Zarakarda, rozproszył masywną bryłę złotawego blasku. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zyskał tę wiedzę, lecz było to bez znaczenia, ponieważ nie potrzebowała ona pomocy Razata i sama magnetycznie przyłgnęła do wcześniejszego rozpoznania, a potem wraz z nim przekształciła się w klarowną intencję, która drgnęła wymownie, nienachalnie zachęcając go, żeby spojrział w górę, prosto w słońce.

Już dawno chciał to zrobić, więc wystarczyła odrobina perswazji.

Z mokrym plaśnięciem stężałem na czarnych bazaltowych płytach pokrywających plac w Moqudad. Nabrałem gęstości i zrobiło mi się niedobrze. Długo wymiotowałem ciemnym pienistym płynem, zostawiającym w gardle przyjemny posmak aromatycznego dymu palonego eukaliptusa, kojarzącego się z zapuszczonym ogrodem na tyłach wędzarni, do którego zakrada się ktoś, kto z całą pewnością nie jest mną, by wraz z czterema innymi, brudnymi dziesięciolatkami w podartych łachach obrzucać zgniłymi jabłkami wielkiego szarego psa, który wściekle ujada i wyzywa nas od najgorszych, ale nigdy nie biegnie na skargę do właściciela wędzarni, nie gryzie do krwi, nawet jeśli zdarzy nam się spaść z drzewa prosto na niego, a czasem specjalnie zostawia w swojej misce niedojedzone resztki i udaje, że nie widzi, gdy podkradamy je z chichotem.

Ruma odczekała cierpliwie, aż miną nudności, a potem pomogła mi wstać i dowlec się do mieszkania, w którym ulokowała mnie społeczność miasteczka. Przez kilka dni dochodziłem do siebie. Byłem słaby jak noworodek i wymagałem nieustannej opieki. Mimo to Ruma nigdy nie zaproponowała, że się do mnie przeprowadzi. Ani wtedy, ani potem, gdy już nabrałem sił i mogłem sam się sobą zająć. Dobrze ją rozumiałem. Też bym tego nie chciał, chociaż z pewnością byłoby to wygodniejsze i nie zmuszałoby jej do nieustannego kursowania między mieszkaniami. Racjonalny ogląd nie mógł tu jednak nic zaradzić. Wiedzieliśmy, czuliśmy każdą komórką ciała, że jesteśmy w tym razem, lecz każdy na całkowicie osobny, własny sposób, który wymaga ciągłej uwagi i oddziela nas od siebie, ponieważ jest mozolnym trudem, jakiego nikt inny nie może za nas podjąć.

Mieszkańcy Moqudad byli bardzo wyrozumiali. Do niczego mnie nie zmuszali. Przynosili wodę i jedzenie, i pozwalali całymi godzinami siedzieć przy otwartym oknie, z którego obserwowałem

wykute w skałach elewacje tak udatnie naśladowujące kamienice. Uważnie śledziłem ślimacze pełzanie wędrującego po nich światła i próbowałem znaleźć w sobie siłę, która sprawi, że zazębię się z trybami tutejszego życia i zacznę myśleć o czymś innym niż Arcybja.

Nie wiem, jak długo to trwało. Wiem tylko, że od czasu do czasu zerkałem w stronę walizki, którą przywiozłem ze sobą do Moqudad i która stała pod ścianą i czekała, aż znowu się nią zainteresuję. Nie pamiętałem już, co w niej jest, i nie miałem najmniejszej ochoty tego sprawdzać. Odnosiłem wręcz wrażenie, że nie jest moja. Któregoś dnia, wczesnym popołudniem, jej obecność wydała mi się szczególnie irytująca i postanowiłem się jej pozbyć. Ten impuls pchnął mnie do działania. Zabrałem ją i poszedłem nad ocean. Zamierzałem wrzucić ją do wody. Byłem jednak przekonany, że tego nie zrobię, że ulegam tylko chwilowemu kaprynowi, który rozproszy się w działaniu i w efekcie wrócę z walizką do mieszkania. Tak się jednak nie stało. Podeszedłem do krawędzi stromego brzegu i bez wahania, jednym płynnym ruchem, cisnąłem ją przed siebie. Zatoczyła łuk i roztrzaskała się na skałach. Łapczywe fale błyskawicznie rozgrabiły to, co z niej wypadło. Z daleka nie widziałem wyraźnie, ale były tam jakieś ubrania, bielizna, luźne kartki papieru, wysokie buty, kilka książek i nieliczne drobne przedmioty, które nie wzbudziły we mnie żadnych uczuć, jakby faktycznie nie należały do mnie. Walizka i jej zawartość zniknęły tak szybko, że po chwili nie byłem już pewny, czy rzeczywiście wrzuciłem ją do wody. Coś się jednak zmieniło. Nie miałem ochoty wracać do mieszkania. Poszedłem więc na molo i przysiadłem się do ludzi, którzy reperowali sieć rybacką. Przyjęli mnie z uśmiechem, pokazali, co i jak trzeba robić, i kazali się przebrać w ciemnoniebieski kombinezon. Chętnie to zrobiłem, bo wreszcie czułem, że jestem na to gotowy, wreszcie rozumiałem,

czemu ludzie, których los sprowadził do Moqudad, nie chcą się między sobą wyróżniać. Po wielu miesiącach trzymywania się na uboczu, jawnie okazywanej niechęci do brania udziału we wspólnych pracach społeczności, walki z wątpliwościami, niepewności i uzalania się nad sobą w końcu dojrzałem do tej wiedzy i stałem się jej częścią. Stałem się jednym z nich.

Od tej pory zacząłem aktywnie uczestniczyć w życiu Moqudad. Z przyjemnością naprawiałem sieci, chętnie pomagałem w warsztacie szkutniczym, wstawałem w środku nocy, by asystować przy połowach ryb, nie unikałem też brudnych i niewdzięcznych prac w szaletach. Monotonne rytuały zwykłej fizycznej pracy okazały się właśnie tym, co pomogło mi tymczasowo zsynchronizować się z tą rzeczywistością, tymczasowo zająć czymś dłonie i głowę, które potrzebowały tego, bym mógł spokojnie odliczać dni do następnego Święta, i dlatego że bez względu na to, co robiło to ciało i na czym skupiał się ten umysł, ja, ten prawdziwy ja, siedziałem zamknięty w nieczynnej komorze treningowej w Arcybji i czekałem, aż czas znowu ruszy z miejsca.

* * *

Gorzki smak anten monadycznych nie rozpuścił się na języku, lecz wniknął w głąb ciała, spłynął po nogach, aż do kopyt, delikatnym kluciem wypełnił rogi i ogon, cichym szumem owinał dźwięki i sprawił, że blask Księżycowego Kamienia zaczął się mienić metalicznymi iskierkami, a drzewiaści i trawiaści Cicho Zieloni rozjarzyli się zieloną poświatą.

Wygięte Rogi też świecił na zielono. Gdy się poruszał, za szmaragdowymi ognikami jego oczu ciągnęły się w powietrzu smugi rozmazanego blasku, które gasły dopiero po kilku dłuższych chwilach. Tertell i Hessirun zdawali sobie jednak sprawę, że mogą

się mylić w ocenie długości trwania tego zjawiska, ponieważ coś dziwnego działo się z czasem. Tracił spoistość, rwał się, zwalniał, przyspieszał albo zastygał w matowy bezczas. Jego konsystencja zrobiła się rzadka, porowata i zawirowana, przestała więc dawać oparcie i nie stanowiła już punktu odniesienia. Nie mogąc na nim polegać, kozymandisi nie umieli stwierdzić, jak długo trwają zjawiska, których doświadczają, ani tym bardziej określić, od jak dawna podążają za Wygiętymi Rogami. Cóż z tego, że świetnie pamiętali, że niuchacz zapewniał ich, że miejsce, do którego zmierzają, znajduje się bardzo blisko, skoro w obecnej sytuacji nic im to nie mówiło i w niczym nie pomagało, bo nie łączyło się w spójną zależność czasową. Poczucie zagubienia osaczyło ich jak skradające się w mroku zębaczce. Tertell i Hessirun niemal słyszeli ich chrapliwe oddechy, zduszone do cichutkich westchnień, łudząco podobnych do dźwięków, jakie wydaje wiatr prześlizgujący się po mechatych liściach. Potykając się i stąpając niepewnie na miękkich nogach, nerwowo rozglądali się na boki i podążali za swoim niewzruszonym przewodnikiem. Mocno trzymali się wiary, że Wygięte Rogi zdoła ich ochronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami i dotrzyma obietnicy, czyli że już niebawem doprowadzi ich do strumienia – tej cudownie zimnej, cudownie szemrzającej wody, która z pewnością zaspokoi dręczące ich pragnienie.

Hessirun nie pamiętał, by kiedykolwiek tak bardzo chciało mu się pić. Żeby sobie jakoś ulżyć, postanowił wyzalić się Tertellowi, ale gdy na niego popatrzył, w odwzajemnionym spojrzeniu mniejszego kozymandisa dostrzegł głębokie zrozumienie, obudowane gąszczem dodatkowych, bardzo subtelnych i przy tym niezwykle czytelnym znaczeń, które, Hessirun pojął to w mgnieniu oka, natychmiast znikną, jeśli tylko przekształci swoje myśli w słowa i odezwie się do Tertella. Zacisnął więc wargi i milczał. I patrzył,

a ciało Tertella mówiło do niego bez użycia słów. Skarżyło się, że też jest spragnione i że nie czuje się zbyt pewnie w tym odmienionym, nocnym lesie. Jego niepewność splatała się z troską o Hessiruna i z głębszymi warstwami lękliwych emocji spowijających jakiś kulisty, włochaty kształt, który był tak jakby ukryty w środku Tertella. Hessirun zaczął potrząsać łbem, żeby pozbyć się tego niepokojącego widoku, ale mający nerwowo ogon Tertella skarcił go szorstko i Hessirun przestał. Zawstydzony przeniósł wzrok na Wygięte Rogi, jednak ciało niuchacza było dla niego całkowicie nieczytelne. Albo nie miało mu nic do powiedzenia. Jednakże Wygięte Rogi musiał poczuć na sobie wzrok Hessiruna, bo zatrzymał się, odwrócił i spojrzał mu prosto w oczy. Unieruchomił go tym spojrzeniem. Szmaragdowe ogniki jego źrenic wypalały metaliczny półmrok. Zaiskrzyło w nich zadowolenie, jakby wreszcie stało się coś, na co czekał. Lekkim pochyleniem głowy i zgięciem tylnej nogi zasugerował, że teraz będą musieli coś zrobić. Hessirun nie potrafił jednak dociec, czego od nich chce. Spojrzał pytająco na stojącego obok Tertella, a jego nastroszona na karku sierść kazała Hessirunowi natychmiast skierować uwagę na swój nos. Łapczywie zaciągnął się zimnym powietrzem i poczuł słaby, ale wyraźny zapach płynącej wody, co w jakiś sposób sprawiło, że zielony blask Wygiętych Rogów zaczął przygasać. Po chwili świecił już tylko sam kontur jego niuchaczowego ciała, które straciło przez to swoją przestrzenność i stało się płaskie – tylko wysokie i tylko szerokie – jak otwór w kształcie kozymandisa wygryziony w nocnym powietrzu.

Tertell i Hessirun podeszli do niego ostrożnie i przekonali się, że nie jest to złudzenie. Wygięte Rogi faktycznie zmienił się w przejście, które prowadziło do na pozór takiego samego lasu drzewiastych Cicho Zielonych, w jakim się znajdowali, rozjarzonego łudząco podobną zieloną poświatą. Tertell okrążył

niuchaczowe przejście i zajął do niego z drugiej strony, żeby sprawdzić, czy nie jest to po prostu ten sam las, ale nie zobaczył zagładającego z naprzeciwka Hessiruna, musiał więc poważnie rozważyć możliwość, że chyba jednak nie jest. Hessirun odczekał, aż Tertell do niego wróci, a potem kilkoma szybkimi ruchami, wyrażającymi pewność i determinację, przecisnął się przez niuchaczowe przejście. A Tertell – tknięty nagłym przeczuciem, które podsunęło mu przerażającą wizję zamykającego się tuż przed nosem przejścia – skoczył za nim.

Po drugiej stronie wszystko było takie jak w lesie drzewiastych Cicho Zielonych, który przed chwilą opuścili. Prawie wszystko, bo kiedy spojrzeli do tyłu, okazało się, że nigdzie nie widać przejścia, w które zmienił się Wygięte Rogi. Otwór w kształcie kozymandisa zniknął i zostali sami. Porozumieli się wzrokiem, szcztując z siebie nawzajem pytania bez odpowiedzi i wątpliwości kielkujące strachem, gdy nagle dosięgły ich szmer i zapach płynącej wody. Wysnuły się spomiędzy gałązek małych drzewiastych i źdźbeł trawiastych Cicho Zielonych. Bez wątpienia chciały ich zaprowadzić tam, gdzie się rodziły. Pragnienie Tertella i Hessiruna też tego chciało, zatem kozymandisi natychmiast ruszyli szemrzącą ścieżką kuszącego zapachu.

Nieco dalej, może po kilku, może po kilkuset krokach, natrafili na szeroki jar, którego dnem płynął wartki strumień. Blask Księżycowego Kamienia lśnił na jego powierzchni jak cieniutka warstwa metalicznego szronu. Tertell i Hessirun weszli do płytkiej wody i przez pewien nieokreślony, poszarpany czas zaspokajali pragnienie. Gdy im się wreszcie udało, ich ciała nasiąknęły ulgą, która była jak pusta przestrzeń pod skórą, przyjemna, skupiająca uwagę, pozwalająca wreszcie połączyć ze sobą kilka bardziej skomplikowanych myśli, na powrót spajających oderwane od siebie chwile w jedną płynną strugę. Wymiana spojrzeń między Tertellem

a Hessirunem wypełniła tę przestrzeń spostrzeżeniami, które zgęstniały w jasną konkluzję – cichy szmer i zapach płynącej wody były tu razem z nimi, lecz nie były stąd, nie tu się rodziły.

Czyli jeszcze nie znaleźli się tam, gdzie powinni się znaleźć.

Ale wciąż mogli tam dotrzeć, bo szmer i zapach nadal chciały ich tam zaprowadzić.

Wśluchując się w ich podszepty, kozymandisi poszli w górę strumienia. Nie śpieszyli się, ostrożnie stawiali kopyta między kamieniami i często się zatrzymywali, żeby łyknąć wody albo oddać mocz ziemi. Wydawało im się, że Księżycowy Kamień toczy się po niebie w tempie ich marszu i przez cały czas znajduje się tuż nad ich głowami. Nie opuszczało ich to wrażenie aż do chwili, gdy dotarli do szerokiej jaskini, z której wypływał strumień. Co prawda, wciąż nie było to miejsce, w którym rodziły się szmer i zapach płynącej wody, ale stało się jasne, że istnieje tylko jeden sposób, aby do niego dotrzeć – trzeba wejść do grotu, zanurzyć się w nieprzeniknionej i mało zachęcającej ciemności, która ją wypełnia. Tertell i Hessirun lękliwie zatrzymali się na granicy blasku Księżycowego Kamienia. Wtedy ta dziwna rzecz nabita na róg Hessiruna, o której prawie zapomnieli, mimo że to przecież z jej powodu się tu znaleźli, rozbłysła mocnym złotym światłem, które na moment rozproszyło ciemność. Niemal w tym samym momencie, jakby w odpowiedzi, głęboko w trzewiach jaskini rozjarzyło się identyczne złote światło i zapraszająco ześlizgnęło się po powierzchni strumienia prosto pod nogi kozymandisów, niczym wychodząca im naprzeciw ścieżka migoczącego płynnego złota.

Świat, który zostawili za sobą, przestał istnieć. Stał się przerażającą czarną pustką skutą czarnym lodem. Tertell i Hessirun nie mieli wyboru. Mogli już tylko iść przed siebie, w głąb jaskini, tam gdzie lśniło złote serce góry, w którym rodziły się szmer i zapach płynącej wody.

F O O Q U I S
Z A R A U K I S
A R D

Sir Adam Raleigh wstał z fotela i zamknął drzwi na klucz.

– Chyba nie ma sensu czekać do szesnastej, skoro wszyscy zainteresowani przybyli już na miejsce – powiedział z uśmiechem.

Viktor dyskretnie rozejrzał się na boki. W pięknym i przyjemnie staroświeckim salonie elitarnego londyńskiego klubu podróżników, założonego w 1820 roku, siedzieli obok niego trzej mężczyźni: barczysty Azjata, wysoki rudzielec i potężny facet, który sprawiał wrażenie otylego i ledwo mieścił się w fotelu, ale chwilę wcześniej Viktor widział, z jaką lekkością wbiegł na strome schody prowadzące do salonu. Bez trudu przeskakiwał po kilka stopni i łatwo było dojść do wniosku, że w jego przypadku pozory muszą mylić. Wszyscy wpatrywali się w ogień trzaskający w marmurowym kominku i spokojnie czekali, aż Raleigh przejdzie do rzeczy.

– Cieszę się, że bezzwłocznie stawiliście się na wezwanie, i mam nadzieję, że w ten sposób okazaliście szacunek nie tylko pieniądzom, które wydaliście, ale także mnie.

Był irytująco pewny siebie i lubił się wsłuchiwać w brzmienie własnego głosu. Viktor przypuszczał, że bliżej mu do sześćdziesiątki niż do pięćdziesiątki. Sprężysty krok zdradzał, że jest w znakomitej formie. Długie i mocno przerzedzone włosy połyskiwały srebrzystymi pasmami siwizny, lecz Raleigh wcale się ich nie wstydził. Zaczesywał je do tyłu, pokrywał grubą warstwą brylantyny, dzięki której lśniły jak nawoskowane, i spinał dużą srebrną kłamrą. Ubrany był w luźne białe spodnie, białą koszulę i sweter, czyli w typowy strój do krykieta, który sugerował, że w porównaniu z innymi atrakcjami zaplanowanymi na ten dzień to spotkanie jest czymś błahym i mało znaczącym, zwykłą formalnością, po której Raleigh od razu uda się na boisko, by

rozegrać partyjkę krykieta ze swoimi przyjaciółmi. Otaczała go aura szlachectwa, nonszalancji i bogactwa. Viktor zerkał na niego z zazdrością, bo wiedział, że on nigdy nie będzie roztaczał wokół siebie takiego blasku. Cóż z tego, że przez całe swoje dorosłe życie ciężko pracował, miał trochę szczęścia i tuż przed trzydziestką udało mu się wejść do elity rosyjskich milionerów, skoro to nie wystarczy, żeby wyglądać i zachowywać się jak sir Adam. Tak naprawdę to o wiele za mało, bo tu nie chodzi tylko o pieniądze. Tajemnica tkwi w szlacheckim rodzie, który od tylu pokoleń żyje otoczony szacunkiem i wszelkimi zbytkami, że wychowuje swoich potomków w nonszalanckim poczuciu, iż wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia i liczy się tylko klasa. Sprawa była prosta – Raleigh ją miał, a Viktor nie.

– W istocie niewiele osób wie, że moja sława podróżnika kryje w sobie drugie dno; że podróżuję po świecie nie tylko po to, by odkrywać i badać nieznaną zakątki Ziemi – kontynuował Raleigh, krążąc po salonie. – Aż dziwne, że jeszcze żaden dziennikarz na to nie wpadł, chociaż łatwo połączyć moje częste wyprawy z pasją do polowań, której przecież nigdy nie ukrywałem. Powszechnie wiadomo, że co roku organizuję urodziny w Kenii i mają one charakter wielkiego safari. Prawda? Prawda. Ale dość o tym, bo przecież panowie wiedzą, czego szukam. Inaczej żaden z was nie przyjąłby zaproszenia. Ba, niektórych widzę tu kolejny raz. Panie Izajaki?

– Tak? – mruknął barczysty Azjata.

– Nie sądziłem, że pana na to stać. Dwa razy, rok po roku... Piętnaście milionów euro to niebagatelna suma. Nawet dla mnie. Mam nadzieję, że nie musiał pan nikogo zabić.

– Należało mu się – odparł poważnie Izajaki.

Obaj wybuchli śmiechem i atmosfera w salonie wyraźnie się rozluźniła.

– No dobra, wystarczy tych żartów. Przejdźmy tam, gdzie będziemy mieli do dyspozycji dobrze zaopatrzone barek i pomoce naukowe, które pomogą mi wprowadzić was w mój plan.

Sir Adam otworzył podwójne drzwi w głębi salonu i zachęcająco machnął ręką. Mężczyźni wstali z foteli i idąc za nim, weszli do dużej sali. Viktor domyślał się, co tam zobaczy, ale i tak oniemiał z wrażenia. Lśniący parkiet z ciemnego dębu skrzypiał pod jego butami, gdy wchodził między eksponaty.

Pod sufitem wisały morskie kolosy – kałamarnica olbrzymia i megalodon. Oba miały ze dwadzieścia metrów długości. Między nimi wił się zgięty w pół ciemnozielony wąż morski, który był od nich dwukrotnie dłuższy. Na ścianach, w podłużnych gablotach spoczywały masywne kilkunastometrowe węże. Pośrodku sali, na specjalnym postumencie, znajdował się ogromny łeb ptaka ruka. Sam jego dziób miał ponad cztery metry. Dokoła tego imponującego ptasiego trofeum, które w całości zapewne nie zmieściłoby się nawet w tak dużym pomieszczeniu, rozstawione były pozostałe okazy: stwór przypominający niedużego plezjozaura, gryf, jaszczurowaty koń kelpie, podobny do hieny leucrotta, najeżony ostrymi wypustkami gadzi kangur, czyli chupacabra, węzoptak amfisbena i nieforemny, zwalisty katoblepas, który wydaje się odlegle spokrewniony z hipopotamem i jego pysk wręcz poraża odrażającą szpetotą. Viktor rozpoznał także skrzydlatego byka z ludzką głową zwanego lamassu oraz moa, dodo, wilka workowatego i kilka odmian dużych człękokształtnych maszkar, wśród których można było dostrzec zarówno yeti, jak i sasquatcha. Okazy zostały mistrzowsko spreparowane i wyglądały jak żywe. Nawet oko w głowie ruka łypało drapieżnie na każdego, kto się do niej zbliżył.

Viktor przechadzał się wśród niesamowitych trofeów, przystawał na moment obok tych, których nie potrafił nazwać,

i szedł dalej jak zahipnotyzowany, pogrążony w cudownym, oszłamiającym śnie, z którego nie chciał się obudzić. Dopiero teraz, gdy zobaczył je wszystkie na własne oczy, dotarło do niego, na co tak naprawdę wydał swoje ciężko zarobione pieniądze i że coś takiego warte jest każdej ceny.

– Do mnie, panowie – ponaglił Raleigh. – Później będziecie mieli czas, żeby spokojnie obejrzyć kolekcję.

Mężczyźni zgromadzili się w rogu pomieszczenia. Stał tam kanciasty barek o imponujących rozmiarach i zawartości, a także stół zarzucony mapami, pośród których leżał laptop podłączony do dużego płaskiego monitora wiszącego na ścianie. Na obu ekranach tańczył windowsowy wygaszacz.

Raleigh skinął głową w stronę barku.

– Proszę się częstować. Mam tu prawie wszystkie rodzaje alkoholu. Każdy znajdzie coś dla siebie.

Wysoki rudzielec zakrzętnął się przy butelkach i zręcznie, niczym doświadczony barman, podał każdemu wybrany trunek. Po chwili wszyscy trzymali w dłoniach szklaneczki pobrzękujące kostkami lodu i sączyli wódkę, whisky lub gin.

– Wypijmy za spotkanie i porozmawiajmy o konkretach. – Raleigh teatralnie upił nieco wódki i odstawił szklaneczkę. – Ludzie, którzy was zwerbowali, z pewnością wyluszczyli wam podstawowe zasady, mimo to powtórzę je. Po pierwsze, nikt nie może się dowiedzieć, jaki jest prawdziwy cel naszej wyprawy. Po drugie, każdy z was, bez żadnych przykrych konsekwencji, może jeszcze zrezygnować z udziału, ale pieniądze zostają u mnie. Tak tylko przypominam, bo wiedzieliście o tym, gdy robiliście przelewy. Musicie również zdawać sobie sprawę, że stoicie tu, ponieważ prześwietliłem wasze życiorysy i poznałem mocne i słabe strony. Wasze grzechy i grzeszki. Właśnie pod tym kątem was wybierałem. Potrzebowałem ludzi, którzy mają coś na sumieniu. Ale nie bójcie

się. Z mojej strony nic wam nie grozi. Mówię to na wypadek, gdyby któryś z was zaczął myśleć o powiadomieniu prasy lub policji albo chciał mnie szantażować. Nie pozwolę na to. Wszelkie tego rodzaju działania zduszę w zarodku, nie przebijając w środkach. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Mężczyźni patrzyli na Raleigha w milczeniu.

– Widzę, że się rozumiemy. Ale jest jeszcze jedna zasada, o której do tej pory nie wspomniałem. Cokolwiek upolujemy, nikt nie weźmie tego do domu. Zdobycz trafi tu, do tej sali. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego? Wam pozostaną wspomnienia z niezwyklej przygody. Wyłącznie wspomnienia, bo jeśli w trakcie wyprawy zrobicie jakieś zdjęcia lub filmy, trafią one do mojego archiwum. Zresztą najlepiej by było, żebyście nie zabierali ze sobą żadnych kamer, aparatów fotograficznych czy innych elektronicznych gadżetów, ponieważ w miejscu, do którego się wybieramy, na niewiele się zdadzą. Występują tam elektromagnetyczne i grawitacyjne anomalie, które zakłócają, a często wręcz uniemożliwiają działanie takich urządzeń. Spójrzcie tutaj.

Raleigh wskazał na jedną z map leżących na stole.

– Panowie, Wyspy Foquis nie znajdziecie na żadnej mapie. Na tej również. To zdumiewające, ale natrafiono na nią dopiero w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Dokładnie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku amerykańska marynarka wojenna odkryła, że dwieście mil morskich na północny wschód od Wysp Midway znajduje się nieznana nikomu wyspa o powierzchni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Przyjrzyjcie się. Ten łańcuszek wysp na Pacyfiku to Grzbiet Hawajski. Ciągnie się on od dużych wysp hawajskich, przez Wyspę Lisianskiego, aż do niewielkiego atolu, którego pozostałości tworzą Wyspy Midway. Na samym końcu łańcuszka, tu, gdzie na mapie jest tylko Pacyfik,

znajduje się cel naszej wyprawy – Wyspa Foquis. Jej istnienie utrzymywane jest w tajemnicy i wojsko objęło ją bardzo restrykcyjną kwarantanną. Nikogo tam nie wpuszczają, ale dla nas zrobią wyjątek. Potrafię być bardzo przekonujący.

– Co tam jest? Czego się boją? – zapytał wysoki rudzielec.

– Dobre pytanie, panie Stevens – odparł Raleigh z chytrym uśmiechem. – Bo nikt tego nie wie. Wyspa od początku budziła żywe zainteresowanie naukowców. Przyciągały ich wspomniane już zakłócenia pola elektromagnetycznego i absolutnie unikatowe na skalę światową wahania grawitacji. Już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku powstało tam wojskowe laboratorium zajmujące się badaniem tych zjawisk. Był to trudny i kosztowny projekt, ponieważ warunki fizyczne sprawiały, że sprzęt używany przez naukowców niszczył się w bardzo szybkim tempie. Mimo to wojsko nie szczędziło środków. Tak było do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, gdy po tygodniowym sztormie na Pacyfiku urwał się kontakt z wyspą. Przez dłuższy czas nikt się tym nie przejmował. Częste awarie radiostacji i zrywająca się łączność były przecież czymś normalnym. Ale po miesiącu milczenia ktoś wreszcie uznał, że trzeba to sprawdzić, i wysłano tam krążownik raketowy *Hillman*. Gdy przybył na miejsce, okazało się, że baraki, w których znajdowało się laboratorium, są rozerwane na strzępy. Członkowie personelu również. Wszędzie walały się gnijące kawałki ciał. Pasły się na nich kraby.

Przeszukano rzadką dżunglę, która porasta niemal całą wyspę, ale nie natrafiono na nic groźnego, ponieważ nie ma tam żadnych dużych zwierząt. Z raportów jasno wynika, że fauna Wyspy Foquis jest bardzo uboga. A sposób, w jaki dokonano zniszczeń, i ślady pozostawione na ciałach praktycznie wykluczały również możliwość, że zrobili to ludzie. Co zatem zniszczyło laboratorium i zabiło personel? W trakcie badania terenu zauważono głębokie

stożkowate ślady, których było tam tak dużo, że początkowo nikt nie zwrócił na nie uwagi. Nie przypominały śladów jakiegokolwiek znanego stworzenia i prowadziły w stronę oceanu. Wniosek był prosty: coś wyszło z wody.

Hillman nawiązał kontakt z dowództwem i przedstawił fakty. Mimo makabrycznych okoliczności wojsko chciało odbudować laboratorium, ale dowódcy szybko zmienili zdanie, bo w nocy coś zaatakowało okręt. Pojawiło się nie wiadomo skąd i z pokładu krążownika porwało trzech stojących na warcie żołnierzy. Świadkowie zdarzenia zdołali oddać kilka strzałów, ale żadnemu z nich nie udało się trafić napastnika. Potem, zeznając pod przysięgą, zgodnie twierdzili, że wyglądał jak unoszący się w powietrzu wielki ptasi dziób. Sam dziób. Kapitan *Hillmana* rozkazał natychmiast podnieść kotwicę i od tamtej pory wyspa objęta jest kwarantanną. My jednak nie musimy się nią przejmować i już za nieco ponad dwa tygodnie zapolujemy na to, co tam jest. Jakież pytania?

Mężczyźni patrzyli na niego zafascynowani. Viktor nie potrafił ukryć rozpiekającego go zadowolenia. Jego żona, Lena, wściekła się, gdy z ich wspólnego konta zniknęło piętnaście milionów euro, i ciągle robiła mu z tego powodu wyrzuty.

„Na co wydałeś nasze pieniądze? Co mogło tyle kosztować? Czy ma to coś wspólnego z tymi twoimi polowaniami? Nie możesz sobie znaleźć jakiegoś tańszego hobby? Zaczynaj kolekcjonować ferrari! Jak chcesz, to wymyślę ci tysiąc sposobów na wydanie tych pieniędzy i jestem pewna, że każdy z nich będzie lepszy niż to, co z nimi zrobiłeś”.

Ale Viktor coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że nie ma lepszego sposobu.

– Świetnie – stwierdził zadowolony z siebie Raleigh, podsumowując cichy, lecz wyraźny entuzjazm mężczyzn, a potem

obudził uśpionego laptopa i wskazał na monitor. – Pokażę wam kilka satelitarnych zdjęć Wyspy Foquis...

* * *

Po trzech dniach pijaństwa, gdy członkowie wyprawy sir Adama zdołali się już dość dobrze poznać, cała grupa opuściła hotel i udała się na lotnisko Heathrow. Ich samolot wylądował w Nowym Jorku, gdzie przesiedli się do kolejnego, który leciał do Honolulu z międzylądowaniem w Los Angeles. Kiedy dotarli na Haiti, zaokrętowali się na dużym oceanicznym jachcie *Penela*, który należał do Raleigha, i przez dwa tygodnie płynęli na północny wschód. Pogoda im dopisywała. Bezchmurne niebo przeglądało się w spokojnym oceanie.

Gdy Wyspa Foquis pojawiła się w zasięgu wzroku, musieli się zatrzymać i poczekać, aż kapitan amerykańskiego niszczyciela *Bolt* zweryfikuje ich upoważnienia i zezwoli na wkroczenie do strefy kwarantanny. Trwało to kilka godzin, więc mieli dużo czasu, żeby przyjrzeć się wyspie przez lornetki. Drzewa kołysały się w łagodnej bryzie i nic nie wskazywało na to, że wśród nich czai się coś niebezpiecznego. Ale Viktor czuł już pod skórą to elektryczne napięcie, które pojawia się tuż przed polowaniem, i był przekonany, że inni czują dokładnie to samo.

Wreszcie wydano zezwolenie. Jacht wpłynął do małej zatoczki i dla bezpieczeństwa załoga zakotwiczyła go kilkadziesiąt metrów od betonowego mola, które wybudowano w tym samym czasie, co laboratorium, ale w odróżnieniu od niego było w całkiem niezłym stanie.

Raleigh zebrał myśliwych na górnym pokładzie – wszyscy zdążyli się już przebrać w kamuflujące stroje, uzbroić i obwiesić amunicją.

– Od tej pory działamy dokładnie według planu – oznajmił. –

Żadnej samowolki. Nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek uchybienia. Każde polowanie tego wymaga, ale tym razem musimy być szczególnie ostrożni, bo nie mamy pojęcia, co się tu kryje. Zaczniemy od rekonesansu. Meldujecie o wszystkim, co zobaczycie, nawet jeśli będzie to wasza matka lewitująca na nocniku. Każda rzecz może się okazać ważna! Zrozumiano?!

Mężczyźni potwierdzili, kiwając głowami, a potem w dwóch pontonach przedostali się na brzeg.

– Za mną! – powiedział zdecydowanym tonem Raleigh. – Obejrzymy sobie ruiny baraków. Według mapy powinny się znajdować niecałe sto jardów na wschód.

Po piętnastu minutach dotarli do miejsca, gdzie rosły nieco niższe, najwyżej pięćmetrowe drzewa. Między nimi widać było zardzewiałe kawałki połamanej anteny radiowej, betonowe słupki pokryte mchem i głębokie kałuże, na których dnie błyszczała wgnieciona w ziemię blacha falista. Dżungla upomniała się o teren odebrany jej niegdyś przez ludzi.

– Rozciągnijcie szyk. Stoimy zbyt blisko siebie. Też jestem podekscytowany, ale nie zachowujmy się jak dzieci – upomniał ich Raleigh i miał rację.

Zbyt mały dystans między myśliwymi sprawiał, że jako grupa byli łatwym celem dla dużych drapieżników. Musieli również uważać, żeby nie przesadzić w drugą stronę, gdyż zbytne rozproszenie prowadzi do sytuacji, w której każdy myśliwy narażony jest na potencjalny atak i nie może liczyć na szybkie wsparcie towarzyszy.

Viktor zacisnął dłonie na sztucerze i cofnął się kilka kroków. Adrenalina, która krążyła w jego żyłach, wyostrzyła zmysły i świat stał się niezwykle wyrazisty. Lubił ten stan. Podobne odczucia towarzyszyły mu, gdy podchodził niedźwiedzie, słonie i tygrysy, ale to, co czuł teraz, było znacznie intensywniejsze i znacznie bardziej

pobudzające, gdyż w przypadku tamtych zwierząt wiadomo było, czego się można spodziewać, a teraz polowali na coś nieznanego.

Nagle mignął mu jakiś ruch. Błyskawicznie złożył się do strzału. Nisko, pod krzakami, przycupnęło coś żółtoszarego. Drgnęło i Viktor instynktownie pociągnął za spust.

– Co pan wyprawia, panie Kumranov?! – krzyknął Raleigh. – Nie możecie strzelać do każdego listka, który...

Umilkł, gdy zobaczył to, co ustrzelił Viktor. Było nieduże. Wielkości małego psa. Pająkowate. Składało się z samych nóg. Zginały się pod ostrym kątem i łączyły w punkcie, w którym nie było żadnego zgrubienia – niczego, co przypominałoby tułów.

– Niesamowite – mruknął Raleigh. – Pierwszy raz widzę coś takiego. Brawo, panie Kumranov. Zabieramy to na jacht.

* * *

Blizsze oględziny przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Stwór nie miał żadnych widocznych narządów zmysłów, jego skóra była gładka jak plastik, a to, co kryło się pod nią, było jeszcze dziwniejsze.

– Nie jestem biologiem, ale żywa istota chyba powinna mieć różne otwory, które pozwalają jej przyswajać pokarm, wydalać produkty przemiany materii, oddychać i w jakiś sposób komunikować się ze środowiskiem – zasugerował Gustav Delly, otyły Brytyjczyk i były wojskowy, który zrobił majątek na licencjonowanych agencjach ochrony.

– Zgadza się – stwierdził Izajaki Sato, członek zarządu Sony. – To rzeczywiście dziwne...

– Pozwólcie, że głośno powiem to, o czym wszyscy skrycie myślimy – oznajmił zdecydowanym tonem Arthur Stevens, rudy biochemik zarabiający krocie na opatentowanych procedurach

uzdatniania paliwa lotniczego. – Pocisk Viktora oderwał temu czemuś dwie nogi i bez trudu można się przyjrzeć jego filigranowym kościom, splecionym z cienkich nici przypominających włókna węglowe, oraz otaczającym je resztkom białej, jakby silikonowej cieczy, która wypełniała przestrzeń między skórą a kośćcem... Wiecie, o czym mówię, też to widzieliście i sądzę, że tak samo jak ja wypatroszyliście w swoim życiu wystarczająco dużo zwierząt, żeby już na pierwszy rzut oka zorientować się, że mamy tu do czynienia z czymś zupełnie innym. Czymś, co nie jest stąd.

– A niby skąd? – zapytał Viktor.

Nikt nie odpowiedział.

– Może powinniśmy... – zaczął Izajaki, ale Raleigh nie dał mu dokończyć.

– W naszym gronie tylko pan Stevens jest naukowcem i później będzie dużo czasu, żeby z nim podyskutować o trofeum, które ustrzelił pan Kumranov, ale teraz musimy się zająć ważniejszą kwestią. Rzecz w tym, że nie wierzę w przypadki. To coś znalazło się tu z jakiegoś powodu, a my nie wiemy z jakiego. Nie wiemy również, czy ma to związek ze zniszczeniem laboratorium i śmiercią personelu. Oczywiście w obecnej sytuacji możemy zostać i kontynuować nasze safari, ale rozsądek podpowiada, że ryzyko może być zbyt duże. Nie spodziewałem się aż tylu niewiadomych. Nie mamy pojęcia, na co się tak naprawdę porywamy i co może nam grozić. Panowie, musimy wspólnie podjąć decyzję. Zostajemy czy odpływamy?

Raleigh nie był już taki pewny siebie, ale jego głos nie pobrzmiwał strachem, lecz rozdrażnieniem i irytacją kogoś, kto nie potrafi zrozumieć, dlaczego świat, który nigdy wcześniej tego nie robił, nagle przestał spełniać jego oczekiwania.

Mężczyźni obserwowali go w milczeniu. Radosna fascynacja,

która do niedawna lśniła w ich oczach, ustąpiła miejsca niepewności podszytej lękiem. Viktor spojrzał na wyspę. Ciemniała w zmierzchu. Nie chciał wracać do domu. Jeszcze nie. Kto wie, jakie zadziwiające cuda kryje w sobie to miejsce? Przecież to właśnie była ta wspaniała przygoda, za którą zapłacił. Miał z niej zrezygnować? Tak po prostu?

– Poczekajcie chwilę – powiedział, przerywając złowieszczą ciszę.

– Uspokójmy się. Nie uważacie, że przemawia przez was babska histeria? Przecież nikt z nas nie jest zoologiem. Być może jest to tylko jakiś osobliwy i bardzo mało znany gatunek morskiego kraba. Nie przesadzajmy z absurdalnymi spekulacjami.

– Co pan proponuje? – zapytał Raleigh.

– Zostańmy. Zrobmy to, po co wszyscy przyjechaliśmy, albo chociaż prześpijmy się i jutro podejmijmy decyzję.

– Świetny pomysł – powiedział z uśmiechem sir Adam. – Czy wszyscy zgadzają się z panem Kumranovem?

– Dla mnie może być – stwierdził Stevens. – Kto pierwszy staje na warcie?

Delly uniósł rękę.

– Mogę ja. I tak nie zmrużyłbym teraz oka.

Dwie godziny później usłyszeli jego wrzask. Przemieszczał się wysoko w górze. Nikt nic nie widział. Nie rozległ się ani jeden strzał. Myśliwi i członkowie nielicznej załogi jachtu wybiegli na pokład. Byli uzbrojeni i bladzi ze strachu. Żłosne wrzaski Delly'ego dobiegały teraz z głębi wyspy, która była ogromną czarną plamą zanurzoną w gwiazdzistej czerni nocnego nieba.

– Co robimy? – zapytał spokojnie Izajaki.

– Dość zabawy – warknął twardo Raleigh. – Mam tu trochę wojskowych zabawek. Karabiny i granatniki rewolwerowe. Weźmiemy je i pójdziemy po Delly'ego. Zabierzemy też noktowizory i wzmacniacze światła...

– Zaraz, moment – odezwał się Stevens. – Czy tylko mnie się wydaje, że to pułapka? Tu się dzieje coś dziwnego. Gdyby Gustava porwało jakieś zwierzę, już dawno by nie żył, a tymczasem grubas wrzeszczy w najlepsze, żebyśmy słyszeli, w którą stronę mamy iść.

– Ma pan rację, panie Stevens – odparł chłodno Raleigh. – Ale co to zmienia? Chce pan zostawić Delly’ego i odpłynąć? Tego pan chce?

– Nie – mruknął ponuro Stevens.

– No właśnie. Dobrze pan wie, że nie mamy wyboru. Nawet jeśli to rzeczywiście pułapka. Ruszajmy, nie ma czasu do stracenia. Za pół godziny wzejdzie księżyc.

* * *

Raleigh postanowił, że zejść na ląd po drugiej stronie wyspy. Opłynęli ją pontonami. W pierwszym siedzieli Raleigh i Viktor, a w drugim Izajaki i Stevens. Noktowizory i wzmacniacze światła dawały tak mętny obraz, pełen szumów i zakłóceń, że musieli z nich zrezygnować i przyświecali sobie zwykłymi czołówkami.

– To jakaś sztuczka – powiedział Viktor. – Cały czas świetnie go słyszać, mimo że jesteśmy w ruchu.

– Zdecydowanie – zgodził się Raleigh. – Ktoś chce mieć pewność, że usłyszymy go na całej wyspie. Jeszcze kilkadziesiąt jardów i dotrzemy do dużej polany, która ciągnie się wzdłuż oceanu. Pamiętam to miejsce ze zdjęć satelitarnych. Jest tam taki skalny ostaniec.

Po chwili dżungla się przerzedziła i rzeczywiście pojawiała się otwarta przestrzeń – płaski teren porośnięty wysoką trawą, szeroki na sto, a długi na blisko dwieście pięćdziesiąt metrów. Mniej więcej pośrodku sterczał spory głaz, który kształtem przypominał ząb trzonowy przeżarty zaawansowaną próchnicą. Krzyki Delly’ego były tu bardzo głośne. Wydawało się, że dobiegają gdzieś z bliska.

Raleigh przybił do brzegu. Zeskoczył na piasek i odbezpieczył karabin.

– Tak myślałem – powiedział. – To idealne miejsce na zasadzkę. Wciągnijcie pontony. Pójdziemy parami. Ja i pan Kumranov z lewej, a pan Izajaki i pan Stevens z prawej. Odbijamy Delly’ego i wynosimy się stąd. Ktokolwiek tu jest, damy mu popalić. Nikt nie będzie zadzierał z Raleighem! Nikt! Idziemy!

Ostrożnie weszli w trawę. W oddali zobaczyli Delly’ego, który siedział oparty o zębaty głaz, trzymał się za nogi i wydzierał na całe gardło. Zaczęli się do niego zbliżać z dwóch stron. Nie śpieszyli się. Uważnie obserwowali teren. Nie było widać żadnego zagrożenia. Zza drzew wyłonił się ogromny księżyc w pełni. Jego jasny, chłodny blask pokrył żdźbła trawy metalicznym połyskiem i załśnił na przyczajonych kształtach. Nagle wszystko eksplodowało ruchem. Zewsząd wyskoczyły pajęczaki, podobne do tego, którego ustrzelił Viktor. Zaterkotały karabiny. Ale stworów było bardzo dużo. Raleigh i Viktor wyciągnęli noże. Na przemian strzelali i cięli. Pajęczaki padały dziesiątkami, lecz na ich miejsce wciąż przybywały nowe. Biegały po nich, kłuły, drapały, próbowały wydłubać im oczy albo wbić ostre odnóża wszędzie tam, gdzie wyczuwały nagą skórę. Izajaki zawył z bólu. Pajęczak przebił mu ramię i zacisnął się na bicepsie. Stevens zdołał go zestrzelić, nie robiąc krzywdy Japończykowi, jednak co rusz obskakiwały ich kolejne chmary nacierających stworów.

– Szybko! Biegnijmy do nich! – krzyknął Raleigh. – Kiedy zbijemy się w ciasną grupę będzie im trudniej nas dopaść.

Myśliwi połączyli siły niedaleko głazu, stanęli plecami do siebie i udało im się odeprzeć zmasowany atak pajęczaków. Stwory wycofały się jak fala, która spływa z powrotem do oceanu.

– Padnij! – rozkazał Raleigh i wystrzelił z granatnika.

Huknęło. Chwilę później wypalił jeszcze raz, a potem znowu.

Zapadła cisza. Mężczyźni wstali. Wokół leżało mnóstwo porozrywanych pajęczaków.

– A niech mnie – jęknął radośnie Viktor. – Udało się! Zabieramy Delly'ego i wiejmy!

Podbiegli do wyjącego Brytyjczyka. Dwa pajęczaki wbiły mu się odnóżami w kolana i przytwierdziły je do ziemi, która była niemal czarna od krwi.

– Trzeba uwolnić przynętę – zarządził Raleigh, przeładowując granatnik. – Komuś nie wyszło dzisiejsze polowanie.

Gustav Delly miał wzrok zmacony bólem, ale zebrał się w sobie i wycharczał:

– Uciekajcie, idioci! To wy jesteście...

Gorący podmuch urwał mu głowę. Myśliwi odskoczyli, lecz wirująca, świetlista nić zamigotała w blasku księżyca i bez wysiłku, z lekką, taneczną gracją pocięła na kawałki sir Adama Raleigha i Izajakiego Sato, a potem zniknęła między drzewami. Viktor i Stevens szybko podczołgali się do głazu. Poszatkwane mięso parowało w chłodnym powietrzu. Viktor podniósł granatnik Raleigha i tak długo ostrzeliwał dżunglę, aż opróżnił cały magazynek. Po kilku nieznośnie długich chwilach, gdy kurz zaczął opadać, Stevens odważył się przyklęknąć. Rozejrzał się na boki. Coś gwałtownie ruszyło w ich stronę, ugniatając resztki trawy, jakby prosto na nich toczył się duży, niewidzialny obiekt.

– Spierdalamy! – syknął Stevens.

Poderwali się do biegu, ale za późno.

Eksplozja rozerwała zębaty gład i rzuciła nimi o ziemię.

Viktor obrócił się na plecy. Nie czuł nóg. Jakiś cień przysłonił księżyc. Spojrzał na niego. Z dżungli wyłoniła się istota rodem z koszmarnego snu. Była ogromna. Z krabowatej, sześcionogiej podstawy pokrytej kolczastymi wyrostkami wyrastała pionowo w górę gruba, niemal całkowicie przezroczysta szyja zakończona

pancerną i pozbawioną oczu głową, wyglądającą jak monstrualny ptasi dziób. Potwór opuścił dziobaty łeb, złapał coś i podniósł. Wtedy Viktor zobaczył, co to jest. Z nieprzyjemnym chrupnięciem szeroka paszcza pożarła bezwładne ciało Stevensa i nachyliła się nad nim. W głębi przezroczystej szyi zmasakrowane szczątki rudzielca rozwiały się jak dym. Nagle szeroka tafla białego światła odcięła potworowi głowę. Przerazający ryk rozdarł powietrze. Viktor poczuł ostry fetor moczu i gówna. Mimo braku czucia w nogach był pewny, że to jednak on stracił kontrolę nad zwieraczami. Przezroczysta szyja zniknęła i dziobaty łeb spadł na ziemię tuż obok Viktora. Krabowaty tułów z głośnym tąpnięciem zarył się w trawie. Znowu zaroilo się od pająkowatych, ale tym razem nie interesowały się Viktorem. Zabrały dziobatą głowę i wróciły jeszcze większą chmarą, żeby przenieść tułów.

Gdy ruszyły go z miejsca, od strony dżungli nadleciało coś, co przypominało pionowy prostokąt szarego blasku, wewnątrz którego przelewały się skomplikowane, fraktalne kształty. Wzrok się po nim ześlizgiwał. Nie dało się oszacować jego wielkości. Mógł być bardzo duży albo zupełnie maleńki. I nie miał grubości, tak jakby istniał tylko w dwóch wymiarach. Z jego dłuższych krawędzi, symetrycznie po obu stronach, poziomo wyrastały rtęciowe grzyby. Po jednym z każdej strony. Oba miały cienkie, falujące trzony zakończone soczewkowatymi kapeluszami o zwierciadlanej powierzchni. W ich wypukłej gładzi odbijała się zdewastowana walką polana, ale swojego odbicia Viktor tam nie zobaczył. Patrzył, patrzył i nie miał pojęcia, co właściwie widzi. Pająkowate zaciągnęły krabowaty tułów do dżungli. Świetlisty prostokąt poleciał za nimi. Viktor został sam.

Wsluchiwał się w szum oceanu i wpatrywał w księżyc. Powoli zaczynało do niego docierać, co chciał im powiedzieć Delly, zanim stracił głowę.

Pomyślał, że tamto coś, cokolwiek to jest, zna się na polowaniu lepiej niż oni. Sprowadziło ich tu z dziecinną łatwością, a potem wciągnęło w walkę, żeby wywabić z ukrycia dziobogłowego potwora. Viktor czuł, że umiera, ale mimo to chciało mu się śmiać, bo zdał sobie sprawę, że jeśli zsumuje się wpisowe wszystkich członków wyprawy sir Adama Raleigha, to wyjdzie na to, że byli najdroższą przynętą w historii.

Księżyc cierpliwie czekał, aż Viktor przestanie oddychać.



ZARAUK
ZELD
SOMORKINO
KHA
ARD

Nie wiedział, kim jest.

Nie wiedział, gdzie jest.

Migotały mętne, przelewające się obrazy, które nie zawierały w sobie nic, co dałoby się rozpoznać, a on czuł, że zapada się w szorstkim tchnieniu zardzewiałego metalu i zimnej, oślizgłej wilgoci wżartej w beton. Coś się w nim przesuwalo, coś gęstniało, aż w końcu samo z siebie wyłoniło się kamienne miasto z wysokimi domami, wyrastającymi ze skalnych ścian, i wąskimi brukowanymi uliczkami, zbiegającymi się na dużym placu wyłożonym płytami czarnego bazaltu, ponad którymi wznosił się kanciasty obelisk. Jego ogrom przyciągał wzrok, ale jednocześnie, im dłużej się na niego patrzyło, tym bardziej wydawał się niematerialnym, iluzorycznym kształtem, który skrywa coś zupełnie innego. Wpatrywanie się w obelisk wywoływało również wrażenie, że to, co jest spowite jego kamiennym wyglądem, lada moment ukaze swoją prawdziwą naturę. Wystarczy tylko poczekać.

Chwilę.

Chwilę dłużej.

I nagle nie ma już obelisku.

Jest za to kolumna szpiczastej ciemności, która błyskawicznie, jednym czarnym rozbłyskiem, pochłania kamienne miasto z jego wysokimi domami i wąskimi brukowanymi uliczkami.

Jest też poczucie zagubienia i dezorientacja, jak w trakcie wybudzania się z głębokiego snu, gdy rwące się strzępy sennych majaków niechętnie odklejają się od tężejącej świadomości i blednąc, próbują powstrzymać swoje znikanie. Albo jak wtedy, gdy mija głębokie, medytacyjne odprężenie wywołane dużą porcją marszumu i umysł powraca do swojej nawykowej formy. Staje się

sobą. Staje się czymś, co ma ciało. Staje się kimś, kto siedzi w ciemności nasączona delikatną złotawą poświatą, która przecieka przez maleńkie okrągłe otwory.

Wyciąga rękę i muska opuszkami palców ten przelewający się oleście ciężki zardzewiały blask. I rozpoznaje go. I już wie, kim jest. I już wie, gdzie jest. I już wie, co musi zrobić, bo pamięta rozkosz orgonowego iskrzenia i każde słowo nieznanego, który wyglądał tak samo jak on i pokazał mu dawną Arcybję.

Zwichrowany czas wpada w koleiny i rusza przed siebie zwykłym tempem. Razat zdaje sobie sprawę, że ma go niewiele. Szybko rozłącza utensylia. Wyjmuje spod skorupy uniwersalny klucz, wsuwa go pod krawędź pokrywy labiryntowego autoklawu i napiera. Pokrywa otwiera się z jękiem protestującego metalu. Ze środka urządzenia bucha gorąca para, którą Razat bardziej czuje, niż widzi. Parzy go w twarz i boleśnie kłuje w płucach, ale nie zważa na to. Zaciska zęby i szybkim ruchem wyrывa z autoklawu rozgrzane mosiężne rurki, które z głośnym brzękiem spadają na metalowe dno nieczynnej komory treningowej. Razat ani trochę nie żałuje, że musi zniszczyć swoje dzieło, z którego był taki dumny, bo wie, że bez względu na to, czy uda mu się zrobić to, co zamierza, czy nie, labiryntowy autoklaw nie będzie mu już do niczego potrzebny.

Czeka, aż rurki trochę ostygną, i słucha, czy nikt nie próbuje się dostać do komory. Potem, z pomocą uniwersalnego klucza, odrywa osłonę zamka w drzwiczkach, wymontowuje z niego kolistą zapadkę, a na jej miejsce wsuwa dwie mosiężne rurki. Szarpie się z nimi, bo nie chcą się poddać jego woli, ale w końcu udaje mu się je wygiąć i tym samym zablokować drzwiczki od środka. Dzięki temu zapewnia sobie kilka dodatkowych chwil spokoju, ale nie więcej, bo nie ma wątpliwości, że sprytni kapłani, wraz ze swoimi wiernymi akolitami, prędzej czy później znajdą sposób, żeby wedrzeć się do

komory. Dlatego Razat tym bardziej nie zamierza marnować czasu. Odpręża się. Mobilizuje. Uspokaja oddech. I przypominając sobie wszystko, czego nauczył się podczas treningów, sięga mentalnie, na wydechu, prosto w dół.

Świadomość podąża za tym ruchem.

Zazwyczaj nikt tego nie robi. Wszyscy akolici i kapłani zajmują się sondowaniem Zaraukarda i zagęszczaniem umysłów wokół starożytnych barier Tabotta, więc sięgają na boki, dookoła Arcybji, i w górę, ale nigdy w dół, ponieważ jest to przestrzeń kontrolowana wyłącznie przez Najstarszych.

A Razat spada z impetem w sam jej środek.

* * *

Dno głębokiej jaskini – po którym spływał wartki strumień przemieniony w chlupoczącą ścieżkę, rozbryzgującą się pod nogami kozymandisów jak płynne, lodowate złoto – wznosiło się coraz stromiej. Ale Tertell i Hessirun, wypełnieni blaskiem bijącym z wnętrza góry i zaprzątnięci wizją miejsca, w którym rodzą się szmer i zapach płynącej wody, wcale nie czuli, że wchodzą pod górę. Wręcz przeciwnie. Mieli wrażenie, że podążają w dół i że łatwość, z jaką się poruszają, bierze się stąd, że coś im pomaga, coś ich przyciąga.

* * *

Wilgotna i jednolicie szara otchłań pod Arcybją jest całkowicie pusta. Nie daje świadomości żadnego oparcia. Razat boi się, że jeśli nie znajdzie tu czegoś, co przyciągnie jego uwagę, będzie się w niej zapadał w nieskończoność. Szybko dochodzi jednak do wniosku, że w obecnej sytuacji gotów jest zaakceptować właściwie każde ryzyko,

i strach traci nad nim władzę. Razat przyśpiesza. Sięga niewiarygodnie głęboko. Nic nie powstrzymuje jego ruchu w dół. Ale nagle otaczająca go szarość zaczyna gęstnieć, napina się i drze na strzępy. Okazuje się bowiem sprytną iluzją, która skrywa to, co naprawdę znajduje się w otchłani. Razat przebija zwodniczą kurtynę i odsłania twardą smolistą czerń przepastnych jaskiń, na których dnie leżą zwinięte ogromne segmentowane cielska – trzy pędrakowate enqu-cromrachy. Dwa ciemne, całkowicie wygasłe i jeden tłący się słabym bladym światłem. Wokół tych ciemnych krzątają się liczni enqu-enqu i enqu-inza, którzy wydają się jacyś dziwni. Razat przywiera do nich świadomością, żeby wypatrzeć jak najwięcej szczegółów, i przeszywa go zimny dreszcz przerażenia, o wiele szybszy niż myśli, które pojawiają się tuż po nim: oni wszyscy są ślepi, zdeformowani, okaleczeni i zrośnięci z machinami, które napędzają siłą własnych mięśni. Są żywymi silnikami potwornego agregatu rzeźniczych makroutensyliów, które łapczywie wgryzają się w truchła martwych enqu-cromrachów, rozdrabniają ich galaretowate mięso, a potem przepuszczają je przez system połączonych kadzi, gdzie jest gotowane, zmienia strukturę pod wpływem fosforyzujących chemikaliów, z powrotem zagęszcza się w tyglach osadowych i suszy na podgrzewanych kratownicach, by ostatecznie stać się tym, czym żywią się wszyscy enqu w Arcybji.

Wszyscy, oprócz jednego.

Razat jest wstrząśnięty i rozdygotany. Czuje mdlące obrzydzenie do samego siebie, którego początkowo nie rozumie, ale ono ochoczo i bezlitośnie prowadzi go do odkrycia, że jakaś część jego umysłu przez cały czas zdawała sobie sprawę, czym on się żywi, skąd się to bierze i dlaczego tak wielu młodych enqu znika bez śladu i nikt nie zwraca na to uwagi, nikt o nic nie pyta. On też nie pytał. Nigdy. Łatwo było tego nie robić, gdy „on” to byli „oni”, bo

„oni” myślą, że są integralną częścią większego organizmu i w naturalny sposób oddają mu całe swoje istnienie, podporządkowują każdy odruch woli, by mógł z nimi zrobić wszystko, co konieczne, żeby przeżyć. Arcybją – to zdychające miasto śmierdzące rozkładem – w przedśmiertnych konwulsjach pożerała samą siebie i nie pozwalała, by przeszkadzały jej w tym jakiegokolwiek indywidualne potrzeby, jakiegokolwiek indywidualne „ja”. Dlatego Najstarsi dołożyli wszelkich starań, aby usunąć to „ja” ze świadomości wszystkich enqu.

Razat nie rozumie, czemu to zrobili. Czemu wygasili dawną Arcybję i zmienili ją w to, czym jest teraz? W to gnijące plugastwo... Nie potrafi też pojąć, w jakim celu sprowadzili Zaraukarda, który pochłonął większość miasta i osaczył ocalałych. Jaka siła do tego doprowadziła? Co musiało tu spaść i z jakiego niepojętego miejsca się tu dostało, że aż tak wypaczyło tych enqu?

Dojmująca niewiedza podsycia bolesne emocje, które targają Razatem, ale ma on w sobie również silne przekonanie, że to, co właśnie robi, to, co zamierza zrobić, nie tylko obudzi orgonowe iskrzenie i przywróci wszystkim enqu prawdziwe życie, lecz także, a może przede wszystkim, pomoże mu zrozumieć, co tu się stało, co sprawiło, że Arcybją jest teraz taka, jaka jest. Dzięki temu, mimo że rozsadza go wściekłość, rozgoryczenie i świadomość dotkliwej niewiedzy oraz drażniące poirytowanie własną wściekłością, rozgoryczeniem i świadomością dotkliwej niewiedzy, zachowuje wystarczająco dużo samokontroli, żeby zgromadzić te odczucia w jednym drżącym punkcie.

I tam pozwala im eksplodować.

Uwalnia się ogromna energia, lecz nie robi Razatowi krzywdy, ponieważ jest na to przygotowany. Natychmiast wypromieniowuje ją poza siebie i tworzy z niej pocisk wściekłej wibrującej mocy, utwardzonej i naostrzonej zacieklą determinacją. A potem, pchając

go przed sobą, kieruje się w stronę jedyne go żywego enquromracha i sięga w głąb jego potężnego segmentowanego cielska, tłącego się słabym bladym światłem.

* * *

Hessirun poczuł słabe szarpnięcie, jakby coś złapało go za róg, na którym miał tę dziwną świecąca rzecz, i lekko pociągnęło do przodu, w stronę złotego blasku bijącego z wnętrza góry. Zatrzymał się i spojrzał na Tertella. Chciał mu powiedzieć, co się stało, ale gdy nawiązał z nim kontakt wzrokowy, zrozumiał, że on już to wie – zobaczył albo w jakiś sposób też to poczuł. Stali więc w milczeniu, nie mogąc znaleźć słów, które wyraziłyby to, co wyłaniało się z ich chaotycznie rozbieganych myśli. Nie pomogła im w tym również fala gęstej złotawej światłości, która wytrysnęła z głębi jaskini, omotała kozymandisów ciepłą poświatą i cofając się, zabrała ich ze sobą.

To, co rośnie w brzuchu śpiącego Zaraukarda, nie jest miastem, ale dla tych, którzy tu przybywają, jest czymś w tym rodzaju; czymś, co w jakimś sensie miasto przypomina. Nie ma też nazwy. Albo ma ich wiele i tak naprawdę żadna tu nie pasuje. Nie istnieją drogi, którymi można tu dotrzeć, nie ma bram, przez które dałoby się tu wejść, i nikt nie może się tu dostać przez przypadek.

Dzieje się tak jedynie wtedy, gdy istoty z mgły, pajęczynowego metalu i ceramicznie utwardzonego światła – istoty, które nieustannie stwarzają to miasto niemiasto, a zarazem, żyjąc, przybierają jego kształt – powołują do siebie tych, których istnienie może się dopełnić tylko tu.

Przed sprowadzeniem do miasta niemiasta nikt nie wie, że takie miejsce w ogóle istnieje i że wszystko, czego w życiu doświadczał, prowadziło go właśnie tu. Wizja oczywistej nieuchronności zdarzeń pojawia się dopiero po

przybyciu. Nie jest to jednak wiedza, którą się stąd wynosi. Głęboka samoświadomość ekstatycznego współuczestnictwa w jakimś celowym i onieśmielająco skomplikowanym procesie wielowarstwowej egzystencji znika wraz z opuszczeniem tego miejsca.

Co zawsze następuje zbyt szybko.

To, co rośnie w brzuchu śpiącego Zaraukarda, nie jest ani mrocznym, cuchnącym slumsem skleconym z odpadków i wysuszonego na kamień mięsa, ani żywą strukturą składającą się z misternie zespolonych wymiarów, które przypominają bezkresną sieć nieustannie przebudowujących się modułów zagęszczonej, skryształizowanej przestrzeni, przenikających przez siebie tak płynnie i z tak wyraźną celowością, jakby szukały sposobu na utworzenie jakiegoś ostatecznego, harmonijnego kształtu, w którym mogłyby zastygnąć wszystkie możliwe formy przestrzeni, stając się jednym miejscem zawierającym w sobie wszystkie inne miejsca.

Nie.

To, co rośnie w brzuchu śpiącego Zaraukarda, jest czymś, czego każdy, kto zostaje sprowadzony do tego miasta niemiasta, doświadcza w zupełnie inny sposób.

Dla dwóch nowych obecności, które przybyły tu jako cieniutkie pędy rozżarzonego metalu przebijające się przez szorstką skorupę, lśniąco matowo niczym wilgotny kryształ ciemnoszarej soli, to miejsce jest jak kolosalna, szklista gardziel – przepastne wnętrze niekończącego się cylindra uformowanego z gładkiej półprzezroczystej materii, przypominającej ciemne popękane szkło oddychające pulsującym w jego wnętrzu niebieskofioletowym iskrzeniem, które wypromieniowuje więcej mroku niż światła i powoli niszczy cylinder od środka.

Metaliczne pędy szybko rosną w górę. Przepętnia je uczucie głębokiej satysfakcji. Nie chcą być nigdzie indziej. To jest właśnie to, co pragną robić, bo robiąc to, są sobą o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Bardziej niż jako zamin i perus w Linvenogre. Bardziej niż jako kozymandisi pasący

się pośród trawiastych Cicho Zielonych. Zarówno te, jak i wszystkie inne wcielenia, których wcześniej doświadczyły, były dla nich jedynie przejściowymi formami, w które musiały się wpasować, aby dotrzeć tu. Do tego miejsca. Do tego ekstatycznego, upajającego wzrostu. Zatem bez żalu porzucają je tam, gdzie przynależy każde z nich – w martwej, przychyłnej przeszłości.

I pną się do góry.

Rubinowe czubki rozżarzonych pędów coraz bardziej oddalają się od dna gardzieli. Mijając liczne głębokie szczeliny ciemniejące w szklistej powierzchni cylindra oświetlają zakotwiczone w nich kanciaste struktury utkane z gęstych splotów rdzawego pajęczynowego metalu i żyjące między nimi rozmażane atramentowe cienie, zaprzątnięte swoimi sprawami, ale nie aż tak, żeby nie zatrzymać się na moment i nie spojrzeć na bliźniacze smugi żółtoczerwonego blasku, które przecinają cylindrycznie zagiętą przestrzeń i wrastają w bezdenną otchłań.

Umysł enqu-cromracha – pogrążonego w tak głębokim śnie, że pod wieloma względami przypomina śmierć – jest jak żółtoczerwone migotanie żarzących się węgla powoli dogasających w palenisku. Emocjonalny pocisk Razata w niewielkim stopniu zmienia ten stan. Jego uderzenie wywołuje łagodne fale nieco jaśniejszego blasku, które rozchodzą się koncentrycznie i szybko gasną.

Właściwie to Razat nie miał konkretnego pomysłu, jak obudzić enqu-cromracha, i mocno trzymał się nadziei, że już samo sięgnięcie do jego umysłu zainicjuje proces wynurzania się świadomości z odmętów głębokiego martwicowego snu. Kiedy zupełnie niespodziewanie nadarzyła się okazja, żeby do jego przebudzenia wykorzystać też własne skumulowane emocje, natychmiast z niej skorzystał i był pewien sukcesu. Ale nadzieje i oczekiwania okazały się płonne.

Razat zwalnia i zatrzymuje się nad łagodnie migoczącą powierzchnią umysłu pradawnego enqu. Rozgląda się bezradnie i nie ma pojęcia, co powinien teraz zrobić. Coś jednak przyciąga jego uwagę. Nie rozumie, jak to się dzieje, lecz nie ulega wątpliwości, że w tej rozległej płaszczyźnie jednolitego, pełgającego migotania widzi coś, co niczym się nie wyróżnia i jednocześnie formuje wyraźny kolisty kształt, który nachalnie zaznacza swoją obecność w jego polu widzenia. Razat zbliża do tego swoją świadomość. Uważnie się przygląda. Kształt okazuje się okrągłą i pustą w środku rzeczą przypominającą złoty pierścień, unoszący się na powierzchni śpiącego migotania umysłu enqu-cromracha. Razat nie wie, czy dobrze robi, ale zagęszcza myśli, by dotknąć tej rzeczy swoją świadomością. Stara się być ostrożny, jednak już delikatny nacisk jego uwagi sprawia, że złoty pierścień zanurza się i znika pod bezładnym migotaniem.

Bezdenne otchłań niekończącego się cylindra rozświetla się łagodnym żółtoczerwonym migotaniem i z przepastnej pustki wysuwa się złota tuleja. Wychodzi naprzeciw dwóm metalicznym pędom, które odkrywają, że mają ze sobą coś, co wygląda niemal tak samo. Nie widać tego, ale jest tuż przed nimi, ukryte w pustym powietrzu – na stałe odcisnięte w świadomości metalicznych pędów, a zarazem istniejące na zewnątrz, poza nimi, w równie namacalny sposób jak one. I to coś przez cały czas napędza ich wzrost i nadaje im kierunek.

Ze szklistych ścian cylindra wystrzeliwiają niebieskofioletowe iskry. Łączą się z niewidzialną rzeczą, która przybyła tu razem z metalicznymi pędami, i wypełniają ją orgonowym iskrzeniem. Dzięki niemu szybko staje się widzialna. Po kilku chwilach iskrzenie tężeje w złoty podłużny kształt – w kolejną tuleję. Odrobinę mniejszą niż ta, która wychynęła z otchłani cylindra, ale poza tym niemal identyczną. Iskrzenie przeskakuje między tulejami i przyciąga je do siebie. Mniejsza gładko wsuwa się w większą

i wypycha z niej jajowaty złoto-miedziany kształt, który, sypiąc niebieskofioletowymi iskrami, szybko nabiera prędkości i znika w głębi cylindra.

Wiedzione magnetycznym tropizmem, któremu nie potrafią się przeciwstawić, rubinowe czubki odrywają się od metalicznych pędów i ruszają za jajowatym złoto-miedzianym kształtem.

Nagle, w miejscu, gdzie zanurzyła się okrągła rzecz dotknięta uwagą Razata, tryska gejzer cudownego niebieskofioletowego iskrzenia, które błyskawicznie rozchodzi się po umyśle enq-cromracha, budząc go z martwicowego snu.

Rosnące ciśnienie roziskrzonego orgonu wypycha świadomość Razata ku górze, tam gdzie jego ciało uśmiecha się z satysfakcją w mroku nieczynnej komory treningowej.

ZELD A

SOMORKINO KHAT

- Jeszcze raz, mamó. Proszę. Przeczytaj jeszcze raz.
- Znowu?! Nie jesteś ciekawa, co będzie dalej, co kryje się za tymi drzwiami na dnie króliczej nory?
- Jeszcze nie.
- To może chociaż dokończymy pierwszy rozdział, co?
- Czemu aż tak ci zależy?
- Ależ, Zeldo, kochanie, nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. To wspaniała opowieść. Tak bardzo chciałabym, żebyś zdążyła ją poznać, zanim...

Alicja z trudem zdusiła szloch. Bolesny skurcz gardła odebrał jej mowę. Miała wrażenie, że w przętyku utkwiał jej szorstki kamień. Wiedziała, że nigdy nie zaakceptuje tego, co dzieje się z Zeldą, i tego, co, jak twierdzą lekarze, musi się stać, ale od kilku tygodni z rozpaczliwą determinacją trzymała się nadziei, że zdoła choć troszkę pogodzić się z tym, co nieuniknione. Starła się. Naprawdę bardzo się starała. I nie chciała przyjąć do wiadomości, że to nie działa i z dnia na dzień jest z nią coraz gorzej.

Podobne jak z Zeldą, ale z zupełnie innego powodu.

A Zelda widziała, że mama jest coraz słabsza, i zdawała sobie sprawę, że musi jej jakoś pomóc, bo bez jej wsparcia nie da sobie rady i załame się tak samo jak tata, który prawie przestał ją odwiedzać, a gdy już przychodził do szpitala, to słowa grzęzły mu w gardle i przez większość czasu stał tylko nad nią ze łzami w oczach wycofany i zmaltretowany bólem, na który nie ma lekarstwa.

Przytuliła się do mamy.

– No dobrze. W takim razie przeczytaj mi jeszcze raz ten początek. Jeszcze jeden, ostatni raz. A później całą resztę.

Normalnie. Po kolei. Strona po stronie. Myślę, że wciąż mam wystarczająco dużo czasu, aby poznać zakończenie tej historyjki.

Alicja otarła łzy.

– Z pewnością, kochanie, z pewnością.

– To co? Przeczytasz jeszcze raz?

– Oczywiście, ale mam nadzieję, że nie czujesz się zmuszona.

Nie o to mi chodziło i przepraszam, jeśli...

– Nie, nie, w porządku, masz rację, mam, nie ma sensu tego przedłużać, czas wejść do Krainy Czarów.

Alicja pogłaskała Zeldę po łysej głowie połyskującej pergaminową żółcią. Zrobiła to z taką delikatnością, jakby się bała, że dotykiem może pogorszyć stan jej zdrowia. Potem wróciła na początek książki i zaczęła czytać. Z każdym kolejnym zdaniem głos Alicji stawał się coraz swobodniejszy i bardziej zdecydowany. Chętnie oddała się lekturze i pozwoliła, by jej uwaga podążyła za nurtem narracji. To koło nerwy i pomagało zapomnieć o tym, co budziło czarną trwogę.

Alicja czytała.

Alicja poczuła się strasznie zmęczona. Nudziło ją to siedzenie z siostrą nad rzeką, bo nie miała tu nic, ale to zupełnie nic do roboty. Raz i drugi zerknęła do książki, którą czytała jej siostra, tylko że w środku nie było żadnych obrazków ani nawet dialogów. Po co komu taka książka, pomyślała Alicja, w której nie ma ani obrazków, ani dialogów?

Zacząła się więc zastanawiać (a myślało jej się ciężko, bo upał sprawiał, że czuła się senna i otumaniona), czy chce jej się wstać, żeby nazbierać stokrotek i upleść z nich wianek – co wydawało się dość przyjemnym zajęciem... – gdy nagle tuż obok niej przebiegł Biały Królik o różowych oczkach.

Łaskoczący dreszcz przeszył Zeldę od krocza aż po czubek głowy. Wiedziała, dlaczego ten fragment zawsze go wywołuje, i chciała czuć ten dreszcz jak najczęściej, ale było dla niej jasne, że w żadnym razie nie może powiedzieć o tym mamie, bo w niczym by jej to nie pomogło, a jedynie przysporzyło zmartwień.

Pojawienie się Królika nie wydało się jej czymś BARDZO dziwnym, więc gdy usłyszała, jak mruczy pod nosem:

– Boże! O Boże! Nie zdążę! – też nie zdziwiła się ZA BARDZO (choć kiedy później zaczęła się nad tym zastanawiać, stwierdziła, że powinna była się zdziwić, I TO BARDZO, mimo że w tamtej chwili wydawało się jej to zupełnie zwyczajne). Dopiero gdy Królik wyjął z kieszonki surduta ZEGAREK NA ŁAŃCUSZKU, sprawdził godzinę, a potem przyśpieszył kroku, Alicja zerwała się na równe nogi.

W tym momencie Zeldę niezmiennie traciła zainteresowanie głupią Alicją i jej przygodami, bo reakcja dziewczynki na pojawianie się Królika, na pojawienie się czegoś absolutnie zdumiewającego i nieprawdopodobnego, była całkowicie fałszywa, wydumana, wymyślona przez kogoś, kto nie ma żadnego pojęcia o takich sprawach. Być może autor książki chciał w ten sposób zasugerować, że Alicja śni, gdyż to w snach najczęściej się zdarza, że nawet najosobliwsze rzeczy, zdarzenia i postaci nie alarmują zdziwienia, ponieważ wydają się czymś zwyczajnym, wręcz naturalnym. Zeldę była więc ciekawa, czy właśnie to okazuje się na końcu opowieści. Ale nawet jeśli faktycznie tak było, nawet jeśli ostatecznie wychodzi na to, że cała historia zamierza właśnie w tę stronę, nie zmieniało to faktu, że opis spotkania z Królikiem zgrzytał Zeldzie topornym

falszem i pozorowaną niezwykłością.

Bo to nie działa w ten sposób.

Tylko ta chwila, gdy Królik się pojawia, gdy przebiega obok Alicji, i w tekście nie ma ani jednego słowa o tym, że jest ubrany, ma w sobie to coś, odrobinę prawdziwego zetknięcia z niesamowitością, gdy w pierwszym odruchu świadomość próbuje nie dopuścić do siebie tego, co rzeczywiście widzi, nadając temu pozory normalności.

Ta chwila jednak mija i Alicja nadal niczemu się nie dziwi. Reaguje tak, jakby to był sen, i dopiero wtedy, gdy Królik wyjmuje zegarek z kieszonki surduta, dziewczynka orientuje się, że coś jest nie tak, i budzi się w niej poczucie dziwności.

Dopiero wtedy?! Cóż za niekonsekwentna bzdura!

Kiedy spotyka cię coś takiego, od razu wiesz, od razu do ciebie dociera, że dzieje się coś niezwykłego. I boisz się. I nie masz pojęcia, co o tym myśleć. I czujesz łaskoczący dreszcz przesywający ciało. Zelda to wie, ponieważ za każdym razem, gdy mama czyta jej o tym przebiegającym Króliku, czuje niemal to samo, co wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła coś niemożliwego, coś, co nie pasuje do tego świata. Co prawda nie był to Królik w surducie, lecz Zelda ufa swoim odczuciom i już samo to, że udawany Królik tej głupiej, ani śpiącej, ani nieśpiącej, Alicji potrafi swoim nagłym przybyciem ponownie wywołać tamto uczucie, tamten łaskoczący dreszcz, świadczy jej zdaniem o tym, że to, czego doświadczyła i czego wciąż doświadcza, jest jak najbardziej prawdziwe. Jest przebłyskiem czegoś prawdziwie obcego w świecie, w którym jej życie szybko dobiega kresu.

Głos czytającej mamy brzęczał niezrozumiale, jakby dobiegał z innego pokoju. Zelda uśmiechała się do siebie bezwiednie, balansując na granicy snu. Miesiąc temu obchodziła trzynaste urodziny i doskonale zdawała sobie sprawę, że czternastych już nie

dożyje. Chłoniak, który zawładnął jej ciałem, nie zamierzał porzucić zdobytego terytorium i sukcesywnie je wyniszczał. Nie robiły na nim wrażenia ani podawane dożylnie chemikalia, ani bezszelestny chłód promieniowania, którym lekarze próbowali go wypalić.

Nic nie pomagało.

Jednakże Zelda nie potrafiła się tym martwić. Im była słabsza, im bliżej jej było do śmierci, tym wyraźniej czuła, że opuszczając ten świat, powoli przechodzi do innego, którego subtelna, ale coraz intensywniejsza obecność wbrew okolicznościom działała na nią uspokajająco i sprawiała, że była niemal szczęśliwa. No i bardzo zaintrygowana. Bo chociaż nie miała wpływu na swoją chorobę i w żaden sposób nie mogła jej zaradzić, to jednak bez wątpienia dostała coś w zamian: ekscytującą możliwość podążania z nurtem głębszego istnienia. Dlatego przewrotnie lubiła o sobie myśleć, że dosłownie umiera z ciekawości – co będzie dalej, dokąd zmierza i jak będzie wyglądało to miejsce, gdy wreszcie do niego dotrze? Niestety, kolejność zdarzeń była odwrotna. Najpierw zaczęła umierać, a dopiero potem, już w szpitalu, odkryła, że to umieranie dokądś ją prowadzi.

Pewnego słonecznego dnia pod koniec drugiego tygodnia kuracji wkropili w nią trzy butle przezroczyściego płynu, który spowolnił jej ruchy i wypełnił głowę gęstym szlamem uniemożliwiającym sformułowanie nawet prostych myśli. Zelda zdążyła już dobrze poznać ten stan i wiedziała, w jaki sposób się rozwinię, więc od razu zażyła silną tabletkę na sen i gdy ogarnęła ją fala wręcz bolesnego zmęczenia, szybko pogrążyła się w głębokiej nieprzytomności. Ocknęła się dopiero późnym popołudniem. Nadal czuła się zmęczona, ale szlam wypełniający głowę nie był już taki gęsty i mogła niemal swobodnie myśleć. Bardzo chciało jej się sikać, była jednak za słaba, żeby wstać z łóżka.

Rozejrzała się. Jak na złość w pokoju nie było nikogo, kto mógłby jej podać basen. Z prawej strony łóżka znajdował się jednak przycisk dzwonka wzywającego pielęgniarki i Zelda była pewna, że przy odrobinie wysiłku zdoła go dosięgnąć. Zmobilizowała wątle siły i z trudem przetoczyła się na prawy bok. Gdy się obracała, ostry słoneczny refleks błysnął jej w oczy. Z wrażenia ponownie opadła na plecy. Przesunęła wzrokiem po przedmiotach znajdujących się w pokoju. Nie dostrzegła jednak nic, co mogłoby odbijać blask niskiego popołudniowego słońca prosto w jej twarz. Doszła więc do wniosku, że cokolwiek to jest, musi się znajdować gdzieś wyżej, nad nią. Na ścianie, suficie albo lampie. Ale tam również nic takiego nie było. Przechyliła głowę i znowu to zobaczyła, krótkie mignięcie, błysk, złote lśnienie słońca igrające na czymś szklanym albo na wypolerowanym metalu. Zawzięła się i ze zmrużonymi oczami przechylała głowę w lewo i w prawo, żeby to jakoś uchwycić spojrzeniem. Tak bardzo pochłonęło ją to zajęcie, że zupełnie zapomniała, że chce jej się sikać. W pewnej chwili ogarnęło ją niejasne przeczucie, że to coś jest tuż przed nią, ukryte w pustym powietrzu. Kiedy jednak zdała sobie sprawę z szaleńczej niedorzeczności tej myśli, natychmiast przestała szukać. Westchnęła i zachciało jej się płakać. Przykurczona wzbierającym szlochem przyciągnęła brodę do klatki piersiowej i wtedy to coś rozbłysło w całej okazałości. Ukazało się dokładnie tam, gdzie intuicja Zeldy wyczuwała zgrubienie pustego powietrza. Łaskoczący dreszcz przeszył ją od krocza aż po czubek głowy, dając do zrozumienia, że nie jest to zwykła halucynacja, a nawet jeśli jest, to ma w sobie także cząstkę realności innego świata.

To coś wisiało w powietrzu. Było kwadratowe i półprzezroczyste. Oślepiająco błyszcząco metalowymi pokrętłami i dźwigienkami oraz grubym soczewkowatym szkłem przykrywającym okrągłe i prostokątne cyferblaty, na których mieniły się dziwne, jakby

trójwymiarowe symbole.

Zaparło jej dech. Patrzyła na to olśniona, z trwogą, nie wiedząc, co o tym myśleć, i nie dbając o to. Uniosła rękę, żeby tego dotknąć, ale jej palce na nic nie natrafiły, przeniknęły przez to bez żadnego oporu, jakby niczego tam nie było. Nagle do pokoju weszła pielęgniarka i Zelda odruchowo spojrzała w jej stronę. Gdy zerwała kontakt wzrokowy, ta lśniąca półprzezroczysta rzecz natychmiast zgasła. Powietrze znowu stało się puste.

Zelda przyjęła to ze spokojem, bo choć nie widziała już tej rzeczy, przez cały czas czuła jej obecność i była przekonana, że wkrótce znowu ją zobaczy.

Nie myliła się.

Chłoniak nie ustępował. Wykazywał się wręcz niesłychaną pomysłowością w wymyślaniu coraz to nowszych i coraz bardziej skutecznych sposobów na wyniszczanie komórek jej ciała. W końcu tak bardzo urósł w siłę, że brzuch dziewczyny zaczął promieniować palącym bólem, który w wyobraźni Zeldy przybrał kształt oślizgłego, kolczastego powoju wrastającego w jej narządy wewnętrzne. Wtedy lekarze podali jej morfinę i stało się coś dziwnego. Nie sposób powiedzieć, że ból ustąpił, bo wciąż z nią był, ale wycofał się, odsunął na bezpieczną odległość, gdzie nadal robił swoje, lecz niegroźnie, w oderwaniu od jej ciała i w całkiem znośny sposób, jak potężna kolczasta bestia, która szaleje w ciasnej betonowej celi zamknięta za pancernymi i dobrze wytłumionym drzwiami. Wraz z bólem wycofał się również świat, który otaczał Zeldę. Oddalił się od niej. Zrobił pół kroku w tył. Wszystko stało się nieco mniejsze, jakby zamglone. Wszystko straciło na znaczeniu. Wszystko oprócz tej błyszczącej półprzezroczystej rzeczy, której obecność stała się jeszcze bardziej namacalna.

Od tej pory Zelda mogła się jej dowolnie przyglądać. Właściwie poświęcała na to każdą możliwą chwilę. Dzięki temu szybko

odkryła, że potrafi jej dotknąć swoimi myślami – swoją skoncentrowaną chęcią pobawienia się tymi błyszczącymi pokrętłami i dźwigienkami. Metodą prób i błędów nauczyła się wydobywać ją z ukrycia i chować, kiedy tylko chciała, choć tak naprawdę ta rzecz mogła przez cały czas pozostawać na widoku, gdyż, jak się okazało, była widzialna tylko dla Zeldy.

Zachęcona sukcesem gorliwie kontynuowała swoje eksperymenty, ale straciła entuzjazm, gdy okazało się, że chociaż zdołała znaleźć właściwy sposób mentalnego nacisku, który zmuszał dźwigienki i pokrętła do zmiany położenia, to jednak, jakkolwiek by je ustawiła, efekt zawsze był taki sam – żadnych widocznych reakcji. Mimo zniechęcenia ani przez chwilę nie myślała, żeby się poddać, i w końcu jej upór został nagrodzony. Badając obrzeże kwadratowej półprzezroczystej rzeczy, błyszczącej bez względu na to, czy za oknem świeciło słońce, czy nie, natrafiła na niewielką klapkę zakamuflowaną w lewym dolnym rogu. Musiała się trochę namęczyć, żeby ją otworzyć. Ale nie było dla niej niczego ważniejszego. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. Dlatego jej się udało.

Uniosła ją i znalazła ukryty pod nią przełącznik. Niewiele myśląc, naparła na niego myślami. Nie stawiał oporu.

Błyszcząca półprzezroczysta rzecz pękła na pół i otworzyła się. Stała się kwadratowym otworem, przez który widać było podłużny pusty pokój. Na jego końcu znajdowało się wysokie okno otwarte na gęsty las albo bardzo stary zapuszczony ogród. Tak porażająco prawdziwy, tak wstrząsająco i sugestywnie namacalny, że w porównaniu z nim nic, absolutnie nic, co do tej pory Zeldy widziała w swoim krótkim życiu, nie było ani prawdziwe, ani prawdziwie obecne.

Mama czytała.

Zelda co jakiś czas osuwała się w drzemkę i za każdym razem,

gdy się budziła i jej uwaga z powrotem doklejała się do opowieści o Alicji, dochodziła do wniosku, że nie jest to dobra książka. Były w niej same dyrdymały. Jakieś Morze Łez, jakieś kretyńskie wyścigi, jakiś Dodo, jakiś Bill. Wszystko bez sensu. I jeszcze ten ogromny szczeniaczek... Naprawdę? Kogo to obchodzi? Kto chciałby tracić czas na takie bzdety? Nieustanne zmniejszanie się i powiększanie. Nieznośny, wlokący się bez końca bełkotliwy sen. Gdziekolwiek spojrzysz, nic ciekawego, nic, co wciągałoby w opowieść.

Nagle zde gustowana Zelda usłyszała jednak coś, co ją zainteresowało. Nadstawiała uszu. Alicja czmychnęła do wielkiego lasu, gdzie na wielkim grzybie siedziała wielka gąsienica i spokojnie paliła długą fajkę wodną. Zelda słuchała czytającej mamy i oczyma wyobraźni widziała gęsty las, rozciągający się za wysokim oknem otwartym na końcu podłużnego pokoju, który mieścił się we wnętrzu półprzezroczystej błyszczącej rzeczy.

Teraz Zelda słuchała bardzo uważnie.

Pan Gąsienica i Alicja przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie bez słowa. W końcu Pan Gąsienica wyjął z ust fajkę i zwrócił się do niej sennym, leniwym głosem:

– Kimże TY jesteś?

Nie zabrzmiało to jak zaproszenie do miłej pogawędki. Alicja odpowiedziała mu nieśmiało:

– Kimże... ja... ja nie za bardzo wiem, proszę pana, kim teraz jestem, ale wiem przynajmniej, kimże ja BYŁAM, jak się obudziłam dzisiaj rano, tylko... tylko że od tamtego czasu zmieniłam się kilka razy w coś innego.

Duszne gorąco wypełniło jej płuca. Skądś znała Pana Gąsienicę.

Tak, tak, nie mogła go znać, to przecież postać z książki, a jednak znała, znała go dobrze. Pamiętała brzmienie sennie przeciąganych słów, gdy pytał ją: „Kimże TY jesteś?”. Pamiętała też, że to, co mu wówczas mówiła, rozjaśniało jej w głowie, układało myśli, tłumaczyło samo siebie, pomagało zrozumieć to, czym była, czym się stała i czym się stanie. I było coś jeszcze. Było coś wcześniej.

– Mamo, mamusiu...

– Tak, kochanie?

– Wystarczy. Jestem zmęczona i chce mi się spać.

– Dobrze, słonko, zostanę jeszcze...

– Lepiej już idź, mamo, robi się ciemno, a ty siedzisz od rana.

Przecież jutro też tu będę.

– Nie możesz mi tego obiecać.

– To prawda, ale przesiadując w szpitalu, niczego nie zmienisz.

– Przynajmniej będę przy tobie tak długo, jak tylko się da.

– Ależ, mamo, i bez tego wiem, że mnie kochasz.

– Nie o to chodzi, ja...

Zelda położyła dłonie na policzkach Alicji i spojrzała jej głęboko w oczy.

– Mamo, ja też bardzo cię kocham, ale mnie tu już właściwie nie ma, a na ciebie i tatę wciąż czeka życie. Tam, na zewnątrz, poza szpitalem. Nasze drogi się rozchodzą. Może nie dzisiaj, nie jutro ani pojutrze, lecz wkrótce. Definitywnie. Ja odchodzę, wy zostajecie. Nie ma w tym nic złego. Nie ma w tym niczyjej winy. Tak już jest. Tylko nie możecie się mnie tak kurczowo trzymać. Nie można się kurczowo trzymać kogoś, kogo za chwilę nie będzie, bo będzie bardziej bolało. Rozumiesz?

Dłonie Zeldy były mokre od łez. Odsunęła je od policzków mamy i wytarła w koc. Alicja skinęła głową, bo przez ściśnięte gardło nie mogła wykrztusić nawet krótkiego „tak”. Milcząc, wstała z łóżka, stanęła przed lustrem, żeby drżącymi rękami poprawić rozmazany

makijaż i przeczesać włosy. Potem westchnęła, narzuciła płaszcz na ramiona, zabrała torebkę i skierowała się do wyjścia. W drzwiach zawahała się i spojrzała na córkę.

– Do zobaczenia, kochanie.

Jej głos wibrował żalem.

– Do widzenia, Alicjo.

Na twarzy kobiety pojawił się cień słabego uśmiechu.

– Twoja babcia też bardzo lubiła tę książkę.

– Wiem.

– Jesteś taka mądra, mogłabyś...

– Nie, Alicjo, ja mogę. Kocham. Idź.

Mama delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Zelda odczekała chwilę, a potem sięgnęła po „Alicję w Krainie Czarów” i zaczęła ją wertować. Nie miała pojęcia, czego dokładnie szuka, była jednak pewna, że gdy to znajdzie, od razu będzie wiedziała, że to jest to. Po pewnym czasie uznała, że przerzucając kartki na chybił trafił, nie ułatwia sobie zadania, i znowu wróciła na początek książki. Pobieżnie czytając tekst, systematycznie przesuwiała się do przodu.

Przez moment miała wrażenie, że znalazła to w drugim rozdziale. W Morzu Łez.

– No tak, tak! Jak dziwaczne zdarzenia mnie dziś spotykają! A wczoraj wszystko było jak zawsze. Ciekawe, czy to może ja zmieniłam się przez noc? Zastanówmy się: czy kiedy wstałam rano, byłam taka sama jak zwykle? Bo wydaje mi się, że czuję się chyba troszkę inaczej. Ale jeżeli nie jestem tą samą Alicją, to muszę dowiedzieć się, kim właściwie jestem? Och, to dopiero trudna zgadywanka! – I zaczęła wymieniać w myślach wszystkie znane sobie dzieci w tym samym wieku, co ona, żeby sprawdzić, czy nie

została przypadkiem zmieniona w którąś z nich.

Ale nie. Nie o to chodziło. Co prawda było to zgodne z jej odczuciami, ale tylko częściowo, ponieważ nie czuła się teraz inną dziewczynką, lecz kimś zupełnie innym, może nawet czymś zupełnie innym, czymś zmiennym. Czymś, co było inne, zanim zachorowało, inne na początku choroby i jeszcze inne, gdy choroba niemal kończyła swoje dzieło. Kim zatem była naprawdę? Czym zatem była naprawdę?

Jak rozwikłać tę najtrudniejszą zagadkę?

Czytała dalej. Ponownie dotarła do Pana Gąsienicy. Minęła go przejęta, zastanawiając się, czy przecucie jej nie myliło i czy nie chodziło raczej o coś, co wydarzyło się po jej spotkaniu z tym Panem, a nie przed.

Kiedy o tym pomyślała, w mętnym powidoku niemożliwego wspomnienia znowu zobaczyła Pana Gąsienicę. Tym razem milczał. Palił tę swoją długą fajkę wodną i patrzył przez ogromne panoramiczne okno. Ciemnoszary dym spiralnie krążył wokół jego głowy. Za oknem, daleko w dole, po horyzont rozciągało się oszałamiające, na wpół materialne miasto, które nieustannie stwarzało się z rozmigotanego, niebieskofioletowego iskrzenia.

Coś było nie tak. Coś pominęła. Coś przeoczyła.

Nie mogła się oderwać od lektury. Zachłannie wpijała się w słowa. Czuła, że gdzieś ją prowadzą. Przesuwając po nich wzrokiem, jak po sznurku dotarła do Kota, który czekał na nią w świni z pieprzem.

– Koteczku z Cheshire – zaczęła dość nieśmiało, bo nawet nie wiedziała, czy spodoba mu się ten zwrot, ale on uśmiechnął się jeszcze

szerzej. Śmiało, chyba się ucieszył, pomyślała Alicja i mówiła dalej: – Czy byłbyś tak miły i podpowiedział mi, któredy mogę się stąd wydostać?

– To zależy od tego, dokąd chcesz się dostać – powiedział Kot.

– Wszystko mi jedno... – odparła Alicja.

– W takim razie nie ma znaczenia, któredy pójdziesz – rzekł Kot.

– ...dokądkolwiek, byle DOKĄDŚ – wyjaśniła dodatkowo Alicja.

– Och, z pewnością dokądś dojdiesz – odpowiedział Kot – jeśli tylko będziesz szła dość długo.

Alicja poczuła, że nie ma sensu mu się sprzeciwiać, spróbowała więc zapytać o coś innego:

– Kto zamieszkuje tę okolicę?

– Po TEJ stronie – powiedział Kot, machając prawą łapą – mieszka Kapelusznik, a po TEJ – machnął drugą łapą – Zając Marcowy. Możesz odwiedzić każdego z nich, obaj są równie szaleni.

– Ale ja nie chcę iść do nikogo szalonego – oświadczyła Alicja.

– Ale nic na to nie poradzisz – powiedział Kot – my tu wszyscy jesteśmy szaleni. Ja też jestem. I ty.

– Skąd wiesz, że jestem szalona? – zapytała Alicja.

– Musisz być – odparł Kot – bo inaczej by cię tu nie było.

Zimne ciarki przebiegły jej po rękach i plecach, jakby poczuła na sobie lodowate łapy niewidzialnego stwora, który niepostrzeżenie wyskoczył z książki. Błyszcząca półprzezroczysta rzecz na moment zamigotała w powietrzu. Pojawiła się i zniknęła, chociaż Zelda wcale nie wydobyła jej z ukrycia. Zanim rozplynęła się w powietrzu, dziewczyna zdążyła jednak zauważyć, że jest otwarta – mimo że zamykała ją za każdym razem, gdy przestawała się nią zajmować – i że zieleń za oknem podłużnego pokoju faluje poruszona w taki sposób, jakby coś, rozgarniając gałęzie na boki, właśnie się w niej

zagłębiło.

Mrugnęła i nie było już czego oglądać. Siedziała wpatrzona w białą ścianę pokoju, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje.

Nie miała odwagi wydobyć tej rzeczy i ponownie do niej zajrzeć, więc pochyliła się nad książką.

Chciała wyjaśnić i Kot wyjaśniał. Na swój sposób.

– A skąd wiesz, że ty jesteś szalony?

– Zacznę może od tego – powiedział Kot – że żaden pies nie jest szalony. Też tak sądzisz?

– No, chyba tak – stwierdziła Alicja.

– No więc – mówił dalej Kot – jak wiesz, pies warczy, kiedy jest zły, i macha ogonem, kiedy jest zadowolony. A ja warczę, kiedy jestem zadowolony, i macham ogonem, kiedy jestem zły. I dlatego jestem szalony.

– Nazwałabym to mruczeniem, nie warczeniem – zauważyła Alicja.

– A nazywaj sobie jak chcesz – powiedział Kot. – Grasz dziś z Królową w krokieta?

– Bardzo bym chciała – odrzekła Alicja – ale nie zostałam jeszcze zaproszona.

– Tam się zobaczymy – rzekł Kot i zniknął.

Jak się zobaczą, skoro ona nie ma zaproszenia? – zastanowiła się Zelda.

Ciekawe, od kogo je dostanie?

Starła się skupić na lekturze, żeby nie myśleć o tej błyszczącej półprzezroczystej rzeczy i falujących roślinach za wysokim oknem, ale mimo zdwojonych wysiłków jej myśli poruszały się równolegle

do tekstu i rzadko się z nim przecinały. Książka sama się czytała i Zeldą tylko częściowo była obecna na szalonym podwieczorku. Czuli, że teraz przyciąga ją coś innego, coś, co nie jest już związane z „Alicją w Krainie Czarów”. Czuli, że to, co ją zainteresowało w tej opowieści, było w niej tylko przez chwilę i już ją opuściło.

Mimo to nadal śledziła poczynania Alicji.

Podążyła za nią, gdy odeszła od stołu, zostawiając za sobą szalony podwieczorek, i gdy przez maleńkie drzwi w drzewie przedostała się do przepięknego ogrodu, w którym znajdowały się królewskie pola do krokietu.

Zatrzymała się zdumiona.

Dla pewności cofnęła się i jeszcze raz przeczytała rozdział „Szalony Podwieczorek”. Ale nie, nic nie przeoczyła. Nie było żadnego zaproszenia. Wtedy ją olśniło. W świni z pieprzem Kot z Cheshire wytłumaczył wszystko tak zwięźle, jak to tylko możliwe. Gdy Zeldą to zrozumiała, straciła ochotę na dalszą lekturę. Sprawdziła tylko, czy na końcu Alicja faktycznie się budzi, i z satysfakcją przyjęła do wiadomości, że przeczucie jej nie myliło. Uśmiechnęła się do siebie i odłożyła książkę.

Nie ma żadnego zaproszenia. I nigdy nie będzie. Coś jednak wskazuje drogę. I trzeba podjąć decyzję, czy chce się za tym podążyć, czy nie. Samo nic się nie wydarzy.

To, czym naprawdę jesteś, czeka na twój ruch.

Zeldą skupiła się i wydobyła z ukrycia błyszczącą półprzezroczystą rzecz. Wciąż była otwarta. Spojrzała w głąb podłużnego pokoju i wpatrzyła się w rosnące za oknem drzewa i krzewy.

Zebrała się w sobie i zrobiła coś, na co do tej pory nie miała odwagi – wyobraziła sobie, że wchodzi do podłużnego pokoju. I w mgnieniu oka już tam była. Szybko podbiegła do otwartego okna. Czuli się zdrowa, silna, zaciekawiona. Bez wysiłku wskoczyła

na mokry parapet. Pomyślała, że niedawno musiała tędy przejść silna ulewa, i zeskoczyła po drugiej stronie. Na mech, między ociekające wodą liście. Przedarła się przez nie i ocierając się o szorstką korę potężnych drzew, ruszyła przed siebie. Lekko stąpała bosymi stopami po omszałych korzeniach i błotnistym podmokłym gruncie. Nie wiedziała, w którą stronę powinna pójść, ale czuła w sobie wzbierającą pewność, że bez względu na to, dokąd się uda, w końcu i tak trafi tam, gdzie powinna, bo coś wskaże jej drogę.

Szła i szła. Spokojnie rozglądała się na boki. Zatraciła się w marszu. Nie było jej ani zimno, ani gorąco. Miarowo oddychała wilgotną ciszą leśnego zaduchu. Pozwoliła, żeby las ją prowadził, i po jakimś czasie dotarła do uschniętego drzewa, w którym na wysokości jej oczu ciemniała duża dziupla.

Stanąła na palcach i odważnie sięgnęła ręką głęboko w mrok. Włożyła ją do dziupli aż po bark, wymacała coś miękkiego, nabrała pełną garść i wyciągnęła.

Ciemność spowiła las jak gęsta mgła.

Zelda rozchyliła palce i odkryła, że trzyma w dłoni mokrą grudę włóknistego próchna, które migocze łagodnym żółtoczerwonym blaskiem, przypominającym żar dogasającego ogniska. Zmrużyła oczy, żeby się lepiej przyjrzeć, i wtedy ciężar tego, co trzymała w garści, pociągnął ją w dół.

Głęboko.

Bardzo głęboko.

Tam, gdzie Zelda może być wreszcie tym, czym naprawdę jest – żółtoczerwonym migotaniem, miękko szroniącym gładką powierzchnię pustki, z której powoli wyłania się tarrakentny kourarots, greżdżący replomentnym toreżem i rasmorem.

Greżdżący khat, khat, khakhim.

Greżdżący innaqu somorkino.

SOMORKINO

सोमोर्किनो

KHAT

Tenan i Hemel kulą się przerażeni, ale przewracający się Kamień nie robi im krzywdy. Rozlega się huk i twarda czerń bezboleśnie przepycha ich przez lity grunt, prosto w dół, w głąb pionowego heksagonalnego tunelu, gdzie natychmiast tracą poczucie własnego ciężaru. Z wrażenia upuszczają złotą tuleję, która spada, koziółkując. A oni, nieważcy, chaotycznie wymachują kończynami i kręcąc się w powietrzu, lecą za nią, za jej mętnym złotym blaskiem słabo rozświetlającym ciemne chropowate ściany.

Tunel nie jest długi. Jego niedaleki koniec jarzy się intensywną srebrzystą luminescencją. Gdyby spadali szybciej, już dawno by do niego dotarli, ale gęste powietrze stawia silny opór i zanim to się stanie, minie jeszcze kilka dłuższych chwil. Hemel chwytą Tenana za nogi, co trochę stabilizuje ich lot i pozwala przyrzeć się światłu, do którego zbliżają się wraz z koziółkującą tuleją. Obaj mają wrażenie, że jest w nim coś niepokojąco znajomego.

Hemel pierwszy odkrywa, dlaczego tak jest, ale nie potrafi się zmusić, żeby powiedzieć to na głos. Zamiast tego pyta:

– Widzisz to samo, co ja?

Tenan formuje ze swojej ektoplazmatycznej wypustki coś na kształt peryskopu i lustruje nim wylot tunelu. Po krótkim namyśle mówi:

– Trzeba się czegoś złapać.

Na chropowatych ścianach nie ma jednak żadnych uchwytów, żadnych szczelin ani niczego innego, co jeszcze mogłoby ich uratować.

Panika przejmuje nad nimi kontrolę i zaczynają wrzeszczeć. Stają się spadającym przerażeniem.

Nagle koziółkująca tuleja rozświetla większą przestrzeń

i okazuje się, że tuż przed końcem tunelu jego ściany rozchodzą się na boki i tworzą przestronną komorę. Tenan i Hemel wpadają do niej z impetem i niemal natychmiast się zatrzymują, pochwyceni przez bezcielesną siłę. Wrzask milknie, wraca spójny tok myśli, ale tuleja nadal spada. Podążają za nią wzrokiem. Dopiero teraz widzą, że jest tu coś jeszcze, coś, co niewyraźnie majaczy w wylocie tunelu. Jakiś nieforemny kształt. Ciemna bryła na tle jasnej luminescencji. Tuleja ma do niej spory kawałek, jednak już teraz widać, że w nią nie trafi, że minie ją w niedużej odległości. Gdy są już blisko siebie, gdy już mają się minąć, niespodziewanie ruszają ku sobie, jakby przyciągał je silny magnetyczny tropizm, i tuleja zanurza się w ciemnej bryle, która łapczywie pochłania jej złoty blask.

Zapada ciemność. Sama zimna luminescencja nie jest w stanie jej rozproszyć. Hemel i Tenan wyczuwają wokół siebie dziwny ruch, jakby przesuwały się ściany komory. Owiewają ich silne zawirowania powietrza, które wywołują wrażenie, że tuż obok przemieszcza się coś ogromnego, coś, czego nie da się zobaczyć. Strach obmacuje ich zimnymi palcami. Odruchowo przywierają do siebie i wtedy dookoła nich rozjarza się ciepły żółtoczerwony blask emanujący z żebrowanego kształtu spiralnie zwiniętego wewnątrz komory i przypominającego szkielet gigantycznej węzowej ryby, pokryty przezroczystym łuskowatym pancerzem. Żółtoczerwony blask pełga wzdłuż długich cienkich ości. Kłębi się pod przezroczystymi łuskami pancerza niczym gęsta para wodna. Hemel i Tenan nie mają pojęcia, co właściwie widzą, ale strach powoli wypuszcza ich ze swoich zimnych palców.

Sporo wam to zajęło.

– Panaplian? – pyta zdumiony Hemel.

Czekam na was od dawna.

– Jak to „od dawna”? – dziwi się Tenan. – Przecież dopiero przed chwilą nas tu zepchnęło.

Czas bywa zwodniczy.

– Chyba raczej wygląd – stwierdza złośliwie perus.

Zależy kto, gdzie i jak patrzy.

Tenan wygina swoją ektoplazmatyczną wypustkę w stronę Hemela, który wzrusza ramionami i milczy, więc perus dochodzi do wniosku, że to on musi przekazać złe wieści.

– Nie udało się.

Wręcz przeciwnie.

Spójrzcie w dół.

Hemel i Tenan spoglądają w stronę kolistego wylotu tunelu. Teraz, w żółtoczerwonym blasku rozjarzonego Panaplana, wyraźnie widać, że ta nieforemna bryła, która pochłonęła złotą tuleję, to nagi człowiek, zgięty w pół, powoli obracający się w powietrzu z podkurczonymi nogami i zgiętymi rękami przyciśniętymi do klatki piersiowej. Przez chwilę zamin i perus mają nadzieję, że wreszcie odnaleźli Drussa, ale gdy żółtoczerwone światło pada na ludzką twarz, nadzieja znika.

Co widzicie?

– Ciało Basala – mówi Tenan.

Czyżby?

Tym pytaniem Panaplian odbiera im pewność.

* * *

Świadomość Razata wraca do ciała. Sadowi się w nim. Dokleja do jego ciężaru i znajomej ciasnoty skorupy. Odzyskuje kontakt ze zmysłami. Otwiera oczy i słucha. Przez maleńkie otwory w ściankach nieczynnej komory treningowej wlewa się słaby oleisty blask, który wiruje leniwie jak mikroskopijne drobinki lepkiego, zardzewiałego złota. Przez moment Razat ma wrażenie, że nic się nie zmieniło, ale nagle zdaje sobie sprawę, że jest za cicho, że nie słyszy gwaru pierwszego poziomu Sanktuarium, który powinien choćby w niewielkim stopniu przesączać się do komory, i ta cisza jest tak gęsta, tak niezmacona, jakby tam, na zewnątrz, za tymi cienkimi metalowymi ściankami nikogo nie było.

Razat rozgina mosiężne rurki, którymi zablokował drzwiczki, i wychodzi z komory. Rozgląda się zdumiony. Wciąż jest tu mnóstwo enqu, ale żaden się nie porusza. Wszyscy zamarli w bezruchu. W dotyku są jak skamieniali – twardzi, zimni, pozbawieni życia. Nie da się ich przesunąć ani zmusić do zmiany pozycji. Lawirując między nimi, Razat kieruje się w stronę schodów prowadzących na drugi poziom Sanktuarium. Tam również widzi skamieniałych w bezruchu enqu. Wchodzi więc jeszcze wyżej i na trzecim poziomie zatrzymuje się pod Białą Piramidą. Patrzy na nią i czuje na sobie jej słabnący matowy blask, czuje, że lada moment zupełnie zgaśnie. Szuka wzrokiem Najstarszych i odkrywa, że ogromni enqu leżą znieruchomiali wokół Białej Piramidy. Mają

dziwacznie powykręcane kończyny i są pokryci grubą warstwą tłustego pyłu, jakby znajdowali się w tym stanie od bardzo dawna. Razat podchodzi do najbliższego, do Opata, przypatruje się mu z niedowierzaniem i idzie dalej, do następnych. Ogląda jednego po drugim.

Każdy z nich jest tylko pustą skorupą.

* * *

Im dłużej Hemel i Tenan patrzą na ciało Basala, tym bardziej nie jest to ciało Basala. Napór ich spojrzeń odziera go z kamuflujących pozorów, zmusza do reakcji, prowokuje zmiany i sprawia, że choć nadal ma dwie ręce, dwie nogi i głowę, to jednak nie wygląda już jak ciało, ale jak coś, co je tylko odlegle przypomina, a właściwie przypominało, bo błyskawicznie traci całe podobieństwo, pokrywa się gęstym niebieskofioletowym iskrzeniem i zaczyna rosnać. Niby-ręce i niby-nogi Basala wrastają w większą, pękatą bryłę, która co chwila wydaje się czymś innym – wielkim robakiem zwiniętym w kulę, szklistą i skurczoną macką, obłą mechaniczną grudą zbudowaną z tysięcy mikroskopijnych trybików poruszających się z prędkością rosnącej trawy, kryształową skorupą, wewnątrz której przelewa się gęsta ziarnista ciemność, połyskliwą świadomością powolnego światła, które lśni leniwie w pryzmatach niezliczonych ciekłych faset i obrysowuje w powietrzu niemożliwy kształt wielowymiarowej soczewki zakrzywiającej się w boleśnie nedorzeczny sposób... Wiele form, wiele obecności i rzeczy ukrytych w jednej formie, jednej obecności i rzeczy. Albo jedna forma, jedna obecność i jedna rzecz ukryta w wielu obecnościach, formach i rzeczach, które nagle przestają ją ukrywać pod swoimi nieustannymi przekształceniami i pozwalają jej w pełni zaistnieć. Dzięki czemu natychmiast przybiera stały, niezmienny kształt.

Staje się masywną bryłą ciemnego szkła, która idealnie pasuje do wylotu tunelu i zamyka go jak kuliste wieko sarkofagu. Niebieskofioletowe iskrzenie wsiąka pod szklistą skorupę i kłębi się w środku elektrycznym ogniem.

W żółtoczerwony blask Panaplina wkrada się jaśniejszy, pomarańczowy odcień i ogromne cielsko odrywa się od ścian komory. Napiera na Hemela i Tenana przezroczystym łuskowatym pancerzem, dociska ich do chropowatego muru, a potem przepycha przez jego lodowatą ziarnistość i wyrzuca w zimną luminescencję, promieniującą z rozpościerającą się daleko pod nimi równiny, utworzonej przez połączone ze sobą półprzezroczyste kształty, ani organiczne, ani mechaniczne, choć przywodzące na myśl te legendarne stworzenia, które żyją ponoć na dnie morza i o których wszyscy słyszeli, ale nikt, albo prawie nikt, nie może powiedzieć, że miał okazję naprawdę je zobaczyć.

Tenan i Hemel wiedzą, co to jest, bo wielokrotnie oglądali to za pomocą swoich tabloresorów i już wcześniej, w tunelu, rozpoznali tę zimną luminescencję. Ale jeszcze nigdy nie widzieli tego tak wyraźnie. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko. Jeszcze nigdy nie znajdowali się w Przestrzeni Konstruktu zarówno umysłem, jak i ciałem.

***Brzeg pustki to niewątpliwie
Fascynujący widok,
Ale lepiej się odwróćcie.***

Zamin niezgrabnie macha rękami i powoli się odwraca. Perus w ogóle się nie rusza. Nie musi. Kieruje swoją ektoplazmatyczną wypustkę do tyłu i już widzi to, co Hemel zobaczy dopiero za moment. Nie ma pojęcia, co to jest.

Razat staje na krawędzi najwyższego poziomu Sanktuarium i spogląda na miasto. Zaraukard wciąż otacza zrujnowaną Arcybję mglistomechanicznym murem, w którego głębi bez pośpiechu falują nieforemne bryły ciężkiego złoto-miedzianego blasku. Każdy enqu w zasięgu wzroku jest nieruchomym posągami. Stożkowate gniazda spowija gęsta cisza. Patrząc na to wszystko i chłonąc każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, Razat próbuje odnaleźć coś, co pozwoli mu wreszcie zrozumieć, co tu się stało i jaki to ma związek z tym, co zrobił w otchłani pod miastem. Ale mimo że powierzchnie rzeczy posłusznie odbijają się w jego umyśle, w niczym mu to nie pomaga.

Zastanawia się, czy powinien brać pod uwagę możliwość, że zabił pozostałych enqu i resztę życia spędzi samotnie w tym dogorywającym mieście. Myśli o nieczynnej komorze treningowej, która działała bez zarzutu, i o tym, że wydawało mu się, że przebudzenie ostatniego żywego enqu-cromracha wywoła zupełnie inny efekt, gdy nagle dobiega go cichy szeleszczący dźwięk. Ma w sobie coś ostrego, przenikliwego. Bez trudu wnika pod skorupę i nieprzyjemnie mrowi w głębi ciała. Razat nigdy czegoś takiego nie słyszał. Rozgląda się, szuka źródła tego dźwięku. Po chwili dostrzega, że w ciemnej otchłani pod miastem, którą widać w szczelinach między gniazdami i wzdłuż krawędzi żelbetowej prowadnicy, pojawia się delikatne niebieskofioletowe iskrzenie szybko przybierające na sile.

I to jest właśnie to, czego Razat się spodziewał.

Mimo że jest odwrócony plecami do Białej Piramidy, czuje, że zgasła. Zerka na nią przez ramię i widzi, że rozwiewa się jak dym. Coś z niej wypada. Nieduży bladoszary kształt. Razat ostrożnie rusza w jego stronę.

* * *

Rozjarzony żółtoczerwonym światłem Panaplinan powoli krąży wokół czegoś, co wygląda jak odwrócona, heksagonalna wieża wyrastająca z gładkiej czerni niskiego nieba, rozciągającego się ponad Przestrzenią Konstruktu, i wycelowana w dół, w stronę zimnej luminescencji obcych nie-mechanizmów pulsujących świetlistym tykotaniem pozornie żywych organizmów. Wieżowaty kształt, który połyskuje jak polerowany ciemnobrązowy kryształ, zakończony jest fasetowaną kulą. W jej najniższym punkcie, tam gdzie był wylot pionowego tunelu, widać niewielkie wybrzuszenie migoczące niebieskofioletowym iskrzeniem. Wybrzuszenie, którego jeszcze przed chwilą nie było.

– Co to jest? – pyta Tenan.

Chalcedonowy Poler.

– Taki, jak te w porcie? – docieka Hemel, przypominając sobie stalowe i betonowe pacholki, do których przywiązuje się cumy okrętów, i próbując zrozumieć, co one mogą mieć wspólnego z tym czymś.

Trochę inny.

– Trudno nie zauważyć – irytuje się Hemel. – Ale skoro to poler, to znaczy, że służy do cumowania, tak samo jak tamte, tak?

W pewnym sensie.

Hemel próbuje sobie wyobrazić, co mogłoby tu zacumować, ale czuje tylko zimno wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Mimo to chciałby

wiedzieć. Choć może nie aż tak, żeby zapytać wprost, więc ujmuje to inaczej.

– Coś tu już cumowało?

Jeszcze nie.

Przez chwilę Hemel i Tenan rozkoszują się irracjonalną ulgą, która natychmiast pierzcha, gdy Panaplian dodaje:

Ale to się zmieni.

– Kiedy? – pyta Tenan łamiącym się głosem, zdradzającym, że domyśla się, jaka będzie odpowiedź.

Za niedługo.

Patrzcie!

– Gdzie? – jednocześnie pytają Hemel i Tenan.

Na szczyt Chalcedonowego Polera.

Tam gdzie zwalnia się

Orgonowa cuma.

Kierują wzrok w tamtą stronę i widzą, że niebieskofioletowe migotanie przybiera na sile. Iskrzenie ponownie wydobywa się na powierzchnię szklanej bryły. Ale tylko na krótki moment, bo zaraz, niemal od razu, chowa się z powrotem i gdyby nie to, że Hemel i Tenan spojrzeli właśnie teraz, to z pewnością by to przeoczyli. Cofając się, iskrzenie zostawia na szklistej powierzchni metaliczne jajo, grafitowe i pobrużdżone, które prawdopodobnie zostało wypchnięte z wnętrza bryły. A teraz odrywa się od niej i powoli

opada w stronę równiny półprzezroczystych kształtów, tykających nie-organizmów, emanujących intensywną srebrzystą luminescencją. Opadając, obleka się pięknym złoto-miedzianym blaskiem i ciągnie za sobą migotliwą nić niebieskofioletowego światła.

Zaczęło się.

Lepiej, żeby nas tu nie było,

Kiedy zacumuje.

– Co? – pyta nerwowo Hemel. – Co zacumuje?

Panaplian nie odpowiada. Przestaje krążyć wokół Chalcedonowego Polera i w milczeniu zbliża się do Hemela i Tenana. Nagle w zasięgu wzroku pojawia się coś absolutnie zdumiewającego. Perus i zamin spoglądają z niedowierzaniem. Nawet Panaplian zamiera w bezruchu. Skądś wyłania się smukła krzemienna łódź, w której siedzi trzech nagich ludzi. W ciszy przelatuje tuż obok Hemela, Tenana i Panapliana. Ludzie patrzą na nich, a oni patrzą na ludzi. Przyglądają się sobie. Nikt nic nie mówi. Nawzajem odprowadzają się wzrokiem. Po chwili krzemienna łódź i jej pasażerowie znikają w oddali.

– Co to było? Co to miało znaczyć? – głośno zastanawia się Tenan, ale nie oczekuje odpowiedzi.

Chce powiedzieć coś jeszcze, lecz głos więźnie mu w skurczonej wypustce, ponieważ dostrzega, że w miarę jak otulone złoto-miedzianym blaskiem jajo zbliża się do srebrzystego tykotania splecionych nie-mechanizmów, zimna luminescencja Przestrzeni Konstruktu staje się coraz słabsza. Półprzezroczyste kształty, z których jest utworzona, zaczynają się kurczyć, rozłączają świecące odnóża, aż w końcu gasną i znikają. Wygląda to tak, jakby pod tym metalicznym jajem otwierał się kolisty portal prowadzący do

czarnej, kosmicznie bezdennej otchłani.

Teraz już wszyscy to widzą. I nie mogą przestać patrzeć.

Jajo opada coraz niżej. Migotliwa nić niebieskofioletowego światła nieustannie się wydłuża. Portal nie przestaje się otwierać. Jego krawędź przesuwana się pod Panaplianem, Hemelem i Tenanem i nadal mknie przed siebie. Oddalając się od nich, stopniowo wygasza Przechodnię Konstruktu. Robi się bardzo ciemno. Żółtoczerwony blask Panapliana grzęźnie we wszechogarniającym mroku i w jakiś przerażający sposób wzmacnia poczucie bezdenności rozwierającej się pod nimi otchłani i tego, że coś w niej jest.

Że coś się zbliża.

Chociaż Hemel i Tenan niczego tam nie widzą i niczego nie słyszą, poczucie, które ich ogarnia, jest o wiele mocniejsze i o wiele bardziej sugestywne niż to, którego doznali w jamie Ebreny.

Panaplian wydaje z siebie przenikliwy dźwięk, który przypomina paniczny, niemal infradźwiękowy gwizd, otrząsa się z bezruchu, szybko nurkuje w dół, a potem zawraca i kieruje się pionowo w górę. Cały czas przyspiesza. Gdy mija Hemela i Tenana, przyciąga ich do swojego łuskowanego, ciepłego ciałoskafandra i znika wraz z nimi.

* * *

Razat nachyla się i widzi, że z Białej Piramidy wypadła żywa istota. Nie jest to jednak żaden enqu, lecz coś innego. Choć tak samo jak większość z nich ma ona dwie ręce, dwie nogi i jedną głowę, jej skóra jest naga i miękka. Nie posiada skorupy, która mogłaby ją chronić i pod którą dałoby się coś schować. Cała jest pofałdowana i pokryta zmarszczkami.

Istota spogląda na Razata i mówi:

– Lamreh.

Po czym gaśnie nikły blask życia, który ledwo żarzył się w jej oczach. Istota nieruchomieje, pęka, kruszy się i rozsypuje w pył. Zrywa się wiatr. Przynosi zapach świeżości i otwartej przestrzeni. Razat czuje go głęboko w sobie. Jest jak przyjemne łaskotanie, dotyk zapomnianej, ale bardzo cennej, jedynej w swoim rodzaju emocji.

I czuje coś jeszcze.

* * *

Panaplian wyrzuca ich w oślepiające światło. Zataczają w powietrzu szeroki łuk i spadają na miękką, mokrą trawę. Otacza ich zapach wilgotnej ziemi. Podnoszą się z trudem, walcząc z niezgrabnym ciężarem własnych ciał, który wreszcie udało im się odzyskać.

Gdy światło traci oślepiającą ostrość, Hemel i Tenan dostrzegają kanciasty budynek z czerwonej cegły zwieńczony wysokimi wieżami ciśnień, nieliczne kominodomy, między którymi rosną karłowate akacje i kolczaste krzewy prakto, a także wznoszący się w oddali stożkowaty masyw Apolabium i złotą kopułę, która, pięknie połyskując w promieniach niskiego popołudniowego słońca, lewituje nad spokojnymi falami jeziora.

– Wróciliśmy! – mówi uradowany Tenan.

– Mhm... – mruczy bez entuzjazmu Hemel.

Perus kieruje na niego ektoplazmatyczną wypustkę i pyta:

– Co jest?

Hemel nie odpowiada, ale Tenan zauważa, że zamin nie patrzy na miasto. Spogląda więc w tę samą stronę, co on, i widzi, jak czarny, łuskowany stożek, ledwo wynurzając się z ziemi i rozgarniając mokrą trawę, oddala się w głąb rozmigotanego Pola Mżawki, które wygląda jakoś inaczej, ciemniej, tak jakby zza falującej zasłony drobnego, ale gęstego deszczu przebijał niewyraźny zarys czegoś wielkiego.

– Słyszałeś, co powiedział – mówi cicho Hemel.

– Żartował.

– On?! Nie wydaje mi się. Nie ma o tym pojęcia. Nie potrafi sklecić jednego sensownego zdania, a co dopiero... Nie. On nie żartował i nie kłamał. Basal, jama Ebreny, złota tuleja, Kamień, a potem nagle Przestrzeń Konstruktu... Nie masz wrażenia, że czegoś brakuje, że wydarzyło się coś jeszcze, coś, czego nie pamiętamy?

– Nie. Może. Trochę. Sam nie wiem. Jestem skołowany, a ty nie pomagasz.

– A on pomoże? – pyta Hemel, wskazując grubym, sękatym paluchem ciemne Pole Mżawki.

– Chyba nie zamierzasz...

Tenan aż przysiadł z wrażenia.

– Jeśli istnieje ktoś, kto wie, co tu się naprawdę dzieje, co stało się z Drussem i do czego nas wykorzystano, to stawiam na niego. Jestem przekonany, że tam, w samym środku pajęczyny, siedzi przemądrzały pająk.

– I spokojnie czeka, aż sami wpadniemy w jego sieć? To byłoby szaleństwo!

– Nie większe niż zejście do jamy Ebreny.

Tenan uspokaja się i zastanawia. Po chwili mówi:

– No dobra, zakładając, że Rakam mówił prawdę i Łowca Ludzi faktycznie tam jest, myślisz, że można tak po prostu do niego podejść i zapytać?

Hemel odchrząkuje flegmę, s pluwa w trawę i dygocąc, przestępuje z nogi na nogę. W żaden sposób nie ukrywa swojego strachu, co Tenan odbiera jako wyraz największego zaufania.

– I tak muszę... muszę spróbować znaleźć w tym jakiś sens. Muszę się przekonać, czy moje podejrzenia są słuszne. Ty zrobisz, co chcesz. Możesz wracać do swojego kominodemu. Nie będę cię

zatrzymywał.

– Nie ma mowy! Gdzie ty, tam ja. Też chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że możemy tego...

– Oszczędź sobie, dobrze?

Hemel wzrusza ramionami i rusza w kierunku Pola Mżawki. Cieszy się, że nie idzie tam sam.

Brną w wysokiej trawie. Mżawka przechodzi w rześisty deszcz, wokół snują się pasma rzadkiej mgły, spada widoczność. Zwalniają i rozglądają się uważnie, bo boją się, że wpadną do jamy Avorro, ale cały czas prą do przodu, kierując się na ciemny ogrom mający za falującą zasłoną deszczu. I mimo że przez dłuższy czas mają wrażenie, że nie tylko się do niego nie zbliżają, ale wręcz oddalają, tak jakby nie pozwalał im do siebie podejść, nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, przekraczają granicę, za którą już nie pada.

Za którą jest on.

Za którą jest to.

Długo stoją tylko i patrzą wstrząśnięci. Nie potrafią wydobyć z siebie żadnego słowa, bo żadne ze słów, które znają, nie znajduje tu zastosowania.

Wreszcie, po jakimś trudnym do określenia czasie, Tenan parska cichym, histerycznym śmiechem i mówi:

– Na Tabotta, spory ten pająk!

Hemel wydaje z siebie zduszony rechot i odkrywa, że znowu może mówić. Nawet w obliczu czegoś takiego.

– Nie dziwię się, że Rakam się wystraszył. Wreszcie spotkał się z czymś, co przerosło nawet jego. Jakim cudem nie widać tego z miasta?

Tu, za kurtyną deszczu, migoce bezchmurne nocne niebo z innego świata, tak gęsto usiane żarzącymi się punkcikami gwiazd, galaktyk, planet, mgławic i spiralnych obłoków, że

właściwie nie ma już na nim miejsca na czerń. Kosmiczny blask spowija wszystko delikatną poświatą. Dzięki niemu jest niemal tak jasno, jak w czasie zmierzchu, tuż po tym, gdy słońce schowa się za horyzontem, ale jest to jasność zupełnie innego, nieznanego na Usimie rodzaju; taka, która promieniuje z głębi rzeczy, z głębi kształtów. A zwłaszcza z głębi tego, co znajduje się przed i ponad Hemelem i Tenanem – z przezroczystej kuli, w której unosi się, a może pływa, kolosalna, wyszczerbiona czerń, przypominająca nierówno obrobiony obsydianowy grot strzały, skierowany ostrym końcem w stronę Linvenogre. Grot wielkości potężnej góry. Grot, który wcale nie jest z obsydianu. Grot, który jest jak szpiczasta planeta omotana własnym światłem i zamknięta w przezroczystej kuli własnej atmosfery, równie gęstej i twardej jak pancerne szkło.

Hemel i Tenan czują się porażająco małe i pozbawieni jakiegokolwiek znaczenia. Niczym mrówki wpatrzone w absurdalnie wielką szklaną kulę, która w żaden sposób nie pasuje do istnień i rzeczy, jakie znają, bo chociaż ziemia powinna się zapaść pod ciężarem jej obecności, ona ledwie muska ostre źdźbła trawy, które ani trochę się przy tym nie uginają.

Pomysł, żeby podejść do tego czegoś i spróbować o coś zapytać, wydaje im się teraz jeszcze bardziej pozbawiony sensu. Kto chciałby, żeby coś takiego zwróciło na niego uwagę? Kto mógłby powstrzymać coś takiego, jeśli faktycznie zamierza zniszczyć Linvenogre?

– Wracamy do miasta? – pyta Hemel.

– Popieram – odpowiada Tenan.

Ale nie ruszają się z miejsca. Chcą iść, lecz stoją wbrew sobie. Daleko przed nimi, pod wypukłą krzywizną przezroczystej kuli, wynurza się z ziemi małe czarne stożki – Panapljan. Jego obecność jeszcze dobitniej uświadamia oszałamiające rozmiary Łowcy. Rozlega się dziwne metaliczne brzęczenie, na które

odpowiada inne brzęczenie – szorstka subsoniczna wibracja, którą nie tyle słyszeć, ile czuć, całym ciałem, każdą kosteczką.

Hemel i Tenan zdają sobie sprawę, że Panaplian mówi coś do Łowcy, a on mu odpowiada, ale brzmi to dla nich tak, jakby przysłuchiwali się odgłosom ocierających się o siebie płyt tektonicznych, i nic z tego nie rozumieją.

– Ciekawe, o czym rozmawiają – zastanawia się Tenan i niespodziewanie dostaje odpowiedź.

– Odsyła go.

Zamin i perus rozglądają się nerwowo i ze zdziwieniem dostrzegają stojących niedaleko trzech Małych Ludzi. Istoty podobne do ludzi, ale dużo mniejsze, ubrane w dziwaczne stroje, pozszywane ze skórek upolowanych zwierząt oraz kawałków barwionego płótna i obwieszane przedmiotami nieznanego przeznaczenia, które znalazły podczas swoich nieustannych wędrówek. Zazwyczaj jakaś część ciała każdego z nich jest mechanicznym urządzeniem i ci nie są wyjątkiem. Jeden ma chwytakową dłoń, drugi lunetowe oko, a trzeci kwadratowy otwór w klatce piersiowej, w którym za mleczną szybką kręcą się powoli niewyraźne trybiki.

Rakam wspominał o nich, więc Hemel i Tenan nie są zaskoczeni. W każdym razie nie bardzo. Nie potrafią jednak pojąć, w jaki sposób udało im się niepostrzeżenie podejść aż tak blisko.

– Co powiedziałaś? – pyta Tenan.

– Odsyła go – powtarza Lunetowe Oko.

– Skąd wiesz? Rozumiecie ich?

– Trochę. Czasami – oznajmia Chwytakowa Dłoń. – Podśluchujemy wystarczająco długo.

– Czemu to robicie? – pyta Hemel.

– Z ciekawości.

– Nie boicie się?

– Umiemy zrobić tak, żeby nie zwracał na nas uwagi. Albo nasza obecność nie ma dla niego żadnego znaczenia – mówi z uśmiechem Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

Hemela zżera ciekawość, więc postanawia ich podpuścić.

– Jeśli naprawdę rozumiecie ich mowę, to z pewnością wiecie, o czym teraz mówi Panaplian.

– „Panaplian”?! – prycha rozbawiony Lunetowe Oko. – Nie brzmi jak imię. Raczej jak nazwa. Jak „śrubokręt”. A może „środo-kret”? Nigdy nie pamiętam, co jest co.

– Jesteście szaleni – stwierdza zde gustowany Tenan.

– A co to niby znaczy? – pyta zaczepnie Chwytakowa Dłoń.

Hemel prycha z wściekłością i próbuje zapanować nad narastającym rozdrażnieniem.

– Dobra, dobra! Wystarczy! Wiem, do czego to zmierza, i nie mam zamiaru się w to bawić! Tylko konkrety! Ten podłużny i łuskowaty, ten, który pływa w ziemi, powiedział, że nazywa się Panaplian, i teraz rozmawia z Łowcą, a my tracimy czas, zamiast słuchać tego, co mówi. Prawda, Tenanie?

– Ej, zaraz – mówi rozpromieniony Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej. – Ty jesteś Tenan?

– Tak – potwierdza perus. – A co?

– A więc ty musisz być Hemel – stwierdza Lunetowe Oko, patrząc wymownie na zamina.

– Skąd wiecie? – pyta nerwowo Hemel. – Skąd nas znacie?

– Nie was, tylko wasze imiona, słowa, które prawie zawsze wypowiedane są razem i których znaczenie udało nam się częściowo odszyfrować – tłumaczy Chwytakowa Dłoń. – Bo wiecie, trzeba do tego trochę wprawy, ale jak się dobrze wsłuchać w to ich brzęczenie, to da się czasem wyłowić coś, co brzmi jak słowo, które można powtórzyć, choć niekoniecznie zrozumieć. „Hemel” i „Tenan” pojawiają się dość często. Ciekawe dlaczego.

– No ciekawe – przyznaje z entuzjazmem Lunetowe Oko.

– Bardzo ciekawe – dodaje Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

Hemel mierzy ich wrogim spojrzeniem, potem zerka porozumiewawczo na Tenana, w końcu wzdycha i dość ogólnikowo, nie wdając się w szczegóły, opowiada Małym Ludziom o tym, co ich spotkało, o Drussie, Basalu, Menurze, współpracy z Panaplianem, jamie Ebreny, złotej tulei, Kamieniu, Chalcedonowym Polerze i otwierającej się Przestrzeni Konstruktu. Nikt mu nie przerywa. Gdy zamin kończy, zapada cisza, pulsująca wibrującą konwersacją Panapliana i Łowcy.

Wreszcie, po dłuższej chwili, Lunetowe Oko mówi:

– Słyszeliśmy niektóre z tych słów. „Druss”, „Basal”, „Menur”, „Ebrena”, „Apolabium”, „Rakam” z pewnością przewijały się wiele razy. Co prawda nie wiemy, ile nam nie powiedziałeś, ale przyjmujemy z wdzięcznością to, co dostaliśmy. W zamian możemy wam zdradzić, jakie inne słowa często powtarzają się w ich rozmowach. „Thrakorne”, „Kvall”, „Un-ku”, „Telkro”, „Nakmar”, „Yvvy”, „Ruma”, „Tankuni”, „Manakum”, „Enzabar”, „Travh-nahr”, „Ures”, „Fruchy”, „Odivale”, „Khat”, „Rairom”, „Sormmyrk”, „Nokra”, „Zergott”, „Hessirun”, „Sihamur”, „Tertell”, „Krek’h-pa”, „Moqudad”, „Lamreh”, „Arcybjja”, „Hermann”, „Zaraukard”, „Terence” i ostatnio, najczęściej: „Somorkino”. Znacie je? Coś wam mówią?

– Jedynie „Kvall”. Ale chyba niewiele nam to daje... – stwierdza przygnębiony Hemel. – Choć może to tylko poświstywanie pary wodnej w dziurawej armaturze kotła parowego, czyli przypadkowe dźwięki, którym sami przydajecie znaczenie.

– Równie przypadkowe jak „Hemel”, „Tenan” i „Kvall”? – kpi Chwytakowa Dłoń.

– Nie że zaraz wszystkie, ale niektóre, większość... – płacze się

zamin.

– Ciii – ucisza ich Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej, za co Hemel jest mu niezmiernie wdzięczny. – Mniejszy nas opuszcza.

Wszyscy spoglądają w kierunku Panaplina, który zatacza szerokie koło, nabiera rozpędu, a potem, niedaleko miejsca, w którym stoją, wyskakuje z ziemi niczym ryba z wody. Czarna, węzowata, ogromna ryba, choć jakże malutka przy Łowcy. Panaplian wznosi się po łuku, zwalnia i w najwyższym punkcie swojej trajektorii, gdy już ma zacząć spadać, zastyga w powietrzu, jakby tylko dla niego zatrzymał się czas.

Hemel, Tenan i Mali Ludzie patrzą urzeczeni.

Panaplian pęka wzdłuż i dzieli się na dwie bliźniacze połówki, które szybko się kurczą i odsłaniają wewnątrz ciałoskafandra wypełnione gęstniejącym światłem. Początkowo białym, a później coraz bardziej szarym. Szarzące światło przepoczwarza się w jakiś niewyraźny kanciasty obiekt. Dopiero po chwili widać, że to pionowy prostokąt szarego blasku, wewnątrz którego przelewają się skomplikowane fraktalne kształty. Wzrok się po nim ześlizguje. Nie da się oszacować jego wielkości. Może być bardzo duży albo zupełnie mały. I nie ma grubości, tak jakby istniał tylko w dwóch wymiarach. Skurczony ciałoskafander przyjmuje kształt rzęciowych grzybów wyrastających poziomo z dłuższych krawędzi prostokąta. Symetrycznie, po jednym z każdej strony. Oba mają cienkie, falujące trzony zakończone soczewkowatymi kapeluszami o zwierciadlanej powierzchni. Hemel i Tenan widzą, że w ich wypukłej gładzi odbija się tylko trawa porastająca Pole Mżawki.

Prostokąt wykonuje w powietrzu dziwny ruch, jakby pod czymś przelatywał, pod jakąś niewidzialną przeszkodą, albo wnikał pod fałdę rzeczywistości. Po czym znika.

– Już tak robił. Kilka razy – mówi Lunetowe Oko.

– Dlaczego? – pyta Tenan.

– Nie mamy pojęcia – stwierdza Chwytakowa Dłoń.

– A Avorro? Gdzie jest Avorro? – pyta Hemel, tknięty nagłym przeczuciem.

– Co to „Avorro”? – odpowiada pytaniem Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

– Vhral, który od wielu lat obserwuje stąd życie Linvenogre. Zazwyczaj chowa się w takiej jakby studni.

– Vhral? – Lunetowe Oko kręci głową z dezaprobatą. – Kiedy przybyliśmy w ślad za Łowcą, nie było tu żadnego vhrala i nic nie sugeruje, że kiedykolwiek był.

– Wielu go widziało – upiera się Tenan.

– I o czym to według ciebie ma świadczyć? – pyta Lunetowe Oko.

– Może był, ale uciekł, gdy zobaczył Łowcę. Albo ukrył się jeszcze głębiej w tej swojej jamie.

– Ta studnia, czy też, jak wolicie, jama, to część starożytnej struktury, która jest znacznie starsza niż Linvenogre i rozciąga się pod całym miastem.

– Jak to? Niby gdzie? – pyta Hemel, ale zaczyna się domyślać.

– Wszędzie, ale na powierzchnię wychodzi tylko w kilku miejscach. Wiecie, o czym mówię. Przecież znacie te wszystkie chalcedonowe konstrukcje. Nie wydaje wam się dziwne, że aż tyle ich jest? Nigdy się nie zastanawialiście, skąd się tu wzięły? Może to Łowca je zbudował i rozstawił tu dawno temu. Może jesteście jak myszy, które załęgły się w pustym domu. Tyle że właściciel wrócił i okazało się, że to wcale nie jest dom. Byliśmy w waszym mieście, przyjrzeliliśmy się tym konstrukcjom. Obejrzeliliśmy je sobie bardzo dokładnie. I mamy wrażenie, że Kamień przewraca się coraz szybciej – tłumaczy wylewnie Chwytakowa Dłoń.

– Nikt was nie złapał? – pyta sceptycznie Hemel.

– Mamy swoje sposoby. No i po wizycie u Łowcy Rakam kazał gwardzistom omijać nas z daleka – oznajmia Lunetowe Oko.

Perus i zamin chichoczą.

– Należało mu się – stwierdza z satysfakcją Hemel.

– Ale był tu ktoś jeszcze i nie miał już tyle szczęścia. Za bardzo chciał zwrócić na siebie uwagę Łowcy – mówi Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

Hemel zerka wymownie na Tenana i pyta:

– Kto?

– Znaie go. Wspominaliście o nim. Chodźcie, jest niedaleko.

Kilkadziesiąt kroków dalej Mali Ludzie pokazują im leżące w trawie zwłoki perusa, połamane i obrośnięte rdzawoczerwonym puchem pasożytniczego mchu. Wyglądają tak, jakby znajdowały się w tym stanie od bardzo dawna. Prawie nie sposób rozpoznać, kto to jest, mimo to Tenanowi wystarczy tylko chwila, żeby dostrzec charakterystyczne zgrubienia na kolanach i wyczuć pozostałość jedyne go w swoim rodzaju zapachu xulo przechowywanych w wilgotnej piwnicy.

– To... to Menur – mówi, próbując zebrać myśli. – Co mu się stało?

– Łowca obdarzył go swoją uwagą – odpowiada Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

Tenan i Hemel czują narastającą grozę, która jest jak zimny oddech śmierci stojącej tuż za nimi.

– Czego chciał? O co pytał? – wydusza z siebie z dużym trudem Hemel.

– Martwił się o was, próbował się dowiedzieć, co się z wami stało i co stało się z tym Drussem, którego tak zawzięcie szukacie – mówi Lunetowe Oko. – Właściwie to czemu aż tak wam na nim zależy?

– Nie jest taki jak my. To człowiek, który...

– Człowiek?! Nie mówiliście, że Druss to człowiek. Jesteście pewni? – pyta z niedowierzaniem Chwytakowa Dłoń.

– To teraz rzadkie zjawisko – dodaje Lunetowe Oko.

– Być może, niemniej jednego tu mieliśmy – mówi Tenan.

Mali Ludzie nachylają się ku sobie i naradzają szeptem.

– Wiecie, co tu się dzieje, prawda? Dlaczego nie chcecie nam powiedzieć? – pyta Hemel. W jego głosie pobrzmiwają wściekłość i rozpacz.

Mali Ludzie przerywają naradę i wpatrują się w zamina.

– Przecież nieprzypadkowo nazywają go Łowcą Ludzi. Wydaje mi się, że chce dopaść Drussa, że szuka go tak samo jak my, ale w przeciwieństwie do nas wie, gdzie on jest, tylko z jakiegoś powodu sam nie może się do niego dostać i wykorzystuje do tego nas. Robi to jednak w taki sposób, żebyśmy się nie zorientowali, w czym właściwie bierzemy udział. Czy tak jest? Powiedzcie. Proszę...

– Uspokój się – mówi stanowczo Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej. – Nic ci to nie da. Zawsze złości cię to, na co nie masz wpływu? Wkurza cię uporczywy deszcz? A może dotkliwy mróz? Tak? Podejrzewam, że wcale nie muszę wam tego tłumaczyć. Już to wiecie, przeczuwacie to, tylko nie chcecie przyjąć tego do wiadomości. A przecież dzielimy niemal to samo spojrzenie, tę samą formę percepcji, te same ograniczenia. Czy nie jest to oczywiste? Czy wciąż nie rozumiecie tej prostej, lecz fundamentalnej kwestii?

– Niby jakiej? – pyta głucho Hemel.

– Imię tego czegoś, imię, które nadali mu tacy jak my i tacy jak wy, tak naprawdę nic nie znaczy. Równie dobrze moglibyśmy to nazwać zupełnie inaczej, dajmy na to Nyklumb, albo Bmulkyna, albo jak tam sobie chcecie, ale każde słowo, jakiego użyjemy, będzie tak samo pozbawione prawdziwego znaczenia, jak to, którym posługujemy się teraz. Mimo to mamy szczęście. Pszczoły patrzą w górę i nie widzą pszczelarza, bo sama idea pszczelarza nie mieści się w ich rzeczywistości. My widzimy trochę więcej, widzimy, że coś

się dzieje, lecz niespecjalnie rozumiemy to, co widzimy. Nie mamy najmniejszego pojęcia, jakie myśli się za tym kryją i czy w ogóle przypominają nasze myśli, nie mamy też żadnej wspólnej płaszczyzny, żadnych punktów podparcia, dzięki którym moglibyśmy wyjaśnić poczynania tego czegoś. Pomyślcie. Naprawdę sądzicie, że coś takiego musi polować, że musi czegoś szukać? To funkcjonuje na zupełnie innym poziomie. Przejrzało na wskroś nasze owadzie wysiłki, jeszcze zanim pojawiliśmy się na tym świecie, i wie więcej o naszym istnieniu, niż my kiedykolwiek zdołamy się dowiedzieć. To się zjawia, bierze to, czego potrzebuje, i robi z tym, co chce. Używa.

– Do czego? – pyta Hemel.

SOMORKINO

KHAT

Potężny głos przeszywa na wskroś. Nie ma najmniejszej wątpliwości, kto przemówił. Hemel i Tenan dygocą ze strachu. Nie patrzą w stronę Łowcy. Próbują trzymać się myśli, że wcale go tu nie ma, bo to pomaga im zostać w miejscu, powstrzymuje przed ucieczką.

– Zsynchronizował się z wami i nadal żyjecie – mówi z uznaniem Chwytakowa Dłoń. – Musicie być integralną częścią jego działań. Jeśli tu faktycznie był człowiek, to Łowca już dawno się nim zajął. Użył go, a wy, jak słusznie podejrzewacie, zapewne mu w tym pomogliście.

– Ale mieliśmy odnaleźć Drussa, ocalić Linvenogre, odzyskać dawne życie... – mówi zdruzgotany Tenan.

– Naprawdę? Skąd ta pewność? Może wasza wola nigdy nie była wasza. Beznadziejne próby ratowania czegokolwiek zostawcie Rakamowi. To jego smutny los. Jego droga. Obecność człowieka przechyliła szalę. Gdy Przestrzeń Konstruktu w pełni się otworzy, coś się wydarzy.

– Coś zacumuje... – szepcze Hemel.

– Tak wam powiedział ten mniejszy, ten, na którego mówicie Panaplian, tak? – pyta Lunetowe Oko i sam sobie odpowiada: – No tak, cóż innego mógłby powiedzieć. My i tak nie możemy tego zobaczyć, choć całą resztę być może tak. I do tego siedzimy niemal w pierwszym rzędzie.

– O czym wy mówicie, na Tabotta? – świszczy panicznie Tenan.

– O tym i owym – odpowiada, chichocząc, Chwytakowa Dłoń.

– Nie rozumiem, jak możecie się śmiać – jęczy perus, niemal całkowicie chowając ekto plazmatyczną wypustkę.

– Obecność człowieka przechyliła szalę – powtarza Lunetowe Oko.

– Co to znaczy?

– Że nic nie można poradzić. Łowca z pewnością zrobi to, po co

przybył. To tylko kwestia czasu.

– Czyli co? Co właściwie robi? Co znaczą te dziwne słowa, które wypowiedział? – pyta Hemel, pewny, że tym razem uda mu się wyciągnąć od Małych Ludzi nieco więcej.

Ale Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej wskazuje palcem na Linvenogre i mówi:

– Znaczą to.

Wszyscy kierują wzrok w stronę miasta. Zasłona deszczu w żaden sposób nie ogranicza widoczności. Wręcz przeciwnie. Wyostrza szczegóły i tak bardzo powiększa widok, że Linvenogre wydaje się nienaturalnie bliskie, jakby było skomplikowaną projekcją, której wielkość można dowolnie regulować i która jest tu tylko po to, żeby odwracać uwagę od tego, co kryje się pod nią.

– To jakaś sztuczka – mówi Tenan, choć zdaje mu się, że tylko to pomyślał.

– Jak my wszyscy – stwierdza Chwytakowa Dłoń, nie patrząc na perusa.

Hemel i Tenan chcą oponować, ale ich uwagę przyciąga coś innego. W niebo nad Linvenogre wzbijają się setki ruchliwych punkcików najeżonych długimi, ostrymi kolcami. Ciągną się za nimi znikające wstęgi myślomaterii. Gdy tulpa są już bardzo wysoko, zamykają się w kulistych bańkach przezroczystych osłon i odlatują w pośpiechu.

– Czy oni uciekają? – pyta Hemel.

W odpowiedzi gaśnie płomień, który od początku istnienia Apolabium palił się nad jego czubkiem. Stożkowata budowla pokrywa się niebieskofioletowym iskrzeniem i w mgnieniu oka przyciąga do siebie lewitującą w oddali złotą kopułę, która zawisa tuż nad nią i również obrasta niebieskofioletowymi iskrami. Wygląda to tak, jakby w samym środku miasta wyrósł gigantyczny elektryczny grzyb.

Hemel jest przerażony. Zerka na Tenana, który schował ektoplazmatyczną wypustkę i zmarł w bezruchu, całkowicie sparaliżowany strachem, a potem pyta Małych Ludzi:

– Co się dzieje?

– Otworzyła się Przestrzeń Konstruktu i greżdżący innaqu somorkino ładuje cewkę Apolabium – odpowiada spokojnie Kwadratowy Otwór w Klatce Piersiowej.

– Że co? – pyta oszołomiony Hemel, trzęsąc się ze strachu.

Chwytakowa Dłoń odwraca się w jego stronę i z ciepłym, współczującym uśmiechem mówi:

– Nie ma się czego bać. Zmieniecie się, żeby odkryć, że tak naprawdę nie możecie się zmienić.

Po czym znowu spogląda na roziskrzoną cewkę Apolabium.

– Ale ja nic nie rozumiem... – mruczy zrozpaczony zamin i w tym samym momencie zdaje sobie sprawę, że to się już nie zmieni.

Że studnia, do której wpadli z Tenanem – nie, do której zostali wrzuceni już w chwili narodzin w tym mieście – nie ma dna i wciąż spadają. I nigdy nie przestaną.

Niebieskofioletowe iskrzenie staje coraz intensywniejsze. Nawet tu słyhać, jak trzeszczy. Od kopuły aż do podstawy stożka Apolabium rozwiera się wąska szczelina pionowej czerni. Takiej samej, jak ta, którą Hemel i Tenan widzieli w głębi portalu otwierającego się w Przestrzeni Konstruktu. Krawędzie szczeliny migocą boleśnie, rozrywając tkanę rzeczywistości. Nie widać tego, ale każdą komórką ciała czuć, że coś tam jest, że coś zbiera siły.

Hemel chciałby zamknąć oczy, lecz nie może. Wyciąga rękę w bok i delikatnie kładzie dłoń na kulistym ciełe perusa. To niewiele, ale wystarczy, żeby nie czuł się całkiem sam, stojąc na skraju otchłani.

Krawędzie pionowej szczeliny przestają migotać i czarny rozbłysk pochłania wszystko.

* * *

Razat czuje na plecach dziwne ciepło. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie zaznał. Odwraca się i odkrywa, że pada na niego wąski promień jasnego światła. Unosi wzrok i zamiera. Ten promień przebija się z wnętrza Zaraukarda. I nie jest jedyny. Pojawiają się kolejne. Jest ich coraz więcej. Zaraukard rzędzie. Rozpadają się falujące bryły ciężkiego złoto-miedzianego blasku. Mglistomechaniczny mur deformuje się, wybrzusza i rozwiewa bez śladu, odsłaniając sięgające po horyzont ruiny skąpane w karmazynowym blasku zachodzącego słońca. Razat przysłania dłonią oczy i patrzy w górę, w bezdenny błękit bezchmurnego nieba. Myśli, że będzie bolało, ale niebieskofioletowe iskrzenie nie pozostawia mu miejsca na myślenie.

* * *

Czarny rozbłysk wsiąka w czarną równinę. W wąskie szczeliny między precyzyjnie dopasowanymi płytami czarnego kamienia, które, gdziekolwiek spojrzeć, ciągną się aż po horyzont. Rozbłysk znika, ale zostawia po sobie pięć bladych ogników. Tlą się żółtawym światłem i lewitują nad płaskim, kamiennym bezkresem nakrytym kopułą rozgwieźdzonego firmamentu. Nie wiedzą, skąd się tu wzięły. Nie wiedzą, czym są. Ich istnienie ogniskuje coś, czego nie rozumieją, ale muszą być temu posłuszne, żeby nie rozproszyć się w nicość. To coś kieruje ich uwagę daleko do przodu, tam gdzie na kamiennych płytach materializuje się jakiś nieduży podłużny kształt. Blade ogniki natychmiast skupiają na nim całą swoją obecność, jakby właśnie do tego były stworzone, jakby właśnie na niego czekały. I po płaszczyźnie ich ukierunkowanej świadomości wtacza się szpiczasty ogrom zamknięty w przezroczystej kuli.

Przesłania sporą część rozgwieźdzonego nieba. Zatrzymuje się nad niedużym podłużnym kształtem i bezcielesna siła zaczyna go wciągać do wnętrza kuli. Dwa ogniki odnoszą wrażenie, że rozpoznają ten kształt, że jest w nim coś znajomego, ale to wrażenie znika równie szybko, jak się pojawia. Ogniki wiedzą, że te szare, odstające elementy, bezwładnie rozrzucone na boki, to jego głowa, ręce i nogi. Wiedzą też, że to, co pokrywa jego ciało, to twarda skorupa. Ta wiedza jednak nic nie znaczy, niczego nie wyjaśnia, donikąd ich nie prowadzi. Nieduży podłużny kształt wznosi się coraz wyżej. Zbliża się do szpiczastego ogromu, wtapia się w wyszczerbiony masyw opalizującej czerni i znika w nim, staje się jego częścią. Kolos rusza z miejsca. Ogniki odprowadzają go wzrokiem. Czują wyraźną ulgę, czują, że już nic nie kieruje ich uwagę.

Ale nie trwa to długo.

Coś podnosi się na tle rozgwieźdzonego firmamentu i ogniki od razu przywierają do tego całą świadomością. Nie potrafią tego obudować rozpoznaniem, więc widzą tylko mgliste, skomplikowane zarysy przelewające się między nimi i gwiazdami – niemal sam bezcielesny ruch, który bez reszty pochłania ich uwagę. Gdy jednak kształt oddalającego się od nich szpiczastego ogromu wpasowuje się w to, co niewyraźnie wspina się po firmamencie, i łączy się z tym w jedną niemożliwą strukturę wypełniającą całe pole widzenia, gwałtowny napór ciężaru jej istnienia zgniata blade ogniki z taką siłą, że w odbierającym przytomność spazmie nabierają cielesnej gęstości, która dociąża ich umysły i ściąga ku światu, do którego muszą przylgnąć.

* * *

– Miałeś nam coś powiedzieć.

Hermann w zamyśleniu wpatruje się w blaszany kubek wypełniony szampanem. Tak głęboko zatopił się w myślach, że dopiero głos Terence'a przywołał go do rzeczywistości. A przecież właśnie miał coś ogłosić. I to nie tylko jemu, ale także reszcie załogi. Wszystkim, z którymi zdążył się zżyć w ciągu dwóch lat wspólnej pracy.

Unosi więc głowę i mówi:

– Tak, przepraszam, chyba się zamyśliłem. Wydawało mi się, że... ale nie, to pewnie tylko takie... Nic nie poczuliście?

Przez chwilę wodzi wzrokiem po twarzach ludzi siedzących przy niewielkim składanym stoliku.

Jest tu jego przyjaciel Terence. Tak chudy, że szybko przyłgnęło do niego przezwisko Pająk. W jakiś trudny do zrozumienia sposób wrażenie jego pająkowatości pogłębiało to, że nie miał prawej ręki. Ponoć odgryzł mu ją jaguar na wykopaliskach w Peru – w każdym razie taką wersję rozpowszechniał Terence – ale trudno było w nią uwierzyć, zwłaszcza jeśli widziało się go bez koszuli. Na jego barku nie ma żadnej blizny – tylko gładka, nienaruszona skóra, która wygląda tak, jakby z tego miejsca nigdy nie wyrastała ręka.

Jest również drobny, rudawy Henry, który bardzo rzadko zdejmuje gogle miernicze i wszyscy się po cichu śmieją, że bez tego sprytnego urządzenia nie wiedziałby, jakiej długości powinny być jego kroki.

Obok niego siedzi równie wdzięczny materiał do żartów, czyli geolog Steven, przysadzisty blondyn z okrągłą twarzą i nieodłącznym komputerem zawieszonym na szyi.

O dziwo, przyszedł też aspołeczny kryptoantropolog Albini, ostentacyjnie leworęczny Japończyk o nieprzeniknionym wyrazie twarzy i wyjątkowo paskudnym charakterze.

Każdy z nich trzyma w dłoni blaszany kubek z szampanem, którego przed chwilą nalał im Hermann. Ale jeszcze nikt się nie

napił. Na razie patrzą ponuro, czekają i milczą.

– Tak, tak, jasne – mówi Hermann. – Oczywiście, że nie.

– Skończ ten cyrk i mówże wreszcie – warczy Albini.

– Nie robię tego specjalnie... ja naprawdę... A zresztą nieważne, bez względu na to, co powiem, ty i tak zawsze wiesz swoje. No dobra. Wezwałem was, bo zadzwonił William, który, jak wiecie, nadzoruje nasz projekt z ramienia Koncernu Nefastis. A właściwie nadzorował.

– Jak to „nadzorował”? – pyta zdumiony Terence.

– Odsunęli go. Ale to nie wszystko. Martwiliście się, że Nefastis da nam na przyszły rok mniej pieniędzy, tak?

– Zgadliśmy? – pyta Henry.

– Niezupełnie. Problem został rozwiązany inaczej.

– Umieram z ciekawości – docina Albini.

– Nie będzie przyszłego roku.

Zapada tak głęboka cisza, że słychać drobinki piasku ześlizgujące się po brezencie namiotu. Przerywa ją Albini.

– O kurwa!

– William twierdzi, że kończą z tym projektem. Definitywnie. Nie będzie nowego nadzorca. Nie będzie nowych wypraw. Ogrodzą wszystko, zamkną na klucz i wyrzucą go do rzeki. Nie użył może dokładnie tych słów, ale mniej więcej to miał na myśli.

– O kurwa... – powtarza Albini, wstaje z krzesła i wychodzi.

Nikt go nie zatrzymuje. Krótki brzęk blaszanego kubka rzuconego na skały przecina suche powietrze.

– Ale dlaczego? – pyta płacząco Steven.

– Jesteśmy już ósmą wyprawą, ale, podobnie jak naszym poprzednikom, nie udało nam się odkryć żadnej tajemnicy Tytana i chyba ci na górze, ci, którzy liczą pieniądze i planują wydatki, uznali, że już nic z tego nie będzie. Dlatego zakręcili kurek.

– Ile mamy czasu? – pyta Terence.

– Trudno powiedzieć. To zależy, jak szybko zapadają kolejne decyzje.

– Nie pieprz – irytuje się Henry. – Ile?

– Dziesięć dni. Standardowa procedura – mówi cicho Hermann.

– Co?! – krzyczy płaczliwie Steven. – Chyba powariowali!

Hermann wstaje. Ma sporo ponad dwa metry wzrostu, potężne bary i długie, muskularne ręce. Rzadko to wykorzystuje, ale dobrze wie, jakie wrażenie wywierają jego gabaryty.

– Tylko bez hysterii, Steven. Opanuj się, człowieku – mówi spokojnie niskim, wgniatającym w ziemię głosem.

Geolog natychmiast milknie.

Hermann patrzy na swoich podwładnych. Na towarzyszy i przyjaciela. I mówi:

– Trzymałem tego szampana na specjalną okazję. Chciałem wypić z wami toast za powodzenie w ostatnim roku badań. Teraz nie muszę już niczego udawać i podtrzymywać was na duchu. Wreszcie mogę całkiem szczerze powiedzieć, że nigdy nie wierzyłem, że uda nam się cokolwiek zdziałać, ale każdego dnia cieszyłem się, że mogę tak po prostu tu być, obcować z tym, czego w żaden sposób nie da się zrozumieć. To była rzadka okazja i nie podejrzewam, że w tym życiu spotka nas jeszcze coś równie ciekawego i równie znaczącego. Jestem za to pewien, że większość z was doceni to dopiero po powrocie do domu. Dlatego wypijmy za rychłą i bolesną śmierć skurwysynów z Nefastisa, którzy nas w to wpakowali, a teraz, przed czasem, nam to odbierają. Idźcie do siebie i postarajcie się dobrze wykorzystać czas, który wam pozostał. Róbcie to, co zwykle, albo, co tam sobie chcecie. Mam to gdzieś. To i tak niczego nie zmieni. Ja idę się napić. Oby zdechli!

Jednym haustem wypija szampana, odstawia blaszany kubek na stolik i nie oglądając się na nikogo, opuszcza namiot. Wsiada do stojącego niedaleko łazika i jedzie do swojego namiotu. Wyjmuje

z lodówki butelkę ulubionego karaibskiego rumu „Sailor Jerry”, wraca do łazika, zawraca i rusza przez obóz. Przed głównym namiotem czeka na niego Terence. Hermann podjeżdża i zatrzymuje się. Terence bez słowa siada obok niego. Hermann dodaje gazu i kieruje się na północ.

– Czemu wzięłeś samochód? – pyta Terence. – To przecież niedaleko. Mogliśmy się przejść.

– A bo ja, kurwa, wiem... – odpowiada Hermann i hamuje. Gdy się zatrzymują, gasi silnik i kładzie głowę na kierownicy.

– Masz, co trzeba? – pyta Terence.

Hermann podnosi głowę i patrzy na przyjaciela z porozumiewawczym uśmiechem.

– No ba.

– To na co czekamy?

Hermann wsuwa butelkę rumu do bocznej kieszeni wojskowych spodni i ruszają po równym kamiennym płaskowyzu. Brnąc w płytkiej warstwie nawianego piasku, kierują się w stronę kanciastej konstrukcji ciemniejącej w odległości niecałego kilometra. Ciepły karmazynowy blask niskiego popołudniowego słońca pokrywa piasek lśniąca patyną.

– Ależ to piękne. Będzie mi tego brakowało – mówi Terence.

– Z pewnością. Tego też.

– Skoro już zebrało ci się na szczerość, to powiedz mi, proszę, czy jak cię zwerbowali do tej roboty, to wierzyłeś, że to naprawdę będzie to, o czym mówią?

Hermann się śmieje.

– Oczywiście, że nie. Byłem pewien, że to zmyłka i chodzi o coś innego. Długo się zastanawiałem, dlaczego wymyślili taką kretyńską, zupełnie nieprawdopodobną przykrywkę. Ale się potem zdziwiłem...

– Wyraz zdumienia nie schodził ci z twarzy przez co najmniej

rok.

– Jasne... Chyba tobie.

– Nie byłem gorszy – przyznaje Terence. – Ale w końcu uwierzyłem w powodzenie naszej wyprawy.

– Ty? Pan „potrzebuję twardych dowodów”? Dobry żart.

– Trochę o tym myślałem i wydaje mi się, że wszystko zależy od tego, czy uda nam się stąd wywieźć to, co wyczuwamy tak wyraźnie, że właściwie wiemy, że tu jest, a mimo to w żaden sposób nie potrafimy tego złapać w sito nauki. Jeśli zdołamy to w sobie zachować, nasza wyprawa się powiedzie i ani Nefastis, ani nikt inny nigdy nam tego nie odbierze.

– Nie tego się po tobie spodziewałem, ale cieszę się, że mnie rozczarowałaś, i zgadzam się: jebać ich wszystkich.

Docierają do szopy z blachy falistej. Uruchamiają generator. Potem podchodzą do wieży kratownicowej, wsiadają do małej zardzewiałej windy i zjeżdżają w głąb największego grobowca na Ziemi.

Nie wiadomo, kto go znalazł ani kiedy. Koncern Nefastis nie dzieli się takimi informacjami, ponieważ zarząd uważa, że zmusza to przybywających tu naukowców do bardziej wytężonej pracy i – przynajmniej teoretycznie – ma pozytywny wpływ na badania. Wiadomo jednak, że gdy dwadzieścia trzy lata temu zaczęli tu wysyłać ekipy badawcze, to miejsce szybko stało się pomnikiem ludzkiej niemocy, bezradności i zagubienia. Prawda jest taka, że nawet otwór w pokrywie grobowca, przez który właśnie zjeżdżają hałaśliwą i rozklekotaną windą, już tu był, kiedy przybyli pierwsi badacze. Na ich szczęście, bo wydrążenie takiego szybu byłoby niezwykle trudne, praktycznie rzecz biorąc, zbyt czasochłonne i zbyt pracochłonne, by w ogóle opłacało się kopać.

Winda zatrzymuje się tuż pod pokrywą. Hermann i Terence wychodzą z kabiny i spowici słabym żółtawym światłem

wydobywającym się z jej wnętrza idą po ażurowym pomoście wiszącym nad czarną otchłanią. Otacza ich głuche pulsowanie ogromnej pustej przestrzeni.

Hermann podchodzi do panelu sterowniczego i po kolei przestawia cztery przełączniki. W dole zapalają się światła, stopniowo odsłaniając widok, do którego nie można się przyzwyczaić.

Pod heksagonalną pokrywą o grubości dziewięćdziesięciu metrów i średnicy około dwóch kilometrów spoczywa szkielet, który od czubka głowy do palców u nóg liczy sobie równe tysiąc osiemset metrów, ale gdyby nie był taki duży, wyglądałby jak normalne ludzkie szczątki, leżące w pozycji wyprostowanej, z rękami ułożonymi wzdłuż tego, co pozostało z martwego ciała.

Hermann przechyla się przez barierkę i patrzy w dół, na kulistą wypukłość ogromnego czoła wznoszącego się jak kościana góra. Zagląda w przepastne oczodoły, szerokie na osiemdziesiąt metrów i głębokie na pięćdziesiąt. Chociaż schodził tu wiele razy, czuje ciarki na plecach.

Terence również spogląda w dół, a później kieruje wzrok w lewo, na białe łuki gigantycznych żeber słabo oświetlonych reflektorami, i szepcze:

– Idziemy?

– Oczywiście – odpowiada cicho Hermann, nie patrząc na przyjaciela.

Wszyscy, którzy tu trafiają, od razu ściszą głos, jakby instynktownie wyczuwali, że jest tu coś, co może się obudzić.

Na drugim końcu pomostu znajduje się kolejna winda, która przez jamę nosową dostaje się do wnętrza czaszki Tytana. Hermann i Terence wsiadają do niej i zjeżdżają na sam dół.

Koncern Nefastis zawsze wysyłał tu mądrych i zaradnych ludzi, dlatego, mimo że skąpiono im informacji, sami odkryli, że

heksagonalny sarkofag Tytana znajduje się na Saharze, w centralnej części masywu wulkanicznych gór Tibesti. Ale niewiele więcej mogli zdziałać. Badając okoliczne tereny, doszli do wniosku, że sarkofag nie został tu zbudowany, ponieważ skały, które go tworzą, swoim składem i gęstością nie tylko nie pasują do gór Tibesti, ale też do żadnych innych występujących na Ziemi. Tak jakby spadł z nieba. Albo wynurzył się z głębi planety, gdzie być może pływał w magmie od mitycznych, pradawnych czasów, gdy Ziemia zderzyła się z inną planetą Układu Słonecznego i częściowo ją wchłonęła, wraz z tym sarkofagiem. Takich absurdalnych koncepcji oczywiście nikt nie jest w stanie udowodnić, ale ich istnienie jest uzasadnione, gdy nie da się racjonalnie odpowiedzieć na żadne pytanie dotyczące Tytana. Osobliwe teorie to mentalne zawory bezpieczeństwa, które spontanicznie rodzą się w umysłach naukowców, gdy nie mogą pobrać próbek gigantycznych kości, bo materia, z których są utworzone, jest tak twarda, że nie ma na Ziemi narzędzi, którymi można by ją ukruszyć. Albo wtedy, gdy nie udaje im się wiarygodnie ocenić wieku Tytana, gdyż urządzenia do datowania, które tu sprowadzili, zawodzą jedne po drugich i pokazują wyniki nie do zaakceptowania. Według wskazań większości z nich ten tytaniczny szkielet jest starszy niż wszechświat. Próby prześwietlania również skończyły się niepowodzeniem. Nikt nie znalazł sposobu, żeby dostać się do tajemnic Tytana, ale prędzej czy później prawie każdy dochodzi do wniosku, że nie ma w tym nic dziwnego, bo w świetle wszystkiego, czego pozornie zdołaliśmy się dowiedzieć o świecie, w którym żyjemy, człekokształtna istota wysoka na prawie dwa kilometry po prostu nie ma prawa istnieć. Dlatego są też tacy, którzy uważają, że to wcale nie jest szkielet, lecz coś innego, coś tak obcego naszej rzeczywistości, że w żaden sposób nie możemy zobaczyć, jak to naprawdę wygląda i co to naprawdę jest. Wypiera to nasza ludzka

świadomość. Sprytnie przysłania kośćmi giganta.

Winda zatrzymuje się z głośnym szczękiem. Hermann i Terence mogą teraz skręcić w lewo i zejść kręconymi schodami na dno sarkofagu albo pójść prosto, w głąb dobrze oświetlonej kościanej jaskini i długim, nieco ponad stumetrowym korytarzem dotrzeć do gigantycznej kulistej komory o średnicy trzystu pięćdziesięciu metrów. Gdyby to była czaszka człowieka, znajdowałyby się tam tylko pusta przestrzeń, którą kiedyś zajmował mózg. Ale Tytan ma tam coś innego. Kolejną zagadkę.

Ruszają w jej stronę. Po drodze mijają dużą metalową szafkę, z której Hermann wyjmuje dwie butelki wody i pistolet sygnałowy. Upewnia się, że jest naładowany, i zabiera jeszcze garść flar. Wrzuca je do kieszeni, podaje butelkę Terence'owi i idą dalej.

Zatrzymują się dopiero na końcu korytarza.

Wrażenie zawsze jest dziwne. Jakby za każdym razem schodziło się tu pierwszy raz. Na początku myśli się tylko o zapachu, który przypomina woń starego kurzu, ale jest jakiś inny, gęstszy, łaskoczący z tyłu głowy, i tak naprawdę nie da się go porównać z niczym. Czujesz go i wiesz, że nie jest stąd, że w twoim świecie nic tak nie pachnie. Potem dostrzega się niewyraźne zarysy kulistych kształtów zanurzonych w głębokim półmroku. Jest tu mnóstwo lamp, są rozstawione wokół całej komory, ale z nieznanego powodu nie są w stanie jej oświetlić, jakby coś pochłaniało ich światło.

Hermann odbezpiecza pistolet sygnałowy, wyciąga rękę w górę i strzela. Flara nie dolatuje do sklepienia komory, zatacza łuk i opada, rozświetlając półmrok.

Dopiero teraz widać, że komora do połowy jest wypełniona dużymi metalicznymi jajami, grafitowymi i pobrużdżonymi. Nie sposób powiedzieć, ile ich jest. Z pewnością setki, może tysiące. Nie wiadomo, czym są ani skąd się tu wzięły. Każde z nich jest tak

ciężkie i twarde, że nikomu nie udało się ich ruszyć ani otworzyć. Żaden podnośnik, dźwig, materiał wybuchowy, świder ani kwas nie dały im rady.

– Chodź! – mówi Hermann i przeskakując z jednego jaja na drugie, przedostaje się na środek komory.

Terence podąża w ślad za nim. Szybko docierają do jaja, na którym stoi pięć krzesełek turystycznych i krzywy żeliwny grill. Flara opada między jaja i gaśnie. Miękki półmrok ponownie wypełnia komorę.

Hermann i Terence z impetem siadają na krzesełkach i chichoczą zdyszani.

– Jakbyśmy znowu mieli po dziesięć lat – mówi Hermann.

– Tego też mi będzie brakowało.

– Mówiłem...

Z daleka dobiega jazgotliwy zgrzyt wracającej na górę windy.

– Oho, zaraz będziemy mieli towarzystwo – mówi Hermann.

Otwiera rum, pije prosto z butelki, a potem przekazuje ją Terence'owi.

– Myślisz, że wszyscy przyjdą?

– Nie sądzę. Ale zobaczymy.

Terence pociąga spory łyk i oddaje butelkę Hermannowi. Wymieniają się nią kilka razy. Słychać odległy szcęk i od strony pomostu zbliżają się głosy.

– Idą. Co najmniej dwóch – stwierdza Hermann.

– Ja słyszę trzech – mówi Terence.

– Zaraz się przekonamy.

Ku sklepieniu leci kolejna flara i w jej migotliwym świetle skaczą po metalicznych jajach trzy obładowane postacie. Gdy docierają do Hermanna i Terence'a, uśmiech nie schodzi im z ust. Nawet Albini się szczerzy, co jest nieco upiorne.

– Przestań, Albini, bo będę miał koszmary – mówi Hermann. –

Szybko się uwinęliście. Ale nie sądziłem, że przyjdziecie wszyscy.

– A dokąd mielibyśmy pójść? Przecież tu jest nasze miejsce – mówi Steven i wyciąga z plecaka węgiel drzewny, podpałkę i brykiety zmrożonego mięsa. – Trochę to potrwa.

Hermann delikatnie klepie go po plecach i mówi:

– Nie szkodzi, mamy czas.

Siadają na krzeselkach i rozkładają mały aluminiowy stolik. Wyjmują z plecaków konserwy, krakersy, krojony chleb, plastikowe sztuce, talerze i kubeczki, kilka butelek wody oraz alkohol: sześć piw, dwie butelki whisky i trzy czerwonego wina.

– Tego na szczęście Nefastis nigdy nam nie skąpił – mówi Henry.

Wszyscy się śmieją. Steven rozpala grilla i powoli rozmraża mięso. Każdy sący to, co lubi. Trochę rozmawiają, trochę piją w milczeniu, wsłuchując się w głęboki puls ciszy. W powietrze nieśmiało wzbija się apetyczny zapach pieczonej wieprzowiny. W pewnym momencie Albini mówi:

– Nienawidziłem swojego ojca. To był kawał skurwysyna.

– Ale ci się zebrało... – wtrąca się Henry, ale Hermann natychmiast go ucisza.

– Ciii. Niech mówi.

Albini patrzy w głąb plastikowego kubka do połowy wypełnionego winem i mówi dalej:

– Był przeorem klasztoru Tezema należącym do szkoły sōtō. Poważano go w całym regionie, słynął z mądrości i przenikliwości, ale tak naprawdę był jebanym faszystą, pozbawionym nawet odrobiny poczucia humoru. Szybko zrozumiałem, że to nie jest mój ojciec. To znaczy jest, ale tylko biologiczny, bo zachowywał się jak obcy człowiek, który nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Był taki wobec mojej matki, mnie i mojej siostry. Patrzył na nas z pogardliwym poczuciem wyższości, jak na utyłane w gnoju świnię. Ale pięć lat przed jego śmiercią jeden jedyny raz

przekonałem się, że są w nim też dobre uczucia. Zapamiętam to do końca życia, bo wtedy udało mi się coś zrozumieć i przestałem go nienawidzić.

Wszyscy słuchają jak urzeczeni. Albini jeszcze nigdy nie mówił tak długo i tak szczerze.

– To się wydarzyło na weselu mojej siostry. Miała szczęście i trafiła na fajnego poukładanego faceta, który, jak się okazało, ma również całkiem sympatycznych, kontaktowych rodziców. Większość gości była z jego strony i dlatego udało im się stworzyć cudowną atmosferę luźnej, radosnej zabawy, zupełnie obcej naszej rodzinie. Mój ojciec przez cały czas stroił dziwne miny i byłem pewien, że w końcu nie wytrzyma, wstanie i wyjdzie. W pewnym momencie byłem już poważnie zaniepokojony, podszedłem do niego i zapytałem, czy dobrze się czuje. Odparł, że tak, że wszystko w porządku. A ja dostrzegłem coś, co mną wstrząsnęło. Te jego dziwne miny, te grymasy, to były z trudem powstrzymywane emocje. Emocje, na które mój ojciec nigdy sobie nie pozwalał, a teraz nie potrafił nad nimi zapanować. Patrzył, jak goście tańczą, jak się śmieją, jak jedzą ze smakiem, jak dyskutują, i oczy mu się szklily. Rozsadzały go uczucia, wobec których był bezradny. Spojrzał na mnie, tak jak nigdy wcześniej, tak jak ojciec na syna, i powiedział: „W tych nietrwałych formach tli się coś pięknego”. Nigdy nie byłem z nim tak blisko jak wtedy.

Albini milknie. W ciszy podchodzi do niego Hermann, kładzie mu dłoń na ramieniu i mówi:

– Czy można liczyć na coś więcej? Wypijmy za to!

Każdy pije to, co ma. Przez moment wszyscy mają wrażenie, że coś zrozumieli.

* * *

Ruma czeka cierpliwie, ale nic się nie dzieje. Siedzi w mokrym ubraniu na czarnych bazaltowych płytach, które pokrywają plac w Moqudad. Obok niej leży nieruchomy kłęb sinoszarych macek. Słońce wspina się po niebie i rozprasza poranną mgłę. Lśni wznoszący się nad placem Obelisk. Robi się coraz cieplej. Macki zaczynają wysychać, kurczą się, kruszą, zapadają w sobie. Szybko zmieniają się w biały pył. Wiatr zdmuchuje go do morza.

W południe mieszkańcy miasteczka przychodzą po Rumę. Pomagają jej wstać i zabierają ją ze sobą. Cieszą się, obejmują, przytulają. Świątują do rana.

Jak zawsze, gdy komuś uda się odejść z Moqudad.

ଓଡ଼ିଆ ଭାଷାରେ ଲେଖାଯାଇଥିବା ଏକ ଗ୍ରନ୍ଥର ଚିତ୍ର। ଗ୍ରନ୍ଥଟିର ଉପର ଭାଗରେ ଉପରୋକ୍ତ ଶୀର୍ଷକ ଲେଖା ହୋଇଛି। ଗ୍ରନ୍ଥଟିର ମଧ୍ୟ ଭାଗରେ ଏକ ଚିତ୍ର ଲେଖା ହୋଇଛି। ଗ୍ରନ୍ଥଟିର ତଳ ଭାଗରେ ଏକ ଶୀର୍ଷକ ଲେଖା ହୋଇଛି।

W książce wykorzystano fragment powieści „Pod wulkanem”
Malcolma Lowry’ego w tłumaczeniu Krystyny Tarnowskiej (Rebis
2001)
oraz fragmenty
„Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carolla w tłumaczeniu Bogumiły
Kaniewskiej (Vesper 2010).

Spis treści

Karta tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Thrakorne	7
Drobo	15
Vessero	23
Apolabium	28
Kvall	34
Menur	40
Un-ku	52
Avorro	61
Telkro-oqwal-zehka-lypto	76
Lypto	86
Nakmar	102
Yvvy	110
Tankuni	126
Manakum	134
Atrifa	154
Gers	163
N.Odomer	182
Travh-nahr	189
Brethus	210
Ures	223
Pohra	246
Kanak w Kvall	259

Galen	279
Fruchy	291
W... I... W...	311
Odivale	331
Khat	351
Rairom	360
Barga Drod	403
Sormmyrk	419
Rimleg	445
Nokra	455
Erkenon	484
Zergott	497
Alhazen	530
Sihamur	543
Pirga	573
Krek'h-pa	585
Cyparis	643
Moqudad	654
Lamreh	695
Arcybja	706
Foquis	744
Zaraukard	762
Zelda	773
Somorkino khat	790